



ZE STRACHEM

Lotte & Soren
HAMMER

WSZYSTKO
ma swoja
CENE



Lotte i Søren Hammer
Wszystko ma swoją cenę

Przełożyła Elżbieta Frączak-Nowotny



Wołowiec 2012

Tytuł oryginału duńskiego ALTING HAR SINS PRIS

Projekt okładki ŁUKASZ MIESZKOWSKI

Copyright © by LISELOTTE HAMMER JAKOBSEN & SØREN HAMMER JACOBSEN & GYLDENDALSKE BOGHANDEL, NORDISK FORLAG A/S, COPENHAGEN 2010.

Published by agreement with the Gyldendal Group Agency

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2012

Copyright © for the Polish translation by ELŻBIETA FRĄTCZAK-NOWOTNY, 2012

Redakcja MAŁGORZATA POŹDZIK / D2d.pl

Korekta SANDRA TRELA i ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład SANDRA TRELA / D2D.PL

Konwersja MAGDALENA WOJTAS / VIRTUALO SP. Z O.O.

ISBN 978-83-7536-438-5

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Prolog

Wszystko ma swoją cenę.

Być może cena za setki lat grabieżczej polityki wobec przyrody miała zostać zapłacona właśnie tu, w Zatoce Disko, u zachodnich wybrzeży Grenlandii. To niewielka część tego, za co kiedyś z pewnością przyjdzie nam wszystkim zapłacić – pomyślała pani kanclerz Niemiec, patrząc na fiord.

Duńska minister do spraw środowiska mimowolnie podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem, podobnie jak dziennikarz przeprowadzający z nimi wywiad. Widok zapierał dech. Bryły lodu różnej wielkości kołysały się leniwie na zimnej, niebieskiej wodzie, a nad nimi wznosił się lodowiec, postrzępiony biały mur, który odbijał promienie słońca i zmuszał widzów do mrużenia oczu. Od czasu do czasu z głębokim pomrukiem, rozchodzącym się echem w całej zatoce, odrywała się od niego kolejna góra lodowa.

Po dłuższej chwili dziennikarz odchrząknął. Nie otrzymał odpowiedzi na swoje ostatnie pytanie i próbował dyskretnie powrócić do tematu rozmowy. Pani kanclerz najwyraźniej nie zamierzała odpowiadać, skierował więc to samo pytanie, lekko tylko zmienione, do duńskiej minister, tym razem po angielsku.

– Dlaczego trzeba jechać aż na Grenlandię, żeby zrozumieć zjawisko globalnego ocieplenia? Czego mogą się tu nauczyć światowi przywódcy, a czego nie mogli się dowiedzieć u siebie?

Pani minister uśmiechnęła się uprzejmie i zamyśliła. Dobrze wiedziała, że określenie „światowi przywódcy” nie odnosi się do niej, tylko do jej gościa. Było to oczywiste, aczkolwiek sam temat był drażliwy. Doskonale знаła wszystkie argumenty. Po tym, jak kilka miesięcy temu przyjechała tu z grupą amerykańskich senatorów, duńska prasa oskarżyła ją o uprawianie turystyki klimatycznej. I właściwie były to słuszne zarzuty, bo pani kanclerz bynajmniej nie musiała pokonywać czterech tysięcy kilometrów z Berlina do Ilulissat, żeby się przekonać, że lądolód rzeczywiście topnieje. Każdy mógł to zobaczyć, wystarczyło porównać zdjęcia satelitarne bieguna północnego sprzed dziesięciu lat z obecnymi. Bieguna południowego zresztą też. Istotne były kroki, które należało poczynić, żeby odwrócić ten proces albo – patrząc na sprawę bardziej realistycznie – przynajmniej ograniczyć szkody. Na to jednak ani lodowiec, ani satelita nie dawały odpowiedzi.

Pani kanclerz odwróciła głowę i przyglądała się jej z figlarnym uśmiechem, najwyraźniej równie ciekawa odpowiedzi jak dziennikarz. W głowie minister zaświtała nieco paranoiczna myśl, że Niemcy, pani kanclerz i dziennikarz z góry się umówili i prowadzą teraz rodzaj gry. Poczula fałę gorąca, rozpięła kurtkę. Miała uczucie, jakby stała przed komisją egzaminacyjną. Kobieta, która była jej gościem, poza tym że reprezentowała kraj liczący osiemdziesiąt trzy miliony obywateli, mia-

ła także doktorat z chemii kwantowej.

Zamek kurtki się zaciął, zyskała kilka dodatkowych sekund na rozważenie odpowiedzi. W końcu stwierdziła zgodnie z prawdą:

– Niczego.

– Dlaczego więc tu jesteśmy?

Przez moment zastanawiała się, czy opowiedzieć dziennikarzowi o czterech tysiącach grenlandzkich myśliwych, których podstawowe źródło utrzymania zostało zniszczone z powodu wzrostu średniej rocznej temperatury, dwukrotnie większego niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Uznała jednak, że byłby to błąd. Konferencja klimatyczna miała charakter globalny, w tym kontekście jej wypowiedź mogłaby zostać błędnie odczytana. Powiedziała więc po prostu:

– Ponieważ politycy też są ludźmi, a takich krajobrazów łatwo się nie zapomina.

Dziennikarz wydawał się z nią zgadzać, na twarzy pani kanclerz pojawił się szeroki uśmiech, oboje wyglądali na zadowolonych z jej odpowiedzi. Może to nieco rozluźni sztywny nastrój i umożliwi poważną dyskusję na tematy polityczne z kobietą, która właśnie ruszyła w stronę czekającego w pogotowiu śmigłowca. Gdyby zgodziła się uczestniczyć w szczycie klimatycznym, który za dwa lata miał się odbyć w Kopenhadze, z pewnością przysłużyłoby się to sprawie. Do tej pory jednak pani kanclerz ograniczała się do podziwiania widoków, okazując znacznie mniejsze zainteresowanie kwestiami politycznymi. Najwięcej rozmawiała z towarzyszącym jej glaciologiem, zaś duńska minister jedynie z rzadka miała możliwość przedstawienia swojego punktu widzenia.

Nadzieja na poważniejszą rozmowę okazała się płonna, bo także w śmigłowcu pani kanclerz wolała rozmawiać z towarzyszącym jej naukowcem. Dopilnowała, żeby zajął miejsce obok niej, i wkrótce oboje pograżyli się w naukowych dywagacjach, których Dunka, ze swoją szkolną znajomością niemieckiego, nie była w stanie śledzić. Poczula się zmęczona. Musiała uszczypnąć się w rękę, żeby nie zasnąć. Na zewnątrz jak okiem sięgnąć ciągnął się lądolód, a siedzący obok niej urzędnik drzemał. Od czasu do czasu wydawał z siebie ciche jęki. Zastanawiała się, czy go nie szturchnąć, ale odrzuciła ten pomysł. Wyjęła z torby czasopismo i zaczęła je od niechcienia przeglądać, po chwili jednak poczuła, że i ją morzy sen.

Godzinę później pani minister została brutalnie wyrwana z drzemki. Glaciolog krzyczał i gwałtownie gestykułował. Pani kanclerz wstała i energicznie wskazywała na coś za oknem, po czym nakazała pilotowi śmigłowca zawrócić. Po chwili pilot posłusznie wykonał polecenie.

Rozdział 1

Inspektor Konrad Simonsen, szef policji kryminalnej, mrużył oczy, patrząc na wiszące nisko nad długim horyzontem słońce polarne. W dali, tam, gdzie niebo i śnieg zlewały się w jedno, świat mienił się pastelową zielenią i błękitem, jakby przyroda chciała nas zapewnić, że gdzieś daleko istnieją tereny bardziej przyjazne ludziom niż te tutaj. Co za miejsce, żeby dokonać żywota. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można było kogoś tutaj zabić. Próbował odepchnąć od siebie tę myśl. Była niemądra. Jakby to miało jakieś znaczenie. Przez chwilę obserwował swój długi cień. Gdy wyciągał rękę, kontur sięgał niemal do niewielkich szczelin w lodzie. W końcu jednak zmęczyło go to. Ponownie zerknął na zamglone słońce, od którego nie biło ciepło, lecz emanował chłód, i poczuł ukłucie czegoś przykrego. Słońce powinno wschodzić i zachodzić, a nie wędrować monotonnie po niebie, sprawiając, że dzień i noc zlewają się w jedno. Otworzył szeroko oczy i odwrócił się w stronę, z której wiał wiatr, podejmując daremną próbę pokonania zmęczenia. Ostatniej doby spał nie więcej niż trzy godziny i ciężko mu było uwierzyć, że rozpoczął się już kolejny dzień. Potarł twarz dłonią i przez chwilę rozkoszował się ciemnością. Zastanawiał się, czy ta kobieta w ostatnich chwilach swojego życia myślała o wiosennych kwiatach, o ciepłych, piaszczystych plażach czy może o tańcach wokół ogniska na Świętego Jana. Uznał, że pewnie nie, ale nadal trudno mu było pogodzić się z faktem, że umarła tu, pośrodku tej lodowej pustki, gdzie świat wydawał się zbyt duży, gdzie tak naprawdę nie było miejsca dla żywych istot. W jakiś sposób jej zabójca ugodził ją w dwójnasób.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest wpół do ósmej czasu duńskiego. Nie potrafił ocenić, jak to się ma do czasu grenlandzkiego. Stłumił ziewnięcie i nagle poczuł się wykończony. Rano zapomniał wziąć pigułki, czy raczej – bo przecież nie miało sensu samemu się okłamywać – po raz kolejny zapomniał je wziąć, i teraz cierpiał. Coraz bardziej dręczyła go chęć wypalenia zakazanego papierosa, jeśli nie całego, to choć połówki, żeby przynajmniej na chwilę odgonić od siebie zmęczenie. Odruchowo poklepał się po klatce piersiowej, upewniając się, że papierosy są na swoim miejscu, w wewnętrznej kieszeni kurtki. W ostatniej chwili postanowił wytrzymać dodatkowych kilka minut, żeby jeszcze przez moment cieszyć się satysfakcją. Przed rokiem, a może już przed dwoma laty, stwierdzono u niego cukrzycę. Choroba, przy niemałym udziale problemów, z którymi się zmagał na co dzień, zmusiła go do zmiany stylu życia, a przynajmniej do podjęcia takiej próby. Nagle dziwny lęk sprawił, że ponownie spojrzał na zegarek. Zobaczył to samo, co przed chwilą, ale niewiele mu to dało. Odwrócił się do swojego grenlandzkiego kolegi.

– Wie pan, która jest godzina?

Policjant rzucił szybkie spojrzenie na słońce i powiedział krótko:

– Trochę po trzeciej.

Był człowiekiem, który nie wypowiada słów bez potrzeby, co nie ułatwiało oczekiwania. Nazywał się Trond Egede, i to było właściwie wszystko, co Konrad Simonsen o nim wiedział. Zastanawiał się, czy nie wsiąść z powrotem do kabiny samolotu i nie zdrzemnąć się przez moment, w oczekiwaniu, aż technicy skończą pracę. Twarde i niewygodne siedzenia, które przeklinał całą drogę z Nuuk, wydały mu się nagle niezwykle kuszące. Trochę snu było lepsze od całkowitego jego braku, poza tym wystawał tu bez sensu ze swoim milczącym kolegą i przyglądał się czterem osobom, które z tego powodu nie pracowały ani wolniej, ani szybciej. Ale może w ten sposób urazi swego towarzysza, a nie miał wątpliwości, że dobra i bezproblemowa współpraca z policją w Nuuk będzie w najbliższej przyszłości bardzo ważna. Mógł też machnąć ręką na regulamin i po prostu dołączyć do pracujących techników. Właściwie nie istniało niebezpieczeństwo zniszczenia jakichś śladów. Z drugiej strony ryzykował, że technicy mu podziękują, co byłoby nie tylko upokarzające, ale też świadczyłoby o braku profesjonalizmu z jego strony. Tak więc mógł zrobić tylko jedno – był to wniosek jasny, aczkolwiek dość przygnębiający – musiał pozostać na swoim miejscu.

Z braku innego zajęcia postanowił nawiązać rozmowę.

– Jak to możliwe, że patrząc na słońce, potrafił pan stwierdzić, że jest trzecia? Nie bardzo rozumiem, według czego można się tu orientować, skoro jak okiem sięgnąć wszędzie jest płasko.

Policjant z pewnym trudem zdjął jedną rękawiczkę, podwinął rękaw kurtki i zerknął na zegarek. Ponownie włożył rękawiczkę i dopiero wtedy powiedział:

– Jest trzynaście minut po trzeciej.

– Miał pan więc rację.

– Tak.

– Jedynie na podstawie obserwacji słońca? Bez żadnych punktów odniesienia?

– Tak.

Konrad Simonsen poddał się i skupił na przestawieniu zegarka. Przynajmniej przez moment miał jakieś zajęcie. Nagle opadły go wątpliwości, rozejrzał się dookoła z pewnym sceptycyzmem, niepokój go nie opuszczał.

– To znaczy trzeciej po południu, tak?

Starł się mówić spokojnie, z opanowaniem, ale sam słyszał lęk w swoim głosie. Grenlandczyk odwrócił się i zaczął mu się przyglądać.

– Tak, po południu – odpowiedział w końcu. – Pogubił się pan w czasie?

– Nie podejrzewałem, że może mi się to przytrafić. Ale rzeczywiście, przez chwilę miałem takie uczucie.

– To bywa nieprzyjemne.

Konrad Simonsen pokiwał głową i odprężył się. Sięgnął po papierosy, nie

miał już żadnych skrupułów, zapalił, zaciągając się z lubością, po czym dołączył do ciszy, która znów zapadła. Kiedy skończył palić, schylił się, dokładnie zgasił peta o lodową krawędź i schował go do kieszeni. Grenlandczyk obserwował go z zainteresowaniem. Inspektor zdecydował się ponownie nawiązać rozmowę.

– Często pan tu przychodzi? – spytał.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się w uśmiechu, czyniąc go podobnym do trolla.

– Pana partner też mnie o to pytał. Ma na imię Arne. Nazwiska nie pamiętam.

Wskazał głową w stronę samolotu.

– Arne Pedersen. Nazywa się Arne Pedersen.

– Racja. W każdym razie on także uznał, że pewno często wybieram się na przechadzkę na lodowiec. Taki spacer, czterysta kilometrów w jedną stronę, a potem powrót do domu, szybkim krokiem, z czerwonymi policzkami.

Ironia w jego głosie była zdecydowanie pogodna, nie złośliwa.

– Rozumiem. Nigdy wcześniej pan tu nie był.

– To nie do końca prawda, bo byłem tu wczoraj, ale wcześniej rzeczywiście nie. Zresztą dlaczego miałbym tu przyjeżdżać?

Obaj pokiwali głowami. Mijały kolejne sekundy, Konrad Simonsen bał się, że rozmowa zaraz zgaśnie, gdy nagle mężczyzna znów się odezwał:

– Arne Pedersen ostrzegał, że pewnie nie będzie pan chciał rozmawiać o sprawie, zanim nie zobaczy pan ofiary. Podobno ma pan taką zasadę.

– Zasadę to za dużo powiedziane. Ale rzeczywiście na ogół wolę zaczekać, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu. Jest jednak kilka innych rzeczy, o których moglibyśmy porozmawiać. Nie jest przecież tajemnicą, że dość nagle zostałem włączony w tę sprawę.

Mężczyzna się roześmiał.

– Owszem, słyszałem. Arne Pedersen mówił mi, że był pan w drodze na wakacje, gdzieś na południe. A wylądował pan tutaj.

Znów się roześmiał.

Konrad Simonsen pomyślał, że coraz bardziej go lubi.

– Dzięki, że mi pan przypomniał, że właśnie byłbym w drodze do Punta Cana na Dominikanie, jeśli pamięta pan jeszcze coś z geografii. Leżałbym sobie teraz i odpoczywał pod palmą z moją przyjaciółką, czekając na przybycie pocziwego Legend of the Seas, należącego do Royal Caribbean Cruise Line. Ach, nie chcę o tym myśleć.

– Nie musi mi pan dziękować, to drobiazg.

– Niezależnie od wszystkiego, nikt jeszcze nie znalazł czasu, żeby mi powiedzieć, co się tu wczoraj wydarzyło. A może po prostu żadna z osób, z którymi rozmawiałem, tego nie wie? Czy to prawda, że ofiarę znalazła niemiecka kanclerz?

– Nie do końca, ale prawie. Pierwszy zauważył ciało glaciolog, specjalista od lodowców. To on wskazał je pani kanclerz.

– Był pan na pokładzie tego samolotu?

– Nie, ale znam całą historię od naocznego świadka. A tak przy okazji to był śmigłowiec, a mówiąc ściśle, trzy śmigłowce, trzy wielkie Sikorsky S-61 z Air Greenland, te ogromne, legendarne maszyny, nazywane też Sea King.

Konrad Simonsen nie miał pojęcia, o czym mężczyzna mówi, ale grzeczność nakazywała mu skwitować jego wywód jakąś odpowiedzią.

– Rzeczywiście robią wrażenie.

– Też tak uważam. No więc jeden śmigłowiec zabrał na pokład panią kanclerz, duńską minister środowiska i ich najbliższych współpracowników, drugim leciała ochrona i niższy rangą niemiecki personel sztabowy, a trzeci zajęli dziennikarze. Pierwszy leciał śmigłowiec z panią kanclerz na pokładzie. Trasa wiodła przez lodowiec, od Ilulissat nad Zatoką Disko do Nuuk, skąd towarzystwo miało wracać rejsowymi samolotami, jedni do Kopenhagi, drudzy do Berlina. Pani kanclerz nalegała, żeby dotrzeć do połowy lodowca, co być może wynikało z nieporozumienia. Ktoś jej podobno powiedział, że właśnie tam najlepiej można zaobserwować proces topnienia lodowca. Tak czy inaczej kanclerz wyraziła takie życzenie i nikt się temu nie sprzeciwił.

– Co tam jest do zobaczenia?

– Nic szczególnego. Jeśli widziało się roztopy, których jest mnóstwo w okolicach lodowca Ilulissat, czyli zaledwie po paru minutach lotu, to nie ma sensu oglądać kolejnych stu. Poza tym w głębi ładu jest ich mniej. Naprawdę nie bardzo jest co oglądać.

– To fascynujący krajobraz, aczkolwiek rzeczywiście nieco monotony – odpowiedział Konrad Simonsen dyplomatycznie.

– No cóż, można to tak ująć. W każdym razie pani kanclerz uznała, że lot był szalenie interesujący, podobnego zdania był oczywiście także glaciolog. Podczas całego lotu siedział koło niej i coś jej opowiadał. Zdaje się, że ku niezadowoleniu pani minister.

– Która nie chciała oglądać lodowca?

– Chyba wolałaby rozmawiać o polityce. Towarzyszyło jej dwóch polityków z naszego rządu. Rozmawiałem z jednym z nich, podobno trochę się podśmiewali z całej tej sytuacji. Nikt się nie spodziewał, że pani kanclerz do tego stopnia wejdzie w rolę pilnej studentki. Niedawno gościła tu delegacja ze Stanów Zjednoczonych, minister do spraw środowiska, senatorowie i tak dalej. Przyjechali w tej samej sprawie, ale zachowywali się zdecydowanie inaczej. Amerykanie uznali, że wybrali się na wycieczkę, jeden z nich spytał nawet, czy nie mógłby zapolować na rena. Być może żartował, ale miejscowi dziennikarze bardzo się oburzyli. Sam lodowiec oczywiście niewiele ich interesował.

Konrad Simonsen postanowił wrócić do tematu.

– Ale pani kanclerz była zainteresowana?

– Tak jak już mówiłem. Śmigłowiec leciał na możliwie najniższej bezpiecznej wysokości, poza tym wszyscy byli wyposażeni w lornetki. Po półgodzinie lotu wszyscy, z wyjątkiem glacjologa i pani kanclerz, odłożyli je na bok. Duńczycy drzemali, a Niemcy pilnie pisali coś na swoich laptopach, jak donosi moje źródło. – Mężczyzna uśmiechnął się.

– Wygląda mi to na doskonały podział pracy – wtrącił Konrad Simonsen. – Co było potem?

– Przez godzinę nie działo się nic. Nie wiem dokładnie, jaką prędkość rozwija śmigłowiec, ale podejrzewam, że dotarcie na miejsce rzeczywiście mogło zająć im około godziny. Pani kanclerz słuchała wykładu, reszta zajmowała się swoimi sprawami. Nagle pani kanclerz i towarzyszący jej glacjolog zaczęli coś wołać, zdaje się, że bez ładu i składu. Byli wzburzeni, co zrozumiałe, bo okazało się, że zobaczyli ciało. Po krótkiej dyskusji pilot zawrócił śmigłowiec i przybyli tu, gdzie teraz stoimy.

– Wylądowali?

– Nie, przez kilka minut wisieli w powietrzu, podczas gdy pilot przekazywał centrali współrzędne. Na szczęście znalazł się ktoś trzeźwo myślący, kto miał dość rozsądku, żeby przez radio nakazać pilotowi śmigłowca z dziennikarzami na pokładzie zawrócić, zanim zebrani na pokładzie przedstawiciele światowej prasy zdążą zrobić jakiegokolwiek zdjęcia, słusznie rozumując, że tajemnicze morderstwo mogłoby przyćmić tematykę klimatyczną. To na pewno bardziej nośny temat niż globalne ocieplenie. Niestety, nie do końca udało się temu zapobiec. Po wylądowaniu w Nuuk sprawa szybko wyciekła, podobnie jak kilka zdjęć, zrobionych z pokładu śmigłowca z ochroną. Stąd dzisiejsze tytuły. „Bild-Zeitung” pisze o pani kanclerz zabawiającej się w Sherlocka Holmesa, a „Times” na pierwszej stronie zamieścił artykuł opisujący, jak pani kanclerz znalazła ciało zamordowanej dziewczyny. To tylko dwa przykłady, które zapamiętałem. CNN wczoraj wieczorem w specjalnym wydaniu poinformowało o tym zdarzeniu. Mam mówić dalej?

– Nie, dziękuję, starczy aż nadto.

– Pański partner miał rację. Znów zapomniałem jego nazwiska, nie mam pamięci ani do imion, ani do nazwisk. Tak czy inaczej stwierdził, że nie będzie pan zachwycony. Nie lubi pan dziennikarzy?

– Ze społeczno-teoretycznego punktu widzenia lubię. Nie przepadam tylko za dziennikarzami śledczymi.

– Ale to właśnie dzięki prasie stał się pan sławny.

– Sławny? Bzdura. Nie jestem sławny.

– No to znany.

– Nie jestem ani sławny, ani nawet znany, proszę mi wierzyć.

Inspektor tupnął lekko nogą w śnieg, jakby dla podkreślenia swoich słów, poślizgnął się i niewiele brakowało, a byłby się przewrócił.

– Skoro pan tak mówi... Ale w jakiś sposób musiał pan podpaść Niemcom, skoro niemiecka kanclerz uznała, że należy ściągnąć pana do tej lodówki, zamiast pozwolić panu na wygrzewanie się w promieniach karaibskiego słońca.

– Nie jestem pewien, czy chcę tego słuchać.

– Jak pan sobie życzy. Celebryci zawsze mają rację.

Mężczyzna wyraźnie się z nim drażnił, ale Konrad Simonsen nie odbierał jego żartów jako złośliwe. Może dlatego, że Grenlandczyk wydawał się przyjaźnie nastawiony i promieniował pogodą ducha. Poza tym jego słowa mile polechtały inspektora, który poczuł wręcz niejaką dumę.

– Niech pan nie opowiada takich rzeczy.

Znów zapadło milczenie. Konrad Simonsen starał się nie patrzeć na swojego grenlandzkiego kolegę, świadom, że ten śmieje się od ucha do ucha. Słyszał, jak chichocze, ale postanowił zadać mu kolejne pytanie.

– Rozumiem, że miał pan już okazję obejrzyć ciało?

– Tak, wczoraj, jak już mówiłem. Musieliśmy się upewnić, z czym mamy do czynienia. Ale nie podejmowaliśmy żadnych działań, po prostu obejrzelśmy ofiarę i ogrodziliśmy teren. – Mężczyzna skinął głową w stronę techników, wskazując na wbite w lód paliki i tradycyjną czerwono-białą plastikową taśmę, tworzącą nieregularne koło wokół ciała. – Zajęło im to pół godziny. Lód jest tu bardzo twardy, obojętnie uważam to za całkowicie zbyteczne, ale skoro dostałem taki rozkaz...

– To Grenlandka?

Twarz mężczyzny spoważniała, wesołość zniknęła. Spytał surowo:

– Dlaczego pan o to pyta? Czy to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego z punktu widzenia wagi przestępstwa, ale bardzo duże, jeśli chodzi o jurysdykcję i tryb postępowania. Poza tym gdyby był to ktoś miejscowy, pochodzący z obcego mi środowiska, to nie bardzo wiem, jak w takiej sytuacji mógłbym pomóc.

– Nie jest Grenlandką, to Dunka. A jeśli chodzi o jurysdykcję, to proszę się nie przejmować. Pan prowadzi dochodzenie, co do tego wszystkie strony są zgodne.

– Wszystkie strony? Miałem wrażenie, że są tylko dwie.

– Trzy... Strony są trzy, ale tak jak powiedziałem, nie ma żadnej różnicy zdań.

– Trzecia to Amerykanie?

– Myślałem, że zaczeka pan, aż zobaczy ciało?

– Co przy odrobinie szczęścia powinno wkrótce nastąpić. Mam wrażenie, że technicy zakończyli już pierwszy etap prac.

Konrad Simonsen ponownie sięgnął po papierosy, właściwie zrobił to mimo-

wolnie. Doszedł do wniosku, że tak naprawdę żył i postępował tak jak zawsze, tyle że od czasu do czasu gnębiły go wyrzuty sumienia, co na pewno nie służyło jego zdrowiu. Po chwili jednak schował paczkę do kieszeni. Wkrótce potem podeszła do nich kobieta z ekipy technicznej. Była to Dunka, poruszała się trochę niezdarnie, bardzo uważając, gdzie stąpa, jakby nadeptanie na stary ślad stopy w śniegu zapewniło jej wygraną w sobotnim losowaniu lotto. Inspektor jej nie znał.

– Niedługo kończymy. Jeśli Arne Pedersen chce być przy tym obecny, pora zacząć go budzić. I proszę uważać, tam jest bardzo ślisko.

Wskazała głową w stronę miejsca zbrodni. Trond Egede skinął uprzejmie, jakby chciał zapewnić, że będzie szedł ostrożnie. Konrad Simonsen pomyślał, że wszędzie tu jest ślisko, i zignorował jej ostrzeżenie.

Rozdział 2

Kobieta siedziała, a raczej klęczała w lodowej niecce jak w wannie. Była prawie naga, miała na sobie tylko majtki i koszulkę, rozerwaną z przodu tak, że widać było jej nagie piersi. Jej nogi były w kostkach spętane taśmą klejącą, a nadgarstki w ten sam sposób przymocowane do ud. Rozpuszczone długie, czarne włosy sięgały do połowy pleców. Na głowę miała naciągniętą foliową torbę, zawiązaną na szyi na supeł. Przez przezroczystą folię widać było groteskowo czerwone usta kobiety i jej szeroko otwarte oczy, świadczące o tym, że śmierć bynajmniej nie przyszła nagle. Ofiara była dość atletycznej postury, mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Po obu stronach jej zimnego grobu ciekły niewielkie strumyki wody, kolana i stopy kobiety nadal były uwięzione w lodzie. Nieco z prawej leżało ubranie: spodnie, wiatrówka i czapka z misternym wzorem, zrobiona na drutach z wełny w odcieniach błękitu, fioletu i zieleni. Konrad Simonsen poczuł, że robi mu się niedobrze.

Trzej mężczyźni nie spieszyli się. Arne Pedersen i Konrad Simonsen chodzili powoli dookoła, przyglądając się kobiecie, której twarz znajdowała się mniej więcej na poziomie ich stóp. Grenlandzki funkcjonariusz stał w miejscu. Można było odnieść wrażenie, że żaden z mężczyzn nie pali się, by przerwać ciszę, nie chcąc przeszkadzać innym. Z ekipy policyjnych techników została jedynie kobieta, podczas gdy jej trzech koledzy wrócili na pokład samolotu, by się ogrzać. Kobieta stała w pewnej odległości od funkcjonariuszy i wyraźnie marzła. W końcu zniecierpliwiona spytała:

– Czy jest coś, w czym mogłabym pomóc? Bo jeśli nie, to zanim zaczniemy ją wydobywać, pójdę do samolotu napić się kawy.

Pytanie było skierowane przede wszystkim do Konrada Simonsena. Ponieważ jednak on w tym momencie sprawiał wrażenie wyraźnie nieobecnego, Arne Pedersen uznał, że musi coś powiedzieć.

– Ten grób, w którym ona leży, to naturalne wgłębienie w lodowcu?

– Według mojego grenlandzkiego kolegi nie.

– To znaczy, że ktoś wyciął go w lodzie?

– Według mojego grenlandzkiego kolegi tak właśnie było.

– Dlaczego grób zaczął się topić?

Kobieta się zawahała.

– Nie wiem. Może to skutek globalnego ocieplenia.

– Ale dlaczego właśnie tutaj, w tym miejscu?

Rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. Na pytanie Arnego odpowiedział Trond Egede.

– W okolicy w wielu miejscach występują roztopy, powstające w wyniku

topnienia lodowca, chociaż rzeczywiście nie tutaj. Prawdę mówiąc, na tym obszarze lodowiec wydaje się nawet grubszy niż przy brzegu. Nie ma specjalnego wyjaśnienia, dlaczego jej ciało zostawiono w tym miejscu, to zapewne przypadek. Jeśli zaś chodzi o kwestię, czy grób stanowi naturalne zagłębienie, czy nie, to grenlandzki kolega waszej współpracownicy ma rację. Tak się bowiem składa, że jest on także moim kolegą i nie mam żadnych wątpliwości, że wie, co mówi.

Kobieta pokiwała głową.

– Tak jest.

Konrad Simonsen odesłał ją na pokład samolotu, ignorując zdziwione spojrzenie Arnego Pedersena.

– Dlaczego jej przerwałeś, Simon? Zupełnie niepotrzebnie, poza tym miałem jeszcze kilka pytań.

Ponieważ szef nie raczył mu odpowiedzieć, Arne postanowił poszukać odpowiedzi na swoje pytania gdzie indziej. Zaczął się przyglądać zwłokom.

– Paskudna sprawa. Nie mam pojęcia, jak to wszystko się skończy, a tym bardziej od czego zacząć. Już to, jak ona tu trafiła, przekracza moją wyobraźnię. Kilkaset kilometrów do najbliższej osady, w samym środku niczego, jak to się mówi. Klasyczny przykład zamkniętego pokoju, tylko na opak. To znaczy, zamiast zamkniętego pokoju mamy aż nadto otwartej przestrzeni.

– Wiem, kim ona jest i jak się tu znalazła.

Arne Pedersen odwrócił się i zdzwiony spojrzał na Tronda Egede.

– I dopiero teraz pan to mówi?

– Sądziłem, że nie chcecie żadnych informacji, zanim sami jej nie obejrzy-cie.

– To zasada mojego szefa. Osobiście zawsze wolę jak najszybciej poznać wszystkie fakty. Więc proszę nam opowiedzieć.

Konrad Simonsen uniósł rękę.

– Za chwilę, potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Arne Pedersen nawet nie próbował ukryć swojego zawodu. Spojrzał zafrasowany na szefa.

– Coś się stało?

– Powiedziałem, że potrzebuję jeszcze minuty. Czy tak trudno to zrozumieć?

Większość ludzi w tym momencie wycofałaby się, ale nie Arne Pedersen. Zignorował ton szefa i powiedział stanowczo:

– Nie, to nie jest trudne do pojęcia. Podobnie jak moje pytanie, czy coś się stało. Stało się coś?

Konrad Simonsen musiał wrócić do rzeczywistości. Nie miał wątpliwości, że albo Hrabianka, albo jego córka Anna Mia, a może obie za jego plecami rozmawiały o jego zdrowiu. Hrabianka należała do jego najbliższych współpracowników. Tak naprawdę nazywała się Nathalie von Rosen, ale wszyscy mówili na nią Hra-

bianka. Wszyscy, z wyjątkiem jego córki, która uparła się używać jej właściwego imienia i nazwiska. Niewykluczone też, że Hrabianka była w nim zakochana, choć nie był tego do końca pewien, czy raczej żadne z nich nie miało tej pewności.

Właściwie nie powinno go dziwić, że najbliżsi zdecydowali się poinformować współpracowników o stanie zdrowia ich szefa. Podczas ostatnich wizyt lekarz raczej nie tryskał optymizmem. A już na pewno nie podczas wizyty w zeszłym tygodniu.

Postanowił się wytłumaczyć:

– Rzeczywiście nie najlepiej się czuję, ale nie denerwuj się. To akurat nie ma nic wspólnego z moim zdrowiem.

Odwrócił się i już chciał odejść, ale ledwie zrobił krok, Arne Pedersen zagroził mu drogę i zaczął mu się przyglądać. Stali tak chwilę, która Konradowi Simonsenowi wydała się wiecznością. W końcu Arne Pedersen przepuścił szefa.

Kiedy Konrad Simonsen uznał wreszcie, że skończył, grenlandzki funkcjonariusz wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni kurtki i zdjął jedną rękawiczkę, by móc przerzucać kartki.

– Nazywa się Maryann Nygaard. Była pielęgniarką i pracowała w zlikwidowanej już bazie amerykańskiej w Søndre Strømfjord, gdzie została zatrudniona za pośrednictwem duńskiej firmy Greenland Contractors, specjalizującej się w zatrudnianiu Duńczyków do pracy w amerykańskich bazach wojskowych na Grenlandii. O ile wiem, istnieje umowa rządowa między Danią a Stanami Zjednoczonymi, zgodnie z którą personel cywilny w bazach w Thule i Søndre Strømfjord ma być duński. Ale mogę się mylić, może są jakieś wyjątki, które nie są mi znane. Tak czy inaczej Maryann Nygaard pracowała w bazie jako pielęgniarka od stycznia 1982 roku do momentu zaginięcia, czyli do trzynastego września 1983 roku.

Konrad Simonsen przerwał wywód swojego grenlandzkiego kolegi pytaniem:

– W 1983 roku? Czy to znaczy, że ona leży tu od dwudziestu pięciu lat?

Wyglądało na to, że szef już się pozbierał, ale Arne Pedersen, który w końcu znał go najlepiej, czuł, że nie wszystko jest tak, jak powinno. Najwyraźniej coś mu jednak dolegało.

Grenlandzki funkcjonariusz ciągnął dalej spokojnie:

– Zgadza się. I gdyby nie zmiana klimatu, pewnie mogłaby tu tkwić jeszcze kilka tysięcy lat, aż kiedyś wpadłaby do morza z kawałkiem góry lodowej.

Konrad Simonsen pytał dalej:

– Wie pan, w jakim była wieku?

– Miała dwadzieścia trzy lata, kiedy zginęła, ale to wszystko, co o niej wiem. Rozmawiałem z pułkownikiem, głównodowodzącym bazy lotniczej w Thule, którego zresztą znam i z którym wielokrotnie współpracowałem. Obiecał, że postara się jak najszybciej zdobyć więcej informacji, a zwykle dotrzymuje słowa. To

znaczy, jak najszybciej, biorąc pod uwagę osławioną już biurokrację w amerykańskich siłach zbrojnych. Niektóre sprawy potrafią się ciągnąć latami, ale w tym przypadku nic na to nie wskazuje.

– O ile amerykańscy żołnierze nie są zamieszani w sprawę.

– Zgadza się, ale nie sądzę, żeby tak było.

Rozmowę przerwał Arne Pedersen:

– Jak daleko było stąd do bazy w Søndre Strømfjord?

– Jak daleko jest. Baza nadal istnieje, tylko Amerykanie zniknęli. Mniej więcej trzysta kilometrów na południowy zachód.

– Więc jak ona się tu znalazła?

– Zaraz powiem, ale może najpierw obejrzyjcie parę jej zdjęć?

Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna wyjął z notesu arkusz formatu A4.

– Pułkownik przysłał mi je w nocy z Thule, nie wiem, czy ściągnął je ze Stanów, czy może pochodzą z jego prywatnego archiwum. Przechowywali je, by umożliwić identyfikację, gdyby kiedykolwiek została znaleziona. To standardowa procedura w przypadku zaginięcia.

Arne po raz kolejny mu przerwał.

– Często się tu zdarza, że ludzie znikają?

– Niestety, nie jest to nic niezwykłego, szczególnie zimą. Grenlandia to duży kraj. Nie należy się zbyt oddalać, bo zdarza się, że człowiek zaczyna błądzić, a nie zawsze można liczyć na odnalezienie.

Mężczyźni stanęli bliżej siebie i zaczęli oglądać zdjęcia. Pierwszy był portret. Zdjęcie przedstawiało twarz milej, uśmiechniętej młodej kobiety, obraz miał niewiele wspólnego ze zniekształconą cierpieniem twarzą w plastikowej folii. Jedynie długie, czarne włosy wyglądały tak samo. Następne zdjęcie wykonano latem. Kobieta z dumą prezentowała w rękach pstrąga. Poza miała być żartem, bo pstrąg był raczej niewielki i spokojnie można było chwycić go jedną ręką. Letni wiatr porwał kosmyk jej włosów, który trzepotał gdzieś z tyłu głowy niczym smuga dymu.

Konrad Simonsen nachylił się nad ostatnim zdjęciem i zaczął je dokładnie studiować. Kiedy skończył, pokiwał smutno głową i spytał:

– Co ją tu sprowadziło?

– Praca. Słyszeliście o stacjach DYE?

Obaj mężczyźni pokręcili przecząco głowami.

– To niewielkie stacje radarowe. Pierwotnie było ich pięć. DYE-1 i tak dalej aż do DYE-5. Trzy z nich położone były w najbardziej odludnych miejscach, kilkaset kilometrów od osiedli ludzkich. Wszystkie powstały na początku lat sześćdziesiątych jako część amerykańskiego systemu ostrzegawczego i stanowiły kolejne ogniwa całego łańcucha stacji, ciągnących się od Alaski, przez Kanadę aż do Islandii. Miały wykrywać radzieckie bombowce, a później także pociski międzykontynentalne. Cztery pierwsze leżały w jednej linii, która mniej więcej pokrywała się

z północnym kręgiem polarnym. Stacja DYE-1 położona była na wybrzeżu zachodnim, niedaleko Sisimiut, następne, DYE-2 i DYE-3, wchodziły w głąb lodowca, a DYE-4 położona była na wschodnim wybrzeżu w pobliżu Ammassalik. Baza DYE-5 wysunięta była znacznie bardziej na północ, dobre trzysta kilometrów od bazy w Søndre Strømfjord. Nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego nie została zlokalizowana w jednej linii z pozostałymi. Możliwe, że istnieje jakieś techniczne wytłumaczenie tego faktu, a może to tajemnica wojskowa, kto wie?

Konrad Simonsen przerwał mu kolejnym pytaniem:

– Jak duża była ta baza?

– Miała niewielką powierzchnię, ale była wysoka. Kiedy wrócimy do Nuuk, pokażę wam zdjęcia. Nie była to szczególnie piękna budowla.

– Co oznacza skrót DYE?

– O ile wiem, wywodzi się od nazwy kanadyjskiego miasta Cape Dyer, na wschodnim wybrzeżu Ziemi Baffina, w pobliżu Cieśniny Davisa. Cape Dyer też wchodziło w skład systemu radarowego, ale nie jestem pewien, czy sama nazwa ma jakieś znaczenie. Niemniej jednak wszystkie pięć baz zlikwidowano pod koniec lat osiemdziesiątych. Ich technologia się zestarzała. Rosyjskie rakiety można już było śledzić za pomocą satelity. DYE-5 zlikwidowano jako pierwszą. Znajdowała się w miejscu, w którym teraz stoimy, i w przeciwieństwie do pozostałych czterech została po prostu rozebrana. Decyzja o tym zapadła gdzieś za biurkiem w Kopenhadze, chodziło o to, żeby nie zanieczyszczać grenlandzkiej przyrody. Amerykanie mieli, że tak powiem, posprzątać po sobie, co zrobili bardzo skutecznie, jak widzicie, czy raczej właśnie nie widzicie. Potem miejscowa administracja zmieniła nieco procedury, tak że pozostałe stacje pozostawiono mniej więcej w niezmiennym stanie. Dwie z nich są dzisiaj od czasu do czasu wykorzystywane przez klimatologów. Nocują tam, podróżując przez lądolód.

– W stacjach pracowali wyłącznie Duńczycy?

– W niektórych tak, zgodnie z umową zawartą między Waszyngtonem a Kopenhagą, ale zwykle załoga stacji była mieszana. Kierownik stacji i operatorzy radaru zawsze byli Amerykanami.

– Duńczycy musieli przejść kontrolę służb bezpieczeństwa?

– Przypuszczam, że tak, ale wydaje mi się, że nie sprawdzano ich szczególnie drobiazgowo. Liczne historie, które do mnie docierały, zdają się to potwierdzać. Nie mam wątpliwości, że niektórzy z pracowników stacji byli prawdziwymi dziwakami, bynajmniej nie typem ludzi, których można by się spodziewać przy obsłudze supertajnych urządzeń. Może więc jednak te tajemnice nie były aż tak istotne? Można oskarżać amerykańską armię o różne rzeczy, ale na pewno nie o zaniedbania kwestii bezpieczeństwa, a już na pewno nie w okresie zimnej wojny.

Konrad Simonsen przytaknął, chociaż nie bardzo wiedział, na jakiej podstawie to robi. Zadał kolejne pytanie:

– Ilu ludzi pracowało w takiej stacji radarowej?

– To zależało od stacji. W DYE-5 było zatrudnionych dwunastu Duńczyków, którzy stacjonowali tu każdy pół roku. Potem następowała zmiana, w praktyce jednak często trafiali po prostu na inną stację. To pewnie tłumaczy fakt, że niektórzy po pewnym czasie nieco dziwaczeli. Część spędzała tu wiele lat. Zarabiali niezłe pieniądze, tylko nie mieli ich gdzie wydawać. Kiedy w końcu wracali do cywilizacji, różnie się to kończyło.

– Maryann należała do personelu stacji?

W głosie Arnego Pedersena pobrzmiwał sceptycyzm. Trudno mu było wyobrazić sobie piękną, młodą kobietę spędzającą pół roku w tak odludnym miejscu w towarzystwie jedenastu mężczyzn.

– Nie, to byłoby niemożliwe, tu stacjonowali wyłącznie mężczyźni, ale w amerykańskiej armii istnieje mnóstwo kretyńskich zasad, a cytuję tu wspomnianego pułkownika, który zapewne wie, o czym mówi. Zgodnie z jedną z nich raz do roku cały sprzęt medyczny w stacji czy w bazie miał być dokładnie skontrolowany przez lekarza albo pielęgniarkę, czego zresztą przestrzegano. Tak więc trzynastego września 1983 roku Maryann Nygaard przybyła tu w ramach takiej inspekcji medycznej. Sprawdzenie sprzętu zajęło jej kilka godzin, nie wymagało też kontaktu z pracownikami stacji, ale w pewnym momencie okazało się, że młoda kobieta zniknęła. Nikt nie mógł jej znaleźć, chociaż wszyscy jej szukali. W końcu śmigłowiec odleciał bez niej.

Konrad Simonsen przerwał wywód mężczyzny:

– Wiadomo, o jakiej porze dnia to się wydarzyło? Chodzi mi o to, czy było już ciemno.

– Dokładnej pory nie znam, ale przypuszczam, że w Nuuk czeka na nas obszerny raport, uwzględniający wszystkie okoliczności. Moi ludzie już nad nim pracują, wiem, że w Thule także. Amerykanie obiecali przesłać listę mężczyzn, którzy wówczas znajdowali się w DYE-5.

– Taka lista byłaby bardzo przydatna.

– Dostanie ją pan. Teraz jednak nic więcej nie potrafię dodać. Wiem jeszcze, że następnego dnia wysłano z bazy cały oddział ludzi, którzy mieli przeszukać teren, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Teraz już wiemy dlaczego. Leżała kilkaset metrów od stacji, nie mieli szansy jej znaleźć. Zakładam, że w pewnym momencie została oficjalnie uznana za zmarłą, ale nie zdążyłem tego potwierdzić.

– Można dokładnie określić, w jakiej odległości od bazy została ukryta?

– Niestety nie. Wczoraj przez kilka godzin szukaliśmy śladów stacji, ale nam się nie udało. Amerykanie potrafią być niezwykle dokładni. Niewykluczone, że nie uda nam się znaleźć miejsca, w którym wznosił się kiedyś budynek, ale jutro spróbujemy ponownie, w większej grupie. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

Ostatnie pytanie skierowane było do Konrada Simonsena.

– Oczywiście, że nie. Chciałbym też podkreślić, że policja w Nuuk wykonała kawał dobrej roboty. Niewiarygodne, jak dużo udało wam się ustalić w tak krótkim czasie.

Trond Egede przyjął pochwałę z uśmiechem. Po chwili ponownie spojrzął na młodą kobietę i spoważniał.

– W swoim czasie widziałem sporo zabójstw, ale przyznaję, że na widok tego ciarki chodzą mi po plecach. Pan pewnie ma podobne wrażenie. Dlatego potrzebował pan chwili, żeby się pozbierać?

Konrad Simonsen wydawał się przygnębiony.

– To niestety z innego powodu, ale nie zajmujemy się tym teraz. Arne, jesteś najmłodszy, może zejdiesz do niej? Sprawdź jej paznokcie i powiedz nam, jak są obcięte.

W tym momencie pozostali spojrzeli odruchowo na dłonie kobiety, ale z miejsca, w którym stali, nie byli w stanie niczego stwierdzić. Grenlandczyk i Konrad Simonsen chwycili Arnego za ręce i pomogli mu opuścić się powoli do dołu. Mężczyzna przyłożył głowę najpierw do boku jednego uda ofiary, potem drugiego, i po chwili powiedział:

– Na pewno nie obcięła ich sama. Żadna kobieta nie obcięłaby sobie paznokci w ten sposób. Wyglądają, jakby ktoś obcinał je nożycami krawieckimi, w pośpiechu, niechlujnie. Ale skąd wiedziałeś...? No nie, Simon...

Grenlandzki funkcjonariusz też zdążył się już domyśleć, o co chodzi. Spojrzał smutno w dół.

Konrad Simonsen chciał jednak, żeby sprawa była jasna.

– Niestety, już drugi raz widzę młodą kobietę, potraktowaną w ten obrzydliwy sposób.

Rozdział 3

Pogoda w Kopenhadze była zmienna. Raz gwałtowne burze, raz słońce, które natychmiast osuszało ulice i wywabiało ludzi na dwór do czasu, aż następna ulewa ponownie zapędzała ich do wnętrza, mocząc nieszczęśników, którym nie udało się przed nią uciec. Sezon wakacyjny dobiegał końca, ale na ulicach nadal było sporo turystów. Odprężeni i na luzie, niekiedy nawet na nieco zbyt dużym luzie, byli łatwo rozpoznawalni.

Konrad Simonsen wyglądał przez okno swojego gabinetu w kopenhaskiej komendzie i poważnie się zastanawiał, czy aby nie zaczyna popadać w depresję. Zaledwie dwie doby temu stał na lodzie w Grenlandii i przyglądał się ciału Maryann Nygaard. Ciągle jeszcze nie mógł dojść do siebie. Po raz pierwszy w swojej długiej karierze zawodowej czuł się tak przygnębiony z powodu zabójstwa, że nie bardzo potrafił się skupić na tym, by je wyjaśnić. I chociaż wiedział, że jego ponury nastrój był związany z innym zabójstwem, którego okoliczności będzie teraz musiał ponownie przemyśleć, niewiele mu to pomagało. Tłumaczył sobie wielokrotnie, że jego reakcja jest oznaką zdrowia psychicznego i dowodem na to, że nie jest kaleką emocjonalnym. Prawdę mówiąc jednak, z wielkim trudem udawało mu się stłumić ból na tyle, by mógł w miarę normalnie pracować. Do tego dochodziły jeszcze problemy ze zdrowiem, czego też nie mógł już ignorować. Przez ostatnie kilka dni ból nóg dokuczał mu coraz bardziej, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Od czasu do czasu łamał się więc i wypalał papierosa, starał się jedynie przestrzegać diety.

Ostatniej nocy wszystkie te okropności skumulowały się do tego stopnia, że w ogóle nie mógł spać. Kiedy usłyszał drwiące poranne trele ptaków, myśli nadal kotłowały mu się w głowie, a nogi – i to chyba było najgorsze – bolały, niezależnie od tego, jak je układał. Cały rano obiecywał sobie uroczyście, że zapisze się na wizytę do policyjnego psychologa, ale w końcu tego nie zrobił. Nie pierwszy raz coś postanowił, a potem nie doprowadzał tego do końca. Wiedział jednak, że zaplanowanego spotkania, które wkrótce miało się rozpocząć w budynku komendy, nie uniknie.

– Mam zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnisz?

Hrabianka siedziała za nim i przyglądała mu się zmartwiona, ale jej głos brzmiał spokojnie. Czuł zapach jej perfum, świeży, optymistyczny, rozsądny jak ona sama. Osobiście czuł się w tej chwili jak pokarm rzucony rybom. Kiedy nie odpowiedział, Hrabianka powtórzyła pytanie, dodając nowe argumenty:

– Nic się nie stanie, jeśli przełożymy zebranie o pół godziny. Nie ma aż takiego pośpiechu.

Konrad Simonsen warknął niezadowolony:

– Niech zaczekają, do licha.
– W porządku, dobrze im zrobi, jak chwilę poczekają.
– Dlaczego ta sprawa stała się nagle taka ważna? To bzdura. Pierwotnie miało to być wewnętrzne zebranie, zwołane dla omówienia bieżących problemów. Jak mogę spokojnie pracować, jeśli robi się zbiegowisko?

– No właśnie, tak nie może być.

– Przestań po mnie powtarzać. Nie potrafisz myśleć samodzielnie?

Cisza, która teraz nastąpiła, była aż gęsta. Troska obcych ludzi była niczym echo jego własnych uzalezań. Po co mu to wszystko? Kipiał ze złości, wściekając się na bezgraniczną wyrozumiałość otoczenia i jego złowieszczą cierpliwość. Zamknął na chwilę oczy i z wielkim wysiłkiem wziął się w garść.

– Przepraszam, nie miałem niczego złego na myśli.

– Wiem. A poza tym nie jestem ze szkła, nie rozbiję się łatwo.

To była jedna z jej zalet. Nie dawała się wciągać w bezsensowne kłótnie, chociaż okazji było aż za wiele. Między innymi dlatego ich związek trwał. Starali się zachowywać ostrożnie, delikatnie jak para trzynastoletków, którzy zbliżają się do siebie powoli, małymi kroczkami.

Po chwili milczenia Konrad Simonsen odezwał się smutno:

– Nie wiem, ile razy w ciągu ostatnich czterech dni wypowiadałem te słowa. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Co drugą osobę, z którą rozmawiam, przepraszam. To jest nie do wytrzymania.

– Teraz o tym nie myśl, Simonie. Skup się na sobie. Zaraz zadzwonię i powiem, że się spóźnisz.

Pozwolił jej to zrobić, w końcu to było jedyne rozsądne wyjście. Kiedy skończyła rozmowę, powrócił do tematu nieproszonego gościa na swoich zebraniach.

– Kto przychodzi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Jakiś dyrektor. Nie wiem, jak się nazywa, a raczej nie pamiętam. Plotka niesie, że szefostwo jest oburzone. Uznano jego obecność za niestosowne mieszanie się w sprawy policji, ale w końcu chyba sobie odpuścili.

– Przyznaję, że to dziwne. Podali jakiś powód? Chodzi o tę historię z niemiecką kanclerz? Nie wierzę, to niemożliwe.

– Niemcy, Amerykanie, Grenlandczycy, wszyscy zgadują, ale nikt niczego nie wie.

– Mogłabyś się temu przyjrzeć? Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z moim dochodzeniem.

– Dobrze, postaram się czegoś dowiedzieć.

Nagle twarz Konrada Simonsena rozpromieniła się w pierwszym uśmiechu tego dnia. Odezwał się, niemal radośnie:

– Wczoraj też cię o to prosiłem, prawda?

– Dobre polecenie można powtarzać w nieskończoność.

Roześmiali się, rozładowując napiętą sytuację. Mężczyzna opadł ciężko na krzesło.

– Wiesz, jakie za chwilę usłyszymy wnioski?

– Wszyscy czytaliśmy akta sprawy, dotyczące zabójstwa w Stevns, i nikt nie ma wątpliwości, że jest to dla was trudne, a w szczególności dla ciebie.

– To prawda. To obrzydliwa sprawa.

– Ludzie popełniają błędy. Nie jesteśmy bogami.

– „Pies”, powiedziała: „pies”. Nawet „kundel” nie przeszło jej przez gardło.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale przerażasz mnie. Jeśli nie czujesz się na siłach, sprawę może przejąć Arne albo ja.

– Nie ma potrzeby. Spróbuję to pociągnąć, tak będzie najlepiej.

– Może.

– Prawda jest taka, że boję się tego, co się stanie, jeśli się poddam i rzucę ręcznik na ring.

– Twoje życie to nie walka bokserska, Simonie. Musisz być ostrożny. Są rzeczy, z którymi nikt sam sobie nie poradzi. Czasem potrzebujemy pomocy, profesjonalnej pomocy.

– Wiem. Powiedz, co robisz dzisiaj popołudniu?

– To zależy, co dasz mi do roboty.

– Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę? Chcę odwiedzić kobietę, której mąż w 1998 roku popełnił samobójstwo.

Hrabianka milczała, a Konrad Simonsen nie chciał jej pospieszać. Po chwili się odezwała:

– Zamierzasz jej powiedzieć, że popełniście błąd?

– Że ja popełniłem błąd.

– Że ty i wielu innych popełniście błąd?

– Ona do końca wierzyła w swojego męża. Nawet na moment nie zważyła w jego niewinność. Nazwała mnie psem. To było najgorsze, co przeszło jej przez gardło, chociaż zniszczyłem jej życie, czy raczej to, co zostało z jej życia po tym, jak jej córka została zamordowana.

– Sądzisz, że to dobry pomysł?

– Dużo o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że tak. Przynajmniej tyle powinienem dla niej zrobić, skoro przyczyniłem się do tego, że wydano błędny wyrok.

– Nigdy nie został skazany.

– Na pewno by do tego doszło, dowody wydawały się niepodważalne.

– Ale nie został.

– Popełnił samobójstwo. Nie wiem, czy to lepsze. Musiał potwornie cierpieć.

– Pojadę z tobą. Uprzedziłeś ją?

– Tak. Mamy być w Haslev o czwartej.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, zabiorę cię stamtąd siłą. Uprzedzam cię. I wierzę, że to zrobię.

Mężczyzna wzruszył lekko ramionami, ale po chwili spytał:

– Zrobisz dla mnie coś jeszcze? Umówiłem się później w Høje Taastrup z... z pewną kobietą. Możesz zadzwonić i odwołać spotkanie? Będę potrzebował trochę czasu, żeby ochłonąć.

Hrabianka skinęła głową, a on podał jej karteczkę, na której był zapisany numer telefonu.

– Dziękuję. Spotkamy się za pięć minut.

Wyszedł. Hrabianka wybrała numer. Doskonale wiedziała, z kim Konrad Simonsen był umówiony. Od czasu do czasu miał bowiem w zwyczaju omawiać swoje sprawy ze starszą kobietą, jasnowiedzką, mieszkającą w Høje Taastrup, co było jedną z najgorzej strzeżonych tajemnic wydziału zabójstw, chociaż wszyscy udawali, że nic o tym nie wiedzą. Ona sama nie miała na ten temat wyrobionego zdania, ale obrót, jaki przybrała jej rozmowa z kobietą, przestraszył ją.

„Trzymaj się Steena Hansena, Baronowo, nie puszczaj go, cokolwiek się stanie. Przyłgnij do niego mocno jak bluszcz, żeby nie mógł się ciebie pozbyć. To sprawa życia i śmierci. Cokolwiek się wydarzy, Baronowo, proszę pamiętać, że to jest najważniejsze”.

Nie otrzymała żadnego wytłumaczenia, niczego, tylko te kilka zdań. Jak wołanie o pomoc, powtórzone kilka razy, dwa, trzy, może pięć, nie pamiętała dokładnie ile, ale suchy, nieco schrypnięty głos kobiety odbijał się echem w jej głowie, także później, kiedy już obiecała posłuchać tej rady. Także sposób, w jaki kobieta się do niej zwróciła, „Baronowo”, właściwie odpowiadał prawdzie. Patrzyła chwilę przed siebie i w końcu podjęła decyzję, a właściwie dwie. Po pierwsze postanowiła nie mówić Konradowi Simonsenowi o rozmowie, miał dość innych spraw na głowie, a po drugie uznała, że musi chwilę ochłonąć.

W drodze na salę okazało się, że mają jeszcze wiele spraw do omówienia, którymi wcześniej nie zdążyli się zająć. Wymieniali zdania w pośpiechu, na koniec Konrad Simonsen zwierzył się Hrabiance:

– Boję się, że się rozplaczę, kiedy zacznę o niej opowiadać. Rozklejający się szef wydziału zabójstw, piękny obrazek.

– Przedstaw więc ogólnie sprawę, a potem Arne przejmie pałeczkę. Potrzebujesz się odprężyć, to widać.

– Dobrze, tak zrobimy.

Jego odpowiedź zaskoczyła ją tak bardzo, że musiała odchrząknąć i zdusić w sobie wszystkie argumenty, które już sobie przygotowała, żeby go przekonać.

Minęli sprzątaczkę, która kolorowym pióropuszem przyczepionym do bambusowego kija usiłowała pokonać pajęczyny na suficie. Oboje zamilkli, jakby się umówili. Kobieta uśmiechnęła się do nich, ale powolnymi ruchami i z zawziętym

spojrzeniem kontynuowała pracę. Kiedy zyskali pewność, że już ich nie usłyszy, Hrabianka wróciła do przerwanej rozmowy.

– Może przez najbliższy tydzień pomieszkałbyś u mnie. Sądzę, że to by ci dobrze zrobiło.

Propozycja była dość zaskakująca. Aż takiej zażyłości między nimi nie było. Przynajmniej tak im się zdawało. Nie zwalniając tempa, Konrad Simonsen rzucił w powietrze jedno słowo:

– Chętnie.

Jednak życie może być proste, o ile sami go sobie za bardzo nie skomplikujemy. Powstrzymała go, łagodnie ujmując za rękę. Zwykle nie zdarzało się im całować w pracy, a i prywatnie nie robili tego zbyt często. A teraz nagle stało się. Dostojnie, z zachowaniem odpowiedniej odległości cmoknęli się w usta, jak figury w wodewilu.

Rozdział 4

Pierwsze dokładne omówienie bieżącego śledztwa miało się odbyć w jednej z dużych sal konferencyjnych Komendy Głównej. Nie ze względu na oszałamiającą liczbę chętnych, ale na zainstalowany tu duży i niezwykle czuły monitor dotykowy, na którym można było wyświetlać dwa zdjęcia jednocześnie i który z tego powodu znakomicie się nadawał do porównań materiału zdjęciowego. A dzisiejsze przedpołudnie właśnie temu miało być poświęcone: zestawieniu zdjęć z dwóch zabójstw, w których ofiarami były kobiety. Potem zaplanowano dyskusję już w węższym gronie na temat dalszych kroków, jakie wydział zabójstw powinien poczynić, a które zapewne w jakimś stopniu będą też wynikiem wcześniejszej prezentacji. Takie były plany, zanim się okazało, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest zainteresowane zebraniem, na którym miała być między innymi obecna przedstawicielka głównego szefa policji. Poza tym na sali byli pracownicy wydziału zabójstw, wśród nich oczywiście Pauline Berg i Arne Pedersen, najbliżsi współpracownicy Konrada Simonsena. Z pomieszczenia operatora, znajdującego się z tyłu za krzesłami na wysokości pierwszego piętra, praktykanci i wydziałowy geniusz komputerowy Malte Borup obsługiwali prezentację, którą Malte osobiście opracował.

Po dwudziestu minutach oczekiwania zjawił się Konrad Simonsen, wszedł i skinął głową zebranim. Wszyscy zajęli miejsca w pierwszym albo w drugim rzędzie, Pauline Berg i Arne Pedersen usiedli razem, nieco z boku. Hrabianka znalazła wolne miejsce obok Arnego, ale wstała, bo zanim szef zdążył cokolwiek powiedzieć, już napadł na niego przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Zanim pan zacznie, inspektorze Simonsen, pragnę zwrócić uwagę, że to ostatni raz, kiedy pan się spóźnia na spotkanie ze mną.

Mężczyzna był raczej niskiego wzrostu, w średnim wieku i na pierwszy rzut oka wyglądał na nieszkodliwego. Biorąc pod uwagę jego miejsce pracy, garnitur wydawał się dziwnie niedopasowany, a fryzura aż się prosiła o grzebień. Niemniej jednak jego słowa zabrzmiały groźnie. Nie pozostawiały wątpliwości, że mężczyzna jest przyzwyczajony do posłuchu wśród podwładnych, niezgłaszających żadnych zastrzeżeń. Nawet jego zadziwiająco wysoki głos, bardziej dziecka niż dorosłego mężczyzny, nie umniejszał wrażenia, że był to człowiek władzy, którego słów nikt bezkarnie nie kwestionował. Może wynikało to z jego spokoju, a może z poczucia oczywistości, z którym przedstawiał swoje oczekiwania.

Hrabianka próbowała wziąć na siebie winę za spóźnienie. Nie trzeba było być wróżką, żeby przewidzieć, że zestresowany szef i napuszony ministerialny biurokrata to mieszanka wybuchowa. Jednak pomoc nadeszła dość niespodziewanie z całkiem innej strony. Sekretarka szefa policji, znana skądinąd z łagodności, zabrała głos. Jej agresywny ton ciął powietrze i chociaż pozostała na swoim miejscu,

nie było wątpliwości, do kogo się zwraca:

– Szef Policji Krajowej prosił mnie o przekazanie, że jest pan tu gościem. Jeśli nie potrafi pan się przyzwoicie zachować, to może pan spadać. Cytuję słowa szefa, o co zresztą prosił, tłumacząc, że sam niestety nie ma dyplomatycznego obyczaju.

Mężczyzna wstał z godnością i w milczeniu opuścił salę, nie dając się sprowokować Albertowi Einsteinowi, pokazującemu mu język, oczywiście na zdjęciu, które Malte Borup z niezwykłą przytomnością umysłu wyczarował na monitorze. Wkrótce potem z sali wyszła sekretarka, oświadczając krótko, że jej obecność nie jest już konieczna.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, odezwał się Arne Pedersen:

– No i dobrze, może teraz uda nam się trochę popracować. Chociaż awantura i tak nas nie ominie. Ten gnom nie jest pierwszym lepszym urzędniczyzną. Malte, przygotuj się na co najmniej pięcioletnią banicję.

Konrad Simonsen, który milczał podczas całego zdarzenia, nagle jakby przebudził się do działania.

– Nie traćmy czasu. Malte, pokaż pierwsze zdjęcia. I zapraszam do dyskusji. Oczywiście jeśli ktoś ma coś mądrego do powiedzenia. Nie formalizujemy sprawy bardziej niż to konieczne.

Zdjęcia dwóch zamordowanych kobiet szybko ostudziły radosne nastroje publiczności. Fotografie zostały starannie wybrane, by ujęcia były jak najbardziej do siebie podobne, co jeszcze mocniej podkreślało cechy wspólne obu kobiet. Po chwili głos zabrał Konrad Simonsen:

– Kobieta z lewej strony to Maryann Nygaard. Została zamordowana trzynastego września 1983 roku w stacji DYE-5 na Grenlandii. Jej ciało znaleziono tydzień temu w okolicznościach, które wszystkim są dobrze znane. Kobieta z prawej strony to Catherine Thomsen. Zamordowana piątego kwietnia 1997 roku na plaży Nordstranden, w pobliżu Stevns Klint. Jej ciało znalazło osiem miesięcy później dwóch archeologów amatorów, ponieważ detektor metalu zareagował na bransoletkę, którą miała na rękę. Oba zabójstwa mają wiele wspólnego, co pozwala mi z dużą dozą pewności stwierdzić, że zostały popełnione przez tego samego człowieka. Jednakże proszę, żebyście mieli otwarte umysły. Wszyscy bowiem wiecie, jak fatalne w skutkach może się okazać wyciąganie pochopnych wniosków. – Wszyscy obecni na sali byli co do tego zgodni. Konrad Simonsen ciągnął więc dalej: – Ręce obu kobiet zostały przed śmiercią przytwierdzone taśmą klejącą do ich ud, tuż nad kolanami. Nogi w kostkach także zostały skrępowane taśmą. Obie kobiety mają na sobie jedynie koszulki i majtki. Jak widzicie, ich piersi są obnażone, całkowicie albo częściowo, ubranie z przodu jest podarte. Wiemy, że Catherine Thomsen nosiła stanik, ale ktoś go zabrał. Czy w przypadku Maryann Nygaard było podobnie, tego nie wiemy. Prawdopodobnie sprawca obciął paznokcie u rąk

obu kobietom. Obie zostały też pogrzebane niemal natychmiast po zgonie, Maryann Nygaard w lodzie, Catherine Thomsen w piachu, na tyle blisko morza, że fale regularnie obmywały jej ciało, przez co pozostało stosunkowo nienaruszone. Wargi obu kobiet zostały tuż przed śmiercią pomalowane jaskrawoczerwoną szminką. W ustach i w tchawicy ofiar znaleziono ślady włókien, ponieważ sprawca zatkał je szmatą. W przypadku Catherine Thomsen na włóknach znaleziono także mikroskopijne ślady szminki, z czego technicy wysnuli wniosek, że sprawca pomalował jej usta, kiedy miała w nich szmatę. Czy tak samo postąpił wobec Maryann Nygaard, dowiemy się dopiero po otrzymaniu ostatecznego raportu z obdukcji, który będzie gotów za kilka dni. Należy też dodać, że obie kobiety zostały uduszone. Sprawca naciągnął im na głowę foliowe torby, wiążąc je im na szyi. Wcześniej wyjął im z ust szmatę.

Konrad Simonsen zrobił krótką przerwę. Nikt z obecnych na sali się nie odezwał, nastrój był ciężki. Malte Borup, który ilustrował wystąpienie szefa właściwymi zbliżeniami, wrócił do dwóch pierwszych zdjęć.

– Są jeszcze inne podobieństwa. Oceńcie sami, czy jest to przypadek, czy nie. Maryann Nygaard miała w momencie śmierci dwadzieścia trzy lata, Catherine Thomsen dwadzieścia dwa. Obie były szczupłe, średniego wzrostu, dobrze umięśnione. Miały czarne, kręcone włosy, sięgające im do pasa, w obu przypadkach włosy ofiar były rozpuszczone. Jeśli spojrzymy na ich twarze, to i tu znajdziemy wiele podobieństw. Kobiety były ładne, miały delikatne rysy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, obie miały też brązowe oczy. Oczywiście są także różnice, szczególnie jeśli chodzi o okolice nosa, ale nie wdając się w szczegóły, można spokojnie stwierdzić, że kobiety były do siebie podobne.

Arne Pedersen chwycił Pauline Berg za rękę, co ona w pierwszej chwili mylnie odczytała i odtrąciła ją poirytowana, by sekundę później, roztrzęsiona, przyciągnąć ją do siebie, podczas gdy Konrad Simonsen mówił dalej:

– Jeśli dokładniej przeanalizujemy dostępne nam materiały, zapewne znajdziemy więcej różnic, co jednak moim zdaniem nie zmienia faktu, że obie kobiety są do siebie uderzająco podobne.

Nikt z tego wąskiego acz profesjonalnego grona nie zaprotestował, nikt nie próbował podważyć jego wniosków.

– Z dalszych podobieństw należy też wymienić to, że kobiety nie zostały zgwałcone, prawdopodobnie w ogóle nie doszło do aktu przemocy seksualnej, poza tym że piersi obu ofiar były obnażone. Maryann Nygaard miała miesiączkę, w jej pochwie znaleziono tampon, Catherine Thomsen była dziewicą, co zapewne miało związek z tym, że była świadkiem Jehowy, a oni, jak wiadomo, nie akceptują seksu przedmałżeńskiego. Poza tym ani w jednym, ani w drugim przypadku nie znaleziono śladów nasienia.

Konrad Simonsen zamilkł w oczekiwaniu na reakcję, która też niebawem na-

stąpiła. Wszyscy zdawali się zgodni, że ta sama osoba, która w 1983 roku zamordowała Maryann Nygaard, czternaście lat później zabiła Catherine Thomsen. Inspektor zaczerpnął powietrza i przeszedł do punktu, o którym od kilku dni myślał ze zgrozą. Wstęp miał starannie opracowany.

– Nie jest to dla mnie łatwe, a podejrzewam, że dla was także nie, bo i ja, i wielu z was uczestniczyliśmy w dochodzeniu w sprawie morderstwa dokonanego na Catherine Thomsen. Przedstawię wam pokrótce, do czego wówczas doszliśmy, a potem opowiem tak szczerze i dokładnie, jak tylko potrafię, jaką sam odegrałem w nim rolę, by uniknąć powstania niepotrzebnych mitów.

Ludzie kiwali głowami w milczeniu. Jeden ze starszych funkcjonariuszy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni okulary słoneczne, chowając się za ich lustrzanymi szklami.

– Zapewne należy zacząć od stwierdzenia, że zmarły kierowca taksówki Carl Henning Thomsen na pewno nie był na Grenlandii we wrześniu 1983 roku, ponieważ w tym czasie odsiadywał wyrok w więzieniu w Vridsløselille za przemyt narkotyków. Tak więc na pewno nie zabił ani Maryann Nygaard, ani swojej córki Catherine Thomsen. Wydaje się, że poszlaki, które zebraliśmy w 1998 roku i które zdawały się świadczyć przeciwko niemu, zostały sfabrykowane. Taką możliwość braliśmy pod uwagę także wtedy, ale niestety, nie pociągnęliśmy sprawy dalej.

Z oczu Konrada Simonsena popłynęły łzy, ale głos miał spokojny. Nie przerywając swojego wywodu, sięgnął po chusteczkę, którą podała mu Pauline Berg, ale kiedy na monitorze pokazała się twarz mężczyzny w średnim wieku, patrząca na nich smutnymi, zmęczonymi oczami, twarz człowieka zestresowanego, pokonanego przez życie, Simonsen odwrócił głowę.

– Carl Henning i Ingrid Thomsenowie byli małżeństwem i mieszkali w Haslev, gdzie wspólnie prowadzili niewielką firmę przeprowadzkową. Oboje byli świadkami Jehowy, podobnie jak ich jedyna córka Catherine, która wówczas nie mieszkała już z rodzicami, tylko na Østerbro w Kopenhadze, gdzie uczyła się zawodu fizjoterapeutki. W wolnym czasie zarówno ona, jak i jej rodzice chodzili od drzwi do drzwi, szerząc swoją wiarę. Rodzice często przyjeżdżali do córki i razem ruszali na misję. W sobotę piątego kwietnia 1997 roku Catherine zniknęła. Rano wsiadła do pociągu jadącego z Kopenhagi w kierunku Haslev, ostatni raz widziano ją na dworcu w Roskilde. Jej matka była wówczas u swojej siostry na Jutlandii, ojciec twierdził, że córka nie dotarła do domu. Osiem miesięcy później jej ciało zostało znalezione w pobliżu Stevns.

Konrad Simonsen zwrócił chusteczkę Pauline Berg, skinął jej głową w geście podziękowania. Łzy przestały mu lecieć, czuł, że najgorsze ma już za sobą.

– Oczywiście wszczęto dochodzenie i wkrótce też znaleziono dowody, wskazujące na ojca dziewczyny jako na sprawcę. Przede wszystkim na torbie foliowej, naciągniętej na głowę córki, były odciski palców obu jego rąk. Poza tym udowod-

niono, że torba pochodziła z rulonu, który znaleziono w jego garażu. Jakby tego było mało, w marcu 1997 roku widziano go na brzegu w Stevns, niedaleko miejsca, gdzie później znaleziono ciało Catherine. Mężczyzna tłumaczył, że został tam wezwany telefonicznie pod pretekstem przeprowadzki. Aby dotrzeć pod podany adres, musiał przejść wzdłuż brzegu, ale wezwanie okazało się fałszywe. Pozostałych obciążających go okoliczności nie potrafił wyjaśnić w sposób niebudzący wątpliwości.

W tym momencie Hrabianka przerwała szefowi:

– A co z rozmową telefoniczną? To chyba można było sprawdzić?

– Połączenie rzeczywiście miało miejsce, ale dzwoniący podłączył się do masztu nadawczego w pobliżu miejsca zamieszkania Carla Henninga Thomsena. Założyliśmy więc, że mógł wykonać je sam, chociaż nie potrafiliśmy tego udowodnić.

– Rozumiem. Zastanawiam się nad tym, co przed chwilą mówiłeś. To bardzo obciążający materiał.

– Niestety, to prawda, jednak wiele okoliczności wskazywało, że coś się nie zgadza. Nie rozumieliśmy, jak to możliwe, że na torbie były odciski palców ojca, a na taśmie już nie. Poza tym mieliśmy zapis tachografu z dnia zaginięcia Catherine Thomsen, który wyraźnie pokazywał, że jej ojciec nie był tego dnia w Stevns, a drugi samochód rodziny był na Jutlandii. Nie potrafiliśmy też wytłumaczyć, dlaczego obciął jej paznokcie. Dziewczyna nie miała długich paznokci, zresztą z zeznań żony wynikało, że Thomsen nigdy nie miał do córki żadnych zastrzeżeń. Były też inne niezgodności, ale o nich możecie sobie sami przeczytać.

Siedzący w pierwszym rzędzie funkcjonariusz wszedł mu w słowo:

– Wspomniałeś, że w 1983 roku mężczyzna siedział za przemyt narkotyków...

– Zgadza się, o ile dobrze pamiętam, szmuglował kokainę i amfetaminę.

– Jak można pogodzić jego kryminalną przeszłość z faktem, że był świadkiem Jehowy? To dość dziwne połączenie.

– W młodości ojciec Catherine był kierowcą tira, miał za sobą dwa wyroki, oba za przemyt narkotyków. Potem poznał przyszłą żonę i, jak sam twierdził, został zbawiony. W 1986 roku pobrali się i potem nie był już notowany.

– A data urodzenia Catherine? Coś tu się nie zgadza.

– Catherine była jego córką, została adoptowana przez Ingrid. Biologiczna matka dziewczyny zginęła w wypadku samochodowym, kiedy ta była dzieckiem. Ale nie chcę wchodzić w szczegóły, wszystko znajdziecie w materiałach.

– Spytałem z czystej ciekawości.

Konrad Simonsen uśmiechnął się.

– W tym zawodzie to pożądana cecha – powiedział. – Ale wróćmy do Carla Henninga Thomsena. Były okoliczności, które wskazywały, że być może jest nie-

winy, ale nie było to nic konkretnego. Mieliśmy natomiast dowody, które wyraźnie wskazywały na jego winę. Brakowało nam motywu. Uznaliśmy, że być może chodziło o związek Catherine z inną kobietą, o której wiedzieliśmy, że istnieje, chociaż nigdy do niej nie dotarliśmy. Catherine utrzymywała go w głębokiej tajemnicy przed rodzicami. Założyliśmy, że być może poinformowała o nim ojca, a on zabił ją w napadzie religijnego szału, ale nadal były to jedynie spekulacje. Poza tym wiele rzeczy nie zgadzało się nam czasowo. Inna teoria zakładała, że powodem konfliktu mogły być studia córki. Świadkowie Jehowy niezbyt cenią sobie wykształcenie, ale to nie był przekonujący argument. Kolejna rzecz, która także zdawała się wskazywać, iż sprawcą mógł nie być ojciec, była jeszcze mniej konkretna, ale powinna nam dać do myślenia. Mimo rozpaczy Carl Henning Thomsen do samego końca twierdził, że jest niewinny. Nie zliczę, ile godzin trwały przesłuchania, ale było to naprawdę dużo, a on nigdy się nie zawahał, zawsze twierdził, że nie zabił córki. Wbrew wszystkim naszym dowodom. Mój ówczesny szef Kasper Planck długo uważał, że zatrzymaliśmy niewłaściwą osobę, od czego w końcu, niestety, udało mi się go odwieść. Miał słuszne wątpliwości, ja opierałem się wyłącznie na konkretnych argumentach i w końcu mój punkt widzenia zwyciężył. Z przykrością muszę stwierdzić, że tak wygląda prawda. Ostatnia doba mi to uświadomiła i, niestety, z tą wiedzą będę musiał żyć.

Ku swojemu zdziwieniu udało mu się przebrnąć przez ostatnie zdania wystąpienia. Nagle przyszło mu do głowy, że może robi z siebie błazna, żalostnego egoistę, który bardziej współczuje sobie niż ofiarom swego błędu.

Jego rozmyślenia przerwał głos Arnego Pedersena:

– Może zrobimy przerwę?

Konrad Simonsen spojrzał zmieszany na współpracownika.

– Przepraszam, o co pytałeś?

– Czy możemy zrobić przerwę?

– Za chwilę. Zaraz skończę. Carl Henning Thomsen został oskarżony o zabicie córki. Podczas procesu przeszedł załamanie nerwowe i został przewieziony do Szpitala Krajowego, gdzie mimo zaostrego nadzoru udało mu się wyskoczyć przez okno z ósmego piętra. To było w październiku 1998 roku. Potem sprawa została zamknięta, wszystkie akta przesłano do archiwum. Dwa lata później dołączono do nich notatkę. Podczas remontu w dawnym mieszkaniu Catherine Thomsen znaleziono aparaturę podsłuchową, ale nikt nie potrafił powiedzieć, czy ten fakt miał jakiś związek z jej śmiercią. Przyznaję też, że nikt się tym nie zajął. Ktoś chciałby coś jeszcze dodać? Jakies pytania?

Omiótł wzrokiem salę, nikt się nie odezwał.

– Zrobimy chwilę przerwy, a dalszą część spotkania poprowadzi Arne Pedersen. – Konrad Simonsen zwrócił się do swojego współpracownika: – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Hrabianka wspomniała, że jest taka możliwość.

– Oczywiście. Przejmę pałeczkę, tym bardziej że jesteśmy we własnym gronie.

– Czuję się zmęczony, a ostatnie tygodnie nauczyły mnie wsłuchiwać się we własny organizm.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Nie zabrzmiało to za bardzo górnolotnie? Mam na myśli to, co mówiłem o jej ojcu i o mojej roli w całej tej sprawie.

– Byłeś szczery, a jeśli myślisz, że tylko ty się wzruszyłeś, to się mylisz. Nie wiem, czy zauważyłeś, że miało nas być dziewiętnaścioro, a jest szesnaścioro. Trzech kolegów, którzy brali udział w tamtym dochodzeniu, musiało wyjść wcześniej. Okazało się to dla nich zbyt trudne. Poul Troulsen też poczuł się źle i poszedł się przejść.

– Wypowiedzenie tego wszystkiego na głos to tylko pierwszy krok. Po południu czeka mnie powtórka, ale poradzę sobie. Chociaż przyznaję, że czuję się wykończony, jakbym miał dziewięćdziesiątkę.

– Nie jestem zaskoczony, wszyscy czujemy się podobnie.

– Wiem, dlatego jestem ci wdzięczny, że zgodziłeś się mnie zastąpić. Będę mógł odwiedzić pewną kanapę i zalec na niej na godzinę czy dwie.

Arne Pedersen uśmiechnął się.

– Wiem, gdzie jest ta tajemnicza kanapa. Nie ja jeden zresztą, więc mam nadzieję, że zdążysz tam pierwszy. Mam cię później obudzić?

– Nastawię budzik w komórce, ale dzięki za propozycję. Zakładam, że przekaziesz informacje dotyczące DYE-5, a potem zajmiesz się listą pracowników stacji, przekazaną nam przez Amerykanów. Niech nasi ludzie ich sprawdzą.

– Oczywiście.

– Chciałbym później dostać szczegółowy raport. Poza tym masz dopilnować, żeby pracowników stacji odwiedzały zawsze co najmniej dwie osoby, z których jedna ma być mężczyzną. Rozumiemy się?

– Jak najbardziej.

– No i musimy się zastanowić, jak o tym wszystkim poinformować społeczeństwo. Nie unikniemy awantury.

– Awantura już trwa. Idź spać.

Arne Pedersen pchnął swojego szefa w stronę drzwi. Można by uznać, że robił to z przyjaźni i troski o jego zdrowie, ale Konrad Simonsen znał go zbyt dobrze, poza tym Arne nigdy nie był dobrym aktorem, nie potrafił grać. Wyswobodził się z jego uchwytu.

– Co się dzieje? Skąd u ciebie nagle tyle energii?

I w tym momencie zauważył wiadomość, którą Malte Borup umieścił na ekranie. Napis głosił: „Dostojny gość w drodze do szefa”. Arne Pedersen był jednak nieugięty.

– To może zaczekać, Simon.

Ale było już za późno, bo właśnie w tym momencie przez drzwi wszedł nieskazitelnie ubrany elegancki mężczyzna. Konrad Simonsen i Arne Pedersen znali go z wcześniejszych wizyt. Był to Helmer Hammer, sekretarz stanu w Kancelarii Premiera, uroczy mężczyzna, który starał się nie wykorzystywać swojej pozycji, ale któremu mimo to zwykle udawało się postawić na swoim. Obaj go lubili, co nie przeszkodziło Arnemu powitać go lekko buńczucznym tonem:

– To nie my obraziliśmy gnoma z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale jeśli chce pan rozmawiać z Simonem, to musi pan poczekać kilka godzin, aż szef trochę odpocznie.

Helmer Hammer jak zwykle miał gotową odpowiedź:

– Ja oczywiście mogę poczekać, ale gnom z Ministerstwa Spraw Zagranicznych postanowił zorganizować wieczorem wideokonferencję i chce wiedzieć, czy Simon będzie mógł wziąć w niej udział.

– Berlin się odezwał? – Arne był zaniepokojony.

– Nie, tym razem chodzi o statek na Karaibach. Oczywiście rozumiem, nie powinienem liczyć, że w tym momencie rzucicie wszystko, chociaż to, co mam do powiedzenia, zajmie pewnie raptem dziesięć minut...

W głowie Konrada Simonsena zadźwięczał dzwonek. Kiedy on i Hrabianka odwołali swoją podróż na Karaiby, Hrabianka zaproponowała, żeby zamiast nich pojechała jego córka Anna Mia z przyjacielem albo przyjaciółką, jeśli oczywiście ma ochotę. Miała. Umówili się, że od czasu do czasu zadzwoni do domu, ale dotąd jeszcze tego nie zrobiła. Zakładał, że pewnie nie miała takiej możliwości.

– Chwileczkę, o co chodzi z tą konferencją?

– Ma służyć budowaniu zaufania. Ci na Slotsholmen się na tym znają.

– A co miałbym zrobić w zamian?

– Nic, na tym to polega. Proszę przyjąć to jako przeprosiny za dzisiejszy napad gnoma.

– Brzmi nieco podejrzanie.

– Nie ma w tym niczego podejrzanego, naprawdę. Gnom zrozumiał, że przesadził, i chce odkupić winy.

– W takim razie przyjdę.

– Świetnie. A tak przy okazji, jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać na osobności? Naprawdę nie zajmę więcej niż dziesięć minut.

Konrad Simonsen rozłożył ręce.

– Tutaj nikt nam nie przerwie.

Mężczyźni ruszyli korytarzem, Helmer Hammer zaczął mówić:

– Przyszedłem, bo potrzebuję twojej porady, a jednocześnie chcę też prosić cię o przysługę. Ale po kolei. Ktoś nagle odkrył, że jest garstka młodych funkcjonariuszy, którzy zdążyli rozpocząć studia prawnicze, zanim trafili do policji. Cho-

dzi o to, żeby pomóc im skończyć studia, ale w taki sposób, by nie musieli przerywać pracy. Wydaje się to rozsądne: policja zyska zdolnych młodych ludzi za stosunkowo niewielkie pieniądze. Ciekaw jestem, co o tym sądzisz.

Konrad Simonsen pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego gość po mistrzowsku przeplatał sprawy wagi państwowej z kwestiami czysto praktycznymi. Robił to z zaiste godną podziwu wirtuozerią, tak że trudno było mieć mu to za złe. Doskonale wiedział, że córka Simonsena, która wkrótce miała skończyć szkołę policyjną, rozpoczęła studia prawnicze. Wiedział też zapewne, że jego luźno rzucona propozycja była dla jej ojca pokusą, której zapewne nie będzie się potrafił oprzeć.

– Jesteś niemożliwy. A teraz powiedz, co miałbym zrobić.

– Rozumiem, że to zasadniczo oznacza aprobatę mojego pomysłu? A jeśli chodzi o przysługę, o którą chciałbym cię prosić, to uwikłałem się w pewną sprawę. Gnom z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który zaszczyił swoją obecnością twoją prelekcję, to Bertil Hampel-Koch, i nie jest gnomem, tylko dyrektorem, chociaż rzeczywiście potrafi niekiedy być kąśliwy i złośliwy jak gnom, no i trochę się puszy. Poza tym bez przerwy wdaje się w spory, chociaż nie on jeden oczywiście. Administracja państwowa przypomina niekiedy przedszkole. Jednak Bertil jest też osobą szalenie kompetentną, potrafi być lojalny i pomocny, tylko trzeba go lepiej poznać. No i można mu zaufać, zawsze dotrzymuje słowa.

– Co mam zrobić, żeby lepiej poznać tego szlachetnego człowieka?

– Wyślij mu krótki e-mail, parę zdań. Informuj go codziennie o przebiegu śledztwa. Nawet jeśli nie wydarzy się nic nowego.

– To wszystko?

– Nie. Możesz też poznać go lepiej, odwiedzając go od czasu do czasu, oczywiście, jeśli będzie sobie tego życzył.

– Rozumiem, że kiedy jemu będzie to pasowało, nie mnie.

– Zwróciłem mu uwagę na ten szczegół.

– Zgodził się?

– Nigdy nie dyskutuje z faktami. Gdyby było inaczej, nie zajmowałby stanowiska, które zajmuje.

– Jeśli dostanę odgórne potwierdzenie na piśmie, że mam go „lepiej poznać”, to się podporządkuję. Mam na myśli moją bezpośrednią szefową, czyli Gurli...

– Pismo w tej sprawie leży na twoim biurku, obok wizytówki z numerem telefonu, pod który powinienes zadzwonić dzisiaj wieczorem. Na wizytówce jest też adres poczty elektronicznej.

Podali sobie ręce jak niegdyś handlarze końmi na potwierdzenie zawartej umowy. Konrad Simonsen uznał, że wykorzysta sytuację i zada nurtujące go od jakiegoś czasu pytanie.

– Powiedz mi jeszcze jedno: kto zdecydował, że to ja mam prowadzić to dochodzenie? Słyszałem i czytałem, że zażyczyła sobie tego osobiście pani kanclerz,

ale to oczywiście bzdura, prawda?

Helmer Hammer uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Masz rację. Zdziwiająco, jaką moc przekonywania mają media.

– Więc kto?

– Ja.

– Ty? Dlaczego, na litość boską?

– Jesteś zdolny.

– Bzdura. Nie ja jeden. Wiedziałeś, że wybieram się na urlop?

– Przykro mi, ale tak. Natomiast nie wiedziałem, że masz problemy ze zdrowiem. Trochę się zaniepokoiłem.

– Niepotrzebnie. Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego wybrałeś mnie? I dlaczego w ogóle się w to wtrącasz?

– Wykonuję swoją pracę. Poza tym naprawdę jesteś zdolny.

– Ale to nie jedyny powód.

– Nawet jeśli, to nie ma to znaczenia ani dla ciebie, ani dla śledztwa. Wierz mi.

Helmer Hammer spojrzał na zegarek.

– Tak sądziłem, osiem i pół minuty. Jak trafię stąd do wyjścia? – Mężczyzna rozejrzał się zdezorientowany. Labirynt podobnych do siebie korytarzy sprawił, że nie wiedział, gdzie jest. – Widzę, że to może się okazać nie lada problemem. A sądziłem, że dobrze znam ten budynek.

– Żeby go poznać, potrzeba z dziesięć lat. Ale odprowadzę cię. Chociaż wiesz co? Nie. Człowiek nie powinien dostawać wszystkiego, to niezdrowe. Jestem pewien, że poczujesz się lepiej, kiedy po kwadransie błądzenia w końcu sam trafisz do drzwi.

– Obaj poczujemy się lepiej, na tym to polega... Masz rację, poradzę sobie. Pozdrów córkę. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy. Miłych snów, Simonie.

Rozdział 5

Szef spał, a przerwa się przedłużała. Na szczęście ludzie mieli o czym rozmawiać, a Arnemu Pedersenowi, który miał prowadzić dalszy ciąg konferencji, przydało się kilka dodatkowych minut. Odszedł nieco na bok i studiował prezentację przygotowaną w Powerpoincie. Kiedy zobaczył zbliżającą się Pauline Berg, podniósł głowę i próbował ją zbyć gestem ręki.

– Cokolwiek to jest, musi poczekać.

Pauline chwyciła jego długopis.

– Do diabła, zawsze musisz być taka niegrzeczna? Nie rozumiesz, że chcę to sobie jeszcze powtórzyć? Chyba że przejmiesz prowadzenie, wtedy chętnie cię posłucham.

Pauline posłała mu swój najbardziej przymilny uśmiech i zapewniła, że na pewno sobie poradzi.

– Cieszy mnie twój optymizm. Oczywiście, że sobie poradzę, pytanie tylko jak. A teraz mów, o co chodzi. To prawda, że jesteś do nich obu podobna. Doskonale rozumiem, że zareagowałaś tak, jak zareagowałaś.

– Rzeczywiście ciarki przeszły mi po plecach. Co prawda ja mam niebieskie oczy i inny kolor włosów, ale i tak zrobiło mi się nieprzyjemnie. Nikt nic nie powiedział, ale wszyscy na mnie patrzyli.

– Nikt na ciebie nie patrzył. Co chciałaś zobaczyć?

– Co to jest, tam, na ekranie?

Arne Pedersen podniósł wzrok i zobaczył pierwszy slajd przygotowany przez Borupa: pojedynczy, wolno stojący budynek, przypominający nieco platformę wiertniczą, połykającą ogromne jajo. Stłumił irytację.

– To DYE-5, co możesz sama przeczytać.

– Nie jest duża.

– Nie? Tego bym nie powiedział, stoi na ośmiu filarach i ma sześć pięter. Kopuła na górze to radar, jest pokryta plastikiem, dlatego jest biała. Jeśli spojrzysz na kobietę, stojącą obok lewego filara, to zobaczysz, jak potężna to była budowla. Wzniesienie jej tam wymagało gigantycznego wysiłku, pamiętaj, że każda część musiała zostać dostarczona drogą powietrzną. *Eyes of Freedom*, czyli Oczy Wolności, tak Amerykanie nazwali swoje stacje radarowe.

Pauline zamachała ręką, jakby odgarniała natrętą muchę. Arne ciągnął jednak dalej niezrażony:

– Cały budynek może zostać uniesiony do góry, w miarę jak przybywa śniegu i lodu. Dlatego jego konstrukcja...

Dziewczyna przerwała mu poirytowana:

– Nie obchodzą mnie kolumny ani piętra, co tam jeszcze masz?

- Za chwilę wszystko zobaczysz. Jest też mnóstwo ujęć z wnętrza budynku.
- Tylko tego jednego? Gdzie są jakieś inne?
- Jest tylko ten, no i pozostałe cztery stacje.
- Były położone w sporej odległości od siebie, prawda?
- Na tym to polegało. Miały tworzyć łańcuch. Ale DYE-5 rzeczywiście nie bardzo do tego pasowała.
- To niemożliwe. To się nie zgadza.
- Co ci się nie zgadza?

Pauline Berg miała nadzieję, że pewnego dnia to właśnie jej uda się wyjaśnić jakąś wielką zagadkę. Kiedyś znalazła ważny twardy dysk, którego nikt nie potrafił zlokalizować, i dotąd czerpała z tego satysfakcję. Poza tym jednak nie bardzo miała się czym pochwalić. Wiedziała, że jest naiwna i romantyczna, więc raczej nie zwierzała się ze swoich marzeń, poza jedynym przypadkiem, kiedy nieopatrznie powiedziała coś właśnie Arnemu, no i kiedyś też Hrabiance. Niewykluczone, że takich przypadków było więcej, ale kto by o nich pamiętał. Gdyby jednak teraz jej hipoteza okazała się słuszna... Nie śmiała nawet o tym myśleć. Czowała podekscytowanie, chciała działać, coś robić. Arne jakby czytał w jej myślach, bo nagle ją ostrzegł:

- Pamiętaj, że dochodzenie to praca zespołowa.
- Jasne, ale teraz muszę coś sprawdzić, więc przez godzinę, może dwie, będziecie musieli poradzić sobie beze mnie.

Odwróciła się i już chciała odejść, kiedy Arne Pedersen chwycił ją za nadgarstki.

- Aj, to boli!
- Bzdura, nie wierzę.
- Każdemu przychodzi czasem do głowy jakiś pomysł, który nie daje spokoju. Dlatego muszę teraz coś sprawdzić. Chwilę poradzicie sobie beze mnie.
- Nikt nie zatrzymuje informacji dla siebie. To grzech śmiertelny.
- Nie możesz mi zaufać? Przynajmniej ten jeden raz. Obiecuję, że zadzwonię do ciebie najpóźniej o ósmej, chyba że... Albo przyjedź do mnie, jeśli masz czas. Pokażę ci mój nowy dom, a ty pomożesz mi zamontować karnisze.
- Może to zrobić twój chłopak.
- Nie, on należy już do przeszłości.

Arne Pedersen był szczerze zdziwiony. Najbardziej tym, że dotąd nic o tym nie wspomniała, chociaż z drugiej strony nie miała oczywiście obowiązku informowania go o swoim życiu prywatnym.

- Ale przecież niedawno kupiliście razem dom.
- Okazało się, że trochę za bardzo zaprzyjaźnił się z jedną ze swoich koleżanek ze studiów. Tak bardzo, że wkrótce zostanie ojcem.
- No a co ze stroną finansową? Stać cię na taki dom?
- Hrabianka pomoże mi skonsolidować długi, no i będę musiała wziąć kilka

dodatkowych grup w szkole tańca, ale powinnam sobie poradzić. Więc jak? Wpadniesz?

Arne Pedersen puścił jej dłoń w milczeniu. Wstał i powiedział głośno w stronę słuchaczy:

– Przykro mi, ale jeszcze pięć minut.

A potem kazał jej usiąść. Posłuchała go, aczkolwiek z pewnym oporem. Wtedy on także usiadł.

– Widziałaś zdjęcia tych dziewczyn. Pod żadnym pozorem nie wolno ci samej podejmować jakichkolwiek decyzji. Ktoś zawsze musi wiedzieć, gdzie jesteś. To nie podlega dyskusji, więc albo mi powiesz, co zamierzasz, albo zostaniesz tutaj.

– Dobrze, ale pamiętaj, że to mój pomysł.

– Czyli?

– Spójrz na współrzędne pod zdjęciem.

– Patrę, co z nimi?

– Nie zgadzają się. Z miejscem zbrodni. Jeśli to nie jest czysto mechaniczny błąd, to ta stacja nie leżała tam, gdzie znaleziono Maryann Nygaard.

Arne Pedersen patrzył na nią z mieszaniną niedowierzania i napięcia w oczach.

– Mów dalej.

– Zwróciłam na to uwagę, bo współrzędne miejsca, gdzie Maryann została odnaleziona, odpowiadają numerowi mojej komórki, oczywiście z wyjątkiem sekund. Posłuchaj: położenie DYE-5 to, jak widzisz, $68^{\circ}47'02''$ na północ i $45^{\circ}14'03''$ na zachód, a zwłoki Maryann Nygaard porzucono $68^{\circ}37'02''$ na północ i $45^{\circ}41'03''$ na zachód, co wynika z pierwszego raportu przesłanego ze śmigłowca pani kanclerz do wieży kontrolnej na lotnisku Ilulissat i co jest zgodne z danymi GPS. Dlatego w pierwszej chwili pomyślałam, że taka stacja pewnie była całkiem spora, że zajmowała duży obszar, ale najwyraźniej tak nie było, dlatego... Cóż, geometria przestrzenna nie jest moją mocną stroną, ale w końcu chodziłam do szkoły i wiem, że jedna minuta na osi północ-południe odpowiada dwóm kilometrom, a jedna minuta na osi wschód-zachód jednemu kilometrowi, przynajmniej w Danii. Nie widzisz tego, Arne?

– Teraz już niczego nie rozumiem, pogubiłem się.

– Mimo że im dalej od równika odległość wschód-zachód się zmniejsza, to jednak Zatoka Disko nie jest wysunięta aż tak bardzo na północ, żeby to się zgadzało, jeśli oczywiście uznajemy, że Pitagoras miał rację. Pozwalając sobie nawet na pewną niedokładność.

Mówiąc, coraz bardziej się ekscytowała. Zauważyła, że koledzy zaczynają się jej przyglądać, i zniżyła głos.

– Różnica wynosi co najmniej piętnaście kilometrów, może nawet więcej.

Naprawdę tego nie widzisz?

Arne Pedersen nawet nie próbował niczego obliczać, tylko spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jesteś tego pewna, Pauline?

– Tak. Dlaczego miałabym nie być?

Arne odwrócił głowę i długo patrzył na ekran, starając się przypomnieć sobie, jak niedawno sam stał tam, na lodzie. Pauline milczała.

– Piętnaście kilometrów, mówisz?

– Co najmniej.

– Pilot śmigłowca?

– Zgadza się.

Potrzebował czasu, żeby przetrwać tę informację. Prawdę mówiąc, było dość prawdopodobne, że Pauline jednak się pomyliła w obliczeniach. Z drugiej strony to mogło tłumaczyć fakt, że Grenlandczycy nie znaleźli na miejscu śladów DYE-5. Nawet jeśli Amerykanie, jak twierdził Trond Egede, potrafili być bardzo skuteczni w swoich działaniach, było raczej mało prawdopodobne, że tak duży budynek mógł zniknąć bez śladu. Poza tym tego typu pomyłki, z pozoru banalne, nie raz zdarzały się już w dochodzeniach. Dlatego spytał ostrożnie:

– Co teraz zamierzasz?

– Popracować nad współrzędnymi. W sieci jest gotowy przelicznik odległości, może w Google Earth coś znajdę, a jeśli nie, to mam znajomego, który potrafi obliczać takie rzeczy, tyle że niespecjalnie mam ochotę się z nim kontaktować.

– Na początek idź do mojego biura i znajdź na tablicy wizytówkę policji w Nuuk, wybierz numer, poproś o połączenie z Trondem Egede i powtórz mu to, co mi przed chwilą powiedziałaś. Daj mu delikatnie do zrozumienia, że mógł wystąpić błąd we współrzędnych. Poproś, żeby to sprawdził i oddzwonił. Wtedy zobaczymy, czy twoja hipoteza jest słuszna, a jeśli tak, to nie podkreślaj tego za bardzo, sam to zrozumie. Czekać, możesz sama spróbować jeszcze raz to przeliczyć.

– Jeśli okaże się, że mam rację, będę chciała porozmawiać z pielęgniarką, którą Simon ma na swojej liście świadków.

Arne Pedersen zaczął się zastanawiać. W końcu skinął głową.

– Dobrze, tylko najpierw daj mi znać. Złap Hrabiankę i powiedz jej, do czego doszłaś.

– Okej, ale chciałabym porozmawiać z kimś, kto pracował w...

Arne przerwał jej bez żadnych skrępołów:

– Na pewno nie sama! Zabraniam ci. Kropka. Albo... zaczekaj.

Szukał chwilę w swoich papierach, w końcu znalazł to, czego szukał.

– Daj mi długopis.

Podala mu go.

– Spójrz. Możesz porozmawiać z nim, z nikim innym. Facet jeździ na wózku

od 1992 roku, więc nie muszę ci tłumaczyć, co to znaczy. Jesteś mądra, Pauline. Kiedyś, kiedy...

Pauline położyła dłoń na jego ustach.

– Jeśli dotrę do niego, pozwolisz mi poinformować o tym wszystkich, to znaczy nasz krąg.

– Jasne.

– Uważasz, że jestem próżna?

– Tak.

– Hrabianka też tak twierdzi, ale ona się z tego śmieje, a ty pewnie uważasz, że jestem okropnym człowiekiem.

– Wiesz, że wcale tak nie uważam.

– Więc przyjdiesz i pomożesz mi zamontować karnisz?

Pauline wyszła z sali, nie czekając na jego odpowiedź.

Niespełna dwadzieścia minut później wróciła, zajrzała do sali, pokazała podniesiony kciuk i zaraz znów wyszła, zamykając za sobą drzwi. Arne był w trakcie prezentacji, która nagle w dużej mierze wydała mu się bez znaczenia. Po chwili także Hrabianka wstała i wyszła z sali. A on zastanawiał się, co powie Konradowi Simonsenowi. I swojej żonie.

Obie kobiety skierowały się do gabinetu Hrabianki. Ledwie weszły, Pauline natychmiast zaczęła mówić, nie wspominając nic o współrzędnych. Rzuciła lekko:

– Simon sobie poradził.

Hrabianka odpowiedziała nieco dotknięta:

– A czego się spodziewałaś?

– Że sobie poradzi, chociaż ludzie szeptali, że to na pewno będzie dla niego ciężkie. Mam na myśli tę historię z ojcem tej dziewczyny i w ogóle.

– Do czego doszłaś, Pauline? Arne mówił, że to może być coś ważnego. Prawdę mówiąc, żałuję, że nie mogłam wysłuchać go do końca, więc zdradź mi, dlaczego tu teraz jesteśmy.

Pauline zaczęła opowiadać. Tym razem była lepiej przygotowana i Hrabianka natychmiast zrozumiała, do czego dziewczyna zmierza. Jej reakcja była niemal natychmiastowa i identyczna z reakcją Arnego.

– Pilot śmigłowca?

– Dobrze.

Teraz Hrabianka potrzebowała chwili czasu na oswojenie się z najświeższą wiadomością. W końcu zadała ostrożne pytanie:

– Rozumiem, że grenlandzka policja potwierdziła, że położenie stacji zostało podane błędnie?

– Tak. Trond Egede jest naszym kontaktem. On był tam razem z Arnem i Simonem. Zadzwoił pięć minut temu i przyznał mi rację. Bardzo przepraszał. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że sam nie zwrócił na to uwagi. To jego własne

słowa.

Hrabianka skinęła głową, jakby chciała potwierdzić, że rozumie rozgoryczenie Tronda Egede. Nagle się rozpromieniła.

– Dobrze się spisałaś, Pauline. Stracilibyśmy na to wiele dni. Nie pracujesz tu na darmo.

Pauline Berg zarumieniła się z dumy.

– Dziękuję. Arne obiecał, chociaż bez entuzjazmu, że będę mogła pojechać i porozmawiać ze świadkiem, który znał te stacje.

– Nie przejmuj się Arnem, tylko jedź. Ale pamiętaj, że nie powinnaś sama odwiedzać żadnego mężczyzny z tej listy. Jeszcze raz to podkreślam: żadnego. Masz się trzymać od nich z daleka. Rozumiemy się?

– Tak, będę się trzymać od nich z daleka. Arne też mi to powiedział.

– I ma rację. Możesz pożyczyć mój samochód, jeśli chcesz.

Hrabianka patrzyła, jak dziewczyna znika w korytarzu, i poczuła ukłucie zazdrości. Nie dlatego, że Pauline odkryła coś, czego nikt inny nie zauważył. Zazdrościła jej energii i autentycznej radości, wynikającej z tego, że coś jej się udało. Tak reagują ludzie młodzi, z czasem to upojenie mija. Zapewne z Pauline Berg też tak będzie, pomyślała Hrabianka. Wcześniej czy później przyjdzie moment, kiedy dziewczyna zrozumie, że ważna sprawa, którą właśnie się zajmuje, wcale nie jest aż tak ważna, a za rogiem czeka już następna i kolejna. Ta wiedza sprawi, że stopniowo dochodzenie stanie się zwykłą pracą, nie sposobem na życie. Na dłuższą metę jest to znacznie skuteczniejsze, ale trochę żal młodzieńczego entuzjazmu. Tak pewnie jest w każdym zawodzie.

Nagle przyszło jej na myśl przykre skojarzenie. Nowa sekretarka jej byłego męża swego czasu też była bardzo ambitna. Erna z Łokciami, tak ją początkowo nazywali, oboje, i ona, i jej mąż. Były mąż, poprawiła się i poczuła pełną nienawiści pustkę w żołądku, którą czuła właściwie codziennie jeszcze przez rok po rozwodzie i która nadal od czasu do czasu dawała o sobie znać. Równie mocno jak na początku. Erna niedawno urodziła drugie dziecko jej mężowi... Jej byłemu mężowi. Kiedy ich pierwsze dziecko przyszło na świat, długo trzymali to w tajemnicy, aż w końcu zaczęła coś podejrzewać i zatrudniła prywatnego detektywa. Zerwanie było nieuniknione i bardzo przykre. „Nareszcie przestanę się budzić rano u boku kobiety, której jedynym celem w życiu jest bycie idealną”, powiedział na pożegnanie i zniknął z jej życia na zawsze. Odszedł do swojej nowej rodziny. Kobieta westchnęła, próbując pozbyć się negatywnych myśli, chociaż wiedziała, że zapewne minie kilka dni, zanim przestaną ją dręczyć. Do tej pory wręcz panicznie się bała, że może przypadkiem wpaść na nich na ulicy. To się niestety zdarzało. Nadal co drugi miesiąc detektyw przysyłał jej ich zdjęcia. Chciała wiedzieć, co się u nich dzieje, i w pewien sposób nadal kontrolować sytuację. Kazała mu robić zdjęcia jawnie, wręcz ostentacyjnie, żeby ich trochę podręczyć. Ta myśl była dla niej ja-

kimś pocieszeniem.

Rozdział 6

Pauline Berg spotkała się z pielęgniarką w centrum Roskilde. Kobieta siedziała w małym czerwonym samochodzie, należącym do gminnego Ośrodka Pomocy Domowej, i wypełniała ankietę. Była tuż po pięćdziesiątce, miała na sobie ładny szary kostium, była zadbana, ale widać było, że życie jej nie oszczędzało. Twarz miała zmęczoną, ruchy urywane, jakby była poirytowana własnym zachowaniem. Wysłuchawszy prośby Pauline i przyjrząwszy się nieco podejrzliwie jej legitymacji, pozwoliła jej w końcu wejść do samochodu i usiąść na miejscu pasażera, nie przerywając jednak swojej pracy. Kiedy skończyła i zapisała wszystkie dane w odpowiednich rubrykach, spojrzała nerwowo na zegarek i powiedziała:

– Jestem spóźniona już osiem minut. Kolejny obywatel, którym muszę się zająć, mieszka dwie przecznice dalej, ale następny w Viby, więc jeśli może pani chwilę zaczekać, będziemy miały moment na rozmowę.

– Chętnie zaczekam.

Kobieta uruchomiła silnik i sprawnie włączyła się do ruchu.

– Obywatel, tak nazywamy naszych podopiecznych. Używam tego słowa tak często, że wydaje mi się naturalne, ale wiem, że w uszach innych pewnie brzmi to dziwnie, jak za czasów rewolucji francuskiej. Może pani zaczekać na mnie w samochodzie, jest to co prawda wbrew regułom, ale policji chyba mogę ufać.

Już po chwili dojechali do mieszkania obywatela i pielęgniarka niemal wyskoczyła z samochodu.

– Ta wizyta nie powinna mi zająć więcej niż kwadrans, może nawet ze dwie minuty mniej. Muszę tylko zmienić opatrunek.

Po siedemnastu minutach Pauline zaczęła się denerwować. W końcu jednak kobieta wróciła i ruszyły do Viby.

Zaczęły rozmawiać. Pauline Berg od razu zaczęła ją wypytywać:

– Przyjaźniła się pani z Maryann Nygaard, kiedy w 1983 roku byłyście w amerykańskiej bazie w Søndre Strømfjord?

Kobieta twierdziła, że podróż potrwa dobre dwadzieścia minut, nie było więc powodu do pośpiechu. Dlatego Pauline zaczęła od tego dość podstawowego pytania.

– Tak, byłyśmy tam we dwie, ona i ja. Regulamin wymagał podwójnej obsady każdego stanowiska, chociaż pracy było pewnie zaledwie na pół etatu. U. S. Air Force to dziwna mieszanka zadziwiającej skuteczności i niezwyklej rozrzutności.

– Jak długo pracowała pani na Grenlandii?

– Od 1981 do 1984 roku.

– Trudno było zdobyć tę pracę?

– Niespecjalnie. To znaczy, jeśli było się pielęgniarką. Trzeba było też do-

brze znać angielski, no i umieć nawiązywać kontakty. Podobno wymagana była także pewna polityczna poprawność, nie można było być na przykład komunistką, ale nie wiem, czy to prawda.

– Wie pani, co się przytrafiło Maryann Nygaard?

– Oczywiście. To jej ciało kanclerz znalazła na łodzie. Próbuję o tym nie myśleć, co nie jest takie trudne, w końcu zaginęła tak dawno, jakby w innym życiu.

– Jak układały się stosunki między wami?

– Źle. Ciągłe ze sobą rywalizowałyśmy.

– O to, która jest lepszą pielęgniarką?

– O to, która zaliczy więcej facetów. W tym była nie do pokonania.

– Miała wielu mężczyzn?

– Miała tych mężczyzn, których chciała mieć, ale jeśli pyta pani, czy szła do łóżka z każdym chętnym, to odpowiedź brzmi: nie. Nie sądzę, żebyśmy tak bardzo się różniły od innych dziewcząt w tym wieku, nawet jeśli miałyśmy nieco więcej wolnego czasu niż większość. Poza tym ciągle były jakieś imprezy, nie brakowało taniego alkoholu, nie wspominając o tym, że proporcja kobiet do mężczyzn była tam bardzo korzystna, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Domyślam się. Pamięta pani, czy Maryann miała jakieś przyjaciółki, znajomych, którym się zwierzała?

– Tak. Miała przyjaciółkę, pół Grenlandkę, pół Dunkę. O ile to możliwe, jeszcze piękniejszą od Maryann. Wysoka, szczupła. Studiowała na uniwersytecie w Aarhus, wzięła urlop dziekański i wyjechała na Grenlandię. Nie pamiętam, jak się nazywała, tylko jej przyzwisko. Niemal wszyscy mieliśmy ksywki. Może to dziwne, ale dzisiaj imion już nie pamiętam, a ksywki owszem.

– Więc jak na nią mówiono?

– Dwa Metry Miłości.

– Wie pani może, gdzie mogę dzisiaj znaleźć Dwa Metry... To znaczy, gdzie mogę znaleźć przyjaciółkę Maryann?

– Nie mam pojęcia. Pamiętam, że bardzo dużo czytała, więc niewykluczone, że została bibliotekarką, może tłumaczką czy redaktorką...

Pauline Berg przerwała swojej rozmówczyni:

– Jakiś zawód związany z książkami, rozumiem. A pamięta pani może, jak ludzie zareagowali, kiedy Maryann zniknęła?

– To było straszne i całkowicie niezrozumiałe. Większość była zdania, że wyszła na łód celowo, czyli popełniła samobójstwo, co się zdarzało i wcale nie było takie rzadkie. Często w ogóle nie odnajdywano ciał. Nikt nie podejrzewał, że Maryann mogła nosić się z takim zamiarem, dlatego wszyscy przeżyliśmy szok. Prawdę mówiąc, był to jeden z powodów, dla których nie zdecydowałam się na przedłużenie kontraktu.

– Jej zniknięcie zbiegło się w czasie z wizytą w DYE-5, stacją radarową

w głębi lodolodu. Była tam pani kiedyś?

– Dwa razy. Odwiedzałam wszystkie stacje, chyba tylko w DYE-4 byłam jedynie raz. Była położona na zachodnim wybrzeżu. Niestety, po dwudziestu pięciu latach mylą mi się te wizyty. Tym bardziej że stacje były do siebie podobne.

– Proszę spróbować opowiedzieć mi, jak wyglądała taka wizyta.

– Lecieliśmy tam samolotem albo śmigłowcem. Na pewno do DYE-4 podróżowano zawsze samolotem, dla śmigłowca była to zbyt duża odległość.

– Byłyście jedynymi pasażerkami, czy jeszcze ktoś z wami leciał?

– Lecieliśmy same. Czasem pilot zabierał też jakieś przesyłki czy pocztę.

– Więc leciał pilot i któraś z was?

– Tak to wyglądało.

– Pilotami byli Amerykanie czy Duńczycy?

– Różnie, ale z reguły byli to Duńczycy. Zgodnie z regulaminem powinni to chyba być Amerykanie, ale większość zasad była systematycznie łamana, chyba że chodziło o te niepisane. Niektórzy Duńczycy robili tam licencję pilota, także na śmigłowiec. To, zdaje się, było nawet częścią ich umowy, chociaż nie mam pewności. Proszę pamiętać, że większość miała tam mnóstwo wolnego czasu, a jeśli ktoś chciał się szkolić, to Amerykanie chętnie pomagali. To w ogóle byli bardzo mili ludzie, chociaż nie przejmowali się tym, że ich państwo w wielu przypadkach po prostu trwoniło środki.

– Ile trwał taki kurs na pilota śmigłowca?

– Osiem tygodni, pamiętam też, że kosztował półtora tysiąca. Nie była to oczywiście licencja pilota zawodowego.

– Powiedziała pani, że do stacji radarowych latali głównie duńscy piloci. Jak to możliwe?

– Nie tylko do stacji radarowych, ale w ogóle. Przyczyna była prozaiczna, zawodowym pilotom się nie chciało, a Duńczyków to bawiło. Więc Amerykanie wpisywali swoje nazwiska do grafiku lotów, a tak naprawdę lecieli Duńczycy. Oczywiście, pod warunkiem że posiadali wymagane kwalifikacje. Taki śmigłowiec to cenna rzecz, kosztuje tyle co porządne gospodarstwo, więc gdyby coś poszło nie tak i okazałoby się, że za sterami siedział nie ten pilot, który powinien, wtedy ludzie w Waszyngtonie wpadliby w szal. Raz się tak zdarzyło w Thule. Potem przez kilka miesięcy rygorystycznie przestrzegano wszystkich zasad, ale później sprawa poszła w zapomnienie.

– Może mi pani opowiedzieć, jak przebiegała wizyta?

– Cóż mogę powiedzieć? Nie miałyśmy zbyt dużo pracy. Trzeba było przelicytować narzędzia, opakowania leków, sprawdzić apteczki, nic ciekawego. Gdyby się sprężyć, można by to zrobić w godzinę, może dwie. I tyle to na ogół trwało. Co mi utkwiło w pamięci z tych inspekcji, to fakt, że w skład wyposażenia wchodziły też leki na malarię, ponieważ wszystkie amerykańskie bazy na całym świecie były wy-

posażane według jednego wzoru, niezależnie od miejsca ich położenia. Raz nawet zamówiliśmy nową partię tych leków, twierdząc, że poprzednie się przeterminowały. Zrobiliśmy to trochę dla żartu, żeby zobaczyć, jaka będzie reakcja.

– I jaka była?

– Przyszedł nowy transport i tyle. Poza tym raz do roku przysyłano nam też cztery kosiarki do trawy. Były bardzo pożądane, z czasem wszystkie trafiały do Danii.

– Bardzo rozsądne. Czy poza sprawdzeniem wyposażenia gabinetu robiliście coś jeszcze? Badaliście personel?

– Nie, z personelem w ogóle nie miałyśmy kontaktu, jedynie z szefem stacji. To było dość osobliwe doświadczenie. Opowiadano mi, że oczywiście wszyscy wiedzieli, że przylatujemy, to było swego rodzaju wydarzenie. Nic dziwnego, przerywało codzienną monotonię, poza tym ci faceci od miesięcy nie widzieli kobiety. Podobno wszyscy rano brali prysznic, a potem podglądali nas z różnych dziwnych miejsc, co zresztą zawsze czułyśmy. Gdzieś zza ściany wychylała się czyjaś głowa, jakaś para oczu śledziła nas przez szparę. Nigdy jednak nie dochodziło do bezpośredniego kontaktu, co rzeczywiście było dosyć nietypowe. Kiedy czasem w telewizji widzę wiewiórki, od razu przypominają mi się te wychylające się zza rogu głowy mężczyzn, które zresztą natychmiast znikają.

– Nigdy nie czuła się pani zagrożona?

– Nigdy, nie było powodu.

Samochód niebezpiecznie zbliżył się do krawężnika, kiedy kobieta podświadomie chwyciła mocniej kierownicę. Zaraz jednak wzięła się w garść.

– To znaczy, zawsze tak myślałam. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, czuję się nieco dziwnie. Może mi pani powiedzieć, jak zginęła Maryann? W gazetach piszą takie okropne rzeczy. Czy to wszystko prawda?

– Niestety tak. Została uduszona torbą foliową.

– Do licha. Pomyśleć, że to mogłam być ja.

– Nie sądzę. Morderca szukał kobiet o bardzo charakterystycznym wyglądzie. Pani do nich nie należy. Pamięta pani, z kim Maryann leciała do DYE-5 tego dnia, kiedy zginęła?

– Oczywiście, to był szczególny dzień. Wszyscy bardzo się zmartwiliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się, że Maryann zginęła, bo jak już mówiłam, domyślaliśmy się, co to może znaczyć. Takie rzeczy zdarzyły się już wcześniej. Pilot kilka razy opowiadał swoją historię, chociaż niewiele było do opowiadania. Wszędzie jej szukano, ale niczego nie znaleziono. Dlatego ciągle stawiano mu te same pytania.

– Na pokładzie śmigłowca byli tylko on i Maryann?

– Pewnie tak. Ale to była normalna sytuacja.

– To był Duńczyk?

– Tak.

– Jak się nazywał?
– Boże drogi, czy to on mógł ją zabić?
– Tego nie wiemy, ale interesuje nas jego nazwisko. Może je pani pamięta?
– Nie. Chociaż pamiętam jego twarz. I to, że był inżynierem, pasjonował się elektroniką, ale jak się nazywał... Chociaż, zaraz... Nie pamiętam jego prawdziwego nazwiska, ale jak wszyscy miał przezwisko. Bundy. Albo Blondie, coś w tym rodzaju. Chociaż nie. Pronto. Tak, mówiliśmy na niego Pronto. Zresztą Maryann też miała swoje przezwisko. Nazywaliśmy ją Polly, bo miała dość irytujący zwyczaj powtarzania wszystkiego po kilka razy jak ta papuga Polly.

– Rozumiem. Może pani powiedzieć mi coś więcej o Pronto?

– Pamiętam, że był niewiarygodnie wręcz naiwny. Cokolwiek mu się powiedziało, gotów był w to uwierzyć. Czasem trochę mu nawet z tego powodu dokuczano, ale nigdy złośliwie.

– Na przykład?

Kobieta zastanowiła się chwilę.

– W stołówce, czyli w *chow hall*, jak ją nazywaliśmy, podawano czasem panierowane plasterki szynki. To były takie trójkąty, trochę jak ucho świni, więc nazywaliśmy je „uszy”, chociaż były całkiem smaczne. Była tam też maszyna do lodów i ktoś przekonał Pronto, że takie ucho z lodami to typowa potrawa, którą Amerykanie jedzą na Boże Narodzenie. A on w to uwierzył i jadł przez jakiś czas takie danie. Kiedyś nawet podczas nocnej zmiany, kiedy był sam w stołówce, widziałam, że jadł ucho z lodami.

– Był mało inteligentny?

– Nie, raczej dziecinny. Czasem potrafił być błyskotliwy, skończył studia, był inżynierem. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł robić sobie takie żarty, czy też wręcz go okłamać.

– Jaką miał funkcję w bazie?

Kobieta pokręciła głową. Nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Pauline podsumowała, przerywając milczenie:

– Pilot, z którym Maryann Nygaard trzynastego września 1983 roku, czyli w dniu, w którym zaginęła, leciała z bazy w Søndre Strømfjord do stacji DYE-5, był znany jako Pronto?

– Zgadza się.

– Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

– Wrócił do domu nieco wcześniej niż ja. Pewnie na początku 1984 roku, bo mój kontrakt kończył się w marcu. Od tamtej pory go nie widziałam.

– Gdzie znajdę kogoś, kto może mi powiedzieć, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

– To nie powinno być trudne. Część ludzi nadal się widuje. Ja od kilku lat już nie uczestniczę w tych spotkaniach, ale wiem, że istnieje nawet specjalna strona

modnord.dk. Tam znajdzie pani jego prawdziwe nazwisko, a w nawiasach nasze ksywki. Na pewno jest też jego zdjęcie, jeśli to panią interesuje. No nie, znów!

Kobieta uderzyła dłonią w kierownicę i zwolniła. Policjant dał im znak ręką, na poboczu stało już kilka samochodów.

– Paragraf 77, drugi raz w tym miesiącu.

– Proszę nie zjeżdżać na pobocze, tylko podjechać do funkcjonariusza.

Kobieta jej posłuchała. Pauline Berg wysiadła i zwróciła się do policjanta, pokazując mu swoją odznakę. Chwilę potem podeszła do samochodu pielęgniarki.

– Bardzo pani dziękuję, ogromnie mi pani pomogła. Może pani spokojnie jechać dalej.

– To ja dziękuję. I mam nadzieję, że znajdziecie mordercę Maryann. Nie zasłużyła sobie na taki los.

Samochód odjechał, Pauline patrzyła za nim jeszcze przez chwilę. Pomyślała, że powinna była odpowiedzieć, że nikt nie zasługuje na los, jaki spotkał Maryann Nygaard.

Osiem godzin później Pauline leżała w wannie pełnej piany, gorąca kąpiel pomagała jej zapomnieć o trudach dnia. Drzwi do łazienki zostawiła otwarte. Kiedy usłyszała, jak po chwili drzwi wejściowe się otwierają i zaraz potem zatraskują, na jej ładnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie spiesząc się, realizowała swój z góry obmyślony plan: zanurzyła się w wodzie, pozwalając, by jej długie włosy utworzyły złocisty krąg wokół głowy, jedną rękę przerzuciła przez krawędź wanny w wyrafinowanym geście niemocy, podczas gdy miliony maleńkich bąbelków pokryły jej nagość niczym pierzyna przyzwoitości, spod której wystawało jedynie kształtne kolano, pozwalając się domyślać ukrytej pod nią reszty.

– Cześć, Arne. Dobrze, że przeczytałeś kartkę, nie zdążyłam jeszcze wyjść z wanny. Bardzo cię przepraszam, ale miałam straszny dzień.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, więc zawołała jeszcze raz.

– Arne, co ty wyprawiasz?

Cisza. Usiadła, niszcząc wymyślną kompozycję.

– Przestań się ze mną drażnić. To nie jest zabawne i wcale mi się nie podoba.

Wołała z całej siły, obserwując, jak światło w korytarzu lekko drga. Nagle znów usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Poczowała strach, ale po chwili doszedł ją głos Arnego.

– Pauline, gdzie jesteś? Coś się stało?

Nagle stanął w drzwiach, a jej panika zamieniła się we wściekłość.

– Co ty robisz? Dlaczego nie odpowiadasz? Okropnie się przeraziłam.

– Zostawiłem w samochodzie skrzynkę z narzędziami. Bierzesz kąpiel?

– A jak ci się wydaje?

Jej wymyślny plan runął, ale nie chciała zupełnie z niego zrezygnować.

– Dostałem twoją wiadomość. Wykonałaś kawał świetnej roboty. A dom jest

piękny. Mogę się rozejrzeć, skoro jeszcze jesteś w wannie?

– Zaczekaj chwilę. Te kwiaty to dla mnie?

– W prezencie na nowy dom.

– Jakie śliczne! Bardzo ci dziękuję. Mógłbyś nalać wody do zlewu i je tam włożyć? Potem znajdę jakiś wazon w tym przeprowadzkowym bałaganie.

Zrobił, o co go prosiła. Także kiedy zaproponowała, żeby usiadł na krześle obok wanny. Uznała, że dom może obejrzeć później. Opowiedziała mu o pielęgniarce z Roskilde i stronie internetowej, na której znalazła pilota śmigłowca.

– Upewniłam się, że to on z nią leciał.

– Kto ci powiedział?

– Były pracownik stacji DYE-5, ten, który jeździ na wózku. Znalazłam go na Østerbro. Dziwny człowiek, początkowo w ogóle nie chciał mnie wpuścić, ale co do pilota nie miał żadnych wątpliwości. Pokazałam mu zdjęcia dwunastu przypadkowo wybranych osób, do których dołączyłam zdjęcie naszego pilota, natychmiast go rozpoznał.

– Jesteś genialna. Ależ jutro wszyscy się zdziwią. Nie mogę się doczekać. Ale musisz jeszcze dzisiaj zadzwonić do Simona. O ile już tego nie zrobiłaś.

– Po co?

– Bo tak się robi, jeśli się dotrze do istotnej wiadomości.

– Okej.

– Poza tym rozmawiałem z Grenlandią. Znaleźli resztki stacji DYE-5. Miałaś rację, jeśli chodzi o współrzędne.

– No proszę, jaka jestem dobra.

Arne się roześmiał.

– Wiesz, jaka była odległość między tymi dwoma miejscami?

– Według moich obliczeń trzydzieści jeden kilometrów.

– Trzydzieści jeden kilometrów i trzysta metrów, według ich obliczeń.

– Daruję im te trzysta metrów.

Pauline dmuchnęła trochę piany w stronę jego głowy i delikatnie poluzowała korek palcami u nóg.

Rozdział 7

Ingrid Thomsen otworzyła drzwi, wpuściła do środka Konrada Simonsena i Hrabiankę, ale nie przywitała się z nimi. W milczeniu taksowała ich wzrokiem, odwróciła się na pięcie i weszła do pokoju, zostawiając otwarte drzwi; znak, że mają iść za nią.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak dziesięć lat temu, kiedy Konrad Simonsen był tu po raz ostatni. Przypomniawszy sobie nawet drobne charakterystyczne szczegóły, które umknęły mu z pamięci, a teraz wróciły, powodując przyływ smutku. Parapety okienne z jasnoróżowej imitacji marmuru, źle dobrane zasłony w kwiecisty wzór. I drewniana półeczka z wypolerowanymi muszelkami, ułożonymi według wielkości i kształtu. Figurka Jezusa nad kanapą, w zdobionej klejnotami purpurowej opasce na biodrach i z ogromnym stalowym wieńcem nad głową. No i jej dłonie. Kościste jak ona sama, czerwone, mocne, przywykłe do pracy fizycznej. Stała i pocierała je, powoli, metodycznie, jakby w ten sposób próbowała pozbyć się wszelkiego bólu świata. Wykonywała ten ruch wtedy, podobnie jak dzisiaj. Próbował go ignorować. Patrząc jej w oczy, starał się wytłumaczyć, dlaczego tu jest. Słuchała go, nie odzywając się.

Usiadł na kanapie obok niej. Hrabianka wybrała krzesło przy stole na drugim końcu pokoju. Nie uczestniczyła w rozmowie. Konrad Simonsen zerkał od czasu do czasu w jej stronę, czując za każdym razem ukłucie irytacji. Powinna była zostać w samochodzie. Ta sytuacja i tak była trudna, jej obecność mu nie pomagała. Zaczął opowiadać o Grenlandii, porównał oba zabójstwa, morderstwo Maryann Nygaard i Catherine Thomsen. Dwa razy pomylił je ze sobą, nawet tego nie zauważając. Kobieta słuchała go, zamknięta w sobie, niechętna. Poczuł, że nogi drętwieją mu bardziej niż zwykle, ale tym razem nawet się ucieszył. Jakby cierpienie nagle rozłożyło się na dwoje. W pewnym momencie Ingrid Thomsen przerwała jego wywód:

– No cóż, jest, jak jest.

Były to jej pierwsze słowa wypowiedziane od momentu ich przyjścia. Miała niski, melodyjny głos, który zdawał się do niej w ogóle nie pasować. Jego brzmienia też już nie pamiętał. Kobieta powtórzyła zdanie:

– Jest, jak jest. Niczego nie da się zmienić.

Nie wiedział, czy kontynuować swój monolog. W końcu wybrał milczenie, ale dalej patrzył jej w oczy. Krępująca przerwa trwała już dłuższą chwilę, kiedy nagle kobieta znów się odezwała:

– Po co pan tak naprawdę przyszedł? Oczekuje pan, że wybaczę wam to, co zrobiliście Carlowi Henningowi? Dlatego pan tu jest? Mam panu współczuć?

Konrad Simonsen wielokrotnie zadawał sobie pytanie, jaki naprawdę jest cel

jego wizyty, i nie potrafił znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi. Uznał, że powinien jej osobiście powiedzieć, że policja, a także on sam, niesłusznie oskarżyli jej męża. Ale czy za tym kryło się coś jeszcze? Może rzeczywiście oczekiwał jej wybaczenia, cokolwiek to mogło znaczyć. Jednak uniknął konieczności odpowiadania, bo kobieta przestała nagle trzeć dłonie i uderzyła ręką o blat stołu. Niezbyt głośno, ale i tak się wzdrygnął.

– Carl Henning i Catherine leżą na cmentarzu Ulse, pod kasztanowcem, niedaleko parkingu. Jedźcie tam i powiedzcie im to, co mnie.

Konrad Simonsen wstał i powiedział cicho:

– Nie fabrykowałem fałszywych dowodów przeciwko pani mężowi, najprawdopodobniej były one dziełem zabójcy Catherine. I nie ja zabiłem pani męża, on sam się zabił.

– Pan tylko robił, co do niego należało.

Nie przejął się jej sarkazmem, starał się zachować spokój.

– Tak, robiłem, co do mnie należało. Niestety kiepsko, bo popełniłem błąd, co było bardzo niefortunne. Ale tak, wykonywałem tylko swoją pracę.

Nie odprowadziła ich do drzwi.

Konrad Simonsen usiadał na tylnym siedzeniu, zdjął buty i położył nogi na oparciu przedniego fotela. Ból nieco zelżał. Ruszyli i wkrótce odstęp między domami zaczęły się zwiększać. Hrabianka spytała delikatnie:

– Pojedziemy na cmentarz?

– Nie, cmentarz możemy sobie darować, ale jeśli zobaczysz po drodze jakąś gospodę, to chętnie zatrzymam się na piwo i papierosa.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

– Uważam, że to świetny pomysł.

– A potem wypalę drugiego i wypiję kolejne piwo.

Mówił niemal jak uparte dziecko. Hrabianka znów się uśmiechnęła, tym razem do siebie. I zaczęła się rozglądać za przydrożną gospodą.

Rozdział 8

– Andreas Falkenberg!

Konrad Simonsen mówił niskim głosem, głośno i wyraźnie, jakby chciał wyrzeźbić nazwisko mężczyzny w mózgzach słuchaczy. Pauline pomyślała, że dopiero teraz jej wczorajsze odkrycie znalazło potwierdzenie. Arne Pedersen i Hrabianka tylko skinęli głową, Poul Troulsen w ogóle nie zareagował.

– Pilot śmigłowca, inżynier elektronik, prawdopodobnie podwójny morderca, to wszystko, co w tej chwili o nim wiemy. Naszym priorytetem jest teraz uzupełnienie jego CV. Arne i Poul, zajmijcie się tym, co robił w Danii, powołajcie zespoły, zlećcie ludziom zadania. Przede wszystkim trzeba sprawdzić jego powiązania z Catherine Thomsen. Gdzie ją poznał? Co ich łączyło? Trzeba też sprawdzić sfabrykowane przez niego fałszywe dowody przeciwko jej ojcu. Spróbujcie zdobyć jego aktualne zdjęcie albo sfotografujcie go, ale tak, żeby tego nie zauważył. Rano zleciłem to już innemu zespołowi, może im się uda. Cokolwiek planujecie, chcę, żebyście mnie o tym informowali. Także jeśli zamierzacie opuścić komendę.

Arne Pedersen z zamglonym spojrzeniem ponownie pokiwał głową, a Poul Troulsen uniósł kciuk i spytał:

– Rozumiem, że go śledzimy?

– Nie do końca, ale kontrolujemy jego poczynania.

– Dlaczego nie ma decyzji o pełnej kontroli? Nie podoba mi się, że ktoś taki chodzi wolny po ulicach.

– Mnie też nie. Staram się, żeby przydzielono nam odpowiednie środki, co, mam nadzieję, nastąpi jeszcze dzisiaj.

Poul Troulsen wydawał się zadowolony, inspektor ciągnął więc dalej:

– Hrabianka zajmie się jego pobytem na Grenlandii. Według informacji Arnego i Poula nie był to długi okres, ale jedyny w jego karierze, o którym mamy konkretne informacje. Twoim podstawowym zadaniem będzie sprawdzenie, czy możemy go połączyć z morderstwem Maryann Nygaard na tyle, żeby móc doprowadzić do procesu. Chciałbym też wiedzieć, czy kontaktował się z nią w Danii, czy też poznali się dopiero na Grenlandii. Korzystaj z pomocy Tronda Egede, to mądry człowiek, ale nie wolno ci zwracać się oficjalnie do Amerykanów, ani do bazy w Thule, ani do żadnej innej, chyba że wyraźnie cię o to poproszę. Poza tym tak samo jak Arne i Poul masz meldować, dokąd wychodzisz. Rozumiemy się?

Hrabianka skinęła głową i Konrad Simonsen zwrócił się do Pauline Berg:

– Pauline, wczoraj wykonałaś kawał świetnej roboty. Teraz przypadnie ci może i najłatwiejsze, ale jednocześnie jedno z najważniejszych zadań. Chciałbym, żebyś sprawdziła, czy któryś ze świadków w sprawie morderstwa Catherine znał Andreasa Falkenborga. To wymaga sporo pracy, ale będziesz miała ludzi do pomo-

cy. Dowiedz się, czy był osobą znaną w środowisku świadków Jehowy. Poza tym chciałbym, żebyś przejrzała wszystkie sprawy związane z zaginięciem kobiet w wieku od piętnastu do trzydziestu pięciu lat w Danii od 1968 roku do teraz. Zdobądź ich zdjęcia i porównaj z fotografiami Maryann i Catherine. Jeśli uznasz, że któraś z zaginionych kobiet jest do nich podobna, sprawdź, czy mogły mieć cokolwiek wspólnego z Andreasem Falkenborgiem. Dobrze?

Pauline była zadowolona. Najważniejsze zadanie. Przyjemnie było to słyszeć.

– Być może fakt, że akurat te dwie kobiety były do siebie podobne, to zwykły zbieg okoliczności, ale podobieństwo jest tak uderzające, iż sądzę, że jednak ma to jakieś znaczenie. W każdym razie taka jest nasza robocza hipoteza.

– Zgadzam się.

– To dobrze. I jeszcze jedno, na drugą zwołałem konferencję prasową. Weźmiesz w niej udział razem z Arnem?

– Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

– To proste, wystarczy się nie odzywać.

Konrad Simonsen wstał i podszedł do okna.

– Zabraniam jakichkolwiek bezpośrednich kontaktów z Andreasem Falkenborgiem. Nie chcę, żeby się domyślił, że go obserwujemy. I jeszcze jedno, Malte i Hrabianka przekonali mnie, że pracując nad jego profilem, należy zamienić tablicę na komputer. Malte przygotowuje specjalną stronę, oczywiście zabezpieczoną kodem dostępu, na której zostaną zamieszczone wszystkie informacje, do których uda się wam dotrzeć. Malte wyśle do wszystkich e-maila w tej sprawie. Jak wiecie, osobiście jestem raczej sceptycznie nastawiony do dobrodziejstw społeczeństwa informatycznego, ale w tym przypadku jestem skłonny spróbować.

– To chyba najwłaściwszy sposób.

Komentarz Arnego ściągnął na niego niezadowolone spojrzenie szefa, ale zareagował na nie śmiechem. Konrad Simonsen ciągnął dalej niezrażony:

– Malte powinien już tu być, pewnie zjawi się za kwadrans, więc proponuję wziąć się do roboty, chyba że ktoś ma jakieś pytania...

Zamilkł i rozejrzał się dookoła.

– Wygląda na to, że nie, więc życzę wszystkim owocnej pracy. A Pauline poproszę, żeby jeszcze chwilę została. Jest kilka spraw, które chciałbym z tobą omówić.

Mężczyźni wstali i opuścili gabinet. Pauline została, zastanawiając się, czy prośbę szefa ma interpretować pozytywnie, czy negatywnie, ale jej wątpliwości zostały szybko rozwiane.

– Ile czasu minęło od momentu, kiedy pierwszy raz usłyszałaś nazwisko Falkenborga, do chwili, kiedy mnie o tym poinformowałaś?

Zastanawiała się, jak się wykręcić od odpowiedzi.

- To trudno dokładnie określić.
- W godzinach i minutach... I chciałbym, żebyś była ze mną szczerą.
- Dziewięć godzin i kilka minut.
- To się zgadza z moimi obliczeniami.

Simonsen stanął za nią i położył jej ręce na ramionach.

– Właściwie powinienem kazać przypiekać cię nad ogniem, Pauline, opowiedzieć ci o dwudziestu osobach, które wczoraj po południu miały odwiedzić dawnych pracowników bazy DYE-5, do czego na szczęście nie doszło, ponieważ Arne okazał się bardziej odpowiedzialny od ciebie. Poza tym rozmawiałem wczoraj z Hrabianką, która słusznie zwróciła mi uwagę, że dyskusje z ludźmi na drażliwe tematy raczej nie są moją mocną stroną, więc postanowiłem wprowadzić cię w...

Malte Borup wpadł do gabinetu, zdyszany i spocony, z laptopem w jednej ręce i zgrzewką coli w drugiej. Konrad Simonsen poprosił, żeby zaczekał, i wrócił do przerwanej rozmowy, która szybko przybrała łagodniejszy obrót, niż to pierwotnie zakładał.

– Zastanawiałaś się kiedykolwiek, dlaczego trafiłaś do wydziału zabójstw, a w szczególności dlaczego niemal od samego początku należysz do osób, z którymi najczęściej rozmawiam? Chyba nie sądzisz, że tylko z powodu twojej inteligencji i urody?

Pauline Berg się zaczerwieniła.

– Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Otóż powód tego jest taki, że jesteś młoda i ambitna. Z racji wieku podchodzisz do niektórych spraw w sposób dla mnie nieco zaskakujący, a ambicja przydaje się w każdej branży. Tylko wtedy można się czegoś naprawdę nauczyć. Kiedy miałem dwadzieścia siedem lat, marzyło mi się, że kiedyś sam rozwikłam wielką zagadkę. Wydawało mi się, że tylko ja jestem taki ambitny, więc nikomu o tym nie wspominałem. Potem odkryłem, że wszyscy moi koledzy mieli podobne marzenia.

– Ze mną też tak jest.

– No proszę, więc przynajmniej w tym względzie nic się nie zmieniło. Po jakimś czasie nauczyłem się, że przejawianie własnej inicjatywy nie jest niczym złym, pod warunkiem że ponosi się tego konsekwencje, i że jeśli doszedłem do czegoś ważnego, natychmiast o tym melduję, to znaczy najpóźniej dwie minuty po fakcie. Przyznam jednak, że do tej wiedzy doszedłem w dość bolesny sposób. Pewnego razu zataiłem nazwisko sprawcy. Szef dowiedział się o tym dopiero po dwóch dniach. Wiesz, co wtedy się stało?

Pauline zaprzeczyła.

– Zrobił mi potworną awanturę, niemal urwał mi głowę. Tak więc jednak czasy się zmieniły. Pauline, spójrz na mnie.

Dziewczyna posłuchała.

– Następnym razem, a jestem przekonany, że taki pewnie wkrótce się zdarzy,

bo to, co przed chwilą powiedziałem, nie zmienia faktu, że wczoraj spisałaś się znakomicie, tak więc następnym razem masz mnie natychmiast o wszystkim informować. Rozumiemy się?

– Tak. I przepraszam.

– A już sądziłem, że mam wyłączność na to słowo. Wracaj do siebie i bierz się do roboty. Zaczynj od spisania wczorajszych rozmów, o ile jeszcze tego nie zrobiłaś.

Pauline wstała i skierowała się do drzwi, świadoma, że właściwie jej się upiekło. Zanim wyszła, odwróciła się do szefa i podziękowała mu.

– Jeśli współpracownik dziękuje mi za to, że zmyłem mu głowę, to znaczy, że się starzeję. Idź już.

Ledwie Pauline oddaliła się z gabinetu, w drzwiach stanęła Hrabianka. Przyszła z prośbą, którą Konrad Simonsen przed chwilą uznał za nieakceptowalną. Od razu przeszła do rzeczy.

– Musisz dać mi nieco luzu w tej sprawie, Simon. Mam trop, który muszę sprawdzić.

– Mianowicie?

– Daj mi wolne do końca tygodnia. Nie zajmie mi to więcej czasu. Obiecuję, że będę cię informować o wszystkim, co ważne.

– Ale w tej chwili nic mi nie powiesz?

– W tej chwili nie. – Uśmiechnęła się i dodała: – Wiesz, że nie mam w zwyczaju o cokolwiek cię prosić. Prawdę mówiąc, zdarza mi się to chyba po raz pierwszy.

Simon zamruczał coś pod nosem niezadowolony i w końcu niechętnie się zgodził. Zastrzegł jednak pośpiesznie:

– W każdej chwili mogę cię wezwać, jeśli sytuacja się zmieni i będziesz tu niezbędna. Poza tym chcę, żebyś była obecna przy spotkaniu z Andreasem Falkenbergiem. No i przyznaję, że dziesięć minut temu nieźle zmyłem głowę Pauline za nadmierną samodzielność.

Hrabianka spojrzała na niego sceptycznie.

– Nie wydawała się jakoś szczególnie wzburzona.

– Bo jestem zbyt łagodny. A teraz chciałbym jak najszybciej skończyć z tym pilotem, więc rób, co masz robić. Potem będziesz się tłumaczyć innym. Żegnaj.

– Wyrzucasz mnie?

– Tak jest. Idź, żebym mógł zająć się pracą. W końcu za to nam płacą.

Rozdział 9

Dzień okazał się bardzo owocny i Konrad Simonsen, po raz pierwszy od powrotu z Grenlandii, miał poczucie, że znów kontroluje sytuację. Mimo że wizyta u Ingrid Thomsen poprzedniego dnia nie należała do szczególnie udanych, miał ją już za sobą i kamień spadł mu z serca. Poza tym dzięki satelitarnemu połączeniu wideo odbył ponadpółgodzinną rozmowę z córką, co pozwoliło mu naładować akumulatory. Postanowił, że wieczorem spakuje trochę rzeczy i przeniesie się na jakiś czas do Hrabianki. Ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że nawet go to cieszy, i rzucił się w wir pracy.

Powoli kolejne fragmenty życia Andreasa Falkenborga zaczynały się układać w całość. Współpraca szefa wydziału zabójstw ze studentem Malte Borupem rozwijała się znakomicie. Konrad Simonsen obawiał się, że podobnie jak jego ulubiona tablica, na której przywykł spisywać wszystkie tropy, tak i on sam odejdzie do lamusa, gdy do gry wkroczy komputer, ale jego obawy okazały się bezpodstawne. Malte ciągle był niepewny, co powinien wpisywać na stronę, a co archiwizować, podając jedynie link, więc ciągle się z nim konsultował, co sprawiało, że Konrad Simonsen chyba jeszcze nigdy nie był tak dobrze zorientowany w dochodzeniu. Natomiast odpadło mu wiele innych, zupełnie prozaicznych czynności, przez co mógł się skupić na sprawach naprawdę istotnych, a więc przede wszystkim na tym, co robili Arne i Poul, oraz na przydzielaniu ludziom odpowiednich zadań.

Malte Borup zreferował mu *dossier* Andreasa Falkenborga:

– Urodził się w 1955 roku w Hillerød, dorastał w Holte, na północ od Kopenhagi, po ukończeniu szkoły podstawowej kontynuował naukę w liceum w Holte, w 1972 roku zdał maturę, w tym samym roku rozpoczął studia na politechnice, w nawiasie: obecnie Duński Uniwersytet Techniczny. W 1979 roku ukończył studia z dobrymi wynikami, specjalizował się w technice dźwięku. Mogę to tak określić? Pełna nazwa przedmiotu jest dość skomplikowana. Mam ją dołączyć?

– Nie, daj odnośnik i usuń nawias przy Duńskim Uniwersytecie Technicznym.

– Mam podać kursy, które zaliczył na studiach, chronologiczną listę?

– Podaj, ale nie musisz ich jakoś szczególnie wyróżniać.

– Dobrze, dam je na szarym tle.

Kiedy Malte Borup stukał w klawisze, Konrad Simonsen bacznie mu się przyglądał. Szybko stało się jasne, że nowy podział pracy przynosi efekty.

– Malte, zauważyłeś, że w jego studiach jest luka, w 1977 roku?

– To prawda, nie zdawał wtedy żadnych egzaminów.

– Wyślij Arnemu e-mail albo SMS-a, chcę wiedzieć, co facet wtedy robił.

Wszystkie egzaminy zaliczał w terminie, miał świetne oceny, coś się musiało wy-

darzyć.

Malte stukał w klawiaturę.

– Wysłałem i e-mail, i SMS-a, widzę też, że mamy już gotową listę adresów.

– Podaj mi je, wystarczą mi nazwy miast.

– Holte, do roku 1973 mieszkał w domu, potem w akademiku w Lyngby, do 1979 roku, a potem w trzech różnych miejscach w Kopenhadze i okolicy: na Frederiksberg, na Østerbro i Dragør, i teraz znów na Frederiksberg. Podać daty?

– Nie, ale zapisz je i umieść odnośniki do dokładnych adresów.

– A domki letnie?

– Wpisz je. Powiedziałaś: domki, miał ich więcej?

– Jeden koło Præstø, należy do niego od lat. Wynajmuje go. Miał też dwa inne, jeden w pobliżu Liseleje, drugi w Szwecji, oba w pewnym momencie sprzedał.

– Wpisz daty kupna i sprzedaży, no i wrzuć odnośnik do adresów.

– Tak jest, szefie. A co z Grenlandią? Kiedy wyjechał, zatrzymał swoje mieszkanie na Frederiksberg.

– Stwórz specjalną stronę dotyczącą Grenlandii, zapisz datę wyjazdu.

– Nie znam jej, Hrabianka się nie odezwała. Ale historia jednego z domków wydaje się dość tajemnicza.

– To znaczy?

– W 1986 roku, nie, przepraszam, w 1996... A więc w grudniu 1996 roku kupił pierwsze piętro domku w Rødovre, a sprzedał je w styczniu 1997 roku, na czym stracił ponad czterdzieści tysięcy koron. Dostaliśmy mnóstwo dokumentów z różnych kancelarii i biur, które już zeskanowaliśmy.

– O, to ciekawe. Zrób dwie rubryki: zakup i sprzedaż domu, daj odnośniki i stwórz dodatkową stronę, poświęconą sprawom niewyjaśnionym. Wpisz tam: „przerwa w studiach w 1977 roku” i „dom w Rødovre 1996/1997”.

– Zaraz to zrobię.

– Nie mamy żadnych informacji o miejscach pracy poza Grenlandią? Musiał coś robić, zarabiać jakieś pieniądze.

– Prowadzi własną firmę. Mam jego zeznania podatkowe od 1973 roku. Właśnie przyszły, zaraz się dowiemy, ile zarabiał.

– To ciekawe. Później, kiedy będziesz miał chwilę, przygotuj zestawienie, a najlepiej wykres i mi prześlij.

– Zanotowałem. W zeszłym roku jego dochody wyniosły blisko dziewięćset tysięcy koron.

Konrad Simonsen zagwizdał.

– To jego przeciętny wynik, czy raczej był to wyjątkowy rok?

– Jego dochody są bardzo zróżnicowane, niekiedy zarabia dużo, czasem bardzo niewiele.

– Wiesz, jakiego rodzaju firmę prowadzi?

– Zaraz to sprawdzę, ale jest coś jeszcze... Poul Troulsen zaraz będzie tu ze świadkiem. No i mamy też wiadomości z Grenlandii.

Zanim Konrad Simonsen zdążył odpowiedzieć, do pokoju wkroczył Poul Troulsen w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny.

– Jest coś, co powinienś usłyszeć, Simon. To bardzo ważne. Proszę usiąść.

Ostatnie słowa były skierowane do mężczyzny, który niemal niezauważalnie podszedł do niewielkiego stolika konferencyjnego w głębi gabinetu. Konrad Simonsen natychmiast podążył za nim, chociaż żołądek mówił mu wyraźnie, że zbliża się pora lunchu. Poul Troulsen nie tracił czasu:

– Proszę powtórzyć panu inspektorowi kryminalnemu Simonsenowi, szefowi wydziału zabójstw, to, co pan mi przed chwilą powiedział.

Długi tytuł najwyraźniej zrobił na mężczyźnie wrażenie, bo spojrzał z szacunkiem na inspektora i jakby nieco się skulił.

– Sprawa ma charakter osobisty, poza tym nie jest to coś, z czego byłbym dumny.

Simonsen podążył wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny, które zatrzymało się na Malte Borupie, pochłoniętym wprowadzaniem danych do komputera.

– Malte, wyjdź na chwilę i poczaruj policjantki. Masz przerwę.

Chłopak natychmiast posłuchał. Przywykł już do zmiennych nastrojów szefa. Poul Troulsen usiłował ośmielić mężczyznę.

– Naprawdę proszę się nie wstydzić. Nie zrobił pan niczego, co byłoby niezgodne z prawem, poza tym my tu już niejedno słyszeliśmy i nigdy nie osądzamy ludzi.

Mężczyzna zaczął mówić, a opowieść, w przeciwieństwie do jego niepewnej postawy, okazała się niezwykle zborna i dokładna.

– Dwa lata temu zacząłem podejrzewać, że moja ówczesna żona ma romans z innym mężczyzną. Jestem kierownikiem wielu projektów i często wyjeżdżam, niekiedy nawet na kilka miesięcy. Na przykład obecnie pracuję przy budowie nowego lotniska krajowego w Dubaju. Przyjechałem do Danii na trzy dni. Ale wracając do sprawy, zwróciłem się wówczas do Andreasa Falkenborga, którego polecono mi jako eksperta w tego typu sprawach. Spotkaliśmy się i uzgodniliśmy warunki zlecenia. Chciałem, żeby śledził żonę podczas mojej nieobecności. Zażądał sześćdziesięciu tysięcy koron tygodniowo, chciał, żebym wypłacił mu zaliczkę za trzy tygodnie z góry, nie było mowy o negocjacjach. Pieniądze miały zostać wypłacone w gotówce, żadnego pokwitowania, żadnych papierków, niczego.

Konrad Simonsen nie mógł się powstrzymać i wtrącił:

– To wygórowana cena.

– Uchodzi za jednego z najlepszych w tej branży, jest niezwykle dyskretny i godny zaufania. Takie rzeczy kosztują. Poza tym było mnie na to stać, moja praca

też jest dobrze płatna.

– Twierdzi pan, że Andreas Falkenberg uchodzi za eksperta. Skąd pan ma te wiadomości?

Mężczyzna rozłożył ręce i westchnął smutno.

– Są ludzie, którzy mają podobne problemy. Nigdy nie byłem specjalnie atrakcyjny dla kobiet, ale to, że ktoś nie jest przystojny, nie oznacza, że jest głupi.

– Pewnie nie, skoro pan tak twierdzi. Jak pan się z nim skontaktował? Może pan podać nam jakieś szczegóły?

– Należę do pewnej dość zamkniętej grupy w sieci, więc zwróciłem się do jej członków z ogólnym zapytaniem. No i otrzymałem nazwisko i numer telefonu Andreeasa Falkenborga.

– Co to za grupa?

– Ludzie na wysokich stanowiskach, odpowiedzialni, niemal wyłącznie mężczyźni. Trzeba zostać poleconym przez dwóch członków, żeby uzyskać akceptację.

– Macie jakiś cel?

– Naszym celem jest wzajemna pomoc. To rodzaj wirtualnej łoży.

– Rozumiem. Gdzie się pan spotkał z Andreasem Falkenbergiem?

– W restauracji, w centrum handlowym w Lyngby.

– Ile razy?

– W sumie trzy. Pierwsze spotkanie miało charakter zapoznawczy, podczas drugiego przekazałem mu zaliczkę, a na końcowym spotkaniu on przedstawił mi wyniki swojej pracy i się rozliczyliśmy.

– Za każdym razem spotykaliście się w tym samym miejscu?

– Tak.

– Jakie zrobił na panu wrażenie?

– Bardzo dobre. Miły, może nieco dziecinny, tak bym to chyba określił, ale zdecydowanie sympatyczny. Jak pan zapewne rozumie, cała ta sytuacja nie była dla mnie przyjemna. Szczególnie się denerwowałem podczas pierwszego spotkania, ale to szybko minęło. Opowiadając mu o żonie, miałem wrażenie, że po prostu miło sobie gawędzimy. Powiedział mi, że w większości takich przypadków podejrzenia męża zwykle okazują się słuszne. I niestety, miał rację. Także podczas ostatniego spotkania był bardzo rzeczowy i zachował się niezwykle uczciwie. Ponieważ nad moją sprawą pracował tylko szesnaście dni, czyli krócej, niż pierwotnie zakładał, chciał mi zwrócić czternaście tysięcy, ale nie przyjąłem tych pieniędzy. W sumie byłem bardzo zadowolony z jego pracy i jeśli kiedykolwiek w przyszłości przytrafiłoby mi się coś podobnego, co niech Bóg broni, na pewno ponownie skorzystałbym z jego usług.

Konrad Simonsen pomyślał, że mężczyzna chyba jednak nie powinien tego robić, o ile nie chce ryzykować, że jego żona pewnego dnia skończy z głową w foliowej torbie. Zastanawiał się, czy nie powrócić do sprawy dziecinnego charakteru

Andreas Falkenborga, ale postanowił zostawić to Poulowi. Zaczął się więc podnosić, co przychodziło mu z jakimś trudem.

– Bardzo się cieszę, że pan...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Poul Troulsen mu przerwał:

– Jest jeszcze coś, Simon, dlatego nalegałem na jak najszybsze spotkanie.

Poświęć nam jeszcze chwilę, proszę.

Konrad Simonsen usiadł i usłyszał, jak mężczyzna pyta niepewnie:

– Chodzi o tę przepustkę, tak?

Poul skinął głową.

– Tak, będę wdzięczny, jeśli pan jeszcze raz o tym opowie.

– No więc niedawno zainstalowałem w domu nowy system alarmowy, podobno jeden z najlepszych na rynku, na pewno jeden z najdroższych. Czujniki, kamery, kod dostępu, połączenie z centralą agencji ochrony. Zapewniano mnie, że mogę czuć się całkowicie bezpieczny, jak w banku. Nie chodzi o to, żebym się bardzo bał włamania, ale rzeczywiście mam kilka obrazów, które są trochę warte, i jeśli nie będą dobrze strzeżone, żadna firma mi ich nie ubezpieczy. Dlatego zainstalowałem alarm, a nie dlatego, że jestem paranoikiem.

– Nie ma niczego złego w dbaniu o swój majątek.

– Też tak uważam, ale chodzi o to, że firma montująca alarm wymieniła jednocześnie wszystkie zamki w drzwiach zewnętrznych, tak że zamiast kluczy korzystam teraz ze specjalnej karty. Na pewno wiecie, o czym mówię.

Obaj jego słuchacze przytaknęli.

– Podczas naszego pierwszego spotkania Andreas Falkenborg poprosił o kartę do zamka, więc następnym razem mu ją przyniosłem.

Konrad Simonsen wyglądał na zdziwionego.

– Właściwie pan go nie znał, a mimo to dał mu pan ją?

– Być może rzeczywiście byłem naiwny, ale z drugiej strony, pomyślałem, że facet ma za dużo do stracenia. Na naszym forum nie polecamy sobie byle kogo. Zbudowanie takiej marki musiało mu zająć lata, a wiarygodność w jego branży to podstawa egzystencji.

– Powiedział panu, dlaczego chce wejść do pana mieszkania?

– Nie pytałem, ale nietrudno było się domyśleć.

– Rozumiem. Tak więc dał mu pan tę kartę?

– Tak, ale okazało się, że karta nie działa. Przez pomyłkę przekazałem mu rozkodowaną kartę, co odkryłem dopiero, kiedy mi ją zwrócił.

– To rzeczywiście niefortunne. A co on na to?

– Nic. W ogóle tego nie skomentował, ale być może wtedy jeszcze działała.

Konrad Simonsen nie bardzo rozumiał, o co mężczyźni chodzi. Spojrzał na Poula, mężczyzna mówił dalej.

– Zaskakujące było to, że Andreas Falkenborg wszedł do mieszkania, nie

używając karty. W zasadzie powinno to być niemożliwe, tak przynajmniej mnie zapewniano. Podczas naszego ostatniego spotkania pokazał mi kilka filmów i przekazał nagrania rozmów z udziałem mojej żony i... – Mężczyzna urwał i spojrzał niemal błagalnie na Simonsena. – Wolałbym uniknąć wchodzenia w szczegóły.

– Nie ma żadnego powodu, żebyśmy to robili.

– Powiem tylko, że kiedy je zobaczyłem, zrozumiałem, że musiał ustawić kamery i mikrofony przynajmniej w pięciu pomieszczeniach w domu. W salonie, w jadalni, w kuchni, w łazience, no i niestety także w sypialni. Wszystko potem usunął, co dwukrotnie sprawdzałem.

– W jaki sposób zaprezentował panu zebrane materiały?

– Miał ze sobą laptopa, pokazał mi jedynie kilka fragmentów, resztę zebranego materiału streścił, z czego zresztą się cieszę.

– Nie przekazał panu taśm?

– Dostałem wszystko na pendrivie, odniosłem wrażenie, że to była jedyna kopia. Kilka razy to podkreślał.

– Ma pan nadal tego pendrive'a?

– Tak, ale usunąłem dane. Nie widziałem potrzeby, żeby cokolwiek zachowywać.

Jego słuchacze wydawali się zgodni i nie mieli więcej pytań.

Poul Troulsen odprowadził gościa do drzwi i wrócił do gabinetu, gdzie jego szef przepisowo pochłaniał zalecaną porcję warzyw. Malte też wrócił już do pokoju i do pracy. Simonsen odezwał się między dwoma kęsami:

– Do smaku zdążyłem się już przyzwyczaić i właściwie nie tęsknię za dawnym jedzeniem, ale nadal nie mogę przywyknąć do czasu, jaki mi to żucie zabiera. Żeby nasycić głód, trzeba się naprawdę porządnie napracować. A tak *à propos*, to ciekawy świadek, chociaż jego zeznania nie wróżą niczego dobrego. Aż strach pomyśleć, że praca Andreasa Falkenborga polega na podglądaniu kobiet, chociaż z drugiej strony wyjaśniałoby to, dlaczego w mieszkaniu Catherine Thomsen znaleziono urządzenia do podsłuchu. Dziwię się tylko, dlaczego ich potem nie usunął, ale to powinno się wyjaśnić w ciągu kilku najbliższych dni. Inna sprawa, która też mnie intryguje, to jego zarobki. Roczny dochód, to znaczy suma, którą podał w zeznaniu podatkowym, w porównaniu z jego honorariami. Najwyraźniej pracuje na czarno. Wiesz coś o tym?

– Jego ojciec był przedsiębiorcą, miał fabrykę w Valby, produkował mikrofony. Na początku lat siedemdziesiątych profil produkcji został zmieniony, firma zajęła się importem i dystrybucją, ale nadal specjalizowała się w mikrofonach. W 1983 roku, kiedy Andreas Falkenborg był na Grenlandii, ojciec został postrzelony na polowaniu i zmarł. Interes przejęli matka z synem, zmienili asortyment, zaczęli produkować sprzęt do szpiegowania. Firma funkcjonowała też jako hurtownia, towar sprzedawano firmom wysyłkowym, prowadzono również sprzedaż inter-

netową. Można tam było kupić wszystko, co było niezbędne do podpatrywania okolicznych mieszkańców, a nawet umożliwiała zajrzenie do sypialni córki sąsiada. Czyli dość podejrzane interesy. Firma nie była duża, w różnych okresach zatrudniała od trzech do dziesięciu pracowników. W 1992 roku, po śmierci matki, Andreas stał się jej jedynym właścicielem i wtedy zwolnił wszystkich pracowników. Dzisiaj firma to właściwie jedynie numer NIP i baza klientów. To wszystko, czego udało mi się dowiedzieć, ale ludzie nadal nad tym pracują i mam nadzieję, że do wieczora dostarczą mi bardziej szczegółowy raport.

Poul Troulsen spojrział na szefa, który nadal przeżuwał swoją paszę, co ograniczało możliwość jego komunikowania się do środków niewerbalnych. Zauważył, że szef daje mu jakieś znaki, ale ponieważ nie potrafił ich zrozumieć, kontynuował swoją opowieść.

– Niestety, mam też i złą wiadomość.

Szef zaczął kręcić palcem w powietrzu, co Poul zrozumiał jak zachętę do mówienia.

– Sprzęt, który znaleziono w mieszkaniu Catherine Thomsen, zaginął, a przynajmniej w tej chwili nikt nie jest w stanie go znaleźć. Jedyne, co mamy na ten temat na papierze, to niewiele mówiąca notatka, w której potwierdza się „znalezienie sprzętu”, bez żadnych szczegółów. Przeszukujemy teraz archiwa, ale czy cokolwiek znajdziemy, tego nikt nie wie.

– Niech to szlag!

– Tak, rzeczywiście kiepsko to wygląda. Jeśli nie zdołamy powiązać go z drugim zabójstwem, nie wiem, czy uda nam się go o cokolwiek oskarżyć. Grenlandia to już niemal historia, wątpię, czy znajdziemy tam cokolwiek, co mogłoby stanowić podstawę do wniesienia oskarżenia. Poza tym chętnie zobaczyłbym coś, co świadczyłoby o tym, że Andreas Falkenborg w ogóle znał Catherine Thomsen. Właściwie jestem przekonany, że morderca był jeden, wszystkie okoliczności zdają się za tym przemawiać, ale jakiś cień wątpliwości nadal we mnie tkwi. Tym razem naprawdę musimy znaleźć właściwego człowieka, mam potworne wyrzuty sumienia, kiedy myślę o Carlu Henningu, ale tego nie muszę ci chyba mówić.

Konrad Simonsen przeżuwał dalej, nie okazując chęci podzielenia się swoim zdaniem na ten temat. Jego relacje z Poulem Troulsenem były wyłącznie natury służbowej i bynajmniej nie zamierzał tego zmieniać. Po chwili Poul wyszedł.

Po południu jedno odkrycie goniło drugie, ubywało białych plam w życiorysie Andreasa Falkenborga. Konrad Simonsen dyrygował Borupem, jakby student był po prostu przedłużeniem komputera, który obsługiwał.

– Malte, jakiś czas temu dostałeś kopię jego podań w sprawie wyjazdu na Grenlandię, możesz sprawdzić i powiedzieć mi, kiedy zostały wysłane?

Kilka kliknięć i odpowiedź była gotowa.

– Chodzi o jego podania do Greenland Contractors?

- Tak.
- Mam je tutaj. Podać daty? W sumie wysłał siedem podań, najwyraźniej starał się o wszystkie możliwe stanowiska.
- Podaj mi datę pierwszego.
- Jedenasty marca 1982 roku, aplikuje na stanowisko asystenta recepcjonisty.
- Dobrze, a kiedy Maryann wyjechała na Grenlandię? Masz to gdzieś zannotowane?
- Została zatrudniona czwartego marca 1982 roku, nie znam dokładnej daty jej wyjazdu.
- Pewnie bezpośrednio po zakończeniu pracy w domu spokojnej starości.
- Nie wygląda na to, żeby w międzyczasie była zatrudniona gdzieś indziej, ale nie mamy jeszcze kompletu jej dokumentów, nie wszystkie są dostępne w wersji cyfrowej.
- Rozumiem. Poproś Pauline, żeby dowiedziała się czegoś więcej o jego kursie pilotażu. Mam wrażenie, że był dość krótki. Mamy jakieś wiadomości na temat jego związków ze świadkami Jehowy?
- Nie, ale mam coś innego.
- Mów.
- Wygląda na to, że Carl Henning Thomsen, wiesz, o kim mówię? Konrad Simonsen przełknął kolejny kęs i zmusił się, żeby, odpowiadając, zachować spokój:
- Tak, oczywiście, Malte. Co z nim?
- Otóż Carl Henning Thomsen prawdopodobnie przeprowadzał Andreasa Falkenborga.
- Prawdopodobnie?
- Nie do końca potrafię to rozszyfrować. Zaraz, zaraz, już wiem. Carl Henning Thomsen otrzymał zlecenie przewiezienia zawartości magazynu w Herlev na ulicę Bækkevang 19 w Rødovre, ale taki adres nie istnieje. Bækkevang kończy się na numerze siedemnastym. Dom, który powinien mieć numer dziewiętnasty, to narożny budynek, który ma adres Bakkehøjvej 45. Bækkevang przechodzi bowiem w Bakkehøjvej.
- To właśnie połowę tego domu kupił Andreas Falkenberg i zaraz ją sprzedał?
- Tak.
- Podaj mi datę kupna domu i datę zniknięcia Catherine Thomsen.
- Andreas Falkenberg kupił część domu czwartego grudnia 1996 roku, a Catherine zniknęła piątego kwietnia 1997 roku.
- Wezwij tu Arnego i Hrabiankę.
- Konrad Simonsen wykorzystał czas oczekiwania na studiowanie zdjęcia An-

dreasa Falkenborga, które otrzymał pół godziny wcześniej i od razu umieścił na swojej tablicy. Przyglądał się sympatycznej, uśmiechniętej twarzy mężczyzny w wieku około pięćdziesięciu lat. Miała w sobie pewną anonimowość, nadawałaby się do reklamy, pomyślał Simonsen. Przeciętny, typowy Duńczyk.

Pierwszy zjawił się Arne Pedersen, miał dobre wiadomości i w ogóle był w znakomitym nastroju.

– Znaleźliśmy świadka, który chyba będzie mógł potwierdzić powiązania między Andreasem Falkenborgiem a Catherine Thomsen, a tak naprawdę to podwójny świadek, bo facet jest też świadkiem Jehowy.

Żart nie rozbawił Konrada Simonsena ani Hrabianki, która w tym momencie wkroczyła do gabinetu. Arne Pedersen ciągnął więc dalej:

– Ten mężczyzna prawdopodobnie towarzyszył Catherine Thomsen w chodzeniu od drzwi do drzwi i jest absolutnie pewien, że rozmawiał wówczas z Andreasem Falkenborgiem. Nie żeby pamiętał jego twarz, ale przypomina sobie, że stał dłuższą chwilę na klatce w kamienicy, gdzie Andreas wówczas mieszkał, i przyglądał się obrazkowi zawieszonemu na ścianie obok drzwi, podczas gdy jego partnerka rozmawiała z właścicielem mieszkania. Niestety, nie jest do końca pewien, kim była jego partnerka. Prawdopodobnie była to Catherine Thomsen, ale nie może powiedzieć tego z całą pewnością.

Hrabianka spojrzała na niego i spytała zdziwiona:

– Kto wiesz obrazy na klatkach?

– To nie był taki prawdziwy obraz, raczej obrazek, coś dekoracyjnego. Może żeby zasłonić okno łazienki, ale proszę, nie pytaj mnie, dlaczego w takim miejscu w ogóle robi się okna, bo nie mam pojęcia. A dla ścisłości dodam, że na obrazku był namalowany koń, jeden z mężczyzn zrobił zdjęcie, gość był dokładny.

– Może jakiś inny świadek Jehowy pamięta, czy był w tej kamienicy, czy nie. To uwiarygodniłoby obecność tam Catherine.

– Sprawdźmy to, ale pamiętaj, że ci ludzie każdego dnia odwiedzali wiele mieszkań, a wszystko miało miejsce dziesięć lat temu.

– Mamy jakąś datę?

– Dokładnej nie, ale na pewno było to w ciągu trzech pierwszych tygodni czerwca 1996 roku. Tego mężczyzna jest pewien.

– Czyli mniej więcej siedem miesięcy przed morderstwem?

– Pewnie tak.

Hrabianka była wyraźnie wzburzona.

– Niech to lichy.

– Dlatego chciałem, żebyśmy się tu zebrali. Ale nie macie niczego więcej? Żadnych informacji o partnerkach, kochankach, facetach, kobietach, czymkolwiek?

Arne Pedersen pokręcił przecząco głową.

– Na nikogo się nie natknąłem. Zawsze mieszkał sam, przynajmniej oficjal-

nie.

Hrabianka nie miała niczego do dodania.

– Na ten temat też nie mam żadnych informacji, ale w bazie był lubiany, zawsze skory do pomocy, chociaż niezbyt towarzyski. O żadnych dziewczynach nic nam nie wiadomo. Niektórzy odbierali go jako dziwaka, ale nie spotkałam nikogo, kto miałby coś przeciwko niemu. Niewiele nam to daje, ale pamiętajcie, że w bazie było około dziewięciuset osób, które na dodatek ciągle się zmieniały, więc nadal jest możliwe, że znajdziemy kogoś, kto znał go nieco bliżej. Jeśli chodzi o Maryann Nygaard sprawa jest prostsza, bo była kobietą, a kobiet było tam niewiele, więc mężczyźni je zapamiętywali, a szczególnie tak piękną dziewczynę jak ona. Nie wiem tylko, czy jest sens ciągnąć ten trop. To zależy od ciebie, Simon.

Konrad Simonsen zamruczał coś pod nosem, co Hrabianka po chwili namysłu zinterpretowała jako zachętę do dalszego wywodu. Zaczęła więc opowiadać o życiu w bazie, o tym, jak ono wyglądało w latach osiemdziesiątych. Konrad Simonsen słuchał jej, ale słowa jakby do niego nie docierały, natomiast przyglądał się uważnie jej bluzce, kupionej zapewne w jakimś nieprzyzwoicie drogim butik, gdzie towar nazywano kolekcją, a dodatki akcesoriami. Bluzka była z jedwabiu, w jasnozielono-brązowy wzór, który przypominał mu gałęzie buków na wiosnę, gdy pierwsze zielone pędy rywalizują z pozostałymi na gałęziach pomarszczonymi liśćmi z ubiegłego roku. Zaczął się zastanawiać, gdzie na tej gałęzi jest jego miejsce. Musiał się uszczypnąć w rękę. Udało mu się skupić na tyle, że zdołał jej sensownie odpowiedzieć. Hrabianka nie zorientowała się nawet, że połowa jej wywodu mu umknęła.

– Co ty na to? Mamy kontynuować jutro? I dalej szukać informacji o nich obojgu, to znaczy o Andreasie Falkenborgu i Maryann Nygaard?

– Nie, na razie dajmy sobie spokój z bazą. Nie sądzę, żebyśmy znaleźli tam coś ciekawego, poza tym zawsze możemy wrócić do tematu.

– W porządku.

Może wyczuł w jej głosie minimalne wahanie, a może doszło do głosu jego wieloletnie doświadczenie w odczytywaniu myśli innych ludzi, tak czy inaczej coś sprawiło, że nagle jednak zmienił zdanie.

– Czy dobrze rozumiem, że chciałabyś jeszcze trochę w tym pogrzebać?

Jeśli jego intuicja ją zaskoczyła, to nie dała tego po sobie poznać.

– Nie mam żadnych konkretnych dowodów, ale jeden z moich rozmówców twierdzi, że zachowanie Maryann zmieniło się jakieś dwa, trzy tygodnie przed jej zniknięciem. Przestała chodzić na imprezy i spotkania towarzyskie. Jestem ciekawa, co było tego powodem, chociaż nie sądzę, żeby te informacje coś nam dały.

– Mogłabyś to jednak sprawdzić? Masz jakieś źródło?

– Jej przyjaciółkę. Jutro dowiem się więcej.

– Dobrze, daję ci jeszcze kilka dni, zobaczymy, co z tego wyjdzie, a teraz

proponuję skupić się na kilku datach, które mogą mieć największe znaczenie. Mamy powody przypuszczać, że Andreas Falkenborg poznał Maryann Nygaard w domu spokojnej starości, gdzie mieszkała jego babcia, a Maryann była pielęgniarką. Zapewne miało to miejsce w styczniu albo w lutym 1982 roku. Potem podążył za nią aż na Grenlandię, gdzie zamordował ją trzynastego września 1983 roku, czyli półtora roku po tym, jak ją poznał. Podobnie było z Catherine Thomsen. Spotkali się przypadkowo w czerwcu 1996 roku, a zamordował ją osiem miesięcy później. Wcześniej ogromnym wysiłkiem udało mu się zdobyć odciski palców jej ojca na torbie foliowej, którą...

Konrad Simonsen nie dokończył zdania, bo do pokoju wpadła bez pukania blada Pauline Berg, trzymając w ręku zdjęcie młodej kobiety. Dziewczyny podobnej do Maryann Nygaard. Albo do Catherine Thomsen. Niemal identycznej.

Rozdział 10

Na koniec dnia Konrad Simonsen postawił wszystkim piwo, co nie zdarzało się często, więc tym bardziej zostało docenione.

Jak zwykle zebrano się w Bodedze, bezpretensjonalnej knajpie, odwiedzanej głównie przez policjantów, położonej niemal na wprost Glyptoteki. Hrabianka, Arne Pedersen i Poul Troulsen usiedli przy stoliku razem z szefem. Pozostali koledzy rozproszyli się po sali, nie chcąc im przeszkadzać, jedynie od czasu do czasu wznosili szklanki w stronę szefa. Pomieszczenie było w połowie wypełnione, nastroje pogodne, ale nie przesadnie radosne, w tle leciały dawne szlagiery, na szczęście nie za głośno, w drugim końcu energiczny, uśmiechnięty barman miał oko na wszystkich i wszystko. Po jakimś czasie dołączyła do nich Pauline Berg. Miała jakąś sprawę do załatwienia na mieście, o której nie chciała wspominać wcześniej, a teraz weszła, niosąc w ręku torbę z ekskluzywnego domu towarowego Illum, którą, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia Hrabianki, wsunęła pod krzesło. Wszyscy przepijali do siebie, wznosząc kolejne toasty piwem z beczki, Konrad Simonsen powiedział kilka banalnych zdań o dobrej współpracy, których chyba nikt nie usłyszał. Rozmowa przy stoliku toczyła się wartko, mówiły głównie obie kobiety, pozwalając mężczyznom jedynie na drobne wtręty. Kiedy Pauline Berg w pewnym momencie musiała zaczerpnąć powietrza, Arne Pedersen skorzystał z okazji i wszedł jej w słowo, drwiąc sobie jednocześnie nieco z zasady, iż nie należy mieszać pracy z życiem towarzyskim.

– Ciekawe, ile ich jeszcze zabił. Może to tylko czubek góry lodowej?

Poul Troulsen natychmiast podchwycił temat.

– Niestety, może ich być wiele. I nasze rejestry zaginionych też mogą nie wyjaśnić wszystkiego, bo wśród ofiar mogą również być turystki, które nigdy nie wróciły do domu, nie mówiąc już o tym, że młode, czarnowłose kobiety mogą być tylko jednym typem ofiary, niewykluczone, że na przykład polował także na rudych chłopców, kto to, do diabła, może wiedzieć. Mam nadzieję, że będziesz miał na niego oko, Simon, do czasu, aż uda nam się wsadzić go za kratki.

Szef nieco się obruszył.

– Mam na niego oko na tyle, na ile pozwalają na to nasze środki.

– W tym przypadku możesz chyba być nieco bardziej elastyczny. Albo sięgnij do naszego funduszu emerytalnego, najważniejsze, żeby facet nie mógł swobodnie buszować.

– Najgorsze, że on wygląda tak normalnie. No i te straszne zdjęcia twarzy kobiet w torbach foliowych. Okropna śmierć, dla takich psychopatów należałoby wprowadzić karę śmierci.

Tą dość kategoryczną wypowiedzią Pauline Berg znów włączyła się do dys-

kusji.

Poul Troulsen pokiwał głową, w tej kwestii był skłonny się z nią zgodzić. Hrabianka, zdając sobie sprawę, w jakim kierunku zmierza rozmowa, pokręciła głową.

– Tak, a do tego przyspieszony tryb postępowania oraz specjalne pozwolenie królowej na tortury, jak za dawnych dobrych czasów. Wtedy każdy wszystko wyśpiewa. Rozumiem, że to ostatnio popularne poglądy u naszych amerykańskich sojuszników.

Wiedziała, że jej wypowiedź wywoła reakcję. Arne pokręcił tylko głową, ale Poul odpowiedział ostro:

– To nie nam zamordowano prawie trzy tysiące obywateli. Szczerze mówiąc, rozumiem, że wielu Amerykanów niezbyt się przejmuje prawniczymi gierkami, jeśli sprawa dotyczy sprawców masakr.

– To, co ty nazywasz prawniczymi gierkami, ja nazywam prawami człowieka.

Pauline Berg spojrzała na Hrabiankę.

– Chyba nie nadażam. O czym rozmawiacie?

– O torturach, kochanie. A dokładniej o amerykańskim Rendition Program, w ramach którego prawo do zadawania cierpień uzyskują kaci na całym świecie. Chętnych nie brakuje. I niech nikomu się nie wydaje, że Dania nie macza w tym palców. Lotnisko w Kastrup było wielokrotnie odwiedzane przez The Torture Jet, chociaż mówienie o tym jest w złym tonie. A tortury, tak do twojej wiadomości, zawsze dotyczą domniemanych, a nie już skazanych terrorystów.

Poul Troulsen wzruszył prowokacyjnie ramionami.

– Jeśli to może uratować życie niewinnych ludzi, nie będę z tego powodu cierpiał na bezsenność.

Konrad Simonsen postanowił przystąpić do boju:

– W XIV i w XV wieku spalono w Danii kilka tysięcy czarownic, w większości winnych zarzucanych im czynów, bo przecież przyznały się do nich po spędzeniu odpowiedniego czasu w dybach. Prawda jest taka, że tortury, poza tym że budzą moją odrazę, są też kontrproduktywne. Nie można polegać na wynikach prowadzonych w ten sposób przesłuchań.

Arne Pedersen pierwszy skończył swoje piwo. Jak dla niego dyskusja stała się nieco zbyt gorąca. Zwrócił się więc ugodowo do Hrabianki i Konrada Simonse-
na:

– W waszych ustach wszystko brzmi tak prosto. Czasem chciałbym mieć wasze zasady etyczne, czy jak to się nazywa. Z drugiej strony wiem, że jeśli ktoś groziłby mojej rodzinie, to nie cofnąłbym się przed niczym.

Spojrzał na zegarek i powiedział:

– Stawiam następną kolejkę i wracam do domu.

Rozdział 11

Odnalezienie kobiety, która dwadzieścia pięć lat temu była znana w amerykańskiej bazie wojskowej w Søndre Strømfjord na Grenlandii jako Dwa Metry Miłości, nie było łatwe. Kiedy Hrabianka w końcu po wielu staraniach dotarła do prawdziwego nazwiska kobiety, okazało się, o ironio, że ta dwa dni wcześniej przesyłała e-mail na adres wydziału zabójstw, ponieważ uznała, że posiada informacje, które mogą zainteresować policję. Wiadomość zawierała oczywiście wszystkie dane, do których dotarcie zajęło Hrabiance wiele godzin. Kobieta nazywała się Allinna Holmsgaard, a pielęgniarka, z którą Pauline rozmawiała w drodze do Roskilde, niewiele się pomyliła, sugerując, że jej zawód zapewne będzie związany z książkami. Allinna Holmsgaard była profesorem retoryki na kopenhaskim uniwersytecie.

Hrabianka odpowiedziała na e-mail, próbowała też kilkakrotnie dzwonić na podany numer komórki, ale bez powodzenia. W końcu zadzwoniła do Instytutu Mediów i Negocjacji. Zrobiła to bez przekonania, bo semestr jesienny jeszcze się nie zaczął, ale nieoczekiwanie traf okazał się celny. Uprzejma sekretarka poinformowała ją, że pani profesor jest w pracy, ale nie potrafiła powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa. Budynek instytutu leżał na Njalsgade, w linii prostej niecały kilometr od komendy, a więc w odległości spacerowej, co było dobrym usprawiedliwieniem dla skorzystania z pięknej słonecznej pogody i okazją do zademonstrowania, że będzie chodzić, gdzie chce, nawet ryzykując niepożądane spotkanie.

Miała wrażenie, że miasto się do niej uśmiecha, a ona odwzajemniała jego uśmiech. Do momentu, kiedy przechodząca obok kobieta, popychająca dziecięcą wózek, sprawiła, że odwróciła się plecami do ulicy i zajęła oglądaniem przypadkowej wystawy sklepowej. Słyszała, jak kobieta z wózkiem ją mija. Jedno kółko lekko piszczało, poczuła irytację. Czy tak trudno wlać kilka kropel oleju do piasty, zamiast drażnić ludzi? Przejrzała się w szybie i poczuła się brzydka. Ostre rysy, za parę lat skończy pięćdziesiątkę. Niedługo miną dwa lata od czasu, kiedy ostatni raz była z mężczyzną. Pamiętała ten dzień. Została zaproszona na confirmację i postanowiła pójść, chociaż wiedziała, że będą tam też jej były mąż i jego partnerka. Ponieważ myśl, że mogłaby pójść sama, była nie do zniesienia, wynajęła aktora. Potem zapłaciła mu także za spędzenie tygodnia wspólnych wakacji, z czego bynajmniej nie była dumna, ale tak, niestety, wyglądała prawda. Noce były cudowne, ale w dzień była katastrofa. Facet okazał się równie egocentryczny jak głupi, niestety. Obecnie nie miała nikogo, a przynajmniej nikt nie bywał w jej domu. Uznała, że sprawa musi się sama rozwiązać. Odwróciła się, rozejrzała i ruszyła przed siebie.

Allinna Holmsgaard postarzała się z wdziękiem, miała czterdzieści parę lat i nadal była piękną kobietą. Wysoka, kilka drobnych zmarszczek na twarzy,

wdzięczne ruchy. Stała przy tablicy i coś pisała, od czasu do czasu żywo gestykułując. Hrabianka wślizgnęła się dyskretnie do sali i przez kilka minut słuchała wykładu, przyglądając się jednocześnie wykładowczyni i jej słuchaczom. Jeden z nich był znanym dziennikarzem telewizyjnym, inny chyba politykiem. Kiedy kobieta ją dostrzegła, przerwała zajęcia i podeszła do niej. Hrabianka się przedstawiła. Pani profesor zmierzyła ją wzrokiem.

– Ma pani legitymację?

Wyjęła legitymację i pokazała jej. Allinna Holmsgaard obejrzała ją dokładnie, po czym zwróciła się do policjantki przepraszająco:

– Proszę mi wybaczyć, ale przyszło mi do głowy, że może pani być z prasy. Ostatnio wydzwaniamą do mnie dziennikarze. Trudno mi się od nich opędzić.

– Ależ proszę się nie tłumaczyć, to ja powinnam rutynowo okazać pani legitymację.

Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Domyślam się, że chodzi o Maryann.

– Tak, jeśli oczywiście ma pani czas.

– Za chwilę kończę. A pani bardzo się spieszy?

– Nieszczególnie.

– Dom Kultury na Bryggen. Wie pani, gdzie to jest?

– Owszem.

– Możemy się tam za chwilę spotkać? W taką pogodę aż grzech nie usiąść gdzieś na zewnątrz.

Pół godziny później obie siedziały w porcie na ławce z widokiem na Kalvebod Brygge, nową dzielnicę, której potężne budynki przeglądały się w lustrze wody. Szklane fasady łapały promienie słoneczne i odbijały je, oślepiając siedzące na ławce kobiety. Od czasu do czasu kanałem przepływały szerokie łodzie z turystami, kobiety machały do nich, a oni uwieczniali je na zdjęciach i filmach; głośne informacje, podawane przez przewodników szkolną angielszczyzną, zagłuszały od czasu do czasu ich rozmowę. Od razu znalazły wspólny język. Zamawiając coś do picia, doszły zgodnie do wniosku, że na białe wino jest jeszcze za wcześnie, po czym jednak obie zamówiły po kieliszku. Rozmawiały o architekturze, co w tym miejscu było dość oczywistym tematem. Nie było żadnych wątpliwości, że świetnie się rozumieją. W końcu Hrabianka uprzytomniła sobie, że jednak jest w pracy, i przeszła do tematu, który był powodem ich spotkania.

– Pani i Maryann Nygaard byłyście przyjaciółkami?

– Tak, i to bliskimi. Bardzo przeżyłam jej śmierć, to znaczy jej zaginięcie, chociaż chyba nikt z nas nie miał złudzeń, co ono oznacza. Mimo wszystko długo wierzyłam, że zostanie odnaleziona, żywa, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że tak się nie stanie.

– Więc jednak podejrzewała pani, że Maryann mogła paść ofiarą przestęp-

stwa?

– Nie. Przeżyłam szok, kiedy o tym przeczytałam. Nadal jestem bardzo wzburzona. To okropne, nie mogę przestać o tym myśleć.

– Tak, to rzeczywiście okropne. Napisała pani w e-mailu, że ma pewne informacje, które mogą nas zainteresować. Może mi pani powiedzieć coś więcej?

Allinna Holmsgaard bębniła palcami w blat stołu. Miała krótko obcięte paznokcie, ale stukanie i tak irytowało Hrabiankę.

– Kiedy pisałam tę wiadomość, byłam przekonana, że powinnam wam o tym powiedzieć. Potem jednak wszystko przemyślałam i teraz się zastanawiam, czy to rzeczywiście ważne.

– Proszę pozwolić mi o tym zdecydować.

– Rozumiem, że pani wie, iż Maryann była w ciąży, kiedy zniknęła.

Hrabianka zdążyła rano przed wyjściem przeczytać w raporcie z obdukcji o ciąży Maryann. Była zdziwiona i oczywiście miała wiele pytań, ale odpowiedziała spokojnie:

– Tak, wiemy o tym, chociaż przyznaję, że byliśmy tym nieco zdziwieni.

– Dlaczego?

Policjantka pożałowała swoich słów, nawet Allinna Holmsgaard nie musiała wiedzieć o tamponie, ale teraz było już za późno. Próbowwała wybrnąć z sytuacji:

– To nie tak. Ja zadaję pytania, pani odpowiada. Nie na odwrót. Proszę mi powiedzieć...

Kobieta domyśliła się, do czego Hrabianka zmierza, i uprzedziła jej pytanie. Bębnienie ustało, kobieta powróciła do rozmowy.

– Ciąża Maryann nie przebiegała tak, jak powinna. Maryann krwawiła, została nawet przewieziona na badania do szpitala w Holsteinsborgu, ale nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości. Miała okres, prawda?

– Zgadza się. Zna pani ojca dziecka?

– Nie. Podejrzewam, że właśnie to powinno was zainteresować. Bo widzi pani, to było bardzo dziwne, jakaś wielka tajemnica. Maryann też nie chciała tego zdradzić, to znaczy jego nazwiska.

– Może zacznie pani od początku?

– Oczywiście. Maryann zaszła w ciążę jakieś dziesięć tygodni przed śmiercią. Ojcem jej dziecka był geolog, który mieszkał w bazie przez cztery dni, czekając na poprawę warunków pogodowych, by polecieć dalej, do Thule. Zakochali się, grom z jasnego nieba, jak w tych historiach, o których czyta się w pismach kobiecych. A przynajmniej Maryann, jak było z nim, tego nie wiem. Powiedział, że nazywa się Steen Hansen, ale to nie była prawda...

To nazwisko było niczym cios. Hrabianka zaniemówiła, wylała resztkę wina na stolik. Allinna Holmsgaard spojrzała na nią zaniepokojona.

– Coś się stało? Źle się pani czuje?

Policjantka wzięła się w garść. Próbowwała wyprzeć z pamięci kostyczny głos kobiety, który jednak ciągle dźwięczał jej gdzieś z tyłu głowy. „Nie wolno ci puścić Steena Hansena, Baronowo. Steen Hansen, zatrzymaj go, Baronowo”. Słowa te nawet przez telefon brzmiały nieprzyjemnie. Teraz to uczucie jeszcze się pogłębiło.

– Nic mi nie jest. Proszę mówić dalej.

– Okazało się, że podał fałszywe dane osobowe, o czym dowiedziałam się znacznie później, ale były też inne rzeczy, które nie tylko mnie wydały się dziwne. Pamiętam, że wszystkie pomyślałyśmy, że chyba w życiu nie widziałyśmy tak eleganckiego geologa. Ci faceci na ogół wyglądali okropnie. Poza tym zadziwiający był fakt, że kiedy pogoda się poprawiła, Amerykanie przysłali po niego specjalny samolot. Wszystko to zwróciło naszą uwagę, chociaż nie zagłębialiśmy się w to. Trochę plotkowaliśmy, ale zawsze tak było. – Nalała wody do pustego kieliszka po winie i wypila. – Trzy, cztery tygodnie po jego wyjeździe Maryann odkryła, że jest w ciąży. Aborcja nie wchodziła w grę. Już raz usunęła płód, nie chciała przechodzić przez to po raz kolejny, psychicznie. Napisała list do ojca dziecka. Nie знаła jego adresu, miała tylko nazwisko, tak przynajmniej sądziła, więc wysłała list na adres GGU, gdzie podobno miał pracować.

– GGU?

– Grenlandzki Instytut Badań Geologicznych. Podlegał ówczesnemu ministerstwu Grenlandii, ale mieścił się na Øster Voldgade, razem z innymi instytutami geologicznymi, potem połączył się z siostrzaną instytucją w Danii. Niemniej list wrócił do Maryann. Nikt nie znał tam Steena Hansena. Maryann bardzo to przeżyła, ale wpadła na pomysł, żeby napisać do *base commander* w Thule. Zwykle nie praktykowano takich rzeczy, ale co miała zrobić? Opisała swoją sytuację i poprosiła, żeby dowódca bazy przekazał jej list Steenowi Hansenowi, o ile to oczywiście możliwe. Przesłała też jego zdjęcie. Nie było ani dobre, ani szczególnie ostre, ale jej upór dał wyniki, bo dwa tygodnie później Steen odezwał się do niej. Oczywiście okazało się, że dureń ma żonę i dzieci, ale był na tyle przyzwoity, że się z nią skontaktował.

– Dlaczego nie podał jej swojego prawdziwego nazwiska?

– Nie wiem. Nie chciała mi tego zdradzić. Pamiętam, że nawet się o to pokłóciłyśmy, ale była nieugięta. Potem zniknęła, a mnie zaczęło dręczyć sumienie, bo pomyślałam, że może zrobiła to specjalnie, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi. – Hrabianka rozumiała. – Mimo to przez długi czas miałam nadzieję, że ona jednak wróci. Zresztą takie zachowanie nie bardzo do niej pasowało, nie była aż tak przygnębiona. Rzeczywiście zamknęła się nieco w sobie, ale dwa dni przed jej podróżą rozmawiałyśmy o ubrankach dla dzieci. I to właściwie wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Nie wiem, czy to wam jakoś pomoże.

– Też nie potrafię tego powiedzieć. Pamięta pani, jak ten rzekomy Steen Hansen wyglądał?

– Zupełnie przeciętnie. Blondyn, krótko ostrzyżony, niezbyt wysoki, trzydzieści parę lat. Prawdę mówiąc, ledwie go pamiętam. Zresztą rozmawiałam z nim zaledwie kilka razy.

– Wyróżniał się czymś?

– Nie przypominam sobie. Chyba że fryzurą, duńscy mężczyźni w tamtym okresie raczej nie strzygli się tak krótko. Większość nosiła wtedy długie włosy, a przynajmniej takie do uszu. Chociaż... Tak, było coś, co go wyróżniało. Miał niezwykle wysoki głos, niemal jak dziewczyna. Ktoś nazwał go Kastratem, to znaczy dał mu taką ksywkę. W bazie wszyscy mieli swoje ksywki, wystarczyło, że pojawili się na dwa dni...

Pani profesor mówiła dalej, ale Hrabianka już jej nie słuchała. Patrzyła przed siebie zdziwiona. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby świadek w ciągu jednej minuty podał jej dwie informacje, które wprawiły ją w osłupienie. Starła się nie dać niczego po sobie poznać, poza tym tłumaczyła sobie, że przecież może się mylić, że musi wszystko potwierdzić, zdając sobie sprawę z tego, że może to być piekielnie trudne. Znowu skupiła się na rozmowie.

– Co jeszcze pani o nim wie?

– Dał jej swoją czapkę, ale to chyba nie ma znaczenia.

– Proszę opowiedzieć.

Kobieta zmrużyła oczy i po chwili ciągnęła dalej.

– Miał taką wełnianą czapkę, w lilie, w różnych odcieniach fioletu, kwiaty splatały się ze sobą. Twierdził, że zrobiła ją dla niego matka, co chyba nie było prawdą, bo czapka miała metkę. Tak czy inaczej Maryann bardzo się ona spodobała, więc podarował jej tę czapkę.

– Na pamiątkę?

– Możliwe. Bardzo ją lubiła. Ja uważałam, że jest okropna, zdecydowanie zbyt kolorowa. Pamiętam, że powiedziałam to, kiedy przymierzała ją przed lustrem, a ona zażartowała, że może dzięki niej zdoła przyciągnąć jakichś samców, jeśli pewnego dnia zabraknie jej pieniędzy na czynsz. Wiem, że to był żart, ale tak czy inaczej często w niej chodziła. Wiem też, że włożyła ją w dniu, kiedy zaginęła, bo dużo potem o tym myślałam. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale dodatkowo mnie to przygnębiało.

Hrabianka pokiwała głową. Widziała tę czapkę, leżała obok ciała Maryann. Odruchowo pomyślała, że Allinna Holmsgaard miała rację, czapka naprawdę nie była ładna. Postanowiła jednak się tym nie zajmować i znowu zwróciła się do kobiety:

– Nie wie pani, dlaczego użył fałszywego nazwiska?

– Niestety nie. Maryann twierdziła, że naprawdę był geologiem, podobno przyjechał tu negocjować jakieś szalenie drażliwe kwestie dotyczące koncesji dla Amerykanów na wydobywanie minerałów. To wydawało się dość prawdopodobne

i tłumaczyło, dlaczego wszystko owiane było taką tajemnicą. W tamtym okresie było sporo nieporozumień między duńskimi i grenlandzkimi przeciwnikami atomu a GGU i ośrodkiem badań atomowych w Risø, a tu przecież chodziło o pozyskiwanie uranu i być może także toru w górach Kvanefjeldet w Narsaq, więc może była w tym jakaś logika. Chociaż nadal nie mogłam zrozumieć, co on robił w Thule. Amerykańska baza nie zajmowała się wydobywaniem czegokolwiek, a odległość między Thule a Narsaq to dwa tysiące kilometrów.

– Rozumiem, że Maryann nie przekonała pani?

– Nie do końca, ale też nie drążyłam tematu. W 1983 roku trwała jeszcze zimna wojna, a ja, było nie było, pracowałam w amerykańskiej bazie wojskowej i raczej nie powinnam się dziwić, że działy się tam rzeczy, o których opinia publiczna nie powinna być informowana.

– Niewykluczone, że ma pani rację. Wspomniała pani o zdjęciu mężczyzny, sądzi pani, że mogłabym do niego dotrzeć?

Kobieta zamyśliła się, rozłożyła bezradnie ręce.

– To pewnie nie będzie łatwe. Nie wiem, od kogo Maryann je dostała. – Alinna Holmsgaard zamilkła, ale Hrabianka czekała cierpliwie pewna, że kobieta jeszcze nie skończyła. – Wie pani, że Steena nie było na Grenlandii, kiedy Maryann zniknęła.

– Tak, co nie zmienia faktu, że chciałabym zobaczyć jego zdjęcie.

– Jest pewna szansa, chociaż nie jest ona duża. Wie pani, gdzie jest Dom Grenlandii?

– Niestety nie.

– To muzeum w północnej Zelandii, o ile się nie mylę, niedaleko Gribskov. Jego były dyrektor zbierał prywatne zdjęcia z obu baz. To było takie jego hobby. Posłałam mu kopię wielu swoich zdjęć.

– To syzyfowa praca, tym bardziej że nie wiem, jak wyglądał. A gdybym tak poprosiła panią o pomoc?

Hrabianka milczała wyczekująco, pani profesor wyraźnie się zastanawiała. W końcu się odezwała:

– Jutro lecę z mężem do Zurichu. Od dawna planowaliśmy ten urlop, więc nie chciałabym go teraz odwoływać czy przesuwac. Z drugiej strony jestem to winna Maryann, no i w jakimś sensie także społeczeństwu. Proszę zdecydować, jak pilna jest ta sprawa.

Pokusa była duża, ale Hrabianka jednak się jej oparła.

– Proszę spokojnie jechać na urlop, to nie jest aż tak naglące.

– Cieszę się, ale właśnie przyszło mi do głowy, że przecież mogę asystować pani w sieci. Wieczorem prześlę pani e-mail z dokładną datą, kiedy nasz przyjaciel przebywał w bazie w Sønderstrøm, co znacznie ograniczy liczbę zdjęć do przejrzania, jeśli w ogóle takie są...

Zacząły ustalać szczegóły swojej wirtualnej współpracy. Kiedy wszystko było jasne, pozostała już tylko jedna kwestia. Zadanie nie było przyjemne. Hrabianka zdecydowanym ruchem wyjęła z torebki zdjęcie Andreasa Falkenborga z 1983 roku i położyła je przed panią profesor.

– Poznaje go pani?

– To przecież Pronto, dziecięca dusza. Co chce pani o nim wiedzieć... On chyba nie...

Minęło trochę czasu, zanim Allinna Holsgaard nieco ochłonęła, jednak to, co opowiedziała Hrabiance, nie miało większego znaczenia dla sprawy.

Rozdział 12

Podczas gdy Hrabianka popijała białe wino na Islands Brygge, jej koledzy z wydziału zabójstw pędzili dwoma samochodami autostradą z Kopenhagi na południe. W pierwszym jechali Konrad Simonsen i Poul Troulsen, który tym razem był także kierowcą. W drugim samochodzie, podążającym tuż za nimi, podróżowali Pauline Berg i Arne Pedersen. Poul Troulsen mrużył oczy i patrzył podejrzliwie przez okno. Było przedpołudnie, a powietrze już było nagrzane. Zerknął na szefa, który siedział na miejscu pasażera i przeglądał notatki.

– Nie pojmuję, jak ty to wytrzymujesz, Simon. Mam na sobie tylko T-shirt, a i tak pot się ze mnie leje, a ty siedzisz w garniturze! Nie słuchałeś prognozy pogody?

Konrad Simonsen uniósł na chwilę głowę i nie bez zazdrości spojrzął na kolegę, który mimo swojego wieku był w świetnej formie. Na jego wyćwiczonym ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu, pod rękawkami koszulki rysowały się wyraźnie zaznaczone mięśnie, a na jednym przedramieniu przeżyła biust kształtna panienka, tatuaż z Nyhavn, z okresu, kiedy miejsce to nie cieszyło się najlepszą sławą. Konrad Simonsen cierpiał natomiast na skoki temperatury, czasem się pocił, kiedy nie powinien, albo przeciwnie, jak na przykład dzisiaj, co było wynikiem jego cukrzycy. Spojrzął na Poula i trochę drażniąc się z nim, powiedział:

– Podobno ma być ciepło.

Poul westchnął i zmienił temat.

– Wczoraj razem z żoną zajmowaliśmy się wnukami, więc nie miałem czasu i niestety nie jestem na bieżąco. Może wprowadziłbyś mnie pokrótce?

Simonsen oczywiście się zgodził, bo alternatywą była zamiana ról, musiałyby usiąść za kierownicą, żeby Poul mógł spokojnie sam przejrzeć notatki, a nie bardzo miał na to ochotę. Poza tym nie mógł nikomu robić wyrzutów z tego powodu, że ma życie rodzinne. Zwykle Poul był dobrze przygotowany i rzadko narzekał na niekiedy bardzo uciążliwe godziny pracy.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

– Okej. Annie Lindberg Hansson, dwadzieścia cztery lata, zamieszkała w Jungshoved w pobliżu Præstø, zaginęła piątego października 1990 roku. Pracowała w biurze w Vordingborgu, skąd codziennie wieczorem wracała do domu kursowym autobusem, jadącym do Præstø, który zatrzymywał się na przystanku oddalonym o cztery kilometry od jej domu. Rano jak zwykle zostawiła rower w rowie obok przystanku. Od tamtego dnia nikt jej nie widział. Zainteresowaliśmy się nią ze względu na typ jej urody. Miałaś okazję zerknąć na jej zdjęcie?

– Tak, widziałem je. Jest podobna do Maryann Nygaard i Catherine Thom-

sen.

– Zgadza się. Takie same czarne włosy, brązowe oczy, podobna budowa ciała, ładna twarz, wydatne kości policzkowe.

– Rozumiem, że Andreas Falkenberg mieszkał gdzieś w okolicy w okresie, kiedy dziewczyna zniknęła?

– W sierpniu 1990 roku kupił domek letni w Tjørnehoved, czyli niecałe pięć kilometrów od domu Annie Lindberg Hansson. To dość rzadko zaludniona okolica, więc pięć kilometrów to tutaj niewielka odległość. Poza tym nie jest to teren wybitnie letniskowy.

– Jak zaginęła?

– Mniej więcej tak, jak ci mówiłem. Wysiadła z autobusu koło ósmej wieczorem, a potem już nikt jej nie widział.

– Co z jej rowerem?

– Nigdy go nie odnaleziono, ale jeśli przestaniesz mnie przesłuchiwać, to zaraz dowiesz się wszystkiego. Postaram się nie zapomnieć o niczym istotnym.

– Przepraszam, ale jak wiesz, jestem niecierpliwy z natury, a do tego jeszcze ten upał.

Jak można się domyśleć, współczucie Konrada Simonsena było ograniczone, miał własne problemy, z którymi musiał się borykać. Ranki na kostkach swędziły i dokuczały mu, były zaczerwienione i nie chciały się goić, wstydził się ich. Na szczęście uniknął dzisiaj porannych potów, zapewne dlatego że zjadł pożywne śniadanie, przygotowane przez Hrabiankę. Musiał przyznać, że przeprowadzka do Søllerød okazała się nadspodziewanie dobrym pomysłem. Dostał do swojej dyspozycji niemal całe piętro ogromnej willi. Hrabianka pomogła mu się rozpakować, oprowadziła go po domu i uparła się wziąć na siebie wszystkie praktyczne sprawy. Jego wcześniejsze obawy okazały się bezpodstawne, nie czuł skrępowania, a wszelkie nieporozumienia były natychmiast wyjaśniane, niekiedy kończyły się wybuchem śmiechu. Prawdę mówiąc, było mu bardzo przyjemnie, schlebiała mu jej troska. Dawno już nie śmiał się tak szczerze i dawno też tak dobrze nie sypiał. Dopiero teraz, w samochodzie, dopadło go przygnębienie, związane z błędami, które policja popełniła podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Catherine Thomsen, od razu też poczuł głód nikotynowy. Schylił się odruchowo, żeby podrapać ranki na nogach, ale powstrzymał się i skupił na informacjach, które miał przekazać Poulovi.

– Annie Lindberg Hansson mieszkała z ojcem, który, jeśli dobrze czytam między wierszami, jest raczej przypadkiem dla opieki społecznej, ale wkrótce wszystkiego się dowiemy. Domek położony jest na uboczu, niedaleko kościoła Jungshoved Kirke, to dość odludna okolica, głównie pasą się tam owce. Większą część drogi od przystanku do domu Annie pokonywała na rowerze sama, idealne warunki do napadu na młodą dziewczynę: ciemno, pusto, ścieżka oświetlona jedy-

nie latarką rowerową, wszystko jak na dłoni.

– Coraz mniej mi się ta sprawa podoba.

– Państwo nie płaci nam za to, żeby było przyjemnie. Na czym to ja skończyłem? No więc jeszcze tego samego wieczora ojciec zgłosił zaginięcie córki, rano ponowił zgłoszenie. Wszczęto poszukiwania, ale prowadzono je bez szczególnego zaangażowania, łagodnie rzecz ujmując.

– Dlaczego? Nie uwierzono mu?

– Nie przerywaj mi, do diaska. Po prostu wszyscy sądzili, że córka wkrótce się odnajdzie, i to zapewne w Kopenhadze. Przed zniknięciem pokłóciła się z ojcem. Dziewczyna chciała przenieść się do miasta, miała swoje plany, które chciała realizować. Natomiast ojciec uważał, że powinna zostać i się nim opiekować, tym bardziej że rok wcześniej zmarła jego żona, matka Annie. Dlatego policja wyszła z założenia, że dziewczyna postanowiła załatwić sprawę po swojemu, wyjechała, zostawiając ojca, i po jakimś czasie na pewno się do niego odezwie. Ojciec dość regularnie odwiedzał policję i w Næstved i w Præstø, ale jego pytania były ignorowane, sprawę uznano za mało istotną.

– Oczywiście był to błąd, ale to wiemy dzisiaj. Jednak większość zaginionych młodych ludzi wcześniej czy później się odnajduje.

– I całe szczęście, ale Annie Lindberg Hansson się nie odnalazła. Kiedy policja zrozumiała, że sprawa jednak jest poważna, wszelkie ślady już dawno zostały zatarte, jeśli w ogóle jakieś istniały, w co, prawdę mówiąc, zaczynam wątpić. Poza tym mało kto wierzył, że doszło do przestępstwa, ludzie myśleli, że po prostu postanowiła zerwać kontakty z domem i może nawet wyjechała za granicę.

– Miejmy nadzieję, że tak rzeczywiście jest.

– Wierzysz w to?

– Niestety nie, bo widziałem jej zdjęcie, co więcej, w tym czasie Andreas Falkenberg znajdował się tu w pobliżu. Bóg jeden wie, czy domek w Tjørnehoved kupił, zanim ją spotkał, czy dopiero po poznaniu jej.

– Właśnie tego spróbujemy się dzisiaj dowiedzieć, osobiście sędzę, że raczej po. To pasuje do wzoru jego postępowania. Jest gotów zrobić wszystko, przewrócić całe swoje życie do góry nogami, żeby tylko zrealizować powzięty plan. Kiedy spotyka ofiarę, wykazuje niezwykłą aktywność, chociaż z drugiej strony nie robi nic, żeby... Jak by to powiedzieć? Nigdy nie szuka potencjalnych ofiar. Będzie nam potrzebna pomoc psychologa.

Poul Troulsen zamyślił się. Po chwili odezwał się niepewnie:

– Jeśli dobrze rozumiem, to skoro kobieta nie wygląda w określony sposób i nie jest w odpowiednim wieku, może czuć się bezpieczna w jego pobliżu. Jeśli natomiast ma czarne włosy, jest szczupła i reprezentuje pewien określony typ urody, wtedy ryzykuje życie?

– Niewątpliwie tak to wygląda. Dlatego będziemy potrzebowali pomocy psy-

chologa.

- Ucieszę się, kiedy przekazemy faceta w ręce służby więziennej.
- Najpierw musi się odbyć proces, sędzia musi wydać wyrok, a potem oskarżony zapewne trafi do aresztu śledczego w Nykøbing na Zelandii.
- Już dwie osoby odeszły z pracy z jego powodu. Nie zrozum mnie źle, wiem, że te morderstwa były straszne, niezależnie od tego, czy było ich trzy, czy więcej, ale odejście ludzi ze służby jest równie ważne. Sam zresztą też czułem się podle, chociaż mnie osobiście ta sprawa aż tak bardzo nie dotyczy. Z twojej wczorajszej prezentacji wyszedłem.
- Ja też byłem bliski odejścia z służby. Wiesz o tym, prawda?
- Wiem, w ten nieco niezdarny sposób chciałem spytać, jak teraz się czujesz.
- Jeśli się okaże, że morderstwo Catherine Thomsen nie jest ostatnim, które ten facet ma na sumieniu, to prawdę mówiąc, nie wiem, co zrobię. Nie chcę nawet o tym myśleć, ale poza tym to w porządku.

Poul Troulsen spojrział na szefa niezadowolony. Odpowiedź nie zachęcała do dalszej rozmowy, więc skupił się na jeździe. Konrad Simonsen na powrót zagłębił się w papierach.

Godzinę później dotarli na miejsce. Poul zatrąbił, dając znak Arnemu i Pauline, że skręca w stronę Jungshoved, podczas gdy oni pojechali dalej szosą. Przed nimi rozciągał się łagodny krajobraz z widokiem na Bøgestrømmen, cieśninę oddzielającą Zelandię od wyspy Møn. Pięć minut później dotarli do niewielkiego gospodarstwa, niedaleko kościoła, niemal już na samym cyplu. Tuż przed podjazdem zatrzymali się, wysiedli z samochodu, rozprostowali nogi i zaczęli się rozglądać. Gospodarstwo składało się z dwóch budynków, których pomalowane na biało ściany kontrastowały z czernią łupkowych dachówek. W niewielkim ogrodzie rosły stare drzewa owocowe, przez porośnięty trawą taras można było przejść z ogrodu do pokoju dziennego, wysoki bukowy żywopłot odgradzał dom od kościoła. Konrad Simonsen przypomniał sobie książki swojego dzieciństwa, opisujące potyczki Svenda Gønge ze Szwedami właśnie w okolicach Jungshoved, chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, czy była to fikcja, czy fakty historyczne. Jego rozmyślenia przerwał Poul, który trzeźwo zauważył:

- Pewnie w swoim czasie ta działka została wydzielona z dóbr kościelnych.
- Może i masz rację. Przypomnij mi, jak ty to nazwałeś w samochodzie?
- Mój ojciec mówił o takich miejscach, że to widma, nie siedliska, sam pochodził z południowej Jutlandii.
- Nigdy nie słyszałem takiego określenia. Tak nazywano kiedyś biedne gospodarstwa?
- Nie, to było chyba jego własne określenie, nie miało znaczenia, czy dom był zapuszczony, czy zadbany.

Z domku wyszedł do nich mężczyzna około sześćdziesiątki, bez słowa otwo-

rzył drzwi i gestem zaprosił ich do środka. Wyglądał niechlujnie i sprawiał wrażenie starszego, niż był, oczy mu błyszczały, łzawiły, jego odzież była w tak opłakanym stanie, że sklep z używanymi rzeczami nie przyjąłby jej nawet za darmo. Pokój, do którego weszli, był niski i mroczny, mimo że na zewnątrz świeciło słońce. Minęło trochę czasu, zanim oczy gości przyzwyczyły się do kiepskiego światła. Umeblowanie było oszczędne, sprzęty zniszczone, ale bynajmniej nie przypadkowe, ze śladami dawnej świetności. Mężczyzna wskazał im kanapę, obok której stał niski, solidny dębowy stolik, sam usiadł w fotelu naprzeciwko nich. Zaparzył herbatę i nalał, nie pytając, czy chcą. Podziękowali i wypili. Smakuje zadziwiająco dobrze, pomyślał Konrad Simonsen. Na jednym końcu stolika stały dwa zdjęcia, najwyraźniej umieszczone tam właśnie z okazji ich wizyty. Pierwsze przedstawiało małego urwisa w kombinezonie, na huśtawce, obok której stał ojciec. Dziewczynka pozowała do zdjęcia niczym primadonna. Na drugim chuda trzynastolatka w białej sukience stała przed kościołem, nieco niepewnie, w swoich pierwszych w życiu szpilkach. Kościół na zdjęciu nie był kościołem z sąsiedztwa. Ramki zdjęć były w kolorze złota, brzydkie. Mężczyzna podążył za wzrokiem Simonsena.

– Myślę o niej każdego ranka, kiedy się budzę, zasypiam, płacząc. Tak niewyobrażalnie za nią tęsknię. Była jedynym szczęściem w moim życiu. Postawiłem tu jej zdjęcia, bo uznałem, że ma prawo w tym uczestniczyć.

– Oczywiście.

– To w końcu mój dom i ja decyduję, gdzie co ma stać.

Konrad Simonsen odczekał chwilę i powiedział spokojnie:

– Przyjechaliśmy tu, żeby się dowiedzieć, co się stało z pańską córką.

Mężczyzna wyjął z kieszeni wymiętą chusteczkę i wytarł oczy.

– Podejrzewacie, że została zabita, jak te dwie dziewczyny, o których pisano w gazetach.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo była do nich podobna. Mam oczy, widziałem.

– Tak, obawiamy się, że została zamordowana, chociaż nic konkretnego jeszcze nie wiemy.

– Od początku wiedziałem, że nie żyje, ale mam nadzieję, że nie skończyła jak one.

– My też mamy taką nadzieję i proszę nie wierzyć we wszystko, co piszą gazety.

W oczach starego mężczyzny zapaliła się iskierka nadziei.

– Więc to nieprawda? Te straszne historie o torbach foliowych, taśmie klejącej?

Obaj mężczyźni przeklinali w tym momencie kolorowe pisma, które na wyścigi rozpisywały się o makabrycznych szczegółach obu zbrodni, niestety nie oszczędzając czytelnikom niczego. Ojciec Annie Lindberg Hansson płacił teraz

cenę za wysokie nakłady. I nie tylko on.

– To akurat jest prawda, ale proszę pamiętać, że nadal nie wiemy, co się przydarzyło pańskiej córce.

Mężczyzna westchnął i jeszcze bardziej się skulił.

– Do czego jestem potrzebny?

– Przede wszystkim proszę nam opowiedzieć o dniu, w którym córka nie wróciła do domu.

Mężczyzna zaczął opowiadać. Widząc jego cierpienie, policjantom zrobiło się niemal wstyd, bo przecież właściwie wiedzieli wszystko, o czym im z takim bólem opowiadał. Kiedy skończył, Poul Troulsen spytał najdelikatniej, jak potrafił:

– Podobno tuż przed jej zniknięciem pokłóciliście się?

– Okropnie się zachowałem. Nie mogłem sobie wyobrazić, że mogłaby mnie zostawić. Byłem egoistą. Dzisiaj to widzę, ale wtedy tego nie rozumiałem.

– Chciała się przenieść do Kopenhagi?

– Tak, chciała się uczyć. I pewno też spotykać z rówieśnikami. Tutaj brakowało jej towarzystwa.

– Była ładna, chłopcy się tu nie kręcili?

– Raczej nie, ale też specjalnie mi się nie zwierzała.

– Bo był pan zazdrosny?

– Pewnie byłem.

– Nie planowała przenieść się do Kopenhagi z chłopakiem?

– Nie sędzę. Nie, na pewno nie.

– Znała kogoś w Kopenhadze?

– Miała tam ciotkę.

– Odwiedzała ją?

– Od czasu do czasu, ale niezbyt często.

– Gdzie ta ciotka mieszkała?

– W Kopenhadze. Właśnie powiedziałem.

– Ale gdzie w Kopenhadze? Zna pan jej adres?

– Na Platanvej, ale numeru sobie nie przypomnę. Oczywiście mogę go zdobyć, jeśli to ważne.

Poul Troulsen spojrział na Konrada Simonsena, który pokręcił głową przecząco. Zmienił więc temat.

– Powiedział pan, że córka chciała się uczyć. Na jakim kierunku?

– Chciała zostać kosmetyczką, ale najpierw musiała zarobić trochę pieniędzy, żeby opłacić naukę. Dlatego starała się o pracę.

– Jaką?

– Próbowwała wszędzie. Była na dwóch rozmowach, ale obie nic nie dały. Za każdym razem miałem nadzieję, że jej nie zechcą. Strasznie trudno mi dzisiaj o tym mówić.

– Wie pan może, gdzie była na tych rozmowach?

– Jedną rozmowę miała w centrali supermarketów Irma, drugiej nie pamiętam. Nie była to duża firma, zapomniałem, jak się nazywała. Ale mam wszystkie jej papiery, pewnie można to ustalić. To ważne?

– Niewykluczone. Będziemy wdzięczni, jeśli pan sprawdzi.

Mężczyzna wstał i wyszedł z pokoju, po chwili usłyszeli, że szuka czegoś na strychu. Chusteczkę zostawił na fotelu. Konrad Simonsen spojrzął na stojący przy jednej ze ścian zegar w stylu bornholmskim, którego wskazówki w pewnym momencie się zatrzymały i tak już zostały, podobnie jak mężczyzna, jak cały ten dom, który zamarł pewnego październikowego wieczora osiemnaście lat temu, kiedy Annie Lindberg Hansson do niego nie wróciła. Poul Troulsen przyglądał się zdjęciom, czując, że coraz bardziej się poci.

Po chwili mężczyzna wrócił, trzymając w ręku list, który bez słowa położył przed nimi. Było to zaproszenie na rozmowę o pracę, datowane na piątek 14 kwietnia 1990 roku. List był krótki, właściwie tylko dwie linijki, kończył się wyszukany podpisem Andreasa Falkenborga. Konrad Simonsen złożył kartkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, nie przejmując się, że może zniszczyć ewentualne odciski palców. Nie było wątpliwości, kto był jego nadawcą.

– Chcielibyśmy go dokładniej zbadać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Mężczyzna zacisnął dłonie i niemal wyszeptał:

– To on ją zabił?

– Tego jeszcze nie wiemy.

– Ale tak sądzicie. Widzę to po was. Podejrzewacie, że to on.

Konrad Simonsen bardzo dokładnie dobierał słowa:

– Kiedy mowa o czymś tak ostatecznym, jak pozbawienie człowieka życia, nie wystarczą podejrzenia. Potrzeba dużo, dużo więcej.

Rozdział 13

Arne Pedersen i Pauline Berg po przesłuchaniu dwóch świadków, co zabrało im w sumie niecałe pięć minut i nie wniosło niczego do sprawy, wybrali się na spacer do lasu. Domek letni Andreasa Falkenborga okazał się skromną chatką, graniczącą z jednej strony z lasem, gdzie teraz spacerowali, z drugiej z gospodarstwem i przylegającymi do niego polami. Od lata 1991 roku dzierżawiło go bezdzietne małżeństwo pedagogów. Kobieta była w domu, ale nie potrafiła im nic powiedzieć o właścicielu domku, którego nigdy nie widziała, podobnie jak jej mąż. Czynsz, niezbyt zresztą wygórowany i niepodnoszony od czasu, kiedy podpisali umowę najmu, wpłacali na konto kancelarii adwokackiej w Præstø. To wszystko, co mogła im powiedzieć. Równie marny rezultat przyniosła wizyta u sąsiada, którego zastali naprawiającego traktor. On także nie znał Andreasa Falkenborga, i choć twierdził, że jego rodzice go znali, nie potrafił podać żadnych szczegółów. Niestety, ojciec właśnie poszedł się zdrzemnąć, a matka pojechała do miasta. Podjęta przez Pauline próba przekonania go, żeby jednak obudził ojca, spełzła na niczym. Zaproponował, żeby przyszli za godzinę i na tym stanęło.

Arne kopnął leżący na ścieżce kamyk. Poleciał pięknym łukiem między buki. Spróbował powtórzyć ten wyczyn, jednak bez powodzenia. Pauline Berg, która szła kilka kroków przed nim, wyobrażając sobie, jak on pełnym pożądania wzrokiem lustruje jej ciało, została brutalnie wyrwana ze swoich marzeń.

– Możesz przestać? Irytujesz mnie!

W odpowiedzi Arne grzecznie przyspieszył kroku i po chwili znów szli obok siebie, kierując się w stronę gospodarstwa. Jakby na mocy wzajemnego porozumienia utrzymywali między sobą dystans, by nie ryzykować kontaktu fizycznego. Po chwili Pauline spytała:

– A co z nami?

Poczuła, jak Arne sztywnieje, i uprzedziła jego odpowiedź:

– Okej, wiem, co byś mi powiedział, gdybyś się odważył. Że twoje dzieci są ważniejsze.

– Tak.

– Właściwie wiem o tym. Najdziwniejsze jest to, że prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy cię chcę, ale boli mnie, że mnie odtrącasz. Potrafisz to zrozumieć?

– Tak.

– Cóż, nic się nie zmieniło.

– Nic.

Pauline poczuła się obnażona, zaczęła się z nim droczyć, jakby chciała się ukryć za lekko ironicznym tonem:

– Mimo że mam teraz dom, gdzie jest dość miejsca dla nas obojga?

– Przyznaję, że dom jest świetny. Chociaż zastanawiam się, czy nie powinnaś sprawić sobie psa.

– Zamiast ciebie? Zastanowię się.

– Możesz sobie żartować, ale nie da się ukryć, że mieszkasz dość odludnie, tuż pod lasem. Jakiś podglądacz może się zakraść i nikt go nie zauważy.

– Nie podoba ci się, że ktoś mógłby mnie podglądać?

– Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

– Mam kota, musi mi wystarczyć.

– Potraktuj to poważnie. Ja nie żartowałem.

Pauline zastanawiała się chwilę, ale jednak odrzuciła pomysł.

– Gorm nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Kto to jest Gorm?

– Mój kot.

Roześmiali się i resztę drogi do momentu wyjścia z lasu szli, trzymając się za ręce.

Kiedy Arne Pedersen i Pauline Berg wrócili do gospodarstwa, jego właściciele siedzieli już na tarasie i czekali na nich. Mężczyzna był pulchny, niewielkiego wzrostu, z łysą głową, osadzoną jakby bezpośrednio na tułowiu. Kobieta wydawała się zagniewana. Odpoczywali przy ogrodowym stoliku, na którym stały dzbanek w wodą i dwie kryształowe szklanki. Obok kobiety leżała łubianka truskawek, odrywała szypułki wprawnym gestem i wrzucała owoce stojącej obok jej krzesła miski. Kiedy Arne i Pauline podeszli bliżej, nawet ich nie pozdrowiła. Mężczyzna okazał się bardziej gościnnie, wyciągnął swoją krótką, pulchną rękę i wskazał im dwa krzesła.

– Siadajcie. Mamuśka przygotowała wodę z lodem, w sam raz na taki skwar. Nalali wodę do szklanek, wypili, pozwalając mężczyźnie mówić.

– Syn powiedział mi, że przyjechaliście aż z Kopenhagi, żeby porozmawiać o panu dyrektorze Falkenborgu, który kiedyś mieszkał tu po sąsiedzku. Zdążyliśmy go trochę poznać, niesympatyczny typ, dobrze mówię?

Pytanie było skierowane do kobiety, która zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała.

– To taki typ, co to zrobi wszystko, żeby dokuczyć innym. My tu takich nie lubimy.

Arne czuł, że rozmowa szybko może przybrać niepożądany obrót, i postanowił temu zapobiec.

– Kiedy Andreas Falkenborg tu mieszkał?

– Tego dokładnie nie pamiętam, pamiętam natomiast, że kiedyś zatruwał nam życie przez całą jesień i większość zimy.

Ku zdziwieniu gości kobieta natychmiast przywołała męża do porządku.

– Odpowiedz panu policjantowi na pytanie. Pan pyta, kiedy Falkenborg tu

mieszkał.

Mężczyzna pokiwał głową, kilka razy.

– Kiedy to było? Pewnie w połowie lat osiemdziesiątych. Może w 1987, tak, już sobie przypominam, w 1987 roku.

Kobieta weszła mu w słowo:

– Bzdura! To było gdzieś późnym latem 1990 roku, a nauczyciele wprowadzili się tu w lipcu, niecałe dwa lata później.

Mężczyzna próbował zachować twarz.

– Tak, doprecyzowałaś to.

– Mieszkał tu przez cały czas?

– Tak, zawsze tu był.

Kobieta znów poprawiła męża:

– Początkowo dwa razy w tygodniu jeździł do Kopenhagi, wyjeżdżał w poniedziałek i wracał we wtorek, a potem wyjeżdżał w czwartek i wracał w piątek.

– Jak stał się właścicielem tego domu?

– Kupił go.

Kobieta potwierdziła odpowiedź męża chrząknięciem, wyrzucając jednocześnie zepsutą truskawkę na grządkę.

– Domyślam się, ale chodziło mi o to, czy dom był wystawiony na sprzedaż, czy też Falkenborg sam zaproponował poprzednim właścicielom kupno.

Tym razem Arne skierował swoje pytanie do kobiety, ale ona je zignorowała, czekając na odpowiedź męża, najwyraźniej zadowolona z roli najwyższego sędziego.

– Pamiętam, że dom był wystawiony na sprzedaż. Z jego dawnym właścicielem chodziliśmy razem do szkoły, ale potem przeprowadził się na Lollandię, żeby być bliżej syna. A teraz już nie żyje.

Kobieta znów potwierdziła jego odpowiedź. Wydała z siebie dziwny nosowy dźwięk, który chyba miał oznaczać, że tak się kończą eskapady poza własną gminę.

Arne postanowił wrócić do tematu:

– Rozumiem, że stosunki z Andreasem Falkenborgiem nie układały się najlepiej. Poszło o coś konkretnego?

– Już pierwszego dnia po wprowadzeniu się zaczął szaleć. Przyszedł do nas, żeby się skarżyć.

Mężczyzna urwał, może czekając na reakcję żony, ale Pauline szybko zadała mu kolejne pytanie:

– Na co się skarżył?

– Wtedy nawoziliśmy pola obornikiem, a on się wściekł. Ale skoro nie robiliśmy tego w święta czy w weekendy, to mieliśmy prawo. A jeśli nie odpowiadał mu zapach, to powinien być zostać w mieście. Nikt nie zmuszał go do kupna tego domku.

– Powiedział mu to pan?

– Jasne, chociaż wrzeszczał i na wszystkich się wydzierał. Przysięgał, że mu za to zapłacimy, przeklinał nas.

– No i staliście się wrogami?

– Tak, a potem zdarzyła się jeszcze ta historia z maciorą. Po kilku tygodniach przywiózł tu maciorę. Później okazało się, że kupił ją od chłopca w Allerslev i kazał zaszlachtować. A potem powiesił ją w dziurawym pniu tej starej topoli, która stoi na granicy z nami. To znaczy, nie zrobił tego sam, tylko wynajął czterech facetów, którzy nieźle się namęczyli, zanim udało im się ją tam powiesić. Nie wiem, czy macie pojęcie, jakie to wielkie zwierzę.

– Które to drzewo?

– Tamto, o tam.

Mężczyzna wskazał na starą, nieco krzywą topolę, która zdecydowanie wymagała podcięcia, no i na pewno najlepsze lata miała już za sobą.

– Jeśli się tam przejdziecie, zobaczycie, że w jej pniu nadal tkwią te żelazne pręty.

– Nawet stąd je widać. Ale o co w tym wszystkim chodziło?

– Nie rozumie pan? To była zemsta. Ta ogromna maciora wisiała tam i gniła, aż został z niej tylko szkielet. Cuchnęła tak potwornie, że trudno to sobie wyobrazić. W ogóle nie mogliśmy korzystać z tarasu, a w najgorszym okresie to nawet okna nie sposób było uchylić. Musieliśmy wieszać pranie na strychu, żeby nie przeszło tym smrodem.

– Ale u niego też cuchnęło?

– Tak samo jak u nas, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Spacerował po polach i głupkowato się uśmiechał. Czasem nawet podchodził do padliny i klepał biednego zwierzaka po grzbiecie.

– Nie zgłosiliście tego nigdzie? Takie rzeczy są zabronione. Nawet tutaj... To znaczy nawet na łonie natury.

Usta kobiety zastygły w grymasie i przypominały teraz kurzy kuper, ale mężczyzna chyba niczego nie zauważył, bo niezrażony, a nawet nieco dumny, ciągnął dalej:

– Takich rzeczy my nie robimy, ale po kilku tygodniach miałem dosyć, poszedłem do niego i sprąłem go po pysku.

– Bzdura, wyszedłeś na dumnia.

I Arne, i Pauline spojrzeli zdziwieni na kobietę, która mówiła dalej:

– Falkenberg rzeczywiście dostał po gębie, ale nagrał wszystko na wideo, chociaż nie wiem, jak to zrobił. Najpierw zadzwonił na pogotowie, przyjechała karetka i gdzieś go zabrali, a on jęczał, jakby nie wiem co mu się stało. Dwa dni później przyszedł do nas, pokazał nam nagranie i oznajmił, że naśle na nas policję i adwokata, jeśli będziemy próbowali zdjąć maciorę, bo należy nam się kara! Tak wła-

śnie powiedział: „Należy wam się kara”.

Arne i Pauline spędzili jeszcze kwadrans, drążąc sprawę sąsiedzkiej waśni, ale niczego więcej już się nie dowiedzieli. Na koniec Arne położył na stole zdjęcie Annie Lindberg Hansson.

– Znacie ją?

Mężczyzna zaprzeczył, ale kobieta spojrzała na zdjęcie i powiedziała:

– To Annie, córka tego pijaczyny z Jungshoved.

– Zaginęła w 1990 roku.

– Zaginęła... Bzdura. Dała nogę do Kopenhagi. Wszyscy to wiedzą.

Rozdział 14

Następnego dnia po podróży na południe Zelandii, Arne znów ruszył w drogę, tym razem w przeciwnym kierunku, na północ. Konrad Simonsen wysłał go do Hundested, gdzie miał się spotkać z mężczyzną, który być może mógł wyjaśnić, co spowodowało przerwę w studiach Andreasa. Arne przybył na miejsce przed umówionym czasem i teraz siedział w restauracji i rozkoszował się widokiem na port w Hundested, uroczym miasteczku, wciąż jeszcze, mimo końca sezonu, tętniącym życiem i pełnym turystów. W porcie cumowały kutry, poza tym był tu też terminal, z którego odchodziły promy do Rørvig, po drugiej stronie fiordu. Dzień nie był tak upalny jak poprzedni. Po niebie sunęły leniwie pierzaste chmury, ale kawa, którą mu podano, była mocna i smaczna, tak więc mimo że czuł się nieco senny, życie wydawało mu się przyjemne.

Mężczyzna, z którym był umówiony, spóźnił się. Przepraszał niezbyt speszo-ny, że nie mógł go znaleźć w tłumie ludzi, mimo że Arne widział, jak przed chwilą wysiadł z samochodu i od razu skierował swoje kroki do jego stolika. Konrad Simonsen zdążył mu jedynie przekazać, że jego rozmówca to były komisarz, określił go także jako barwną postać, cokolwiek to miało znaczyć. Były komisarz okazał się mężczyzną tuż po sześćdziesiątce, był jowialny i potrafił zjednywać sobie ludzi. Arne z miejsca go polubił, zauważył też, że jego gość cieszy się powszechną sympatią – wiele osób go pozdrawiało, kiedy szedł przez salę. Nazywał się Hans Svendsen i od razu przystąpił do rzeczy:

- Co Simon powiedział ci o naszej umowie?
- Niestety niewiele, był bardzo zajęty, jak my wszyscy zresztą.
- Simon zawsze jest zajęty, on już taki się urodził.

Arne zaprotestował. Przeżywali obecnie trudny okres, wszyscy byli nadmier-nie obciążeni pracą, on sam także. A może jego odczucia wynikały z tego, że za-rwał kilka ostatnich nocy? Ziewnął i zaczął rozmowę:

– W 1977 roku spotkał pan, niejakiego Andreasa Falkenborga. Interesuje nas, czym on się wtedy zajmował. Poza tym wiem tylko, że był pan tu wówczas komisarzem.

– To prawda, ale zaczynałem jako zwykły policjant. Nie ja jeden zresztą. – Hans Svendsen wybuchnął zaraźliwym śmiechem i po chwili Arne też się śmiał. – Przede wszystkim mam pewne informacje odnośnie zabójstwa w Stevns, chociaż cała historia sięga znacznie bardziej w przeszłość. Pracowałeś może z Planckiem, kiedy prowadził dochodzenie w sprawie morderstwa tej kobiety? – Arne Pedersen pokręcił głową przecząco. – Pewnego dnia, kiedy jeszcze trwało śledztwo, zwróciła się do mnie kobieta, mieszkająca tu, w miasteczku. Kiedy była młoda, przeżyła coś, co pod wieloma względami przypominało to, co zaszło w Stevns. Jak się nazywała

ta biedna dziewczyna, która tam zginęła?

– Catherine Thomsen.

– Nic mi to nie mówi, chociaż na pewno to wiedziałem, mimo że nie prowadziłem sprawy osobiście. Tak czy inaczej ta kobieta zwróciła się do mnie, a ponieważ znałem ją już wcześniej, zaczęliśmy rozmawiać i wspominać dawne czasy. Był to rok 1997.

– A pan był tu wtedy komisarzem?

– O co chodzi z tym komisarzem? Nie, nie byłem, miałem biuro w ratuszu, ale to nie jest istotne. Kobieta nazywa się Rikke Barbara Hvidt. Opowiedziała mi o tym, co ją spotkało w 1977 roku. To było w Kikhavn, pięknym miejscu, właściwie rezerwacie przyrody, zaledwie kilka kilometrów stąd. Pamiętam tę sprawę, bo częściowo też w niej uczestniczyłem, chociaż ona tego nie pamiętała. Na szczęście udało się jej uciec.

– Ktoś ją napadł?

– Pewnego wieczora była sama w domu swoich rodziców, wtedy jeszcze tam mieszkała, kiedy nagle do środka wdarł się mężczyzna i zmusił ją, żeby poszła razem z nim na brzeg. Włożył jej do ust kawałek materiału i związał jej ręce. Tak przynajmniej potem zeznawała.

– Czyżby pan jej nie wierzył?

– Wówczas, to znaczy w 1977 roku, nie wierzyło jej wiele osób. Sam też miałem pewne wątpliwości, ale możliwe, że tak to sobie teraz racjonalizuję. Dwadzieścia lat później, w 1997 roku, uwierzyłem w każde jej słowo.

– Dlaczego najpierw jej nie wierzyliście? Jaki był powód?

– Chodziło o jej rodziców. Nie byli przykładnymi obywatelami, prawdę mówiąc, to byli przestępcy, przechowywali trefny towar: papierosy z przemytu, biżuterię z włamań, kradziony sprzęt nagłaśniający, haszysz, wszystko. Poza tym Rikke dała sobie zrobić dzieciaka, kiedy sama była jeszcze dzieckiem. No cóż, takie rzeczy budziły niechęć. – Mężczyzna podniósł rękę, jakby dając znak, żeby mu nie przerywać, i mówił dalej: – To oczywiście nie znaczy, że ktoś nie mógł chcieć jej skrzywdzić. Wiem o tym, ale różnie wtedy mówiono. Niektórzy uważali, że może ktoś chciał w ten sposób nastraszyć jej rodziców, takie porachunki wśród przestępców, w które praworządni obywatele nie muszą się mieszać. Byli też tacy, którzy uznali, że dziewczyna wszystko zmyśliła, że po prostu chciała zwrócić na siebie uwagę.

– Ile miała wtedy lat?

– Dwadzieścia parę.

– Też miała różne grzeszki na sumieniu?

– Skądże, chociaż wiele osób było przekonanych, że tak, tym bardziej że mieszkała z rodzicami. Ale ona miała dziecko i na pewno nie było jej łatwo. Nie stać jej było na coś własnego. A u rodziców nie musiała płacić czynszu, jej ojciec,

stary łajdak, dbał o swoje dzieciaki, to trzeba mu przyznać.

– Jak udało się jej uciec?

– Wykorzystała nadarżającą się okazję, ale jest przekonana, że mężczyzna, który na nią napadł, chciał ją zabić. Wykopał grób i zachowywał się jak szaleniec. Wpadł do domu, zaczął ją szarpać, w końcu zaciągnął na brzeg.

– Nie rozpoznała go?

– To właśnie jest dziwne. Jest to też jeden z powodów, dla których ludzie nie bardzo jej wierzyli. Twierdziła, że napastnik miał na twarzy maskę.

– Maskę?

– Tak mówiła. Dzisiaj nie mam co do tego żadnych wątpliwości, z czasem okazała się bowiem bardzo wiarygodna. Została księgarką, należy do rady parafialnej, jest szanowaną obywatelką i podtrzymuje wszystko, co wtedy mówiła. Twierdzi, że jego twarz przypominała twarz ducha, po bokach głowy spływał mu czarny materiał, wyglądał trochę jak egipski książę, tyle że materiał nie był biały. Ale o to będzie pan mógł sam ją wypytać.

Arne Pedersen wydawał się zdziwiony.

– To ona żyje?

– Ależ oczywiście. – Komisarz znów się roześmiał. – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego siedzisz i rozmawiasz ze mną, a nie z nią. Zaraz ci wszystko wytłumaczę, ale wróćmy jeszcze do 1977 roku, bo ta historia miała swój dalszy ciąg. Kilka tygodni po napadzie, kiedy Rikke zdążyła już trochę dojść do siebie, zaczął za nią chodzić jakiś obcy mężczyzna. Wówczas było to małe miasteczko, ludzie pilnowali się nawzajem, więc szybko rozeszła się plotka, że coś jest nie tak, i mężczyzna nie mógł wyjść za próg, żeby ktoś od razu nie zaczynał go śledzić. Został tu mniej więcej pół roku, mieszkał w gospodzie, chociaż nie mam pojęcia, skąd brał na to pieniądze. Czasem udawało mu się zgubić ogon, potem widywano go w Kikhavn albo gdzieś na wybrzeżu. Rikke była przekonana, że to on ją napadł, ale ponieważ wtedy był zamaskowany, nie miała żadnych dowodów, więc nie mogliśmy nic zrobić. Jej ojciec nie miał jednak takich ograniczeń i pewnego dnia rzucił się na faceta, tak że ten trafił na pogotowie.

– I to coś pomogło?

– Nic a nic. Wkrótce znów za nią chodził. Nie żeby robił coś niedozwolonego, ale nie było to przyjemne, no i baliśmy się, że następnym razem ojciec dziewczyny nie będzie dla niego taki pobłażliwy. Nagle jednak wszystko się skończyło. A stało się to tego dnia, kiedy Rikke zdecydowała się obciąć włosy. To wszystko zmieniło. Facet dostał szału, wpadł do salonu fryzjerskiego, błagał, płakał. Właścicielka oczywiście zadzwoniła do nas i właśnie ja otrzymałem polecenie udania się na miejsce.

– Obezwładnił go pan?

– To za dużo powiedziane, ale odciągnąłem go od Rikke i zabrałem na komi-

sariat. Zachowywał się jak rozhisteryzowane dziecko, płakał, pomstował na Rikke, wyzywał ją od najgorszych. Nikt nie miał wątpliwości, że coś z nim jest nie tak. Został w areszcie na noc, zakazaliśmy mu zbliżania się do salonu fryzjerskiego i do Rikke, a potem wypuściliśmy.

– Przesłuchano go w sprawie napadu na plaży?

– O ile dobrze pamiętam, to nie.

– I cała ta awantura wzięła się stąd, że Rikke Barbara Hvidt ścięła włosy?

– Tak. Miała wprawdzie przepiękne włosy, ale co jemu do tego?

– Ma pan wrażenie, że ona specjalnie je ścięła?

Hans Svendsen zmarszczył brwi i pokiwał dobrotliwie głową.

– Na litość boską, co to za pytanie? Jeśli ktoś postanawia ściąć włosy, to chyba robi to świadomie.

– Chodziło mi o to, czy postanowiła je ściąć, dlatego że została napadnięta. Czy te sprawy miały ze sobą coś wspólnego?

– O ile mi wiadomo, to nie, ale o to też możesz spytać ją sam.

– Nie omieszka. A co działo się później? To znaczy po jego zwolnieniu.

– To też jest dziwne. Jeszcze tego samego dnia wymeldował się z hotelu i wyjechał, nie wiem, czy wrócił do domu, w każdym razie opuścił Hundested.

– Kiedy dziewczyna ścięła włosy, przestała go interesować?

– Tak.

Arne Pedersen postanowił jeszcze raz wszystko podsumować.

– Jeśli dobrze rozumiem, to wiele lat później, a dokładnie w 1997 roku, Rikke Barbara Hvidt zauważyła pewne podobieństwa między tym, co spotkało ją na plaży w Kikkehavn, a zabójstwem Catherine Thomsen w Stevns?

– Zgadza się z jednym zastrzeżeniem, miejscowość nazywa się Kikhavn, ale poza tym rzeczywiście tak było. Gazety dużo o tym pisały, a kiedy Rikke przeczytała o losie Catherine, przypomniała sobie o tym, co ją kiedyś spotkało. Skontaktowałem się z Planckiem, ale kilka dni później Thomsen, ojciec Catherine, został aresztowany i oskarżony, a potem nie wracałem już do sprawy. Na pewno jednak jest gdzieś jakaś notatka na ten temat, inaczej byście się do mnie nie zwracali.

Arne Pedersen spojrzał na niego zdziwiony.

– Byłem przekonany, że to pan zwrócił się do Simona.

– Nie, zadzwonił do mnie jeden z waszych studentów, prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem, że ich zatrudniacie, w każdym razie skontaktował się ze mną, bo wpadł na pewien trop. Czy wy tam, w Kopenhadze, w ogóle ze sobą nie współpracujecie? To taka najnowsza stołeczna moda?

Arne pomyślał, że coś w tym jest, ale głośno powiedział:

– Zwykle dzielimy się informacjami, ale tym razem musiałem coś źle zrozumieć. Nie zdziwiło pana, że Rikke nie została przesłuchana?

– Nie, wszyscy byli przekonani, że zabójcą był ojciec dziewczyny, na torbie

znaleziono jego odciski palców. Sprawa wydawała się prosta. A tak *à propos*, jak to teraz tłumaczycie? Mam na myśli odciski palców.

– Podejrzewamy, że morderca go podszedł. Zapewne zdobył odciski palców podczas przeprowadzki. Na przykład poprosił go o przeniesienie czegoś zawiniętego w torbę foliową. To mógł być większy wazon, cokolwiek, jakieś popiersie na cokole, które ludzie ostatnio często stawiają w pokojach, ale to tylko spekulacje. Dlatego mam do pana prośbę: czy mógłby się pan przyjrzeć kilku zdjęciom i powiedzieć, czy któraś z tych kobiet przypomina panu Rikke z 1977 roku?

– Oczywiście, ale podejrzewam, że ona sama ma jakieś swoje zdjęcia z tego okresu. Wtedy będzie można je porównać. To chyba najprostsze.

– Chciałbym poznać także pana zdanie, jeśli...

Jego wywód przerwało głucho wycie syreny, które po chwili się powtórzyło. Wszyscy przerwali swoje zajęcia i skierowali wzrok na wyjście z portu, gdzie prom z Rørvig niebezpiecznie zbliżył się do jednej z żaglówek. Hans Svendsen wstał.

– Co taki dureń sobie wyobraża? Prom nie zawróci w miejscu. Lepiej nie wchodzić mu w drogę, kolego. No, tym razem chyba mu się uda. Ludzie czasem w ogóle nie myślą, nawet kiedy płyną z dziećmi na pokładzie. – Komisarz znów usiadł. – Pokaż mi te zdjęcia, przyjrzę się im.

Arne Pedersen położył fotografie na stoliku. Maryann Nygaard, Catherine Thomsen i Annie Lindberg Hansson, trzy uśmiechnięte, piękne młode kobiety, zdumiewająco do siebie podobne. Hans Svendsen zerknął na nie i skinął głową.

– Rzeczywiście, Rikke w młodości była do nich podobna.

– Nie przyjrzał się pan im dokładnie.

– Rikke ma wnuczkę, która co prawda jest od nich młodsza, ale podobna jak dwie krople wody, chociaż w tym przypadku powinienem chyba powiedzieć cztery.

– A wnuczka, jak rozumiem, jest podobna do babci?

– Ludzie tak mówią, sam zresztą też tak uważam. Bardzo miła dziewczyna, Rikke i ona często chodzą razem na spacer, więc niewykluczone, że ją spotkasz.

Arne skorzystał z okazji i nie uprzedzając komisarza, pokazał mu też zdjęcie Andreasa Falkenborga. Tym razem mężczyzna zastanawiał się nieco dłużej, ale też nie miał żadnych wątpliwości.

– Tak, to on. Minęło sporo czasu, ale jestem pewien, że to jego wyciągałem wtedy z zakładu fryzjerskiego. Rozumiem, że szuka kobiet o szczególnym typie urody. Młode, z czarnymi kręconymi włosami?

– Na to wygląda. I jest bardzo wybredny, że tak to ujmę. Muszą spełniać wszystkie kryteria. Poza tym on ich nie szuka, to one muszą „przyjść” do niego. Kiedy to nastąpi, wtedy uderza. Taki jest obecny stan naszej wiedzy, ale nadal jest sporo niewiadomych.

Hans Svendsen pokiwał poważnie głową.

– Zakładam, że tym razem namierzyliscie właściwą osobę?

– Jesteśmy o tym przekonani, ale niełatwo będzie to udowodnić. Proszę mi powiedzieć, co z tego, co pan mi teraz opowiedział, przekazał pan także Simonowi? – Rozłożył ręce, jakby chcąc uprzedzić wszelkie uwagi. – Wiem, że powinienem to wiedzieć, ale niestety nie mam pojęcia.

– Tak, tak, rozumiem, że jesteście okropnie zapracowani, więc od razu powiem, że niewiele. Rozmawialiśmy może minutę, prosił, żebym wszystko opowiedział tobie.

– Podejrzewam, że Simon nie jest świadomy, jak istotna może się okazać rozmowa z Rikke Barbarą Hvidt, dlatego zadzwonię do niego i spróbuję go tu ściągnąć. W tej chwili wydaje mi się to najważniejsze.

Ku swojemu zdziwieniu Arne odkrył, że Hans Svendsen wcale się do tego nie pali. Drapiąc się po brodzie, stwierdził:

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– A niby dlaczego nie?

– Dwie obce osoby to trochę za dużo. Rikke jest dość nerwowa, żeby nie powiedzieć neurotyczna. Mniej więcej dwa lata temu przeżyła okropny wypadek, w którym zginęła jej córka, a ona sama straciła wzrok. Samochód wjechał w wystawę księgarni, gdzie ona i córka właśnie coś układały. Kierowca był pijany, nie zdążył wyhamować i uderzył w nie. Sam zresztą zginął na miejscu. Od tamtej pory Rikke bardzo się zmieniła, niekiedy trudno się z nią porozumieć, nawet ludziom, którzy dobrze ją znają. Nie potrafię powiedzieć, jak zareaguje, kiedy stawi się u niej dwóch obcych mężczyzn. Nie wiem, czy w ogóle będzie chciała z wami rozmawiać.

– Rozumiem.

– Może najpierw spróbuję się skontaktować z jej wnuczką? Ona będzie najlepiej wiedziała, w jakim stanie jest jej babcia, bo przecież miewa lepsze i gorsze dni.

Mężczyzna wstał i zniknął w głębi lokalu. Wrócił po dobrych dwudziestu minutach.

– Podobno powinno się udać, ale musicie się nastawić na to, że rozmowa może trochę potrwać i najlepiej, żeby pytania zadawał tylko jeden z was. Za godzinę wnuczka zabiera Rikke na spacer, Simon jest już w drodze.

– Zawiadomił go pan?

– Uznałem, że tak będzie najlepiej. Grasz w bilard?

– W tę grę, gdzie kijami uderza się kule na stole?

– Tak jest, widzę, że trafiłem na godnego przeciwnika. Chodź, sprawdzimy, czy jest jakiś wolny stół.

– W porządku, gramy dziewięcioma bilami.

– Mówiłem, że trafił mi się godny przeciwnik. Zaraz wszystko będzie jasne.

Rozdział 15

– Czy aspekt lesbijski wniósł coś do sprawy, Simon?

Drzwi do gabinetu Konrada Simonsena były otwarte, Pauline skorzystała z okazji i po prostu weszła do środka. Zobaczyła, że jej szef i Hrabianka właśnie szykują się do wyjścia. Dokąd? Nie miała pojęcia. Chwilę wcześniej została poinformowana, że dzisiejsza prezentacja profilu psychologicznego Andreasa Falkenborga została odwołana. Dlaczego? Tego też nie wiedziała. Czuła się więc poirytowana i odstawiona na boczny tor. Dlatego zadała pytanie bez żadnego wstępu i może nieco zbyt agresywnie. Ale ku swojemu zdziwieniu wcale tego nie żałowała.

Konrad Simonsen spojrzał z ciekawością na młodą podwładną. W takim nastroju jeszcze nigdy jej nie widział. Stała w drzwiach, trzymając się pod boki, i blokowała wyjście. Miał ochotę się roześmiać, ale się powstrzymał. Nie chciał pozbawić jej pewności siebie ani zapału. Doskonale wiedział, do czego zmierza. „Aspekt lesbijski”. Niemal zapomniał, że sam kiedyś tak się wyraził, ale, o ile dobrze pamiętał, pierwszy zrobił to Kasper Planck, jego dawny szef. Inspektor spojrział na zegarek i dopiero po chwili zwrócił się do Pauline:

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz. Nie powinnaś już wychodzić?

Ostatnie zdanie skierowane było do Hrabianki, która usiadła na fotelu, uśmiechając się przymilnie.

– Mogę poczekać pięć minut. Też chętnie posłucham.

Pauline Berg wskazała palcem na szefa i postanowiła iść na całość.

– Sprawę morderstwa w Stevns znasz jak własną kieszeń. Na marginesie protokołu przesłuchań Carla Henninga Thomsena jest twoja własnoręczna adnotacja: „sprawdzić aspekt lesbijski”. Podczas poniedziałkowej prezentacji wspomniałeś o rodzącym się związku lesbijskim. Przejrzałam całą dokumentację dwa razy i nie znalazłam nic o ewentualnej przyjaciółce Catherine. W każdym razie nie o tego rodzaju przyjaciółce. Nie wiem, skąd w ogóle przyszło wam do głowy, że była lesbijką? Nie znalazłam niczego, co by na to wskazywało. O jaki rodzający się związek lesbijski chodziło?

Pauline słyszała wzburzenie w swoim głosie.

Konrad Simonsen próbował załagodzić sprawę.

– Może usiądziesz i zaczniemy wszystko od początku?

Pauline usiadła i zaczęła opowiadać.

Zdjęcie Andreasa Falkenborga pokazano wszystkim świadkom w sprawie morderstwa w Stevns. Wymagało to sporo pracy, ale wszystko zostało bardzo sprawnie i szybko przeprowadzone. Wynik był negatywny, nikt go nie rozpoznał. W trakcie przeglądania dokumentów zauważyła, że nigdzie nie wspomina się o rze-

komej przyjaciółce Catherine. Czego bardzo żałowała, bo właśnie ewentualna przyjaciółka mogłaby coś wnieść do sprawy. Im więcej protokołów czytała, tym bardziej była zdziwiona. Przyjaciółka pojawiła się tylko raz, w nieco nonszalanckiej adnotacji Simonsena. Coś tu się nie zgadzało. Catherine Thomsen nie mogła być lesbijką, skoro nie było niczego, co wskazywałoby na istnienie jej przyjaciółki.

Konrad Simonsen słuchał, nie przerywając. Kiedy skończyła, uzupełnił jej informacje:

– Dowiedzieliśmy się o tym na dość późnym etapie dochodzenia. Dwa, może trzy tygodnie przed tym, jak jej ojciec popełnił samobójstwo. Nigdy nie udało nam się ustalić, kim była ta przyjaciółka, ale na pewno istniała. Potem nikt już nie próbował tego dociec. Tym bardziej że byliśmy przekonani, że ujęliśmy jej zabójcę.

– Skąd się o niej dowiedzieliście?

– Słyszałaś może o stowarzyszeniu religijnym o nazwie Polne Lilie?

– Nie.

– Zwróciła się do nas pewna pani pastor. Catherine Thomsen odwiedziła ją kiedyś i opowiedziała o konflikcie między religijnością a swoją cielesnością. Pamiętam, że kiedy dokładnie przejrzelśmy wszystkie zdjęcia z pogrzebu, zwracając szczególną uwagę na obecne na nim młode kobiety, okazało się, że jedna z nich jest nam całkowicie nieznana. Powstał nawet raport w tej sprawie...

– Nie ma żadnego raportu.

Pauline Berg przerwała swojemu szefowi, co nie zdarzało się często.

– Przestań mi przerywać i posłuchaj. Sporządziliśmy raport, ale po śmierci Carla Henninga Thomsena sprawa została zamknięta. Podejrzewam, że mój poprzednik mógł przenieść dokumenty do archiwum Petersena, ponieważ pani pastor złamała zasadę milczenia. Czego zresztą bardzo żałowała, mimo że Catherine już nie żyła.

– Archiwum Petersena?

Simonsen spojrzał na Hrabiankę, która nieznacznie pokręciła głową. Najwyraźniej też nie miała już czasu. Inspektor zwrócił się więc do Pauline:

– Jeśli zadzwonisz za kwadrans, wszystko ci opowiem. Teraz muszę już jechać, ale mam wrażenie, że jesteś na dobrym tropie.

Rozdział 16

Mężczyzna zbliżał się do wieku emerytalnego. Hrabianka przyglądała mu się, nie ukrywając zainteresowania. Był tęgi, miał pogodne oczy i powolne ruchy. Gęste bokobrody i wąsy doskonale harmonizowały z nieco staromodnym, szarym garniturem. Jeśli ktoś chciałby go jakoś określić, powiedziałby pewnie, że jest człowiekiem opanowanym. Albo spokojnym i zrównoważonym.

Jakieś dziesięć lat temu był dyrektorem w Ministerstwie Finansów, gdzie robił oszałamiającą karierę. Otwierały się przed nim wielkie perspektywy, kiedy nagle, z dnia na dzień, pokonał go stres. Sytuacja była przykra, oczywiście przede wszystkim dla niego, ale także dla jego przerażonych kolegów, do których nagle dotarło, że skoro coś takiego mogło się przydarzyć jemu, to znaczy, że oni też kiedyś mogą nie podolać. Po okresie rekonwalescencji okazało się, że powrót do ministerstwa nie jest możliwy, więc znaleziono dla niego, a raczej stworzono, specjalne stanowisko w Banku Narodowym. Oficjalnie był więc teraz zatrudniony w Wydziale Monet w Królewskiej Mennicy w Brøndby, ale faktycznie jego miejsce pracy znajdowało się na Købmagergade, w XVIII-wiecznym barokowym pałacu, zwanym Marskalgården, Dwór Marszałkowski, gdzie na poddaszu mieścił się jego pokój. Jeśli ktoś miał ochotę, mógł, idąc do niego, zwiedzić po drodze Muzeum Poczty i Telekomunikacji. Jego monetarne obowiązki nie były nadmiernie obciążające i przez większość dnia właściwie robił to, co chciał. Okazał się bardziej przydatny, niż pierwotnie sądzono, miał bowiem znaczną wiedzę na temat zawłości administracji centralnej i chętnie udzielał dobrych rad każdemu, kto pofatygował się na jego poddasze. W kręgach urzędniczych nazywano go Wyrocznią z Købmagergade i z czasem coraz więcej osób korzystało z jego dyskretnych konsultacji. Przychodzili do niego wszyscy: stażyści i szefowie departamentów, od czasu do czasu zaglądali nawet ministrowie.

Ledwie Hrabianka zaczęła mówić, przerwał jej dzwonek komórki, którą zapomniiała wyłączyć. Odebrała, ale szybko zakończyła rozmowę.

– Bardzo przepraszam, dzwonił mój szef.

– Szef, lokator, ukochany, do wyboru.

Mówił niskim głosem, właściwie marynarskim basem, powoli, z dziwną, charakterystyczną melodią, jakby poszczególne zdania nie były ze sobą powiązane. Kobieta próbowała ukryć zdziwienie. Roześmiała się i powiedziała:

– Jak zwykle świetnie poinformowany. Ale na czym to skończyliśmy?

– Na tym, że Helmer Hammer odwiedził twojego współlokatora w kenie, pół godziny po tym, jak Bertil Hampel-Koch wyszedł od was zagniewany.

Hrabianka opowiedziała mu, jak Konrad Simonsen codziennie w e-mailu zdawał dyrektorowi sprawozdanie z postępów w dochodzeniu. Skończyła i zawa-

hała się chwilę. Jej rozmówca natychmiast to zauważył i powiedział cicho:

– Mówisz o bardzo ważnych osobach. Jeśli mam ci pomóc, musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

Policjantka uznała słuszność jego argumentu i postanowiła niczego przed nim nie ukrywać:

– Podejrzewam, że Bertil Hampel-Koch był na Grenlandii w 1983 roku i zabił dziecko dziewczynie, która potem została zamordowana.

Mężczyzna milczał dłuższą chwilę, przetrawiając to, co usłyszał, w końcu odezwał się beznamiętnym tonem:

– To niezwykła teoria. Zaciekawiaś mnie. Ale jeśli podejrzewasz, że to on ją zabił, to się mylisz.

– Wiem doskonale, że nikogo nie zabił. Poza tym wcale nie jestem tego pewna. Po prostu przyszło mi to na myśl.

– Mów dalej.

Hrabianka opowiedziała mu o rozmowie z Allinną Holmsgaard, a potem przedstawiła mu swoją teorię.

– Kiedy pani profesor opowiedziała mi o głosie Steena Hansena, czy raczej o głosie nieznanego kochanka Maryann, przypomniałam sobie, że niedawno słyszałam taki głos. Tak mówi Bertil Hampel-Koch. To oczywiście tylko spekulacje, ale biorąc pod uwagę zaangażowanie w sprawę zarówno jego, jak i dyrektora Helmera Hammera, to... No cóż, powiedziałabym, że pewne rzeczy stają się nagle bardziej zrozumiałe.

Mężczyzna skwitował to krótkim pytaniem:

– Chcesz powiedzieć, że gdyby nie ten fakt, nie byłoby zrozumiałe?

– Najpierw Bertil Hampel-Koch na siłę wprasza się na naszą prezentację, powołując się na międzynarodowe zaangażowanie Amerykanów, Grenlandczyków, a nawet Niemców. Potem wychodzi wściekły z pierwszego spotkania, bo podobno poczuł się obrażony, następnie, dosłownie chwilę później, zjawia się u nas Helmer Hammer, jakby byli umówieni. Poza tym nie wierzę, że jedno z czołowych stanowisk w Ministerstwie Spraw Zagranicznych może zajmować człowiek zachowujący się tak impulsywnie, żeby nie powiedzieć głupio.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– To właśnie mi się u was policjantów podoba. Zawsze kierujecie się zdrowym rozsądkiem i na wszystko macie gotową odpowiedź. Ale inni też potrafią wyciągać wnioski, chociaż przyznaję, że historia z głosem wydaje mi się nieco naciągana. Na pewno masz coś więcej, inaczej nie przyszedłabyś tutaj. Sprawdziłaś Bertila?

Hrabianka skuliła się. Jej rozmówca miał rację, rzeczywiście miała coś jeszcze, coś, co najchętniej zachowałaby dla siebie.

– Bertil Hampel-Koch podarował Maryann Nygaard swoją czapkę. Tak przy-

najmniej sędzę. Twierdził, że zrobiła ją na drutach jego matka, ale metka wskazywała na niewielki butik w Holte, który nazywał się Heksestriek. Działał zaledwie osiemnaście miesięcy, od początku 1982 do połowy 1983 roku. Prowadziły go trzy kobiety, przyjaciółki. Jedną z nich była żona Bertila Hampela-Kocha.

Jej rozmówca zmrużył oczy, pozostawiając słowa bez komentarza. Po chwili odezwał się cicho:

– To oczywiste, że w grę nie wchodzi żadne kwestie polityczne, w każdym razie na poziomie, który wymagałby zaangażowania Bertila.

– Jeśli mam rację, to w tym momencie odsłania się przed nami cały wachlarz pytań.

– Być może. Jedno z nich brzmi: co chcesz osiągnąć, drażąc tę sprawę? Z samym śledztwem nie ma ona niczego wspólnego. Rozmawiałaś o tym z Simonem?

Hrabianka zauważyła, że mężczyzna powiedział z Simonem, a nie z inspektorem czy z Konradem Simonsenem.

– Znasz Simona osobiście? Nie wiedziałam.

– Znam go trochę, ale nie odpowiedziałam na moje pytanie.

– Nic mu jeszcze nie mówiłam. Zrobię to, kiedy zyskam pewność, że Bertil Hampel-Koch to Steen Hansen.

– I to jest słaby punkt w twojej teorii. Jeśli dobrze pamiętam, na początku lat osiemdziesiątych Bertil pracował w Ministerstwie Obrony, co mogłoby tłumaczyć jego wyprawę do bazy w Thule, ale trudno mi uwierzyć, że pojechał tam pod fałszywym nazwiskiem. W administracji państwowej takich rzeczy się nie robi i nie robiło się też dwadzieścia pięć lat temu. Chociaż...

Zawahał się, a Hrabianka nie potrafiła poskromić swojej ciekawości.

– Chociaż?

– Chociaż Bertil potrafił niekiedy niezłe zamieszać. Czasem zachowywał się jak dureń, chociaż zawsze inteligentny dureń. Potem trochę złagodniał, ale nadal był piekielnie inteligentny. To mogła być jego prywatna inicjatywa. Podkreślam: mogła. Pewnie sama do tego dojdiesz, co prowadzi nas z powrotem do pytania: co chcesz przez to osiągnąć? I w czym ja mógłbym ci ewentualnie pomóc?

Hrabianka miała poczucie, że mężczyzna ją przejrzał, ale nie zamierzała się wycofywać.

– Nie lubię, kiedy ludzie, którzy mają władzę, tacy jak Bertil Hampel-Koch i Helmer Hammer, odgrywają pantomimę za moim plecami i nikt nie wie, co się tak naprawdę dzieje. Poza tym boję się, że nasz wydział może paść ofiarą jakiejś politycznej gry, na którą nikt z nas nie ma wpływu.

– I Simon może mieć nieprzyjemności?

– Tak.

– Obawiam się, że drażąc sprawę, tylko zwiększasz ryzyko. Możesz natknąć się na rzeczy, w które nie powinnaś się mieszać. Moja rada brzmi: daj sobie z tym

spokój i o wszystkim zapomnij.

– Dobrze, skoro tak mówisz. Wiedz jednak, że nie ja jedna interesuję się tym, co Bertil Hampel-Koch robił na Grenlandii w 1983 roku. Kiedy zadzwoniłam do Muzeum Knuda Rasmussena, żeby umówić się na obejrzenie zdjęć z Grenlandii, dowiedziałam się, że już przedwczoraj w tej samej sprawie dzwoniło tam dwóch dziennikarzy.

W oczach mężczyzny nagle pojawił się błysk, jego głos stał się ostry.

– Skąd?

– Tego nie wiem.

– Mam nadzieję, że to nie ty ich tam wysłałaś?

Hrabianka pokręciła głową przecząco, nie komentując jego słów. Po chwili mężczyzna zaczął z niejakim wahaniem:

– Pewnie powinienem przekazać ci kilka informacji o Kancelarii Premiera. Chcesz posłuchać?

– Oczywiście.

– Właściwie urząd ten powinien nosić nazwę Ministerstwo Spraw Beznadziejnych, bo właśnie tam trafiają wszystkie sprawy, których nie udało się załatwić w żadnym innym miejscu i nie ma ich już komu podrzucić. „*The buck stops here*” głosił napis na tabliczce, którą postawił sobie na biurku prezydent Truman, ale równie dobrze można by ją umieścić nad drzwiami Kancelarii Premiera. Sama kancelaria nie jest duża, pracuje tam nie więcej niż setka ludzi, ale specjalnie wybranych, pochodzących z różnych ministerstw. Jeśli ktoś dostaje propozycję z Kancelarii Premiera, z reguły nie odmawia. Większość traktuje to jako rodzaj obywatelskiego obowiązku, a jednocześnie wyzwanie. Są tam jedynie cztery departamenty: spraw zagranicznych, administracji, gospodarki i klimatu. Helmer Hammer jest szefem wydziału administracji. Został nim trzy miesiące temu, ale od dawna o to zabiegał. Poza tym nie jest dyrektorem, jak powiedziałaś, tylko sekretarzem stanu, i prowadzi negocjacje na najwyższym szczeblu w całej administracji centralnej. Sekretarzy stanu jest czterech, wszyscy działają na bezpośrednie zlecenie premiera, często bez jego osobistego udziału. Niekiedy lepiej, jeśli premier w niektóre sprawy w ogóle się nie angażuje. Poza tym musisz wiedzieć, że dzień pracy Helmera Hammera jest niezwykle długi, a wolny weekend to rzadkość. Krótko mówiąc, jest szalenie zajęтым człowiekiem.

Hrabianka zamyśliła się na chwilę.

– Mam rozumieć, że świeżo mianowany szef departamentu nie zjawił się na komendzie dlatego, że nagle zapragnął się spotkać z Simonem, czy też dlatego, że jeden z dyrektorów Ministerstwa Spraw Zagranicznych ma problemy osobiste? To ostatnie oczywiście pod warunkiem, że moje przypuszczenia są słuszne.

Mężczyzna nie odpowiedział jej bezpośrednio.

– Dwie kwestie zawsze mają pierwszeństwo. Kwestie związane z polityką

bezpieczeństwa kraju i te stanowiące zagrożenie dla wizerunku premiera. I mam tu na myśli nie tylko urzędującego premiera, ale także wszystkich jego poprzedników, bez względu na przynależność partyjną.

– To zmusiłoby Hammera do działania?

– Zapewniam cię, że tak.

– A do czego ty się skłaniasz...

Mężczyzna przerwał jej:

– W tej chwili jeszcze nie mam zdania, ale wiem na pewno, że powinnaś okazać daleko idącą powściągliwość. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Jeśli znajdziesz zdjęcie, którego szukasz, zaproszę cię w najbliższych dniach na lunch, z zachowaniem pełnej dyskrecji. Jeśli jednak nie uda ci się odszukać dowodów świadczących o tym, że Bertil był wtedy na Grenlandii, to dziennikarzom zapewne też to się nie uda, i wtedy najlepiej będzie, jeśli zapomnisz o całej sprawie.

Reakcja Hrabianki była odruchowa:

– Dlaczego tak bardzo chcesz chronić Helmera Hammera?

– Bo masz więcej do stracenia niż do zyskania.

– Jest jeszcze jeden sposób, żeby się dowiedzieć, czy mam rację.

– Mianowicie?

– Kimkolwiek był ów tajemniczy Steen Hansen, zostawił tam swoje DNA.

Jej słowa zawisły w powietrzu, jakby oboje potrzebowali czasu, żeby naprawdę zrozumieć ich znaczenie. W końcu mężczyzna nachylił się nad biurkiem i chwycił Hrabiankę za rękę. Drgnęła, gdy poczuła jego dotyk, ale nie cofnęła dłoni. Mężczyzna wycedził przez zęby:

– Nawet o tym nie myśl.

Rozdział 17

Kiedy Konrad Simonsen, godzinę po rozmowie telefonicznej z Hansem Svendsenem, przybył do Hundested, wydawał się odprężony. Arne wiedział jednak, że na pewno musiał poprzesuwać różne wcześniej zaplanowane spotkania, żeby w tak krótkim czasie do nich dołączyć. Nie potrafił jednak powiedzieć, czyja głowa poleci, jeśli rozmowa z Rikke Barbarą Hvidt nie przyniesie oczekiwanych skutków i wróca do Kopenhagi z pustymi rękami. Pierwsze słowa inspektora potwierdziły jego domysły.

– Tak, Arne, znów musiałem odwołać wizytę u psychologa.

Hans Svendsen wyczuł napięcie i szybko włączył się do rozmowy na swój pogodny sposób:

– Witaj, Simon, przyjacielu. Miło znów cię widzieć. Wieść niesie, że jesteś blisko złapania wielbłąda, papugi czy jak to tam się nazywa.

Policzki Konrada Simonsena zrobiły się czerwone, ale nie odezwał się. Hans Svendsen mówił więc dalej:

– No proszę... I chyba schudłeś. To już nie ta kategoria wagowa co dawniej.

– Niestety, daleko mi jeszcze do ideału, ale też się cieszę, że cię widzę, Hans. Mężczyźni objęli się.

– Chodźcie, przejdziemy się na drugą stronę portu, zarezerwowałem dla nas stolik.

Inspektor roześmiał się i pociągnął Konrada Simonsena za sobą. Arne Pedersen ruszył za nimi, trzymając kciuki za pomyślny przebieg rozmowy.

Zarezerwowane miejsce okazało się stolikiem z ławkami, umieszczonymi tak, że można było spokojnie zjeść, ciesząc się widokiem na fiord. Na jednej z ławek czekały już na nich dwie kobiety, jedna starsza, druga młoda, Rikke Barbara Hvidt i jej wnuczka. Mężczyźni skinęli głowami i usiedli, Hans Svendsen zaczął ostrożnie:

– Witaj, Rikke, cieszę się, że zgodziłaś się przyjść.

Mężczyzna wyciągnął rękę nad stołem, ścisnął młodą kobietę za ramię, co zostało skwitowane uśmiechem z jej strony. Starsza kobieta zwróciła ku niemu swoje niewidzące oczy.

– Witam, burmistrzu. Niewiele brakowało, a zostalibyśmy rodziną.

Młoda dziewczyna zaczerwieniła się.

– To prawda, to prawda. Kto nie chciałby być w twojej rodzinie? Ale burmistrzem to byłem już wiele lat temu. Teraz zresztą połączyliśmy się z sąsiednią gminą, jak zapewne wiesz.

Usiadł obok niej i oboje przez dłuższą chwilę wspominali dawne czasy, nie przejmując się resztą towarzystwa. Hans Svendsen wyraźnie się nie spieszył,

a Arne czuł się pod coraz większą presją szefa. W końcu nie zaciągnął go tutaj, do tego wprawdzie sielankowego, ale dość odległego od Kopenhagi miejsca po to, żeby przysłuchiwać się towarzyskim pogaduszkom. Jednak Konrad Simonsen zdawał się niczym nie przejmować, wystawił jedną nogę do słońca, którego promienie padały na asfalt przez szpary w stole, i nie przerywając, cierpliwie przysłuchiwał się rozmowie. W końcu po dłuższej chwili Hans Svendsen powrócił do czasów współczesnych i ostrożnie spytał:

– Przeprowadziłem moich przyjaciół z policji w Kopenhadze. Jeden z nich chciałby zadać ci kilka pytań.

– Aż dwóch, Hans? Czyżbym była aż tak interesująca?

– Zawsze cieszyłaś się powodzeniem, Rikke. Zgodzisz się na rozmowę? Mój znajomy trochę się spieszy, wiesz, jak się żyje w stolicy.

– Chętnie odpowiem na pytania. Jeanette powiedziała mi, o co chodzi. Tylko nie chcę rozmawiać o... Wiesz, o czym...

– Wszyscy to rozumiemy. Mojego kolegę interesuje tylko napad.

Hans skinął głową Simonowi, który zaskoczył Arnego, odzywając się do kobiety tonem równie pogodnym jak przed chwilą Hans Svendsen.

– Mam na imię Konrad, ale wszyscy mówią mi Simon, to od mojego nazwiska, Simonsen. Mogę mówić do pani Rikke?

Okazało się, że Konrad Simonsen potrafi być i bardzo taktowny, i miły. Rozmawiał z niewidomą kobietą spokojnie i łagodnie, nie naciskając na nią ani też niczego nie forsując. Drżący na początku głos Rikke uspokoił się. Raz policjant popełnił błąd, nazywając jej wnuczkę Pauline zamiast Jeanette, ale nieporozumienie zostało szybko wyjaśnione i zapomniane. Dopiero kiedy Arne Pedersen po raz kolejny zerknął na zegarek i nawet Hans Svendsen zaczął wykazywać oznaki zniecierpliwienia, Simon przeszedł do tematu, który był powodem ich wizyty.

– Rikke, możesz się cofnąć pamięcią do 1977 roku i opowiedzieć mi o tym, jak zostałeś napadnięty?

– Tak, oczywiście. Mieszkałam wtedy u moich rodziców w Kikhavn, razem z matką Jeanette, która była wówczas małą dziewczynką. Pewnego majowego wieczora zostałam sama w domu. Pamiętam, że był to wtorek, wszyscy poszli do kina i nagle, kiedy byłam w kuchni, zobaczyłam, że stoi za mną jakiś mężczyzna. Zanim zdążyłam zareagować, pchnął mnie na blat i wykręcił mi ręce. Nie wiem, czy krzyczałam, pewnie tak, ale do najbliższych sąsiadów było daleko, więc na pewno nikt mnie nie słyszał. Mężczyzna owinął mi nadgarstki taką szeroką taśmą... Jak to się nazywa?

– Taśma klejąca?

– Tak, właśnie tak. Potem włożył mi do ust szmatę, żebym nie mogła krzyczeć. Wszystko działo się bardzo szybko. To było straszne, byłam przerażona. Posikałam się ze strachu. Poza tym mężczyzna miał na twarzy maskę.

- Tak, słyszałem i bardzo mnie to interesuje. Pamiętasz, jak wyglądała?
- Przypominał w niej ducha. Była chyba domowej roboty, z czarnego kartonu, trochę podobna do tych, które dzieci robią na karnawał. Miała wycięte dwie dziury na oczy.
- Z czymś ci się kojarzyła? Chodzi mi o to, czy kogoś przedstawiała.
- Tego nie potrafię powiedzieć, ale to nie była tylko sama maska. Wokół głowy mężczyzna miał zawiązaną szarą, niemal czarną szmatę. To była jakby część maski.
- Więc nie widziałas jego twarzy?
- Nie. Widziałam tylko jego uszy i kawałek głowy, między maską a materiałem.
- Miał rękawiczki?
- Tak, czarne.
- Mówił coś?
- W domu nie, dopiero potem, na brzegu.
- Zabrał cię na brzeg?
- Tak, chwycił mnie za ubranie, pociągnął, a potem pchnął, żebym szła przed nim. Właściwie to biegliśmy, kilka razy nawet się przewróciłam, wtedy mnie podniósł.
- Ciągnął cię za włosy?
- Nie, za ubranie, ale nie brutalnie, raczej stanowczo.
- Jak radził sobie w ciemnościach?
- Miał ze sobą latarkę. Odeszliśmy spory kawałek od domu, kiedy w końcu się zatrzymał. Wtedy pomyślałam, że zaraz umrę, że mnie zabije.
- Sądziłaś, że chce cię zabić?
- Nie sądziłam, byłam o tym przekonana. I nadal jestem. Wykopał nawet grób. Głęboką dziurę w piachu na wąskim odcinku brzegu, gdzie woda podchodzi niemal do samych wydm. Obok stała łopata, wszystko przygotował.
- Poświecił latarką i pokazał ci grób?
- Nie, ale latarnia morska w Spodsbjerg co jakiś czas rzucała snop światła na brzeg i wtedy właśnie zobaczyłam ten dół.
- Rozumiem, a co było potem?
- Kazał mi zdjąć spodnie, ale nie majtki, i położyć się na brzuchu. Potem związał mi taśmą nogi w kostkach, rozerwał bluzkę, zdjął stanik. Pamiętam też, że odwrócił głowę, jakby rozumiał, że się wstydzę, i właśnie wtedy pomyślałam, że przynajmniej mnie nie zgwałci... Tym bardziej że już wcześniej związał mi nogi. Potem kazał mi usiąść, więc poluzował mi taśmę na rękach. To dla ciebie zbyt przykre, Jeanette? Może chciałabyś się przejść? Hans i Simon zostaną tu ze mną.
- Nie, babciu, nie chodzi o to, że przykro mi tego słuchać, tylko okropnie mnie to denerwuje.

– I słusznie. Wracając do tamtego dnia, kiedy w końcu usiadłam, on poluzował mi taśmę na moich nadgarstkach, wyjął nożyczki i usiadł obok mnie.

Konrad Simonsen przerwał jej ostrożnie:

– Skąd je wyjął? Z kieszeni?

– Nie, miał ze sobą plecak, taki niewielki, i z niego je wyjął. Wtedy też po raz pierwszy się do mnie odezwał, ale to też było dziwne. Zwracał się do mnie, ale cały czas mówił „ona”, jakby coś odgrywał. A do tego jeszcze ta okropna maska, którą miał na twarzy. Kiedy na mnie patrzył, miałam wrażenie, że jest uosobieniem zła całego świata.

– Co mówił?

– „Niech ona obetnie te swoje pazury, te swoje długie pazury, dawno powinna była to zrobić”. A potem, innym już głosem, zaczął pouczać mnie, jak powinnam to zrobić. „Niech pokaże mi te swoje pazury”, powiedział, ale nie brzmiało to groźnie, raczej jakby to była jakaś zabawa. W końcu wyciągnęłam dłonie i chociaż miałam krótkie paznokcie, zaczął udawać, że mi je obcina. Znów zmienił mu się głos. „No tak, trzeba je obciąć. Ciach, ciach, ciach. Tak, tak, trzeba je obciąć. Dobrze, że mamy dobre nożyczki. Ciach, ciach, ciach”. Powtarzał to w kółko, tnąc nożyczkami w powietrzu.

Jeanette nie mogła się powstrzymać.

– *Fucking weirdo.*

– Co takiego, kochanie? Co powiedziałaś?

– Że to świr, babciu.

– To prawda. I pewnie niewiele brakowało, a byłby mnie zabił. Jestem o tym przekonana. Ale miałam szczęście, bo kiedy tak siedzieliśmy, tam, na brzegu, nagle podjechali jacyś chłopcy na motorowerach. Wybrali się na przejażdżkę, żeby się trochę rozerwać. Jechali po wydmach, a potem zjeżdżali na pełnym gazie na brzeg. I chociaż byli dość daleko od nas, mężczyzna się przestraszył i uciekł. Wyobraźcie sobie, że nawet kazał mi zaczekać. A ja, oczywiście, jak tylko udało mi się zerwać z nóg taśmę, wstałam i zaczęłam biec, schowałam się pod starą łodzią, która leżała i gniła na brzegu. Potem, kiedy odgłosy motorowerów zamilkły, mężczyzna rzeczywiście wrócił i zaczął mnie szukać. I chyba właśnie ten moment pamiętam najlepiej, kiedy szedł brzegiem, świecił latarką i wołał: „Gdzie ona się chowa?! Niech ona do niego przyjdzie! On jej pragnie”. Powtarzał to w kółko. Raz słyszałam go niemal tuż obok, raz gdzieś dalej, szum morza zniekształcał jego głos. A ja cały czas leżałam nieruchomo.

Hans Svendsen pokiwał wolno głową.

– Dobrze zrobiłaś, Rikke. Tak jak trzeba.

Rozdział 18

Po rozmowie z Rikke Konrad Simonsen i Arne Pedersen opuścili razem port w Hundested. Przypadek sprawił, że zostawili samochody na tym samym parkingu. Mieli więc kilka minut, żeby podzielić się wrażeniami z dzisiejszego przesłuchania, ale Simon nie skorzystał z tej okazji. Kiedy w pośpiechu opuszczał Kopenhagę, zapomniał zabrać ze sobą śniadanie, w które wyposażyła go Hrabianka, i teraz był głodny. Dziełnie zignorował budkę z kiełbaskami, ale kuszący zapach grillowanych hot dogów jeszcze długo potem go prześladował. W końcu odezwał się ponuro:

– Mam wrażenie, że obaj potrzebujemy chwili, żeby przetrwać to, czego się właśnie dowiedzieliśmy. Ja na pewno. Sporządzisz notatkę z rozmowy? Najlepiej jeszcze dzisiaj, jeśli dasz radę.

– Żaden problem, na pewno to zrobię.

– Świetnie, a potem prześlij kopię e-mailem do naszego nowego psychologa. I oznacz ją takim czerwonym wykrzyknikiem, jeśli wiesz, jak to zrobić. Ja do tej pory tego nie opanowałem.

– Zadzwońię do niego i powiem, że to ważna informacja. Wtedy będę miał pewność.

Konrad Simonsen zatrzymał się obok ławki i usiadł. Poszukał w kieszeni paczki papierosów, wyjął jednego i zapalił. Dzisiaj był to już jego trzeci, miał wrażenie, że smakuje jak mydło. Arne usiadł obok szefa, nie komentując jego słabości. Po chwili rzucił w tonie luźnej konwersacji:

– Wiesz może, jak się miewa Kasper Planck?

– Kiepsko.

– Podobno jest w domu opieki.

– Już od kilku miesięcy.

– Co to znaczy, że kiepsko?

– To znaczy, że umiera, chociaż trudno powiedzieć, ile czasu mu jeszcze zostało.

Mężczyzna zaciągnął się i poczuł, jak dym, niezależnie od smaku mydła, jednak poprawił mu humor. Znacznie łagodniejszym tonem dodał:

– Byłem u niego w zeszłym tygodniu. Z trudem mnie poznał, a kiedy w lepszym momencie zaczęliśmy rozmawiać, zastanawiał się głównie, czy ktoś będzie o nim pamiętał, kiedy już odejdzie. Nie było to radosne spotkanie.

– Pewnie nie, ale dobrze, że go odwiedzasz.

– Nie wiem, czy ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Najgorsze jednak jest to, że pielęgniarka twierdzi, że to może jeszcze trochę potrwać, chociaż nie potrafiła oczywiście powiedzieć jak długo.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Konrad Simonsen czuł się wyczerpany, powrót

do domu wydawał się ponad jego siły. Zapalił kolejnego papierosa, odpalając go od poprzedniego. Smakował o wiele lepiej, zmęczenie minęło. Arne zerknął zaniepokojony na szefa, ale szybko odwrócił głowę, napotkawszy jego nieznoszący sprzeciwu wzrok. Simonsen odezwał się markotnie:

– Sam też nie wyglądasz najlepiej. Stresujesz się?

– Nie, tylko kiepsko dzisiaj spałem. Czasem mi się to zdarza. Poza tym jest coś, o czym sporo myślałem, oczywiście zawsze możesz się nie zgodzić, jeśli nie będziesz miał ochoty. Zastanawiałem się... To znaczy, zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał, ale...

– Słucham cię uważnie.

– No więc zastanawiam się, czy nie chciałbyś zagrać ze mną w szachy.

Temat był drażliwy, bo Konrad Simonsen całe lata grywał w szachy z Kasperem Planckiem. Dlatego też nie odpowiedział od razu. Targały nim sprzeczne uczucia, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

– Jak grasz?

– Nie wiem. Sądzę, że całkiem nieźle. Ale nie musimy zaczynać od razu, możemy poczekać, aż wrócisz do domu. To znaczy, jeśli wrócisz. Ale nie chcę się wtrącać w wasze...

– O ósmej. Hrabianki nie będzie w domu. Powiedziałeś, że grasz nie najgorzej?

– Tak mi się wydaje. Będę o ósmej.

Kiedy Arne Pedersen się śmiał, wyglądał jak duży chłopiec.

Dobre sześć godzin później Arne wyglądał jak mały chłopiec, który powoli, ale nieuchronnie zmierza ku porażce. Dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w jadalni domu Hrabianki. Partia się przedłużała, chociaż wynik od dawna był do przewidzenia. Konrad Simonsen wygrywał, mimo to przed każdym, nawet prostym ruchem długo się namyślał. Arne zastanawiał się, dlaczego on to robi, gdy nagle przypomniał sobie, że nie ustalili tempa gry. Zły, skrócił czas namysłu, próbując w ten sposób zmobilizować przeciwnika, co zresztą mu się udało. Po kwadransie męka się skończyła. Arne się poddał. Konrad Simonsen przeciągnął się i spytał:

– Chcesz, żebyśmy przeanalizowali tę partię?

– Po co? To niczego nie zmieni.

Konrad Simonsen wzruszył ramionami, najwyraźniej kultura szachowa była dla jego nowego partnera czymś obcym. Musiał jednak przyznać, że Arne, jak na kogoś, kto nigdy nie grał w żadnym klubie i nie znał się na teorii, nie tylko sobie radził, ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, grał wręcz znakomicie. Na szczęście od czasu do czasu popełniał typowo amatorskie błędy, co rozstrzygnęło o wyniku. Powiedział więc:

– To prawda.

- Uważasz, że grałem źle?
- Owszem.
- Nie masz ochoty ze mną grać?
- Od czasu do czasu możemy uciąć sobie partyjkę.

Usiedli każdy na swoim końcu kanapy. Arne otworzył dwie butelki wody mineralnej, jedną o drugą, nie roniąc przy tym ani kropli. Konrad Simonsen śledził jego ruchy z dużym zainteresowaniem. Widział tę sztuczkę już wcześniej, ale za każdym razem był pod wrażeniem.

Obaj byli zmęczeni, ale prawdę mówiąc, Arne wyglądał na bardziej wyczerpanego niż jego szef. Najchętniej wróciłby od razu do siebie, ale nie chciał być niegrzeczny. Rozmawiali chwilę o wszystkim i o niczym do czasu, aż Hrabianka wróciła do domu. W przeciwieństwie do obu mężczyzn sprawiała wrażenie świeżej i wypoczętej. Przywitała się i usiadła na oparciu kanapy obok Simonsena. Po chwili pokazała ręką na stojące na stole butelki.

- Panowie nie słyszeli nigdy o podstawkach pod butelki?

Obaj zaprzeczyli, sprawiając wrażenie, że naprawdę nie bardzo wiedzą, o czym mówi. Postanowiła nie drażnić tematu, uznawszy, że jej uwagi i tak już niczego nie zmienią. Po chwili odezwał się Konrad Simonsen:

- Jak ci poszło?

– Beznadziejnie, strata czasu. Stara wiedźma, chora na władzę. Niestety, jutro będziemy się dalej boksować.

Arne Pedersen nie bardzo wiedział, o co chodzi.

- O kim mówisz, a w ogóle to gdzie byłaś?

– Głównie czekałam, aż skupiona na sobie pani dyrektor do spraw socjalnych i kultury raczy ze mną porozmawiać. Chodzi o dostęp do archiwum w pewnym muzeum, gdzie mogę znaleźć informacje dotyczące pobytu Maryann Nygaard na Grenlandii. Właściwie nic ciekawego, ale zawzięłam się i teraz nie odpuszczę. Nie miałam pojęcia, że uzyskanie pozwolenia będzie takie trudne, nie mówiąc o jakiegokolwiek pomocy.

- Dlaczego, na litość boską?

– Po połączeniu gmin powstało jakieś zamieszanie wokół dawnego kierownictwa muzeum, w związku z czym moje proste podanie trafiło na biurko samej pani dyrektor, czyli Helle Oldermund Hagensen. Okazało się bowiem, że to właśnie ona i tylko ona może udzielić osobie trzeciej zgody na wgląd w zbiory muzeum, które nie są publicznie dostępne. To ostatnie to cytat. Musiałam czekać bite trzy godziny, aż skończy jakąś naradę, i to już po tym, jak w ostatniej chwili odwołała nasze pierwsze spotkanie.

- Nie można było załatwić tego przez telefon?

– Niestety nie. Pani dyrektor zażyczyła sobie spotkania ze mną, żeby wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Powiedziałaś jej, że chodzi o poważne przestępstwo?

– Oczywiście, ale dla niej nie ma to żadnego znaczenia. Skończyło się na tym, że znalazła dla mnie godzinę jutro wieczorem... – Uniosła dumnie głowę i zacytowała swoją rozmówczynię: – „To nie powinno zająć więcej niż godzinę, funkcjonariuszko Rose, zresztą więcej czasu nie mam, chyba pani to rozumie”.

Arne Pedersen przyglądał się jej wyraźnie zaniepokojony.

– Źle ci patrzy z oczu, to rzadko się zdarza.

Hrabianka roześmiała się, ale w jej głosie nie było radości.

– Źle mi patrzy z oczu. No cóż, może powinnam spróbować jakichś czarodziejskich sztuczek, abrakadabra, czary mary, skwaśnieje pani mleko, pani Hagensen – powiedziała niemal szeptem.

Arne Pedersen spytał:

– Co mówiłaś? Nie usłyszałem.

– Wszystko jedno, próbuję zdystansować się od sytuacji.

Konrad Simonsen zamruczał podrażniony:

– To niewiarygodne, że stwarza takie przeszkody w tak poważnej sprawie, w końcu chodzi o morderstwo. Pani dyrektor na pewno ma jakiegoś szefa, może zamienię z nim jutro parę słów?

– Nie, dziękuję, poradzę sobie. Znajdę sposób, żeby usadzić ją na miejsce. Problem w tym, że cała ta sprawa nie jest do końca czysta, więc nie chcę, żeby zrobiło się wokół tego niepotrzebne zamieszanie.

– Tak, zauważyłem.

Ironia w głosie Simonsena była aż nadto czytelna. Arne przysłuchiwał się zdumiony ich rozmowie. Nie miał pojęcia, czym naprawdę zajmuje się Hrabianka, ale Simonsen najwyraźniej też nie, co wydało mu się dość niezwykle. Hrabianka jakby czytała w jego myślach, bo szybko zmieniła temat.

– Jak wam poszło?

– Chodzi o naszą partyjkę szachów? Rozegraliśmy tylko jedną i Simon oczywiście wygrał. Niestety, okazało się, że nie jestem tak dobry, jak myślałem.

Konrad Simonsen pokiwał głową z zadowoleniem. Hrabianka jednak nie wyglądała na przekonaną. Ześlizgnęła się z oparcia kanapy, podeszła do Arnego i ku zdziwieniu obu mężczyzn położyła rękę na jego ramieniu. Ponieważ ich kontakty w przeszłości nie zawsze przebiegały bezproblemowo, ta zażyłość z jej strony była dość nieoczekiwana.

– Nie wierzę w to. Na pewno jesteś wytrawnym graczem, inaczej wasza partia nie trwałaby ponad trzy godziny. Ale teraz powinieneś już wracać do domu, żeby Simon mógł się wyspać. Zresztą ty też wyglądasz, jakbyś potrzebował trochę snu.

Mężczyźni przeszli do przedpokoju i pożegnali się. Konrad Simonsen otworzył drzwi. Arne chciał się upewnić, czy ich umowa nadal jest aktualna.

– Zagramy jeszcze kiedyś?

– Jasne.

– Naprawdę źle gram?

– Tak, nie słuchaj jej, ona nie zna się na szachach.

Kiedy kwadrans później Hrabianka pocałowała go na dobranoc, dając mu do zrozumienia, że powinien już udać się na górę, usłyszała całkiem co innego.

– Gdybym miał jego talent, powalczyłbym o tytuł arcymistrza.

– Jasne. Dobranoc, Simon.

– Wkrótce mnie pokona, to tylko kwestia czasu.

– A ty wkrótce zaśniesz, to też tylko kwestia czasu. I to niedługiego.

– Co zamierzasz robić?

– Pracować.

– Nad czym?

– Dobranoc, śpij dobrze.

Rozdział 19

Jest dzieckiem, jest noc, a on leży w swoim łóżku. Pokój oświetla słaba lampka, którą wkłada się do gniazdka i której nikielne zielone światło ma działać uspokajająco na dzieci. Boi się go, ale jeszcze bardziej boi się ciemności.

Okno pokoju wychodzi na las, ma dwa skrzydła, w każdym jest sześć szybek, rozdzielonych białymi szprosami, z których schodzi farba. Okno jest zamknięte na cztery haczyki, zasłony dokładnie zaciągnięte. Gdy pnące się po ścianie róże zaczynają sięgać zbyt wysoko, ojciec wbija kolejny gwóźdź w parapet i mocuje łożdygi krzewu, żeby w czasie deszczu i wichury nie były w szyby. Dziecko boi się okna, ale jeszcze bardziej boi się nieznanego, które jest na zewnątrz.

Kiedy zmęczenie w końcu zwycięża strach, dziecko zapada w sen, ale nagle się budzi, bo od okna, zza firanki dobiega je jakiś dźwięk. Cichy metaliczny stukot. To wiedźma otwiera okno, podważając kolejne haczyki. Wiedźmy potrafią wszystko, nawet podważyć od zewnątrz haczyki okna.

Widzi jej zielonkawy profil powiększony na ścianie. Potem dostrzega jej ciało, patrzy, jak mozolnie drapie się do góry. Jej ręce, nogi, długie i chude jak odnóża pająka, zakrzywione palce, ostre paznokcie. Szybkim ruchem odsuwa zasłonę i spogląda na niego pożądliwie swoimi małymi, świdrującymi oczkami. Jej brudne sterczące włosy wystają spod chustki, ale najgorsze są jej usta. A raczej ich brak.

Dziecko zaczyna biec.

Biegnie najszybciej, jak potrafi, biegnie korytarzem, na którego końcu stoi jego mama z rozłożonymi szeroko rękami. Jednak im szybciej dziecko biegnie, tym odległość się zwiększa. Wiedźma podąża tuż za nim. Dziecko słyszy, jak oddycha, czuje na sobie jej cuchnący oddech. W końcu dobiega do matki, rzuca się na nią, chowa twarz w jej spódnicę, płacze, czując na sobie jej ręce, które zawsze je chronią.

I wtedy zaczyna się koszmar.

Podnosi głowę i widzi nie twarz matki, tylko twarz wiedźmy.

Arne pamięta, że zawsze miał koszmary. A właściwie jeden, zawsze ten sam i zawsze budził się z niego zlany potem od stóp do głów, przepełniony strachem tak wielkim, że pozostawał z nim już do rana. W dzieciństwie koszmar ten często się powtarzał, raz, czasem nawet dwa razy w tygodniu. Później, kiedy dorósł, rzadko go nawiedzał. Może raz na pół roku, wystarczająco rzadko, żeby móc się z nim uporać, aż do następnego razu. Bo koszmar zawsze powracał, jak grypa, tyle że teraz szybciej mijał. Nie miał też większego wpływu na jego życie, dlatego starał się nim za bardzo nie przejmować. Po prostu nieprzyjemne doświadczenie, z którym przyszło mu żyć, to wszystko. Jego matka nazywała koszmar „złym snem”. Jego żona mówiła o nim „to”. „Boże drogi, znów ci się to przytrafiło”, mó-

wiła i zawsze wstawiała i parzyła mu rumianek, chociaż on wolałby, żeby tego nie robiła.

Teraz jednak koszmar dręczył go już trzecią noc z rzędu. Budził go strach, nie pamiętał, żeby wcześniej tak było, ani kiedy był dzieckiem, ani później, kiedy już dorósł. Żona patrzyła na niego zmartwiona. Postawiła kubek z naparem z rumianku na stole i spytała ostrożnie:

– Co się dzieje, Arne? Coś cię gnębi?

Pokręcił głową przecząco. Nic złego się nie działo.

– Jeśli to się będzie przedłużało, musisz iść do lekarza.

Miała rację. Niemal w ogóle nie sypiał, to nie mogło tak trwać, co powtarzała już kilka razy. Jakby sam tego nie wiedział. Przytaknął i wkrótce żona wróciła do łóżka. Wylał napar z rumianku do zlewu i nalał sobie kieliszek koniaku, nie za dużo, wiedział, że i tak mu nie pomoże. Przez chwilę masował sobie skronie, mrużąc pod nosem:

– Chciałem go zabić.

Po chwili powtórzył:

– Przysięgam, że chciałem go zabić.

Włączył telewizor, ściszył głos, szykując się do kolejnej długiej, bezsennej nocy.

Cóż za ironia. Kiedy był dzieckiem, nie mógł opowiedzieć matce o dręczącym go koszmarze. W każdym razie nie o całym. Podobnie jak dzisiaj nie mógł opowiedzieć o nim swojej żonie.

Bo koszmar się zmienił i w zielonym świetle lampki widział teraz nie wiedźmę z dzieciństwa, tylko rzeczy znacznie straszniejsze.

Rozdział 20

W normalnych okolicznościach Arne Pedersen był jednym z niewielu funkcjonariuszy w duńskiej policji mogących się pochwalić podzielną uwagą, z czego często robił użytek, szczególnie w trakcie nudnych zebrań. Jednak podczas dzisiejszego spotkania z największym trudem skupiał się na czymkolwiek. Był śmiertelnie zmęczony, gdzieś na obrzeżach oka widział zielone wybuchy, a jego mózg w dziwny, niekontrolowany sposób popychał go do coraz bardziej pospiesznych działań. Poul Troulsen wypijał właśnie trzecią filiżankę kawy tego ranka, ale oczy nadal mu się zamykały. Natomiast Pauline Berg mogła być żywą reklamą akademii wychowania fizycznego. Konrad Simonsen też tryskał energią, chociaż było to już jego drugie zebranie tego dnia. Hrabianka uznała, że z przebiegiem zebrania zapozna się później, i udała się na wielokrotnie przekładaną wizytę u dentysty.

Psycholog czy profiler, jak sam się przedstawił, pracował tu od niedawna i najwyraźniej czuł potrzebę zaprezentowania własnej osoby, zanim przeszedł do właściwej sprawy. Siedział na końcu stołu, obstawiony po obu stronach wielkimi stosami papierów, i przedstawiał zebrany własną karierę naukową, podkreślając szczególnie, jakie artykuły opublikował i gdzie. Nie robił tego po to, żeby się chwalić, ale raczej żeby uzasadnić fakt, że został poproszony o współpracę właśnie w tej sprawie. Jego wstęp został przyjęty zachęcającymi skinieniami głowy, ale też narastającym zniecierpliwieniem. W końcu Konrad Simonsen nie wytrzymał i przerwał jego wywód:

– Nikt z zebranych przy tym stole nie wątpi w pana kompetencje, ale chcielibyśmy przede wszystkim usłyszeć, co pan ma do powiedzenia na temat Andreasa Falkenborga.

Mężczyzna zaczerwienił się lekko i zaczął nerwowo przekładać papiery, co sprowokowało Konrada Simonsena do kolejnego wyjaśnienia:

– Widzę i słyszę, że się pan denerwuje, chociaż naprawdę nie ma ku temu powodu. Nie oczekujemy, że udzieli nam pan odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. Poza tym wiemy, że jest pan zdolny. Dlatego pana zaprosiliśmy.

Wypowiedź odniosła skutek. Psycholog uśmiechnął się niemal niezauważalnie i zaczął mówić:

– Przyznaję, że jestem zdenerwowany, chociaż rzetelnie się do tego spotkania przygotowałem. Zacznę od przedstawienia portretu psychologicznego Andreasa Falkenborga, a następnie porównam go z tak zwanym profilem standardowym seryjnego mordercy. Wiele punktów jest zbieżnych, ale są też pewne różnice, co w tym przypadku wydaje się dość istotne. Andreasa Falkenborga trudno zaszeregować do jakiegokolwiek grupy, co też dużo o nim mówi.

– Chętnie posłuchamy.

– Wszystko sobie zapisałem, tylko nie mogę teraz tego znaleźć, więc... O, mam, przepraszam. – Mężczyzna rozejrzał się, lody zostały przełamane, Pauline zauważyła, że jego oczy błyszczą. – Przede wszystkim chcę podkreślić, że zgodnie z definicją, na której się opieram, Andreas Falkenberg nie może zostać zakwalifikowany do grupy seryjnych morderców, ponieważ nie spełnia najważniejszego kryterium, to znaczy, nie można mu udowodnić co najmniej trzech zabójstw. Podkreślam, że chodzi tu o czyny udokumentowane, nie wypowiadam się więc, czy jest prawdopodobne, że również Annie Lindberg Hansson padła jego ofiarą. Z drugiej strony fakt, że Falkenberg nie spełnia tego kryterium, nie oznacza, że nie możemy w jego przypadku zastosować ogólnego wzorca postępowania seryjnego mordercy.

Psycholog uniósł wzrok, jego słuchacze zdawali się z nim zgadzać. Nikt się nie palił, żeby od razu przypiąć podejrzanemu etykietkę seryjnego mordercy.

– Pierwsze podobieństwo, które wręcz rzuca się w oczy, to niezwykle silna potrzeba porządku i pewnej rutyny, żeby nie powiedzieć rytuału, co jest wyraźnie widoczne w obu przypadkach. Seryjni mordercy często zabijają swoje ofiary w dokładnie taki sam sposób. Dobrym tego przykładem jest John Wayne Gacy, który w latach siedemdziesiątych zabił w Chicago trzydziestu trzech chłopców. Dusił ich za pomocą kija i sznura, czytając im jednocześnie Biblię. Obie ofiary Andreeasa Falkenberga zginęły w identyczny sposób, nawet najdrobniejsze szczegóły się zgadzają. Można więc założyć, że wszystko odbywało się według tego samego wzoru. Z opowieści Rikke Barbary Hvidt, rano zdążyłem przeczytać notatkę z rozmowy, wynika, że mężczyzna zaskakuje kobiety, kiedy są same, każe im zdjąć spodnie, ale nie majtki, zrywa im stanik, bo chce widzieć ich piersi. Obcina im paznokcie albo udaje, że to robi, przywiązuje dłonie kobiet do ud, maluje im usta czerwoną szminką i w końcu dusi, zakładając im na głowę foliową torbę, którą zaciska wokół ich szyi. Poza tym zawczasu przygotowuje grób i bynajmniej tego przed nimi nie ukrywa. Zgodnie z definicją seryjny morderca zawsze zabija swoje ofiary w ten sam sposób i to kryterium Andreas Falkenberg spełnia. Mimo że dane statystyczne nie są zbyt obszerne, powinienem chyba dodać, że na szczęście, jestem przekonany, że jeśli ma na sumieniu także inne morderstwa, to dokonał ich w ten sam sposób. – Psycholog wypił łyk wody i mówił dalej: – Poza tym należy podkreślić, że jest białym mężczyzną, że pierwszy raz próbował zabić, kiedy miał dwadzieścia lat, że nie jest w żaden sposób związany ze swoimi ofiarami, no i że obie kobiety też były białe, co także jest charakterystyczne dla seryjnego mordercy. Natomiast nie trzyma się żadnego wyznaczonego obszaru w sensie geograficznym, co w tego typu morderstwach raczej jest regułą. Nie wydaje się, żeby zabijał dla osiągnięcia satysfakcji seksualnej, żeby podniecał go sam moment zabójstwa, czy też fakt dominacji nad ofiarą, bądź coś, co byłoby kombinacją tych trzech czynników. W jego przypadku żaden z nich nie wydaje się istotny, chociaż jeszcze raz podkreślam, że

to jedynie bardzo ogólny profil jego osoby. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem go prezentować, chociaż informacje uzyskane podczas wczorajszej rozmowy zdają się potwierdzać moje przypuszczenia, otwierając jednocześnie nowe możliwości interpretacji.

Konrad Simonsen wykorzystał chwilę przerwy, by zadać mu pytanie:

– Na czym opiera pan swoje przypuszczenia?

– Czynniki napięcia nie odgrywa tu żadnej roli. Morderca, którego podnieca samo zabijanie, rzadko wszystko tak dokładnie planuje, zwykle działa impulsywnie, szybko, nawet jeśli w pobliżu są potencjalni świadkowie. Weźmy na przykład kogoś takiego jak Peter Sutcliffe z Yorkshire w Anglii...

Konrad Simonsen spojrział na Arnego Pedersena, który tylko pokręcił głową, i grzecznie przerwał psychologowi:

– Wiem, że to, co pan mówi, ma potwierdzenie w faktach, więc nie musi pan podawać nam przykładów kolejnych seryjnych morderców.

Arne Pedersen wsparł go, argumentując, że zbyt dużo faktów niezwiązanych bezpośrednio ze sprawą jedynie zaciemnia obraz.

Psycholog przyznał im rację.

– Dobrze, opuszczę przykłady. Na czym skończyłem? Trzeba podkreślić, że Andreas Falkenberg izoluje swoje ofiary, boi się ewentualnych świadków, nawet jeśli ci są daleko, minimalizuje ryzyko. Być może morderstwo Maryann Nygaard nieco odstaje od tego schematu, niewykluczone, że związał ją i zastrzelił w helikopterze, podczas gdy wszyscy biegali i szukali jej w stacji, ale też sytuacja była wyjątkowa i raczej niezwiązana z większym ryzykiem.

Konrad Simonsen przytaknął.

– Na pewno nie podnieca go samo zabijanie.

– Motyw seksualny też chyba można wykluczyć. W znakomitej większości takich przypadków morderca traktuje swoje ofiary brutalnie, czy wręcz sadystycznie. Abstrahując od tego, że Falkenberg dusi kobiety torbą foliową...

Poul Troulsen przerwał wywód psychologa:

– Przepraszam, ale raczej trudno od tego abstrahować.

– Sformułuję to inaczej: owszem, dusi kobiety, ale co poza tym mogłoby wskazywać na skłonności sadystyczne? Nic. Nie gwałci ich, nie znęca się. Przeciwnie, jest wobec nich dość delikatny, oczywiście biorąc pod uwagę całą sytuację. Dostrzega skrępowanie Rikke i je szanuje, odwraca głowę, kiedy ściąga jej stanik, a potem grzecznie prosi, żeby na niego poczekała, aż chłopcy na motorach odjadą. To świadczy o tym, że nie pragnie dominacji nad ofiarami. Gdyby tak było, rozmawiałby z nimi inaczej. Coś tu się nie zgadza.

Konrad Simonsen ponownie wszedł mu w słowo:

– Ale straszy ofiary maską, o ile założymy, że miał ją na sobie podczas wszystkich morderstw.

– Jestem przekonany, że tak było.
– Czy to nie jest znęcanie się? Kobiety na pewno były przerażone.
– Maską jest z pewnością bardzo ciekawym elementem. Podejrzewam, że w ten sposób chciał przstraszyć kobiety, ale też i ukryć się za nią, może nawet ukryć własny strach, choć do tego chciałbym wrócić później, dobrze?
– Oczywiście.
– Początkowo myślałem, że może jednak chodzi mu o zdominowanie ofiary, ale wtedy raczej nie działałby w ciemności. Taki morderca czerpie bowiem przyjemność z samego aktu zabijania, a w ciemności nie mógłby obserwować reakcji ofiary. Na miejsce zbrodni nie wybierałby więc ani ciemnej plaży, ani lodowca w czasie grenlandzkiej nocy polarnej. Poza tym w takich przypadkach rzadko się zdarza, że morderca zabija ofiarę w jednym miejscu, a potem przenosi ciało i zostawia je gdzie indziej. Falkenberg zadał sobie niezwykle wiele trudu, żeby w przypadku morderstwa Catherine Thomsen podejrzenie padło na jej ojca. To też się nie zgadza z modelem zabójcy o tendencjach do dominacji, który z reguły po fakcie do wszystkiego się przyznaje. Jak myśliwy, który jest dumny ze swojego trofeum. W przypadku Catherine Thomsen było zupełnie inaczej. I tu muszę podkreślić, że właśnie trud, który włożył w skierowanie podejrzeń na ojca dziewczyny, właściwie zastawiając na niego pułapkę, jak i jego dziwne zachowanie w 1990 roku, kiedy uparł się powiesić na drzewie świnię, żeby dokuczyć sąsiadom, są czymś, czego po prostu nie rozumiem. – Psycholog zamilkł na chwilę i spojrzał pytająco na swoich słuchaczy. – To wszystko nie pasuje do jego innych zachowań i nie mam tu na myśli zabójstw, tylko tego, jak opisują go inni, jako spokojnego, zdolnego człowieka, ogólnie lubianego, chociaż nieco naiwnego czy wręcz dziecinnego. Ktoś potrafi to wytłumaczyć?

Arne Pedersen zabrał głos jako pierwszy.

– Ważne jest chyba, czy także jako dziecko był spokojny i zdolny.

Psycholog spojrzał na niego niepewnie.

– To ciekawy punkt widzenia. Czy ktoś ma coś do dodania?

Wszyscy pokręcili głowami, tylko Konrad Simonsen się odezwał:

– Mnie też zdziwiło to, o czym pan wspomniał. Chodzi między innymi o tę historię ze świnią, która nie pasuje do jego obrazu. Miałem nadzieję, że pan nam to jakoś wyjaśni. Może tak naprawdę ma dwie osobowości?

– Nie, na pewno nie jest schizofrenikiem, jeśli to miał pan na myśli. Zdecydowanie nie. Ale gotowego wyjaśnienia jeszcze nie mam. Chyba że...

Zawahał i po chwili powrócił do przerwane go wątku.

– Odrzuciłem motyw dominacji, ponieważ to nie on szuka tych kobiet, poza tym okres uspokojenia, to znaczy czas między kolejnymi zabójstwami, jest zbyt długi. Moja konkluzja jest taka, że sam czyn nie przynosi mu żadnego zadowolenia. Ale proszę pamiętać o tym, co powiedziałem wcześniej. Możliwe, że czerpie

zadowolenie z samego faktu, że straszy te kobiety.

Konrad Simonsen najwyraźniej miał nadzieję, że psycholog dojdzie do innych wniosków.

– Ale co z tego wynika? Mam wrażenie, że nadal tkwimy w martwym punkcie.

– No właśnie. Co dalej? Anglicy używają w takich przypadkach specjalnych określeń, mówią o *thrill killers*, *lust killers* i *power seekers*. Jeśli uznamy, że Andreas Falkenborg nie pasuje do żadnej z tych kategorii, to pytanie brzmi oczywiście, co nam pozostaje? Są jeszcze cztery inne kategorie, ale znów trudno go zakwalifikować do którejś z nich. No bo na przykład...

Arne Pedersen przerwał psychologowi.

– Rozumiem, że w tym przypadku żadna z pozostałych kategorii także nie jest przydatna. Może więc skupmy się raczej na tym, co wiemy, że wiemy, niż na tym, o czym wiemy, że nie wiemy.

Pauline Berg odwróciła głowę i szturchnęła go dobrotliwie.

– Nic z tego nie zrozumiałam. O ci, u licha, chodzi? A poza tym możesz nie wypijać mi kawy? Masz swoją.

Konrad Simonsen sięgnął po telefon komórkowy, wstał i odwrócił się plecami do reszty towarzystwa. Po chwili zwrócił się do nich, mówiąc:

– Bardzo wszystkim przepraszam, ale właśnie otrzymałem pilną wiadomość. Proponuję dziesięć minut przerwy. Arne, możesz mi pomóc?

Rozdział 21

Obok sali odpraw było niewielkie pomieszczenie gospodarcze, w którym przechowywano środki i sprzęt do sprzątanania. Konrad Simonsen położył dłoń na ramieniu Arnego Pedersena i pchnął go w stronę magazynku. Kiedy weszli do środka, zapalił światło i zamknął drzwi. Wskazał na samotne krzesło w głębi pomieszczenia. Arne usiadł.

– Powiedz mi, co się dzieje.

Arne usiłował uniknąć jego wzroku.

– Nic takiego, po prostu ostatnio mało sypiam. Nie sądzisz, że pora aresztować tego Falkenborga?

Konrad Simonsen nie odpowiedział od razu. Prawdę mówiąc, nie zaciągnął go tu po to, żeby dyskutować na temat śledztwa, ale po chwili zmienił zdanie.

– Mam taki zamiar, ale najpierw chcę wysłuchać opinii psychologa. Później jestem umówiony na spotkanie z prokuratorem, ale z góry wiem, że usłyszę, iż jeśli będziemy mieli szczęście, to sędzia w najlepszym razie zasądzi mu trzy tygodnie aresztu. Możesz patrzeć na mnie, kiedy do ciebie mówię?

– Ale nakaz rewizji powinniśmy chyba otrzymać?

– To na pewno.

– Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć coś, co pozwoli nam posunąć się dalej.

Wzrok Arnego błędził po pomieszczeniu, poza tym mężczyzna cały czas nerwowo gestykułował.

– Też mam taką nadzieję. Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

Arne zaczął mówić.

Konrad Simonsen słuchał cierpliwie, nie przerywając, gdy Arne ze szczegółami opowiadał o dręczącym go koszmarze, który był przyczyną jego bezsenności. Zakończył, dając wyraz swojej bezradności:

– Dwie doby jestem w stanie znieść. Wczoraj, kiedy graliśmy w szachy, była to nawet, o dziwo, pewna zaleta. Ale trzy... – Zawiesił głos i wzruszył ramionami.

– Nareszcie gadasz jak normalny człowiek. Co na to Berit?

– Namawia mnie na wizytę u lekarza. Twierdzi, że nie można tego tak zostawić.

Konrad Simonsen powstrzymał się od komentarza. W duchu popierał Berit, ale wiedział też, że w małżeństwie Arnego nie wszystko układa się tak, jak powinno, poza tym, prawdę powiedziawszy, nie przepadał za jego żoną, chociaż bardzo uważał, żeby tego nie okazywać. Sięgnął więc po leżącą na półce ścierkę, zamoczył ją w zimnej wodzie i podał Arnemu, który przyłożył ją do skroni.

– Odwiozę cię do domu i do jutra nie chcę cię tu widzieć. Musisz się porząd-

nie wyspać. Rozumiemy się?

– Tak, ale jest jeszcze jedna sprawa. Wiem, że musisz wrócić na zebranie...

– Tym się nie przejmuj, zaczekają na mnie, mów.

– Chodzi o Pauline. Uważam, że nie powinna się kontaktować z Andreasem Falkenborgiem. Na pewno zauważyłeś, że jest podobna do... nich.

Oczywiście, że Konrad Simonsen to zauważył, jak chyba wszyscy w wydziale zabójstw, gdzie żywo to komentowano, mimo że Pauline była blondynką i miała niebieskie oczy, co w tym przypadku nie było bez znaczenia. Rozmowy na ten temat irytowały go, bo przecież nigdy w życiu świadomie nie naraziłby swoich pracowników na niebezpieczeństwo. Było jasne, że Andreas Falkenberg bardzo dokładnie wybierał swoje ofiary, inaczej byłoby ich pewnie dwadzieścia, a nie dwie. Bądź trzy, jeśli dodać Annie Lindberg Hansson, co pewnie należało uczynić. Owszem, wnuczka Rikke, Jeanette, na pewno powinna trzymać się z daleka od Andreeasa Falkenborga, ale Pauline Berg? To byłaby przesada. Poza tym Konrad Simonsen nie miał ochoty analizować relacji łączącej Arnego Pedersena z Pauline Berg, no i nawet do głowy mu nie przyszło, żeby kazać Pauline przesłuchiwać Falkenborga. To było zadanie dla kogoś znacznie bardziej doświadczonego.

– Rozumiem, że nie chcesz, żeby uczestniczyła w konfrontacji, tak?

– Bez przerwy wyobrażam sobie różne rzeczy, poza tym Pauline mieszka na strasznym odludziu. Jej dom leży pod lasem, trzeba by z dziesięciu ludzi...

Konrad Simonsen przerwał mu stanowczo:

– Przestań opowiadać bzdury, Arne. Jeśli ma cię to uspokoić, obiecuję, że będę trzymał ją od niego z daleka. A teraz masz jechać do domu!

Arne Pedersen był jednak nie do powstrzymania, jakby nagle puściła jakaś tama. Opowiadał, jak widzi Pauline z plastikową torbą na głowie, widzi, jak się rzuca, jak próbuje krzyczeć, podczas gdy tlenu ciągle ubywa. Widział też jej czerwone usta jak u kłowna i złe oczy przestępcy, który napawa się widokiem kobiety walczącej o życie.

Kiedy w końcu zrozumiał, że jego życzenie zostało już spełnione i Pauline Berg nie zostanie skonfrontowana z Andreasem Falkenborgiem, opadł z sił, jakby nagle uszło z niego całe powietrze. Konrad Simonsen postanowił, że sam odwiezie go do domu.

Arne Pedersen wszedł do samochodu i natychmiast zasnął.

Rozdział 22

Emerytowany operator dźwigu Olav Petersen, mając osiemdziesiąt sześć lat, zabił swoją żonę, uderzając ją wielokrotnie metalowym prętem w głowę. Do zabójstwa doszło zimą 1962 roku na Vesterbro w Kopenhadze, sprawa została bardzo szybko wyjaśniona. Zabójca zeznał, że ofiara dręczyła go przez większą część życia, a on nie mógł znieść myśli, że mógłby umrzeć przed nią. W momencie popełnienia zbrodni staruszek był śmiertelnie chory i dwa tygodnie później odszedł spokojnie we śnie w jednym z kopenhaskich szpitali. Pod wieloma względami Olav Petersen popełnił zbrodnię doskonałą.

Teczka z dokumentacją sprawy była cienka, ale zawierała konkretne informacje. Tak było tuż po zakończeniu sprawy. Z czasem bowiem zaczęła pęcznieć i wkrótce z jednej teczki zrobiły się dwie. Kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby dokumenty innych, szczególnie drażliwych czy kontrowersyjnych spraw wkładać do teczki operatora dźwigu Petersena, niech odpoczywa w pokoju, tego nikt już nie pamiętał. Poza tym jedynie wtajemniczeni znali procedurę: jeśli notatka oznaczona była literą „P” i liczbą, dalszych informacji należało szukać w teczce Petersena.

Pauline Berg czuła dumę, kładąc na swoim biurku dwie teczki, zawierające archiwum Petersena. Wymknęła się z zebrania, poświęconego profilowi psychologicznemu Andreeasa Falkenborga, tuż po tym jak opuścili je Konrad Simonsen i Arne Pedersen. Doskonale wiedziała, że kiedy jej szef mówił o dziesięciu minutach, to było to pojęcie bardzo względne. Poul Troulsen zajął się psychologiem, trochę tego żałowała, ale w końcu praca była ważniejsza od przyjemności, szczególnie gdy zadanie było tak pasjonujące jak obecne. Otworzyła teczki i w jednej z nich znalazła notatkę numer pięćdziesiąt siedem, w foliowej koszulce z przyklejoną w prawym dolnym rogu karteczką w kolorze butelkowej zieleni z odpowiednim numerem. W koszulce było zdjęcie młodej kobiety i trzystronicowy raport datowany na 23 sierpnia 1998 roku. Pozostałe papiery jej nie interesowały, nawet na nie nie spojrzała. Była to niepisana umowa między Konradem Simonsenem a jego pracownikami i nie chciała jej łamać. Zagłębiła się w lekturze, próbując wyrobić sobie własne zdanie na temat sprawy.

Na początku lat osiemdziesiątych Mie Andreasen była pastorem wspólnoty Polne Lilie, która to wspólnota była kopenhaskim oddziałem *The Universal Fellowship of Metropolitan Community Churches*. Podstawową zasadą działania wspólnoty była miłość Boga do wszystkich ludzi, a więc także do gejów i lesbijek. Tak szeroko pojęta tolerancja była sprzeczna z tym, co od dzieciństwa wpajano Catherine Thomsen, a mianowicie, że miłość homoseksualna jest grzechem – ni mniej, ni więcej. Catherine Thomsen odwiedziła Mię Andreasen dwukrotnie. Po raz pierwszy w listopadzie 1996 roku i po raz drugi miesiąc później. W lipcu 1998

roku Mie Andreasen wróciła do Kopenhagi po dość długim pobycie w Holandii, a kiedy się dowiedziała, co spotkało Catherine, zwróciła się do wydziału zabójstw.

Rozmowy między młodą dziewczyną a panią pastor były poświęcone głównie religii. Jednak w trakcie tych spotkań Mie Andreasen zorientowała się, że młoda kobieta utrzymywała potajemnie stosunki z kobietą w swoim wieku, w której była zakochana. Kobieta odwzajemniała jej uczucie, ale ograniczały się jedynie do pocałunków. Catherine bała się swojego Boga.

Nie spiesząc się, Pauline przeczytała raport jeszcze raz, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyła. Niestety nie. Oczekiwała czegoś więcej, może nawet jakichś sensacji. Nieco niezadowolona skupiła się więc na zdjęciu. Przedstawiona na nim dziewczyna była tuż po dwudziestce, miała pełną twarz, krótkie, jasne, wycienione włosy i niewielką, ale wyraźną bliznę na czole, tuż nad prawym okiem. Zdjęcie nie zostało opisane, ale łatwo było się domyśleć, kogo przedstawiało. Pauline napisała kartkę do Borupa, żeby elektronicznie postarzył kobietę o dziesięć lat i przesłał jej zdjęcie mailem. Przed weekendem.

Rozdział 23

Zebranie z profilerem zostało wznowione, kiedy Konrad Simonsen dobrą godzinę później, niż zapowiedział, powrócił na swoje miejsce przy stole konferencyjnym. Epizod z Arnem źle wpłynął na jego nastrój. Był co prawda pewien, że tej nocy Arne będzie spał spokojnie, ale całe wydarzenie sprawiło, że zaczął się zastanawiać nad sytuacją w wydziale. Prawda była taka, że męska część ekipy, łącznie z nim samym, prezentowała się dość nieciekawie. Poul Troulsen był tuż przed emeryturą, Arnego Pedersena nękały obsesyjne myśli w związku z relacją, z którą najwyraźniej sobie nie radził, a on sam? Co mógł o sobie powiedzieć? Może powinien powoli zacząć szukać jakiegoś innego zajęcia? Może jego zadania powinien przejąć ktoś młodszy? Jednego był pewien: jeśli zostanie, będzie musiał znaleźć kogoś naprawdę energicznego, kto będzie potrafił wyważyć trochę zamkniętych drzwi bez zadyszki, i powoli zacząć go wprowadzać do grona najbardziej zaufanych pracowników.

Przerwał swoje rozmyślenia i ponownie skupił się na zebraniu. Zwrócił się do psychologa, podsumowując pokrótce to, co ten dotąd powiedział:

– Stwierdził pan, że Andreasa Falkenborga nie można zaliczyć do żadnej z trzech podstawowych grup seryjnych zabójców, czyli: *thrill killers*, *lust killers* czy *power seekers*. Miał pan podać, jakie są inne możliwości.

Psycholog kontynuował swój wywód, jakby przerwa trwała kilka sekund, a nie dobrą godzinę. Także Pauline Berg i Poul Troulsen sprawiali wrażenie, jakby tego rodzaju przerwy w ich zebraniach były całkowicie normalne. Nikt z nich nie zapytał też o Arnego Pedersena.

– Inna możliwa grupa to tak zwani *gain killers*, czyli seryjni mordercy, którzy czerpią materialne bądź finansowe korzyści ze swoich działań, ale to też możemy wykluczyć. Poza tym są jeszcze dwie dość podobne do siebie grupy: *visionaries* i *missionaries*. Pierwszą kierują ponoć głosy, w każdym razie jakaś siła zewnętrzna, na przykład duch, który opętał psa sąsiada, żeby posłużyć się konkretnym przykładem. Drudzy uznają, że ich misją jest uwolnienie świata od pewnej grupy ludzi, która według nich z jakiegoś powodu temu światu zagraża. Przyznaję, że tutaj znalazłbym pewne analogie z działaniami Falkenborga. Maską diabła pasuje do tego obrazu, a także to, że ofiary są do siebie podobne, tyle że mordercy w obu tych grupach to niemal zawsze osoby psychotyczne lub schizofrenicy i rzadko tak świetnie zorganizowane jak Andreas Falkenborg. I jeszcze jedna rzecz, która chyba ma decydujące znaczenie: osoby te mają zwykle iloraz inteligencji między 90 a 100. IQ Falkenborga jest znacznie wyższe.

Konrad Simonsen wszedł mu w słowo:

– Jeśli dobrze policzyłem, zostaje nam tylko jedna grupa.

– Zgadza się. Ta ostatnia grupa to *hedonist killers*, czyli seryjni mordercy, którzy zabijają dla czystej przyjemności, chociaż niemal zawsze jest w tym także element sadyzmu z tendencją do dominacji. Szminka, obcinanie paznokci oraz uderzające podobieństwo ofiar nie pasują do tego obrazu. Jak również fakt, że morderca sprawia wrażenie osoby zdecydowanej i nawet nieudana próba go nie zraża, o czym mówiła Rikke Barbara Hvidt, jednakże pamiętajmy, że kiedy obcięła włosy, on natychmiast zrezygnował. Jakby w nowej sytuacji jej śmierć nie mogła dać mu satysfakcji. O aż tak wybrednym hedoniście nigdy nie słyszałem, poza tym do tego typu mordercy nie pasuje też uporczywe podążanie za ofiarą, kiedy już ją sobie wybrał.

Poul Troulsen wszedł mu w słowo:

– Ale nie można tego całkowicie wykluczyć? To znaczy motywu przyjemności?

Psycholog zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie wiem jeszcze wszystkiego, ale nie, to niemożliwe...

Konrad Simonsen postanowił drażnić sprawę.

– Co jest niemożliwe?

– Proszę mi powiedzieć, czy ktoś zainteresował się jego dzieciństwem?

W papierach nic na ten temat nie ma.

Tym razem odpowiedziała Pauline Berg:

– Nie ma, bo też niewiele wiemy. Rozumiem, że to błąd.

– Tak, to błąd. Niemal wszyscy seryjni mordercy mają za sobą dysfunkcyjne dzieciństwo, w grę mogą wchodzić przemoc seksualna, nadużywanie alkoholu przez rodziców, narkotyki, surowe kary, wymierzane nawet za drobne przewinienia. Wtedy typową reakcją dziecka jest ucieczka w świat wyobraźni, który w przyszłości może stać się jego drugim, równoległym światem, do którego będzie uciekał przed rzeczywistością.

Poul Troulsen miał wątpliwości.

– Nie mamy żadnych informacji, które by na to wskazywały. Wychowywał się w normalnej rodzinie.

– Poszukajcie głębiej. Jego dom na pewno nie był normalny. Coś musiało się zdarzyć, w dzieciństwie lub we wczesnej młodości, co wpłynęło na jego późniejsze życie i doprowadziło do tego, że zabił dwie kobiety. A może nawet trzy, jak twierdzą. To może być jedno znaczące wydarzenie, możliwe, że związane ze śmiercią, ale równie dobrze mogą to też być problemy w relacjach między jego rodzicami. Albo jedno i drugie.

Konrad Simonsen słuchał wyraźnie zainteresowany.

– To może tłumaczyć maskę?

– Tak, chociaż to nie znaczy, że należy szukać epizodu w jego życiu, gdzie występuje maska jako taka. Sądzę, że czerwona szminka i obcinanie paznokci od-

wołują się do konkretnych wydarzeń. Maską jest czymś, za czym on się chowa, czy też za czym pragnie ukryć swoje fantazje. Ukrycie twarzy go chroni, pozwalając mu jednocześnie realizować marzenia. Nie jest to pragnienie dominacji w potocznym rozumieniu tego słowa, raczej chęć pomszczenia jakiejś niesprawiedliwości, zapewne jeszcze z okresu dzieciństwa.

– A typ kobiety też ma coś wspólnego z jego dzieciństwem?

– Tak uważam, wydaje mi się też, że on czuje lęk przed takimi kobietami. Dlatego sam ich nie szuka, jeśli jednak natknie się na kobietę w tym typie, czuje przymus zareagowania. Dla niego oznaczają one niebezpieczeństwo, zagrożenie, musi więc działać i za wszelką cenę je unicestwić. Sam akt zabójstwa wydaje się wyreżyserowany, co na pewno też ma wy tłumaczenie w jakimś incydencie z dzieciństwa, chociaż on doskonale wie, że robi coś złego. Jest tego świadom zarówno przed, w trakcie, jak i po zabójstwie.

– Jest szansa, że się przyzna, gdy skonfrontujemy go z dowodami, nawet jeśli w tej chwili nie są one szczególnie mocne?

– Tego nie wiem. Jest inteligentny, na pewno potrafi ocenić, co w sensie prawnym przemawia przeciwko niemu, a co jest czystą spekulacją. Jednakże kiedy się okaże, że ktoś przejrzał jego tajemnicę, może się poczuć skrępowany. Poza tym jest szalenie naiwny, co też może się okazać bardzo istotne.

Konrad Simonsen chciał rozwiać wszelkie wątpliwości:

– Czy dobrze rozumiem, że jeśli wskażemy mu, że źródła jego postępowania należy szukać w jego dzieciństwie, sytuacja będzie dla niego podwójnie krępująca?

– Tak, i nie przypuszczam, żeby był w stanie sobie z tym poradzić. Ale jak już wspominałem, pewności nie mam. Proszę pamiętać, że on od lat prowadzi podwójne życie.

Poul Troulsen przerwał wypowiedź psychologa, zadając kolejne pytanie:

– Zbiera trofea? Jest coś, co zabiera do domu?

– Nie sędzę. Raczej pragnie jak najszybciej zapomnieć o tych kobietach. Tak mi się wydaje.

– A jego praca zawodowa? Można powiedzieć, że jest zawodowym podglądaczem, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Sprzedaje bardzo zaawansowany sprzęt do śledzenia ludzi: mikrofony, kamery, różnego rodzaju techniczne i elektroniczne urządzenia.

– To też może mieć coś wspólnego z jego dzieciństwem i młodością, ale nie chcę spekulować.

Poul Troulsen zerknął do leżącego przed nim notesu.

– Chętnie dowiedziałbym się więcej o jego „dziecinnym” charakterze. Wiele osób o tym wspomina. To rodzaj zaburzenia? Wada rozwojowa?

– Jeśli ma pan na myśli zaburzenia takie jak zespół Aspergera, zespół Tourette’a, autyzm czy ADHD, to odpowiedź brzmi: nie. To nie jest wada uciążliwa

dla osoby, która na nią cierpi, i jej otoczenia, a na pewno nie powoduje, że człowiek staje się seryjnym zabójcą. Może raczej powinniśmy spojrzeć na niego jak na kogoś łatwo ulegającego wpływom, szczególnie jeśli ktoś zachowuje się wobec niego autorytarnie i dorośle. Z tego, co mogłem o nim przeczytać, wnioskuję że jest to bardzo prawdopodobne.

Konrad Simonsen rozejrzał się, nikt nie miał więcej pytań. Zebrał więc swoje papiery i zakończył spotkanie. Powiódł wzrokiem po współpracownikach i wyznaczył im kolejne zadanie:

– Dzieciństwo Andreasa Falkenborga. Zlećcie to dalej, do pracy w zespołach. Może uda się dotrzeć do jego kolegów z dzieciństwa? Sprawdźcie, czym się interesował, jak się uczył, kto go uczył, no i przede wszystkim dowiedźcie się jak najwięcej o jego rodzicach. Wszystko jest ważne, także to, czy potknął się i przewrócił, tańcząc na balu maturalnym, albo czy kiedyś zapomniał pierwszej zwrotki psalmu. Chcę to wiedzieć, i to jak najszybciej.

Rozdział 24

Po zakończonym spotkaniu Pauline Berg dogoniła psychologa na korytarzu, zatrzymała go i obdarzyła swoim najbardziej promiennym uśmiechem.

– Przepraszam, ale mam jeszcze jedno pytanie, jeśli oczywiście masz wolną minutę.

– Mów.

Pauline zerknęła przez ramię w stronę sali, gdzie przed chwilą skończyło się spotkanie.

– Mogę ci towarzyszyć do wyjścia?

– Jasne. To coś, czego inni nie powinni słyszeć?

Położyła rękę na ramieniu mężczyzny i ruszyli do głównych drzwi.

– Masz świetne wycucie sytuacji.

– Dziękuję. Czego zatem nikt nie powinien usłyszeć?

Powtórzył pytanie, nie reagując na jej pochwałę. Pomyślała, że nie będzie owijała w bawełnę, i tak by ją przejrzał, więc spytała po prostu:

– Jesteś żonaty, masz dziewczynę?

– Dlaczego o to pytasz?

– Pomyślałam, że moglibyśmy umówić się na kawę.

Szli korytarzem, z daleka od spojrzeń wścibskich kolegów. Pauline odprężyła się i dodała:

– To znaczy, oczywiście, jeśli chcesz.

– Zawsze jesteś taka bezpośrednia?

– Nie, właściwie nigdy, ale nie wiem, kiedy znów cię zobaczę.

– Z pewnością jednego z najbliższych dni, kiedy Andreas Falkenborg zostanie wezwany na przesłuchanie.

Pauline pomyślała, że rozmowa zaraz się skończy, zanim w ogóle się zaczęła. Psycholog nie był mężczyzną, którym można było łatwo manipulować.

– Wiem, że są takie plany, ale mnie one nie dotyczą. Reszta zespołu chce, żebym trzymała się z daleka, nawet nie mam co pytać. Dlatego chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy, to dla mnie naprawdę ważne. A jeśli chodzi o tę kawę, to przyszło mi to do głowy podczas twojej prezentacji.

– Rozumiem. Jesteś pewna, że dobrze idziemy?

– Jak najbardziej, ale teraz chyba twoja kolej wyłożyć karty na stół.

– No to powiem ci, że to najlepsza propozycja, jaką dzisiaj dostałem.

Mężczyzna roześmiał się. Pauline uśmiechnęła się i po chwili dodała już poważnie:

– Nie zamierzam się z tobą spotykać, jeśli masz dziewczynę albo jesteś żonaty. Takich sytuacji mam powyżej uszu.

– Chyba więc będziemy musieli wypić tę kawę osobno. Jestem żonaty.

Pauline poczuła się zawiedziona, nawet bardziej, niż chciała to okazać. Przez moment pomyślała, że może jednak mogłaby zrezygnować ze swoich zasad.

– Ale w przyszłym miesiącu, kiedy mój rozwód nabierze mocy prawnej, możemy wrócić do tematu, chyba że mimo wszystko odważysz się ze mną umówić.

– Zdarzało mi się już podejmować większe ryzyko.

– To może coś zjemy przed tą kawą?

Pauline chętnie się zgodziła.

– Skąd mogę cię odebrać? Chcesz, żebym znalazł jakieś miejsce i zarezerwował stolik?

Zastanowiła się chwilę.

– O ósmej na Dantes Plads? Wiesz, gdzie to jest?

– Naprzeciwko Glyptoteki. To jesteśmy umówieni.

– Masz komórkę? Gdybym jednak musiała odwołać? Jeśli dojdzie do przełomu w śledztwie, nie będę mogła wyjść. Ta sprawa ma wysoki priorytet.

– Takie lubisz, prawda?

– Możesz przestać? Łapiesz mnie za słówka. Czy człowiek staje się taki, będąc profilerem?

– Nie, człowiek staje się taki po wysłuchaniu setki nieco zbyt intymnych usprawiedliwień studentek, które nie oddały na czas swoich prac.

– Zaraz zacznę się rumienić. Możemy poczekać z pytaniami do wieczora?

– No, proszę, zaczęłaś używać liczby mnogiej. Myślisz, że pracuję za darmo?

– Tak właśnie myślę.

– W takim razie pokaż mi przynajmniej wasz słynny dziedziniec z arkadami. Tyle razy widziałem go w telewizji, ale nigdy w rzeczywistości. Chyba znajduje się gdzieś w pobliżu?

– Owszem, ale zaprowadzę cię tam innym razem. Zaraz ktoś zacznie mnie szukać. I jeszcze jedno, wieczorem każde z nas płaci za siebie, więc poszukaj czegoś niezbyt drogiego. Niedawno kupiłam dom i jestem biedna jak mysz kościelna.

– Rozumiem, że nie będzie to związek dla pieniędzy?

– Powoli, dobrze? Na pewno dzisiaj wieczorem nie będziesz musiał podejmować żadnych decyzji.

Wracając do sali, Pauline spotkała Malte Borupa, który przyglądał się jej z ciekawioną.

– Kto to był? – zapytał.

– Mężczyzna.

– Widziałem. Dobrze go znasz?

Pauline zignorowała pytanie.

– Dobrze, że cię spotkałam. Mam dla ciebie robotę, zostawiłam ci coś na

biurku, spróbuj zdążyć z tym jeszcze dzisiaj. Nie powinno ci to zająć więcej niż dziesięć minut.

Malte skinął głową, dziesięć minut na pewno znajdzie.

– Właściwie to w ogóle nie powinno mnie tu dzisiaj być. To przypadek, że byłem w pobliżu, kiedy zadzwonił Simon. Wybrałem się z Anitą na zakupy, a właściwie poszedłem z nią bardziej dla towarzystwa, no i teraz okropnie się na mnie obraziła. Wyjęła mi z ręki komórkę i nawrzucała Simonowi. Wyobrażasz to sobie?

Pauline nie odpowiedziała. Uznała, że nie są to sprawy, do których powinna się mieszać.

Weszli do sali odpraw, Konrad Simonsen podniósł głowę i spojrział na nich. Awantura, którą zrobiła mu dziewczyna Maltego, wywarła skutek. Simonsen znał dziewczynę z wcześniejszych spotkań i wiedział, że nie jest histeryczką. W zasadzie miała rację, musiał przyznać, że niekiedy wykorzystuje Borupa.

– Dziękuję, że jednak zajrzałeś, Malte. Potem możesz zaprosić Anitę na lunch na koszt państwa. Możesz założyć? Zwrócę ci później.

Malte Borup sprawiał wrażenie, jakby wygrał los na loterii. Darmowy lunch na pewno udobrucha jego dziewczynę, no i pewnie skróci nieco zakupy, jeśli Anita będzie chciała zdążyć na czas do pracy.

– Bardzo dziękuję. Anita na pewno będzie mogła założyć.

– Dobrze, możemy zaczynać? Poprosiłem cię, bo twoja komputerowa baza danych sprawdza się lepiej niż nasza zawodna pamięć. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o dzieciństwie i ewentualnie także o wczesnej młodości Andreasa Falkenborga. Ciekaw jestem, co uda ci się wyczarować na komputerze, zanim rozpoczniemy nasze poszukiwania.

Konrad Simonsen wskazał na monitor, który został tak ustawiony, żeby wszyscy mogli go widzieć. Malte Borup usiadł przy stole.

– Nie żebym się skarżył, ale dlaczego sami go nie włączyliście? Dokładnie opisałem, jak należy szukać informacji w bazach, korzystając z SQL-a. Czy moja instrukcja jest aż tak kiepska?

Poul Troulsen poklepał go po ramieniu.

– Nie instrukcja, tylko my. Nie bardzo się na tym znamy, no i jesteśmy zbyt leniwi, ale o tym porozmawiamy innym razem.

Konrad Simonsen dorzucił jeszcze:

– Poza tym jeden szuka i nic z tego, a drugi...

Kark chłopaka zmienił kolor, temat był drażliwy, ale Simonsen ciągnął dalej:

– Powiedziałbym, że poszukiwania, które my podejmujemy, czy raczej te, których nie podejmujemy, nie są, jak by to powiedzieć... Nie są tak dogłębne, jak te, które możemy podjąć z twoją pomocą.

Malte Borup próbował się bronić:

– Hrabianka twierdzi, że oszczędzamy sędziom dużo pracy, nie występując

o nakaz zatrzymania w sprawach, w których nie...

– Nie chcę tego słyszeć, interesuje mnie natomiast dzieciństwo Andreasa Falkenborga. Wiem, że niewiele na ten temat mamy, ale może jesteś w stanie wy-czarować jakichś wiarygodnych świadków, od których moglibyśmy zacząć? Nawet jeśli trzeba będzie sięgnąć dość daleko w przeszłość.

– Poza pokojówkami?

Gdy nikt się nie odezwał, Malte spytał zakłopotany:

– Nie mówi się już pokojówki? One co prawda tak o sobie mówią, ale dzisiaj pewnie używa się określenia pomoc domowa, tak?

Nadal żadnej odpowiedzi, w końcu Malte odwrócił się i spojrział na stojących za nim ludzi, którzy przyglądali mu się z szeroko otwartymi ustami. Nikt z nich do tej pory nie słyszał o pokojówkach w rodzinnym domu Andreasa Falkenborga, bo chociaż Malte był geniuszem, jeśli chodzi o posługiwanie się komputerem, to o pewnych rzeczach, które wydawały mu się nieistotne z punktu widzenia śledz-twa, po prostu nie informował.

Konrad Simonsen pierwszy doszedł do siebie.

– Nie mieliśmy pojęcia, że w domu były pokojówki. Jak się o tym dowie-działeś?

– Całkowicie legalnie. Część gmin zdigitalizowała swoje archiwa, skanują dawne dokumenty i wprowadzają je do komputera w ramach specjalnego projektu, realizowanego we współpracy z Centralnym Rejestrem Ludności i Uniwersytetem Kopenhaskim. Gmina Rudersdal też w nim uczestniczy, o ile wiem, mają już wprowadzone dane nawet z 1920 roku, a więc oczywiście także z okresu, który nas inte-resuje.

– Rozumiem, że wiesz, kto mieszkał w domu w Holte, w którym dora-stał Andreas?

– Tak, sporządziłem pełną listę pokojówek. Jest w systemie.

– Nie wątpię. Możesz nam ją pokazać?

Malte Borup wpisał coś i po chwili na monitorze pokazały się imiona i na-zwiska różnych kobiet.

– W okresie od 1957 do 1967 roku było ich jedenaście. Większość pracowała rok, dwa lata, ale jedna tylko miesiąc. Mam sprawdzić, które z nich żyją?

– Poprosimy.

– Uprzedzam, że to może trochę potrwać.

„Trochę” w ustach Maltego znaczyło mniej więcej trzy minuty, po upływie których komputer pokazał, że dwie z zatrudnionych u Falkenborgów pokojówek już zmarły.

– Możesz się dowiedzieć, ile te kobiety miały lat, kiedy tam pracowały?

– Tak, ale znów będziemy musieli trochę poczekać. Gdybyście powiedzieli mi wcześniej, załatwilibyśmy to za jednym zamachem.

– Możemy poczekać.

Tym razem oczekiwanie trwało jeszcze krócej, potrzebne dane niemal natychmiast pojawiły się na monitorze.

– Dziwne, pewnie wrzucili moje wyszukiwania do bufora, cały czas ulepszają system.

Konrad Simonsen skupił się na monitorze.

– Wszystkie kobiety były w wieku od dziewiętnastu do dwudziestu trzech lat, to wygląda obiecująco, Malte. Możesz znaleźć ich aktualne adresy i ewentualnie jeszcze numery telefonów?

– Żaden problem, jeśli mieszkają w Danii. Jeśli nie, nie będzie tak łatwo.

– No i najważniejsza sprawa. Zdjęcia.

Malte Borup zerknął na zegar w górnym rogu ekranu i odpowiedział z lekkim wahaniem:

– To nie takie proste.

– Ale...

– Ale jeśli mają paszport albo prawo jazdy, to w bazie powinno być także zdjęcie, tylko nie wiem, czy w wersji cyfrowej, dlatego może być z tym pewien problem.

– Więc co dalej?

Malte wyraźnie się zawahał, w końcu jednak uległ milczącej presji.

– Mamy taki system wzajemnej pomocy.

– Mamy, to znaczy kto?

– Ci, którzy na co dzień pracują z komputerami. Pomagamy sobie nawzajem i zyskujemy punkty, nazywamy je *Guilt* albo po prostu „G”. To bardzo skuteczne, sam zebrałem już mnóstwo takich punktów.

Konrad Simonsen nie potrafił ukryć swojego przerażenia.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wymieniasz informacje policyjne na punkty?

– Nie, Hrabianka mówi, że...

– Nie obchodzi mnie, co mówi Hrabianka. Ja mówię, że nie wolno ci sprzedawać danych z naszych rejestrów, niezależnie od tego, czy zarabiasz na tym punkty, czy cokolwiek innego.

– Nic takiego nie robię. Wiem, że to surowo zabronione. Wszystkie punkty zarobiłem, pomagając ludziom w sprawach czysto technicznych.

Konrad Simonsen wyraźnie się uspokoił.

– Cieszy mnie to, a co z tymi zdjęciami?

– Może ktoś będzie mógł je zeskanować i mi przesłać, wtedy otworzymy je w programie LifeCyklus i dowiemy się, jak te kobiety mogły wyglądać, kiedy pracowały u Falkenborgów. Podkreślam jednak, że nie będzie to bardzo dokładny obraz.

- Jak długo będziemy czekać?
- Pół godziny, może godzinę. Anita mi tego nie daruje.
- Porozmawiam z nią, a ty zaczynaj.
- Dobrze, dam znać, kiedy będę miał wszystko gotowe. To znaczy, pomyślałem, że może macie coś do zrobienia...

Zrozumieli, o co mu chodzi, i zostawili go w spokoju.

Czas oczekiwania funkcjonariusze wykorzystali na wymianę uwag, zaś Konrad Simonsen zabrał się do walki z okazałą porcją sałaty, polecając Pauline, by skontaktowała się z dziewczyną Maltego, co też zrobiła. Ucięły sobie pogawędkę o ciuchach i sklepach.

System *Guilt* okazał się skuteczny i dwadzieścia minut później Malte Borup przywołał z powrotem swoich słuchaczy.

Wszyscy przyglądali się z zainteresowaniem ekranowi komputera. Siedem z dziewięciu pokojówek miało już twarze, chociaż rzeczywiście kuracja odmładzająca sprawiła, iż niektóre z nich wyglądały dość oryginalnie. Niemniej jednak dla wszystkich było oczywiste, na kim powinni się skupić. Poul Troulsen wskazał na jedną z kobiet.

– Agnete Bahn.

Konrad Simonsen przytaknął.

– Zdjęcie jest dość niewyraźne, ale mam wrażenie, że to ten sam typ urody, chociaż Jeanette wydaje się bardziej podobna do tych trzech zamordowanych kobiet niż ona.

Malte od razu pospieszył z wyjaśnieniem:

– W rzeczywistości mogła wyglądać nieco inaczej. Zdjęcie w prawie jazdy jest niewielkie, trudno na nim pracować.

Konrad Simonsen zaczął się zastanawiać, ile kobieta mogła mieć lat, kiedy była zatrudniona u Falkenborgów.

– Pewnie skończone dwadzieścia, może dwadzieścia jeden.

– Gdzie Agnete Bahn mieszka obecnie?

– W Kopenhadze, najwyraźniej na Østerbro.

– No to odwiedzmy ją.

Zupełnie inaczej zareagowała Pauline Berg, kiedy po chwili dołączyła do mężczyzn i odczytała na ekranie imię i nazwisko dawnej pokojówki rodziny Falkenborgów.

– No nie, to niemożliwe. Ona ma coś wspólnego z tą sprawą? Pracowała wtedy u nich?

Konrad Simonsen zaczął od razu podejrzewać kłopoty.

– Znasz ją?

– Czy ją znam? Cała obyczajówka zna Burdel Bahn.

– Chyba się domyślam, jaki zawód obecnie wykonuje.

– To zawodowa rajfurka. Dziewczyny traktuje okropnie i jest nieprawdopodobnie chciwa, no i nienawidzi policji. Ma adwokatów gotowych do działania na każde skinienie i konsekwentnie odmawia jakichkolwiek zeznań, na jakikolwiek temat. Chyba że ma w tym interes. Wtedy potrafi być sympatyczna, ale tego doświadczyłam tylko jeden jedyny raz.

– Wygląda na to, że ma rogi i nimi bodzie.

– Tego nie wiem, ale chętnie się przekonam.

– Dobrze byłoby ją najpierw przesłuchać.

– Nie masz co próbować. Policji nic nie powie, chyba że będzie chciała nam dokuczyć, i nie myśl, że uda ci się zaapelować do jej sumienia, bo czegoś takiego w ogóle nie posiada.

– Rozumiem, że prowadzi burdel, tylko dziwię się, że nadal jest taka aktywna. Musi być pod sześćdziesiątkę.

Malte Borup miał oczywiście bardziej precyzyjne informacje.

– Ma sześćdziesiąt cztery lata. Mam sprawdzić, czy była karana?

Pauline była dobrze poinformowana:

– Lista jej grzechów jest jak dobry serial. Jej firma działa na Gudhjemgade, to boczna uliczka od Nordre Frihavnsgrade. Sama zresztą też tam mieszka, na pierwszym piętrze, i zapewniam was, że jest bardzo aktywna. Odpuści sobie chyba dopiero, kiedy sam diabeł osobiście się po nią stawi.

– Więc powinniśmy coś na nią mieć. Takie instytucje zwykle mają niejedno na sumieniu, a ona nic nie straci, jeśli zgodzi się nam pomóc.

– Pamiętaj, że oficjalnie prowadzi salon masażu. Wielu próbowało ją dociśnąć. Bez skutku. Ma idealny porządek, przykładnie prowadzi księgowość, odprowadza podatki, wszystko jest, jak trzeba. Nawet straż pożarna nie miała się do czego przyczepić.

– Poznałaś ją osobiście?

– Spotkałam się z nią kilka razy. Baba proponowała nawet, że mnie zatrudni, i prawdę mówiąc to wszystko, co miała mi do powiedzenia.

Głupie uśmiešky mężczyzn zirytowały Pauline.

– Wszystkim dziewczynom to proponuje, to rodzaj szykany.

– Myślisz, że właśnie ty powinnaś z nią rozmawiać? Czy może lepiej, jeśli zrobi to ktoś, kogo ona nie zna?

– Sądzę, że to nie ma znaczenia, ale osobiście wolałabym uniknąć rozmowy z tą panią.

Konrad Simonsen rozdzielił zadania. Malte Borup mógł nareszcie wrócić do zakupów ze swoją dziewczyną, Poul Troulsen miał spróbować szczęścia z Agnete Bahn, a Pauline Berg miała się skontaktować z dwiema pozostałymi byłymi pokojówkami, na razie jedynie telefonicznie, natomiast on sam wybierał się z wizytą do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie zdradził jednak w jakim celu.

Po południu mieli już wstępny obraz środowiska, w którym dorastał młody Andreas Falkenberg. Konrad Simonsen podsumował zebrane informacje w swoim gabinecie, gdzie zresztą zjawił się jako ostatni. Przybył dziesięć minut po umówionym czasie, mokry, bo po drodze zaskoczyła go letnia ulewa, ale za to w znakomitym humorze.

– Wygląda na to, że amerykańska armia nareszcie wzięła się do roboty. Mój przyjaciel pociągnął za kilka sznurków i Amerykanie obiecali jak najszybciej sprawdzić dane, dotyczące interesującego nas lotu do DYE-5. Nie ma oczywiście pewności, czy to coś nam da, ale przynajmniej otrzymamy oficjalne pismo z informacją, jak takie loty wyglądały, co nie będzie bez znaczenia, gdy rozpocznie się proces i będziemy musieli przekonać sąd o naszych racjach.

Mówiąc to, wyjął z szafy opakowanie serwetek i zaczął wycierać nimi swoje mokre spodnie. Przyciskał kolejne serwetki do uda, a potem, nasiąknięte wodą, wyrzucał do kosza.

– A teraz jestem ciekaw, jak tobie poszło, Poul.

Poul Troulsen pokręcił głową flegmatycznie.

– Pauline miała rację. Ta kobieta jest niemożliwa. Od razu się domyśliła, że jestem z policji, i zanim zdążyłem się przedstawić, poczęstowała mnie swoim stałym zestawem przekleństw. W końcu zacząłem krzyczeć. Przedstawiłem jej sprawę, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Nie należy do ludzi o rozwiniętym poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności.

– A co konkretnie ci powiedziała?

– Żebym spieprzał do swojej lepianki na Jutlandii. Muszę powiedzieć, że za imponowała mi swoim słuchem, bo wyjechałem z Jutlandii ponad trzydzieści lat temu i nie sądziłem, że mój akcent jest nadal zauważalny.

– I to wszystko?

– Nie, dałem jej wizytówkę, na wypadek gdyby się jednak namyśliła.

Pauline Berg weszła mu w słowo:

– Niech zgadnę, porwała ją, dała ci swoją i zaproponowała, że cię zatrudni?

– Tak właśnie było. Bezczelna baba.

Konrad Simonsen postanowił wrócić do tematu.

– Odniosłeś wrażenie, że mogłaby nam powiedzieć coś istotnego na temat rodziny Falkenbergów?

– Prawdę mówiąc tak. Zanim zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, rzuciła, że ma dla nas propozycję. Jeśli urząd skarbowy zwróci jej trzydzieści sześć tysięcy koron, z których cztery lata temu bezprawnie ją okradł, to miałaby niejedno do powiedzenia o Andreasie Falkenburgu i jego pokręconej rodzinie. Coś w tym stylu, chociaż pewnie nie dosłownie.

Konrad Simonsen zamyślił się. Zużył już wszystkie serwetki, a plastikowe opakowanie zwinął w rulon, który teraz trzymał w ręku i machał nim, jakby dyry-

gował własnymi myślami. W tempie *andante*. Po chwili znów się odezwał:

– Miałeś wrażenie, że interes się kręci?

– Widziałem kilku klientów, ale tłoku nie było. Poza tym ona mieszka na pierwszym piętrze, ma osobne wejście, więc nie miałem okazji przyjrzeć się firmie z bliska.

Simonsen zwrócił się do Pauline:

– Twierdzisz, że lubi pieniądze?

– „Lubi” to w tym przypadku łagodne określenie.

– Dobrze, poradzimy sobie z nią, ale musimy poczekać do poniedziałku.

Pauline nie była przekonana.

– Załóżę się o butelkę dobrego czerwonego wina, że się mylisz.

Simonsen wskazał ręką na przypięte do tablicy zdjęcia trzech kobiet.

– Pewnie miałyby nam za złe, gdybyśmy traktowali tę sprawę tak lekko. Cięży na nas spora odpowiedzialność.

Pauline Berg przeprosiła. Źle się z tym wszystkim czuła i brakowało jej Hrabianki, która już dawno powinna tu być.

Konrad Simonsen postanowił na razie zostawić w spokoju upartą burdelmame.

– Co z pozostałymi pokojówkami? Zakładam, że nie wszystkie są równie zawzięte jak Agnete Bahn?

Pauline zebrała się w sobie.

– Rzeczywiście nie. Większość dobrze pamięta czas spędzony w tym domu, tak więc rysuje się nam dość wyraźny obraz rodziny. Alf Falkenberg, ojciec Andresa Falkenborga, był domowym tyranem. Trząsł całym domem, matka całkowicie mu się podporządkowała. Zdarzało się nawet, że ją bił, natomiast nigdy nie podniósł ręki na syna. Poniżał żonę przy każdej okazji, nie krył się z romansami, między innymi z co najmniej trzema pokojówkami, z którymi rozmawiałam, ale do tego wrócę za chwilę. Elisabeth Falkenberg też nie była miłą osobą. Odreagowywała zachowania męża i pewnie też swoją zazdrość na służbie. Cokolwiek dziewczyny robiły, zawsze była niezadowolona. Czasem wręcz chodziła za nimi, żeby tylko wytknąć im ich błędy.

Poul Troulsen spojrział na nią zdziwiony.

– Dlaczego nie odeszły? To musiało być nie do wytrzymania.

– Niektóre odeszły. Ale dla wielu z nich nie było to takie proste. Dwie pochodziły z Fionii i nie chciały wracać do domu, bo to oznaczałoby dla nich porażkę. Poza tym dobrze im płacono, znacznie powyżej przeciętnej. – Pauline wypiła łyk wody z butelki, sięgnęła po notatki i mówiła dalej: – Andreas Falkenberg bał się ojca, ale jednocześnie go podziwiał. Ojciec był jego ideałem, ale i potencjalnym zagrożeniem, chociaż może nie tyle dla niego, ile dla jego matki. W szkole Andreas radził sobie dobrze, ale się nie wyróżniał. Często przyprawdzał do domu kolegów.

Kobiety opisują go jako raczej dziecinnego jak na swój wiek, często też zagubionego. Służące traktował arogancko, z góry, podobnie jak rodzice. Przy każdej okazji donosił na nie matce. Był z nią bardzo związany, do tego stopnia, że do ósmego roku życia spał razem z nią w łóżku. Zapomniałam powiedzieć, że rodzice mieli osobne sypialnie.

Poul Troulsen zamyślił się.

– To mi wygląda na życiorys psychopaty.

– Owszem, ale potem jest jeszcze gorzej. Ojciec stawia Andreasowi wysokie wymagania odnośnie nauki w szkole, a jeśli syn ich nie spełnia, ojciec wyżywa się na matce. Uważa bowiem, że to ona odpowiada za naukę syna. Jeśli więc syn z czymś sobie nie radzi, ojciec wymierza jej karę. Biję ją, a co najmniej przy dwóch okazjach syn był przy tym obecny. – Pauline zamilkła na chwilę, znów napiła się wody. – To smakowity kąsek dla psychologa, ale mam jeszcze jedną perełkę. Elisabeth Falkenborg wpadała w histerię, jeśli któraś z zatrudnionych w domu dziewcząt nie miała dostatecznie krótko obciętych paznokci. Wtedy osobiście wkraczała do akcji. Jeden z popisowych numerów Andreeasa, jeszcze z dzieciństwa, polegał na tym, że skarżył się matce, że któraś z dziewcząt go podrapała. Wtedy matka natychmiast sięgała po nożyczki, ku jego wielkiej radości.

Konrad Simonsen spojrzął na zegarek, znak dla pracowników, że mają się pospieszyć.

– Rzeczywiście zaczyna nam się rysować pewien obraz, że tak powiem. Wspominałaś, że niektóre z nich zostały wykorzystane. O co dokładnie chodziło?

Pauline Berg zamknęła notes.

– Pan fabrykant domagał się od nich seksu. Trzy kobiety powiedziały mi o tym otwarcie, ale takich przypadków mogło być więcej. Przez telefon nie wszyscy chcą rozmawiać, dlatego uważam, że niektóre z nich powinniśmy odwiedzić osobiście. Agnete Bahn też była wśród wykorzystanych kobiet.

– Dowiemy się więcej w poniedziałek – powiedział Konrad Simonsen i wyszedł z gabinetu bez pożegnania.

Rozdział 25

Kolacja z psychologiem przebiegała bardzo przyjemnie. Pauline dowiedziała się, że mężczyzna ma na nazwisko Madsen, imienia nie chciał jej zdradzić. E. Madsen, to wszystko, co jej wyjawiał. Próbowwała zgadywać, ale szybko wyczerpała wszystkie możliwości. Przy deserze przypomniała sobie jeszcze dwa imiona.

– Ebert czy Ebsen?

– Proponuję, żebyś jadła lody i opowiedziała mi coś o sobie.

– Zgadłam?

– Nie.

– Żadne z nich?

– Żadne.

– To może Emmerik?

– Nie słyszałem, żeby ktoś tak się nazywał. To imię dla kanarka.

– Obiecuję, że nie będę się śmiać.

– Wszyscy tak mówią, a potem i tak się śmieją.

– Ja nie. Przysięgam. Na wszystko, co najświętsze.

– Zapomnij o tym, nie sędzę, żebyś była szczególnie wierząca. O co chciałaś mnie spytać?

Pauline odłożyła łyżeczkę.

– Posłuchaj, jesteś bardzo miły, ale nie mogę się spotykać z facetem i mówić do niego Madsen, jak w dziewiętnastowiecznej sztuce. Powiedz, jak masz na imię, to powiem, jakie mam do ciebie pytanie.

– Nie, wymyśl coś innego.

– No dobrze, pozwolę ci wybrać film, na który pójdziemy.

– Nie wiedziałem, że mamy w planie kino.

– Teraz już wiesz. Uwielbiam chodzić do kina. Możemy się umówić w przyszłym tygodniu albo w niedzielę. Szczegóły ustalimy później. No, mów.

– Moi rodzice byli hippisami, prawdę mówiąc, urodziłem się w komunie, no i dostałem imię po ich wielkim idolu. Słyszałaś o Che Guevarze?

– To ten z T-shirtów?

– Gdyby mógł to usłyszeć... Ale tak, to o niego chodzi.

– A konkretnie?

– Nosimy to samo imię. Ernesto.

Pauline patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Nazywasz się Ernesto? Ernesto Madsen?

– Niestety tak.

Pauline czuła pod powiekami łzy.

– Nie jest chyba aż tak źle.

Do tej pory udawało jej się zachować powagę, ale teraz z jej gardła zaczęły się wydobywać dziwne dźwięki i nie minęła sekunda, a pokładała się ze śmiechu. Na szczęście jej śmiech okazał się zaraźliwy i po chwili śmiali się już oboje, nawet siedząca obok nich para też zaczęła się śmiać, nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Ernesto Madsen. Boże, jak to okropnie brzmi. Bardzo ci współczuję.

– Dziękuję za szczerą, a przy okazji powiem ci, że twoje imię też nie jest zachwycające.

Dopiero przy kawie Pauline pozbierała się na tyle, że była w stanie zadać mu pytanie, które było powodem ich spotkania.

– Chodzi o Andreasa Falkenborga. Pamiętasz, jak Simon spytał, czy sądzisz, że on się przyzna?

– Oczywiście, że pamiętam, aż tak źle ze mną nie jest. Pamiętam też, że nie potrafiłem odpowiedzieć.

– Tak, wiem, ale zaczęłam się zastanawiać, jak on by zareagował, gdyby jedna z przesłuchujących go osób wyglądem przypominała jego ofiary. Chodzi o ten sam typ urody.

– Skąd weźmiecie kogoś takiego?

Pauline pomyślała, że psycholog potrafił wprawdzie zajrzeć w głąb człowieka, ale nie był chyba szczególnie spostrzegawczy. W tej sytuacji było to jednak zaletą, bo nie musiała mu niczego tłumaczyć.

– Mówię czysto teoretycznie. Gdyby się okazało, że mamy kogoś takiego.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę, w końcu odezwał się z lekkim wahaniem:

– Podejrzewam, że bardzo by się przestraszył i być może by się przyznał.

Także żeby uniknąć nieprzyjemnej sytuacji, która byłaby dla niego prawdziwą torturą. Ale szczerze mówiąc, nie zachęcam do tego rodzaju eksperymentów, nawet w charakterze ostatniej deski ratunku, bo nie trzeba być szczególnie przewidującym, żeby się domyśleć, co facet zrobi, jeśli kiedyś wyjedzie na wolność.

– Ale uważasz, że by się przyznał?

– Tak, przypuszczam, że zламаłby się.

– Dziękuję, kocham cię.

– Tak po prostu?

– Nie jestem zbyt wymagającą kobietą, Ernesto.

Rozdział 26

Helle Oldermund Hagensen, dyrektor do spraw socjalnych w gminie Grib-skov, była osobą szalenie władczą, która wiele wymagała od bliźnich, a – biorąc pod uwagę jej pozycję zawodową – miała ku temu niezliczone okazje.

Był wieczór, kiedy Hrabianka jechała krętą żwirową drogą przez Tisvilde Hegn, prowadzącą do pustego o tej porze parkingu. Stały tu tylko dwa samochody, stare renault i czarne audi pani dyrektor, które Hrabianka widziała już poprzedniego dnia. Natomiast urzędniczki nie było nigdzie widać, musiała więc radzić sobie sama. Wysiadła z samochodu i spojrzała lekko zaniepokojona na niebo, po czym upewniła się, że ma w torebce parasolkę, zanosiłoby się bowiem na deszcz. Zerknęła na zegarek, stwierdziła, że ma jeszcze dziesięć minut, powinna zdążyć.

Ścieżka biegnąca od parkingu do budynku muzeum wiła się wśród morenowych wzgórz i tylko nieliczne, wykrzywione przez wiatr sosny zasłaniały widok na cieśninę Kattegat, której szara toń niemal zlewała się z ciemnymi, ciężkimi od deszczu chmurami. Kobieta poczuła, że pierwsze krople deszczu spadają jej na głowę, i przyspieszyła kroku.

Muzeum okazało się dwupiętrowym budynkiem krytym strzechą, bez wyraźnego stylu, przypominającym nieco przerośniętą nadmorską rezydencję, dość nie-dopasowaną do krajobrazu. Przed drzwiami, pod daszkiem stała pani dyrektor w towarzystwie młodszego mężczyzny, najwyraźniej już na nią czekała. Była wysoka, około czterdziestki, miała na sobie drogie ubrania, ale jej styl sprawiał wrażenie niezdecydowanego, co Hrabianka zdążyła zauważyć już wcześniej. Z daleka wydawała się dość przystojna, miała regularne rysy i gęste, sięgające do ramion, lekko kręcone kasztanowe włosy. Jednak z bliska widać było, że jej twarz nosi ślady przebytego kiedyś trądziku, a może był to efekt nieudanego zabiegu laserowego. Hrabianka skinęła głową uprzejmie, próbując przekonać samą siebie, że powinna dać kobiecie jeszcze jedną szansę. Każdemu przecież może się zdarzyć gorszy dzień, pielęgnowanie w sobie urazy jest bez sensu. Jej pozytywne myślenie okazało się jednak całkowicie bezpodstawne, o czym przekonały ją już pierwsze słowa kobiety:

– Jest pani. W ostatniej chwili. Ma pani godzinę, która właśnie się zaczęła.

Hrabianka opanowała się.

– Dziękuję za dobre chęci.

W odpowiedzi otrzymała łaskawe skinienie głowy, bynajmniej niejednoznaczne, ale pstryknięcie palcami i wskazanie na drzwi wejściowe nie pozostawiało już żadnych wątpliwości. Towarzyszący kobiecie mężczyzna wyjął klucze i otworzył drzwi. Poprowadził je schodami w dół, do piwnicy, gdzie ściany aż do sufitu zastawione były szafkami, regałami i różnego rodzaju i różnej wielkości pudełka-

mi. Oświetlenie było kiepskie, ponieważ jedyne okno prawie całe zasłonięte było walizkami, a poza tym wręcz domagało się umycia. Obok okna zorganizowano niewielkie miejsce do pracy, biurko, krzesło i komputer, który już w latach dziewięćdziesiątych musiał być mocno przestarzały. Helle Oldermund Hagensen rozłożyła ręce niczym dyrektor upadającego cyrku i oświadczyła:

– Proszę, ma pani pięćdziesiąt pięć minut i nie muszę chyba mówić, że nie wolno pani stąd niczego wynosić. Mam nadzieję, że wie pani, czego szuka, bo nie chciałabym tracić czasu na darmo.

– Tak, wiem, i jeszcze raz dziękuję.

– Ma pani ze sobą aparat fotograficzny?

– Tak, szukam zdjęcia. Jeśli je znajdę, będę chciała zrobić kopię.

– Wykluczone. Poproszę pani aparat.

Było to zachowanie wykraczające znacznie poza to, co Hrabianka zwykle tolerowała, tym bardziej że sprawa dotyczyła morderstwa, doskonale jednak wiedziała, że nie wolno jej stracić nad sobą kontroli z tego prostego powodu, że trop, którym podążała, pochodził z rozmowy telefonicznej z jasnowidzką, a więc miał, można powiedzieć, raczej prywatny charakter. To, co teraz robiła, też było dość kontrowersyjne, musiała być ostrożna, ale jednak pewne granice istniały. Podeszła więc do pani dyrektor, może nieco za blisko, i patrząc jej w oczy, powiedziała:

– Ma pani wybór. Albo przestanie pani marudzić i zostawi mnie w spokoju, a ja dam pani znać, kiedy skończę, nieważne, czy będzie to za dziesięć minut, czy za kilka godzin, albo zacznie się pani ze mną kłócić, a wtedy przykuję panią kajdankami do rury z wodą i tak sobie pani postoi, aż skończę pracę. Proszę powiedzieć, co pani woli, chyba że zdaje się pani na mnie.

Kolor twarzy pani dyrektor zmienił się tak nagle, że przez moment Hrabianka obawiała się, że kobieta zemdleje. Helle Oldermund Hagensen zaczerpnęła jednak zachłannie powietrza i wzięła się w garść. Hrabianka, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów, pogroziła jej palcem.

– Jeszcze jedna uwaga i pomogę pani opuścić to pomieszczenie – dodała.

Kobieta odwróciła się na pięcie i sama wyszła z piwnicy. Hrabianka zwróciła się do swojego pomocnika i zaskoczona zobaczyła, że młody mężczyzna śmieje się od ucha do ucha.

– Zawsze jest taka wyrozumiała?

– To nic w porównaniu z tym, co się tu czasem dzieje. Moja żona pracuje w gminnym domu opieki, który podlega bezpośrednio pani dyrektor. Tam dopiero daje im popalić. Z działu opieki w gminie odeszło już dwanaście osób, a w ratuszu buduje własną frakcję. Ma do pomocy jeszcze dwie pyskate baby i wszystkie trzy od czasu do czasu nieźle dają ludziom do wiwatu. Niestety, nie jest szczególnie inteligentna i to jest pewnie główny powód jej zachowania. Do tego jeszcze podlizuje

się zwierzchnikom, naprawdę trudno z nią wytrzymać.

– Cóż, takich ludzi też, niestety, nie brakuje. Ale bierzmy się do pracy... – Hrabianka rozejrzała się dookoła, nieco zagubiona. – To może nie być takie proste. Mam nadzieję, że pan się w tym trochę orientuje, bo inaczej mogę się od razu podać.

– Tutaj nawet najlepsza orientacja nie pomoże, ale na wszystko znajdzie się sposób.

Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni pendrive'a i podał Hrabiance.

– Co to jest?

– Trzydzieści osiem zdjęć z bazy Søndre Strømfjord, wszystkie zrobione w ciągu dwóch pierwszych tygodni lipca 1983 roku. Zdjęcie, którego pani szuka, jest oznaczone numerem cztery.

Hrabianka była autentycznie zaskoczona.

– No proszę, coś takiego.

– Tylko proszę mnie nie zdradzić, bo natychmiast stąd wylecę. Żona zresztą też, jeśli pani dyrektor będzie miała taką zachciankę.

– Nic nie powiem. Rozumiem, że rozmawiał pan z byłym szefem muzeum?

– Tak. To on poinformował mnie, gdzie znajdę to, czego pani szuka.

– Zdjęcie numer cztery. Nie przypominam sobie, żeby komuś wspominała o zdjęciu.

– To prawda, ale dwóch dziennikarzy od jakiegoś czasu wydzwania do ludzi, którzy w tym okresie pracowali w bazie. Wypytyują o faceta, który jest na tym zdjęciu, więc uznałem, że to jego pani szuka.

Mężczyzna wyjął z portfela kartkę i rozłożył ją. Hrabianka zobaczyła młodego, krótko ostrzyżonego, uśmiechniętego mężczyznę.

– Skąd to zdjęcie?

– Dwa dni temu odwiedzili mnie w domu dwaj dziennikarze. Dali mi zdjęcie, nie mówiąc, kto na nim jest.

– Pomógł im pan?

– Nie, nie spodobali mi się. Poza tym uważam, że zabójstwo to nie rozrywka. Biedna dziewczyna, zginąć w taki sposób...

– Trudno mi się z panem nie zgodzić. Da mi pan to zdjęcie?

– Oczywiście, mnie ono nie jest do niczego potrzebne. Wie pani, kto to jest?

– To pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie popełnił żadnego przestępstwa. Zna pan może nazwiska tych dwóch dziennikarzy?

– Nie, ale jeden z nich zostawił mi wizytówkę. Zadzwoń do pani, jak wrócę do domu.

– Będę panu wdzięczna. Powiedzieli, dlaczego ten mężczyzna ich interesuje?

– Nie. Pani zresztą też mi tego nie powiedziała.

Nagle Hrabiance przyszedł do głowy pomysł, który uznała za lekko parano-

iczny.

– Wie pan może, dlaczego zwolniono poprzedniego dyrektora muzeum?

– Hm, to długa historia, ale akurat z tym zdjęciem nie ma nic wspólnego, jeśli o to pani chodzi.

– W porządku, nie sądziłam, by te sprawy mogły być jakoś powiązane.

– Prawdę mówiąc, żałuję, że musiał odejść. Nikt tak jak on nie potrafił opowiadać anegdot z Grenlandii, robił to naprawdę wspaniale, a część z nich była nawet prawdziwa. Teraz nie ma już miejsca na takie rzeczy, muzeum prowadzi własną politykę informacyjną, wszystko musi być poważne i na serio, ale większość odwiedzających to zwykli ludzie, którzy pewnie woleliby posłuchać anegdotek.

– Pamięta pan może jakieś?

– Mnóstwo, ale nie potrafię ich powtórzyć. W każdym razie na pewno nie dorównuję mojemu byłemu szefowi.

– Ale rozumiem, że pan ćwiczy?

Mężczyzna zarumienił się.

– Trochę.

Hrabianka wyjrzała przez okno, krople deszczu uderzały o szyby. Pogoda nie zachęcała do wyjścia. Zerknęła na zegarek i spytała:

– Opowie mi pan coś?

Rozdział 27

W sobotę przed południem pogoda się załamała. Unoszące się nad Kopenhagą wilgotne ciepło wybuchło burzą z piorunami w momencie, gdy pociąg właśnie zbliżał się do Roskilde. Pauline odetchnęła z ulgą, chociaż w przedziale nadal było gorąco i czuła, jak ubranie lepi się jej do ciała. Wyrzała przez okno i zobaczyła katedrę z charakterystycznymi bliźniaczymi wieżami rozjaśnioną nagle błyskawicą na tle ołowianoszarego nieba, dwie miniatutki gdzieś w dali. Po chwili ciężkie krople deszczu uderzyły o szyby pociągu i zakryły widok. Przez jakiś czas przyglądała się nieregularnym strugom wody, spływającym po szybie, dziwiąc się, czemu niektóre krople trzymały się szkła, podczas gdy inne w szaleńczym pędzie sunęły w dół. W końcu oderwała wzrok od okna i spojrzała na swojego współpasażera. Był to żołnierz, którego w Kopenhadze wyprzedziła o włos w biegu do miejsca przy oknie. Młody mężczyzna przez całą drogę próbował nawiązać z nią konwersację, ale ona konsekwentnie odpowiadała monosylabami albo po prostu go ignorowała. Teraz mężczyzna wstał, widać było, że chce jak najszybciej opuścić pociąg. Uśmiechnęła się do niego, czego starannie unikała podczas całej podróży, i zauważyła, że wyraźnie się zawahał, czy może znów nie usiąść. W końcu jednak się nie zdecydował, odwzajemnił jej uśmiech i wyszedł.

Budynek dworca w Roskilde był najstarszą stacją w kraju. Został oddany do użytku w 1847 roku, gdy uruchomiono pierwszą linię kolejową w Danii – łączyła Kopenhagę z Roskilde. Pauline Berg była dobrze przygotowana, sprawdziła wszystko w sieci. W sobotę, piątego kwietnia 1997 roku, nieco po godzinie dziewiątej Catherine Thomsen przyjechała do Roskilde pociągiem z Kopenhagi. Była widziana w pociągu, świadkowie potwierdzają, że podróżowała sama. W Roskilde wysiadła na peronie, położonym najbliżej budynku dworca, co także wiadomo z zeznań świadków, z którego następnie miała się udać niewielkim tunelem, prowadzącym pod torami, na peron szósty, skąd odchodził pociąg do Næstved, do którego jednak najprawdopodobniej nigdy nie wsiadła. Piątego kwietnia 1997 roku pogoda była deszczowa i wietrzna, termometry wskazywały około siedmiu stopni. Dlatego należało wątpić, że z własnej woli udała się poza teren dworca, chyba że miała coś do załatwienia.

Pauline Berg podążyła śladem Catherine Thomsen. Przespacerowała się z jednego peronu na drugi pięć razy. Szła powoli peronem obok budynku stacji, przechodziła przez tunel i wychodziła na peron szósty, bacznie się rozglądając. Rachityczne daszki na peronie dawały jedynie częściową ochronę przed deszczem. Miała przemoczone spodnie, ale była tak przejęta swoim zadaniem, że nawet tego nie zauważyła.

W 1997 roku Andreas Falkenborg miał srebrnego saaba 900. Mógł go zapar-

kować zarówno przed, jak i za budynkiem dworca. Ale co mogło skłonić dwudziestodwuletnią dziewczynę do przerwania podróży i udania się z czterdziestoletnim mężczyzną do jego samochodu? Gdyby Andreas zamierzał zmusić ją do tego siłą bądź groźbą, na pewno wybrałby inne miejsce, bo tu o tej porze dnia zawsze było dużo ludzi, najwyraźniej więc nie brał tego pod uwagę. Pauline weszła do dworcowej kawiarni i usiadła przy stoliku z filiżanką kawy. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Andreas Falkenberg i Catherine Thomsen musieli się znać już wcześniej. Ale to też nie tłumaczyło wszystkiego. Ani peron, ani tunel nie były dobrymi miejscami do zaaranżowania przypadkowego spotkania, podczas którego Andreas mógł na przykład zaproponować dziewczynie, że ją gdzieś podrzuci. Pauline po raz kolejny doszła do wniosku, że musieli być umówieni. Catherine Thomsen zapewne z własnej woli podeszła do samochodu, w którym Andreas Falkenberg już na nią czekał.

W drodze powrotnej do Kopenhagi Pauline próbowała wyobrazić sobie bieg wydarzeń. Niemal widziała, jak młoda dziewczyna, mokra od deszczu i walcząca z wiatrem, biegnie ostatnie kilka metrów do samochodu Andreeasa Falkenborga. A on, zauważywszy ją, wyciąga rękę i otwiera jej drzwi od strony pasażera. Na pewno tak zrobił. „Miło cię widzieć. Co za paskudna pogoda. W schowku są chusteczki”. Jej droga do kostnicy była usłana uprzejmościami. Nie, była zbudowana z uprzejmości, to brzmi lepiej, uznała Pauline. Ciekawe, jak przebiegła jej ostatnia podróż samochodem. Policjantka wzdrygnęła się. I po raz kolejny doszła do wniosku, że jednak kocha swoją pracę.

Kiedy pociąg wjechał na Dworzec Główny w Kopenhadze, zadzwoniła do Konrada Simonsena i poinformowała go o swoich wnioskach. Szef słuchał jej z zainteresowaniem. Nie do końca zdawał się podzielać jej entuzjazm, ale poprosił, żeby kontynuowała pracę. To jej wystarczyło. Zadzwoniła do niego w weekend, jakby to było coś oczywistego, jak to zwykle robili Poul Troulsen i Hrabianka, i Arne Pedersen, kiedy mieli coś ważnego do przekazania. A on powiedział, że ma pracować dalej. Po prostu.

Ciąg dalszy nastąpił dwie godziny później na Gammeltorv w Kopenhadze.

Dzień wcześniej Pauline skontaktowała się z Krajowym Związkiem Gejów i Lesbijek, żeby się dowiedzieć, czy mogą jej pomóc odnaleźć nieznaną przyjaciółkę Catherine Thomsen. Przełączano ją kilka razy, aż w końcu trafiła na kobietę, która jej wysłuchała. Umówiły się na spotkanie przy renesansowej fontannie Caritas z początku XVII wieku.

Kobieta była przed pięćdziesiątką. Pauline zdziwiła się, bo jej głos przez telefon brzmiał znacznie młodziej. Poza tym miała wrażenie graniczące z pewnością, że już ją gdzieś spotkała. Nie potrafiła powiedzieć gdzie ani w jakich okolicznościach, ale przez skórę czuła, że chyba jej nie lubi.

Kobiety przedstawiły się sobie. Jej rozmówczyni była wysoka, szczupła,

miała stanowcze spojrzenie i rude włosy, farbowane, o ton, a może o dwa za mocno jak na gust Pauline. Kobieta nie chciała oglądać legitymacji Pauline, wymieniły kilka grzecznościowych formułek, po czym poprowadziła policjantkę do ławki po drugiej stronie rynku. Usiadły i kobieta rozpoczęła rozmowę:

– Co pani wie o naszym związku?

Pytanie zaskoczyło Pauline. Jakie to miało znaczenie? Poza tym zostało zadane niemal prowokująco wyzywającym tonem, jakby rozmówczynie chciała ją przeegzaminować. Przez moment zastanawiała się, czy ma odpowiedzieć, w końcu uległa.

– Właściwie to nic. Wiem, że związek powstał w 1948 roku jako jedna z pierwszych organizacji tego typu na świecie, że zajmuje się doradztwem i lobbingiem na rzecz równouprawnienia mniejszości seksualnych. To mniej więcej wszystko, co wiem.

Kobieta wydawała się zadowolona. W każdym razie nie przepytowała jej już dalej, tylko poprosiła o zdjęcie. Pauline Berg spełniła jej życzenie. Nagle, w trakcie rozmowy, przypomniała sobie, skąd zna tę osobę. Z sali sądowej, jej rozmówczynie była sędzią. Kilka lat temu, wbrew zaleceniom prokuratora, zwolniła oskarżonego w sprawie, nad którą Pauline i jej ówczesni koledzy pracowali przez kilka tygodni. Obecnie kobieta pracowała chyba w sądzie krajowym.

Teraz przyglądała się dokładnie zdjęciu rzekomej kochanki Catherine Thomsen, postarzonej przez Maltego.

– Twierdzi pani, że jest lesbijką?

– Tak podejrzewam, ale pewności nie mam.

– Mieszka tu, w Kopenhadze?

– Tego też nie wiem. Wiem jedynie, że dziesięć lat temu tu mieszkała.

– Ma pani jej zdjęcie w wersji elektronicznej?

Pauline Berg podała jej pamięć USB.

– Poszukamy jej w sieci. Na Facebooku, na naszej liście mailingowej i na naszej stronie. To zwykle jest najskuteczniejsza metoda. Dam pani znać, jeśli ją znajdziemy.

– Sądzi pani, że jest jakaś szansa?

– Skąd mam to wiedzieć? Coś jeszcze?

Pauline nie miała więcej pytań.

Idąc Strøget w stronę placu ratuszowego, Pauline czuła wyraźnie, że jest o krok od rozwiązania sprawy Falkenborga.

Rozdział 28

W poniedziałkowy poranek Hrabianka i Konrad Simonsen pożegnali się dość nieporadnie na placu przed budynkiem komendy. Hrabianka wysadziła go przed komendą, a sama ruszyła na swoje wcześniej umówione śniadanie. W trakcie jazdy po raz pierwszy wyjawiała mu szczegóły poszukiwań dotyczących pobytu Bertila Hampela-Kocha na Grenlandii, którym w poprzednim tygodniu poświęciła sporo czasu. Natomiast rozmowę z jasnowidzącą znajomą Simona zachowała dla siebie, chociaż to właśnie ta rozmowa stała się dla niej bodźcem do podjęcia działań. Była tego świadoma, ale wiedziała też, że nie może usprawiedliwiać swoich poczynań metafizycznymi przesłankami. Poza tym jednak opowiedziała mu o wszystkim. Z wyjątkiem najważniejszego.

Konrad Simonsen nie był zachwycony, przede wszystkim dlatego, że nie bardzo rozumiał sens jej wysiłków. Uznał, że uległa klasycznej pokusie w detektywistycznej pracy policji, czyli podążyła fałszywym tropem. Uzyskane przez nią informacje zapewne okażą się ciekawe, ale prawdopodobnie nie wniosą wiele do sprawy. Wielokrotnie bywał świadkiem podobnych historii. Jako jej szef powinien skierować jej pracę w bardziej obiecującym kierunku, w o wiele bardziej obiecującym kierunku, pomyślał, wysłuchawszy wyjaśnień Hrabianki. Problem polegał na tym, że tego nie zrobił, co – musiał to przyznać – wynikało z faktu, że mieszkał tam, gdzie mieszkał.

Otworzył drzwi samochodu, żeby wysiąść, ale zawahał się i odwrócił się do niej. Ona jednak go uprzedziła.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Simon, i od razu mówię, że masz rację. To, co robię, jest na marginesie tego, czym powinnam się zajmować, ale powiem szczerze, że mam silne przeczucie, że postępuję słusznie.

– I łączysz je z dużą dozą ciekawości odnośnie spraw wagi państwowej, które w ogóle nie powinny nas obchodzić. Dlatego cały weekend spędziłaś, szukając w Google informacji o Grenlandii i rozmawiając z Bóg wie kim przez telefon.

– Cały weekend to przesada. O ile dobrze pamiętam, byliśmy i w muzeum sztuki współczesnej i w teatrze.

– To prawda, ale kiedy wrócimy do domu, będziemy musieli jakoś tę sprawę załatwić.

– Dałeś mi tydzień.

Konrad Simonsen zignorował zarówno swoją obietnicę, jak i jej prośbę.

– Musimy znaleźć jakiś sposób.

– Dobrze, obiecuję, drogi szefie.

I w tym właśnie tkwił jego problem. Znał ją na tyle dobrze, że wiedział, iż jej słowa nie były przypadkowe. Na razie więc poddał się i ruszył do komendy, rzuca-

jąc złośliwie, że ktoś musi pracować.

Hrabianka zaprosiła Wyrocznień z Købmagergade na śniadanie. Mężczyzna zgodził się, zastrzegając, że ich spotkanie musi się odbyć w dyskretnym miejscu. Tego życzenia Hrabianka jednak nie spełniła, bo chociaż wiele można by powiedzieć o hotelu SAS, funkcjonalnym gigancie Arnego Jacobsena, usytuowanym w samym sercu Kopenhagi, to na pewno nie to, że zapewniał dyskrecję. Udało się jej natomiast zarezerwować niewielki pokój zebrań, niedaleko holu, gdzie czekał na nich obfity szwedzki bufet. Kiedy Hrabianka przybyła na miejsce, mężczyzna był już w trakcie kosztowania smakołyków. Przywitali się. Policjantka nalała sobie filiżankę kawy. Była zdenerwowana. Mężczyzna spojrzał na nią i spytał zdziwiony:

– I nic więcej?

– Niestety, ale wszystko wygląda smakowicie.

– I takie jest, ale proszę, niech pani mówi, mogę słuchać i jeść jednocześnie.

Pokazała mu zdjęcie Bertila Hampela-Kocha na Grenlandii. Młody, krótko ostrzyżony mężczyzna zapala fajkę, a stojąca nieco w głębi dziewczyna o czarnych, kręconych włosach uśmiecha się do kamery.

– Bertil Hampel-Koch *alias* geolog Steen Hansen i Maryann Nygaard, kobieta, która została później zamordowana, sfotografowani w bazie Søndre Strømfjord dziewiątego lipca 1983 roku. Zdjęcie zostało zweryfikowane, że tak to określe, przez jej ówczesną przyjaciółkę.

Mężczyzna skończył przeżuwać i stwierdził nieco schrypniętym głosem:

– No tak, a więc mamy potwierdzenie, że Bertil Hampel-Koch był na Grenlandii w lipcu 1983 roku.

Nie zadał co prawda pytania: „I co dalej?”, ale było ono oczywiste, więc kontynuowała:

– Dwaj reporterzy, których tropem poszłam, zajmują się polityką, ale także dziennikarstwem śledczym.

– Mam nadzieję, że nie chce mi pani powiedzieć, że zamierza się podzielić swoją wiedzą z prasą.

– Nie, ale jeśli oni też będą dalej prowadzić swoje poszukiwania, próbując dojść, co Bertil Hampel-Koch robił na Grenlandii...

Mężczyzna przerwał jej:

– Jak to „też”?

Hrabianka nie zamierzała opowiadać mu o swoich dociekaniach, ale w tej sytuacji postanowiła wyłożyć karty na stół.

– Przyznaję, że sprawa mnie zaintrygowała, i chyba udało mi się dotrzeć do prawdy, ale nie da się ukryć, że miałam nad nimi przewagę.

– Ma pani na myśli zdjęcie?

– Nie. Chodzi o moją wiedzę o zaangażowaniu Helmera Hammera w prowadzoną przez nas sprawę oraz to, co mi pan ostatnio powiedział.

Mężczyzna nalał sobie soku jabłkowego, powolnym, przemyślanym ruchem. W końcu się odezwał:

– Ma pani rację. Nasi dwaj entuzjastyczni dziennikarze mogą wejść w paradę panu dyrektorowi, szczególnie jeśli zarażą swoim zainteresowaniem kolegów, chociaż w tej chwili chyba nie ma takiego niebezpieczeństwa. Jednakże próbowali umówić się z nim na wywiad, czym, jak się zdaje, nie był zachwycony. Tak więc problem istnieje, bo chociaż Hammer ma wpływ na wiele rzeczy, to prasy nie kontroluje. Ale to jego ból głowy, nie pani, w każdym razie niekoniecznie.

Hrabianka postanowiła pójść dalej.

– Niekoniecznie?

Mężczyzna nie zareagował na jej pytanie, powrócił do przerwanej wątku:

– Proszę mi powiedzieć, czego się pani dowiedziała o wyprawie Bertila na Grenlandię. I do jakich wniosków pani doszła.

– Spodziewałam się, że to pan mi wytłumaczy...

Mężczyzna przerwał jej:

– Może później, teraz zamieniam się w słuch.

Poczuła się oszukana, chociaż spotkanie ledwie się zaczęło. Liczyła, że to on coś jej powie, w końcu zaprosiła go na śniadanie, płacąc za nie z własnej kieszeni. Co prawda nie miało to dla niej większego znaczenia, ale poczuła się wykorzystana. Ponieważ jednak nie widziała innego wyjścia, dopiła kawę, wyjęła z torby notatnik, odchrząknęła kilka razy i zaczęła mówić.

– Największe wrażenie zrobił na mnie słynny list premiera H. C. Hansena do Amerykanów z 1957 roku, który opinia publiczna poznała dopiero w 1995 roku, ale to wszystko zna pan zapewne lepiej niż większość z nas.

– Chętnie poznam pani wersję.

– Moją jak moją, nie mam własnej wersji. Chodzi o to, że w 1957 roku amerykański ambasador w Danii zwrócił się do duńskiego premiera z dość zaskakującym pytaniem. Chodziło mianowicie o to, czy Dania chce być poinformowana, jeśli Stany Zjednoczone podejmą decyzję o rozmieszczeniu broni atomowej na Grenlandii. Bowiem Dania, a więc także Grenlandia, oficjalnie stanowiła strefę wolną od broni atomowej, nieoficjalnie jednak Amerykanie mieli w tym względzie pełną swobodę. H. C. Hansen i jego najbliżsi współpracownicy napisali list, w którym między wierszami zaakceptowali atomówki, dając jednocześnie jasno do zrozumienia, że w Kopenhadze nikt nie może się o niczym dowiedzieć. List został sporządzony w dwóch egzemplarzach, jeden przesłano amerykańskiemu rządowi, drugi trafił do sejfu w duńskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Odnaleziono go i upubliczniono dobre czterdzieści lat później. Tak to mniej więcej było? – Mężczyzna potwierdził krótkim chrząknięciem. – Zaskakująca w tym wszystkim była reakcja mediów, które uznały list za dowód na to, że H. C. Hansen oszukał własny rząd, parlament i wszystkich Duńczyków. Ówczesny duński minister spraw zagra-

nicznych musiał przerwać urlop, bo chociaż minęło tyle czasu, że w zasadzie wszyscy bohaterowie afery zdążyli już umrzeć, sprawę uznano za niezwykle drażliwą, żeby nie powiedzieć: wybuchową.

– Przyznaję, że reakcja była dość niespodziewana.

– Ale to i tak nic w porównaniu z tym, jak to odkrycie zostałyby przyjęte w 1983 roku.

– To znaczy?

– W 1983 roku trwała zimna wojna. Po obu stronach żelaznej kurtyny rozmieszczono rakiety średniego zasięgu, przeprowadzano próby z różnymi typami broni, wszędzie odbywały się demonstracje na rzecz pokoju. W tym samym roku prezydent Reagan otworzył program gwiazdnych wojen. To tylko kilka najważniejszych wydarzeń. Ujawnienie sprawy w tym okresie byłoby katastrofą dla czterolistnego rządu Poula Schlütera. Dla opozycji zresztą też. Gdyby się bowiem okazało, że duńscy politycy wiedzieli o broni atomowej na Grenlandii i świadomie okłamywali społeczeństwo, rząd znalazłby się w niezręcznej sytuacji.

– Gdyby się okazało, jeśli coś... To spekulacje.

– Nie do końca. Jens Otto Krag wiedział o liście, ponieważ wkrótce po jego wysłaniu amerykański minister spraw zagranicznych John Foster Dulles, na spotkaniu NATO w Paryżu, podziękował H. C. Hansenowi, który rad nierad musiał poinformować o nim uczestniczącego w spotkaniu ministra handlu zagranicznego, którym wówczas był właśnie Jens Otto Krag. To wiemy na pewno.

– Dla historyka jest to zapewne bardzo ciekawa informacja.

Mężczyzna powiedział to bez przesadnej ironii, ale wydźwięk jego słów nie pozostawiał wątpliwości. Hrabianka rozłożyła ręce.

– Przyznaję, że w pewnym momencie miałam ochotę się poddać. Z jednej strony nie miałam wątpliwości, że jeśli w 1983 roku nie dopuszczono do wycieku informacji o broni atomowej na Grenlandii, to obecne zainteresowanie tą sprawą Helmera Hammera jest zrozumiałe. Wielu ministrów z tamtego okresu nadal aktywnie działa w polityce, a tu się okazuje, że gdzieś w archiwach tyka bomba zegarowa. Z drugiej strony nie potrafiłam znaleźć żadnej sprawy z 1983 roku, która wymagałaby pilnego działania, więc nagła podróż Bertila Hampela-Kocha nie bardzo mi pasowała.

– I nie poddała się pani, jak rozumiem.

– Byłam tego bliska. Zgłębiałam najróżniejsze amerykańskie archiwa prasowe i nic, aż nagle usłyszałam pewną audycję radiową, całkowicie przypadkowo.

– Tak?

– Aż trzech byłych duńskich ministrów spraw zagranicznych komentowało list H. C. Hansena. Było to bardzo ciekawe. W pewnym momencie jeden z nich, jakby mimochodem, wspomniał, jak to Jens Otto Krag na początku 1968 roku, już jako premier, odwiedził główną siedzibę amerykańskich sił powietrznych w Colo-

rado Springs, gdzie pokazano mu mapę rejsów patrolowych nad Grenlandią amerykańskich B52, uzbrojonych w bomby atomowe. Podobno rozmawiał nawet z jednym z pilotów.

Jej rozmówca poruszył się niemal niezauważalnie, ale Hrabianka, która miała za sobą lata doświadczeń w przesłuchiowaniu świadków, wiedziała, że zaskarbiła sobie jego pełną uwagę.

– Historia jest jak najbardziej prawdziwa. W kwietniowym numerze „Air Force Journal” z 1968 roku zamieszczono zdjęcie duńskiego szefa rządu ściskającego dłoń pilotowi i dziękującego mu za jego pracę. Tak przynajmniej brzmi napis pod zdjęciem. Podane zostało zresztą także imię i nazwisko pilota: Clark Atkinson.

Hrabianka spojrzała mężczyźnie prosto w oczy i odniosła wrażenie, że w końcu nawiązała z nim kontakt. Rozkoszowała się tym jak aktor, któremu w jednej magicznej chwili udaje się skupić na sobie uwagę publiczności.

– W 1983 roku Clark Atkinson awansował. Został *base commander*, czyli głównodowodzącym, w bazie w Thule. Postanowił jednak odejść z wojska. Chciał wrócić do Idaho i spróbować sił w polityce. Z myślą o przyszłej karierze napisał nawet książkę. Spisał swoje wspomnienia z okresu, gdy przebywał na Grenlandii. Książka nosiła tytuł *On Guard in North* i ukazała się w 1984 roku nakładem wydawnictwa Magic Valley Silhouette. Zanim jednak się ukazała, lokalna gazeta „Times-Chronicle” zamieściła przedruk dwóch rozdziałów jako zachętę dla czytelników. Pierwszy fragment ukazał się w niedzielnym wydaniu 15 maja 1983 roku i nie był szczególnie ciekawy. Drugi tydzień później, czyli 22 maja, i wywołał panikę w rządzie w Kopenhadze. Na szczęście duńskie media nie zwróciły na niego uwagi, inaczej rozpętałoby się prawdziwe piekło.

Hrabianka zamilkła na chwilę.

– Proszę mówić dalej!

Mężczyzna był wyraźnie zainteresowany.

– Cóż, warto zauważyć, że to, co w 1983 roku było w Danii wielką tajemnicą, nie musiało nią być w Stanach Zjednoczonych. *Commander* Atkinson opowiadał bardzo szczegółowo o swoim spotkaniu z duńskim premierem w 1968 roku, omawiał też dokładnie list H. C. Hansena z 1957 roku, chwalać zresztą odwagę duńskich polityków, którzy nie ulegli lewackim nastrojom. Mam kopię artykułu, przeczytać panu ten fragment?

– Nie ma potrzeby. Co z Bertilem? Nie wspomina pani o nim.

– Domyślałam się, że od razu kanałami dyplomatycznymi podjęto próbę przekonania Clarka Atkinsona, by zrezygnował z publikacji książki, co się jednak nie udało. To było do przewidzenia, bo kiedy ukazały się artykuły, książka była już wydrukowana. W końcu wydelegowano więc z Ministerstwa Obrony w Kopenhadze do bazy w Thule specjalnego wysłannika, który miał odbyć osobistą rozmowę z panem Atkinsonem. Wysłannikiem tym był Bertil Hampel-Koch, chociaż nie wy-

stępował tam pod własnym nazwiskiem. Wybór nie był przypadkowy. Bertil był bardzo zdolnym młodym człowiekiem. Zwrócono na niego uwagę, kiedy jeszcze był w liceum. W 1972 roku, po zdaniu matury, rada szkoły przyznała mu roczne stypendium na pobyt w Stanach. Pierwsze sześć miesięcy spędził, mieszkając u amerykańskiej rodziny w Twin Falls w Idaho, a rodziną tą byli Helen i Clark Atkinsonowie.

– Twierdzi pani, że oni się znali?

– Tak i z pewnością z tego powodu wysłano właśnie jego. Inaczej uznano by, że jest za młody, by powierzyć mu takie zadanie. Zdecydowała jego znajomość z Atkinsonem. Misja Bertila powiodła się i kiedy książka w końcu się ukazała, w sierpniu 1984 roku, rozdziału o spotkaniu z duńskim premierem już w niej nie było. Ciekawe, czy za pierwszy nakład zapłacili duńscy podatnicy, czy też rozwiązano ten problem inaczej.

Jeśli Hrabianka liczyła na pochwałę, to na darmo. Kiedy skończyła, twarz mężczyzny przybrała charakterystyczny obojętny wyraz.

– I do tego wszystkiego doszła pani sama?

– Nie, miałam pomoc.

– Czyją?

– Pomogli mi przyjaciele, nieoficjalnie oczywiście.

– Przyjaciele w Danii?

– Jeden dobry przyjaciel, związany z liceum w Hellerup, poza tym przyjaciele z zagranicy.

– Ze Stanów?

– To chyba oczywiste.

– Spotkamy się jutro, zadzwonię i podam miejsce i czas.

Hrabianka zawahała się.

– Będę usiłowała...

– Usiłowanie to za mało. Oczekuję, że pani przyjdzie.

Rozdział 29

Dzwonek telefonu nie zaskoczył Konrada Simonsena. Spodziewał się go, chociaż nieco później. Poza tym Agnete Bahn zadzwoniła osobiście, a nie, na co był przygotowany, za pośrednictwem jednego z jej licznych adwokatów, którymi, jak wszyscy twierdzili, się otaczała. Starsza pani była wściekła, czego nie ukrywała, rozmowa była raczej jej monologiem, obrzuciła inspektora stekiem wyzwisk. Przez chwilę słuchał jej nawet z pewnym zainteresowaniem, kiedy jednak zaczęła się powtarzać, po prostu odłożył słuchawkę. Arne Pedersen, który właśnie przyszedł do pracy i jak zwykle zaczął dzień od zajrzenia do gabinetu Konrada Simonsena, spytał zaciekawiony:

- To ta Bahn? Pauline zadzwoniła wczoraj i opowiedziała mi o niej.
- Tak, to ona. Wypałeś się?
- Spałem niemal cały weekend, jestem więc wypoczęty. A tak przy okazji, dziękuję za pomoc.

Konrad Simonsen skinął głową. Arne Pedersen drążył dalej:

- Co ci powiedziała?
- Wyzwała mnie. Nie słyszałeś? A tak na marginesie, wiesz może, co to jest twarzak?

- Nie mam pojęcia. Co jej zrobiłeś, Simon?

Konrad Simonsen spojrział na niego zdziwiony.

- Nic, naprawdę nic. Po prostu zapewniłem jej opiekę.

- To znaczy?

- Wysłałem radiowóz, a dokładnie trzy radiowozy, żeby pilnowały jej domu.

- Od kiedy?

- Od piątku po południu.

Arne Pedersen roześmiał się.

- Rozumiem, że to nie zwiększyło jej obrotów?

– Najwyraźniej nie, co, prawdę mówiąc, dziwi mnie, bo przecież dobry masaż wykonany przez profesjonalistę to nic zdroźnego, ale widać jej klienci wybrali inne formy relaksu. O ile zdążyłem się zorientować, to chyba wszyscy.

- Jak długo masz zamiar utrzymywać taki stan rzeczy?

– Kosztowało mnie to trochę starań, ale na razie mam zgodę na pięć dni, chociaż jeśli ładnie poproszę, to pewnie dorzucą mi kolejne pięć. Nie sądzę jednak, żeby to było konieczne.

- Dlaczego odłożyłeś słuchawkę?

– Znudziła mnie, poza tym na pewno jeszcze zadzwoni, kiedy się zorientuje, że nawet najlepiej opłacany adwokat nie jest w stanie nic zdziałać. Policja sama wybiera sobie miejsce pobytu w przestrzeni publicznej, że tak powiem. Powinie-

nem zapisać kilka tych przekleństw, zanim je zapomnę.

– Znam to uczucie. Cały weekend, wtedy, kiedy nie spałem, zastanawiałem się...

– Mówisz zagadkami.

– W piątek byliśmy z żoną w szkole na zebraniu rodziców. Zdążyłem się przespać kilka godzin, więc jakoś to wytrzymałem, ale co za pomysł, żeby zwoływać takie zebranie na piątkowy wieczór? Bliźniaki mają nową wychowawczynię, która nie bardzo dogaduje się z klasą, ale w pewnym momencie powiedziała coś, co sprawiło, że zacząłem myśleć o naszej sprawie... To było naprawdę coś ważnego, tylko nie mogę sobie przypomnieć co. A wszystko dlatego, że zdenerwował mnie facet, który jest przewodniczącym rady szkolnej, napuszony bufon, niezmiernie z siebie zadowolony. Wkurzył mnie.

– Słyszę.

– No właśnie, a teraz nie mogę sobie przypomnieć ani co ta kobieta powiedziała, ani z czym mi się to skojarzyło. Wiem tylko, że było to coś ważnego.

– W takiej sytuacji najlepiej przestać o tym myśleć, wtedy samo się przypomni.

Arne Pedersen pokiwał głową niepewnie, nie wyglądał na przekonanego.

Zadzwoił telefon. Konrad Simonsen spojrział na wyświetlacz.

– To znów ona.

Podniósł słuchawkę i powiedział spokojnie:

– Witam ponownie, panno Bahn. Proszę mnie uważnie wysłuchać: albo porozmawiamy spokojnie, albo odłożę słuchawkę. Proszę wybrać. Nie mam czasu na wysłuchiwanie pani monologów, poza tym mam wrażenie, że dostałem już swoją dawkę złorzeczeń, więc byłbym wdzięczny, gdyby tym razem była pani bardziej uprzejma. – Przez chwilę słuchał uważnie, w końcu znów się odezwał: – Do czasu, aż pani interes upadnie albo aż zdecyduje się pani opowiedzieć mi o swojej służbie u państwa Falkenborgów w 1965 roku. I proszę nie liczyć, że dostanie pani za to choćby jedną koronę, będzie się pani musiała zadowolić satysfakcją z wypełnienia obywatelskiego obowiązku.

Wkrótce potem odłożył słuchawkę.

– Panna Bahn jest gotowa przyjąć mnie u siebie prywatnie, za pół godziny.

– Pojechać z tobą?

– Nie, sam sobie z nią poradzę. Im będzie nas więcej, tym większe niebezpieczeństwo, że odzyska dawną werwę. Odniosłem wrażenie, że bardzo się stara panować nad sobą.

– Szkoda, chciałbym ją poznać. Wygląda na to, że Pauline miała rację. Jej pazerność jest silniejsza od wszystkiego innego.

– Najwyraźniej. Możesz zwołać zebranie na dzisiejsze popołudnie? Rozważam możliwość zatrzymania Andreasa Falkenborga jutro albo pojutrze. Śledzimy

go, ale nie podoba mi się, że chodzi na wolności. Z drugiej strony właściwie nie mamy żadnych konkretnych dowodów, dlatego zanim podejmę decyzję, chcę to jeszcze z wami przedyskutować.

- Szalenie demokratycznie.
- Wracaj na swoją grzędę i rób, co ci każę.
- Jasne, szefie. Właściwie to już mnie nie ma.

Agnete Bahn zaskoczyła Konrada Simonsena. Spodziewał się zobaczyć kobietę wyzywająco ubraną, z wulgarnym makijażem, a został przyjęty przez elegancką starszą panią w gustownym kostiumie. Jej twarz, bez przesadnego makijażu, sprawiała miłe, niemal sympatyczne wrażenie. Trudno mu było rozpoznać w niej heterę, która niecałą godzinę temu uraczyła go wiązką niewybrednych wyzwisk. Gdy jednak nagle poczuł na sobie chłodne spojrzenie jej brązowych oczu, uznał, że była do tego zdolna. Kobieta skinieniem głowy wskazała mu kanapę, a sama poszła po dzbanek zimnego soku, który po chwili razem ze szklanką postawiła przed nim. I od razu przeszła do sprawy:

- Możemy się umówić, że każę pan odjechać radiowozom sprzed mojego domu, jeśli opowiem panu o mojej służbie u fabrykanta Alfa Falkenborga?
- Tak.
- No to nie traćmy czasu, obojgu nam zależy, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Konrad Simonsen przygotował dyktafon i postawił go między nimi. Agnete Bahn zerknęła na niego podejrzliwie.

- Rozmowa ma dotyczyć tylko tamtego okresu?
- Tylko i wyłącznie, nie interesuje mnie, co pani robiła później.
- Doskonale. I nie musi pan mówić do mnie per pani. Co chcesz wiedzieć?

Konrad Simonsen opowiedział jej o zabójstwach i swoich podejrzeniach wobec Andreasa Falkenborga, nie ujawniając, jakimi konkretnie dowodami dysponuje. Kobieta nie zdawała się szczególnie poruszona zarzutami wobec dziecka, którym się kiedyś przecież opiekowała. Skinęła głową na znak, że rozumie, o czym inspektor mówi, ale bez większego zainteresowania. Konrad Simonsen kontynuował:

- Ma pani może jakieś zdjęcie z młodości, które mógłbym pożyczyć?

Tym razem jej zdziwienie było autentyczne, do tego stopnia, że w pewnym momencie nie zapanowała nad sobą:

- A po co ci ono, do cholery?

Simonsen uznał, iż prawdopodobieństwo, że kobieta pójdzie z całą sprawą do prasy, jest minimalne, i postanowił być z nią szczerzy:

- Podejrzewam, że pani wygląd zapadł w pamięć Andreasowi Falkenborgowi do tego stopnia, że wybierał swoje ofiary...

Bał się, że kobieta może się obrazić, więc mówił ze spokojem i opanowaniem. Agnete Bahn pozostała niewzruszona.

– Chcesz powiedzieć, że posłużyłam mu za wzór? Że dziewczyny, które szlachtował, były podobne do mnie, tak?

– Tak, chociaż nikogo nie zaszlachtował.

Kobieta zastanawiała się chwilę, zanim odpowiedziała:

– To trochę potrwa, bo muszę iść na strych i muszę też poprosić kogoś, żeby mi towarzyszył, w końcu nie jestem już pierwszej młodości. Ale jeśli to konieczne...

– Zdecydowanie tak.

– Dobrze, rozumiem, zaraz po kogoś zadzwonię, a ty możesz zejść na dół i...

Konrad Simonsen przerwał jej:

– Nie, dziękuję.

Kiedy się roześmiała, w jej głosie nie było radości, jedynie cień pogardy.

– Nie to chciałam ci zaproponować, chociaż zdziwiłbyś się, jak wielu mężczyzn na bardziej eksponowanych stanowiskach niż twoje korzysta... – Kobieta zerknęła na dyktafon. – Korzysta z naszych usług...

– Wierzę.

– Też mógłbyś spróbować, ale nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że możesz zejść do recepcji i wziąć jakieś gazety, żebyś się nie nudził, kiedy będę na strychu. Natomiast zabraniam ci kręcić się po moim mieszkaniu.

– Bardzo dziękuję za troskę, ale mam ze sobą papiery, które muszę przejrzeć.

Kobieta wzruszyła ramionami i wyszła.

Zdjęcie, które położyła przed inspektorem pół godziny później, nie pozostawiło żadnych wątpliwości, że Andreas Falkenberg poszukiwał szczególnego typu kobiety. Rikke Barbara Hvidt, Maryann Nygaard, Annie Lindberg Hansson i Catherine Thomsen – wszystkie były jej wierną kopią. Agnete Bahn powiedziała cicho:

– To zdjęcie zostało zrobione w moje dwudzieste pierwsze urodziny.

– Doskonale, bardzo dziękuję.

– Czyż nie byłam piękna?

Jej głos, zwykle stanowczy i twardy, jakby złagodniał, brzmiał niemal tkliwie, ale kiedy uściśnieła jego rękę, zrobiło mu się niemal niedobrze.

– Tak, zdecydowanie.

To jednak najwyraźniej nie wystarczyło. Kobieta westchnęła i powiedziała:

– Wszędzie, gdzie się pokazałam, zawsze byłam najładniejsza.

Konrad Simonsen nie był w stanie się zmusić do dalszych zachwyków nad jej urodą. Włączył dyktafon, który zatrzymał, kiedy kobieta poszła na strych, i powiedział oschle:

– Cóż, wiek naznacza nas wszystkich.

Kobieta otrząsnęła się ze wspomnień, jej głos znów brzmiał jak zwykle.

– Kontynuujemy?

– Oczywiście. Pamięta pani, kiedy pracowała pani u Falkenborgów?

– Tak, od 1964 do 1965 roku. Zaczęłam zaraz po wakacjach, pewnie w sierpniu, a odeszłam nieco ponad rok później, pewnego szczęśliwego październikowego dnia.

– W jakim charakterze pani tam pracowała?

– Byłam dziewczyną do pomocy, tak to się chyba wtedy nazywało.

– Powiedziała pani: pewnego szczęśliwego dnia. Czy to znaczy, że nie było tam pani dobrze?

– Tak.

Najwyraźniej było to wszystko, co miała na ten temat do powiedzenia, Konrad Simonsen musiał więc przypomnieć jej o ich umowie.

– Nie wystarczy, że rozmawiamy. Oczekuję konkretnych informacji, dlatego powtórzę pytanie: Nie było pani tam dobrze?

Zrobił ruch ręką, jakby zachęcając ją do rozwinięcia tematu. Poskutkowało.

– Nie, zdecydowanie nie. To była okropna rodzina, zainfekowana, powiedziałabym. Alf Falkenborg był dupkiem, a jego żona... Nawet nie pamiętam, jak baba miała na imię...

– Elisabeth Falkenborg.

– Zgadza się. Była prawdziwą jędzą, chociaż jej samej pewnie też nie było łatwo. Tak czy inaczej cały czas miałam ją na karku, czepiała się wszystkiego, a Andreas był rozkapryszonym gówniarzem, który powinien dostawać w tyłek kilka razy w tygodniu. Czasem aż mnie ręka świerzbiała.

– A więc jednak mogła mi pani coś powiedzieć.

– Znalazłoby się tego więcej. I wszystko to prawda. To było bydlę, zasrane dupki, które każdemu dopiekły, same sobie zresztą też.

– Mogłaby pani wyrażać się nieco mniej kwieciste?

– O co ci, do diabła, chodzi?

– Mogłaby pani mniej przeklinać?

– A co, nie podoba ci się?

Konrad Simonsen postanowił nie wdawać się w dyskusję o tym, jak zbyt mocne słowa mogą osłabić wiarygodność zeznań świadka. Nieraz tego doświadczał i wiedział, że sprawiedliwość może i bywa ślepa, ale na pewno nie głucha, a także, że wcześniej czy później odpis przesłuchania na pewno trafi w ręce obrońcy Andreeasa Falkenborga. Odpowiedział jej więc krótko:

– Tak.

– Spróbuję.

– Będzie mi miło. Mam też pytanie: Skoro było pani tam tak źle, to dlaczego pani nie odeszła? Dlaczego nie rzuciła pani tej pracy? Co oni mogli pani zrobić?

– Moja matka pracowała w fabryce Alfa Falkenborga, więc pewno zostałaaby zwolniona. Tego można się było spodziewać po tym bydlaku, przepraszam, ale ina-

czej nie da się go określić. Na pewno nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobił. Jestem wręcz przekonana, że tak by się stało, chociaż oczywiście nie mogę tego w żaden sposób udowodnić.

– I to był jedyny powód?

– Tak, chociaż przyznaję, że pensja była w porządku. Może to i dziwne, niemniej z drugiej strony pieniędzy im nie brakowało.

– Żadnych innych przyczyn?

– Nie.

Konrad Simonsen wytrzymał jej wzrok.

– Na pewno?

Kobieta zawahała się.

– Rozmawiałaś z innymi dziewczynami?

– Owszem.

– Kiedyś przypadkiem spotkałam kobietę, która pracowała u Falkenborgów chyba tuż przede mną i doświadczyła dokładnie tego samego co ja. Nigdy o tym nie pomyślałam. Przez wiele lat miałam ochotę go zabić, na przykład podstawić mu dziewczynę, od której złapałby syfilis, to nie było niemożliwe. I oczywiście miałam nadzieję, że przekazałby to dalej swojej żonie, chociaż to pewnie było jeszcze mniej prawdopodobne. To były takie moje fantazje, oczywiście, nie zabiłam go.

– Wiem.

– Czasem tego żałuję. Nawet jeszcze teraz, po tylu latach. Zasłużył sobie na to, stary... libertyn. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Owszem, ale zostawmy tę historię na boku. Potem możemy do niej wrócić, ale najpierw chciałbym, żeby opowiedziała mi pani o tym, jak rodzina Falkenborgów funkcjonowała na co dzień. Wspomniała pani, że Elisabeth Falkenborg też nie miała lekko, a cała rodzina była okropna, może pani to dokładniej wytłumaczyć?

Agnete Bahn nie zareagowała na jego pytanie, ale nagle ni stąd, ni zowąd powiedziała:

– Wiem, dlaczego to zwierzę ma maskę na twarzy, kiedy morduje. Doskonale to wiem.

Konrad Simonsen wyprostował się na kanapie i zareagował ostro:

– Maskę? Nie mówiłem nic o żadnej masce.

– Nie, ale na stronie internetowej „Dagbladet” każdy może sobie o tym przeczytać. Jutro na pewno będzie o tym w ich dziennym wydaniu. Dziennikarz rozmawiał z dziewczyną, której matkę to bydle kiedyś napadło. Czy może babcię? Ta historia z maską doskonale pasuje, chociaż pewno jestem jedyna, która wie, dlaczego on to robi, to znaczy oprócz samego Andreasa Falkenborga.

Były to i dobre, i złe wiadomości. Konrad Simonsen musiał pilnie zadzwonić na komendę. Połączył się z Poulem Troulsenem, opowiedział mu o wszystkim, prosząc jednocześnie o zbadanie, gdzie ewentualnie mógł nastąpić przeciek, oraz

o udzielenie Jeanette Hvidt pomocy, gdyby okazało się to konieczne. Na koniec zarządził uchylenie blokady burdelu Agnete Bahn, która zresztą pilnie śledziła jego rozmowę i uśmiechnęła się szeroko, słysząc, że wszystko wraca do normy i jej interes wkrótce znów będzie mógł normalnie funkcjonować. Kiedy Konrad Simonsen skończył rozmowę, natychmiast zadbał, żeby uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Proszę pamiętać, że w każdej chwili mogę nakazać powrót do stanu gotowości.

Kobieta zapewniła go, że dotrzyma umowy. Konrad Simonsen wydawał się zadowolony.

– To dobrze. A jeśli chodzi o wspomnianą maskę, to zapewne domyśla się pani, że nie jest to czczy wymysł dziennikarzy, dlatego chciałbym, żeby opowiedziała mi pani wszystko po kolei.

– Dobrze, ale co konkretnie?

– Jak układały się stosunki w rodzinie Falkenborgów, oczywiście na podstawie pani obserwacji.

– Alf Falkenborg decydował o wszystkim, to znaczy o wszystkim, o czym chciał decydować. Sprawował władzę absolutną, ale czasem było mu wszystko jedno. Tak więc jednego dnia Andreas musiał stawać na baczność i opowiadać mu o swoich zbiórkach harcerskich, o zdobytych sprawnościach, o tym, ile przeszedł kilometrów bez jęczenia i tak dalej. A następnego dnia ojciec w ogóle go nie uważał.

– To chyba nie było dobre dla dziecka.

– Zdecydowanie nie, ale wówczas tego nie rozumiałam. Prawdę mówiąc, cieszyłam się, kiedy ojciec brał się do wychowywania syna. Nie znosiłam smarkacza.

– Ojciec go bił, karał w jakiś inny sposób?

– Raczej nie. Matka na pewno nigdy go nie biła, był dla niej pocieszeniem, zdarzało się wprawdzie, że uderzyła go w twarz, ale rzadko. W szkole też pewnie od czasu do czasu oberwał, ale na pewno nie był bity. Gorzej z matką. Pan fabrykant często się na niej wyżywał. Potem przez jakiś czas chodziła w okularach przeciwsłonecznych. Ale takie historie na pewno znasz.

– Niestety. Andreas był świadkiem tego, jak ojciec traktował matkę?

– Nie tylko on, ja również. Falkenborg nikim się nie przejmował, poza tym bił ją także, jeśli synek coś przeskrobał. Uważał bowiem, że to ona odpowiada za wychowanie syna, a jeśli coś było nie tak, to ponosiła za to karę.

– Jak na to reagowała?

– A jak myślisz? Krzyczała, błagała go.

– Na oczach dziecka?

– Tak, potem syn ją pocieszał. Nic dziwnego, że wyrósł na potworka.

– Miała pani wrażenie, że Andreas był seksualnie wykorzystywany? Przez

ojca albo matkę?

– Nie, nic z tych rzeczy. Jediną osobą, która była seksualnie wykorzystywana, byłam ja.

– A alkohol, narkotyki?

– Też nie.

– Nie zdarzało się, że Alf Falkenborg wracał pijany do domu i bił żonę?

– Absolutnie nie. Nie przypominam sobie, żebym widziała go nietrzeźwego, jej zresztą też nie. Może raz czy dwa, ale raczej nie. Do obiadu zwykle pili wodę, ale to o niczym nie świadczy, w tamtych czasach to było powszechne.

– Dlaczego bił żonę?

Agnete Bahn zamyśliła się, po chwili odpowiedziała:

– Właściwie to chyba bez powodu, poza przypadkami kiedy Andreas coś narozrabiał.

– Mówiła pani, że to się często zdarzało.

– Bo tak było. Co najmniej raz w miesiącu, ale nie wiem, dlaczego to robił. Może po prostu lubił ją bić, kto to może wiedzieć? Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ani wtedy, ani teraz.

– Dlaczego od niego nie odeszła?

– Nie mam pojęcia. Zresztą dokąd miałyby pójść?

Konrad Simonsen wzruszył ramionami i zmienił temat.

– Nie lubiła pani Elisabeth Falkenborg?

– Ani jej, ani jego, synka też nie.

– Dlaczego?

– Była niewiarygodnie arogancka, nigdy nie udało mi się jej zadowolić. Mąż ją bił, a mnie przyszło za to płacić. Andreas szybko się uczył. Czasem skradał się za mną i sprawdzał, czy nie oszukuję przy sprzątanii, a potem donosił matce. To było jedno z jego ulubionych zajęć.

– I co się wtedy działo?

– Krzyczała na mnie. To nie brzmi groźnie, ale potrafiła mnie tak poniżyć, że byłam bliska płaczu. Czepiała się też mojego wyglądu. Musiałam chodzić w specjalnym stroju służącej, przepasana takim kretyńskim fartuszkim, który przez cały dzień, nawet po ośmiu godzinach pracy, miał wyglądać świeżo, co było niemożliwe. Musiałam mieć upięte włosy, to też sprawdzała.

– A makijaż?

– Całkowicie zabroniony.

– Lakier do paznokci?

– Też. Takie rzeczy były wykluczone.

Konrad Simonsen zamilkł na chwilę, mając nadzieję, że swoimi pytaniami naprowadził kobietę na właściwy trop. I rzeczywiście Agnete Bahn ciągnęła dalej:

– Dostawała histerii na punkcie moich paznokci. Miały być krótko obcięte

i idealnie czyste. Często kazała mi je sobie pokazywać. Z tamtego okresu to chyba najbardziej pamiętam, jak stałam przed nią ze spuszczonym wzrokiem i wyciągałam rozczapierzone palce do inspekcji. To było cholernie upokarzające.

– Obcinała pani paznokcie, jeśli nie była zadowolona?

– Nie, bo to nigdy nie było potrzebne, ale z pewnością byłaby gotowa to zrobić.

– Andreas przyglądał się tym inspekcjom?

– Czasem tak. Nie kryła się z tym, jeśli o to pytasz.

– Powiedziała pani, że była wykorzystywana seksualnie. Rozumiem, że przez Alfa Falkenborga?

– Zgadza się. Pani domu raczej stroniła od tego rodzaju aktywności. Nie tylko doskonale wiedziała, co się działo pod jej dachem, ale też osobiście uczestniczyła w aranżowaniu różnych dwuznacznych sytuacji. To jednak zrozumiałam znacznie później, jak również to, że pewnie była do tego zmuszona, inaczej bydlak by ją zbił.

– Jakich dwuznacznych sytuacji?

– Kiedyś sfalszowałam czek, ale nie dlatego, że chciałam coś ukraść. Nawet korony im nie podprowadziłam. To zresztą byłoby niemożliwe, bo jeśli szłam na zakupy, to potem musiałam się rozliczyć co do jednego øre. Pani bardzo tego pilnowała.

Kobieta zamilkła. Konrad Simonsen odczekał chwilę, zanim spytał:

– Co to znaczy, że sfalszowała pani czek?

– Nawet nie jeden, tylko dokładnie jedenaście. Zawsze w piątki robiłam większe zakupy. Pan zostawiał mi czek na przynajmniej czterysta koron. Dobrze to pamiętam, bo wtedy było to dużo pieniędzy. Pani tego dnia nigdy nie było w domu, nie pamiętam dlaczego. W pewien piątek pan zapomniał podpisać czek, zadzwonił z fabryki i powiedział, że nie ma czasu przyjechać, więc mam go sama podpisać. Dokładnie mnie poinstruował, co mam zrobić, przez telefon oczywiście. Powiedział, gdzie jest klucz do szuflady jego biurka, gdzie leży jego wieczne pióro, i krok po kroku, co mam robić. Tłumaczył mi to bardzo spokojnie i dokładnie, łądak.

– A co z jego charakterem pisma?

– To nie było trudne. Używał jedynie dużych liter, podpisywał się też bardzo wyraźnie. Nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, że robię coś niewłaściwego. Skoro sam mnie o to prosił.

– Żaden sąd by pani za to nie skazał.

– Ależ byłam naiwna. Ale tego już nie zmienię, a później sama poznałam kilka przydatnych sztuczek.

– Nie wątpię, ale rozumiem, że w pewnym momencie on panią oskarżył?

– Nie on, tylko ona, to znaczy pani Falkenborg.

– Oskarżyła panią?

– Tak. Od początku brała udział w całym tym przedstawieniu. Pewnego dnia położyła na stole jadalnym wszystkie jedenaście czeków i dokładnie podsumowała. Pewnie dostali je z banku, chociaż nie pojmuję, jak to było możliwe. Tak czy inaczej wyszła z tego niezła sumka, ni mniej, ni więcej, tylko pięć tysięcy koron.

– Rozumiem.

– Upierałam się, że jestem niewinna, tłumaczyłam, jak do tego doszło. Początkowo byłam spokojna, ale kiedy pan wrócił do domu i stwierdził, że nie przypomina sobie żadnych rozmów telefonicznych, wtedy się przestraszyłam. Nawet nie chciał mnie słuchać, odwrócił się i wyszedł z pokoju, a jego żona zaczęła się nade mną pastwić, opowiadając mi, jaka kara grozi za oszustwo. Na koniec kazała mi iść do mojego pokoju, obiecując, że spróbuje udobruchać męża, żeby uniknąć skandalu. Tak mi powiedziała. – Agnete Bahn nalala sobie soku, wypila łyk i mówiła dalej: – Siedziałam w swoim pokoju i drżałam. Za każdym razem, kiedy ulicą przejeżdżał samochód, bałam się, że to policja. Dopiero po dłuższym czasie zadzwoniono po mnie. Pani oświadczyła, że są gotowi okazać mi wspaniałomyślność, jeśli zgodzę się iść z panem do łóżka. Powiedziała mi to wprost, bez żadnych ogródek. Miało to się stać w niedzielę wieczorem, tylko bez jęczenia i szlochów, bo pan tego nie lubił. W zamian pan był ponoć gotów zapomnieć o czekach i pokryć stratę. Jak to stratę? Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Za te pieniądze robiłam zakupy. Przeżarli każdą koronę!

– Ale zgodziła się pani?

– A co miałam zrobić? To było okropne. Pamiętam, że zwymiotowałam, ale uznałam, że więzienie byłoby gorsze.

– Pewnie tak.

– Pięć lat albo rozkładaj nogi! Taki miałam wybór, a przynajmniej tak mi się zdawało. Miałam zaledwie dwadzieścia dwa lata, a pani brzmiała bardzo przekonująco. Jej mąż przyszedł do mnie już następnej niedzieli, to było obrzydliwe. Był miły, łagodny, opowiadał jakieś sprośne kawałki, ślinił się, wzdychał, rozbierał mnie, jakby rozpakowywał prezent. Ależ ja tego nienawidziłam!

– Kiedy to było? Tak mniej więcej.

– Tak mniej więcej w niedzielę, piątego grudnia 1964 roku o godzinie wpół do dwunastej.

– I jak długo to trwało?

– Do czasu, aż stamtąd odeszłam. Jeśli mnie pamięć nie myli, nie darował mi ani jednej niedzieli, z wyjątkiem tych, kiedy z oczywistych względów nie było to możliwe. Ale nie mogłam oszukiwać, bo pani trzymała rękę na pulsie i dokładnie wiedziała, kiedy mam okres. Po jakimś czasie zaprzestał tych swoich miłosnych wynurzeń i dobrze, bo to było chyba najgorsze. No i strach, że mogę zajść w ciążę, bo bydle oczywiście nie używało prezerwatyw. Potem często się zastanawiałam, ile

narobił bękartów, bo przecież nie tylko mnie tak traktował. Pod koniec wszystko zamieniło się w rutynę, stawiał się u mnie punktualnie jak w zegarku, posuwał mnie i wychodził.

Konrad Simonsen zaczął się zastanawiać, czy jej wątpliwa kariera nie miała związku właśnie z tymi zdarzeniami. Nie chciał jednak tego drażnić, tylko spytał:

– Wcześniej wspomniała pani o masce. O co chodzi?

– Pewnego niedzielnego wieczora, kiedy jak zwykle był u mnie, coś się wydarzyło. Pamięta pan może Belfegara?

Na dźwięk tego słowa Konrad Simonsen poczuł ukłucie niepokoju. Po latach uśpienia obudził się w nim jakiś lęk. Przypomnił sobie wszystko.

– Chodzi pani o ten serial telewizyjny? *Upiór z Luwru*?

– Kiedy latem 1965 roku szedł w telewizji, ulice pustoszały. Pozwolono mi go oglądać w salonie razem z rodziną.

– Pamiętam ten serial, był chyba francuski. Pamiętam też, że bałem się ducha Belfegara, kiedy nocami przemierzał korytarze Luwru i mordował swoje ofiary.

– Przemierzała, bo duchem okazała się kobieta.

– Tego nie pamiętam, ale dlaczego pani o nim wspomina?

– Andreas, ten dupek, uwielbiał mnie straszyć. Robił to często i był w tym dobry. Chował się w jakimś kącie, a potem nagle wyskakiwał i coś wrzeszczał. Kilka razy tak mnie przestraszył, że miałam ochotę mu dołożyć.

Zacisnęła dłoń i dopiero po chwili znów się odezwała.

– Po obejrzeniu filmu Andreas zrobił maskę Belfegara z czarnego kartonu i z czarnym materiałem spływającym po bokach. To trudno wytłumaczyć, ale może pamiętasz, jak wyglądał upiór?

– Tak, miał w sobie coś egipskiego. Pamiętam też, że wszyscy się go bali.

Agnete Bahn skinęła głową, westchnęła, ale zaraz kontynuowała swoją opowieść.

– Pewnego niedzielnego wieczora Alf Falkenborg przyszedł do mnie jak zwykle, a Andreas w masce wspiął się po murze i zajrzał do mojego pokoju przez okno, podświetlając maskę latarką, żeby jeszcze bardziej mnie przestraszyć, co mu się zresztą znakomicie udało. Wrzeszczałam jak opętana, a było to w momencie, kiedy... ujeżdżałam pana fabrykanta. Gdy Andreas to zobaczył, zastygł w oknie, był jak sparaliżowany, nie mógł się ruszyć.

– Alf Falkenborg zauważył syna w masce na twarzy?

– Oczywiście, przecież wrzeszczałam, pokazując ręką w stronę okna. Szybko się zorientowałam, że to Andreas. Ojciec się wściekł, natychmiast wyciągnął żonę z łóżka, zawlókł ją na zewnątrz, a potem stłukł, tym razem kijem, aż echo niosło. W życiu nie widziałam czegoś podobnego. Zachowywał się jak szaleniec. Wyzywał Andreeasa od najgorszych, od perwersyjnych dewiantów, podglądaczy i tym podobnych.

– A co w tym czasie robił Andreas?
– Tkwił przyklejony do szyby, w tej swojej idiotycznej masce.
– Powiedziała pani, że ujeżdżała Alfa Falkenborga. Może pani to dokładniej wytłumaczyć?

– Lubisz słuchać takich rzeczy?
– Nie, ale to może być ważne...
– No więc ujeżdżałam go. Co tu jest do tłumaczenia? Siedziałam na nim okrakiem i robiłam swoje.

– Pamięta pani, czy miała coś na sobie?
– Nie pamiętam, ale pewnie nie. Chociaż, zaraz... To było już pod koniec mojego pobytu u nich, a wtedy było mu już wszystko jedno, co na sobie miałam, więc możliwe, że byłam w koszuli nocnej.

– I w staniku? Pamięta pani?
– W staniku na pewno nie. Kiedyś zerwał ze mnie stanik, więc potem już zawsze sama go zdejmowałam.

– A majtki? Miała pani na sobie majtki?
– A jak pan myśli?
– Nic nie myślę, ale mam prośbę, żeby dobrze się pani zastanowiła.
Ku jego zdziwieniu kobieta posłuchała, zaczęła się zastanawiać, widać było, że się waha.

– Prawdę mówiąc, możliwe, że miałam na sobie majtki. Początkowo Falkenborg lubił sam mnie rozbierać, ale potem chciał już tylko jak najszybciej we mnie wejść. Możliwe, że ściągnął majtki na bok albo zsunął je nieco, ale nie pamiętam.

Konrad Simonsen miał już gotowe kolejne pytanie.

– Kiedy pani tak na nim siedziała, czuła pani jakąś rozkosz? Pytam, bo chcę wiedzieć, co dokładnie zobaczył Andreas Falkenborg, kiedy zajrzał przez okno.

Kobieta przytaknęła ze zrozumieniem i odpowiedziała szczerze:

– Nienawidziłam każdej sekundy, ale udawałam, że jestem w siódmym niebie, wtedy szybciej dochodził. Odkrycie tego nie zajęło mi wiele czasu. Jeśli więc interesują cię szczegóły, to na pewno jęczałam, wzdychałam, wiłam się jak w ekstazie, chociaż tak naprawdę nic nie czułam.

– Dziękuję, to właśnie chciałem usłyszeć. Chociaż jest jeszcze coś. Powiedziała pani, że makijaż był surowo zabroniony, więc nie była pani umalowana, żadnej szminki na ustach, niczego?

Kobieta zamyśliła się.

– Nie pamiętam, jak było tego wieczora, ale niewykluczone, że byłam umalowana. W niedzielę miałam wolne, więc robiłam, co chciałam.

– Gdyby użyła pani szminki, to jakiej?

– Czerwonej, zawsze tylko czerwonej. Bardzo czerwonej. W czerwonym mi do twarzy.

- Świetnie. Naprawdę świetnie.
- Dziękuję. Jest szansa, że dostanę za to jakąś nagrodę?
- Nie. A co pani robiła podczas tego incydentu?
- Nie jestem z tego dumna, ale przyznam, że tak ich wszystkich nienawidziłam, że przyglądałam się całej scenie z największą rozkoszą. Jej krzyki, kiedy ją tłukł kijem po plecach, brzmiały w moich uszach jak muzyka. A Andreas, ten gówniarz, tkwił cały czas przyklejony do okna. Podeszłam od drugiej strony, przycisnęłam twarz do szyby i roześmiałam się w tę jego idiotyczną maskę.
- Widziała pani, jak zareagował? Mimo że miał maskę?
- Oczywiście. Były w niej przecież dziury na oczy.
- Więc jak zareagował?
- Rozpłakał się.

Rozdział 30

Dwanaście dni po tym, jak niemiecki glaciolog, podróżujący z panią kanc-lerz, odkrył ciało Maryann Nygaard w grenlandzkim lądolodzie, w Kopenhadze aresztowano Andreasa Falkenborga.

Zadanie to powierzono dwóm asystantom kryminalnym, Arnemu Pedersenowi i Poulowi Troulsenowi. Zatrzymania dokonano w środę wcześnie rano, zanim ktokolwiek zdążył wstać. Konrad Simonsen miał nadzieję, że dotyczyło to także dziennikarzy. Argument ten nie znalazł jednak zrozumienia u jego podwładnych, gdy po zarwanej nocy parkowali samochód przed mieszkaniem Andreasa Falkenborga na Fredriksberg.

Wysiadając z wozu, Arne Pedersen ostentacyjnie ziewnął. Otworzył szeroko oczy, pozwalając, by wiatr przegonił z nich resztki snu. Po drugiej stronie ulicy, nieco po przekątnej, zauważył jeden z wozów wydziału śledczego, uniósł palce do skroni w powitalnym geście, nie widząc dokładnie, kto jest w środku. W odpowiedzi koledzy zatrąbili krótko. Poul Troulsen usłyszał dźwięk i też ich powitał, jednakże jego gest pozostał bez odpowiedzi.

Arne Pedersen szybko ruszył po schodach na górę.

– Mam nadzieję, że albo znajdziemy naprawdę obciążające dowody, albo uda wam się, to znaczy tobie i Simonowi, wydusić z niego przyznanie się do winy, bo z prawnego punktu widzenia w tej chwili mamy bardzo niewiele. Tak przynajmniej uważam.

– Policyjna prawniczka też jest przekonana, że Andreas Falkenborg trafi do aresztu najwyżej na trzy tygodnie i tylko dlatego, że sama sprawa jest poważna. Gdyby nie chodziło o zabójstwo, pewnie w ogóle nie dostalibyśmy nakazu.

– Mam więc nadzieję, że uda ci się go zmiękczyć.

Poul Troulsen znany był z tego, że od czasu do czasu zdarzało mu się nieco nadużyć swojej władzy, czego Arne w zasadzie nie akceptował, tym razem jednak najwyraźniej gotów był zrobić wyjątek. Z tego też powodu wybór Konrada Simonsena padł właśnie na Poula. Inspektor miał nadzieję, że będzie on potrafił wykorzystać nieco dziecinny charakter mężczyzny, co dałoby policji psychiczną przewagę przed właściwym przesłuchaniem na komendzie. W tym czasie Arne miałby czas ocenić, ilu ludzi będą potrzebować do przeprowadzenia rewizji, i ewentualnie wezwać posiłki. Podział pracy między funkcjonariuszami został więc zawczasu dokładnie ustalony.

Tabliczka z imieniem i nazwiskiem na drzwiach mieszkania była z mosiądzu. Arne Pedersen przeciągnął palcem po literach, jakby w ten sposób chciał poznać nieco lepiej kryjącego się za nimi człowieka. Po chwili zadzwonił do drzwi, rozległy się dwa dzwonki, jeden po drugim. Po kilku sekundach zapukał mocno,

zadzwoił ponownie. W mieszkaniu panowała cisza.

W końcu drzwi się otworzyły.

Przed nimi stał Andreas Falkenberg, boso i w szlafroku. Nie było wątpliwości, że go obudzili, zdezorientowany wzrok i rozczochrane włosy mówiły same za siebie. Arne Pedersen zamachał zasapanemu mężczyźnie przed nosem kartką papieru i wszedł do mieszkania. Andreas Falkenberg odsunął się na bok, ale zaraz zawołał oficjalnym tonem:

– Nakazuję ci się wylegitymować!

W jego żądaniu nie było ani paniki, ani agresji, ale wyraźnie podniósł głos, nieco dziecinnie, jakby grał w szkolnym przedstawieniu. Poul Troulsen pomyślał, że zachowanie mężczyzny mogło mieć wytłumaczenie. W jego zawodzie podsłuch był podstawą wszystkiego, a sformułowanie, którego użył, mogło wskazywać, że ich rozmowa jest nagrywana. Chwycił mężczyznę, wyciągnął go na klatkę, przycisnął do ściany i rozkazał mu władczym tonem:

– Stój tu.

Andreas Falkenberg stanął posłusznie pod ścianą i zawołał głośno w stronę otwartych drzwi:

– Aj, aj, to boli! Dlaczego mi to robisz? Aj!

Był kiepskim aktorem, Poul Troulsen odezwał się spokojnie:

– Zamknij się. Nikt ci nic nie robi, ale jeśli znów zaczniesz krzyczeć, to naprawdę ci przyłożę. Zrozumiałeś?

– Tak... Przepraszam.

– Andreasie Falkenberg, jest szósta osiem, jest pan aresztowany, podejrzany o zabójstwo pielęgniarki Maryann Nygaard w 1983 roku i fizjoterapeutki Catherine Thomsen w 1997 roku.

Poul Troulsen zawołał do Arnego:

– Jestem przekonany, że nasz przyjaciel ma rozmieszczone mikrofony w mieszkaniu! Dobrze, żebyś o tym pamiętał.

Twarz Arnego rozpromieniła się.

– No proszę, jak sprytnie, zaraz wezwę ludzi, którzy się na tym znają. Bardzo wam obu dziękuję.

Poul Troulsen zaprowadził Andreego Falkenberga do łazienki, którą bez trudu znalazł. Mężczyzna szedł bez szemrania i bez protestów usiadł na desce sedesowej. Przyglądał się w milczeniu, jak Poul Troulsen szybko i wprawnie otwiera kolejne szafki i szuflady, chcąc się upewnić, że nie znajdzie tam niczego, co mogłoby go nieprzyjemnie zaskoczyć. Przeszukując łazienkę, Poul postanowił zaryzykować. Prawdopodobieństwo, że mężczyzna ma podsłuch we własnej łazience, było niewielkie, ale jeśli okazałoby się, że jednak go zainstalował, to nagranie zawsze może, przez przypadek oczywiście, zostać skasowane. Poza tym pokora aresztowanego, jego niemal błagalne spojrzenia, mówiły Poulowi, że prawdopodobnie może

się posunąć dalej, niż początkowo sądził. Zwrócił się do mężczyzny i powiedział ostro:

– Nigdy się nie kąpiesz?
– Ależ kąpię się. Codziennie rano. Oczywiście, że się kąpię.
– Dlaczego więc cuchniesz?
– Na pewno nie cuchnę.
– Mój nos rzadko się myli. I powiem ci szczerze, że nie chciałbym być w twojej skórze podczas rozmowy z moim szefem.

– Z pańskim szefem?
– Jesteś głuchy czy głupi? Tak, z moim szefem. Potrafi być złośliwy. Bywa też mściwy, szczególnie jeśli kogoś nie polubi. To u niego niemal chorobliwe, prawdę mówiąc, nie rozumiem, że mu to uchodzi. Dobrze by było, gdyby cię polubił, ale szczerze mówiąc, wątpię.

Andreas Falkenborg spytał przerażony:

– Ale dlaczego? Co ja mu zrobiłem?
– Nic. Jeszcze nic.
– Więc dlaczego? Pan mnie straszy.
– Nie chciałem. Dajmy temu spokój i kontynuujmy. Chciałbym już wrócić do domu i do łóżka.
– Ale co pan miał na myśli? Proszę mi powiedzieć.

Poul Troulsen pozwolił mu trochę pocierpieć, udając, że się zastanawia. Nagle rzucił niby od niechcenia:

– Rozumiesz chyba, że za podwójne morderstwo pójdiesz siedzieć do końca życia.

Andreas Falkenborg pokiwał smutno głową.

– Tak, pewnie tak.
– Masz to jak w banku. Teraz chodzi o to, gdzie trafisz za kratki. To wcale nie jest wszystko jedno. Znasz duńskie więzienia? To znaczy, siedziałeś już kiedyś?

– Nigdy, a poza tym ja nikogo nie zabiłem.
– Daj spokój, obaj wiemy, że tak. Powiem ci, że jest mi obojętne, co zrobiłeś tym babom. To nie moja sprawa. Musiały ci nieźle dopiec, wiem, jak to czasem jest. Ale dosyć o tym, teraz chciałbym, żebyś doprowadził się do porządku. Inaczej szef się na mnie wścieknie, a tego wolałbym uniknąć. Dlatego musisz się wykąpać.

– Oczywiście, ale o co chodzi z tymi więzieniami?

Poul Troulsen zerknął na zegarek, udając, że się zastanawia. W końcu się odezwał:

– Andreas, przyjacielu, proponuję, żebyśmy zawarli umowę. Obiecuję, że weźmiesz porządną kąpiel, tak żeby szef się mnie nie czepiał, a potem opowiem ci, których więzień powinieneś unikać, to znaczy, jeśli szef da ci jakiś wybór. Co ty na

to? Coś za coś.

Andreas Falkenborg przytaknął, gotów zrobić wszystko, by uniknąć gniewu „szefa”.

Po kąpieli Andreas podążył karnie za Poulem Troulsenem, pozwalając mu wybrać ubranie. Funkcjonariusz komentował głośno jego stroje, odrzucił trzy kolejne krawaty, po czym doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli nie włoży żadnego z nich, bo w więzieniu i tak mu go odbiorą. Miał uwagi do wszystkiego, od kalesonów począwszy, na butach skończywszy. Poza tym wycofał się z obietnicy udzielenia mu informacji na temat duńskich więzień, malując jednocześnie coraz bardziej przerażający obraz Konrada Simonsena. Tłumaczył Andreasowi Falkenborgowi, że powinien zrobić wszystko, byle tylko mu nie podpaść.

– Obiecał mi pan opowiedzieć coś o więzieniach.
– W samochodzie, nie lubię, kiedy ktoś mnie nagrywa.
– Mogę wziąć ze sobą komórkę? Mam prawo do jednej rozmowy na komendzie.

– Dobrze, ale aparat musi być wyłączony.

– Jest, proszę sprawdzić.

Andreas usłużnie podał mu telefon.

W samochodzie Poul Troulsen założył mu kajdanki i kazał usiąść obok siebie, na miejscu pasażera. Zwykle tego nie robiono, ale chciał widzieć jego twarz podczas rozmowy. Kiedy tylko ruszyli, zaczął mówić.

– Dwóch więzień powinieneś unikać jak ognia. Wśród więźniów panuje wyraźna hierarchia, a ty trafisz na sam dół, po pierwsze, dlatego że cuchniesz, a po drugie, dlatego że zabiłeś dwie kobiety. Ani jedno, ani drugie nie jest w tym przypadku zaletą, poza tym...

Poul Troulsen kontynuował swój wywód podczas drogi na komendę. Z premedytacją szczegółowo opowiadał, czego Andreas Falkenborg może się spodziewać za kratkami, jakie czekają go tam cierpienia. To znaczy, jeśli będzie miał pecha i szef każe go odesłać do któregoś z tych najgorszych więzień. Andreas sprawiał wrażenie autentycznie przerażonego.

Co prawda Konrad Simonsen wyraźnie zakazał Poulowi przesłuchiwać aresztowanego, ale pokusa okazała się zbyt silna.

– Pamiętaj, że najważniejsze, to żebyś nie zaczął się pocić ze strachu, bo wtedy cuchniesz i szef dostanie szału. Lepiej od razu wyłożyć karty na stół.

– Spróbuję się nie pocić.

Mężczyzna już był spocony, z czego pewnie nie zdawał sobie sprawy. Poul Troulsen rzucił nagle luzno:

– Ta dziewczyna, na Præstø, ta, która zniknęła, jak ona miała na imię?

– Annie.

– Racja. Chociaż nie wiem. Jesteś pewien, że Annie, a nie Lone?

– Jestem pewien. Annie Lindberg.

– Dobrze, pewnie wiesz lepiej ode mnie. Pomówmy więc o Annie. Gdzie ją pochowałeś?

– Nie pochowałem jej.

– Dlaczego tak się zadręczasz?

– Mówię prawdę, nie pochowałem jej.

Mężczyzna brzmiał szczerze, na swój dziecinny, nieco naiwny sposób. Poul Troulsen wydawał się zdziwiony, zamilkł. Wiedział, że wkrótce Simon pożre go żywcem.

Rozdział 31

Psycholog Ernesto Madsen doszedł do wniosku, że zanim Andreas Falkenberg zostanie przesłuchany, powinien spędzić kilka godzin za kratkami. Konrad Simonsen posłuchał jego rady, zyskując w ten sposób czas, by towarzyszyć Hrabiance podczas spotkania z Wyrocznią z Købmagergade. Szli razem chodnikiem, ona pół kroku przed nim, jakby wskazywała mu drogę, skoro już udało się jej namówić go na to spotkanie. Unoszący się nad miastem wyż dawał się wszystkim we znaki, ludzie pocili się, a zapowiadana przez meteorologów burza, która przyniosłaby wszystkim ulgę, nie nadchodziła. Nagle Konrad Simonsen zaniepokoił się:

– Mam nadzieję, że nie wymyślił, że mamy się spotkać w samej oranżerii. Roztopimy się. Dość mam upału na zewnątrz.

Ich rozmówca wyznaczył spotkanie przed palmiarnią w ogrodzie botanicznym. Hrabianka zaakceptowała wybór bez zastrzeżeń.

– Wątpię, żeby tego chciał.

Konrad Simonsen czuł, że zaczynają swędzić go nogi. Krępowало go to. Poza tym dyszał bardziej niż zwykle.

– Trzeba było jechać samochodem.

– I pół godziny szukać miejsca do parkowania? Poza tym spacer dobrze ci zrobi. Jeśli spotkanie się przedłuży, wrócimy taksówką.

– Nie przedłuży się. Nie wiem, czy wiesz, ale mam jeszcze kilka innych spraw do załatwienia.

W jego głosie słychać było niezadowolenie, lekkie, ale jednak.

– Cieszę się, że zdecydowałeś się mi towarzyszyć.

– A ja się cieszę, że będę miał to z głowy.

Weszli do ogrodu botanicznego. Hrabianka otworzyła bramę, przytrzymała ją, a potem zamknęła. Po chwili hałas ulicy zamienił się w szum gdzieś w tle, policjantka wzięła Simona pod rękę, jakby panujący tu spokój usprawiedliwiał taką bliskość.

– Pięknie tu, prawda? Tyle cudownych roślin, jak gdzieś na południu. I jakie zadbane.

– To rzeczywiście przyjemne miejsce.

Znajomość biologii Konrada Simonsena ograniczała się do tego, że potrafił odróżnić mlecz od kilku innych równie popularnych kwiatków. Zatrzymał się i po-drapał w kostkę, najpierw w jedną, a potem w drugą, skoro już się schylił.

– Powiedz mi jedno, Simon. Ta twoja jasnowidzka w Høje Taastrup, z którą czasem się kontaktujesz, czy ona często miewa rację, że tak się wyrażę?

– Dlaczego pytasz o to teraz?

– Z ciekawości.

– Czasem ma rację, na ogół jednak bywa mało użyteczna. Ale nie pytaj, jak ona to robi, bo tego nie jestem w stanie zrozumieć.

– Ale czasem ci pomagała?

– Powiedziałem już, że tak.

– Możesz podać mi przykład?

– Wiele lat temu prowadziłem sprawę, w której jakiś szaleniec rozpiął cienki drut nad deptakiem w małym miasteczku. Chciał w ten sposób powstrzymać garstkę młodych ludzi, którzy w sobotnie wieczory szaleli tam na motorowerach, zakłócając sen spokojnym mieszkańcom miasteczka. Pierwszy z chłopców miał szczęście, pochylił się i drut uderzył go w czoło. Oczywiście przewrócił się i potłukł, ale większego pecha miał jadący za nim kolega. Drut się zerwał i rykoszetem wybił chłopakowi oko.

– A niech to.

– No właśnie, a co gorsza, gdyby pierwszy z jadących się nie schylił, drut by go zgilotynował, co pewnie było celem szaleńca. W tej sprawie korzystałem z pomocy jasnovidzki z Høje Taastrup, jak ją nazywasz. Podała mi bardzo rzadkie nazwisko, które, jak się później okazało, nosił właściciel sklepu z materiałami budowlanymi. Sklep był położony w odległości kilkuset kilometrów od miasteczka, ale to właśnie tam szaleniec kupił drut. Okazał się nim siedemdziesięcioośmioletni mężczyzna, który miał już serdecznie dosyć hałasów i pewnego dnia postanowił położyć temu kres. No dobrze, a teraz kolej na ciebie. Skąd twoje nagłe zainteresowanie tą kobietą? Mów!

Hrabianka opowiedziała mu o swojej krótkiej, nieco nerwowej rozmowie z jasnovidzką. Kiedy skończyła, poczuła ulgę. Simon szedł przez chwilę, nic nie mówiąc, w końcu się odezwał:

– Rzeczywiście, kiedy coś szczególnie leży jej na sercu, reaguje niemal maniackalnie. No, ale jesteśmy na miejscu.

Palmiarnia wznosiła się przed nimi wysoka niczym wieża, błyszcząca w zamglonym słońcu. Hrabianka rozglądała się za umówionym z nimi mężczyzną, ale na darmo. W końcu doszedł ich znany im obojgu głos, odwrócili się. Za nimi, na niewielkim trawniku w cieniu magnolii siedział Helmer Hammer.

Zdjął marynarkę i krawat, obie te części garderoby leżały starannie złożone obok niego, poza tym zdjął też buty i skarpety. Jego białe stopy, wystające ze starannie wyprasowanych spodni marki Cerruti, kontrastowały z jego codzienną elegancją. Uśmiechnął się przyjaźnie, kiedy Hrabianka i Konrad Simonsen usiedli naprzeciwko niego, i autentycznie zaciekawiony zaczął wypytywać o postępy śledztwa, a także o relacje między nimi. Wkrótce wszyscy troje pograżyli się w miłej pogawędce. To była jedna z wielu umiejętności Helmera Hammera, potrafił sprawić, że ludzie w jego towarzystwie się odprężali, dawał im poczucie, że ma dla nich czas. Kiedy był w dobrym humorze, był otwarty, szczerzy, nie sprawiał wraże-

nia człowieka uwikłanego w rozliczne problemy; był kimś, kogo każdy chciałby mieć za przyjaciela. Hrabianka poszła w jego ślady i też zdjęła buty. Hammer poczęstował wszystkich zimną wodą z butelki, którą wyjął z teczki. Siedział na trawie, popijał wodę i uśmiechał się dobrotliwie, słuchając opowieści Konrada Simonsena.

– Myślałeś, że Malte Borup sprzedaje informacje z policyjnej bazy komputerowej za punkty?

– Tak to zabrzmiało, więc zacząłem się pocić. Ale okazało się, że organizacja działa bardzo sprawnie. Wyobraź sobie, że w ciągu niecałej półgodziny miał zdjęcia siedmiu pokojówek.

– Należy doceniać nieformalne powiązania. To jeden z powodów, dla których lubię to miejsce. Spotkałem tu wielu świetnych studentów, którzy potem trafili do ministerstwa, niekiedy omijając zwykłe procedury. W ciągu roku akademickiego zawsze siedzą tu albo leżą i czytają, dyskutują. Przysłuchując się im, można się zorientować, co sobą reprezentują.

Hrabianka spojrzała na niego z zaciekawioną.

– Często pan tu przychodzi?

– Nie tak często, jak bym chciał, niestety. Ale prawda, że to przyjemne miejsce?

Mężczyzna rozłożył ręce, jakby ogród należał do niego, a po chwili mówił już dalej:

– Radzę przyjść tu na początku czerwca, kiedy kwitną magnolie. A palmiarnia to prawdziwa perełka architektoniczna. Zbudowano ją w 1874 roku. To jeden z pierwszych budynków w Danii, w którym wykorzystano nieosłoniętą konstrukcję nośną, podobnie jak w wieży Eiffla. Poza tym jej projektanci tak naprawdę wcale nie byli architektami, tylko ogrodnikami, a za wszystkim stało piwo.

– Mecenasem był Jacobsen, właściciel browaru?

– We własnej osobie.

Helmer Hammer zaczął obracać butelką z resztką wody w środku, przyglądając się jej w milczeniu.

– No, pani asystent kryminalny pierwszego stopnia Nathalie von Rosen, rozumiem, że nie ja jeden interesuję się historią Danii.

Mężczyzna użył jej stopnia i pełnego nazwiska nieco żartobliwie, ale rozmowa od razu przybrała bardziej oficjalny charakter. Jednak na jego pytanie nie odpowiedziała Hrabianka, lecz zrobił to Konrad Simonsen.

– Oboje się interesujemy, co pewnie łatwo wytłumaczyć, ale trudniej zrozumieć.

– Dacie mi szansę?

Między mężczyznami toczyła się wyraźna walka, po chwili wahania Konrad Simonsen zaczął jednak opowiadać. Najpierw streścił krótko rozmowy telefonicz-

ne, które Hrabianka odbyła z jasnowidzką, wspierając je konkretnymi przykładami spraw, w których wskazówki kobiety okazały się pomocne, przytaczając między innymi także historię z drutem rozpiętym nad deptakiem. Był wyraźnie ożywiony, mówił ze swadą, nie pozostawiając miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Hrabianka słuchała go zdziwiona, nie odzywając się ani słowem. W jego interpretacji jej działania wydawały się oczywiste, można by powiedzieć, że niepodjęcie ich w takiej sytuacji należałoby uznać wręcz za zaniedbanie. Helmer Hammer został postawiony w sytuacji bez wyjścia, co zresztą szybko zrozumiał i, o dziwo, zaakceptował.

– Tego się nie spodziewałem. No cóż, trochę trudno mi dyskutować z waszym medium. Jak to było? „Przylgnij do niego jak bluszcz i nie puszczaj go”? Tak, Hrabianko. Co za zdanie, jestem pełen uznania.

Hrabianka skinęła głową, nie przerywając mu. Wywód Konrada Simonsena przekonał ją do słuszności podjętej decyzji. Oczywiście, że musiała zachować się tak, jak się zachowała, nie mogła postąpić inaczej.

Helmer Hammer kontynuował, zwracając się przede wszystkim do Hrabianki:

– Proponuję nazwać to, czego dowiedziała się pani o podróży Bertila Hampela-Kocha na Grenlandię w 1983 roku, prawdą numer jeden, ponieważ sam znam nieco inną wersję wydarzeń, którą chciałbym nazwać prawdą numer dwa. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Ministerstwie Obrony zwyczajowo proponowano młodym, ambitnym pracownikom tego urzędu kilkutygodniowy udział w patrolu Sirius, czyli patrolu z psim zaprzęgiem, który podczas zimy pilnuje duńskiej obecności na terenie północno-wschodniej Grenlandii. Zaproszenie do uczestnictwa w patrolu było rodzajem premii i świetnie wyglądało w każdym CV, więc oczywiście niemal każdy się zgadzał. W 1983 roku przyszła kolej na Bertila, ale niestety, powstał pewien problem. Okazało się bowiem, że Bertil wcale nie ma ochoty jechać na Grenlandię pod własnym nazwiskiem, co wynikało z tego, że jego wuj Tyge Hampel-Koch był w latach 1978–1994 ministrem obrony. Jego argumenty były dość zrozumiałe, w takiej sytuacji współpraca mężczyzn uczestniczących w patrolu mogła być znacznie utrudniona. Dlatego szef Bertila, dość zresztą niespodziewanie, zgodził się, by Bertil wziął udział w ekspedycji, a raczej w dwóch ekspedycjach, jako Steen Hansen. Jak powstał pomysł z geologiem, tego nie wiem.

Konrad Simonsen przerwał mu czujnie:

– Powiedziałaś, że były dwie ekspedycje?

– Tak, pierwsza odbyła się latem 1983 roku, kiedy to poleciał na Stację Nord, bazę wojskową na północnym wybrzeżu w północno-wschodniej części wyspy, gdzie spotkał się z częścią swoich przyszłych towarzyszy, uczestników patrolu, i pomagał w uzupełnieniu magazynu bazy przed zimą. To właśnie wtedy miał międzylądowanie w Søndre Strømfjord, ale to już wiecie. Drugą podróż odbył

w związku z samym patrolem, czyli w lutym 1984 roku, ale to wydarzenie, z naszego punktu widzenia, jest znacznie mniej interesujące.

Hrabianka wydawała się autentycznie zdziwiona.

– Więc w ogóle nie dotarł do Thu...

Helmer Hammer przerwał jej uprzejmie, ale stanowczo:

– Chwileczkę, to jest moja prawda, więc proszę pozwolić mi przekazać ją tak, jak ja ją widzę. Nie ma żadnych wątpliwości, że Bertil Hampel-Koch w 1983 roku, podczas podróży do Stacji Nord, miał międzylądowanie w bazie wojskowej Søndre Strømfjord. W związku z tym pojawia się jednak pewien problem, który, mam nadzieję, pomożecie mi rozwiązać.

Konrad Simonsen zareagował natychmiast:

– Zamieniamy się w słuch.

– Nie ulega wątpliwości, że osobiście jestem zwolennikiem prawdy numer dwa, czyli mojej wersji wydarzeń, zresztą bardzo rzetelnej. Nie będę ukrywał, że nie tylko mój szef, ale także i jego poprzednicy, preferują tę wersję. Na prawdę numer jeden jest, z naszego punktu widzenia, nieco za wcześnie, powinna jeszcze trochę poleżakować, dwadzieścia, może nawet trzydzieści lat.

I Hrabianka, i Konrad Simonsen zwrócili uwagę na liczbę mnogą, która nagle pojawiła się w wywodzie Helmera Hammera. Zdali sobie sprawę z powagi sytuacji i w milczeniu pokiwali głowami. Mężczyzna uśmiechnął się.

– Żona i córka zawsze mi powtarzają, że powinienem bardziej ufać ludziom, i mają rację. Mogę liczyć na waszą pomoc w upowszechnieniu prawdy numer dwa? Lepiej będzie, jeśli wyjdzie ona od was. Poza tym ja nigdy nie zapomnę oddanej mi przysługi.

Konrad Simonsen spytał z pewnym wahaniem:

– Co konkretnie masz na myśli?

Mężczyzna wytłumaczył dokładnie, na czym mu szczególnie zależy, a inspektor i Hrabianka ponownie skinęli głowami. Po chwili jednak Hrabianka upewniła się z nutą żalu w głosie:

– Czyli: nie było wizyty w Thule, nie było książki i, oczywiście, nie było też żadnego listu?

Mężczyzna potwierdził z lekkim ubolewaniem.

– Nie było wizyty w Thule, nie było książki i nie było listu. Niestety, tak to wygląda, ale rozumiem, że poszukiwania panią wciągnęły. Szczególnie list jest niezwykły. Prawdziwy majstersztyk. Jego kopia powinna być dołączana do każdej umowy o pracę w administracji centralnej z dopiskiem: Czytaj i się ucz.

Mężczyzna spojrzął na zegarek, sięgnął po buty, ale wstrzymał się jeszcze chwilę. Nieproszony zaczął opowiadać:

– To naprawdę niesamowite. Rząd Stanów Zjednoczonych pyta Danię, jakie jest jej stanowisko wobec broni atomowej na Grenlandii. Pytanie jest proste i bez-

pośrednie. Co innego odpowiedź. To wyjątkowe dzieło autorstwa jednego z poprzedników Bertila. Mężczyzna nazywał się Nils Svenningsen. Na wstępie stwierdza, że ambasador amerykański nie przedstawił żadnego konkretnego planu odnośnie zainstalowania broni atomowej na Grenlandii, co jest zgodne z prawdą. Od konkretnych planów są generałowie. Poza tym w liście nie mówi się wprost o bombie atomowej, tylko o amunicji szczególnego typu. A teraz najlepsze: ponieważ nie istnieją żadne konkretne plany, dyrektor Svenningsen każe premierowi odpowiedzieć: „Nie uważam, żeby pańskie uwagi wymagały jakiegokolwiek komentarza z mojej strony”. Czyli w tłumaczeniu na normalny język: Instalujcie sobie te wasze atomówki, chociaż oficjalnie nie macie na to naszej zgody, jednak dopóki o niczym nie wiemy, nie ma sprawy. „Nie uważam, żeby pańskie uwagi wymagały jakiegokolwiek komentarza z mojej strony...”. Taka odpowiedź została przesłana rządowi Stanów Zjednoczonych. Genialne.

Mężczyzna zamilkł, Konrad Simonsen spojrział na zegarek. Podwójny morderca czekał na przesłuchanie, poza tym policjant nie bardzo rozumiał, co w tym było genialnego.

Rozdział 32

Przesłuchanie Andreeasa Falkenborga rozpoczęło się od chwili milczenia. Konrad Simonsen długo wpatrywał się w aresztanta, obserwując, jak ten kurczy się pod jego spojrzeniem, ale się nie odzywał. Andreas Falkenborg był coraz bardziej zdenerwowany, zaciskał dłonie i wpatrywał się w stół jak dziecko świadome swojej winy. Jednak Konrad Simonsen milczał, nie zważając na stres mężczyzny i ignorując go, gdy ten podnosił głowę i niemal błagał wzrokiem, by przesłuchanie w końcu się rozpoczęło.

Wreszcie, po naprawdę długim czasie, Konrad Simonsen zdecydował się rozpocząć przesłuchanie od wstępnych formułek:

– Proszę podać imię i nazwisko.

– Andreas Falkenborg.

– Data i miejsce urodzenia?

– Jedenasty lipca 1955 roku, Kopenhaga.

– Gdzie w Kopenhadze?

– W Szpitalu Miejskim.

– Gdzie mieszkali wtedy pana rodzice?

– W Bispebjerg. Nie znam adresu, wkrótce po moich narodzinach rodzice się przeprowadzili.

– Adres nie ma tu żadnego znaczenia. Andreasie Falkenborg, został pan aresztowany w związku z oskarżeniem o zabójstwo dwóch kobiet: Maryann Nygaard, trzynastego września 1983 roku na terenie stacji radarowej DYE-5 na Grenlandii, i Catherine Thomsen, piątego kwietnia 1997 roku w Nordstranden, w okolicach Stevns Klint na Zelandii. Poza tym jest pan podejrzany o zamordowanie Annie Lindberg Hansson, która zaginęła w Jungshoved w pobliżu Præstø piątego października 1990 roku, oraz o uprowadzenie i usiłowanie zabójstwa Rikke Barbary Hvidt szóstego maja 1977 roku w Kikhavn, w pobliżu Hundested. Rozumie pan postawione panu zarzuty?

– Tak, ale ja nic nie zrobiłem.

– Wie pan, że ma prawo do adwokata, który będzie pana wspierał?

– Tak, wiem.

– Życzy pan sobie adwokata?

– Nie, dziękuję.

– Przyjmuję to do wiadomości.

Mężczyzna zaczął drżeć jak przy ataku epilepsji. Konrad Simonsen zmarszczył brwi, takiej reakcji jego scenariusz nie przewidywał, a ostatnie, czego by pragnął, to aresztowany, którego nie można przesłuchać. Jednak mężczyzna szybko się opanował i spytał:

– Rozumiem, że mogę zmienić zdanie? I ewentualnie później poprosić o adwokata?

– Jak najbardziej.

– I nie będzie pan na mnie zły?

– Moja reakcja nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli chce pan adwokata, proszę powiedzieć, przerwę przesłuchanie i poczekamy na jego przybycie.

– Dziękuję.

– Powinien pan też wiedzieć, że nie ma pan obowiązku odpowiadać na pytania, a także że wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu w sądzie. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem.

– I mimo wszystko chce pan ze mną rozmawiać?

– Tak, chcę.

Konrad Simonsen uznał, że teraz nawet najbardziej skrupulatny obrońca nie będzie mógł twierdzić, że mężczyzna nie został zapoznany z przysługującymi mu prawami. Pytanie, które teraz mu zadał, zostało dokładnie przeanalizowane z psychologiem Ernesto Madsenem.

– Żyje pan ze szpiegowania innych. Lubi pan to robić?

Ku zdziwieniu Simonsena mężczyzna odpowiedział szczerze i bez cienia wstydu:

– Tak, to przyjemne zajęcie. Zawsze tak uważałem, właściwie od dziecka.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Taki już jestem.

– Lubi pan obserwować ludzi, którzy nie są tego świadomi?

– Tak.

– Podglądać ich?

– Tak.

– Najchętniej kobiety?

– Czasem są to mężczyźni, to zależy od tego, kto zwraca się do mnie o pomoc. Poza tym sprzedaję też różne rzeczy, mikrofony, kamery, programy komputerowe i tym podobne.

– Można to określić jako wyposażenie szpiegowskie?

– Tak, to dobre określenie, ale to, co robię, jest zgodne z prawem.

– Nikt nie twierdzi, że tak nie jest. Proszę mi powiedzieć, czy kiedy śledzi pan obcych ludzi, woli pan, by była to kobieta czy mężczyzna?

– Zdecydowanie wolę kobiety, pewnie dlatego że jestem normalny.

– Normalny?

– To znaczy taki, jak wszyscy mężczyźni. Jestem normalny.

– Trzykrotne zabójstwo nie jest rzeczą normalną. Powiedziałbym wręcz, że jest to zdecydowanie nienormalne.

Tym razem mężczyzna się zawstydział, spuścił wzrok i powiedział:

– Wiem.

– To, co pan zrobił, to poważna sprawa.

– Skoro pan tak twierdzi.

– Czyżby pan tego żałował?

– Tak.

– Cóż, zawsze to coś. Proszę powiedzieć, dlaczego zabił pan Maryann Nygaard.

Andreas Falkenberg się zawahał, zadrżał lekko i nagle wypalił:

– Nie zabiłem Maryann Nygaard. Ja jej nie zabiłem.

Konrad Simonsen zauważył, że mężczyzna pochylił kark, uniósł rękę i powąchał swoją pachę.

– Co pan robi?

– Nic, naprawdę nic.

– Kłamię pan. Dlaczego zabił pan Maryann Nygaard?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Co to znaczy?

– Nie wiem, dlaczego ją zabiłem.

– A Catherine Thomsen? Też pan nie wie?

Mężczyzna pokręcił głową przecząco. Konrad Simonsen mówił dalej:

– Podejrzany Andreas Falkenberg kręci przecząco głową. Proszę powiedzieć to na głos.

– Przepraszam, zapomniałem. Nie wiem, dlaczego zabiłem Catherine. To znaczy Catherine Thomsen.

– Czekał pan na nią w swoim samochodzie przed dworcem w Roskilde piątego kwietnia 1997 roku, tak?

– Tak, byliśmy umówieni.

– To znaczy?

– Catherine nie była normalna, to znaczy lubiła dziewczyny, ale to była tajemnica. Była bardzo religijna. Pewnie chciałem jej pomóc.

– W czym?

– Była źle stworzona... To krępujące... Nie chcę o tym rozmawiać.

– Proszę opowiedzieć, jak pan dokonywał zabójstw. Jak zabił pan Maryann Nygaard?

Nagle znów wrócili do punktu wyjścia. Andreas Falkenberg spytał zalekniony:

– Mam powiedzieć, że je zabiłem, mimo że tego nie zrobiłem?

Konrad Simonsen zauważył pewien wzór w zeznaniach mężczyzny. Początkowo postanowił nie odpowiadać na jego pytania, ale mężczyzna kontynuował:

– Nie pogniewa się pan na mnie, jeśli powiem, że ich nie zabiłem?

– Zabił pan Maryann Nygaard i Catherine Thomsen? Tak czy nie?

– Nie zabiłem ich.

– Nie zabił pan ich?

– Nie, ale nie będzie pan na mnie zły?

Konrad Simonsen zaklął w duchu. Wiedział już, że przesłuchanie potrwa dłużej i będzie bardziej skomplikowane, niż początkowo zakładał. Postanowił zmienić taktykę. Pochylił się nad stołem, spojrzał mężczyźnie w oczy i powiedział nieco zaczepnie:

– Kiedy tu sobie tak gawędzimy, to odnoszę wrażenie, że jest pan sympatycznym człowiekiem. Ale cały czas mam też inny obraz przed oczami. Cały czas widzę, jak młoda kobieta desperacko rzuca głową, próbując zaczerpnąć powietrza, oczy wychodzą jej z orbit, a pan siedzi i rozkoszuje się widokiem. I to rzeczywiście napawa mnie gniewem. Już sama myśl o tym.

Twarz Andreasa Falkenborga zaczęła drżeć. Konrad Simonsen wyjął zdjęcie z teczki i położył je przed nim. Zauważył, że mężczyzna cofnął się nieco z krzesłem, jakby chciał zwiększyć fizyczną odległość między sobą a fotografią.

– Co się stało? Przestraszył się pan?

– Tak, trochę. Nie lubię tego typu kobiet.

– Czyli jakich?

– Takich jak ona.

– A dokładnie?

– To dla mnie trudne. Takie kobiety mnie przerażają. Może pan je zabrać?

– Nie. Nie poznaje jej pan?

– Ma na imię Rikke, to zdjęcie z czasów, kiedy była młoda. Teraz już nie jest. Niemożliwe, żeby była.

– Rikke Barbara Hvidt. To jej zdjęcie z młodości. Zrobione w 1976 roku, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Kiedy pan ją poznał?

– Dawno temu, chyba w 1978 roku.

– W 1977, zgadza się?

– Tak, zgadza się.

– Gdzie pan zobaczył ją po raz pierwszy?

– Na promie z Rørvig do Hundested.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Oboje byliśmy na rowerach, stały umocowane do relingu na pokładzie promu. Podeszła do mnie, prosząc, żebym pomógł jej z łańcuchem przy rowerze. Więc jej pomogłem.

– I wtedy pan się jej nie bał?

– Bałem się, nawet bardzo.

– To dlaczego pan nie odszedł, nie powiedział, żeby poprosiła kogoś innego?

– Nie wiem, trudno mi to wytłumaczyć.

– Przez następne pół roku chodził pan za nią niemal cały czas. Nawet prze-
rwał pan studia i przeniósł się do gospody w Hundested.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem, pewnie się jej bałem.

– Dziwna odpowiedź.

– Tak, wiem, ale proszę się na mnie nie gniewać. Nie potrafię tego wytłuma-
czyć.

– Nie gniewam się, ale chciałbym to zrozumieć. Czego pan od niej chciał?

– Nie wiem.

– Mam wrażenie, że pan wie.

– Może chciałem z nią być.

– Naprawdę?

– Nie.

– To proszę tak nie mówić.

– Przepraszam.

Mężczyzna znów zaczął wachać swoje pachy, ale tym razem już nie drżał
i nie wykonywał żadnych niekontrolowanych ruchów. Konrad Simonsen mówił da-
lej:

– Zrobił pan jej scenę, kiedy ścięła włosy.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Krzychał pan, płakał, dziwnie się zachowywał, tak było?

– Tak, krzychałem, wołałem coś.

– Gdzie to było?

– W salonie fryzjerskim w Hundested, przy głównej ulicy.

– Proszę mi opowiedzieć.

– Nie ma co opowiadać, szedłem za nią tego dnia...

– Jak wiele razy wcześniej, prawda?

– Tak, po to tam pojechałem, żeby ją śledzić, a kiedy zobaczyłem, że wcho-
dzi do fryzjera i każe ściąć sobie włosy, to poszedłem za nią i rzeczywiście zaczą-
łem krzyżeć i wrzeszczeć. Zadzwonili po policję. To wcale nie było zabawne.

– Ale po tym zdarzeniu przestał pan za nią chodzić. Dlaczego?

– Bo ścięła włosy. Chociaż tak całkiem nie przestałem.

– To znaczy?

– Po kilku latach znów tam pojechałem. Żeby zobaczyć, czy nadal ma krót-
kie włosy. Okazało się, że miała. To mogło być w 1980 roku. Ona mnie wtedy nie
zauważyła.

– Interesował się pan nią tylko wtedy, kiedy miała długie włosy?

– Tak, powinny mieć przynajmniej takie do ramion.
– Powinny? Kto powinien?
– Kobiety, których się boję. Ten typ kobiet. Rozmnażają się, płodzą kolejne szkaradztwa. Powinno się je eliminować.

Konrad Simonsen poczuł chłód na plecach, spytał ostro:

– Co chce pan przez to powiedzieć? Co to znaczy?
– Przepraszam, nie wiem, dlaczego to powiedziałem.
– Kto to są te szkaradztwa?
– Nie mogę tego powiedzieć, być może to właśnie ich się boję.
– Ma pan na myśli kogoś konkretnego?
– Rikke, jej się bałem.
– Nikogo innego?
– Innych też, ale najbardziej Rikke, skoro już o niej mówimy.

Konrad Simonsen przyglądał mu się chłodno. Andreas Falkenberg skulił się pod jego spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

– Co to znaczy, że pan się jej bał?
– Nie wiem. Byłem wtedy młody, może nie wiedziałem tak do końca, co robię.

– Bzdura, doskonale pan wiedział.
– Przepraszam.
– Chyba się domyślam, dlaczego pan się boi kobiet, które przypominają Rikke Barbarę Hvidt.

Konrad Simonsen wyjął kolejne zdjęcie i położył przed mężczyzną. Andreas Falkenberg zerknął na nie i powiedział:

– Ojej.
– Ojej? Wie pan, kto to jest?
– Tak, to Belfegor.
– Proszę mówić dalej.
– To taki demon z telewizji.
– Duch z Luwru, grany przez Juliette Gréco. Duńska telewizja nadawała ten serial latem 1965 roku.

– Tak, zgadza się.
– Miał pan kiedyś taką maskę?
– Nie, nigdy.

Znów skurcz ciała i nos pod pachą, Konrad Simonsen zrozumiał w końcu, co to oznacza.

– Pan drży, kiedy pan kłamie.
– Tak, zawsze tak miałem. Albo kiedy się denerwuję. Nie ma na to żadnej rady.

– Przed chwilą pan skłamał.

– Tak, przykro mi. Przepraszam.
– Więc jednak miał pan maskę demona?
– Tak, kiedy byłem dzieckiem. Sam ją zrobiłem, zajęło mi to sporo czasu.
– Gdzie ona teraz jest?
– Nie chcę o tym mówić, to tajemnica.
– Dobrze, pewnie i tak ją znajdziemy podczas rewizji w pana mieszkaniu. Jestem tego prawie pewny.

Konrad Simonsen sięgnął przez stół i przesunął zdjęcie Rikke Barbary Hvidt nieco w lewo, a zdjęcie Belfegora nieco w prawo, a następnie położył na stole zdjęcie Agnete Bahn. Andreas Falkenberg znów zaczął się trząść.

– Kto to jest?
– Miała na imię Agnete. Kiedy byłem dzieckiem, była u nas pokojówką. To zła kobieta.

– Pewnej nocy próbował pan ją nastraszyć, właśnie w tej masce, tak?
– Tak. To była niedziela. Nie chciałbym o tym mówić, jeśli nie jest to konieczne.

– Zakradł się pan do okna jej pokoju w masce, którą podświetlił pan latarką, żeby bardziej ją przestraszyć. Co było potem?

– Mogę o tym nie mówić?
– Nie, nie może pan.
– Nie zabiłem Agnete.
– Wiem. Dlatego, że zdążyła się zestarzeć?
– Kiedy dorosłem, nie była już podobna do siebie sprzed lat.
– I wcale się nie przestraszyła tamtej letniej nocy w 1965 roku, kiedy zakradł się pan do jej okna. Wszystko odbyło się zupełnie inaczej, niż pan to sobie wyobrażał.

– Krzyknęła, kiedy mnie zobaczyła.
– Proszę mówić dalej!
– Siedziała na tacie, tak jak nie powinna. A ja nie powinienem był tego oglądać. Na pewno nie powinienem. Nie chcę o tym mówić.

– Pana ojciec poszedł po matkę i ją zbił, obwiniając ją o pańskie zachowanie.
– Mama krzyczała, to było okropne, nawet dzisiaj czasem mi się to śni.
– Ale wtedy stał pan tam, w masce, przyciśnięty do szyby.

– Nie wiedziałem, co mam robić. Proszę już do tego nie wracać. Cały drzę, pocę się. Nic na to nie poradzę.

– Co zrobiła wtedy Agnete Bahn?
– To było straszne, nigdy tego nie zapomnę, to tkwi gdzieś głęboko we mnie. Udała, że mnie całuje, i bardzo ją to bawiło. Ślad po jej szmince był widoczny na szybie jeszcze przez wiele dni. Nie powinna była tego robić, przecież byłem jeszcze dzieckiem.

– To prawda, nie powinna była tego robić.
– Miałem nadzieję, że umarła, ale słyszę, że pan z nią rozmawiał?
– Tak, rozmawiałem z nią.
– Może trafić do więzienia za to, co zrobiła?
– Nie.
– A co ze mną? Mogę trafić do więzienia za to, co się stało w Hundested? To znaczy po tak długim czasie?

– Nie.
– Ani za to, co zrobiłem tam, na plaży?
Konrad Simonsen pokręcił głową.
– Nie, nie może pan, ale ciągle międlimy ten sam problem i w ogóle nie posuwamy się do przodu. Proszę mi powiedzieć, czy one coś krzyczą, kiedy mają te torby na głowie? Są przerażone, błagają o litość? Jak brzmi głos umierającej kobiety, kiedy jej drogi oddechowe są zablokowane? Czy ich głos jest zniekształcony? Pytam, bo nie wiem. Nigdy nie słyszałem takiego krzyku, a pan tak. Sama myśl o tym doprowadza mnie do szaleństwa.

Andreas Falkenberg spytał jęklwym głosem:

– Chce pan usłyszeć o Rikke, prawda?
– Owszem, między innymi i o niej.
– I nie szkodzi, że się pocę?
– Nie, jest mi to obojętne.

Opowieść Andreeasa Falkenberga o tym, jak napadł na Rikke, zgadzała się mniej więcej z tym, co sama Rikke opowiedziała Simonsenowi w poprzedni czwartek. Niemal w każdym szczególe. Nadal jednak nie było niczego, co wiązałoby go z późniejszymi zabójstwami, tym bardziej że napaść na Rikke została opisana na stronie internetowej pisma „Dagbladet”, w wersji przedstawionej przez Jeanette Hvidt. Niestety, w artykule wspomniano też o udawanym obcinaniu paznokci przez napastnika. O tym szczególe policja w ogóle nie wspominała. Ani też o tym, że napastnik malował usta ofiar na czerwono. Na plaży w Kikhavn po prostu nie zdążył tego zrobić. Nie wspomniano też o jego dziwnym sposobie mówienia. Być może on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Konrad Simonsen drążył dalej, ale bez większego powodzenia.

– Wykopał pan grób na plaży. Kiedy pan to zrobił?
– Zanim na nią napadłem.
– Chciał pan ją tam zakopać?
– Tak, ale mi uciekła.
– Ale zamierzał pan ją zabić?
– Tak, ale nie udało mi się.
– Jak chciał pan to zrobić?
– Sądzę, że chciałem założyć jej na głowę torbę foliową, taką, jakie miały na

głowach tamte dwie kobiety, jedna na Grenlandii, druga w okolicach Stevns.

- Sądzi pan? Czy to znaczy, że pan tego nie wie?
- Wiem to na pewno.
- Miał pan ze sobą torbę foliową?
- Nawet dwie.
- Gdzie pan je ukrył?
- Sądzę, że w kieszeni.
- W kieszeni. Jest pan pewien?
- Nie. Nie pamiętam.
- A gdzie jeszcze mógł pan je trzymać?
- Może w drugiej kieszeni?
- To jedyne miejsce?
- Nie wiem, nie pamiętam, to było dawno temu.
- Dlaczego miał pan na twarzy maskę?
- Lubię, kiedy one się boją.
- One? To znaczy kto?
- Te, które straszę. Lubiłem straszyć Rikke.
- Lubisz, kiedy się boją? Rikke i te inne kobiety, które są do niej podobne?
- Tak, lubię, to bardzo przyjemne. Kiedy tak naprawdę bardzo, bardzo się

boją.

- Udawał pan, że obcina im paznokcie. Dlaczego?
- Moja mama tak robiła, pewnie dlatego.
- Proszę to wytłumaczyć.
- Stały przede mną, a ja obcinałem im te ich obrzydliwe pazury. Dobrze im

tak.

- Gdzie miał pan nożyczki?
- W kieszeni.
- Też w kieszeni?
- Tak mi się wydaje, a nie?
- Pan powinien to wiedzieć.
- Więc w kieszeni.
- Proszę powiedzieć, jak skłonił pan Maryann do pokazania panu paznokci.
- „Pokaż pazury, głupia dziewucho, on chce zobaczyć jej paznokcie”. Tak

jej powiedziałem.

- I to poskutkowało? Pokazała pazury?
- Nie, była uparta, nie chciała mnie słuchać.
- Co pan wtedy zrobił?
- Powtórzyłem jeszcze raz.
- Co pan powtórzył?
- „Pokaż pazury, głupia dziewucho, on chce zobaczyć jej paznokcie”. Ale

ona schowała ręce za plecami i wbiła paznokcie w śnieg. Była roztrzęsiona.

– Pan zaś był cierpliwy. Stał pan przed nią z nożyczkami i powtarzał polecenie?

– Tak właśnie było.

– Ale nie miał pan przy sobie latarki. Nie była potrzebna?

– Nie miałem latarki.

– Było tam coś widać?

– Padało światło z latarni morskiej.

– Nie, to nieprawda. Co to było za światło? Jasne, wyraziste.

– Ze śmigłowca. Miał reflektory.

– Zgadza się. Ale nie wszystkie chowały ręce, prawda?

– Ma pan rację. Nie wszystkie.

– Jedna sprawiała szczególne trudności.

– Nie chciała się podporządkować.

– To znaczy?

– Może zaciskała dłonie, wtedy nie mogłem nic zrobić. Więc ją uderzyłem.

– Nie wierzę. Jeśli zaciskała dłonie, obcięcie paznokci było trudniejsze, ale nie niemożliwe. Więc dlaczego?

– Może złożyła dłonie.

– I w tej pozycji musiał pan obciąć jej paznokcie?

– Tak.

– Dlaczego złożyła dłonie?

– Modliła się do Boga.

– Zapewne. Jak miała na imię?

– Może Liz.

– Nie było żadnej Liz. Niech pan przestanie kłamać.

– Nie kłamię.

– Poci się pan i ma skurcze.

– Denerwuję się.

– Więc jak ona miała na imię?

– Catherine. Była bardzo religijna.

Konrad Simonsen zaczął się zastanawiać, czy nie zrobić przerwy. Mężczyzna był posłuszny, poddawał się jego pytaniom, odpowiadał, ale nadal brakowało dowodów, poza tym w sali sądowej będzie mógł wszystko odwołać. Trudno było ocenić, czy był po prostu cyniczny i świadomie ukrywał się pod płaszczykiem naiwności, czy też rzeczywiście taki był. Konrad Simonsen obawiał się, że jeśli da mu chwilę do namysłu, zatrzymany mężczyzna może zażądać adwokata albo nie chcieć dalej rozmawiać.

Dylemat rozstrzygnął Andreas Falkenberg swoim następnym zdaniem:

– To Liz się biła, przepraszam. Ale o niej wolałbym nie rozmawiać.

Kolejne imię sprawiło, że Konrad Simonsen jęknął:

– No nie!

– Bardzo mi przykro, proszę się na mnie nie gniewać.

Obrót, który przyjęło przesłuchanie, w połączeniu ze sposobem, w jaki Andreas Falkenborg przeskakiwał od napadu w Kikhavn w 1977 roku do zabójstwa Maryann Nygaard w 1983 roku, sprawiły, że Konrad Simonsen miał wrażenie, że stracił kontrolę nad rozmową, która szła jednocześnie w kilku kierunkach. Napisał kartkę do Ernesto Madsena, który przez specjalną szybę śledził rozmowę w pomieszczeniu obok. Uniósł kartkę, dając psychologowi znak. Następnie przesunął na bok zdjęcia Agnete Bahn i Rikke Barbary Hvidt i położył przed mężczyzną zdjęcie Maryann Nygaard.

– To jest Maryann Nygaard, została zamordowana w 1983 roku.

– Znam ją. To jest ona, Maryann.

– Zabił ją pan?

– Wychodzi na to, że tak.

– Tak czy nie?

– Tak, jestem tego pewien. A kto inny mógłby to zrobić?

– Gdzie pan ją poznał?

– Na Grenlandii.

– Gdzie zobaczył ją pan po raz pierwszy?

– Nie pamiętam.

– Dość tych ucieczek. Proszę powiedzieć, gdzie pan ją poznał.

– Zajmowała się moją babcią w domu opieki. Maryann była pielęgniarką, ale potem wyjechała na Grenlandię. Do amerykańskiej bazy w Søndre Strømfjord. Nie ma jej już, została zlikwidowana.

– Ale pan pojechał za nią?

– Aż na Grenlandię, tak.

– Zrobił pan tam licencję pilota.

– Pilota śmigłowca, tak. Amerykanie byli bardzo pomocni.

Konrad Simonsen uderzył ręką w stół i powiedział powoli:

– Trzynastego września 1983 roku poleciał pan z Maryann Nygaard do stacji radarowej na lądolodzie. DYE-5, tak nazywała się ta jednostka. Tam napadł pan na nią, zakneblował, związał i ukrył w śmigłowcu, żeby nikt jej nie znalazł. W drodze powrotnej wylądował pan na pustkowiu, zabił ją i pochował w lodzie. Tak było?

– Pewnie tak.

– Byłem na Grenlandii, żeby zobaczyć miejsce, gdzie pan ją zabił.

– Fantastyczny kraj, prawda?

– Na pewno, ale jedno nadal mnie zastanawia. Jak pan zrobił tę dziurę w lodzie? Lód jest twardy.

– Użyłem wiertarki. Wtedy nie ma problemu.

– Miał ją pan ze sobą w śmigłowcu?
– Inaczej nie dałbym rady. Taki lód jest twardy jak kamień.
– Miał pan na sobie maskę, wtedy na tym lodzie?
– Tak, chciałem ją przestraszyć.
– Widziała, co pan robi?
– Tak, i bała się, okropnie się bała. To było świetne. Tak właśnie lubię.
– Co pan jej zrobił, zanim naciągnął jej pan torbę na głowę?
– Obciąłem jej paznokcie.
– I jeszcze coś.
– Powiedziałem: „On chce obciąć jej paznokcie”. Żeby wystraszyć ją jeszcze bardziej.

– On, czyli kto?
– Belfegor, demon z telewizji.
– Ale zrobił pan coś jeszcze. Proszę o tym opowiedzieć.
Andreas Falkenborg nie odpowiadał.
– Co pan jeszcze zrobił? Chcę to wiedzieć!!
– Nie rozmawiajmy o tym.
– Owszem, rozmawiajmy. Mów!
– Wołałbym nie. Nie chcę.

Konrad Simonsen otrzymał wiadomość od psychologa, krótką i zwięzłą: „Przyciśnij go w sprawie piersi i szminki. On nie gra, ale wie doskonale, czego nie powinien mówić. Pamiętaj, że Arne Pedersen znalazł w jego mieszkaniu popiersie Mozarta”.

Andreas Falkenborg patrzył na inspektora i nagle się zaniepokoił:

– Co to za karteczki? Nie podobają mi się, sprawiają, że czuję się niepewny.
– Więcej już ich nie będzie. Spójrz, odsuniemy teraz zdjęcie Maryann Nygaard na bok, żeby sobie tam spokojnie leżało, bo mam tu inne zdjęcie. Wiesz, kto to jest?

– Catherine, rozmawialiśmy już o niej. To najprawdopodobniej ta, która się modliła.

Konrad Simonsen zdawał się go nie słuchać, mówił dalej:

– Zastanawiam się, na co patrzysz, kiedy one umierają. Na ich na wpół obnażone piersi, a może na ich usta, zasysające folię? Skąd wzięłeś torbę, którą udusiłeś Catherine Thomsen? Tylko nie kłam!

Konrad Simonsen wyraźnie chciał zastraszyć mężczyznę, tym razem jednak mu się to nie udało, bo ten odpowiedział spokojnie:

– Wyjąłem ją z plecaka.
– Ale gdzie ją znalazłeś?
– Nie wiem. To była po prostu foliowa torba. Nie wiem, co mogę więcej powiedzieć?

– Jej ojciec miał firmę przeprowadzkową, kiedyś go zatrudniłeś. Potem okazało się, że wszystko zaaranżowałeś, właśnie ze względu na niego.

– Nie pamiętam tego, to było dawno.

– Wykradłeś torbę foliową z jego garażu i owinąłeś nią popiersie Mozarta.

Dlaczego?

– Skąd pan to wie? Nie może pan tego wiedzieć.

– Wiemy o tobie wiele rzeczy.

– Tak, jest pan bardzo sprytny. Bardzo trzeźwo pan myśli.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie pamiętam. Może byłem na niego zły?

– Co on ci zrobił?

– Są ludzie, którzy opowiadają swoim córkom straszne rzeczy o innych.

– On opowiadał takie rzeczy?

– Mógł. Niektórzy się boją, kiedy ktoś przychodzi po raz drugi.

– Co konkretnie powiedział?

– Nie pamiętam.

– Trzęsiesz się, kłamiesz. Za każdym razem, kiedy rozmawiamy o czymś, o czym tylko ty wiesz, próbujesz się wykręcać.

– To prawda. Nie lubię słuchać, kiedy mówi pan takie rzeczy.

– Przesuniemy Catherine Thomsen do Maryann Nygaard i Belfegora, bo chciałbym, żebyś teraz spojrział na tę kobietę. Ją też znasz, prawda?

– Nie sądzę.

– Mieszkała niespełna pięć kilometrów od twojego domku letniego w Præstø.

– Więc pewnie musiałem ją znać.

– Mam dosyć twojego „pewnie”, „może”, „chyba”.

– No więc znałem ją, to jest Annie.

– Annie Lindberg Hansson?

– No właśnie.

– Jak myślisz, gdzie mam położyć jej zdjęcie? Przy żywych czy przy umarłych?

– Przy umarłych, Annie nie żyje.

– Zabiłeś ją, tak jak zabiłeś te inne kobiety?

– Pewnie nie, skoro jej ciała dotąd nie znaleziono.

– Wyglądała dokładnie tak jak tamte dziewczyny.

– Więc pewnie to zrobiłem. Pewnie tak.

– Gdzie ją pochowałeś?

– Nie pochowałem jej.

Konrad Simonsen uderzył ręką w stół i podniósł głos.

– Zacznij w końcu gadać. Gdzie pochowałeś Annie Lindberg Hansson?

Andreas Falkenberg cofnął się przestraszony i poprosił niepewnie:

- Mógłby pan na mnie nie krzyczeć?
- Gdzie pochowałeś Annie Lindberg Hansson?
- Nie pochowałem jej, ale nie chcę o tym mówić. Nie widzi pan, że drzę?
- Będziesz musiał, czy tego chcesz, czy nie. Liz. Czy zginęła w ten sam sposób?

– Chyba tak, dlatego właśnie kupiłem to odludne gospodarstwo. Żeby być bliżej niej. To był 1992 rok, kiedy Dania wygrała Mistrzostwa Europy w piłce nożnej, ale to było w Szwecji.

- Jak Liz miała na nazwisko?
- Liz Suenson.
- Gdzie spotkałeś ją po raz pierwszy?
- W windzie. Zatrzymała się między piętrami, byliśmy w niej ona, ja i jakiś starszy mężczyzna. Nie mogłem wyjść, nikt z nas nie mógł wyjść. To było na Vesterbrogade, naprzeciwko tych małych domków, zbudowanych przed Muzeum Miejskim. Tak ono się chyba nazywa. Szedłem do dentysty.

- Gdzie ją zabiłeś?
- W lesie, gdzieś w lesie, w Szwecji jest dużo lasów.
- Jak ten las się nazywał?
- Nie wiem, nie sądzę, żeby miał jakąś nazwę.
- Gdzie on leży?
- W Szwecji, nie wiem gdzie dokładnie.

Konrad Simonsen pochylił się nad stołem i niemal wysyczał:

– Rzucają się, kiedy zaczyna im brakować powietrza? Jak Agnete Bahn, kiedy ujeżdżała twojego ojca?

- Nie wolno panu tak mówić.
- Co się stało, kiedy zajrzałeś przez to okno? Kiedy twój ojciec bił twoją matkę, na co wtedy patrzyłeś?

– Na jej piersi, patrzyłem na piersi Agnete pod koszulą. Były nagie, było je widać w wycięciu koszuli.

- To ma dla ciebie jakieś znaczenie?
- Kiedy umierają, chcę widzieć ich piersi.
- Agnete Bahn pocałowała cię przez szybę. Drwiła sobie z ciebie, kiedy twoja matka krzyczała.

– To nie jest przyjemne.

– Co robisz z ich ustami? Powiedz mi.

– Nie całuję ich.

– Ale coś robisz. Coś, o czym wiemy tylko my dwaj. Co?

– Nie chcę więcej z tobą rozmawiać. To jest nieprzyjemne.

– Powiedz, co z nimi robisz.

– Ale nie wolno ci nikomu tego zdradzić.
– Nikomu nic nie powiem. Co z nimi robisz?
– Czy wtedy trafię do dobrego więzienia?
– Tak, mów.
– Chcę trafić do porządnego więzienia, nie zasłużyłem sobie na takie gorsze, nie zniósłbym tego.

W tym momencie do pokoju weszła kobieta, przerywając rozmowę:

– Najpierw zobaczymy, czy pan w ogóle trafi do więzienia. O tym nie decyduje pan inspektor. Witaj, Simon, chciałam chwilę porozmawiać z moim klientem sam na sam. To przesłuchanie trwa już wystarczająco długo, nie sądzisz?

Konrad Simonsen, aczkolwiek niechętnie, zgodził się z nią.

– To prawda. Ale chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie, mogę?

Kobieta skinęła głową i dodała:

– Jedno i krótkie.

Konrad Simonsen zwrócił się do Andreasa Falkenborga:

– Było ich więcej?

– Nie, przysięgam, tylko trzy.

– Trzy, mówisz. A co z Liz Suenson? Wymyśliłeś ją?

– Nie, ale ona nie była Dunką. Ją też mam liczyć?

Wyraz twarzy Andreasa Falkenborga zdawał się świadczyć o tym, że mówi to szczerze.

Rozdział 33

Po przesłuchaniu nastrój w wydziale zabójstw był względnie optymistyczny, co jednak szybko miało się zmienić. Wkrótce bowiem na kopenhaską Komendę Główną, a w szczególności na sekcję, na której czele stał Konrad Simonsen, spadł grad nieszczęść. Jedna zła wiadomość goniła drugą.

Konrad Simonsen i Arne Pedersen przy pomocy Ernesto Madsena analizowali nagranie z przesłuchania Andreasa Falkenborga. Psycholog jednak nie podzielał zadowolenia funkcjonariuszy z jego wyników.

– To nie będzie łatwa sprawa. On sprytnie wykorzystuje swoje „dziecinne” zachowania i pozorną szczerłość. Wie, kiedy może sobie na to pozwolić, kiedy może się za nie schronić. Jestem przekonany, że właśnie w ten sposób radzi sobie, napotykać problemy. To głęboko zakorzenione przyzwyczajenia, które uruchamiają się niemal automatycznie, szczególnie w sytuacji stresu. Zapewne zauważyłeś, jak zręcznie, koncertowo wręcz, unikał powiedzenia czegoś, z czego później nie mógłby się wycofać.

Ostatnie zdanie skierowane było do Konrada Simonsena, który doskonale zdawał sobie z tego sprawę, chociaż nie podobało mu się określenie „koncertowo”, a poza tym uważał, że są też pewne jaśniejsze punkty.

– To tylko początek, jeszcze nieraz będzie przesłuchiwany. Poza tym uważam, że powiedział kilka rzeczy, które zdecydowanie go obciążają. Parę razy przyznał się do winy.

– Prawie się przyznał, ale nigdy do końca i zawsze jakby nieco się kajając. Wiarygodność tych zeznań zależeć będzie od tego, kto będzie je oceniać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Podczas przesłuchania wchodzisz w rolę jego surowego ojca, on chce ci dogodzić. Gdybym został wezwany przez obronę, miałbym kilka bardzo ciekawych spostrzeżeń.

– Mówisz, jakbyś wierzył, że mówi prawdę.

– Bo mam wrażenie, że tak rzeczywiście było. On nie odgrywa przedstawienia, jest infantylny, ale niegłupi. Bardzo uważał, żeby nie zdradzić się z rzeczami, o których wie jedynie on i być może jeszcze wiesz ty. Na pozostałe informacje reaguje różnie, w zależności od nastroju. To bardzo skuteczna strategia, która dodatkowo daje mu ten komfort podczas przesłuchania, że musi jedynie uważać, żeby nie zdradzić się na temat szminki i tego, gdzie pochował Annie Lindberg Hansson.

Konradowi Simonsenowi opadła szczeka. Arne Pedersen spytał:

– Uważasz, że on wycofa swoje zeznania?

– Jestem przekonany, że to rozważa, a jeśli nie, to jego obrońca na pewno poinformuje go o takiej możliwości, kiedy tylko zapozna się z nagraniem z przesłu-

chania. Ale to wiecie lepiej ode mnie.

Arne Pedersen zwrócił się do Konrada Simonsena:

– Nie znam tej kobiety, jest dobra?

– Zdecydowanie tak, ale jest też bardzo rzetelna. Wiecie może, skąd ona się tam wzięła? Zjawiła się dość nagle. Nie mógł jej wezwać, bo wiedzielibyśmy o tym.

Arne Pedersen potwierdził.

– Na pewno nie, nie używał swojej komórki.

Konrad Simonsen nadal był zdziwiony.

– Chyba więc powiadomili ją dziennikarze. Chociaż takich rzeczy na ogół nie robią. Poza tym jest jeszcze coś, czego nie rozumiem. Być może jego zabiegi są bardziej skuteczne, niż w pierwszym momencie sądziłem, ale z drugiej strony mógłby przecież w ogóle z nami nie rozmawiać, to byłoby chyba rozsądniejsze. Bo teraz mamy na taśmie jego zeznania, a one bynajmniej nie stawiają go w pozytywnym świetle.

Ernesto Madsen zaczął tłumaczyć:

– On tak nie myśli. W jego świecie toczy się walka między policją a nim. Z pewnością jest przekonany, że skoro nie powiedział niczego, czego później nie mógłby odwołać, to wyszedł z niej zwycięsko. Pamiętajcie też, że był przestraszony. I naprawdę bardzo się starał, żeby cię nie zirytować.

– A ta nowa dziewczyna, która nagle pojawiła się w jego opowieści? Liz Sunden. Kłamał czy mówił prawdę?

Tutaj Arne Pedersen nie miał żadnych wątpliwości:

– Kłamał. Nikt jej nie zna, nikt o takim imieniu i nazwisku nie został zgłoszony jako zaginiony. Szwedzi pomagali nam od samego początku, kiedy tylko zaczęliśmy sprawdzać informacje o kobietach, które mogły paść jego ofiarą. Ale przyznaję, że z jego strony było to bardzo sprytnie posunięcie. W pewnym momencie pozwoliło mu przejąć kontrolę nad rozmową.

Ernesto Madsen nie wydawał się równie pewny:

– Poszukajcie głębiej. On mówił prawdę.

Konrad Simonsen zastanawiał się chwilę nad tak różnymi, wręcz sprzecznymi opiniami.

– Dokładnie przeanalizujemy jego wypowiedzi, a potem wrócimy do tej kwestii. Nie musimy się spieszyć, bo jeśli czegoś jestem pewien, to tego, że prędko stąd nie wyjdzie.

*

Konrad Simonsen żył tym złudzeniem jeszcze przez godzinę. Telefon od szefowej, nakazujący mu natychmiast się u niej stawić, nie pozostawiał wątpliwości, że sprawa jest poważna. Odczytywał to też z wyrazu jej twarzy, kiedy wszedł do

gabinetu. Jego przełożona była kobietą wysoką i wyniosłą, ale chłód, który od niej bił, wynikał z jej nieśmiałości, a nie, jak sądzili niektórzy, z arogancji. Wszyscy natomiast byli zgodni co do tego, że była ambitna i starała się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki. Czy jej się to udawało, to już inna sprawa. Zdania były podzielone. Na pewno jej siłą było to, że zwykle słuchała swoich podwładnych i często stosowała się do ich rad, co było ważne także dlatego, że jej wiedza o codziennej pracy policji była znikoma. Podobnie jak wycucie stylu. Ubierała się beznadziejnie, nie potrafiła dobrać kolorów, często wkładała na siebie rzeczy, które były na nią o kilka numerów za małe, co sprawiało, że niekiedy wyglądała jak mała dziewczynka. Kiedyś przyszła na służbową imprezę w stroju odkrywającym dobre cztery centymetry gołego brzucha. Było to już kilka lat temu, ale dotąd z lubością opowiadano sobie tę historię, szczególnie kobiety dawały upust drobnym złościwościom, przewracając oczami.

Gdy Konrad Simonsen przekroczył próg jej gabinetu, powitała go chłodno:

– Siadaj, Simon, i słuchaj. Nie wygląda to dobrze.

Natychmiast pożałowała ostrych słów i zamiast od razu przejść do rzeczy, postanowiła załagodzić sytuację i zaczęła zapewniać Konrada Simonsena, że bardzo ceni jego, jego pracę i cały wydział. Simon przyglądał się wiszącemu na ścianie za nią, oprawionemu w ramkę zdjęciu królowej Małgorzaty. Jej Wysokość była w pełnej gali – elegancka suknia, wysoko upięte włosy, biżuteria z brylantami. Plotka głosiła, że jeśli szefowa miała dyżur w Wigilię, to zawieszała na zdjęciu krasnoludka, jednak on osobiście nigdy nie był świadkiem tak frywolnego zachowania. Kiedy kobieta w końcu zamilkła, zaczął się bronić przed kolejną falą uprzejmości:

– Jestem zajęty. O co chodzi?

Szefowa westchnęła nieco teatralnie, po czym kliknęła na jedną z ikonek na ekranie komputera i po chwili w pokoju dały się słyszeć głosy Poula Troulsena i Andreasa Falkenborga.

– *Dwóch więzień powinieneś unikać jak ognia. Wśród osadzonych panuje wyraźna hierarchia, a ty trafisz na sam dół, po pierwsze dlatego, że cuchniesz, a po drugie dlatego, że zabiłeś dwie kobiety. Ani jedno, ani drugie nie jest w tym przypadku zaletą, poza tym...*

– *Spróbuję się nie pocić.*

– Co to za nagranie?

Szefowa wcisnęła „pauzę” i zaczęła mu wyjaśniać.

– Z samochodu, którym Poul Troulsen przewoził zatrzymanego Andreasa Falkenborga z jego mieszkania na komendę.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem. Miałam nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.
– Skąd wiadomo, że to nagranie z samochodu?
– To słyhać, za chwilę sam się przekonasz. Poza tym film krąży już w sieci pod tytułem „Przejażdżka z policją”.
– Krąży? Gdzie?
– Na YouTube, na portalach internetowych. Ale to dopiero początek, przewinę dalej, czy jak to się mówi, i sam posłuchasz.
– *Powiedz, czy kiedykolwiek naprawdę oberwałeś? Tak porządnie, laską albo kijem?*

– *Nie, nigdy.*

– *I nigdy też nie widziałeś, jak ktoś kogoś bije? A ten ktoś krzyczy i błaga o litość?*

– *Tego doświadczyłem.*

– *Świetnie, to wiesz, jak to boli. Są więzienia, w których dzieją się jeszcze gorsze rzeczy. Tam tłuką ludzi codziennie. Możesz oberwać, bo na przykład komuś się nie spodobaś. Trzech będzie cię trzymać, a jeden będzie bił, zwykle tak to się odbywa. Takie zakrwawione plecy to nie jest przyjemny widok.*

Szefowa zatrzymała nagranie i powróciła do konwersacji z Konradem Simonsenem.

– Dalej Poul Troulsen straszy aresztanta kimś, kogo nazywa szefem. Myślisz, że chodzi mu o ciebie?

– Zapewne tak.

– Nie pozostawia mu żadnych złudzeń. Jeśli biedak się nie przyzna, wsadzisz go za kratki i pošlesz tam, gdzie dadzą mu wycisk. I co ty na to?

– Paskudna sprawa.

– Co do tego jesteśmy zgodni.

– Niestety, osłabia to naszą pozycję w stosunku do Andreasa Falkenborga.

– Też tak sędę, chociaż to akurat na szczęście nie jest mój ból głowy. Mój problem polega na tym, że już widzę tytuły w telewizji i nagłówki w prasie, nie tylko tej bulwarowej, ale i w poważnych, opiniotwórczych dziennikach. Jestem przekonana, że w internecie za chwilę będzie można zapoznać się z całą rozmową.

– Cholerna sieć.

– Masz rację, Simon, najlepiej zrzucić winę na sieć. Jeśli tak ci przeszkadza, jutro ją zlikwiduję.

Konrad Simonsen nie odpowiedział, kobieta szybko odzyskała swój kontro-

lowany chłód.

– Nie pierwszy raz się zdarza, że Poul Troulsen traci nad sobą kontrolę. Prawdę mówiąc, zdarza mu się to dość często. Było co najmniej dziesięć takich incydentów, ale teraz miarka się przebrała. Rozmowa w wozie z Andreasem Falkenborgiem przechodzi wszystko. Poul grozi mu wyciskiem, jeśli ten się nie przyzna.

– Kilka miesięcy temu byłem w podobnej sytuacji i obawiam się, że potraktowałem delikwenta znacznie gorzej.

– Możliwe, ale nie zostało to nagrane, a poza tym tu nie chodzi o złe traktowanie, tylko o bezpośrednią groźbę wobec aresztowanego w celu wymuszenia na nim przyznania się do winy. Wiem, że Troulsen za pięć miesięcy przechodzi na emeryturę, ale musisz go zawiesić. Nie widzę innej możliwości.

– Rozumiem.

Szefowa położyła przed nim notatkę.

– Przeczytaj zapis rozmowy, jest naprawdę nieprzyzwoita. Ten biedny człowiek nie miał szans.

– Właśnie o to chodzi. Żeby nie dać mu szans. Na tym niekiedy polega nasza praca, czy społeczeństwu się to podoba, czy nie. To ja prosiłem Troulsena, żeby go nieco przycisnął. No i nie zapominaj, że ten „biedny człowiek” zabił co najmniej dwie kobiety, a niewykluczone, że nawet cztery.

– Ty tak twierdzisz.

– Tak i zapewniam cię, że to zrobił.

– Nie zawieszisz Troulsena?

– Nie.

– Więc ja to zrobię.

– Nie mogę ci tego zabronić.

Nagle wkradło się między nich milczenie. Żadne nie miało ochoty dalej rozmawiać. W końcu kobieta powiedziała to, co od jakiegoś czasu wisiało w powietrzu:

– Co zamierzasz zrobić?

– Dobrze wiesz.

Konrad Simonsen mówił spokojnym tonem, chciał uniknąć wybuchu, ale jego odpowiedź miała w sobie coś, co nie wróżyło dobrze i raczej wykluczało jakikolwiek kompromis.

– Obawiałam się, że tak odpowiesz. Dziękuję, że przynajmniej mi nie grozisz.

– Nie ma za co.

– Simon, oboje wiemy, że masz wpływowych przyjaciół, więc gdybyś mógł... – Nie bardzo wiedziała, jak sformułować swoją prośbę, szukała właściwych słów. – Czy mógłbyś na razie nie informować nikogo o naszej rozmowie? Chodzi o twoje aktualne zadanie... Przepraszam, gadam bzdury... Do licha, Si-

mon, czego ode mnie oczekujesz?

– Nie wiem.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu? Chciałabym to usłyszeć.

– Nie wiem.

– Nie jesteś szczególnie pomocny.

– Nie jestem tu szefem.

Kobieta pokręciła głową i westchnęła. Konrad Simonsen rozłożył ręce w przyjacielskim geście. To było jedyne wsparcie, jakie mógł jej dać. Lubił ją, ale miał za dużo własnych problemów zawodowych, żeby dodatkowo zajmować się cudzymi. Kobieta ponownie westchnęła i otarła czoło wierzchem dłoni, nieco przerysowanym gestem, który wywołał uśmiech na ustach Konrada Simonsena, co nie uszło jej uwadze.

– Śmiejesz się.

– Uśmiecham się.

– Chciałabym mieć twoje poczucie humoru, nawet jeśli uważam, że jest nieco dziwne. Tak czy inaczej potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Ostatnia rzecz, której mi teraz trzeba, to dobre rady Helmera Hammera czy Bertila Hampela-Kocha. Nie wspominając już o minister środowiska.

– Minister środowiska? Co ci przyszło do głowy? Mam wrażenie, że nieco przeszacowałaś grono moich fanów.

– To raczej ty go nie doszacowujesz.

– Nie kłóćmy się o to. Ale jeśli sądzisz, że mam w zwyczaju dzwonić i się uzalać, to kiepsko mnie znasz.

– Wiem, że to nie tak się odbywa. No, idź już, skoro i tak nie chcesz mi pomóc. Porozmawiamy później.

Konrad Simonsen wyszedł. Nie potrafił wykrzesać z siebie choć odrobiny współczucia dla szefowej.

Kiedy wrócił do siebie, znalazł na krześle przy biurku wypowiedzenie Poula Troulsena. Zastał go w jego pokoju, gdzie pakował swoje rzeczy do torby foliowej. Konrad Simonsen zabrał mu torbę, wyrzucił rzeczy na biurko, a torbę do kosza.

– Zapomnij o tym, Poul. Co ci przyszło do głowy?

– Nie chcę obciążać ani ciebie, ani wydziału.

Ton głosu mężczyzny był stanowczy, ale pobrzmiwała w nim gorycz.

– Zachowujesz się bez sensu. Zajmij się raczej zbadaniem sprawy Liz Suenson, zamiast wchodzić w moje kompetencje. Naprawdę mi nie ufasz?

– Oczywiście, że ci ufam, tylko nie chcę...

Simon przerwał mu brutalnie:

– Chcesz czy nie chcesz, zajmij się Liz Suenson! Mamy podwójnego mordercę, który zaraz wyślizgnie nam się z rąk, nie mam czasu na twoje wątpliwości. Bierz się do roboty. Ja jadę teraz do sądu, ale mam nadzieję, że kiedy wrócę, bę-

dziesz miał dla mnie jakieś informacje.

Konrad Simonsen wyszedł. Idąc, zmiął kartkę z wypowiedzeniem i wrzucił ją do kosza.

Rozdział 34

Po powrocie z sądu Konrad Simonsen skierował się do pokoju Arnego Pedersena, który siedział za biurkiem z miną zwiastującą kolejne złe wiadomości. On sam też nie przynosił niczego dobrego, tak więc obaj nie kwapili się specjalnie, żeby usłyszeć, co drugi ma do powiedzenia. W końcu Arne odezwał się pierwszy:

– Wyglądasz, jakby nie poszło ci najlepiej, ale przecież to chyba było do przewidzenia?

– To prawda, nie powinienem się dziwić. Coś jeszcze?

Arne Pedersen walczył z promieniem słońca, który odbijał się od szyby i go oślepiał. Zamiast nieco się przesunąć, przyłożył rękę do czoła, tak że Konrad Simonsen nie widział jego twarzy.

– Nie możesz usiąść gdzieś indziej? To irytujące z tą ręką.

Arne Pedersen posłuchał szefa.

– Ten upał jest nie do wytrzymania, ubranie lepi się do ciała, pocę się jak zwierzę.

Konrad Simonsen nie przejął się zbytnio jego narzekaniem, miał własne problemy.

– Skończyło się na tym, że sędzia odroczyła sprawę, żeby w spokoju porównać moje przesłuchanie z nagraniem rozmowy, którą Poul Troulsen przeprowadził z Andreasem Falkenborgiem w samochodzie. Nasłuchałem się oczywiście o tym, co jest zgodne z prawem, a co nie, no i czy aresztowany ma prawo nagrywać rozmowę w radiowozie. Najwyraźniej nie ma takiego precedensu, co podkreślali zarówno prokurator, jak i obrońca.

– A pani sędzia?

– Tym akurat wydawała się mało zainteresowana.

– Kiedy podejmie decyzję?

– Kiedy przeczyta wszystkie materiały, czyli nie wiadomo. Na miejscu było mnóstwo dziennikarzy, co, jak wiesz, nie ułatwia pracy. Sądzę, że zajmie jej to jakieś trzy tygodnie. Może dołoży tydzień, żeby dać wyraz swojemu niezadowoleniu, ale to tylko moje przypuszczenia.

– Zobaczmy. Zachodzę w głowę, jak facet to zrobił. Jak mu się to udało?

– To dosyć proste, chociaż wykonanie wymaga eksperta. Użył komórki, najpierw grzecznie spytawszy Poula, czy może ją ze sobą wziąć, oczywiście wyłączoną. Poul się zgodził. Tyle że komórka nie była wyłączona, chociaż wyglądała, jakby była. Tak naprawdę była podłączona do jednego z jego komputerów, który też wyglądał, jakby był wyłączony, a nie był. W ten sposób nagrał rozmowę i automatycznie przekazał ją do różnych portali w sieci, nie pytaj mnie, jak to się robi, ale jeden z informatyków, biorących udział w przeszukaniu jego mieszkania, twierdzi,

że to wcale nie jest trudne.

Nagle twarz Arnego rozpromieniła się w uśmiechu.

– Wiesz, co znaczy E, w E. Madsen?

– Nie i jest mi to obojętne.

– Ernesto. Ten biedak ma na imię Ernesto. Pauline mi powiedziała, tylko nie zdradź, że wiesz to ode mnie, bo obiecałem jej zatrzymać to dla siebie.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Ale wszystko jedno, chodzi o to, że Andreas Falkenborg jest sprytniejszy i bardziej przebiegły, niż nam się zdawało, albo jeśli wolisz: niż to wynikało z jego profilu. A teraz opowiedz mi o przeszukaniu, chociaż domyślałam się, że żadnych przełomowych dowodów nie znaleźliście?

– To prawda. Technicy jeszcze pracują, ale wątpię, żeby odkryli coś istotnego.

– W ogóle nic nie znaleźliście?

– Słyszałeś o popiersiu Mozarta, prawda? Przed przewodzką naciągnął na nie worek foliowy, żeby w ten sposób zapewnić sobie odciski palców Carla Henninga Thomsena. Potem użył worka do uduszenia córki faceta. Tak przynajmniej sądzimy.

– Poza popiersiem i odciskami palców cała reszta to spekulacje.

– Jest też jedna naprawdę zła wiadomość. Skontaktowaliśmy się z jego dostawcą internetu i okazało się, że zdażył pobrać artykuł, który „Dagbladet” miała w swoim wydaniu internetowym w poniedziałek. Chodzi o wywiad z Jeanette Hvidt. W komputerze Andreasa Falkenborga są ślady wskazujące na to, że oglądał jej zdjęcie.

– Niech to szlag. Coś jeszcze?

– Nic istotnego. Znaleźliśmy dwa klucze, nie wiemy do czego, jeden być może do skrytki bankowej, drugi wygląda dość dziwnie i ma jakiś numer. Poza tym w ubiegły piątek facet podjął znaczną sumę w gotówce, której nie znaleźliśmy. Chodzi o osiemdziesiąt tysięcy.

– Domyślałam się, że maski też nie znaleźliście?

– Nie, żadnej maski.

– W mieszkaniu były mikrofony?

– Owszem, prawdziwe cacka, takie maleńkie diabełki wielkości tabletki od bólu głowy, wyposażone w nadajnik i wszystko, co trzeba. Można je schować wszędzie, część jest sterowana głosem, są niezwykle czułe. Założę się, że właśnie takich używa, kiedy śledzi ludzi.

– I pewnie masz rację. A co z odbiornikiem, czy jak to się nazywa? Gdzieś musi przechowywać te nagrania.

– W swoim komputerze, czy raczej w jednym z sześciu swoich komputerów. Ale znaleźliśmy też instrukcję. Wynika z niej, że mikrofony są połączone z niewielkim boksem, z którego przekazywany jest sygnał do sieci komórkowej. Jest

wielkości mniej więcej pudełka od zapalek, więc nietrudno go ukryć. Cztery z jego komputerów są wyposażone w kod dostępu i właśnie z tym walczą teraz nasi technicy. Z jednym, tym, na którym oglądał zdjęcie Jeanette Hvidt, już sobie poradzili. Wiele wskazuje na to, że facet zna się nie tylko na mikrofonach, ale i na komputerach.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma pewności, czy poznamy zawartość dysków wszystkich jego komputerów?

– Nie, to tylko kwestia czasu, dwóch, może trzech dni. Po prostu stwierdziłem, że ma dużą wiedzę na ten temat. Przy okazji odkryliśmy, jak udało mu się włamać do klienta, który przez przypadek dał mu starą kartę wejściową. Pamiętasz tego mężczyznę?

– Tak. Jak sobie poradził?

– Wykorzystał dostęp do serwera firmy ochroniarskiej, z którą kiedyś współpracował jako konsultant, wtedy właśnie wykraść potrzebne mu dane. Coś z tym robimy?

– Poinformowaliśmy firmę?

– Tak, już zmienili system.

– Dobrze, wiele więcej nie możemy zrobić. Znaleźliście może jakiś magazyn? Na pewno ma gdzieś miejsce, w którym przechowuje towar. Sprzedaje wiele różnych urządzeń.

– Na pewno ma magazyn, tyle że jeszcze do niego nie dotarliśmy. Wiemy jedynie, że to nie musi być nic dużego, wystarczy zwykły garaż.

Konrad Simonsen nie wyglądał na zadowolonego.

– Słyszę, że przeszukanie niewiele nam dało. Masz jeszcze coś?

– Nie możemy znaleźć jego samochodu, to znaczy jednego z jego samochodów. Ma dwa: niebieskiego mercedesa E210 z 2001 roku i białego volkswagena multivana z 2004 roku, oba z białymi tablicami rejestracyjnymi. Drugi to furgonetka z przesuwanymi drzwiami i właśnie ten zniknął.

– Daj ogłoszenie, że go poszukujecie.

– Właśnie to zrobiłem.

– Coś jeszcze?

– Nic, ale jeszcze nie skończyliśmy. Mam tam wrócić?

– Nie, wolałbym, żebyś pomógł Poulowi z Liz Suenson.

– Szwedzka dziewczyna-duch, która pojawiła się jedynie w wyobraźni Andreeasa Falkenborga i Ernesto Che Madsena?

– Ta Szwedka może oznaczać przełom, którego nam tak bardzo potrzeba.

– Jeśli ona w ogóle istnieje, została pogrzebana gdzieś w lesie, a jak dobrze wiemy, lasów w Szwecji nie brakuje. Nie bardzo rozumiem, na czym ten przełom miałby polegać?

– To nie był wstęp do dyskusji i prosiłbym, żebyś nie robił sobie z tego żar-

tów.

– W porządku, zaraz znajdę Poula. A tak przy okazji to co z nim? Chodzi mi o to całe zamieszanie, prasę i w ogóle.

– Zajmuje się pracą.

– Nie udawaj, że cię to nic nie obchodzi, bo to nieprawda. Z pewnością broniłeś go przed naszą naczelną wiedźmą. Zauważyłeś, że po południu ma wydać oświadczenie dla prasy?

Konrad Simonsen wstał. Ku swojemu zdziwieniu nie czuł się zmęczony i nawet swędzenie nieco ustało, miał natomiast wielką ochotę zapalić papierosa.

– Nie, nie jest mi wszystko jedno, ale podwójne morderstwo ma u mnie większy priorytet niż sprawy, z którymi i tak nie jestem w stanie niczego zrobić. A poza tym to chyba oczywiste, że broniłem Poula, to cię dziwi? I nie, nie wiedziałem o żadnych oświadczeniach dla prasy i jeszcze, uprzedzając twoje następne pytanie, nie, nie wiem, co zamierza powiedzieć. A teraz wracam do siebie, żeby jeszcze raz posłuchać taśmy z przesłuchania Andreasa Falkenborga. A wy postarajcie się o jakieś wyniki, bardzo tego potrzebuję.

Nie minęło dziesięć minut, a Arne, ciągnąc za sobą Poula Troulsena, zajrzał do pokoju szefa. Simon zdjął słuchawki, dając mężczyznom znak ręką, żeby usiedli. Gest był właściwie zbędny, bo żaden z nich nie oczekiwał specjalnego pozwolenia.

– Szybko się sprawiliście. I jak? Szwedka istnieje czy nie?

Arne Pedersen spojrzał na Poula Troulsena, który jednak wyraźnie nie kwapił się z odpowiedzią, więc w końcu Arne wyjaśnił:

– Oficjalnie nadal nie mamy żadnego nazwiska, a już po raz trzeci wszystko sprawdzamy. Nawet Malte zaczyna mieć nas trochę dosyć.

– Ale?

– Ale przyjrzeliliśmy się klatkom domów na Vesterbrogade naprzeciwko Muzeum Miejskiego. W grę wchodzi dziewięć klatek, jedynie trzy z nich mają windy i tylko w jednej w 1992 roku miał swój gabinet dentysta. Dzisiaj przyjmuje w Ballerup, ale potwierdza, że kiedy miał tam gabinet, jednym z jego pacjentów był Andreas Falkenborg.

– Mam nadzieję, że nie jest to wszystko, co macie?

– Vesterbrogade numer 62, nic ci to nie mówi?

Konrad Simonsen uśmiechnął się szeroko, po raz pierwszy tego dnia.

– Nochal *alias* Doktor Kold?

– Zgadza się, mieszka na trzecim piętrze, ale to pewnie wiesz? – powiedział Poul.

– Owszem, wiem. Skontaktowaliście się z nim?

– Nie, pomyślałem, że może sam będziesz chciał to zrobić. Jest w tej chwili w domu.

– Zawsze jest w domu. I pewnie jest równie aktywny co zwykle?

– Jak najbardziej. Należy do osób, którym policja bardziej niż chętnie dobrałaby się do skóry, ale od jego ostatniego pobytu za kratkami minęło ponad piętnaście lat, co świadczy o tym, że chęci nie idą w parze z możliwościami, czyli materiałem dowodowym.

– Niestety. Macie jakieś konkretne informacje o Szwedce?

– Nie, możemy tylko zgadywać.

Konrad Simonsen zastanawiał się chwilę, chociaż właściwie już podjął decyzję.

– Dobrze, pojedę i porozmawiam z nim.

Arne Pedersen spojrział na niego zdziwiony.

– Oczywiście słyszałem o Doktorze, ale dlaczego nazywacie go Nochal?

Szef i Poul Troulsen roześmiali się. Konrad Simonsen zaczął mu tłumaczyć:

– Dawno temu tak go nazywaliśmy, chociaż teraz pewnie już nikt tego nie pamięta. To z powodu jego nosa, zresztą wyjątkowo dużego nosa, i dlatego że bardzo tego nie lubił, co, jeśli mam być szczery, przez wiele lat było jedyną szykaną, jaka go z naszej strony dotknęła. Chcecie jechać ze mną?

Obaj pokręcili głowami, a Poul Troulsen powiedział:

– Wołałbym wrócić do domu. Dziennikarze dzwonią bez przerwy, wypyują moją żonę. Powinienem być razem z rodziną.

Poul spojrział na zegarek. Było nieco za wcześnie, żeby kończyć pracę, nawet jeśli dzisiejszy dzień zaczął, kiedy większość kolegów jeszcze spała. Konrad Simonsen wyczuł jego wahanie.

– Dziennikarze potrafią człowiekowi nieźle dokuczyć. Jedź do domu, tylko obiecaj, że jutro bez względu na wszystko stawisz się tutaj.

– Obiecuję, o ile do tego czasu nie zostaną zwolniony.

– Nie zostaniesz, a dziennikarzom w końcu się znudzi, to normalne. W razie czego kieruj ich do mnie.

– Nie, daj spokój...

– Nie marudź i pozdrów żonę.

Rozdział 35

Mężczyzna, który otworzył drzwi Konradowi Simonsenowi, był elegancko ubrany, uprzejmy i miał przebiegłe, zimne spojrzenie. Nazywał się Marcus Kolding i z wykształcenia był lekarzem. Inspektor poczuł na sobie jego chłodne spojrzenie i z pewnym żalem pomyślał, że określenie Doktor Kold pasuje do niego bardziej niż ksywka Nochal. Niestety.

Jeśli mężczyzna był zdziwiony, to nie dał tego po sobie poznać.

– Szef wydziału zabójstw we własnej osobie, no proszę. Czym sobie zasłużyłem na to wyróżnienie?

Konrad Simonsen nawet nie próbował się tłumaczyć, od razu przeszedł do rzeczy.

– Potrzebuję pomocy.

– Mów, nie zamierzam zapraszać cię do środka. Nie traktuj tego osobiście, po prostu takie mam zasady.

– W porządku. Liz Suenson, mówi ci to coś?

Mężczyzna zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Być może. Bo co?

Konrad Simonsen pokazał mu dwa zdjęcia.

– Była podobna do którejś z nich?

Mężczyzna znów się zastanowił, tym razem jednak krócej.

– Być może. Bo co?

Konrad Simonsen pokazał mu jeszcze jedno zdjęcie.

– Bo niewykluczone, że tak skończyła, a ty masz wnuczkę w jej wieku. Dlatego.

– Co chcesz wiedzieć?

– Liz Suenson to jej prawdziwe imię i nazwisko?

– Nie.

– Więc jak się nazywała i co dla ciebie robiła?

Mężczyzna znów się zamyślił. Patrzył na Simona podejrzliwie, ale w końcu się odezwał:

– Była Finką. Podróżowała między Danią a Szwecją, nie była kimś szczególnie ważnym.

– Kurierka?

Mężczyzna przytaknął.

– Co u ciebie robiła?

Odpowiedź padła niemal natychmiast:

– Była ładna.

– Na pewno. Jak się nazywała?

– Nie pamiętam. Finowie nie mają ani imion, ani nazwisk, tylko szereg przypadkowo ze sobą połączonych liter. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli to ważne.

– Owszem ważne. Co się z nią stało?

– Nagle zniknęła. W 1992, może w 1993 roku. Ponieważ nie wzięła ze sobą niczego, co nie należało do niej, uznaliśmy, że po prostu wróciła do Finlandii.

– Nie szukałeś jej?

– Niespecjalnie. Nie należała do grona zaufanych ludzi, że tak to określe.

– Mówiłeś, że podróżowała. Jak? Samochodem, pociągiem, autobusem, samolotem?

– Pociągiem, podam ci nazwę miasta. To było tak dawno temu, że nie ma to dla mnie już żadnego znaczenia. Ale też to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

– Co to za miasto?

– Hässleholm.

– Gdzie mieszkała, kiedy przebywała w Danii?

– Nie mam pojęcia. U znajomych. Może w którymś z moich hoteli. Dowiem się.

Konrad Simonsen dał mu swoją wizytówkę.

– Dobrze, zadzwoń i podaj nazwisko albo cokolwiek, czego się dowiesz. Sprawa jest pilna.

– Daj mi pół godziny. Napadł ją ten psychopata, którego zatrzymaliście, tak?

– Tego jeszcze nie wiem.

Mężczyzna zaczął masować nos szybkimi, okrężnymi ruchami, które Konrad Simonsen dobrze znał. W końcu powiedział:

– Nie podoba mi się, że skrzywdził kogoś z moich, naprawdę mi się to nie podoba. Zasłużył sobie, żeby ktoś potraktował go tak samo.

– Zasłużył sobie na więzienie. Ty zresztą też.

– Mam nadzieję, że w jego sprawie będziecie bardziej skuteczni niż w mojej. Jeszcze coś?

– Nie, dzięki za pomoc.

Mężczyzna zamknął drzwi, nie odpowiadając.

Rozdział 36

Tej środy nieszczęścia wręcz ustawiały się w kolejce. O najnowszych Arne Pedersen i Pauline Berg poinformowali Simona zaraz po jego powrocie na komendę. Lista nie była długa, ale nieprzyjemna.

– Dzwonił ten król gangsterów, od którego wracasz. Ponieważ cię nie było, przełączyli go do mnie. Liz Suenson nazywała się naprawdę Elizabeth Juutilainen, mamy jej zdjęcie z 1988 roku, kiedy siedziała w więzieniu w Tampere za przemyt narkotyków. W 1992 roku, kiedy zniknęła, miała dwadzieścia pięć lat. Finowie obiecali nam dostać więcej informacji. Niestety, kobieta wygląda na osobę w ulubionym typie Andreasa Falkenborga. Jest więc wielce prawdopodobne, że mamy jego kolejną ofiarę.

– Właściwie spodziewałem się tego, masz jeszcze coś?

– Wiadomość od Anny Mii, twojej córki...

– Która brzmi?

– Możesz skontaktować się z nią dopiero jutro. Brak zasięgu i zakłócenia atmosferyczne.

Ta informacja zasmuciła go bardziej, niż chciał się przyznać. Cieszył się na rozmowę z córką, miłą przerwę w tym wyjątkowo paskudnym dniu. Nieco nieudolnie próbował ukryć rozczarowanie.

– Zadzwoń, żeby powiedzieć, że nie może zadzwonić? To się kupy nie trzyma.

Pauline Berg zaczęła głośno myśleć:

– Może właśnie wpływali w obszar, gdzie występują zakłócenia? Nigdy nie byłam na Karaibach, więc skąd mogę wiedzieć?

Do rozmowy wtrącił się Arne Pedersen:

– Nie strzelaj do posłańca, Simon.

– Tak, zresztą nieważne. Coś jeszcze mówiła?

Pauline Berg zerknęła szybko na Arnego, który stojąc za plecami szefa, dał jej znak, że przekazując mu wiadomość, może się wykazać pewną kreatywnością. Co też zrobiła:

– Powiedziała, że jest jej dobrze, że tęskni za tobą i cieszy się, że niedługo wraca do domu. I mam cię pozdrowić.

Konrad Simonsen chłonął każde słowo i po chwili Pauline mogła znów skupić się na liście.

– Mam tu jeszcze jeden punkt, może przejmiesz, Arne...

Arne spełnił jej prośbę.

– Zostałeś oficjalnie zganiony przez naszą szefową. Zwołała konferencję prasową, na której zdystansowała się wobec metod pracy naszego wydziału i in-

strukcji, których udzieliłeś Poulowi.

Konrad Simonsen rozpromienił się, całkowicie zaskakując tym swoich podwładnych.

– No proszę, powiedziała coś jeszcze? Co z Poulem?

– Nic. Kilka razy podkreśliła, że ty jeden jesteś za wszystko odpowiedzialny. Podobno byłeś nadgorliwy, tak to określiła. Oczywiście ona też, jako twoja bezpośrednia przełożona, odpowiada za zaistniałą sytuację. Podobno ma cię wezwać na poważną rozmowę, kiedy tylko dochodzenie zostanie zakończone, a na razie nie chce komentować sprawy. Dodała jednak, że jeśli ktoś jest zainteresowany bliższymi informacjami, to może przyjść na twoją konferencję prasową o godzinie piątej.

– To wszystko? A pytania dziennikarzy?

– Nie było żadnych pytań. Natychmiast po odczytaniu oświadczenia wyszła, wyniosła jak Królowa Śniegu. Osobiście uważam, że jest wobec ciebie bardzo niesprawiedliwa.

– Świat jest niesprawiedliwy.

Arne Pedersen po raz kolejny spojrzał zdziwiony na szefa.

– Nie wiedziałem, że urządzasz konferencję prasową. Królowa Śniegu ci ka-
zała?

– Nie mów tak o niej. Ona o tobie zawsze wyraża się z szacunkiem. A jeśli chodzi o konferencję prasową, to postanowiłem ją zwołać dzisiaj przed południem. To nie jest związane z Poulem, chociaż ta sprawa niewątpliwie też wypłynie. Chciałbym, żebyście oboje byli na miejscu, o ile oczywiście macie czas. Fotografowie będą mieli komu pstrykać fotki, a ja będę miał do kogo odsyłać wszystkie niewygodne pytania.

Oboje się zgodzili, autentycznie zdziwieni. Po takim potraktowaniu szef powinien być nie w humorze, a on sprawiał wrażenie wręcz zadowolonego. Dawno nie był taki radosny.

– To wszystko?

Arne Pedersen przekazał kolejną informację:

– Mam numery części banknotów, które Andreas Falkenberg pobrał z banku, chociaż to w tej chwili pewnie bez znaczenia.

Konrad Simonsen zdawał się z tym zgadzać.

– Coś jeszcze?

Pauline i Arne pokręcili głowami. Żadne z nich nie miało już nic do dodania. W przeciwieństwie do Borupa, wbiegającego właśnie do gabinetu szefa z najnowszą wiadomością, która była niczym gwóźdź do trumny wydziału zabójstw. Zdyszany spytał:

– Słyszeliście, ile dostał? Andreas Falkenberg, oczywiście.

Wszyscy pokręcili głowami.

– Wszystko jest już w sieci. Cztery dni.

Arne Pedersen natychmiast go skorygował:

– Chciałeś powiedzieć: cztery tygodnie.

– Nie, dni. Cztery dni aresztu. Do niedzieli rano. To pewne. Sędzia nie wystawiła nowego nakazu, po prostu przedłużyła mu areszt, chociaż przyznaję, że nie mam pojęcia, na czym polega różnica.

Siedzieli nieruchomi jak posągi, pogrążeni w milczeniu, i spoglądali na siebie z niedowierzaniem. Malte Borup schylił głowę, z rozczochranymi włosami i smutnymi oczami wyglądał jak zbity pies. Spodziewał się, że zostanie pochwalony za szybkie przekazanie wiadomości. Konrad Simonsen pierwszy doszedł do siebie.

– Różnica polega na tym, że nie będziemy mieli weekendu. Między innymi na tym.

Rozdział 37

Przesłuchanie Bertila Hampela-Kocha okazało się jednym z najbardziej zaskakujących doświadczeń w karierze Hrabianki.

Rozmowa została zaaranżowana w pośpiechu na lotnisku Kastrup. Dyrektor zdołał wygospodarować wolną godzinę przed odlotem do Brukseli. Hrabianka wolałaby poczekać z przesłuchaniem do poniedziałku, ale to okazało się niemożliwe. Spotkanie było pierwszą częścią dokładnie przemyślanego planu Helmera Hammera, mającego na celu odwrócenie uwagi duńskiej prasy od Bertila Hampela-Kocha i jego wizyty na Grenlandii w 1983 roku. Co prawda jedynie niewielkiej części duńskiej prasy, bo do tej pory tylko dwóch dziennikarzy wykazało zainteresowanie sprawą, ale dla ministerstwa było to najwyraźniej wystarczające. Druga część dwuczłonowej rakiety miała zgodnie z planem zostać odpalona podczas konferencji prasowej Konrada Simonsena o godzinie siedemnastej.

Jadąc samochodem autostradą Øresundmotorvejen, Hrabianka pomyślała, że nie pamięta, by jej szef kiedykolwiek dobrowolnie, sam z siebie, zwołał konferencję prasową, o ile oczywiście można to było nazwać działaniem dobrowolnym. Zastanawiała się też, o co właściwie ma pytać swojego rozmówcę, chyba że miała to być rozmowa *pro forma*, w takim przypadku musiałaby potem zmyślać dziennikarzom, a tego też nie chciała. Zbyt szczerość też jednak nie była pożądana, mogłaby być krępująca dla obu stron. Prawdę mówiąc, liczyła na półgodzinne przedstawienie, za zgodą obu stron oczywiście. Zjechała z autostrady i powoli ruszyła w kierunku parking, zastanawiając się, czy rzeczywiście będzie tak, jak obiecała jej sekretarka dyrektora. Zgodnie z jej zapewnieniem, wystarczy, że Hrabianka wjedzie na parking i natychmiast ktoś się z nią skontaktuje. Teren lotniska należał do najbardziej strzeżonych w kraju, zapewne więc ukryte oczy bacznie śledziły każdy jej ruch. Już sama myśl była nieprzyjemna. Odchyliła lusterko wsteczne i szybkim ruchem przeciągnęła szczotką po włosach. Chwila nieuwagi zaskutkowała nieco zbyt gwałtownym hamowaniem, bo przed jej oczami zmaterializowała się nagle młoda kobieta, jakby spadła z nieba. Wyglądała jak z broszury reklamowej dla nastolatków, świeża i modna pozowała kilka sekund przed maską jej samochodu, uśmiechając się szeroko od kolczyka do kolczyka, demonstrując swoją radość z faktu, że niewiele brakowało, a zostałyby przejechana. Otworzyła drzwi od strony pasażera, wsiadła i przedstawiła się tak naturalnie, jakby obie znały się od czasów przedszkola. Miała na imię Beate, tak przynajmniej twierdziła. Hrabianka postanowiła zabić ją przy najbliższej okazji.

Za radą Beate przejechały obok budynków terminala i wjechały przez bramę. Stojący obok strażnik pomachał im ręką, nakazując jechać dalej. Zatrzymały się przy jednym z pawilonów na terenie lotniska i wysiadły. Hrabianka podążyła za

stukotem szpilek Beate i wkrótce doszły do kolejnego budynku. Kobieta wskazała jej uprzejmie drzwi i zniknęła. Hrabianka zapukała i otworzyła.

Pomieszczenie, w którym się znalazła, przypominało pokój taniego sieciowego hotelu – niewielki, przeładowany meblami. Wzdłuż jednej ze ścian stało łóżko, równoległe do niego podłużny stolik z dwoma krzesłami po obu jego stronach. W pokoju były też szafa, umywalka i telewizor. Ściany w kolorze bladoniebieskim były puste, tylko nad łóżkiem i nad stolikiem wisiały dwa, oprawione w szkło, niemal identyczne widoki zachodzącego słońca, dekoracyjne, ale zupełnie bez wyrazu. Na krzesła w głębi pokoju, zwrócony w jej stronę, siedział Bertil Hampel-Koch. Gdy weszła, zamknął laptopa, wstał i przeciskając się między meblami, ruszył w jej kierunku. Hrabianka miała z nim do czynienia tylko raz, wówczas zachowywał się arogancko, wręcz antypatycznie, tym razem jednak jego sposób bycia wydawał się inny. Przywitał ją grzecznie, sprawiał wrażenie otwartego i pozytywnie nastawionego, to przynajmniej sygnalizował język jego ciała.

Hrabianka położyła torebkę na łóżku, podczas gdy mężczyzna, przesuając się bokiem, wrócił do swojego krzesła. Usiedli przy stole i przyglądali się sobie, lekko onieśmieleni.

Wcześniej przygotowała kilka kwestii, którymi planowała rozpocząć spotkanie, mężczyzna najwyraźniej też. Odezwał się pierwszy:

– Sądzę, że godzina nam wystarczy, jeśli nie, proszę mi powiedzieć, spróbuję przesunąć nieco odlot. Chociaż przyznam szczerze, że wolałbym tego uniknąć.

– Godzina wystarczy.

Właściwie chciała dodać, że godzina to aż nadto, ale powstrzymała się.

– To dobrze, dziękuję. Zamówiłem kawę, ale chyba o mnie zapomnieli.

– Nic nie szkodzi, obędę się bez kawy.

Mężczyzna odsunął okulary na czoło i przyglądając się uważnie Hrabiance, powiedział:

– Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego zamieszania. Sam jestem sobie winien. Pomyśl, żeby pani szef informował mnie o postępach śledztwa, wyszedł ode mnie. Niestety, nie było to dobre rozwiązanie, ale pomyślałem, że w ten sposób uda mi się połączyć moje osobiste zainteresowanie sprawą z tym mniej osobistym, co nie tylko okazało się nierozsądne i nieskuteczne, ale wzbudziło dodatkowe podejrzenia. Ktoś w ministerstwie zaczął się zastanawiać, jaką rolę odegrałem w tej historii, i nasłał na mnie dwóch dziennikarzy. Sądzę, że tak właśnie było. Kto dał im cynk, tego nie wiem, pewnie któryś z moich wrogów. Teraz nie ma to już znaczenia, ale powinienem był przewidzieć, że sprawy mogą się tak rozwinąć. Poza tym już dawno byłem zobowiązany poinformować policję o moim pobycie w bazie latem 1983 roku, tym bardziej że naprawdę miałem ku temu niejedną okazję. Ale nie zrobiłem tego, przysparzając wam sporo dodatkowej pracy. Dlatego bardzo przepraszam i proszę przekazać moje przeprosiny dalej.

Hrabianka przyjęła je, doceniając jego szczerość. Miała wrażenie, że jest autentyczna. Zauważyła też nerwowe drżenie jego głosu i pomyślała, że spotkanie jest dla niego równie niekomfortowe jak dla niej, co bynajmniej nie czyniło całej sytuacji przyjemniejszą.

Jej pierwsze pytanie wynikało z czystej ciekawości.

– Skąd pan wie, że to pańscy współpracownicy dali cynk prasie, jak pan to określił? Policja nie mogła być źródłem? To się zdarza.

Mężczyzna przytaknął, jakby przyjmując informację do wiadomości, ale zaraz się wycofał.

– Dziennikarze mają moje zdjęcie z tamtego okresu i jest to kopia zdjęcia z moich akt personalnych, dostępnych w intranecie. Są też inne rzeczy, które na to wskazują, chociaż oczywiście pewności mieć nie mogę. Czy to jest istotne?

– Nie, dlatego proponuję, byśmy przeszli do sprawy, która jest powodem tego spotkania. Niestety, nie wzięłam ze sobą dyktafonu, będę więc notować, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Hrabianka wskazała na swój notes, mężczyzna skinął głową.

– W czerwcu 1983 roku poleciał pan na Grenlandię, co miało związek z pańskim planowanym udziałem w patrolu Sirius. Celem była Stacja Nord w północno-wschodniej Grenlandii. Korzystając z okazji, odwiedził pan amerykańską bazę wojskową w Søndre Strømfjord, tak?

– Tak, wszystko się zgadza.

– Spędził pan tam cztery dni, a dokładnie od czwartku siódmego lipca do niedzieli dziesiątego lipca, czekając na poprawę pogody, tak?

– To również się zgadza. Tak daleko na północy nawet latem nie można być pewnym pogody. Wraciałem przez Mestervig, na wschodnim wybrzeżu, już bez żadnych problemów.

Pierwsza przeszkoda została pokonana. Hrabianka usłyszała o podróży u samego źródła, mogła więc z czystym sumieniem przekazać informacje dalej. O tym, że międzylądowanie w Søndre Strømfjord nie było jego jedynym w drodze na Stację Nord, nie wspomniano, chociaż to przecież ono ich tu sprowadziło. Hrabianka zanotowała wszystko dokładnie w swoim bloczku. Kiedy skończyła, zadała mu kolejne pytanie:

– Odbывał pan tę podróż jako Steen Hansen?

– Zgadza się.

– Dlaczego?

Mężczyzna opowiedział jej o wuju, który wówczas był szefem duńskiej obrony, i obawach, że mogło to wpłynąć negatywnie na jego udział w patrolu. Policjantka uznała, że brzmi to prawdopodobnie i zapewne jest prawdą. Przeszła więc do kolejnego pytania, jedyne, na które jeszcze nie знаła odpowiedzi.

– Podał się pan za geologa. Dlaczego?

Policzki Bertila Hampela-Kocha przybrały lekko czerwony odcień, mężczyzna milczał chwilę. Odezwał się dopiero, kiedy jego twarz odzyskała normalny kolor.

– Tak, to dla mnie nieco krępujące.

Hrabianka weszła mu w słowo:

– Proszę się tym nie przejmować. Cokolwiek pan powie, zapewne już to słyszałam. Poza tym nie zamierzam pana oceniać, tym bardziej że sprawa dotyczy odległych czasów.

Jej słowa uspokoiły go, odezwał się cicho:

– Byłem wówczas niedługo po ślubie, spodziewaliśmy się naszego pierwszego dziecka. Oczywiście bardzo się cieszyłem, ale byłem też trochę przestraszony. I nagle okazało się, że mam okazję zachować anonimowość, pomyślałem więc, że jeśli do tego wszystkiego skłamię odnośnie mojego zawodu, sprawa będzie nie do wykrycia. Co się okazało błędnym założeniem.

Hrabianka milczała, czekając na dalszy ciąg.

– W ten sposób przez kilka dni znów mogłem być kawalerem, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

– Mam wrażenie, że tak.

– Boże drogi, miałem wtedy dwadzieścia osiem lat, dzisiaj na pewno bym się tak nie zachował.

Mężczyzna patrzył na nią niemal błagalnie. Odniosła wrażenie, że oczekuje od niej zrozumienia. Rzuciła lekko, jakby od niechcienia:

– Z wiekiem mężczyźni nabierają nieco więcej rozsądku. A więc spotkał pan tam pielęgniarkę Maryann Nygaard.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Tak, i...

Hrabianka przerwała mu:

– Bardzo osobistych wyznań nie oczekuję. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Chodzi o ogólny zarys sytuacji.

Pomyślała, że tak naprawdę to od tej chwili chodzi głównie o zabicie czasu, by potem z czystym sumieniem mogła stwierdzić, że przesłuchała świadka. Na jego twarzy widać było ulgę.

– Tak, rozumiem.

Był kiepskim świadkiem, co nie ułatwiało rozmowy. Właściwie nie potrafił przypomnieć sobie czegokolwiek istotnego z pobytu w bazie, a już na pewno niczego, co mogłoby być użyteczne. W końcu Hrabianka położyła przed nim zdjęcie Andreasa Falkenborga z 1983 roku.

Mężczyzna przyglądał mu się długo. Nie miała wątpliwości, że chce pomóc, ale nie jest w stanie.

– Niestety, nie potrafię nic powiedzieć.

– Andreas Falkenberg, miał ksywkę Pronto.

Mężczyzna pokręcił głową bezradnie.

– Andreas Falkenberg był z wykształcenia inżynierem i pracował w bazie jako asystent elektryka. Poza tym pilotował śmigłowiec.

Milczenie. Po chwili mężczyzna znów pokręcił głową.

– Rozumiem, że nic pan nie wie o stosunkach między nim a Maryann Nygaard?

– Ubolewam, ale nie. Wiem tylko, że Maryann i jej przyjaciółka... Nie pamiętam jej imienia, tylko że była równie piękna jak Maryann, a więc obie funkcjonowały w pewnym środowisku, do którego Andreas Falkenberg nie należał.

„Nie należał”, zapisała Hrabianka dużymi literami, dodając jeszcze cztery wykrzykniki. Doszła do wniosku, że pora kończyć, i zamknęła notes.

– Bardzo pan mi pomógł. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

Mężczyzna zmarszczył czoło, podrapał się i trzymając rękę na karku, powiedział poważnie:

– Mam nadzieję, że złapiecie mordercę Maryann. Kiedy usłyszałem o jej śmierci, byłem w szoku, chociaż przyznam, że poczułem też ulgę. To było dziwne uczucie, którego nie potrafię do końca wytłumaczyć. Pewnie chodzi o to, że przez wiele lat byłem przekonany, że ona odeszła... ze względu na mnie. Ale tak nie było, więc...

Mężczyzna zamilkł, Hrabianka czekała cierpliwie.

– Trudno mi znaleźć właściwe słowa, więc chyba nie będę brnął dalej, ale zapewniam, że zapamiętam tę rozmowę i może pewnego dnia będę mógł się pani odwdzięczyć.

Hrabianka pominęła jego słowa milczeniem, miała własny problem. Medium Konrada Simonsena nalegało, żeby przyłgnęła do Steena Hansena „mocno jak bluszcz”, podobno była to sprawa życia i śmierci, a ona utknęła w ślepej uliczce i na dodatek straciła mnóstwo cennego czasu. Do końca wierzyła w jakieś nagłe olśnienie, ale nic takiego nie nastąpiło i została z pustymi rękami. Analizowała w głowie różne, mniej i bardziej prawdopodobne scenariusze, w których dyrektor mógł odegrać jakąś rolę, ale żaden nie wydał się jej dość prawdopodobny. Co dalej? Odpowiedź nasuwała się sama: nic. To był koniec. A jednak chciała zostawić uchylone drzwi.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli wrócić do rozmowy, jeśli pojawią się jakieś nowe kwestie.

Mężczyzna był wyraźnie zdziwiony jej uwagą, ale potwierdził uprzejmie, aczkolwiek niezobowiązująco, że oczywiście tak. Hrabianka zebrała swoje rzeczy, podała mu rękę na pożegnanie i świadomie wyłamała się nieco ze swojej roli.

– Proszę przy okazji pozdrowić naszego wspólnego znajomego z ministerstwa prasy.

Bertil Hampel-Koch uśmiechnął się i skinął głową.

Rozdział 38

Po zakończonej rozmowie Hrabianka udała się na konferencję prasową. Tak bardzo starała się nie spóźnić, że zjawiała się jako pierwsza. Po chwili Konrad Simonsen, Arne Pedersen i Pauline Berg dołączyli do niej na podium. Hrabianka skinęła głową Simonowi, dając mu do zrozumienia, że przesłuchanie odbyło się zgodnie z oczekiwaniami, co on skwitował uniesieniem kciuka. Ponieważ mieli jeszcze chwilę, Hrabianka powiodła wzrokiem po zgromadzeniu.

Na sali zebrało się już około pięćdziesięciu dziennikarzy i fotografów, z zadowolaniem stwierdziła, że nie ma kamer telewizyjnych. Dwóm stacjom, które wcześniej zgłosiły zainteresowanie, obiecano specjalny wywiad z Konradem Simonsenem i z nią, zaraz po zakończeniu konferencji. Zdecydowano się na to, żeby zapobiec ewentualnym przeciekom informacji.

Głosy w sali powoli cichły. Hrabianka poprawiła się na krześle i przybrała poważną minę. Konferencja się rozpoczęła i Konrad Simonsen natychmiast znalazł się pod ostrzałem. Gorące tematy były dwa: zatrzymanie i oskarżenie Andreasa Falkenborga oraz metody policji zastosowane podczas samego zatrzymania. Zawszęd padały takie słowa jak fiasko i gafa. Szef wydziału zabójstw przyjmował na siebie kolejne razy, ponieważ generalnie nie był osobą szczególnie lubianą przez reporterów kryminalnych. Być może był szanowany, ale na pewno nie kochany, bo w ciągu ostatnich lat nieraz pozbawił prasę sensacyjnych nagłówek. Konrad Simonsen dawał sobie doskonale radę, a w sytuacjach, kiedy jego temperament groził, że inspektor znajdzie się na pierwszych stronach jutrzejszych gazet, do akcji wkraczał Arne Pedersen. Hrabianka w ogóle się nie odzywała. Przyglądała się bacznie zebranych dziennikarzom i już po chwili znalazła tych dwóch, których szukała. Siedzieli niemal na samym końcu sali i wyglądali, jakby się potwornie nudzili. Starszy z nich był potężnie zbudowanym mężczyzną, z gęstą, niestrzyżoną brodą, przypominał nieco hollywoodzkie wyobrażenie Kozaka. Młodszy był blady, miał małe, okrągłe okulary i podejrzliwe spojrzenie, jakby nie bardzo wierzył w to, co słyszał, niezależnie od tego, kto mówił, bo taka była po prostu jego natura. Przez dłuższy czas przyglądała się im niezauważenie, odwracając głowę za każdym razem, kiedy spoglądali w jej stronę. To z ich powodu zwołano konferencję, a jej zadaniem było spełnienie obietnicy danej Helmerowi Hammerowi w ogrodzie botanicznym, a mianowicie odwrócenie uwagi od podróży na Grenlandię, którą Bertil Hampel-Koch odbył późnym latem 1983 roku.

Czas płynął i pytań było coraz mniej, odpowiedzi zaczynały się powtarzać. Wtedy w końcu zostało postawione długo oczekiwane pytanie. Hrabianka była pewna, że padnie, nie wiedziała tylko z czyich ust. Miała swoje domysły, wszystkie jednak okazały się nietrafione. Zadał je bowiem jeden z weteranów wśród dzienni-

karzy śledczych, sześćdziesięcioparoletni mężczyzna, pracujący w redakcji jednego z mniejszych dzienników. Pytanie skierowane było do Konrada Simonsena.

– Policja kilkakrotnie przesłuchiwała dyrektora w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Bertila Hampela-Kocha. Dlaczego?

Konrad Simonsen zdawał się lekko zaskoczony.

– To prawda, przesłuchiwaliśmy go. W związku z zabójstwem Maryann Nygaard na Grenlandii. Dyrektor Bertil Hampel-Koch pomaga nam zdobyć informacje od amerykańskich... To znaczy, różne informacje. Poza tym tak się składa, że w 1983 roku, kilka miesięcy przed zabójstwem, osobiście odwiedził bazę wojskową w Søndre Strømfjord, tak więc... Ale prawdę mówiąc, osobiście nie zajmuję się tą częścią dochodzenia...

Konrad Simonsen przerwał. Spojrzał na Arnego Pedersena, który pokręcił głową, następnie na Hrabiankę, która chętnie podjęła wątek.

– Bertil Hampel-Koch przebywał w bazie cztery dni w lipcu, zatrzymał się tam w drodze do Stacji Nord, gdzie miał wziąć udział w patrolu Sirius. W tym czasie był kierownikiem wydziału w Ministerstwie Obrony i podróż była rodzajem nagrody za dobrą pracę. Rzeczywiście pomógł nam, dostarczając informacji ze swojego krótkiego pobytu w bazie, jak zresztą wiele innych osób.

Kolejne pytanie zadał młody mężczyzna, siedzący w pierwszym rzędzie.

– Cztery dni w lipcu? To kilka miesięcy przed zabójstwem Maryann Nygaard.

– Zgadza się, ale jak wspomniałam, nie jest on bynajmniej jedyną osobą, z którą rozmawialiśmy. Poza tym są świadkowie, którzy wiele pamiętają, także jeśli chodzi o szczegóły zupełnie niezauważalne dla innych. No i tak się składa, że Bertil Hampel-Koch podczas swojego krótkiego pobytu w bazie poznał Maryann Nygaard.

– Można powiedzieć, że Bertil Hampel-Koch przyczynił się do zdobycia konkretnych dowodów w sprawie?

– Zadaniem świadka nie jest zdobywanie dowodów, ale rzeczywiście Bertil Hampel-Koch bardzo nam pomógł. Chociaż, jak już mówiłam, nie tylko on.

Temat wyraźnie nie wzbudził zainteresowania zebranych dziennikarzy, ludzie rozmawiali ze sobą, na sali panował gwar, gdy nagle padło kolejne pytanie, tym razem postawione przez „Kozaka”. Jego donośny głos docierał do najdalszych kątów.

– Dlaczego dyrektor Bertil Hampel-Koch pojechał na Grenlandię pod fałszywym nazwiskiem?

Słowa te, szczególnie informacja o „fałszywym nazwisku”, sprawiły, że ludzie nastawili uszu. Być może jednak było coś w tej historii. Uwaga zebranych znów skupiła się na Hrabiance, która spokojnie mówiła dalej, tłumacząc wszystko dokładnie. W końcu spojrzała na Konrada Simonsena pytająco.

– Nie wiem tylko, czy to jest istotne dla sprawy?

„Kozak” jednak nie dawał za wygraną.

– Nadal jednak dziwi mnie, że podawał się za geologa. Jak to tłumaczy?

Hrabianka zamyśliła się, by po chwili zacząć od standardowej repliki, która zawsze budziła zainteresowanie dziennikarzy. Powiedziała więc z lekkim wahaniem:

– Uważam, że nie musicie o tym pisać.

I zaczęła opowiadać, jak to młody wówczas Bertil Hampel-Koch postanowił wykorzystać cztery wolne dni, żeby przypomnieć sobie kawalerskie czasy i trochę się zabawić, bez zobowiązań.

Większość jej słuchaczy zgadzała się z nią, że sprawa miała charakter wyłącznie prywatny, gdy nagle jedna z dziennikarek najwyraźniej domyśliła się, o co naprawdę chodzi, i zadała nietaktowne pytanie:

– Czy Maryann Nygaard była w ciąży z Bertilem Hampem-Kochem?

Hrabianka postanowiła działać stanowczo. Wskazała oskarżycielsko palcem na kobietę.

– To niedorzeczny pomysł, który należy zakwalifikować jako plotkę, uważam, że...

Konrad Simonsen przerwał jej brutalnie gniewnym głosem:

– Dostyc tego zaglądanía pod kołdrę. To poważna sprawa, chodzi o zabójstwo co najmniej dwóch kobiet, więc nie zamierzam tracić czasu na plotki.

Przedstawiciele czwartej władzy chwycili haczyk, na sali zapanowało poruszenie, dziennikarze wykrzykiwali swoje pytania, otoczyła ich kakofonia dźwięków. Co najmniej dwóch kobiet? Jak to co najmniej dwóch?

Hrabianka poszła w zapomnienie, Bertil Hampel-Koch też, wszystko potoczyło się tak, jak miało się potoczyć. Hrabianka zerknęła na „swoich” dwóch dziennikarzy. Ten bardziej podejrzliwy rozłożył bezradnie ramiona i po chwili obaj opuścili salę. Kiedy odprowadzała ich wzrokiem, nie miała poczucia triumfu. Tak się dzieje, kiedy człowiek przepelniony sofistycznym kłamiem, nie mówiąc nieprawdy. Świat zewnętrzny został zredukowany do gry, niedającej żadnej radości. Potem pomyślała o Konradzie Simonsenie, który wziął wszystko na siebie, i o tym, co przygotowuje mu dzisiaj na obiad.

Rozdział 39

– Społeczeństwo prawa to przeceniane gównem!

Poul Troulsen powtarzał te słowa przez kilka następných dni przy każdej okazji, aż w końcu wszyscy mieli go dosyć. Chociaż wiedzieli, że wcale tak nie myśli, tylko odreagowuje w ten sposób frustrację, to jednak byli zirytowani. Podobnie jak każdy w wydziale zabójstw Poul pracował na najwyższych obrotach, żeby zdobyć jakiegokolwiek dowody, pozwalające połączyć Andreasa Falkenborga z popełnionymi przez niego przestępstwami, co pozwoliłoby zatrzymać go w areszcie. Wyniki były jednak mizerne. Główny bohater odmawiał odpowiedzi, więc przesłuchania nie posuwały sprawy do przodu. Udało się co prawda dotrzeć do wielu jego dawnych, a także obecnych znajomych i ich przesłuchać, co wymagało sporego nakładu pracy, ale i tu wyniki były marne. Właściwie nie dowiedziano się niczego nowego. Pozostawały więc badania techniczne, szukanie ewentualnych śladów DNA w miejscu, gdzie została pochowana Maryann Nygaard. Teoretycznie było to możliwe, mimo że od momentu przestępstwa minęło już niemal dwadzieścia pięć lat. Być może udałoby się nawet stwierdzić, czy w pobliżu lądował wtedy śmigłowiec. Optymizmu nie brakowało, ale rzeczywistość nie wyglądała tak różowo. W piątek po południu Konrad Simonsen wrócił ze spotkania z szefem wydziału kryminalno-technicznego Kurtem Melsingiem i udał się do pokoju Hrabianki, gdzie ona, Poul Troulsen i Pauline Berg oczekiwali go z niecierpliwością. Jedno spojrzenie na twarz szefa tylko potwierdziło, że spotkanie nie przebiegło pomyślnie. Konrad Simonsen był w wyraźnie podłym nastroju, nie musiał nic mówić, żeby Hrabianka stwierdziła:

– Widzę, że sytuacja nie jest najlepsza.

Szef opadł bezradnie na krzesło.

– Jest do bani. Technicy nie mają niczego, a jeśli w ogóle coś znajdą, co jest raczej wątpliwe, to na pewno nie stanie się to szybko. Tak więc dobre pomysły są mile widziane.

Pierwsza odezwała się Pauline:

– Rano zdobyłam dane przyjaciółki, czytaj: dziewczyny, Catherine Thomsen. To Vibeke Behrens. Obecnie jest na pieszej wycieczce gdzieś na północy razem ze swoimi braćmi, więc nie ma z nią kontaktu. Wracają do domu za niecały tydzień. Niestety, nie potrafię powiedzieć, czy znała Andreasa Falkenborga.

Poul Troulsen wzruszył bezradnie ramionami.

– Więc na razie nic z tym nie zrobimy.

Pauline spytała zmartwiona, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć:

– I co teraz? Naprawdę go zwolnią?

Kiedy nikt nie odpowiedział, powtórzyła pytanie. Tym razem jej głos za-

drżał. Hrabianka przerwała jej:

- Nerwy nic nie dadzą. Poza tym to nie nasza decyzja.
- Ale przecież sędzia nie może wypuścić na wolność seryjnego mordercy.
- Zrobi to na pewno, jeśli nie uda nam się zdobyć dodatkowych dowodów.

Czy raczej w ogóle jakichkolwiek dowodów.

Po chwili Hrabianka zwróciła się do Konrada Simonsena:

- Nie masz nic pozytywnego do powiedzenia?
- Nie.

– Gdzie jest Arne? Nie poszliście razem do Melsinga?

– Arne udał się do naszej adwokat, by ją przekonać, żeby przynajmniej spróbowała przedłużyć areszt. Jestem przekonany, że się nie zgodzi. Nie mamy nic nowego, a ona nie chce się podkładać, czego nie można mieć jej za złe.

Poul Troulsen próbował uspokoić nastroje.

– Zostało nam jeszcze kilka dni. Spróbujmy zebrać to, co mamy, i liczymy na cud. Może podzielimy się zadaniami?

Konrad Simonsen przytaknął, ale bez przekonania.

– Dobrze, ale zaczekajmy jeszcze na Arnego. A dla ciebie, Pauline, mam zadanie specjalne. Pojedziesz do Hundested i porozmawiasz z Jeanette Hvidt. Uważam, że powinna gdzieś wyjechać albo trzeba zapewnić jej ochronę. Pojedź tam dzisiaj wieczorem, jeśli masz inne plany, to je zmień.

Pauline pokiwała głową. Nie była zachwycona poleceniem szefa, rozumiała jednak, że nie ma wyboru. Spytała tylko:

– Naprawdę nie mamy nic przeciwko niemu? Może jakieś sprawy podatkowe? Podobno klienci płacą mu zawsze gotówką i bez pokwitowania!

– Model Ala Capone?

Poul Troulsen wyraźnie starał się zablysnąć. Hrabianka pokręciła głową bez przekonania.

– Sam pomysł nie jest zły, tylko trochę na to za późno. Do niedzieli nie wymyślimy nic sensownego. Ale przyszło mi do głowy coś innego. Wiemy na pewno, że kupił połowę domu i zorganizował przeprowadzkę, żeby tylko zdobyć odciski palców Carla Henninga Thomsena. Mam rację?

Konrad Simonsen potwierdził, nadal jednak nieprzekonany.

– Wiemy, to może za dużo powiedziane, zakładamy, że tak było. Kiedy Falkenberg wypatrzy ofiarę, nie szczędzi wysiłku, żeby zrealizować swój plan. Do czego zmierzasz?

– Torbę foliową, którą później naciągnął Catherine Thomsen na głowę, umieścił na popiersiu Mozarta, na którym ojciec Catherine wcześniej, podczas przeprowadzki, zostawił odciski palców.

– Tak sądzimy. Co zresztą Falkenberg właściwie potwierdził w trakcie przesłuchania. Dlaczego tak nagle to cię zainteresowało?

– Ponieważ popiersie Mozarta ma związek z Andreasem Falkenborgiem, a torba foliowa z morderstwem Catherine Thomsen...

Hrabianka zawiesiła głos, Konrad Simonsen dokończył za nią:

– Jeśli więc będziemy potrafili powiązać torbę foliową z popiersiem Mozarta, to go mamy. Pomysł jest ciekawy, co dalej?

– Dalej, niestety, jest niewiele. Pomyślałam, że odciski palców zależą od powierzchni, na której pozostały. Być może technikom uda się znaleźć coś na wewnętrznej stronie torby. Zakładam oczywiście, że ta torba nadal gdzieś tu jest, w magazynie albo w archiwum.

Pozostali przytaknęli. Jak dotąd był to najlepszy pomysł na posunięcie sprawy do przodu. A czas naglił.

– Dlaczego wcześniej tego nie zaproponowałaś?

Poul Troulsen zadał pytanie w imieniu wszystkich. Hrabianka odpowiedziała bez chwili wahania:

– Bo dopiero teraz na to wpadłam.

Spojrzeli na Konrada Simonsena, który skinął głową.

– Na pewno warto spytać o to Melsinga. Zadzwoń do niego i ściągnij go, gdziekolwiek jest. A ty, Poul, sprawdź, gdzie jest ta torba. I przypilnuj, żeby ktoś nam ją jeszcze dzisiaj wydał. Możliwe, że będzie nam potrzebna wieczorem.

Kwadrans później Hrabianka wróciła od Melsinga z dobrymi wiadomościami.

– Podobno są pewne szanse na powiązanie popiersia z torbą foliową. Melsing sam miał jeszcze kilka innych pomysłów idących w tym samym kierunku. Nie zrozumiałam dokładnie, na czym miałyby polegać, ale on i jego ludzie gotowi są przystąpić do pracy, jak tylko dostaną popiersie i torbę. Problemem jest czas. Doba to trochę mało na przeprowadzenie potrzebnych badań. Potrzebowaliby tygodnia, a i tak musieliby pracować niemal dzień i noc, ale...

Hrabianka się uśmiechnęła, Konrad Simonsen i Pauline Berg nie spuszczaali oczu z jej warg.

– Jeśli wewnątrz torby znajdą ślady gipsu, a to mogą sprawdzić jeszcze dzisiaj w nocy, to Melsing skłonny jest nieco naciągnąć wnioski, żeby skłonić sąd do podjęcia decyzji. W ten sposób możemy zyskać potrzebny nam tydzień.

Konrad Simonsen uderzył pięścią w stół, krzycząc: „Yes!”, po czym dodał już spokojniej:

– Więc jednak cuda się zdarzają.

Ale cud trwał tylko pięć minut. Poul Troulsen wrócił sfrustrowany.

– Nie ma torby, została zniszczona. Rozmawiałem z policją w Næstved. Zabójstwo Catherine Thomsen uznano za wyjaśnione, więc kiedy w 2002 roku przeniesiono archiwum do nowych lokali, to...

Konrad Simonsen przerwał mu:

- To mnie nie obchodzi. Jesteś pewien, że torba nie istnieje?
- Niestety tak.

Rozdział 40

– Ktoś musi go powstrzymać!

Oczy Jeanette Hvidt ciskały gromy, ale w jej głosie pobrzmiwała też nutka strachu. Pauline Berg milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jeanette powtórzyła zdanie, tym razem jednak głos jej się łamał.

– Ktoś musi, kurna, powstrzymać tego psychopatę.

Kobiety siedziały na trawniku z widokiem na Isefjorden. Od wody wiała rześka bryza, Pauline Berg czuła w ustach słony smak, chociaż być może tylko jej się tak zdawało, nie była tego pewna. Długie cienie przypominały, że lato ma się ku końcowi i dni stają się coraz krótsze. Kawałek dalej, poza zasięgiem słuchu, siedziała garstka młodych ludzi, pijących piwo. Byli to szkolni koledzy Jeanette Hvidt z trzeciej klasy liceum w Hillerød, którzy cierpliwie na nią czekali. Całe towarzystwo było w drodze na imprezę, kiedy spotkała ich Pauline. Po krótkiej dyskusji udało się jej odizolować swojego świadka od reszty grupy. Jeden z chłopców odwrócił głowę i bacznie im się przyglądał. Nie słyszał jednak, co Jeanette woła, bo jej słowa zagłuszał wiatr. Pauline zauważyła, że chłopak był potężnie zbudowany i mimo młodego wieku wydawał się silny. Właśnie taki mężczyzna potrzebny był teraz Jeanette. To znaczy: być może, bo Pauline cały czas miała nadzieję, że jednak nie.

– A co z facetami? Masz chłopaka? – Pauline wskazała głową w stronę jej paczki.

– Ich nazywasz facetami? A poza tym co cię to obchodzi?

– Przestań. Nie przyjechałam tu w piątkowy wieczór, żeby ci dokuczać, i dobrze o tym wiesz. Jeśli cię to pocieszy, sama też musiałam odwołać spotkanie, na które bardzo się cieszyłam, ale w życiu tak już jest, że pewne sprawy są ważniejsze od innych, a w tej chwili ty jesteś ważniejsza od mojej randki. Skoro mój szef tak uważa, to ja też.

Dziewczyna zastanowiła się chwilę i powiedziała:

– Twój szef nazywa się Simonsen, ale mówicie na niego Simon, tak?

– Zgadza się.

– Jest dobrym szefem?

– Czasem bywa surowy, ale ogólnie rzecz biorąc... Tak, jest dobrym szefem.

– Wiesz, że go poznałam?

– Tak, wiem.

– I polubiłam go. Był supermiły dla mojej babci, w taki fajny sposób.

– On taki jest. Wcale nie jestem zaskoczona.

– Nawet nie wiedziałam, że babcia przeżyła taki napad. Nikt mi o tym nigdy nie opowiadał. To dziwne. Tyle osób wiedziało i nikt mi nic nie powiedział. Czło-

wiek ma wrażenie, że kogoś dobrze zna, a potem okazuje się to nieprawdą.

– Wiem, co masz na myśli. Są tajemnice, które zna całe pokolenie, ale nie przekazuje się ich dalej, jakby wszyscy chcieli o tym jak najszybciej zapomnieć. Kiedyś, na starość, też pewnie takie będziemy.

Dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście.

– Nigdy tak na to nie patrzyłam. Napijesz się piwa?

– Nie, dziękuję. Prowadzę, a poza tym jestem na służbie.

– Gliniarze nigdy nie piją w pracy?

– Czasem pewnie tak, w końcu są takimi samymi ludźmi jak wszyscy. Większość jednak rzadko pije w czasie pracy. Możesz mi powiedzieć, dokąd się wybieracie?

– Do Kopenhagi. Pociąg odchodzi za pół godziny. Jedziemy na imprezę.

– Poproś, żeby pojechali bez ciebie, a ja potem cię odwiozę.

Jeanette Hvidt zastanawiała się chwilę nad tą propozycją. Wstała. Pauline obserwowała język jej ciała. Widać było wyraźnie, że jest ważną osobą w grupie, po krótkiej dyskusji udało się jej przekonać kolegów.

– Byli niezadowoleni?

– Okropnie niezadowoleni – zażartowała. – Jasne, że nie, poza tym niedługo się zobaczymy. Ten psychopata wyjdzie najwcześniej w niedzielę, tak?

– Tak, w niedzielę rano.

– To mogę się spokojnie bawić całą noc, nie oglądając się przez ramię. Może to moja ostatnia taka impreza?

Mówiąc to, dziewczyna co prawda się uśmiechnęła, ale Pauline i tak się wzdrygnęła.

– Nie mów tak, to nie są żarty.

– Tak, wiem, ale to brzmi jak czyste wariactwo. Nagle się okazuje, że być może ściga mnie jakiś potwór. Jest wysoki?

– Wyższy od ciebie.

– Jeśli będzie chciał mi coś zrobić, zabiję go. To znaczy, jeśli dam radę.

Pauline Berg uznała, że to doskonały pomysł, ale nie była pewna, czy może jej to powiedzieć, więc wróciła do poprzedniego tematu.

– Pytałam, czy masz chłopaka.

– W tej chwili nie, ale do niedzieli da się załatwić, jeśli o to ci chodzi. Masz na myśli ochroniarza?

– Tak i nie mów mi, że sama sobie poradzisz. Tu chodzi nie tylko o to, żeby ktoś się tobą opiekował, ale również o to, żeby ktoś zawsze był przy tobie, żebyś nie była sama.

Jeanette Hvidt okazała się osobą praktyczną i rozsądną.

– Nie można być razem bez przerwy. Kto by to wytrzymał? I jak długo miałyby to trwać?

Pauline uznała, że będzie z nią szczerą, chociaż oczywiście nie zamierzała jej mówić, że dochodzenie właśnie utknęło w martwym punkcie, a wydział zabójstw niestety nie mógł się wykazać specjalnymi osiągnięciami.

– Na tym polega problem, ale, jak się pewnie domyślasz, pracujemy pełną parą. Wielu ludzi jest zaangażowanych w to, żeby nie dopuścić do uwolnienia Andreasa Falkenborga. Sprawdzamy wszystko w jego życiu i jestem przekonana, że w pewnym momencie znajdziemy coś, na czym będziemy mogli go złapać. Niestety nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy to się stanie. Dlatego zastanawiam się, czy jest jakieś miejsce, gdzie mogłabyś na jakiś czas wyjechać? Miejsce, o którym tylko my obie byśmy wiedziały.

Dziewczyna się zamyśliła. Wypiła piwo i sięgnęła po kolejne do leżącej obok niej reklamówki. Pauline zastanawiała się, czy nie zwrócić jej uwagi i nie zaproponować, by sięgnęła po jakiś słabszy napój, ale dziewczyna nie sprawiała wrażenia nietrzeźwej, więc w końcu nic nie powiedziała. Po chwili Jeanette się odezwała:

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Pewnie zauważyłaś, że jestem od nich wszystkich starsza o rok.

Pauline pokiwała głową, jakby rzeczywiście zauważyła, chociaż nie była to prawda. Sama jednak doskonale pamiętała, że rok w tym wieku znaczył szalenie dużo.

– Muszę ostro pracować, żeby zdać maturę, bo oni są ode mnie lepsi. Taka jest prawda. Im wystarczy kwadrans, żeby coś opanować, a ja potrzebuję godziny. Dlatego powtarzałam poprzednią klasę. Nie mogę sobie pozwolić, żeby przez jakiś czas nie chodzić do szkoły, bo potem tego nie nadrobię. Nie jestem taka zdolna.

– Ale wydajesz się bardzo zdecydowana. Wiesz już, kim chcesz zostać?

– Lekarką. I pewnego dnia nią zostanę.

– Wierzę ci. Powiedz mi, nie myślałaś nigdy o tym, żeby się ostrzyć? Byłoby ci ładnie w krótkich włosach.

Jeanette spojrzała na Pauline i odpowiedziała:

– Tobie też.

– Dobrze, to może ostrzyżemy się razem? Znajdę jakiegoś fajnego fryzjera w Kopenhadze i umówię się z nim. Nie będzie cię to nic kosztować.

Dziewczyna pokręciła głową.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Dlatego.

Odsunęła na bok włosy z lewej strony i pokazała swoje ucho. Było znie-

kształcone, pomarszczone, jakby była go tylko połowa.

– Oszczędzam na operację, to droga impreza. Poza tym będę musiała pojechać za granicę, do Anglii albo do Niemiec.

– Boże, aż tak źle chyba nie jest?

– Tak ci się wydaje.

– Nie jesteś lalką.

Reakcja Jeanette była zaskakująco gwałtowna.

– Naprawdę myślisz, że mogłabym się pokazać ludziom z takim uchem? Pokręciło cię?

Pauline pominęła milczeniem zniewagę, ale nie wróciła już do pomysłu zmiany fryzury. Spróbowała z innej strony:

– Pomijając problem szkoły, to jest jakieś miejsce, dokąd mogłabyś pojechać?

– Tak, jest. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, ale kiedy byłam młodsza, miałam dużo przykrych doświadczeń, związanych właśnie z tym uchem. To oczywiście nie twoja wina.

Pauline Berg położyła dłoń na rękę dziewczyny i powiedziała przyjaźnie:

– W porządku. Dokąd więc mogłabyś ewentualnie pojechać?

– Do Helsingør. Do mojego wuja, na pewno mogłabym zostać u niego przez jakiś czas.

Pauline zamyśliła się i szybko doszła do wniosku, że zarówno z punktu widzenia bezpieczeństwa, jak i finansów, takie rozwiązanie byłoby najlepsze. Jeśli dziewczyna nie zechce opuścić domu, policja będzie musiała ją chronić, co zawsze było szalenie kosztowne.

– W Helsingør też są licea, załatwimy wszystkie formalności. Poza tym zapewnimy ci korepetycje, żeby ci ułatwić przejście do innej szkoły. Będiesz mogła korzystać z naszej pomocy do zdania matury, także po powrocie do domu. Co ty na to?

Prawdę mówiąc, Pauline Berg nie miała pewności, czy jej propozycja jest realna, ale rozsądek podpowiadał, że państwo mogłoby w ten sposób zaoszczędzić sporo pieniędzy. Jeanette pokręciła swoją ładną główką.

– To wszystko jest takie dziwne. Jakbym śniła.

– Doskonale to rozumiem, ale co powiesz na Helsingør?

– Raczej w to nie wierzę. Mam tu wszystko ustawione, musiałabym zmienić nauczycieli, nie mówiąc już o znajomych.

Pauline przeklinała w duchu całą sytuację. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby dziewczyna zgodziła się dobrowolnie.

– W komputerze Andreasa Falkenborga znaleźliśmy ślad po twoim zdjęciu. Wiemy też, że czytał wywiad z tobą.

Pauline przewidziała reakcję dziewczyny, która była wyraźnie wzburzona.

– Niech to szlag.
– Tak, prawda jest taka, że ma na ciebie oko.
– To przez tych kretynów dziennikarzy. Nie chciałam z nimi rozmawiać, ale oni się uparli, chociaż teraz to nie ma już znaczenia. Jest jeszcze coś? Chcę wiedzieć.

– Podczas przesłuchania stwierdził, że one się rozmnażają i wydają na świat kolejne paskudztwa. Podejrzewamy, że miał na myśli twoją babcię i ciebie.

– To ja jestem tym paskudztwem? Tak?

– Na to wygląda.

Jeanette Hvidt zaczęła płakać, Pauline objęła ją w milczeniu.

Zanim odwiozła dziewczynę do domu, uzgodniły, że Jeanette pojedzie do wuja. Z imprezy zrezygnowała.

Podczas drogi powrotnej do Kopenhagi Pauline Berg wyobrażała sobie chwałę, która na nią spadnie, jeśli uda się jej zmusić Andreasa Falkenborga do przyznania się i zdobyć niepodważalne dowody, które będzie można przedstawić w sądzie. To było możliwe, tylko musi się zdobyć na odwagę. No i musi jej się udać, bo jeśli nie... Nagle się przeraziła i powiedziała na głos sama do siebie:

– Wtedy diabeł będzie się cieszył nie tylko na ulicy Łososiowej, ale w całym morzu majonezu.

Tak mawiał jej dziadek, był to zapewne jedynie zlepek dość przypadkowych słów, ale lubiła to powiedzenie i często go używała.

Kiedy dojechała do Lyngby, zadzwoniła do Konrada Simonsena. W końcu udało się jej złapać szefa pod numerem telefonu stacjonarnego w jego własnym mieszkaniu, gdzie wpadł na chwilę, by zabrać trochę rzeczy. Poinformowała go, że Jeanette Hvidt zgodziła się przeprowadzić do wuja w Helsingør i o związanych z tym kosztach, na co usłyszała, że on też potrafi liczyć. Po zakończonej rozmowie Pauline postanowiła zajrzeć jeszcze na chwilę na komendę, a resztę wieczora poświęcić Ernesto Madsenowi. Resztę, bo część poświęciła na podróż do Hundested.

W komendzie wpadła na Arnego Pedersena, który wyraźnie ucieszył się na jej widok, ale i zdziwił.

– Co ty tu robisz?

– Szukam jakichś danych.

– Mogłaś zadzwonić. Wiedziałaś, że tu jestem.

– Hmm... To prywatna sprawa. Obiecałam coś przyjaciółce.

– Wiesz, że jeśli ktoś cię na tym przyłapie, to stracisz pracę? Takie rzeczy są niedozwolone. Wszystko jest kodowane.

Pauline wzruszyła ramionami, bynajmniej nieprzejęta.

– Malte już dawno mi pokazał, jak mogę obejść kod.

– Co nie zmienia faktu, że jest to niedozwolone. Ale to oczywiście nie moja sprawa.

– To prawda, nie twoja.

Pauline uśmiechnęła się i miała ochotę go pocałować. Nie zrobiła tego jednak, tylko odrzuciła włosy do tyłu i wybuchnęła śmiechem, sama nie bardzo wiedząc dlaczego.

– Macie coś?

– Niestety nie. Ludzie pracują nad odnalezieniem Elizabeth Juutilainen *alias* Liz Suenson, ale to musi potrwać, nie mówiąc już, że musimy znaleźć coś, co łączy jej sprawę z Andreasem Falkenborgiem. Poza tym rozmawiałem z Simonem, powiedział mi o twoich dokonaniach w Hundested. Dobrze się spisałaś.

– Dziękuję. To wszystko?

– Spokojnie! Nie było cię trzy godziny, czego się spodziewałaś?

– Niczego, ale zawsze można mieć nadzieję.

– A właśnie. Dostaliśmy oficjalny raport od Amerykanów. Kawał świetnej roboty, musiało ich to sporo kosztować, ale żadnych istotnych informacji w nim nie ma. Natomiast wiemy już z pewnością, że to Andreas Falkenborg pilotował śmigłowiec podczas lotu do bazy. Niestety, okazało się również, że stacja DYE-5 dysponowała wówczas dwoma skuterami śnieżnymi, co znacznie zwiększa możliwości poruszania się mieszkańców stacji.

– Śmigłowiec oraz odległość dzieląca miejsce odnalezienia zwłok Maryann Nygaard od DYE-5 były dotąd jedynymi istotnymi dowodami, przemawiającymi przeciwko niemu.

– Niestety, skutery śnieżne w stacji osłabiają ich znaczenie, chociaż pewnie trudno sobie wyobrazić, żeby takim skuterem mogły jechać dwie osoby.

– Niewiele nam zostaje.

– Prawie nic. Musiałby się zdarzyć cud, żeby się nam udało zatrzymać go w areszcie.

– Pora przyznać, że tkwimy w martwym punkcie.

– Na to wygląda. Będziesz tu jutro?

– Niestety, dopiero w poniedziałek. Jutro przed południem umówiłam się do fryzjera, a resztę weekendu zajmą mi obowiązki rodzinne. Simon dał mi wolne, chyba że coś by się wydarzyło.

– Oby, trzymajmy za to kciuki. Jak Jeanette Hvidt to przyjęła?

– Nie najgorzej. Trochę płakała, ale to silna dziewczyna. Poza tym powiedziała coś, co wciąż siedzi mi w głowie: „Ktoś musi, kurna, powstrzymać tego psychopatę”.

Arne zapewnił ją, że wszyscy właśnie nad tym pracują, ale w jego głosie słychać było bezradność. Pauline uściskała go i pożegnała się. Życie jest pełne kompromisów.

Rozdział 41

Asger Graa był człowiekiem, na którego temat krążyło wiele historii, jedna bardziej fantastyczna i absurdalna od drugiej, większość wymyślona. Na pewno jednak nikt nie miał wątpliwości, że bardzo chciał pracować w wydziale zabójstw, regularnie słał podania do Konrada Simonsena, który jednak nie zamierzał korzystać z jego umiejętności. Gwoli sprawiedliwości należało też stwierdzić, że z Asgerem Graa nie współpracowało się łatwo, co częściowo wynikało z tego, że zawsze wszystko wiedział najlepiej i niekiedy zachowywał się dość nieokrzesanie, chociaż zapewne obie te jego przypadłości były wyolbrzymiane przez ludzi, którzy nie znali go zbyt dobrze. Zanim Pauline Berg trafiła do wydziału zabójstw, od czasu do czasu zdarzało się jej pracować z nim nad jakąś sprawą i musiała przyznać, że był znacznie sympatyczniejszy, niż mówiono. Kiedy do niego zadzwoniła, od razu ją sobie przypomniał i bez zbędnych pytań przystał na jej propozycję.

Spotkali się w niedzielę przed południem na placu przed komendą. Czekał na nią, ale patrzył w złym kierunku, więc miała trochę czasu, żeby go poobserwować. Musiała przyznać, że świetnie się prezentował w mundurze policjanta. Był potężnie zbudowany, co było zaletą, w razie gdyby Andreas Falkenberg wpadł w szal. Emanował autorytetem. Natomiast Pauline Berg była w ogóle do siebie niepodobna. Poprzedniego dnia była u fryzjera, który ostrzygł ją, zgodnie z jej dość nieporadnym rysunkiem. Poza tym przefarbowała włosy na czarno i kupiła brązowe szkła kontaktowe, które na szczęście okazały się bardzo proste w użyciu.

Mężczyzna podał jej rękę, odwzajemniła jego formalny uścisk dłoni i poinformowała swojego nowego partnera, jak ma wyglądać rozmowa z Andreasem Falkenborgiem. Następnie jednak musiała wysłuchać podziękowań, w których Asger Graa podkreślał, jak bardzo jest jej wdzięczny za tę szansę. Jej nowy wygląd pozostawił bez komentarza. W końcu Pauline spytała:

- Ma pan ze sobą dyktafon?
- Tak, sprawdziłem też, czy działa.
- Kiedy pan go włączy, mam prośbę, żeby opuścił pan wstępne formalności, to znaczy czas, miejsce i nasze nazwiska.
- Dobrze, ale to wbrew regulaminowi.
- Nie chcę, żeby znał moje nazwisko.
- Nie mogę podać swojego, a pani opuścić?
- Nie, i proszę ze mną nie dyskutować. W wydziale zabójstw wiemy, co robimy.
- Oczywiście, proszę mnie źle nie zrozumieć.
- No to wszystko jasne. Poza tym mam prośbę, niech się pan w ogóle nie odzywa, tym zajmę się ja. Falkenberg może się nieco przestraszyć na mój widok, ale

proszę się tym nie przejmować. Przystąpi pan do działania jedynie w przypadku zagrożenia, to znaczy, jeśli mnie zaatakuje. Wtedy należy go tylko przytrzymać, żadnej przemocy, rozumiemy się?

– Oczywiście. Jestem tu przede wszystkim po to, żeby panią chronić?

– Można to tak ująć, ale proszę pamiętać, że też potrafię sobie radzić. On co prawda jest mężczyzną, ale ja jestem od niego znacznie młodsza i w znakomitej formie. Poza tym to mało prawdopodobne, żeby zdecydował się na mnie napaść.

– W razie czego natychmiast wkroczę do akcji. Ale tak, żeby go nie poturbować.

– Właśnie tak to sobie wyobrażam. Dobrze się z panem współpracuje. Przekażę to Simonowi.

– Simon to inspektor kryminalny Konrad Simonsen?

– Tak, mówimy na niego Simon.

Pauline powiedziała to, żeby mu zaimponować, ale jego reakcja ją zaskoczyła.

– On nic o tym nie wie, prawda?

– To znaczy o czym?

– Inspektor kryminalny Konrad Simonsen nie wie, że za moment mamy przesłuchać Andreasa Falkenborga. Mam rację?

Pauline Berg pomyślała, że jednak go nie doceniła. Odpowiedziała nieco niepewnie:

– Niekiedy łatwiej dostać wybaczenie niż pozwolenie.

– A pani nowy wygląd ma zrobić wrażenie na mordercy. Jest pani podobna do jego ofiar.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak coś pomiędzy pytaniem a stwierdzeniem.

– Jeśli przesłuchanie się uda, będzie pan miał o czym opowiadać wnukom, jeśli nie, to po prostu wrócimy do domu. *No harm done*, jak to się mówi.

– A co z jego obrońcą? On wie o naszej wizycie?

– To kobieta, a poza tym nie, nie ma o tym pojęcia. Ale wie, podobnie jak my wszyscy, że Andreas Falkenborg zabił cztery młode kobiety, a jutro rano zostanie zwolniony z aresztu, chyba że komuś uda się temu zapobiec.

Jej argumenty odniosły skutek, więc ciągnęła dalej:

– Przecież nie zamierzamy go pobić, nic takiego. Chcemy tylko porozmawiać, co zajmie nam najwyżej dziesięć minut. A kto wie, może w ten sposób uratujemy życie jakiejś młodej dziewczyny?

Asger Graa wyraźnie się zastanawiał.

– Co chce pani z niego wydusić?

– Chcę, żeby powiedział, gdzie zakopał jedną ze swoich ofiar. Chodzi o Annie Lindberg Hansson, którą zabił w 1990 roku.

– W porządku, ale jeśli pani się to nie uda, to proszę pozwolić mi spróbować.

Zwykle robię wrażenie na przestępcach.

– Wywiera pan na mnie presję?

– Nie, ale jeśli nam się nie uda, a sprawa wyjdzie na jaw, to nie tylko pani przytrzaśnie sobie palce, proszę więc pozwolić, żebym i ja miał w tym swój udział.

Pauline Berg zdawała się chwilę zastanawiać, w końcu powiedziała:

– W porządku, możemy się tak umówić, a teraz chodźmy już.

Przejście przez komendę było bardziej stresujące, niż Pauline to sobie wyobrażała. Areszt śledczy mieścił się co prawda daleko od wydziału zabójstw, a komenda była duża, ale i tak cały czas się bała, że może kogoś spotkać. W najgorszym wypadku oczywiście Arnego Pedersena albo Konrada Simonsena, którzy prawdopodobnie byli gdzieś w budynku. Z tego też powodu przygotowała zawsze specjalną trasę i rzeczywiście jedyną spotkaną po drodze osobą był młody stażysta, którego żadne z nich nie znało.

Nagle usłyszała, jak Asger Graa mówi:

– Nie widziałem jeszcze pomieszczeń aresztu śledczego. Jest duży?

– Jest obliczony na dwadzieścia pięć osób, ale nigdy tam tylu nie ma.

– Kto tam trafia? Najgorsi z najgorszych? Tak słyszałem.

– Dobrze pan słyszał.

– Nie dziwię się, że go tam trzymacie.

– To nie dlatego. Został tam umieszczony, bo jutro ma wyjść na wolność, chyba że nasza akcja się powiedzie. Nie było sensu go przenosić. Nie jest w żaden sposób groźny, został co prawda odizolowany od innych więźniów, ale to ze względu na jego własne bezpieczeństwo.

– Rozumiem. A jak tam wejdziemy?

– Zostaniemy wpuszczeni, a co pan sobie wyobrażał?

– Jak pani to załatwiła, skoro nie ma pani zgody szefa i w ogóle...

– Nie będzie żadnych problemów, jeśli o to panu chodzi.

– Nie obawiam się, tylko pomyślałem, że...

– Proszę dać spokój.

Pauline Berg miała rację, zostali wpuszczeni bez żadnych problemów. Starszy funkcjonariusz, najwyraźniej odliczający już dni do emerytury, zaprowadził ich do Andreasa Falkenborga i otworzył drzwi do celi.

Pomieszczenie, do którego weszli, było małe, góra dziesięć metrów kwadratowych, i spartańsko urządzone: prycza, biurko i krzesło, szafa i niewielka lodówka, wszystko przytwierdzone do podłogi albo do ścian. Przez okno w głębi celi wpadało nieco bladego światła. Kiedy weszli, Andreas Falkenborg wstał z pryczy. Leżał i czytał książkę, opis podróży do Indii, jak zdążyła zauważyć Pauline Berg. W pierwszym odruchu uwagę mężczyzny przykuła potężna sylwetka Asgera Graa w mundurze. Pauline pomyślała, że Andreas może w ogóle nie zareaguje na jej wygląd, ale w tym momencie mężczyzna spojrzał na nią i stężał. Stał bez ruchu, jak

przykuty do podłogi, podobnie jak pozostałe meble w celi. Szczęka mu opadła, z kącika ust poleciała strużka śliny.

Asger Graa wykorzystał ten moment do włączenia dyktafonu. Umieścił go na biurku, po czym spytał formalnie:

– Andreasie Falkenberg, może pan nam poświęcić kilka minut?

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi, powtórzył pytanie, ale z takim samym skutkiem. W końcu wzruszył ramionami i ustępując pola Pauline Berg, usiadł na przy- czy i czekał. Andreas Falkenberg zareagował jak przerażone zwierzę, kiedy między nim a Pauline zabrakło funkcjonariusza. Uciekł w najodleglejszy kąt celi i kucnął. Pauline cofnęła się tyłem w stronę drzwi, świadoma, że sytuacja łatwo może wymknąć się spod kontroli. Mężczyzna czujnym wzrokiem śledził każdy jej ruch. Dopiero kiedy odległość między nimi nieco się zwiększyła, uspokoił się. Zamknął usta, a strach nie był już jedynym uczuciem, które malowało się na jego twarzy. Drugim była nienawiść.

– Andreasie, zabiłeś Annie. Możesz mi powiedzieć, jak to zrobiłeś?

Mężczyzna nie odpowiedział, ale też nie spodziewała się, że to zrobi. Słychać było, że dyszy ciężko i zije agresją.

– Chcesz, żebym do ciebie podeszła?

Groźba ugodziła go niemal fizycznie, odchylił głowę i spojrzał prosząco na Asgera, który spokojnie powiedział:

– Lepiej odpowiedz.

Andreas zaczął mówić, a właściwie dukać:

– Jej... nie wolno... tu być.

– Więc niech pan, do diabła, powie, co zrobił. Wtedy sobie pójdzie. To takie trudne?

Pauline Berg dodała szybko:

– Tak, opowiedz mi o Annie. I zaraz sobie pójdę.

Mężczyzna po raz pierwszy oderwał od niej spojrzenie, spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę. Po chwili, która Pauline wydała się wiecznością, zwrócił się do Asgera:

– Annie sama się napraszała, tak jak ona. Co mogłem zrobić?

Pauline przerwała mu:

– Nie interesuje mnie to, co mogłeś ani czego nie mogłeś zrobić, tylko to, co naprawdę zrobiłeś.

– Zabiłem ją, dobrze to wiecie. Zasłużyła sobie na to, podobnie jak ty, więdźmo.

Asger ostrzegł go:

– Proszę uważać na to, co pan mówi.

– Nienawidzę jej.

– Niech pan opowie o morderstwach, które pan popełnił.

– Czekalem, aż się pojawi, na rowerze. Było ciemno. Złapałem ją i nałożyłem jej na głowę torbę foliową.

Strach, nienawiść, upór, trudno powiedzieć, które uczucie w tej chwili było dominujące. Jego przyznanie się do winy było niewiele warte. Oboje, i Asger, i Pauline, nie mieli wątpliwości, że rzucona niby od niechcienia uwaga była prowokacją.

– To było wspaniałe uczucie, no i już jej nie ma.

Pauline spokojnie, bez pośpiechu, wyjęła z torebki lusterko i zaczęła się w nim przeglądać, nie zwracając najmniejszej uwagi na obu mężczyzn. Po chwili znów sięgnęła do torebki i wyjęła z niej czerwoną szminkę, odsłoniła powoli sztyft, uniosła go i zaczęła oglądać w słabym świetle. Usłyszała głośny oddech Andreasa Falkenborga, ale oparła się pokusie, żeby na niego spojrzeć. Powolnym ruchem powiodła szminką po wargach.

– Dobrze wiesz, co chcę, żebyś mi powiedział, więc słucham.

Czekając na jego reakcję, dalej malowała usta. Gdy mężczyzna wciąż odpowiadał, spróbowała go zachęcić:

– Nie zamierzam czekać cały dzień. Dlaczego zabiłeś Annie, a przede wszystkim, gdzie ją pochowałeś? Opowiedz mi wszystko dokładnie, Andreasie, małeńki, bo jeśli nie, to zaraz do ciebie podejść i cię pocałuję.

– Nie wolno jej tego robić. Nienawidzę jej. Nie wolno jej tak mówić.

Tym razem Pauline zareagowała natychmiast:

– Czekam, Andreasie, ale nie za długo.

– Tak, powiem, powiem. Tylko zostań tam, gdzie jesteś.

– Gdzie zabiłeś Annie?

– Na tarasie mojego domku letniego. Przysięgam, że właśnie tam.

– Co zrobiłeś z jej rowerem?

– Odprowadziłem na stację w Næstved i zostawiłem w stojaku na rowery.

– Gdzie ją pochowałeś?

– To nie tak.

Pauline Berg spojrzała na niego po raz pierwszy od momentu, kiedy zaczęła malować usta szminką. Zauważyła, że mężczyzna cierpi. Nieco nonszalancko zaczęła zbierać swoje rzeczy, włożyła je z powrotem do torebki i zrobiła krok w jego kierunku, mówiąc:

– Właśnie tak, Andreasie. Tylko powiedz mi gdzie. – Zrobiła kolejny krok. – Gdzie, Andreasie? Powiedz mi gdzie.

Zamiast Andreasa odpowiedział jej Asger Graa:

– Mam wrażenie, że on nie jest w stanie tego zrobić, wystarczy na niego spojrzeć, on... odpłynął.

Andreas Falkenborg drżał, przewracał oczami, niekiedy jego wzrok wydawał się trzeźwy, ale było jasne, że nic więcej z niego nie wydobędą. Nie trzeba

było wiedzy medycznej, żeby zrozumieć, że mężczyzna jest bliski załamania. Pauline Berg niemal płakała ze złości, kiedy opuszczała celę. Doszedł ją jeszcze głos Asgera:

– Funkcjonariuszka Pauline Berg opuściła celę. Gra się skończyła, kolego. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan pochował zmarłą.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, co się stało. Poczowała ciarki na plecach. Zdziwiona uświadomiła sobie, że zakończenie tego przesłuchania przybrało najgorszy możliwy obrót.

Rozdział 42

W niedzielę o godzinie szóstej rano Andreas Falkenborg został zwolniony z aresztu. Odprowadzono go do tylnego wyjścia, żeby ominąć czekających na niego dziennikarzy. Mężczyzna wyszedł na Hambrosgade i został pozostawiony sam sobie, zgodnie z decyzją sądu. Konrad Simonsen stawiał się, by osobiście być świadkiem wydarzenia, które, prawdę mówiąc, żadnym wydarzeniem nie było. Czuł jednak, że byłoby nie w porządku, gdyby w momencie, gdy jego seryjny morderca wychodzi na wolność, leżał w łóżku i chrapał. Kiedy było już po wszystkim, udał się do swojego gabinetu, gdzie próbował się uporać ze stertą papierów, piętrzących się na jego biurku. Zawsze tak było w tego typu sprawach.

O godzinie dziewiątej zjawił się Arne Pedersen, a wkrótce po nim Poul Troulsen. Mężczyźni siedzieli z pochylonymi głowami w gabinecie Simona. Arne Pedersen zwrócił się do Poula Troulsena:

– Dlaczego nie jesteś w domu? Jest weekend.

Starszy mężczyzna jedynie wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że pewnie tu siedzicie, a jestem wam coś winien. Nie byłem szczególnie aktywny całą środę, czwartek i piątek.

Arne Pedersen postanowił się z nim trochę podroczyć:

– Nie byłeś aktywny? Powiedziałbym, że w środę byłeś aż nadto aktywny.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi... – Mężczyzna spojrzał na szefa. – Nadal zresztą uważam, że to nie w porządku, że obciążają mnie całą winą.

Konrad Simonsen wysunął do przodu dolną wargę.

– To okrutne, ale taki jest świat. Jest zły.

Poul pokręcił głową.

– A już miałem nadzieję, że uda mi się przejść na emeryturę.

– O tym porozmawiamy przy innej okazji, Poul. Są różne możliwości, jeśli zostaniesz z nami jeszcze kilka lat...

– Zapomnij o tym.

– Okej, porozmawiamy o tym później. Co wiemy o tej Fince, Arne?

– Mamy jej dane, ale to już wiesz. Poza tym od piątku nic nowego się nie wydarzyło. Udało się nam ustalić, że zniknęła między siedemnastym kwietnia a trzecim maja 1992 roku, prawdopodobnie zaginęła na stacji Hässleholm. Gospodarstwo Andreea Falkenborga położone było zaledwie kilka kilometrów od stacji na południowy zachód, nad brzegiem Finjasøen, ale Elizabeth Juutilainen nigdy nie widziano w jego towarzystwie. Szwedzi pracują nad sprawą.

– Słyszę po tobie, że nie bardzo wierzysz, że to coś da.

– To trudna sprawa. Świadców, do których udało nam się dotrzeć, to nie są niewiniątka, mówią niewiele, a najczęściej nic.

Poul wszedł mu w słowo:

– To jakiś paradoks. Jedna forma przestępczości nie powinna, że tak powiem, przesłaniać innej. Chodzi mi o to, że narkomani powinni być tak samo zainteresowani złapaniem seryjnego mordercy jak zwykli, praworządni obywatele.

Konrad Simonsen pokiwał głową.

– Teoretycznie masz rację, ale oni tak nie myślą. A w każdym razie bardzo rzadko...

Arne Pedersen aż podskoczył na krześle.

– Powtórz to, Poul. To bardzo ważne.

– To o narkomanach?

– Tak, co dokładnie powiedziałeś?

– Że powinni być tak samo zainteresowani ujęciem seryjnego mordercy jak wszyscy inni i że to paradoks, że tak nie jest.

– Nie, powiedziałeś jeszcze coś.

Konrad Simonsen wyrecytował spokojnym głosem:

– To paradoksalne, że jedna forma przestępczości przesłania, że tak powiem, inną. Chodzi mi o to, że...

W tym momencie Arne mu przerwał:

– Tak, o to mi chodziło. To właśnie powiedziała.

– Kto co powiedział, Arne?

– Nowa wychowawczyni na zebraniu rodziców. Stwierdziła, że mówi do dzieci cicho, bo nie wierzy, że hałas można zagłuszyć jeszcze większym hałasem. Nareszcie wszystko zaczyna mi się układać w logiczną całość. Ależ byłem głupcem. Jeśli mamy gdzieś pod ręką odpis przesłuchania Andreasa Falkenborga, to zaraz wam pokażę. I jeszcze przydałby się też zapis rozmowy w samochodzie między nim a tobą, Poul, bardzo dobrze.

Słuchacze nie nadążali za jego wywodem i czuli się zagubieni. Konrad Simonsen szybko znalazł dokumenty, o które prosił Arne. Pedersen najpierw je gorączkowo przeglądał, a potem zaczął czytać na głos.

– To fragment przesłuchania. Simon, pytasz go o Annie Lindberg Hansson.

K. S.: Wyglądała dokładnie tak jak tamte dziewczyny.

A. F.: Więc pewnie to zrobiłem. Pewnie tak.

K. S.: Gdzie ją pochowałeś?

A. F.: Nie pochowałem jej.

A to fragment rozmowy z samochodu, gdzie Poul przyciska go w tej samej sprawie:

P. T.: Pomówmy więc o Annie. Gdzie ją pochowałeś?

A. F.: Nie pochowałem jej.

P. T.: Dlaczego tak się zadręczasz?

A. F.: Mówię prawdę, nie pochowałem jej.

– Do licha, naprawdę nie rozumiecie?

Rozumieli. Pierwszy odezwał się Poul Troulsen:

– Chodzi o tę świnię?

– Ogromna maciora, której rozkładające się ściervo cuchnęło miesiącami.

Wisiało na drzewie. Wy nie widzieliście tego drzewa, ale ja tak. To stara topola, założę się, że ciało Annie Lindberg Hansson umieścił w jej wnętrzu. Drzewo przypomina ogromny pędzel do golenia. Pień ma metr, może półtora średnicy, zaś całe drzewo nie ma nawet czterech metrów wysokości, a jego cienkie gałązki sterczą na wszystkie strony. Kiedy byłem dzieckiem, podobna topola rosła na naszej działce, w środku była cała spróchniała, ale na zewnątrz wyglądała zdrowo, kwitła każdego roku. Wszystkie dzieciaki się na nią wdrapywały, żeby potem spuszczać się w dół, aż do ziemi. Jestem pewien, że ona jest właśnie tam, w środku.

Konrad Simonsen musiał powstrzymać swoich ludzi. Obaj byli bardzo podniekcytowani i natychmiast chcieli jechać do Præstø. Szef jednak postanowił, że pojedą tam dopiero jutro, i był nieugięty.

– Nie chcę więcej niespodzianek w sądzie. Tym razem wszystko musi się odbyć zgodnie z regulaminem. Dzisiaj załatwimy wszelkie formalności. Musimy mieć pozwolenie na ścięcie drzewa, trzeba to załatwić fachowo, więc potrzebni będą ludzie z działu technicznego. Załatwcie też na jutro rano dobrego psa tropiciela.

Poul Troulsen ponowił próbę:

– Moglibyśmy tam po prostu pojechać i zajrzeć do środka. Spokojnie zdążymy.

– Jutro, Poul, jutro.

Mężczyźni znali szefa dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że naciskanie go nie ma sensu, bo w takich sprawach był nieugięty, ale nie mogli się oprzeć. W końcu jednak zaakceptowali zwłokę. Arne Pedersen miał jedną prośbę:

– Możemy zabrać Pauline? Ona już tam była.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale Pauline jest chora. Dzwoniła wczoraj wieczorem, pewnie zjawi się dopiero w połowie tygodnia, podobno to grypa letnia. Tak powiedziała.

– Boże drogi, to się rzeczywiście zdarza w taki upał. A co z Andreasem Fal-

kenborgiem? Mamy go pod kontrolą?

– Dwa zespoły go śledzą, ludzie zmieniają się trzy razy na dobę.

Poul Troulsen nie odpuszczał:

– Nie popełnijmy błędu, może powinniśmy wzmocnić kontrolę? Co będzie, jeśli nam zniknie, kiedy akurat jest szansa, żeby go przygwoździć? Pamiętajcie, że Ernesto Madsen nie potrafił zrozumieć, o co chodziło z tą świnią, a teraz nagle wszystko stało się jasne. Niepokoi mnie fakt, że Falkenborg podjął tyle pieniędzy. To może znaczyć, że planuje zniknięcie.

Konrad Simonsen przytaknął.

– W idealnym świecie bez budżetów byłoby to niewątpliwie błędem, ale nas po prostu nie stać na większy zespół. Chociaż skoro sytuacja się zmieniła, polecę dodać jeszcze dwa patrole.

Mężczyźni rozeszli się do swoich zajęć w znacznie lepszych nastrojach. Konrad Simonsen zadzwonił do Hrabianki, informując ją o podejrzeniach Arnego. Ona również chciała natychmiast jechać do Præstø, ale i tym razem Simon kategorycznie się sprzeciwił.

Tego samego wieczora Andreasowi Falkenborgowi udało się zgubić ogon. Stało się to w samym sercu Kopenhagi, a dokładnie w miejscu, gdzie Frederiksbrogade przechodzi w Nørre Voldgade. Mężczyznę śledziły cztery radiowozy, dwa cały czas starały się być przed, a dwa za jego łatwo rozpoznawalnym niebieskim mercedesem, który, wydawać by się mogło, kręcił się bez celu po mieście. Kolejne dwa pozostawały w rezerwie, gotowe w każdej chwili wkroczyć do akcji. Zadanie było tak proste, że niemal nudne. Mężczyzna, za którym jechali, poruszał się powoli i zgodnie z przepisami, więc gdy w pewnym momencie zatrzymał się, przepisowo na środkowym pasie, stając na czerwonym świetle przy stacji Nørreport, uwaga funkcjonariuszy była lekko rozproszona, chociaż fakt, że zatrzymywali się tu już drugi raz w ciągu pięciu minut, powinien dać im do myślenia. Po dłuższej chwili światło zmieniło się na zielone, ruszyli, mijając powoli stację. Jeden z policjantów w drugim wozie westchnął zmęczony:

– Bóg jeden wie, jak długo on zamierza tak jeździć w kółko.

Jego kolega odpowiedział:

– To się okaże, ale tak czy inaczej lepsze to niż siedzenie pod jego domem i gapienie się w drzwi. Co jest, do diabła?!

Funkcjonariusz zareagował niemal natychmiast. Otworzył drzwi wozu, nie zważając, że uderza nimi w autobus, który się właśnie zatrzymał tuż obok. Prześlizgnął się między pojazdami i najszybciej, jak potrafił, pokonał pięćdziesiąt metrów, dzielących go od budynku stacji. Jego partner dopiero teraz spostrzegł, że mercedes jest pusty. Natychmiast zrozumiał, co się stało, i też ruszył w pogoń. Ale przewaga Andreeasa Falkenborga była zbyt duża, obaj przybiegli za późno.

Po krótkiej naradzie jeden z policjantów zbiegł na dół na peron, drugi zaś

wezwał posiłki. Po chwili na stacji było już ośmiu funkcjonariuszy, co na niewiele się zdało. Po kwadransie nerwowych poszukiwań policjanci poddali się i szef grupy przekazał złą wiadomość dyżurnemu na komisariacie w Glostrup, który obiecał natychmiast powiadomić wydział zabójstw Komendy Głównej.

Wiadomość przyszła jednak w fatalnym momencie.

Kiedy funkcjonariusz przyjmował wiadomość o zniknięciu Andreasa Falkenborga, jego szef stanął obok niego z poważnym wyrazem twarzy. Zdecydowanym ruchem odebrał mu słuchawkę, przerwał rozmowę i poinformował, że właśnie dzwoniła jego córka.

Mężczyzna poczuł paralizujący strach, pokiwał głową, bo tylko to był w stanie zrobić.

– Chodzi o jej synka. Został przewieziony do szpitala w Herlev, ma zapalenie opon mózgowych. Sprawa jest poważna, Mads. Chłopiec jest w śpiączce. Córka prosiła, żebyś natychmiast przyjechał.

Komisarz sam zawiózł go do szpitala.

Dlatego minęło dobrych dwanaście godzin, zanim do Konrada Simonsena dotarła wiadomość, że Andreas Falkenborg jest bez nadzoru, i to już od pół doby.

Rozdział 43

Wieczorami zmrok zapadał coraz szybciej, chociaż nikt tego chyba do tej pory nie zauważył. Jeszcze tak niedawno kwitły bzy, planowano urlopy, a białe noce zdawały się nigdy nie kończyć. Kobieta siedząca w przedziale szybkiej kolejki podmiejskiej patrzyła na swoje odbicie w szybie wagonu. Była ładna i wiedziała o tym. Wzruszyła lekko ramionami. Każdego roku pod koniec lata ogarniała ją melancholia, miała wrażenie, że mija najlepsza pora roku, a ona znów nie zdążyła zrobić tego, co zaplanowała. Czas, który miała przed sobą, wydawał się jej dłuższy niż ten, który już minął. Kiedy będzie starsza, to się pewnie zmieni.

Kolejka wjechała na stację Nørreport, gdzie zawsze wielu pasażerów wysiadało. Wydawali się zestresowani, w ciągłej gonitwie za każdą sekundą. Przyglądała się ludziom, którzy wsiedli do wagonu. Tę sztukę opanowała do perfekcji: potrafiła przyglądać się ludziom tak, żeby nie byli tego świadomi. A potem, jeśli nadarzyła się ku temu okazja, szkicowała ich portrety. Była krytyczna, nie wszystkie twarze były ciekawe, nie każda miała w sobie to coś, co przyciągało jej uwagę. Wśród nowych pasażerów nie było nikogo, kto przykułby jej wzrok. Obok niej usiadła młoda dziewczyna, wydawała się nieobecna, całkowicie zatopiona w rozmowie telefonicznej. Kobieta przesunęła plecak, żeby zrobić jej miejsce. Drzwi zasunęły się z piskiem, kolejka ruszyła.

Wkrótce potem do przedziału wszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki, cały czas rozglądał się nerwowo, jakby ktoś go śledził. Usiadł na ławce przed nią, nadal bacznie się rozglądając. Obserwowała go uważnie i nagle poczuła, że jej tętno przyspiesza.

Podniecała ją jego zwyczajność. Nieobecne spojrzenie, twarz wyróżniająca się brakiem jakichkolwiek znaków szczególnych. Całkowicie neutralna osobowość. Mężczyzna mógł być dyrektorem banku, ale równie dobrze mógł też zbierać puste butelki. I w jednym, i w drugim przypadku pozostałby niezauważony. Jednocześnie było w nim coś, co budziło szacunek. Był mężczyzną, który dawał poczucie pewności. Coś, co było zwyczajne, codzienne, nie mogło być groźne. Wyjęła z plecaka swój blok i pomyślała, że nazwie jego portret „Pan Przeciętny”.

– Ale super. Mogę zobaczyć?

Siedząca obok niej dziewczyna skończyła rozmawiać przez komórkę. Dość prostacki komplement nie zrobił na kobiecie wrażenia, ale pokazała jej rysunek. Nie lubiła odmawiać ludziom. Tak naprawdę marzyła jednak o jednym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Miał odebrać ją na stacji w Grimstrup. Miejsce było odludne i zostało dokładnie wybrane, żeby nikt nie widział, jak wsiada do jego samochodu. Zakazana zabawka.

– Co to jest?

– Mur w Anglii.

– Wygląda zajebiście. Same kamienie. Dlaczego go narysowałaś?

Trudno było jej to wytłumaczyć, zresztą sama tego nie wiedziała. Dlaczego oszczędzała przez pięć miesięcy, żeby pojechać na dwa dni do Londynu? Na dwa dni, które spędziła, rysując rzymski mur w środku największej finansowej dzielnicy świata. Właściwie była to ruina, otoczona ze wszystkich stron przez pyszniące się swym błękitem szklane fasady. Różne formy, kształty, płaszczyzny, kąty padania – rozkoszowała się każdą minutą.

Dziewczyna jakby czytała w jej myślach. Data pod rysunkiem w połączeniu z naklejką na plecaku zdradziły jej tajemnicę.

– Pojechałaś do Londynu tylko dla tego kretyńskiego muru?

– Chcę zostać architektką. Ale spójrz tutaj. – Wzięła do ręki blok i zaczęła przerzucać kartki. – To Patrick. Był przewodnikiem na szlaku duchów.

Młody mężczyzna minął ją, prowadząc niewielką grupkę ludzi, którym z nieco przesadną ekspresją cały czas coś tłumaczył. Podążyła za nim, zafascynowana jego kaszkietem i zbyt obszerną tweedową marynarką. Początkowo trzymała się nieco z daleka, nie zapłaciła przecież za turę, ale po chwili zauważyła, że i tak jest mile widziana, więc poczuła się swobodniej.

– Opowiadał o Kubie Rozpruwaczu, seryjnym mordercy, który był postrachem Londynu w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Mordował prostytutki, rozpruwał je nożem. Zabił pięć kobiet. Wtedy okolice Whitechapel były slumsami, dzisiaj to bardzo nowoczesna dzielnica.

Po zakończonej turze ona i Patrick wypili razem filiżankę kawy. Śmiali się i wygłupiali. Patrick studiował w szkole aktorskiej, recytował Szekspira w zabawny, nieco karykaturalny sposób. I to wszystko.

– Mam nadzieję, że go powiesili.

Dziewczyna była wyraźnie przejęta.

– Nigdy go nie złapano. Z czasem powstało mnóstwo teorii na temat tego, kim naprawdę był. Podejrzewano różne znane osoby, ja jednak sądzę, że to był ktoś całkowicie anonimowy, taki spokojny typ, którego nikomu nie przyszłoby do głowy podejrzewać.

Na stacji w Hillerød pożegnała się z dziewczyną i dołączyła do grupki ludzi czekających na pociąg do Frederiksværk. Nagle zobaczyła obok siebie Pana Przeciętego, nie słyszała, kiedy do niej podszedł. Odwróciła się i uśmiechnęła zachęcająco. Pomyślała, że może jednak będzie miała okazję go narysować.

Rozdział 44

W Præstø teoria Arnego Pedersena, zakładająca, że pień starej topoli kryje w sobie zwłoki Annie Lindberg Hansson, została potwierdzona przez kompetentny zespół, składający się z młodego czarnego owczarka alzackiego, suki wabiącej się Cathy, tak przynajmniej wołał na nią jej pan. Cathy drapała w drzewo i wyła, mężczyzna podniósł do góry kciuk. Arne Pedersen wskazał na rdzawe ślady na drzewie.

– Może to zabrzmiało dziwnie, ale na tym drzewie wisiało kiedyś ścierwo maciory. Myśli pan, że to może mieć jakieś znaczenie dla psa?

Mężczyzna poklepał sukę.

– Nie sądzę, ale możemy spróbować z drugiej strony, wtedy będziemy mieli pewność.

Nakazał psu przejść od drugiej strony, wydał niezrozumiałe brzmiące polecenie i zwierzę zareagowało tak samo jak przed chwilą. Poul Troulsen dopytywał się niecierpliwie:

– Co to znaczy?

– Że w środku jest ciało, chyba że Cathy się pomyliła.

– Często jej się to zdarza?

– Nigdy.

Arne Pedersen ustawił drabinę, pożyczoną od mieszkającej obok pary pedagogów, którzy z kuchennego okna w napięciu śledzili rozwój sytuacji. Podobnie jak pozostali obserwowali, jak Arne wchodzi po drabinie, przedziera się przez gałęzie u korony drzewa, a następnie świeci latarką w głąb pnia. Poul Troulsen dopytywał się zniecierpliwiony:

– Widzisz coś?

– Nic. Ziemia, uschnięte liście, ale pień jest pusty, jak zresztą podejrzewaliśmy. Mam spróbować tam zejść? Nie będzie to łatwe.

– Nie, technicy się tym zajmą. Jeśli dojdzie do zniszczenia dowodów, to niech oni to zrobią, a nie my.

Kilka godzin później piła spalinowa wbiła swoje zęby w pień starej topoli. Jeden z techników, ubrany w coś, co przypominało kombinezon kosmonauty, zaczął ścinać drzewo. Najpierw gałęzie, później sam pień. Tutaj opór był już większy, ale kawałek po kawałku drzewo padało. Praca posuwała się powoli, bo za każdym razem, kiedy ścinano następny kawałek, technicy ostrożnie usuwali z wnętrza drzewa próchno i zwiędłe liście. Dopiero po południu, kiedy pień miał nie więcej niż dwa metry wysokości, nareszcie coś się wydarzyło. Jeden z techników zajrzał do środka.

– Zgadza się, jest tam. Widzę rękę.

Delikatnie, niemal nabożnie, zebrał garść rozkładających się liści i pozwolił im spaść na ziemię.

– Widzę torbę foliową. Biedna dziewczyna.

Arne Pedersen sięgnął po telefon komórkowy, na tę wiadomość on i Poul Troulsen czekali cały dzień. Zadzwoił do Konrada Simonsena, który natychmiast odebrał. Arne triumfującym głosem powiadomił go o znalezisku.

– Znaleźliśmy ją, nie ma wątpliwości, że to jego dzieło. Ta sama metoda działania.

Potem długo stał z telefonem przy uchu i słuchał. Po jakimś czasie Poul Troulsen zaczął się niecierpliwic, domyślił się, że coś się wydarzyło, z twarzy kolegi zniknął wszelki optymizm. Arne Pedersen wyglądał na nieszczęśliwego. Poul przerwał mu:

– Co się stało, Arne? Jesteś blady.

– Andreas Falkenberg zniknął. Wczoraj wieczorem udało mu się zmylić śledzących go policjantów, ale wiadomość o tym dotarła do nas dopiero dzisiaj, bo na komisariacie w Glostrup ktoś coś niezłe pokręcił. Wszyscy go teraz szukają, ale jak dotąd bezskutecznie.

– Niech to szlag.

– To nie wszystko. Zniknęła też Jeanette Hvidt. Świadkowie widzieli Andreasa Falkenborga w pobliżu domu jej wuja w Helsingør.

Poul chwycił Arnego za rękaw, krzycząc:

– Co ty, do diabła, mówisz?!

– Napadł na nią w szopie w ogrodzie wuja. To wszystko, co Simon mi powiedział. Musisz poczekać, aż wrócimy do Kopenhagi.

– Ale jak mogło do tego dojść? Mieliśmy ją chronić. Był ktoś przy niej?

Arne Pedersen uwolnił się z jego uchwytu i powtórzył powoli:

– To wszystko, co Simon mi powiedział. Nic więcej nie wiem.

Poul Troulsen splótł ręce na karku i schylił głowę. Przeklął w duchu bezradnie.

Rozdział 45

Kiedy chwila triumfu w Præstø właśnie zamieniła się w klęskę, Pauline Berg odpoczywała na leżaku na tarasie swojego domu i po raz kolejny zastanawiała się, co teraz powinna zrobić. Pierwszy szok po sobotnich wydarzeniach już minął, pomyślała, że przy odrobinie szczęścia być może całe zdarzenie pozostanie niezauważone. Wczoraj rozmawiała z Simonem, a dzisiaj dwukrotnie z Arnem Pedersenem. Niskim, schrypniętym głosem dopytywała się, co nowego. Dowiedziała się, że Andreas Falkenborg jest pod kontrolą, tak więc nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, a poza tym była przekonana, że zdołałaby się obronić. Nie dość że przeszła kurs walki wręcz, to miała też broń, pistolet Heckler & Koch, dziewięć milimetrów, podstawowe wyposażenie policji.

– Muszę jak najszybciej wrócić do naturalnego koloru włosów.

Nikt jej nie odpowiedział, mówiła sama do siebie. Powtórzyła to zdanie, lekko je zmieniając, i doszła do wniosku, że chyba będzie musiała naruszyć swoje oszczędności. Całe przedsięwzięcie będzie ją kosztować pewnie z osiemset koron. Pauline ziewnęła, dobrze się jej tu leżało, ale właściwie powinna pomyśleć o kolacji. W nocy źle spała i czuła, że zmęczenie zaczyna się jej dawać we znaki. Może to i dobrze. Na kolację po prostu zje kanapki. Byle tylko Asger Graa trzymał język za zębami i przyszedł tu wieczorem, chętnie podzieli się z nim posiłkiem... Wzdrygnęła się i uniosła głowę, o mało nie zasnęła. Nastawiła budzik w telefonie komórkowym, leżącym obok niej na stoliku ogrodowym, i zamknęła oczy, wsłuchując się w dochodzące z lasu kukanie kukułki, która najwyraźniej też nie chciała przyjąć do wiadomości, że zbliża się noc. Leżała jeszcze chwilę, po czym zasnęła. Z jej nozdrzy dobywało się ciche chrapanie, ledwie słyszalne, chyba że ktoś stałby tuż obok.

Kiedy się obudziła, od razu wiedziała, że spała dłużej, niż zamierzała. Niebo nad nią było już niemal ciemne. Zmarzła, chociaż była nakryta kocem, co ją zresztą zdziwiło, bo nie pamiętała, żeby się nim nakrywała. Sięgnęła po telefon komórkowy i wszystko stało się jasne. Bateria się rozładowała. Spała prawie trzy godziny. Przeklęła w duchu, mimo że przecież nic się nie stało, poza tym że planowane na dzisiaj malowanie pokoju będzie musiała odłożyć na jutro. Wstała i przeciągnęła się, próbując pozbyć się resztek snu, złożyła koc i weszła do środka. Z kocem przewieszonym przez ramię zamknęła drzwi do ogrodu. Pociągnęła za klamkę kilka razy – drzwi sprawiały wrażenie solidnych. Pomyślała, że na oknie od tarasu musi powiesić zasłony. Kiedyś, kiedy będzie ją na to stać.

Weszła do pokoju i zaczęła się zastanawiać, czy może sobie raz pozwolić na odejście od swojej zwykłej rutyny. Była głodna, ale zwykle wykonywała ćwiczenia taneczne przed kolacją, nigdy po. W końcu jednak udała się do pokoju ćwiczeń, który urządziła jako jedno z pierwszych pomieszczeń w nowym domu. Przebrała

się w trykot, stanęła obok drążka i wykonała serię ćwiczeń. Na zewnątrz było już całkowicie ciemno. Ćwicząc, przyglądała się swojemu odbiciu w szybie okiennej i w pewnej chwili poczuła się dziwnie nieprzyjemnie. Nie przywykła do obrazu siebie w ciemnych włosach, poza tym widok przypominał jej o sobotniej porażce podczas konfrontacji z Andreasem Falkenborgiem.

Po skończonych ćwiczeniach wzięła szybką kąpiel. Nadal czuła się nieco dziwnie, ale też dzień był dość wyjątkowy. Ćwicząc przy drążku, zrzuciła winę za złe samopoczucie na swoje czarne włosy, ale nadal coś ją gnębiło. Może nie powinna była udawać chorej? Rzadko wagarowała, a kiedy jej się to zdarzało, zawsze miała wyrzuty sumienia. Poza tym była głodna jak wilk. Oczywiście sama była sobie winna, co jednak nie zmniejszało głodu. Spróbowała sobie przypomnieć, co ma w lodówce. Nagle poczuła się skrępowana własną nagością, szybko przeszła z łazienki do sypialni, żeby się ubrać. Postanowiła też zadzwonić do Ernesto Madsena i spytać, czy może miałby ochotę ją odwiedzić. Byłoby miło, naprawdę miło. Wtedy jednak przypomniawszy sobie, że to by wymagało znalezienia ładowarki. Nie było jej na stoliku nocnym obok łóżka, gdzie zwykle leżała. Usiłowała przypomnieć sobie, co z nią zrobiła, ale bezskutecznie. Przeklinała w duchu firmę telekomunikacyjną, która potrzebowała czterech tygodni, żeby zainstalować jej telefon stacjonarny.

Kanapki dobrze jej zrobiły, postanowiła darować sobie szukanie ładowarki oraz Ernesto Madsena i spędzić spokojny wieczór przed telewizorem. Chętnie przypomni sobie *Pretty Woman*. Wzięła szklankę z pustym talerzem i zaniósła do kuchni, wstawiła naczynia do zmywarki i dokładnie wytarła stół, chociaż zdawał się czysty. Potem znalazła w szafce puszkę kociego jedzenia, otworzyła ją, wyjęła z szuflady łyżkę, ukucnęła i wyłożyła zawartość puszek do kociej miseczki. I nagle zastygła w bezruchu. Siedziała na podłodze w kuchni i w jakiś absurdalny sposób nagle poczuła spokój. Jakby wreszcie znalazła swoje miejsce, nawet jeśli nie było ono szczególnie wygodne. Zdobyła się nawet na uśmiech. Siedząc tak i zbierając siły, śmiała się sama do siebie z własnej paranoi. W końcu wstała, nakryła puszkę plastikową pokrywką i wstawiła resztkę kociego jedzenia do lodówki. Przemogła ochotę, żeby znów usiąść na podłodze.

Pauline Berg rozkoszowała się filmem. Oglądała go już wiele razy, zawsze z przyjemnością. Nagle na dole ekranu, zasłaniając Julię Roberts, pojawił się pasek, zapowiadający dodatkowe wydanie „Wiadomości” za dziesięć minut. Wzdrygnęła się. Wiadomości, dla których przerywano zwykły program, rzadko były dobre. Przełączyła na gazetę telewizyjną, ale nic nie przykuło jej uwagi, więc pozostało jej tylko czekać. Nie była już w stanie skupić się na filmie, próbowała przywołać do siebie kotka Gorma. Szukała go w domu, wyjrzała na taras, ale zwierzę się nie pokazało. Zwykle zjawiał się na posiłki punktualnie, ale ostatnio bardzo się usamodzielił. W nowym miejscu zyskał swój rewir, którego musiał pilnować. Czasem

w nocy dochodziły do niej odgłosy zaciekłych kocich walk, potem wracał rano poraniony i zmęczony, ale dumny jak paw. Nie miała wątpliwości, że zmiana dobrze mu zrobiła.

Pauline usiadła z powrotem na fotelu w samą porę na dodatkowe wydanie „Wiadomości”. Włączyła dźwięk, który wcześniej wyciszyła, żeby móc usłyszeć kotka. Na ekranie ukazał się obraz studia telewizyjnego, zwróciła uwagę na poważne miny prowadzących i nagle telewizor wydał cichy jęk i się wyłączył. Zniknęły i obraz, i dźwięk, nawet świecąca na czerwono lampka czuwania zgasła. Pauline próbowała wyłączyć telewizor pilotem i ponownie go włączyć, ale bezskutecznie. Wciskała kolejno różne przyciski, ale na próżno. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to to, że przy jej obecnym kryzysie finansowym może to oznaczać kilka miesięcy bez telewizora, szybko jednak przypomniała sobie, że telewizor jest nowy, kupiła go zaledwie pięć miesięcy temu, więc na pewno jest jeszcze na gwarancji.

Poirytowana poszła do swojego gabinetu i włączyła komputer. Na zewnątrz krople deszczu uderzały o szybę; lekkie, nieregularne stuknięcia. I wycie wiatru. Poczowała się obnażona, zaciągnęła zasłony. Jak tylko jej laptop się włączył, otworzyła internetowe wydanie „Dagbladet”. Niemal z niedowierzaniem zauważyła, że została przekierowana na stronę muzeum w Luwrze, chociaż prawidłowo wpisała adres: dbnews.dk. Spróbowała ponownie, wpisując tym razem dr.dk, z takim samym skutkiem jak poprzednio. Wpisała jeszcze trzy inne adresy, za każdym razem sytuacja się powtarzała. Była już świadkiem wielu dziwnych zjawisk, ale czegoś takiego nigdy do tej pory nie widziała. Zastanawiała się, czy nie zresetować komputera, ale wcześniej postanowiła jeszcze sprawdzić pocztę, nawiązać kontakt ze światem, skoro i komórka, i telewizor odmawiały posłuszeństwa. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła na ekranie znane okienko. Nie może popadać w paranoję. Zauważyła, że trzech jej znajomi są dostępni na czacie, wybrała kolegę jeszcze ze szkoły, którego zwykle unikała, bo należał do jej wielbicieli, co ją denerwowało, uznała jednak, że dzisiaj, kiedy wszystko szło nie tak, nieco uwielbienia z pewnością jej nie zaszkodzi.

Księżniczka Pauline mówi: Cześć, Mads. Oglądałeś „Wiadomości”? Mój telewizor padł.

Mads z Rødvore mówi: Pauline, super, że cię słyszę!!! Oglądałem „Wiadomości”, co chcesz wiedzieć?

Księżniczka Pauline mówi: Czego dotyczyły?

Mads z Rødvore mówi: Powinnaś wiedzieć. Chyba nadal jesteś gliną, no nie?

Księżniczka Pauline mówi: Tak, jestem, ale obecnie na zwolnieniu. O co chodzi?

Mads z Rødovre mówi: Dlaczego to piszesz, przecież ci nie dokuczałem.

Księżniczka Pauline mówi: O co ci chodzi?

Mads z Rødovre mówi: $\frac{1}{3}$ $\frac{2}{3}$ $\frac{1}{8}$ $\frac{3}{8}$ $\frac{5}{8}$ $\frac{7}{8}$ $\frac{5}{8}$ $\frac{3}{8}$ $\frac{1}{8}$ $\frac{1}{3}$

Księżniczka Pauline mówi: Wyszedł z tego jakiś bełkot, spróbuj jeszcze raz.

Mads z Rødovre mówi: Wiedzmo z kruczoczarnymi włosami, wybiła twoja godzina...

Księżniczka Pauline mówi: Chyba z żółtozielonymi?

Mads z Rødovre mówi: Nie, z czarnoczarnymi, dziwko przebrzydła.

Mads z Rødovre mówi: Nadaje wiadomości, zaczyna wiadomości, lubi wiadomości.

Spojrzała zdenerwowana przez ramię w stronę drzwi, prowadzących do jej gabinetu, podczas gdy poczta zniknęła z jej ekranu, a klepsydra poinformowała, że komputer wykonuje operację, z którą ona nie ma nic wspólnego. Nagle na ekranie pokazała się twarz, zapłakana i przerażona. Natychmiast ją rozpoznała. Z głośników dobiegł ją błagalny głos dziewczyny, rzucającej głową na boki w daremnej próbie uniknięcia swego przeznaczenia.

– Nie chcę, nie wolno ci tego zrobić, proszę, przestań, dobrze?

– On jest na nią zły, ona jest niegrzeczna, ona dostanie jeszcze jeden cios pałką.

– Nie, zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.

– Wszystko, o co on prosi, wszystko, co on powie? Ona ma tak mówić.

– Zrobię wszystko, co on powie, o co on mnie poprosi.

– Niech opowie o piosence.

– *Ta piosenka jest dla ciebie, Pauline.*

– *Niech ona nie płacze, kiedy to mówi. Bo zaraz naprawdę będzie miała powód do płaczu.*

– *Przepraszam, już przestaję. Tylko nie rób tego, proszę.*

– *Więc niech powie to jeszcze raz z uśmiechem na swojej paskudnej gębie.*

Pauline patrzyła jak sparaliżowana, jak Jeanette próbuje się uśmiechać, podczas gdy łzy lecą jej po policzkach. Film trwał dalej:

– *Ta piosenka jest dla ciebie, Pauline.*

– *Teraz niech ona zaśpiewa piosenkę.*

– *„Potrafisz zgadnąć, gdzie on jest, włożył maskę, maseczkę, laleczkę, maseczkę...”*

– *Nie, ona źle śpiewa. Bo włożył maskę, to właśnie jest zabawne. Ona jest głupia. Niech ona zaśpiewa jeszcze raz, tym razem tak, jak powinna, bo jak nie, to dostanie pałkę.*

Przerażona Jeanette Hvidt zaśpiewała jeszcze raz. Piosenka brzmiała strasznie i rozdzierająco smutno, ale to nie z tego powodu Pauline zatkała uszy dłońmi.

– *Zgadnij, gdzie on jest, zgadnij, gdzie on jest...*

Nagle piosenka ucichła, kamera została skierowana lekko w bok, kadr zastygł, obraz rozpadł się na dziesiątki tysięcy pikseli, by po kilku sekundach znów się pojawić. Teraz Jeanette Hvidt już nie płakała, siedziała przestraszona i zatykała uszy rękami, podczas gdy z tyłu ostrożnie zbliżał się do niej Belfegor. Pauline zacisnęła dłonie, Jeanette Hvidt zrobiła dokładnie to samo, demon za nią stawał się coraz większy, aż w pewnym momencie Pauline dostrzegła bacznie obserwujące ją oczy w masce i nagle zrozumiała, że na ekranie jej komputera nie ma już twarzy Jeanette Hvidt.

Odwróciła się w szoku adrenalinowym, który zaskoczył ich oboje. Stojący za nią mężczyzna zrobił krok do tyłu. Chwyciła duży ceramiczny kubek, który stał obok klawiatury, i usłyszała własny krzyk, podczas gdy jej mózg nadaremnie bombardował ją ostrzeżeniami, że to najgłupsza rzecz, jaką może zrobić. Mężczyzna cofnął się odruchowo, dając jej czas, by zdążyła przyjąć pozycję obronną na lekko rozstawionych nogach z uniesioną ręką z kubkiem. Stali tak teraz naprzeciwko sie-

bie, w odległości zaledwie kilku metrów, przez chwilę, która wydawała się trwać wieczność. Kobieta za nią zaczęła wyć jak dręczone zwierzę, ale Pauline zignorowała ją, skupiając się na przeciwniku, świadoma, że każda sekunda pracuje teraz na jej korzyść. Moment zaskoczenia minął, im dłużej patrzyła na napastnika, tym mniej się go bała. W walce maska nie była atutem, przeciwnie, ograniczała pole widzenia. Pauline zaczęła iść w jego stronę, lekko pochylona, kiwając się na rozstawionych nogach i szykując się, by kopnąć go w krocze. On jednak jakby czytał w jej myślach, bo nagle podciągnął do góry sweter i wyjął zza pasa jej pistolet.

– Teraz ona pójdzie z nim do jego samochodu.

Skierował lufę pistoletu w stronę jej żołądka, z tej odległości było wykluczone, żeby nie trafił. Nie odpowiedziała mu. Wycie Jeanette Hvidt też umilkło, ciszę zakłócał jedynie szum pracującego komputera.

– Teraz ona pójdzie z nim do jego samochodu, bo inaczej on ją zastrzeli.

Nie potrafiła powiedzieć, czy kierowała nią odwaga, czy też działała pod wpływem strachu. Może była to zwyczajna desperacja, a może podświadomość podpowiadała jej, jak bardzo nieprofesjonalne było włożenie sobie za pas pistoletu, jakby się bawili w policjantów i złodziei.

– A ty w ogóle wiesz, jak obsługuje się taką broń? Odbezpieczyłeś ją? To jest pistolet policyjny. Widzę, że chyba nigdy jeszcze nie miałeś takiego w ręku.

Jej głos drżał, słyszała to, ale udało jej się wypowiedzieć te słowa. Mężczyzna znów zrobił krok do tyłu, przekręcił pistolet, przyglądając mu się na tyle, na ile mógł przez dziury w masce.

– Nie wolno jej tak do niego mówić.

– Nie jestem głupią gąską, która przestraszy się twojej dziecinnej maski.

– Niech ona tak nie mówi, bo dostanie pałką.

– Nie widzę tu żadnej pałki, Andreasie. Chyba ją zgubiłeś.

Mężczyzna tupnął nogą.

– Niech ona tak nie mówi. Ja nie mogę... On chce, żeby...

Pauline nie bała się już pistoletu, który mężczyzna trzymał teraz luźno w ręce. Jej nieco drwiąca uwaga na temat zabezpieczenia odniosła skutek. Znów zaczęła się posuwać do przodu, prawiąc mu złośliwości.

– Kiepsko przygotowałeś to przedstawienie. Gdyby twój ojciec teraz cię zobaczył, zacząłby się śmiać. Bo widzisz, on był mężczyzną, który wiedział, jak należy wziąć dziewczynę. Wiesz o tym, prawda, Andreasie? Jasne, widziałeś, jak to robi, więc nie udawaj zaskoczonego. A ty nie jesteś mężczyzną, tylko wyrosniętym chłopcem, przez którego twoja matka cierpiała, bo...

Andreas Falkenborg upuścił broń i wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

Nie tracąc nawet sekundy, sięgnęła po pistolet i zawiedziona zauważyła, że nie ma w nim amunicji. Pomyślała o oknie. Jeśli szybko się stąd wydostanie i do-

trze do lasu, mężczyzna nie będzie miał szansy, żeby ją złapać. Ale okno okazało się zablokowane od zewnątrz. Napierała na nie z całej siły, wszystko na nic. Pozostawał jej komputer. Wyjęła wtyczkę z kontaktu i ponownie włożyła, co natychmiast spowodowało wyłączenie prądu w całym domu.

Usiadła w ciemnościach na podłodze, jej kończyny drżały, serce biło jak szalone, ale próbowała zmusić się do myślenia. Wiedziała, że jej reakcja jest normalna, i co najważniejsze, że nie wolno jej wejść w rolę ofiary. Wygrała pierwszą rundę, ale teraz on znów miał przewagę. Inicjatywa należała do niego, a poza tym mógł zdobyć jakąś broń, tym razem naprawdę niebezpieczną. Przez moment zastanawiała się, czy jest w stanie zablokować drzwi. Skończyło się na tym, że przystawiła do nich krzesło, blokując klamkę. Miała świadomość, że to nie zatrzyma go na długo. Rozsunęła zasłony, nie obawiając się tego, co może zobaczyć za oknem. Maskę jej nie przerażała, niebezpieczny był mężczyzna, który się za nią ukrywał.

Deszcz już ustał, błady księżyc rozświetlał nocny mrok, ale Andreasa Falkenborga nie było nigdzie widać. Nagle zauważyła swój samochód, stojący z prawej strony podjazdu, i przypomniała sobie o zapasowych kluczykach w szufladzie biurka. W świetle księżycy dotarła do szuflady, wymacała kluczyki i schowała je do kieszeni. Następnie zerwała jedną firankę, oderwała kawałek i owinęła nim prawą dłoń, w której nadal ścisnęła ceramiczny kubek. Pięcioma szybkimi, zdecydowanymi uderzeniami rozbiła szybę w oknie i nie zastanawiając się, zeskoczyła do ogrodu.

Kiedy stanęła na ziemi, szybko uwolniła rękę z materiału, puściła kubek i sięgnęła po duży kawałek szkła, który owinęła w kawałek firanki. Następnie wyprostowała się, rozejrzała dookoła i zawołała, ile sił w płucach:

– No, Andreasie, chcesz się bić, ty nędzna gnido?! Gdzie się chowasz?!

Zdeterminowana, ale bez pośpiechu, podeszła do samochodu, otworzyła go i wsiadła do środka. Natychmiast zamknęła drzwi, położyła swoją broń na siedzeniu pasażera i włożyła kluczyk do stacyjki. Usiłowała trafić nogą w pedał gazu, ale poczuła pod stopą coś dziwnie miękkiego. Schyliła się, chwyciła to coś, podniosła i zobaczyła swojego kotka, patrzącego na nią przez plastikową folię, owiniętą wokół jego maleńkiego łebka.

Zdusiła krzyk, szybko zerknęła za siebie, przekręciła kluczyk, usłyszała silnik i nagle poczuła zapach szpitala. Znów odwróciła głowę do tyłu i wtedy ujrzała jego groteskową maskę. Sekundę później jej usta i nos zakryła szmata. Ostatnie, co zdążyła jeszcze pomyśleć, to że mężczyzna jest niebywale silny.

Rozdział 46

W wydziale zabójstw kopenhaskiej Komendy Głównej od rana wszyscy pracowali na najwyższych obrotach. W poszukiwaniu Andreasa Falkenborga brała udział cała armia policjantów. Musiano znaleźć jego i Jeanette Hvidt, zanim będzie za późno. O ile już nie było za późno, czego, prawdę mówiąc, wszyscy się obawiali, chociaż jeszcze nikt głośno tego nie powiedział. Sprawa miała najwyższy priorytet w wielu okręgach, a w okręgach położonych najbliżej Kopenhagi postawiono na nogi kogo tylko się dało. Niejeden policjant, który miał wolne, zgłosił się dobrowolnie do pracy. W operację zaangażowało się mnóstwo mężczyzn i kobiet, a wszystkimi dowodził Konrad Simonsen. Kierował praktycznie całą akcją, jego zadaniem było wykorzystywanie pracy podległych mu ludzi najskuteczniej, jak to możliwe, oraz reagowanie i sprawdzanie wszelkich zgłoszeń, napływających od obywateli. Poprzedniego dnia sprawa trafiła na pierwsze strony gazet, radio i telewizja nadawały informacje na bieżąco. Także dzisiaj prasa powiadomiła o porwaniu Jeanette Hvidt i odnalezieniu ciała Annie Lindberg Hansson w Præstø. Chyba każdy Duńczyk wiedział już, jak wygląda Andreas Falkenborg, wielu potrafiło też rozpoznać jego białą furgonetkę i znało jej numery rejestracyjne. Dlatego telefony w miejscowych komisariatach i w Komendzie Głównej w Kopenhadze dzwoniły niemal bez przerwy.

Arne Pedersen siedział w gabinecie Konrada Simonsena i czekał, aż szef skończy kolejną rozmowę telefoniczną, trzecią w ciągu pół godziny, co było dość irytujące, ale nieuniknione. Konrad Simonsen nie mógł się odizolować od wszystkiego, a rozmowy, które do niego łączono, były już wcześniej poddane dokładnej selekcji. Rozmawiał tylko z ludźmi, którzy mogli mieć coś istotnego do powiedzenia, co jednak nie zawsze się sprawdzało. Jak na przykład w tym przypadku. Szef przewracał oczami, by po chwili z trzaskiem odłożyć słuchawkę.

- Coś ciekawego?
 - Nie, zdecydowanie nie. Idź na dół, do centrali, i zrób coś z tym, bo cały system źle funkcjonuje. Dali tam pewno niedoświadczonych ludzi, którzy boją się decydować samodzielnie, więc przełączają wszystko do mnie.
 - Zajmę się tym, kiedy tylko skończymy, czyli za chwilę.
 - Jeśli dobrze pamiętam, to nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Masz coś dla mnie, tak?
 - Dwie rzeczy. Najpierw pokażę ci film.
- Arne włączył laptopa. Konrad Simonsen stanął za nim, mruczając:
- Mam nadzieję, że nie jest długi.
 - Trwa trzydzieści dwie sekundy.
 - Okej. Co to jest?

– Skrytka bankowa w Banku Spółdzielczym w Lejre, dzisiaj przed południem, o 10:09. Jesteś gotów?

Przez pierwszych kilka sekund widać było jedynie puste pomieszczenie ze skrytkami bankowymi. Po chwili do środka wszedł mężczyzna, otworzył jedną ze skrytek i wyjął z niej szufladę. Dopiero kiedy się odwrócił, widać było, że jest to Andreas Falkenborg. Postawił szufladę na stole na środku pomieszczenia i coś z niej wyjął. Konrad Simonsen przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Co on tam ma?

– Zaraz zobaczysz. To maska Belfegora. Patrz.

Zatrzymał obraz i ujrzeni maskę straszego demona z otworami, za którymi kryły się duże, puste oczy mężczyzny.

– Jakość obrazu nie jest, jak widzisz, najlepsza, a i tak techniczka znacznie ją poprawiła, łącząc ramki, żeby...

– Nie obchodzi mnie, co zrobiła techniczka, Arne. Co to znaczy?

– Że najprawdopodobniej sam zrobił tę maskę, jeszcze jako dziecko. Pewnie z kartonu i papier mâché.

– Sądzisz, że to jest oryginalna maska? Ta, którą kiedyś straszył Agnete Bahn?

– Tak myślę. To pewnie jego najcenniejszy skarb, czy jak to się mówi. Prawdopodobnie używał jej podczas każdego morderstwa.

– Pewnie masz rację. Musimy wysłać tam swojego człowieka, a najlepiej dwóch, oczywiście w cywilu.

– Zaraz wydam polecenie.

– Dobrze. Każ też rozesłać jego zdjęcie do wszystkich banków i instytucji dysponujących skrytkami, gdyby przyszło mu do głowy wynająć jakąś w innym miejscu. Tylko pamiętajcie, że nie wolno go zatrzymać, macie go śledzić. To nasza jedyna szansa, żeby dotrzeć do dziewczyny.

– Na pewno poskutkuje to fałszywymi alarmami.

– Dlatego personel musi wiedzieć, jak on wygląda. A jeśli zdarzą się fałszywe alarmy, to trudno. Znajdź kogoś rozsądnego, kto się tym zajmie, i poproś szefową o pomoc. W takich sprawach jest świetna, jestem przekonany, że z przyjemnością nam pomoże.

– Kiedy skończymy, sprawdzę, czy jest wolna.

– Najpierw idź do centrali, potem do niej, masz jej zostawić wiadomość, nawet jeśli będzie zajęta.

– Jasne, szefie.

– Poproś też, żeby skontaktowała się ze Szwedami, może namówi ich na podobną akcję w rejonie Malmö i Helsingborga.

– Zanotowałem.

– Dobrze, masz coś więcej?

– Nie, ale jest jeszcze jedna sprawa.

– Mianowicie?

– Zastanawialiśmy się z Hrabianką, że to dziwne, że wiedział, gdzie jest Jeanette Hvidt. To była tajemnica, którą znało jedynie kilka osób. Poza tym pytaliśmy jego adwokatkę, jak to możliwe, że tak nagle zjawiała się w areszcie. Okazało się, że we wtorek po południu zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej, którą ona odebrała w środę w południe.

– Co jej przekazał?

– Że zostanie aresztowany w środę rano i umieszczony w miejscu, które nazywa się HS.

Zadzwoił telefon, Konrad Simonsen zignorował go. Podniecony niemal zawołał:

– Co ty mówisz, do diabła? Powiedział HS?

– Tak, użył skrótu, którym się zwykle posługujemy. Ludzie mówią Komenda Główna. Tyle że on użył określenia: „miejsce, które nazywa się HS”. Najwyraźniej nie wie dokładnie, co ten skrót oznacza. Natomiast ciekawe, skąd wiedział o planowanym aresztowaniu... Prawdę mówiąc, była to jeszcze większa tajemnica niż ta, że Jeanette Hvidt ma jechać do swojego wuja w Helsingør. Dlatego zadałem sobie trochę trudu, żeby ustalić, kto z nas co wiedział i w którym momencie. Niestety, odpowiedź jest tylko jedna.

Konrad Simonsen domyślał się, do czego Arne zmierza, mimo to spytał:

– Kogo podsłuchuje?

– Ciebie.

Inspektor zareagował spokojnie. Wyjął z teczki swoje prywatne klucze i położył je przed kolegą.

– Dopilnuj, jeśli to możliwe, żeby byli to ludzie, którzy nie znają mnie osobiście. Jeśli coś znajdą, niech tego nie ruszają, może w ten sposób uda nam się go zwabić. Niech sprawdzą też u Poula, u ciebie i u Pauline. Może nawet i u Maltego. I tak samo jak u mnie: jeśli coś znajdą, niech niczego nie ruszają, oczywiście pod warunkiem że osoba, u której znajdą sprzęt, się na to zgodzi.

– Natychmiast każę wszystko sprawdzić.

– Spokojnie, to akurat nie jest najpilniejsze, nikogo z nas nie ma teraz w domu. Masz coś jeszcze?

– Nie, już nic więcej.

– To bierz się do roboty.

Mijały kolejne godziny, ale nikomu nie udało się trafić na ślad mężczyzny, którego szukał cały kraj. Konrad Simonsen nie dał niczego po sobie poznać, kiedy okazało się, że podejrzenia Arnego były słuszne. Zarówno jego mieszkanie, jak i mieszkania Arnego i Hrabianki były naszpikowane elektroniką. Wszędzie było mnóstwo małych mikrofonów, podłączonych do centrali, która przekazywała

rozmowy przez sieć komórkową do angielskiego serwera. Prawdopodobnie zostały zainstalowane tuż po jego podróży na Grenlandię. Także popołudniu, kiedy sprawa przybrała nowy, nieoczekiwany i dość osobisty obrót, Konrad Simonsen zachował kamienną twarz, w przeciwieństwie do swoich dwóch najbliższych współpracowników. Arne Pedersen i Poul Troulsen wpadli do gabinetu szefa z paniką w oczach. Inspektor przerwał prowadzoną rozmowę telefoniczną, odkładając po prostu słuchawkę. Założył, że zapewne znaleziono ciało Jeanette Hvidt. Poul Troulsen wyprowadził go szybko z błędu, wołając:

– Ma Pauline!

Czas jakby się na moment zatrzymał, mieli wrażenie, że wiadomość nie do końca dotarła do Konrada Simonsena. Wreszcie powiedział cicho:

– Mów.

Arne Pedersen zaczął płakać, więc po chwili Poul zaczął opowiadać:

– Nie mogliśmy się z nią skontaktować, więc w końcu technicy od mikrofonów, ci faceci z wywiadu policyjnego, pojechali do niej do domu. Na podjeździe stał jej samochód, drzwi były otwarte, jedno z okien w domu było wybite, a obok samochodu leżał jej kot.

– Leżał obok samochodu? Co to znaczy?

– Był martwy, łebek miał owinięty folią.

– Został uduszony, jeśli dobrze rozumiem?

– Nie do końca...

– Wyrażaj się precyzyjniej, człowieku!

Poul Troulsen wziął się w garść, ale złość szefa nie działała na niego mobilizująco, wręcz przeciwnie.

– Najpierw ktoś skręcił mu kark, dopiero potem owinał głowę folią. Folia pochodzi z kuchni Pauline, technicy zdejmują właśnie odciski palców. Wygląda na to, że dość swobodnie poruszał się po jej domu, był niemal wszędzie.

Pytanie, które Konrad Simonsen teraz zadał, było najtrudniejsze w całej jego karierze, ale głos policjanta nie zdradzał żadnych emocji.

– Wiadomo, czy ona nie żyje?

– Nie. Podejrzewamy, że gdzieś ją wywiózł, ale nie znamy żadnych szczegółów. Ludzie z psami już tam jadą.

Nagle odezwał się Arne Pedersen:

– Jej kotek wabił się Gorm.

Powiedział to jakby sam do siebie. Konrad Simonsen spojrzał na niego i natychmiast zarządził:

– Poul, pojedziesz do domu Pauline i przejmiesz dowodzenie akcją, niezależnie od tego, czy są tam ludzie z wywiadu policyjnego, czy nie. Nie pozwól, żeby technicy wchodzili ci w drogę, nawet jeśli będą marudzić o niszczeniu śladów w miejscu przestępstwa i straszyć Melsingiem. W takim przypadku szybkość dzia-

łania ma większe znaczenie niż dowody. Rozumiemy się? Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że to najważniejsza sprawa w całej twojej karierze. Podejmuj wszelkie konieczne decyzje i nie wahaj się. Poprę cię, cokolwiek postanowisz. Rozumiemy się?

– Tak.

– Rano Arne wezwał kilku doświadczonych ludzi, żeby ewentualnie wymienili obecnie pracujących, weź ich teraz ze sobą.

– Okej.

– Jeśli Pauline żyje, liczy się każda chwila.

– Jeśli ofiara porwania nie zostanie odnaleziona w ciągu pierwszej doby, wzrasta prawdopodobieństwo, że...

– Tak, wiem, wiem. Ruszaj.

Poul Troulsen pospiesznie opuścił gabinet szefa. Konrad Simonsen zwrócił się do Arnego:

– Arne, jedź do domu, ale najpierw znajdę kogoś, z kim będziesz mógł porozmawiać.

– Psychologa? Jestem po prostu przygnębiony, dlaczego...

– Kolegę, może pielęgniarkę, niestety sam nie mam czasu, żeby się tobą zająć. No, chodź.

Arne wstał z ociąganiem i pozwolił się zaprowadzić do drzwi. Łzy leciały mu po policzkach, ale nawet nie starał się ich powstrzymać.

– Obiecujesz, że ją znajdziesz, Simon?

– Oczywiście. Na pewno ją znajdę.

– Na pewno? Przysięgasz?

– Na pewno. Masz moje słowo.

Kiedy Konrad Simonsen został sam w swoim gabinecie, musiał chwilę się skupić i wszystko przemyśleć. Kiedy Poul i Arne przekazali mu wiadomość o tym, co przydarzyło się Pauline, stracił na moment kontrolę nad pęcherzem, ale dopiero teraz poczuł, że jedna nogawka jego spodni jest wewnątrz wilgotna od moczu. Siedział jak w transie, nieruchomo jak sfinks, ale jego mózg pracował na pełnych obrotach. W pewnym momencie chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Hrabianki, która była w Helsingør. Bez owijania w bawełnę poinformował ją o zaistniałej sytuacji i polecił natychmiast wrócić do Komendy Głównej. Kiedy skończył rozmawiać, poczuł, że jest zlany potem, a serce bije mu jak oszalałe. Próbował zignorować swoje ciało i skupić się na pracy. Nie udało mu się, strach go przygniatał. Zdjął koszulę, ściągnął przez głowę podkoszulkę. Była mokra, jakby przed chwilą wyjął ją z pralki. Powoli policzył kilka razy do dziesięciu, wyrecytował na głos wszystkie dni tygodnia, potem miesiące, po czym znów zaczął liczyć do dziesięciu. Opanował się po dobrych kilku minutach. W głębi szuflady w biurku znalazł butelkę koniaku, pociągnął potężny łyk, schował butelkę z powrotem do szuflady i zapalił pa-

pierosa. Dopiero kiedy skończył palić, odzyskał jako taką równowagę. Z walizki, którą na wszelki wypadek zawsze trzymał w gabinecie, wyjął zapasowe ubranie i przebrał się. Wkrótce potem zadzwoniła Anna Mia. Udał, że są problemy na linii, odłożył słuchawkę i nie zareagował na kolejne dwie próby połączenia, będąc jednocześnie wdzięczny losowi, że jego córkę dzielą w tej chwili tysiące kilometrów od Andreasa Falkenborga. Potem pomyślał o Jeanette Hvidt i o Pauline Berg i nieco sarkastycznie obiecał sobie, że nie umrze, zanim nie znajdzie obu kobiet. Ironia przyćmiła nieco jego niepokój, ale po raz pierwszy dotarło do niego jasno i wyraźnie, że jego możliwości nie są nieograniczone.

Dobre trzy kwadransy później do komendy wróciła Hrabianka i od razu przyszła do gabinetu Konrada Simonsena, który właśnie kończył rozdzielać zadania niewielkiemu gronu funkcjonariuszy. Zauważyła, że tylko nieliczni z nich, wychodząc od inspektora, przywitali się z nią, większość unikała jej wzroku, jakby była objęta jakimś tabu. Usłyszała, jak Konrad Simonsen woła za nimi:

– Pamiętajcie, że nie wolno wam go aresztować! Macie go tylko śledzić! Dopilnujcie, żeby to do wszystkich dotarło. Macie go jedynie śledzić!

Mężczyźni potwierdzili zmęczonym skinieniem głowy. Pewnie powtarza im to co najmniej trzeci raz, pomyślała Hrabianka. Kiedy zostali sami, spytała:

– Coś nowego?

– Nie, nic. Było dużo telefonów z informacjami na temat jego furgonetki, większość niestety była zupełnie bezużyteczna, ale mam nadzieję, że to tylko kwestia czasu.

Spojrzał jej głęboko w oczy, jak kolarz, dający się przekupić rywalowi na etapie górskim. Wytrzymała jego wzrok, wiedząc, że poddaje ją próbie. W końcu, po chwili, która wydała się jej wiecznością, Simon powiedział:

– Widzę, że jesteś gotowa.

Wyczuła w jego tonie nutkę żalu, ale postanowiła to zignorować. Simon mówił dalej:

– Arne odchodzi od zmysłów, ale nie chce słyszeć o pójściu do domu. Sam zlałem się w gacie jak dzieciak, kiedy przekazali mi wiadomość, a ty... Ty po prostu jesteś gotowa.

Kiedy Hrabianka się odezwała, w jej głosie był pewien dystans.

– Ja już raz to przeżyłam, Simon. Wy nie. Wiele lat temu miałam syna, którego już nie mam. Nie ma niczego gorszego. Ale nie chcę o tym rozmawiać, ani z tobą, ani z nikim, nigdy. Powiedz mi, co mam robić.

Przyjął do wiadomości jej słowa, chociaż nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Podzieliła się z nim czymś, ale też go odtrąciła. Wszystko to wymagało czasu, którego w tej chwili nie miał. Wydał jej więc tylko polecenie i pomyślał, że od razu powinien był to zrobić, bez niepotrzebnych dywagacji.

– Tak jak powiedziałem, Arne nie nadaje się do niczego, a ja teraz nie mam

dla niego czasu. Zajmij się nim. Spróbuj go przekonać, że powinien jechać do domu, ale trzymaj go ode mnie z daleka i zabierz mu pistolet. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, bylebyś mu go zabrała. Na pewno nie potrzeba nam teraz takiej armaty na pokładzie. W tym momencie jest to nasz priorytet, rozumiesz mnie?

– Tak, gdzie on teraz jest?

– Nie mam pojęcia, dowiedz się.

– Jak sobie radzi Ernesto? Też do niczego się nie nadaje?

– O dziwo wręcz przeciwnie. Podejrzewam, że łyknął jakieś pigułki, ale skoro nie wpływają na jego myślenie, to nic mnie to nie obchodzi. To znaczy, cieszę się, że może być nam przydatny. Przywiozłaś coś, co należało do Jeanette Hvidt, tak jak prosiłem?

Hrabianka wyjęła z torebki jedwabną chustkę. Była w różnych odcieniach niebieskiego, w złote wzory. Konrad Simonsen spojrział na nią podejrzliwie.

– Wygląda na drogą.

– Louis Vuitton, tysiąc pięćset koron, jeśli dobrze pamiętam.

– Nie mogłaś wybrać czegoś bardziej codziennego?

Hrabianka zaczęła mu spokojnie tłumaczyć:

– To jej wuj ją wybrał, nie ja. Dostała ją na osiemnaste urodziny i bardzo się z niej cieszyła.

– No dobrze, w porządku. Znajdź też coś, co należy do Pauline. Poszukaj najpierw w jej biurze, sprawdź szuflady jej biurka. Jeśli niczego nie znajdziesz, pojedź do niej do domu. Jest tam Poul i całe mnóstwo ludzi, ale nie zwracaj na nich uwagi. Potem jedź do Høje Taastrup, czeka na ciebie. W drodze powrotnej zajrzyj do domu i przywieź nam coś do przebrania. Nie możemy liczyć, że wrócimy do domu, zanim to wszystko się skończy.

– Rozumiem.

– I zadzwoń, jeśli ona będzie w stanie ci coś powiedzieć.

– Ona, czyli twoje medium, jak rozumiem?

– Tak.

– Dlaczego nigdy nie wymawiasz jej imienia?

– Ona tego nie lubi. Ale jest jeszcze jedna rzecz, być może najważniejsza.

– Słucham.

– Cały czas będę cię informował o tym, co robię. Pół godziny temu źle się poczułem. Nie byłem w stanie pracować, chociaż bardzo chciałem, dlatego w każdej chwili, gdyby zaistniała taka konieczność, musisz być gotowa przejąć sprawę.

Przez moment zdawała się wzburzona, potem odezwała się niepewnie:

– Nie sądzę, żeby...

– Nikt inny nie jest w stanie tego zrobić. Ty jesteś. Musisz być przygotowana, gdyby zaszła taka konieczność. Poza tym ta kwestia nie podlega dyskusji, to polecenie służbowe, rozumiesz mnie?

Hrabianka wstała z krzesła, obeszła biurko i położyła ręce na jego głowie.

– Tak, Simon, rozumiem cię.

Pozwolili sobie na kilka sekund bez słów. Nagle poczuła, że Simon wkłada jej do ręki twardy, kanciasty przedmiot. Puściła go i spojrzała na niego zdziwiona. Była to małeńka figurka wycięta z kości.

– Amulet. Piękny.

– Odgania złe duchy.

– Każdy to wie.

– Dostałem go na Grenlandii od Tronda Egede. Wiem, że to zabrzmia głupio, ale możesz nosić go w kieszeni?

Pocałowała go w czoło, zadowolona z podarunku, ale też nieco rozdrażniona. Simon wielokrotnie podkreślał, że nie jest przesądny, jednak gdy przychodziło co do czego... Odsunęła od siebie tę myśl, po co miała to mówić? Znow go pocałowała, tym razem bardziej namiętnie, nie przejmując się tym, że w każdym momencie ktoś mógł wejść do gabinetu.

I rzeczywiście, po chwili do pokoju wparował Poul Troulsen, popychając przed sobą policjanta. Kazał mu stanąć na środku pokoju, jakby był manekinem, i polecił ostrym tonem:

– Mów, tylko krótko.

Asger Graa zaczął opowiadać, a Konrad Simonsen i Hrabianka słuchali z niedowierzaniem, a potem długo się nie odzywali. Asger Graa zaczął nieśmiało przeproszać:

– Naprawdę jest mi strasznie przykro, rozumiem też, że moje szanse na...

Poul Troulsen przerwał mu brutalnie:

– Milcz.

Konrad Simonsen pokręcił głową, Hrabianka zwróciła się do skruszonego mężczyzny i kazała mu odejść. Asger Graa wyszedł z gabinetu zgarbiony. Jeszcze zanim zamknęły się za nim drzwi, Poul zaczął opowiadać im o swoim pobycie w domu Pauline.

– Znamy już mniej więcej przebieg wydarzeń, ale nie mamy praktycznie niczego, co pomogłoby nam trafić na ich trop.

Konrad Simonsen był tego samego zdania. Tego się spodziewał i obawiał zarazem.

– Hrabianka ma kilka rzeczy, którymi musi się pilnie zająć, więc zacznij od konkluzji. Jest szansa, że Pauline i Jeanette Hvidt żyją?

– To wydaje się bardzo prawdopodobne.

Konrad Simonsen odwrócił się do Hrabianki, ale ona już wyszła. Kontynuował więc wypytywanie Poula.

– Powiedz, co tam się wydarzyło?

– Odciski palców Andreasa Falkenborga są w całym domu, wszedł chyba do

każdego pokoju, prawdopodobnie wtedy, kiedy Pauline była poza domem. Być może po prostu pojechała do miasta na zakupy.

– Kiedy to było?

– Wczoraj przed południem albo nieco później. Technik znalazł jego odciski palców na kartonie mleka w jej lodówce. Data produkcji się zgadza. Sprawdzamy teraz, kiedy ostatnio używała swojej karty kredytowej.

– Dotykał kartonu z mlekiem? Dlaczego?

– Trudno powiedzieć, pewnie chodził po domu i brał różne rzeczy do ręki.

– Co jeszcze wiadomo?

– Manipulował przy jej komputerze, technicy teraz go badają. Telewizor też jest zniszczony, wygląda na to, że spowodował spięcie.

– Rozumiem.

– Wieczorem, pewnie gdzieś koło jedenastej, zamknął ją w jednym z pokoi, Pauline miała przy sobie pistolet, ale bez amunicji.

– To brzmi dziwnie.

– To rozważania czysto teoretyczne, które być może w najbliższym czasie się zmieniają. Bardziej niż na wydarzeniach w domu, skupiłem się na tym, dokąd mógł ją zabrać.

– Oczywiście, mów dalej.

– W pewnym momencie wydostała się z pokoju, w którym ją zamknął. Ponieważ przyśrubował okna od zewnątrz, żeby nie mogła ich otworzyć, wybiła szybę.

– Daruj sobie szczegóły, Poul.

– One są ważne. W każdym razie, kiedy udało jej się wyjść przez okno, sprowadziła z kawałka szkła rodzaj broni, owinęła je materiałem. Znaleźliśmy to w jej samochodzie, niestety nie użyła go. Andreas najwyraźniej już tam na nią czekał, pewnie schował się na tylnym siedzeniu. Przykrył jej twarz szmatą nasączoną chlo-roformem. Samochód został zabrany na badania techniczne.

– Co z nią potem zrobił?

– Pewnie przeniósł ją przez las za jej domem do swojego samochodu, który zostawił po drugiej stronie. Psy cały czas szły ich śladem, ale potem zgubiły trop.

– To była furgonetka?

– Znaleźliśmy odciski opon, badamy je, ale pierwsze wyniki potwierdzają naszą hipotezę. A tak przy okazji, to spodziewam się, że technicy będą się na mnie skarżyć.

Konrad Simonsen dał znać gestem ręki, że niewiele go to w tej chwili obchodzi. Dążył dalej:

– Co z tym kotem?

– Leżał martwy obok jej samochodu. Ktoś najpierw przetrzącił mu kark, a potem owinął mu łebek folią kuchenną. Może chciał w ten sposób przestraszyć Pauli-

ne?

- Myślisz, że ona na to patrzyła?
 - Raczej nie, ale to nie jest jasne. Pewnie podrzucił go gdzieś, musiała przeżyć szok na jego widok.
 - Co z kluczykami do samochodu?
 - Były w zamku.
 - A kluczyki zapasowe?
 - Niech to szlag, to nam umknęło. Nie sprawdziłem, gdzie są.
 - To pewnie bez znaczenia. Mamy stuprocentową pewność, że żyła, kiedy niósł ją przez las?
 - Pewności nie mamy, ale przypuszczamy, że tak było.
 - Dlaczego?
 - Bo znaleźliśmy rolkę taśmy klejącej obok jej samochodu, a to jego ulubiony środek pomocniczy.
 - Nie używałby jej do unieruchomienia zwłok i nie usypiałby kobiety, żeby zaraz ją zabić. Taki był wasz tok myślenia?
 - Tak i raczej nie jest to myślenie życzeniowe.
 - Zapewne, coś jeszcze?
 - Znalazłem rachunek za parę brązowych soczewek kontaktowych, co by się zgadzało z tym, co ten kretyn przed chwilą opowiadał o kolorze oczu Pauline.
 - To nie brzmi szczególnie interesująco.
 - Owszem, ponieważ samych soczewek nie znaleźliśmy.
 - Myślisz, że miała je na sobie, że tak powiem?
 - Nie, zniknęło całe pudełko. Sprawdzaliśmy nawet w koszu na śmieci. Podejrzewam, że Andreas Falkenborg zabrał je ze sobą. Przykro mi.
- Konrad Simonsen westchnął ciężko.
- Myślisz, że każe jej je włożyć, kiedy postanowi ją zabić?
 - No cóż, tak to wygląda. Zwykle to robi: zabija je.

Rozdział 47

Odurzenie eterem spowodowało, że Pauline rozboleła głowa. Sytuację pogarszał diabelski hałas, który atakował ją w równych odstępach czasu, wręcz rozrywał jej bębunki. Nie była w stanie niczego dostrzec, powoli, stopniowo zaczęła uświadamiać sobie własną sytuację. Poczwała w ustach szmatę, przytwierdzoną dodatkowo taśmą klejącą, która drażniła jej policzki, kiedy odwracała głowę, a robiła to za każdym razem, gdy uderzała w nią kolejna fala hałasu. Na twarzy czuła jakiś materiał, miała wrażenie, że jest to wewnętrzna strona płaszcza, ale jedwabna syntetyczna poszewka nie zakrywała jej dokładnie, bo kiedy schylała nieco głowę, mogła dostrzec promień światła i kawałek betonowej podłogi. Przez szparę w materiale wdzierał się suchy, biały pył, wywołując napady duszącego kaszlu, szmata w ustach uniemożliwiała jej normalne oddychanie. Drobinki pyłu pojawiały się razem z hałasem, szybko nauczyła się wstrzymać oddech, kiedy czuła, że nadchodzi kolejna fala. Silne zewnętrzne bodźce sprawiły, że dopiero po dłuższej chwili zainteresowała się własnym ciałem. Uzmysłowała sobie, że siedzi na krześle, które, gdy próbowała nim poruszyć, nie przesunęło się nawet o milimetr. Poza tym jej ręce były w nadgarstkach przykute kajdankami do podłokietników.

Minęło sporo czasu, zanim zaczęła rozróżniać docierające do niej dźwięki. Kiedy hałas ustawał, słyszała pobrzękiwanie narzędzi, od czasu do czasu charakterystyczne szuranie szczotki, a potem jakby ktoś zmiatał coś na szufelkę, jakieś skrobanie, odgłos kroków. Od czasu do czasu dobiegało ją pojękiwanie, jakby ktoś ciężko fizycznie pracował, niekiedy rozlegał się też okrzyk, ale nie rozumiała słów. Po jakimś czasie hałas został zastąpiony odgłosami kopania, wtedy nie miała już wątpliwości, że Andreas Falkenberg przygotowuje miejsce jej ostatniego spoczynku, gdzieś pod betonową podłogą. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje strachu. Nie przeraziła się też, kiedy odkryła, że gdy była nieprzytomna, mężczyzna założył jej soczewki kontaktowe.

Całkowicie straciła poczucie czasu, nie potrafiła powiedzieć, ile godzin minęło od momentu, kiedy ręce mężczyzny delikatnie zdjęły materiał z jej głowy i wyjęły knebel z ust. Oślepiło ją białe, rażące światło, zamrugła i po chwili odzyskała wzrok. Jej oprawca miał na twarzy maskę, poza tym był ubrany w koszulę z podwiniętymi rękawami i szorty, dość niezwykle zestawienie. Zauważyła też, że bardzo się pocił. Tuż przed nią, tak jak się tego spodziewała, wykopany był dół, prostokąt o wymiarach mniej więcej metr na półtora, niemal równoległy do ściany. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było najwyraźniej piwnicą. Betonowe ściany były białoszare, na jednej z nich wisiał metrowy, pomalowany na czarno drewniany krzyż, z sufitu zwisała goła żarówka, rzucająca ostre światło. Z lewej strony dostrzegła czerwone metalowe drzwi, poza tym było pusto. Oczywiście, nie

licząc krzesła, na którym siedziała. Spojrzała w dół i zauważyła, że było przytwierdzone na stałe do betonowej podłogi. Wtedy też spostrzegła, że oprócz niej w pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba. Po prawej stronie, obok jej krzesła stało bowiem drugie, na którym siedziała Jeanette, przykuta do niego tak samo jak ona.

Andreas Falkenborg stał i przyglądał się im dłuższą chwilę przez swoją maskę. Pauline słyszała, jak Jeanette walczy z płaczem, słyszała jej łkanie. Pomyślała, że niezależnie od sytuacji, która zdawała się beznadziejna, nie wolno jej okazać strachu. Zastanawiała się, co powiedzieć, kiedy nagle usłyszała Jeanette:

– Niech on zabije policjantkę, dobrze? Ja zrobię wszystko, co on mi każe. Zawsze robię to, o co on mnie prosi.

Słowa Jeanette zabrzmiały zadziwiająco rozsądnie. Pauline wcześniej o tym nie pomyślała, ale wykopany przez mężczyznę dół rzeczywiście mógł pomieścić tylko jedno ciało. Rzecz jasna zwróciła też uwagę na sposób, w jaki dziewczyna zwracała się do mężczyzny, no i na jej brak solidarności, czego w tych okolicznościach nie można było mieć jej za złe. Spytała neutralnie:

– Mogę prosić o trochę wody?

Andreas Falkenborg natychmiast napadł na nią jak jastrząb:

– Ona ma powiedzieć: Czy on może dać jej trochę wody?

– Jeśli mam umrzeć jako pierwsza, to trudno, ale jestem bardzo spragniona. Dasz mi trochę wody? Naprawdę chce mi się pić. Dlaczego pozwalasz, żebym tak cierpiała? To przecież nie w twoim stylu.

Uważała, żeby go nie prowokować. Była przekonana, że zamierzał im obu zgotować straszną śmierć, nie wiedziała tylko, kiedy ona nastąpi i w jakiej kolejności zginą. Jednakże mężczyzna nie był sadystą. Zapewne nie chciał dręczyć jej dla przyjemności samego dręczenia.

Był zły.

– Ona źle mówi, ona nie dostanie wody.

Zastanowiła się moment i zdecydowała, że mu się podporządkuje.

– Czy on zechce dać mi łyk wody? Jestem bardzo spragniona.

Andreas Falkenborg poprawił maskę i wyraźnie się zastanawiał. Pauline pomyślała, że musi mu być w niej gorąco i nieprzyjemnie. W końcu się odezwał:

– Niech ona poprosi jeszcze raz.

– Czy on da mi trochę wody?

– Ona dostanie wodę, ale musi poczekać.

Mężczyzna wyszedł z pokoju. Ciężkie metalowe drzwi zamknęły się z hukiem, ale zdążyła jeszcze zobaczyć piwniczny korytarz w głębi. Kiedy zostały same, Jeanette wyszeptała do niej:

– Nie mów mu przykrych rzeczy, bo zaczną nas bić pałką. To okropne.

Pauline pamiętała pałkę z nagrania wideo, poza tym groził jej nią jeszcze u niej w domu.

- Co to za pałka?
- Bije nią, to okropnie boli.
- Może to elektryczna pałka? Taka, jaką pogania się krowy?
- Nie wiem, możliwe. Nie wyobrażasz sobie, jakie to straszne.
- Nie widzę tu żadnej pałki.
- Nie trzyma jej tutaj, tylko...

Drzwi znów się otworzyły i Jeanette Hvidt zamilkła. Andreas Falkenberg powrócił z dzbankiem wody. Postawił go przed Pauline.

- Niech ona otworzy swoją wstrętną gębę.

Pauline otworzyła usta i odchyliła głowę do tyłu. Mężczyzna zaczął ostrożnie lać jej wodę do ust, robiąc od czasu do czasu przerwy, żeby mogła zaczerpnąć powietrza. Piła chciwie, nie myśląc o tym, żeby zostawić trochę dla Jeanette. Dopiero kiedy nie mogła już więcej wypić, a w dzbanku zostało zaledwie kilka łyków, spytała:

- Może on da też trochę Jeanette?

Andreas Falkenberg wlał dziewczynie do ust resztkę wody, postawił dzbanek na podłodze i powiedział:

- On będzie ciągnął losy, która pierwsza trafi do torby. Tak on sobie życzy.

Pauline spytała szybko:

- A on nam powie, kiedy to się stanie?

– Jutro jedna z nich trafi do torby. Jutro, kiedy on zdobędzie cement na jej grób.

- A ta druga? Co on zrobi z drugą?

– Ona też trafi do torby. On o to zadba. Obie trafią do torby. Najpierw jedna, wtedy ta druga będzie się bać.

Mężczyzna poprawił maskę i zaczął recytować dziecięcą rymowanekę, dotykając delikatnie kolan obu kobiet.

- *Ohn Dohn Dehn, Mamma Futta Fehn...*

Pauline przerwała mu z pogardą w głosie:

– Przestań mnie macać, ty chutliwa stara świni! Gdzie twoje maniery, Andreasi?

Mężczyzna raptownie się cofnął. Pauline liczyła jedynie na cud. Była zdesperowana, wiedziała, że musi coś zrobić. Andreas Falkenberg wydawał się wstrząśnięty.

– Przepraszam, nie chciałem... Ja... On... On wcale nie chce dotykać jej paskudnych ud. Niech ona tak nie mówi, on nie chce, fuj! Fuj, fuj, tak on mówi!

Mężczyzna krzychał i po chwili wyszedł, tym razem zostawiając drzwi otwarte. Jeanette Hvidt szlochała przerażona:

– Na pewno poszedł po pałkę. Musisz go przeprosić i obiecać poprawę. Strasznie się boję.

Andreas Falkenberg wrócił po chwili, rzeczywiście z pałką w ręku. Jeanette Hvidt zaczęła go prosić:

– Nie bij mnie. To ona źle się zachowała. Pyskowała, to ona powinna zostać ukarana za te okropne słowa, niech on zdzieli ją pałką, nie mnie. Ja robię wszystko, o co on prosi.

Jeanette przejęła sposób mówienia Andreasa Falkenborga, używała jego zwrotów, jakby miała je głęboko zakodowane.

Nagle Pauline poczuła dojmujący ból, jej ciało wręcz eksplodowało, czuła, że wygina się w łuk, fale bólu przeszywały ją od palców u nóg po czubek głowy. Krzyczała ile sił w płucach, nie mogła się powstrzymać. Jeanette Hvidt miała rację, ból był straszny, nie do opisania.

Jej kat zrobił krok do tyłu. Jeanette krzyknęła:

– Ona na to zasłużyła, ona była niedobra, ja nie! Ja robię wszystko, co on mi każe. Niech on mnie nie bije.

Andreas Falkenberg zdawał się nie zwracać uwagi na Jeanette ani na jej prośbę, patrzył na Pauline.

– Ona może krzyczeć do woli. Tak jak krzyczy, kiedy wyrusza na sabat czarownic na Bloksbjerg, czy kiedy w dzień świętego Jana płonie na stosie.

Jeanette wspierała go:

– Tak, niech ona krzyczy, skoro tak brzydko do niego mówiła...

Mężczyzna przerwał jej:

– Niech ona siedzi cicho.

Dziewczyna natychmiast zamilkła. Andreas Falkenberg ponownie zagroził pałką Pauline. Wzdrygnęła się, ale tym razem cios nie padł. Mężczyzna uderzył ją tylko lekko w kolano i powrócił do przerwanej wyliczanki. Każdej sylabie towarzyszyło uderzenie.

– *Ohn Dohn Dehn, Mamma Futta Fehn, Futta Fehn, Futta Fehn, Ohn Dohn Dehn.*

Rozdział 48

W Høje Taastrup Hrabianka szykowała się do pierwszego w życiu spotkania z jasnowidzem. Madame przyjmowała w mieszkaniu na trzecim piętrze w bloku położonym niedaleko stacji kolejki podmiejskiej Høje Taastrup. Hrabianka zdała sobie sprawę, że podświadomie oczekiwała czegoś innego, może jakiejś ponurej willi, pokoju w wieży, kruka na dachu. A stała przed zwykłym blokiem. Na tabliczce na drzwiach było napisane „Stephan Stemme z małżonką”. Zadzwoiła, drzwi otworzył starszy mężczyzna o wychudzonej, kościstej twarzy i zapadniętych oczach, zdawał się chłonać wszystko dookoła, nie dając nic w zamian. Rozliczyli się w przedpokoju, gotówka, oczywiście bez pokwitowania. Wziął pieniądze do ręki i schował je do zniszczonej, czarnej portmonetki, którą wyjął z szuflady komody, a potem z powrotem ją tam schował. Zamknął szufladę na kluczyk, który zabrał ze sobą, i zapukał do drzwi tuż obok komody.

– Może pani zwracać się do niej Madame.

Mówił niskim, lekko schrypniętym głosem, „Madame” w jego ustach zabrzmiało gardłowo, jakby był zły. Otworzył Hrabiance drzwi.

Pokój, do którego weszła, był jasny i przyjemny, urządzone praktycznie, ze smakiem. Mieszczkańska przytulność mająca chronić przed dysharmonią życia, poczawszy od zasłon w kolorze brzoskwini, a skończywszy na serii portretów grzecznych, dobrze ułożonych wnuków, zdobiących jasnozielone ściany. Mahoniowe meble, które zdecydowanie dominowały w pokoju, były wręcz nieładne, za ciężkie do niewielkiego wnętrza, które aspirowało do bycia przyjaznym.

Madame siedziała na biedermeierowskim szeszlengu, a właściwie na wpół siedziała, na wpół leżała. Nie wstała, gdy jej gość wszedł do pokoju, zadowolając się podaniem wiotkiej białej dłoni i tylko lekko się unosząc. Była drobnej budowy, pod sześćdziesiątkę, dobrze ubrana. Miała na sobie gustowny kostium, a jej wątle ramiona okrywał artystycznie udrapowany biały szal. Jej twarz wyglądała na zmęczoną, wokół ust widać było zmarszczki, tylko oczy były błyszczące i wyraziste. Kobieta była bez makijażu, nie nosiła też żadnej biżuterii. Hrabianka usiadła na stojącym naprzeciwko niej krześle. Pierwsza odezwała się Madame.

– Nie ma pani dużo czasu. Wieczorem czeka panią ważne spotkanie.

Jej głos brzmiał monotennie, jakby recytowała liczby. Hrabianka spytała nieco sceptycznie:

– Pani to widzi?

– Nie, ja to wiem. Przed chwilą dzwonił Konrad, ma pani wyłączoną komórkę. O wpół do ósmej powinna pani być z powrotem na komendzie, najpóźniej za kwadrans ósma. Obiecałam, że to pani przekażę.

– To miło z pani strony.

– To nasze pierwsze spotkanie, wyczuwam, że pani nie do końca wierzy w moje siły. Nie szkodzi, tak zwykle jest, kiedy ktoś przychodzi tu po raz pierwszy. Właściwie to chyba normalne. Trzeba być niezwykle naiwnym, żeby nie mieć żadnych wątpliwości.

Hrabianka nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Wzruszyła tylko ramionami i rozłożyła ręce. Pomyślała, że kobieta pewnie zawsze mówi to swoim klientom, rozsądni ludzie na ogół bywają sceptyczni. Ponieważ jednak przyszła tu z konkretną sprawą, postanowiła dłużej nie zwlekać i spytała:

– Kilka dni temu powiedziała mi pani przez telefon, że mam, jak to pani wyraziła, „uczeplić się Steena Hansena, przylgnąć do niego jak bluszcz”. Dlaczego?

– A skąd miałabym wiedzieć? Ale domyślam się, że trafiła pani na kogoś o tym imieniu i nazwisku?

– To dość popularne połączenie.

Kobieta nie ukrywała irytacji. Hrabianka przypatrywała się jej z niejakim powątpiewaniem. Siedziały tak kilka sekund, mierząc się wzrokiem, w końcu Madame powiedziała:

– Dzisiaj wyjawiała pani mężczyźnie, którego pani kocha, swoją tajemnicę, i teraz tego żałuje. On też panią kocha, ale nie potraficie dojść do porozumienia. Trochę jak w tym starym dowcipie o tym, jak kochają się jeże. Bardzo ostrożnie. No, ale zaczynajmy. Z czym pani do mnie przyszła?

Hrabianka poczuła, jak wszystko się w niej gotuje, ale siłą woli powstrzymała złość. Poczowała się obnażona. Ściągnęła usta, oczy zrobiły się jej jak szparki. I nagle zdała sobie sprawę, że jej wątpliwości co do nadprzyrodzonych zdolności kobiety znacznie zmalowały. Milcząc, wyjęła z torby chustkę Jeanette Hvidt oraz pasek należący do Pauline Berg i podała obie rzeczy kobiecie. Po chwili spytała:

– Co mam robić?

– Słuchać.

– Mogę odzywać się do pani, kiedy będzie pani w transie?

– Nie będę w transie i oczywiście może się pani do mnie odzywać. Jeśli będzie mi to przeszkadzać, na pewno panią o tym poinformuję.

Hrabianka skinęła głową, w końcu nie było to chyba takie trudne. Zwykła rozmowa z duchami, pomyślała. Madame trzymała w jednej ręce chustkę, w drugiej pasek, pocierała je palcami i rozglądała się po pokoju. Po chwili powiedziała:

– Pewna kobieta zginęła w księgarni, rozjechana przez samochód.

W jej głosie nie było zdziwienia, chociaż wypowiedziane przez nią zdanie zdawało się dość oderwane od tematu.

– Druga kobieta była baletnicą. Więcej kobiet, same kobiety. Te dwie, których szukasz, są w... – Zawahała się, ale już po chwili mówiła dalej: – Widzę białą kaplicę, ale coś się nie zgadza. Jeanette i Pauline są w białej kaplicy. Są razem i żyją. Bomby, wydaje mi się, że kaplica została zbombardowana podczas wojny,

nie ma jej. *A Cockney knee trembler* za cztery pensy na czynsz. Wówczas była to biedna dzielnica, dzisiaj jest bogata. Widzę drogie szklane fasady, ale nie potrafię dopatrzeć się sensu. Jest też jakaś zbieżność nazwisk, imion, coś się miesza, jest bałagan... wokół kaplicy, chodzi o jakieś imiona, o imiona dziewcząt, istne dzieło szatana. Teraz wchodzi mężczyzna. Jest odrażający, to na pewno zły człowiek, jeden z najgorszych, jakich widziałam. Jest jednocześnie znany i nieznan. Inni znikają, nie chcą z nim być. Możemy przestać.

Madame odłożyła obie rzeczy. Hrabianka wyglądała na głęboko zawiedzioną.

– To wszystko?

– Tak, musi pani szukać białej kaplicy albo krypty. Tam są te dwie kobiety.

– Dlaczego pani przestała?

– Mężczyzna nie chce pomóc, czułam to wyraźnie.

Hrabianka wykonała bezradny ruch ręką i zaczęła zadawać Madame pytania.

– Dlaczego nie może pani go wykorzystać?

Madame patrzyła przed siebie, pokręciła głową, jakby taksując kogoś, po czym stwierdziła stanowczo:

– To zły człowiek.

– Nadal tam jest? Czy jak to się określa...

– Tak, i będą z nim kłopoty. Nie będzie łatwo się go pozbyć.

– Nie może pani spróbować porozmawiać z nim, to znaczy, wyczuć go?

– Mogę, jeśli pani tego chce, ale nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Znów dotknęła chustki i paska, ale tym razem jedynie pobieżnie. Przez chwilę milczała, potem znów zaczęła mówić.

– Mężczyzna recytuje jakąś... rymowaną, tak to się chyba nazywa. Dość złośliwy wierszyk, twierdzi, że jest o nim samym. Trudno mi go zrozumieć, język jest archaiczny, poza tym to nie jest po duńsku. Jakiś polityk uratował prostytutkę, trochę jak w tej dziecięcej piosence o dziesięciu rowerzystach, których ciągle ubywa. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mężczyzna kogoś zabił, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Poprzestańmy na tym.

– Nie, proszę mówić dalej.

Kobieta sięgnęła po długopis i leżący na stoliku za nią notes, po czym zaczęła pisać. Kiedy skończyła, oznajmiła, że teraz już definitywnie kończy.

– Co tu jest napisane?

– To wyliczanka, a dokładnie cztery ostatnie wiersze. Wydają się nieco zmienione, może je przetłumaczył, tego nie wiem. Chce znów trafić do gazet.

– Co to za wierszyk? Do kogo jest skierowany?

– Do ciebie, ale odradzam jego lekturę. Nic to nikomu nie da, a poczujesz się urażona.

Hrabianka zlekceważyła jej przestrożę i wyciągnęła rękę po notes. Kobieta

podała go jej, Hrabianka zaczęła czytać:

*Dwie dziewczyny trzęsą się ze strachu,
dziecko się śmieje, dumne ze swojego łupu.
Jedna trafi do torby, i zostanie już tylko jedna,
a z tej bez loków zostaną skóra i kości.*

Wierszyk był odrażający i okrutny, Hrabianka zaczerpnęła powietrza. Szybko się jednak pozbierała i po chwili spokojne wysłuchała uwag Madame:

– Jesteś uparta jak wielu arystokratów. Teraz zbierasz to, co zasiałaś. Jednak w wielu przypadkach upór może popłacać, o czym przekonasz się podczas wieczornego spotkania.

Podróż z Høje Taastrup do Søllerød dobrze zrobiła Hrabiance. Spotkanie z metafizyką nie było przyjemne, cieszyła się, że już pożegnała tę dziwną parę. Konkretnie wyniki seansu nie były imponujące, jeśli o jakichkolwiek konkretach w ogóle można było mówić. Zadzwoiła do Simona, ale nie mogła się z nim połączyć. Nagrała mu się na pocztę głosową. Przekazała informacje Madame o białej kaplicy, zadowolona, że nie musi decydować, czy wiadomość ma zostać potraktowana poważnie, czy też nie. Przez resztę czasu próbowała otrząsnąć się z ostatnich przeżyć, miała nadzieję, że Bob Marley na pełny regulator przewietrzy jej w głowie.

Wróciwszy do domu, najpierw opróżniła skrzynkę na listy. Reklamy od razu cisnęła do kosza. Zostawiła jedynie trzy listy i paczkę, weszła do środka i rzuciła je na stół w kuchni. Następnie nastawiła kawę, podlała kwiaty i szybko spakowała trochę rzeczy dla siebie i Konrada Simonsena. Wytargała walizkę na zewnątrz, wrzuciła do bagażnika samochodu i wróciła jeszcze na chwilę do kuchni. Ekspres do kawy bulgotał. Pomyślała, że albo weźmie się w garść i go odwapni, albo kupi nowy. Żeby wypełnić czas oczekiwania, zaczęła bez szczególnego zainteresowania przeglądać pocztę.

Pierwszy list okazał się zestawieniem transakcji, przesyłanym jej regularnie przez bank. Wyrzuciła go. W kolejnej kopercie znalazła mandat za złe parkowanie, a raczej kopię mandatu, przypomniała sobie bowiem, że oryginał już jakiś czas temu wyjęła z za wycieraczki samochodu. Odsunęła kopertę na bok. Trzecia zawierała rachunek od zatrudnionego przez nią prywatnego detektywa za dziesięć zdjęć, które już wcześniej otrzymała e-mailem. Rzuciła na niego obojętne spojrzenie. Została jej paczka. Wyjęła ją ze skrzynki przykrytą niedzielnym wydaniem miejscowej gazety, więc musiała przyjść albo w sobotę po południu, albo w niedzielę przed południem. Nie było na niej żadnego adresu – ani adresata, ani nadawcy. Trzymała ją chwilę w rękach z nieco paranoiczną podejrzliwością, po czym szybko rozerwała opakowanie.

Wewnątrz była książka, zupełnie nowa, jakby prosto z drukarni. Na okładce

widniał szaroniebieski bombowiec Boeing B-52, wiszący nad lodową pustynią, elegancki, ze szczupłym korpusem i ogromnymi skrzydłami w kształcie litery V, z których każde dźwigało cztery silniki odrzutowe. Tytuł książki, imię i nazwisko autora zostały wydrukowane wersalikami, wkomponowanymi w amerykańską flagę. *On Guard in North*, autorstwa Clarka Atkinsona. Hrabianka otworzyła książkę i stwierdziła, że jej egzemplarz pochodził z niemal nieosiągalnego, a tak naprawdę nieistniejącego pierwszego wydania z 1983 roku. Do książki została dołączona karteczka z osobistym pozdrowieniem od Helmera Hammera. Lekką ręką i ze sporą dozą talentu sekretarz stanu naszkicował gałązki magnolii obsypane kwiatami, tak jak wyglądały w czerwcu. W tle zaznaczone były kontury palmiarni. Do szkicu dołączone było krótkie, zwarte zdanie: „Droga Hrabianko, jestem Pani winien wiele G. Pozdrawiam, Helmer”. Literka G miała dodatkowo dorysowane oczka tuż nad dolnym łukiem, tak że przypominała uśmiechniętego emotikonka. W normalnych okolicznościach Hrabianka ucieszyłaby się i z książki, i okazanego jej zaufania, jednak okoliczności były dalekie od normalnych. Zagłębianie się w najnowszej historii Danii wydało jej się teraz bez większego znaczenia. Odstawiła prezent na półkę, obok jej książek kucharskich, naląła kawy do termosu, zerknęła na zegarek i wyszła. Wsiadła do samochodu i ruszyła, żeby zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej zatrzymać się obok zaparkowanego równoległe do chodnika niebieskiego renault. Opuściła szybę. Kierowca renault zrobił to samo, kładąc jednocześnie palec na ustach i wskazując na swoją partnerkę, śpiącą na tylnym siedzeniu. Hrabianka znała go dość przelotnie i nie pamiętała jego imienia. Wyjęła termos z kawą i podała mu go razem z dwoma kubkami. Podziękował jej szeptem.

- Jest pani prawdziwym aniołem.
 - Jak długo macie tu stać?
 - Nie wiadomo, planowanie trochę szwankuje, ale chwilę na pewno jeszcze postoiemy. Jesteśmy tu już parę godzin.
 - Kiepskie stanowisko.
 - Zgłosiliśmy się na ochotnika, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby udało wam się złapać tego drania. Mam nadzieję, że dziewczyny żyją.
- Hrabianka obiecała zrobić, co w jej mocy. Tylko tyle mogła obiecać.

Rozdział 49

Podróż z Søllerød do Komendy Głównej nie była przyjemna. Hrabianka trafiła na godziny największego szczytu i mogła się naocznie przekonać, że życie w Kopenhadze toczyło się dalej, mimo porwania Pauline Berg i Jeanette Hvidt. Wiedziała, że zachowuje się niemądrze, a jednak była zła i zdeprimowana. Idąc do gabinetu Konrada Simonsena, próbowała się nieco otrząsnąć, ale nie było to łatwe.

Szef siedział na krześle, pochylony nad rozłożoną na podłodze przeskalowaną mapą Zelandii. Kiedy weszła, ledwie ją pozdrowił. Na mapie dość niechlujnie zaznaczono czerwonym tuszem pewne obszary, które nie od razu rozpoznała. W pierwszym odruchu podeszła do okna i je otworzyła, w pokoju było pełno dymu. Konrad Simonsen spojrzał na nią.

– Wiesz, ile kościołów jest na Zelandii?

– Nie mam pojęcia, ale pewnie mnóstwo.

– Zgadza się. Bardzo dużo, poza tym granice parafii nie zawsze nakładają się na granice gmin, czy na jakiegokolwiek inne granice administracyjne.

Rzucał danymi, wymieniał kolejne gminy, parafie. Rozdrażnienie powodowało, że zaczynał się powtarzać, pewnie nawet nie do końca tego świadomy. Hrabianka bywała już świadkiem podobnych sytuacji.

– Biała kaplica? O tym myślisz?

Nie zareagował, lecz kontynuował swoją wyliczankę:

– Do tego dochodzą jeszcze cmentarze, krematoria, domy parafialne, różne prywatne kaplice na zamkach i dworach. Nie mówiąc już o katolickich klasztorach, które nawet chrześcijanin z trudem rozróżnia i których nazw nie jestem w stanie wymieni. Niezły galimatias, te wszystkie ich klasztory, a przy każdym kaplica, jedna, czasem kilka.

Mówił szybko, nerwowo, zwykle unikał wchodzenia w szczegóły, teraz jednak gubił się w nich. Hrabianka przyglądała mu się z zaniepokojeniem, widać było, że wszystko się w nim gotuje, na czole miał krople potu.

– Pocisz się.

Otarł twarz chusteczką. Po chwili odezwał się już nieco odprężony:

– Nie martw się o mnie, kontroluję sytuację. Jestem tylko wściekły, na co, prawdę mówiąc, nie mam teraz czasu. Na szczęście już trochę mi odpuściło.

– Martwię się tylko o twoje zdrowie, Simon.

Konrad Simonsen pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

– Niepotrzebnie. Pocę się, bo zapominam głęboko oddychać, ale to zaraz minie. Po południu rzeczywiście miałem jakiś atak, poczułem się trochę niewyraźnie, ale przy tej okazji odkryłem, że sam doprowadzam się do takiego stanu, kiedy... Jak to się nazywa, kiedy człowiek zaczyna tak szybko oddychać?

– Hiperwentylacja.
– Zgadza się. Jak tylko zacznę, od razu pocę się jak prosię.
– To nie jest normalne.
– Wiem, ale nie jest to coś, czym w tej chwili powinniśmy się zajmować. Są ważniejsze rzeczy, nie uważasz?
– Uważam, że powinieneś zaczerpnąć głęboko powietrza i powiedzieć mi, co cię tak rozwścieczyło.

– Za trzy kwadranse jest spotkanie w Ministerstwie Sprawiedliwości. Zgadniesz, kto je zwołał?

– Helmer Hammer?

– Znakomicie! A ja naiwnie uwierzyłem, że po naszej piątkowej konferencji wszystko przycichnie, ale gdzie tam! W spotkaniu biorą udział nasza szefowa i szef policji krajowej, pan dyrektor taki i pan dyrektor siaki, no i oczywiście też szef PET-u, policyjnej służby wywiadowczej, chociaż nie mam pojęcia, co on może mieć z tym wspólnego. Ale na mnie niech nie liczą. Deleguję tam ciebie, a jeśli się nie zgodzisz, czego bynajmniej nie będę miał ci za złe, to pošlę tam Poula, a jeśli i on nie zechce, pošlę im zdechłego kota Pauline. Wtedy pan hrabia Hammer być może zrozumie, że mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż informowanie jego i jego dygnitarzy o postępach śledztwa.

Hrabianka przerwała mu ostrożnie:

– Jaki jest porządek spotkania?

– Chodzi, jak mi się zdaje, o wzajemne informowanie. Szefowa zadzwoniła i coś mi przekazała, ale nie pamiętam, co dokładnie. Może sama coś wymyśliła. To byłoby nawet do niej podobne. Wystarczy, że jakiś ważniak zagwiżdże, a jej nie przyjdzie do głowy, żeby zadać mu pytanie, a już na pewno nie dotyczące czegoś tak błahego jak porządek dnia.

– Powiedziałaś jej, że się nie wybierasz?

– Powiedziałem jej, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć godnego zastępcę, kogoś, kto akurat będzie miał okienko, ale że to może być trudne, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Co ona na to?

– Nic. Mam wrażenie, że chyba nawet nie zrozumiała, co do niej mówię. Ale to już jej problem.

Hrabianka zerknęła na zegarek i uznała, że na razie odpuści temat. Spojrzała na leżącą na podłodze mapę i zapytała:

– Chcesz szukać tej kaplicy? Chodzi mi o to, że tak naprawdę nie jest to pewna informacja. Poza tym nic chyba nie wskazuje na to, żeby Andreas Falkenberg interesował się religią, ale mogę się mylić.

– Nie mylisz się i mogę cię uspokoić, że na razie odpuszczę sobie kaplicę, chociaż niewykluczone, że potem będę pluł sobie w brodę, że to zrobiłem. Teraz

jednak po prostu brakuje mi ludzi.

– Jak to? Zgłaszają się dobrowolnie, i to nie tylko policjanci.

– Owszem, ale to niewiele nam pomoże. Teraz priorytetem jest przygotowanie się do śledzenia Andreasa Falkenborga, kiedy zostanie rozpoznany. A nie mam wątpliwości, że zostanie, jeśli tylko porusza się w przestrzeni publicznej. Cała armia ludzi została postawiona na nogi, obserwujemy wszystkie strategiczne miejsca w stolicy i wokół niej. Niezależnie od tego, gdzie zostanie namierzony, jesteśmy gotowi niemal natychmiast zacząć go śledzić. To może mieć decydujące znaczenie. Ważne jest też, żeby się nie zorientował, że ktoś za nim chodzi. Z oczywistych powodów.

– Nie aresztujesz go?

– Nie. W mojej ocenie jest bardziej prawdopodobne, że śledząc go, szybciej znajdziemy obie kobiety. Takie jest moje zdanie, więc na razie to jest nasz plan.

Hrabianka poparła go i pozwoliła mu mówić dalej.

– Jeśli nie znajdziemy go najpóźniej do środy, wtedy należy założyć... Wtedy rozsądniej będzie zacząć szukać miejsca, w którym ukrył Pauline i Jeanette Hvidt. Ale to też musi być dobrze zorganizowane. Nie jest nam potrzebny tłum ludzi, którzy chcą dobrze, a tak naprawdę tylko sobie nawzajem przeszkadzają. W tym problem. Większość kompetentnych osób otrzymała już zadania. Rezygnuję z szukania białej kaplicy nie dlatego, że uznałem informację za niewiarygodną, tylko dlatego, że nie mam dość ludzi do kolejnej akcji.

Hrabianka wydała bliżej nieokreślony dźwięk i rzuciła lekko:

– Tak, rozumiem. Mamy związane ręce, chociaż Madame może mieć rację co do tej kaplicy. Szkoda, że nie możemy poprosić PET-u o posiłki. Ich ludzie idealnie się nadają do takiego zadania.

Konrad Simonsen zamruczał pod nosem:

– Ciekawe, kto miałby ich do tego przekonać.

Nagle zastygł, powoli odwrócił głowę w jej stronę i spojrzał jej w oczy. Przez chwilę patrzyli tak na siebie, w końcu Hrabianka przerwała milczenie:

– Madame nazwała cię jeżem.

– Hm, będę musiał z nią o tym porozmawiać, kiedyś, kiedy już umrę. Zawołaj Ernesto Madsena, chcę, żeby nam towarzyszył. I ruszajmy już.

Rozdział 50

Spotkanie odbywało się w siedzibie Ministerstwa Sprawiedliwości na Søltholmsgade w centrum Kopenhagi. Już sama pora, na którą zostało wyznaczone, wskazywała na powagę sytuacji. Zapewne wszyscy jego uczestnicy woleliby spędzić ten ciepły wrześnieowy wieczór zdecydowanie przyjemniej. Jednak uprowadzenie dwóch młodych kobiet, których życie najprawdopodobniej było zagrożone, o ile w ogóle jeszcze żyły, było wydarzeniem wymagającym uwagi ze strony najwyższych postawionych ludzi w kraju. Tak przynajmniej uważał Helmer Hammer. O sprawie pisano w prasie, i tej papierowej, i w wydaniach internetowych, dlatego wszyscy chcieli być na bieżąco, jeśli chodzi o poczynania policji. Na spotkaniu obecni byli pani dyrektor komendy kopenhaskiej, szef policji krajowej i inni przedstawiciele policji oraz prokurator krajowy dla Kopenhagi i Bornholmu, poza tym jeden z dyrektorów z Ministerstwa Sprawiedliwości, osobista sekretarz ministra, a także Bertil Hampel-Koch z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Helmer Hammer z Kancelarii Premiera. Z pracowników operacyjnych obecni byli Konrad Simonsen, Hrabianka i Ernesto Madsen. Ten ostatni na wyraźne życzenie Konrada Simonsena, ale nikt nie protestował. Szefowa uśmiechnęła się przez stół do swojego podwładnego stojącego na czele wydziału zabójstw. Miała na sobie brązową suknię z jasnoszarymi falbankami, w której wyglądała jak muffinka. Poza tym była zdenerwowana, Bóg jeden wie dlaczego. Konrad Simonsen odwzajemnił jej uśmiech. Dyrektor Bertil Hampel-Koch zaproponował, że będzie referentem, co odnotował w protokole, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, po czym, z szacunku do urzędniczej hierarchii, oddał głos szefowi policji krajowej.

Był to wysoki, przystojny mężczyzna, proporcjonalnie zbudowany, o klasycznym profilu, z włosami przyprószonymi siwizną. Jego twarz zawsze była poważna, co powodowało, że ludziom trudno było się odprężyć w jego towarzystwie. Kiedy mówił coś ważnego, czyli niemal zawsze, kiedy w ogóle postanowił otworzyć usta, zdejmował okulary w drogich, złotych oprawkach. Jego wypowiedzi pisemne jedni uważali za genialne, inni za kretyńskie. W Komendzie Głównej, ale i w komisariatach w całym kraju, podwładni przeklinali jego nieprecyzyjne polecenia, które zawsze zostawiały sporo miejsca na swobodną interpretację, zdejmując tym samym z niego odpowiedzialność, gdyby coś poszło nie tak.

Tego wieczora zaskoczył jednak wszystkich po pierwsze tym, że nie zdjął okularów, po drugie, że bez zbędnych wstępów od razu oddał głos Konradowi Simonsenowi, który chętnie z tego skorzystał.

– Mam nadzieję, że to spotkanie będzie tak krótkie, jak to tylko możliwe. Uznaję wasze prawo do informacji, ale mam nadzieję, że rozumiecie, iż każda minuta spędzona tu z wami skraca czas, który powinienem poświęcić na szukanie na-

szej pracowniczki Pauline Berg i uczniacy liceum Jeanette Hvidt. A czas jest teraz na wagę złota. Tak więc jeśli nie ma szans, żeby nasze spotkanie przebiegło szybko i konstruktywnie, to musicie państwo poradzić sobie beze mnie i bez moich współpracowników.

Słowa Konrada Simonsena, nieco prowokujące ze względu na jego stosunkowo niską rangę, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do przebiegu spotkania. Większość zebranych pokiwała głowami ze zrozumieniem, jedynie sekretarz ministra sprawiedliwości zauważyła nieco skwaszona:

– Ktoś chyba może pana zastąpić na komendzie.

Była to stosunkowo młoda kobieta z krótkimi, jasnymi włosami, w uszach miała duże plastikowe, różowe kolczyki, o dziwo, bardzo twarzowe. Konrad Simonsen posłał jej złowrogie spojrzenie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Pomoc nadeszła z dość niespodziewanej strony. Szef policyjnych służb wywiadowczych, znany ze swojej stanowczości, burknął krótko:

– Bzdura, bierzmy się do roboty.

Teraz piłka znów była po stronie Konrada Simonsena, który zwięźle poinformował wszystkich o aktualnych działaniach policji. Nie było oczywiście mowy o szczegółowym sprawozdaniu, ale też niczego nie ukrywał, również samowolnego przesłuchania Andreasa Falkenborga przez Pauline Berg ani też tego, że Falkenborgowi udało się włamać do domu Arnego Pedersena, Hrabianki, a także do jego mieszkania i założyć tam podsłuchy, co, niestety, okazało się feralne dla Jeanette Hvidt. Nikt jednak niczego mu nie zarzucał.

Szef policji zdjął okulary i powiedział:

– Rozumiem, że zamierzacie wykorzystać zainstalowaną aparaturę do przygotowania pułapki na Falkenborga. Jak to sobie wyobrażacie?

I znów szef służb wywiadowczych przyszedł z pomocą, przerywając, było nie było, swojemu bezpośredniemu zwierzchnikowi:

– Osobiście uważam, że nie ma powodu, żebyśmy to wiedzieli. Kiedy ostatnio próbowali docisnąć Falkenborga, zrobiła się z tego piekielna awantura, a prawdę mówiąc, być może w ten sposób mogliśmy tego wszystkiego uniknąć.

Tak więc temat uznano za zamknięty, co bardzo odpowiadało Konradowi Simonsenowi. Do tej pory nie udało mu się bowiem wpaść na pomysł, jak wywabić Andreasa Falkenborga z jego kryjówki. Wszystkie dotychczasowe pomysły wydawały się zbyt ryzykowne.

Dyrektor z Ministerstwa Sprawiedliwości spróbował podsumować dotychczasową dyskusję:

– Wiemy, że Andreas Falkenborg jeździ białą furgonetką i że gdzieś ma swój magazyn, w którym, jak sądzi policja, najprawdopodobniej właśnie teraz przebywa.

Konrad Simonsen zdążył się już pozbierać.

– Tak właśnie sądzimy. Oczywiście obserwujemy różne miejsca, instytucje

finansowe, stacje benzynowe, świetlice, kluby sportowe, kempingi, baseny, kafejki internetowe, biblioteki i tak dalej, i tak dalej...

Sekretarz ministra sprawiedliwości ponownie mu przerwała:

– Rozumiem, że obserwujecie też jego mieszkanie?

Bertil Hampel-Koch, który siedział obok niej, szepnął jej do ucha coś, co sprawiło, że przybrało ono kolor jej kolczyków.

Konrad Simonsen mówił dalej:

– Niewykluczone, że trafiliśmy na ślad, który popchnie nasze dochodzenie do przodu. Podczas rewizji w mieszkaniu Andreasa Falkenborga sfotografowaliśmy kluczyk, który być może pasuje do drzwi jego magazynu, gdzieś na terenie Kopenhagi. Jest bardzo charakterystyczny, na główce ma bowiem wygrawerowany ciąg liczb. Przekazaliśmy jego fotografię do prasy, spodziewamy się, że jutro rano ukażą się jego zdjęcia, także w telewizji. To zwykle pomaga. Ktoś na pewno wie, co te liczby znaczą, a może nawet jakie drzwi otwiera ten klucz.

Dyrektor z Ministerstwa Sprawiedliwości przerwał mu ostro:

– Dlaczego nie przesłaliście zdjęcia do redakcji wieczornych „Wiadomości”?

– Nie zdążyliśmy.

– Mówił pan, że teraz najważniejszy jest czas.

Szef służb interweniował po raz trzeci:

– Śledztwo prowadzą ludzie, nie maszyny. Owszem, w tym przypadku czas jest ważny, co nie znaczy, że wszystko dzieje się samo z siebie. Podejrzewasz, że szef wydziału zabójstw siedzi w swoim pokoju i gra w karty? To sugerujesz?

– Wypraszam sobie takie uwagi.

– Więc nie zadawaj głupich pytań.

– To ja decyduję, co jest...

Konrad Simonsen uderzył ręką w stół.

– Na pewno nie mamy czasu na kłótnie. Nie zamierzam teraz tłumaczyć, dlaczego coś zrobiliśmy, a z czym nie zdążyliśmy. Jeśli kobiety zostaną zamordowane, możecie potem powołać komisję.

Słowa inspektora uspokoiły nastroje. Głos zabrał teraz prokurator:

– Skoro dotąd nikt o tym nie wspomniał, ja to zrobię. Sprawa dotyczy pracownicy twojego wydziału, więc jest zrozumiałe, że dotyka was osobiście. Może należałoby zlecić dalsze dochodzenie innym służbom?

Konrad Simonsen czekał na to pytanie. Już wcześniej zdecydował, że jeśli propozycja się pojawi, nie będzie jej komentował. Rozwiązanie było rozsądne, ale chciał, żeby inni oceniali, czy dochodzenie wymaga wzmocnienia. Rozejrzał się wokół stołu i odniósł wrażenie, że propozycja padła na podatny grunt. Jednak Helmer Hammer, który dotąd w ogóle się nie odzywał, wstał i krótko stwierdził:

– Nie! Konrad Simonsen kieruje dochodzeniem i wszyscy mają go w tym wspierać i realizować jego polecenia. Koniec, kropka.

Nikt nie chciał podważać autorytetu Kancelarii Premiera, sprawa została rozstrzygnięta. Bertil Hampel-Koch szybko zmienił temat:

– Czy kobiety mogą już nie żyć?

Helmer Hammer posłał mu pełen uznania uśmiech. Pytanie przyszło w samą porę. Bertil zachował się jak magik, który odciąga uwagę publiczności od swojego kapelusza, wyczarowując na dłoni gołębia. Teraz z protokołu wynikać będzie jasno, że wszyscy się zgodzili jednomyślnie, iż dochodzenie nadal będzie prowadził Konrad Simonsen. Skoro nikt nie zaprotestował...

Inspektor przekazał pytanie dyrektora Ernesto Madsenowi, który zdenerwowany zaczął odpowiadać:

– Tego nie wiem, ale nie ma żadnych wątpliwości, że nawet jeśli do tej pory nie zamordował obu kobiet, z pewnością planuje to zrobić, i to wkrótce. Na pewno nie będzie przetrzymywał ich dłużej niż to absolutnie konieczne.

– Co może spowodować zwłokę? Chodzi mi o to, czy w ogóle możemy mieć jeszcze jakąś nadzieję?

– Cóż... Nie wiem. Jeśli chodzi o poprzednie pytanie, to proszę pamiętać, że zbrodniarz musi przygotować coś w rodzaju spektaklu. To podczas niego dokonuje morderstwa.

– To dla niego ważne?

– Niezwykle ważne, wszystko musi się odbyć dokładnie według schematu zastosowanego podczas poprzednich zabójstw. Wiemy na przykład, że zawsze musi przeprowadzić ceremoniał obcinania paznokci, nawet jeśli kobiety mają krótkie paznokcie...

Konrad Simonsen przerwał mu:

– Nie wchodźmy w szczegóły.

Sekretarz ministra sprawiedliwości natychmiast zaprotestowała:

– Chętnie je poznam.

Ernesto Madsen zachował się lojalnie wobec swojego szefa i zakończył krótko:

– Wszystko musi się odbyć według planu.

Towarzystwo potrzebowało chwili, żeby przetrwać ostatnie informacje. W końcu głos zabrał Bertil Hampel-Koch:

– Co jest takie czasochłonne?

– Właściwie nic, ale musi na przykład zdobyć jaskrawoczerwoną szminkę. Być może musi się udać do sklepu i ją kupić.

Mało kto wierzył, żeby akurat ta czynność mogła istotnie opóźnić działania mordercy. Konrad Simonsen trwał jednak przy swoim:

– Pamiętajcie, że jest poszukiwany, to na pewno komplikuje mu życie.

Psycholog poparł inspektora i uzupełnił jego wypowiedź:

– Zanim Andreas Falkenborg zabija swoją ofiarę, kopie grób. To też zajmuje

czas, tym bardziej że tym razem nie zdążył niczego wcześniej przygotować, a zwykle to robił. Zawsze miał wszystko gotowe, jeszcze zanim napadł na ofiarę. Tym razem z pewnością było nieco inaczej.

Ludzie wokół stołu spoglądali na siebie. Wydawało się, że porwane kobiety nie mają większych szans.

Pytań do psychologa było więcej.

– Czy można się zwrócić do niego z apelem, na przykład przez telewizję? Może zrobiłby to ktoś, kogo on zna?

Pytanie padło z ust szefa policji krajowej, który tym razem wyjątkowo nie zdjął okularów. Pomysł wydawał się dobry, ale Ernesto Madsen go odrzucił.

– To nic nie pomoże.

Szef służb drażył dalej:

– Zabije je jednocześnie, czy raczej po kolei?

Ernesto Madsen źle zrozumiał pytanie.

– Chodzi o to, czy użyje jednej torby foliowej?

Dyrektor z Ministerstwa Sprawiedliwości roześmiał się pogardliwe, ale natychmiast został uciszony. Szef służb powrócił do pytania:

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie, przepraszam. Chodzi mi o czas, czy zabije najpierw jedną, a po upływie jakiegoś czasu drugą?

Konrad Simonsen uznał, że uwaga jest sensowna.

– Sam powinienem zadać sobie to pytanie.

Ernesto Madsen odpowiedział z pewnym wahaniem:

– Właściwie nie zastanawiałem się nad tym, ale rzeczywiście... Skoro wszystko ma być tak, jak zawsze, to jest to ważna kwestia. Osobiście jestem zdania, że nie zamorduje ich jednocześnie. Prawdopodobnie najpierw upora się z jedną, a dopiero potem zajmie się drugą. Tak, jestem przekonany, że tak zrobi. Między jednym morderstwem a drugim może minąć nawet kilka dni. To jednak jest już bardziej myślenie życzeniowe niż psychologicznie uzasadniona hipoteza.

Sekretarz ministra sprawiedliwości znów się wtrącała:

– Czy dobrze zrozumiałam, że kiedy policja go znajdzie, to znaczy, jeśli w ogóle go znajdzie, to go nie aresztuje, tylko będzie śledzić, tak? Czy w tej kwestii wszyscy są zgodni?

Pytanie było skierowane do Konrada Simonsena, który natychmiast odpowiedział:

– Z pewnością nie wszystkim się to podoba, ale tak właśnie będzie. Według mojej oceny dzięki temu zwiększymy szanse na ocalenie obu kobiet. Ale mogę się mylić. To zależy też od tego, kiedy go znajdziemy. Oczywiście nie pozwolimy, żeby przez wiele dni włóczył się po mieście. Jednakże mam pewność, że jeśli wsadzimy go za kratki, odmówi jakiegokolwiek współpracy i wtedy staniemy pod murem.

Szef służb wywiadowczych podchwycił trop i zwrócił się do zebranych:

– Jeśli do tego dojdzie, chciałbym, żebyśmy mogli go nieco przycisnąć, wydusić z niego, gdzie przetrzymuje ofiary. Szczególnie w sytuacji, w której jedna z nich albo obie mogą jeszcze żyć.

Było oczywiste, że jest to rodzaj szantażu emocjonalnego, ale sprawa w ogóle była kontrowersyjna.

Konrad Simonsen już dawno podjął decyzję. Zrobi wszystko, by uratować Jeanette Hvidt i Pauline Berg. Nie dopuści, żeby Andreas Falkenborg siedział w areszcie i odmawiał zeznań, podczas gdy jego ofiary będą gnić w nieznanym nikomu miejscu. Taka sytuacja była nie do przyjęcia. Dlatego interesowało go, co inni myślą na ten temat. Jeśli dostanie *carte blanche* na ewentualne odstępstwa od normalnie obowiązującej procedury przesłuchania, może to wpłynąć na jego ostateczną decyzję, czy zatrzymać mężczyznę, czy kazać go śledzić. W ogóle spotkanie okazało się znacznie ciekawsze, niż się spodziewał.

Adwokatka policji zwróciła się do szefa służb:

– Chodzi o presję fizyczną?

Mężczyzna skinął głową.

– Tak, właśnie to miałem na myśli.

Szef policji krajowej ponownie sięgnął do okularów, jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie i zostawił je na nosie.

– O tym zadecydujemy, kiedy taki problem powstanie.

Wyraźnie unikał zajęcia jednoznacznego stanowiska. Szef policji i dyrektor z Ministerstwa Sprawiedliwości zdawali się z nim zgadzać. Bertil Hampel-Koch zmarszczył brwi, natomiast Helmer Hammer nie miał żadnych wątpliwości, że nie należy się na to godzić, i dał to jasno do zrozumienia. Mówił powoli, tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Możecie użyć wszelkich metod, ale zgodnie z prawem, nawet nieco na granicy, jak w opisanym niedawno w prasie przypadku, ale tortury w jakiegokolwiek formie są wykluczone. Jeśli mimo wszystko do tego dojdzie, sprawcy będą ścigani i zostaną osądzeni, a ich przełożeni pociągnięci do odpowiedzialności, zarówno służbowej, jak i karnej.

Mężczyzna spojrzał uważnie najpierw na szefową lokalnej policji, potem na głównodowodzącego policji krajowej i dodał:

– Wszyscy poniosą tego konsekwencje, żeby nie było żadnych wątpliwości. – Zawiesił głos, pozwalając słowom dotrzeć do świadomości zainteresowanych, po czym kontynuował: – W Danii nie stosujemy tortur, koniec, kropka. Tortury pozostają torturami, nawet jeśli znajdziemy na nie bardziej oględne określenie. Chcę, żeby to było jasne dla wszystkich tu obecnych. Mówię to w swoim imieniu i w imieniu mojego szefa. – Skierował wzrok na Konrada Simonsena. – Tak długo, jak Andreas Falkenborg będzie w areszcie, nie wolno go fizycznie poniżać. – Na-

stępnie zwrócił się do Bertila Hampela-Kocha, referującego spotkanie: – Proszę to wyraźnie podkreślić w sprawozdaniu. Także to, że odpowiedzialność nie dotyczy jedynie płaszczyzny operacyjnej, oczywiście gdyby do czegoś takiego doszło. Proszę odczytać, co pan zanotował.

Bertil Hampel-Koch zaczął czytać, Helmer Hammer potwierdził zgodność zapisu. Ponownie spojrzął na przedstawicieli policji. Dyrektor i szef policji krajowej skinęli głowami, na ich twarzach malowała się powaga. Zebranie mogło toczyć się dalej.

Bertil Hampel-Koch doszedł w końcu do głosu. Swym falsetem zadał Helmerowi Hammerowi dość zadziwiające pytanie:

– Gdyby chodziło o życie tych dwóch kobiet, a Andreas Falkenberg nie przebywałby jeszcze w areszcie, mógłbyś dopuścić użycie szczególnej formy przesłuchania?

Do rozmowy włączył się szef służb:

– Oczywiście jako ostateczność.

Helmer Hammer pokręcił głową wyraźnie poirytowany:

– Skoro nie podajecie żadnych konkretów, uważam, że nie mam obowiązku komentować waszych wypowiedzi.

Konrad Simonsen poczuł, że się poci, i zaczął nerwowo rozpinać guziki koszuli. Nagle zrozumiał, dlaczego tu jest, ba, dlaczego to zebranie w ogóle zostało zwołane. Uwaga zgłoszona przez Helmera Hammera była dokładnym przytoczeniem słów, które niespełna tydzień temu wypowiedział podczas spotkania w ogrodzie botanicznym. Mówiąc wprost, zdanie to pozwalało Konradowi Simonsenowi podjąć kroki, które właściwie były niedozwolone. Także Hrabianka zorientowała się, że przed chwilą dostali zielone światło w sprawie Andreeasa Falkenborga. Jeśli go złapią, mogą zrobić z nim wszystko, byle nikt się o niczym nie dowiedział. Hrabianka poczuła, że opada jej szczeka, wydała z siebie dziwny dźwięk, jej jedyny wkład w dzisiejszą dyskusję, z kącika ust pociekła jej strużka śliny. Szef służb podał jej serwetkę, nawet na nią nie patrząc. Zwrócił się z pytaniem do psychologa:

– Jak na podstawie swojej wiedzy ocenia pan szansę na to, żeby Andreas Falkenberg zgodził się na przesłuchanie przez policję?

– Jako niewielką.

– Jak niewielką?

Konrad Simonsen czuł, że pieką go policzki. Ernesto Madsen odpowiedział nieco tajemniczo:

– Trudno to określić precyzyjniej, po prostu niewielką.

Nadeszła pora, by Konrad Simonsen przejął pałeczkę. Jego plan, żeby skorzystać z pomocy policyjnych służb wywiadowczych do śledzenia Falkenborga, zyskał na znaczeniu po wypowiedzi Helmera Hammera, ale inspektor miał wrażenie, że niespodziewanie zdobył też sprzymierzeńca w szefie PET-u, który chyba jako

jedyny oprócz niego samego, Hrabianki i Bertila Hampela-Kocha zrozumiał ukryte przesłanie sekretarza stanu. Zwrócił się więc bezpośrednio do niego:

– Będę potrzebował pańskich ludzi do śledzenia Andreasa Falkenborga, są do tego lepiej przygotowani niż moi.

Cud się zdarzył, szef PET-u nie miał zastrzeżeń.

– Dobrze, ale pod moim dowództwem.

– Zgoda, tylko proszę raportować do mnie. Dochodzenia nie mogą prowadzić dwie osoby, bo wtedy powstanie bałagan.

Dyrektor kopenhaskiej policji poparła Konrada Simonsena, wdając się w dłuższą dyskusję na temat niejasnego rozdziału kompetencji, co według niej było tak samo przerażające jak cholera albo trąd. W końcu dyskusję przerwał szef służb wywiadowczych, mrużąc:

– Przeżyję kilka dni pod dowództwem Simona, to znaczy Konrada Simonse-
na.

Sprawa była jasna, ale ostateczna decyzja należała do szefa policji krajowej, który zaczął z pewnym wahaniem w głosie:

– Być może powinniśmy się chwilę zastanowić...

Nie zdążył powiedzieć wiele więcej, kiedy przerwał mu przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości:

– To zły pomysł, mój szef jest temu przeciwny. Nie można pozwolić, by sprawa odbiła się na bezpieczeństwie kraju.

Pani sekretarz ministra sprawiedliwości dodała cynicznie:

– W końcu chodzi tu o życie tylko dwóch osób.

Pokiwała głową kilka razy, jakby dla podkreślenia wagi swoich argumentów, jej kolczyki kołysały się w takt wypowiedzianych przez nią słów. Konrad Simonsen odpowiedział spokojnie z lodowatym chłodem:

– Ostrzegam, że jeśli jeszcze raz powie pani coś takiego, spoliczkuję panią. I jeśli sądzi pani, że to tylko pogróżki, to się pani myli.

Dyrektor wzdrygnął się i odsunął nieco od stołu, szef policji usiłował uspokoić nastroje, lejąc oliwę na wzburzone fale, czyli sugerując powrót do sprawy następnego dnia. Ernesto Madsen, szef służb i prokurator roześmiali się, a sekretarz z Ministerstwa Sprawiedliwości zaczęła nerwowo szukać czegoś w swojej torebce. W końcu wyjęła z niej inhalator.

Helmer Hammer postanowił zabrać głos. Zwrócił się do siedzącego przy stole dyrektora:

– Według mnie to dobry pomysł. Jeśli pana szefowa będzie miała jakieś zastrzeżenia, wie, do kogo może się z nimi zwrócić.

Następnie skierował wzrok na szefa policji krajowej, który z pewnym wahaniem się zgodził.

– No więc dobrze. Powiedzmy, że tak ma być.

Bertil Hampel-Koch odnotował wymianę zdań i sprawa została zamknięta. Patrząc na Helmera Hammera, Hrabianka pomyślała, jak bardzo ten władczy, pewny siebie biurokrata różni się od ożywionego, chodzącego boso po trawniku mężczyzny, z którym zaledwie kilka dni temu spotkali się w ogrodzie botanicznym.

Do uzgodnienia zostały jeszcze dwie kwestie, jedna z nich zajęła jednak niespodziewanie dużo czasu. Szef policji krajowej mówił nieprzerwanie przez dziesięć minut o nadgodzinach i deficycie budżetowym, mimo że setki funkcjonariuszy w całym kraju zgłaszało się na ochotnika do pracy, by ratować koleżankę potrzebującą ich pomocy. Konrad Simonsen uznał wypowiedź za nieco zbyt sentymentalną, ale nic nie powiedział. Ucieszył się jednak, gdy w końcu Helmer Hammer uznał, że ma dosyć, i postanowił powstrzymać dalsze żale.

– Rozumiem, że wysłał pan w tej sprawie odpowiednią notatkę do ministra?

– Jeszcze nie zdążyłem.

– To proszę to zrobić, a potem zobaczymy. Sprawa nie jest aż tak pilna.

Ostatnie słowo podczas spotkania należało do Konrada Simonsena, który od razu przeszedł do rzeczy:

– Jeśli nasza koleżanka Pauline Berg wyjdzie z tego cało, nie zostanie ukarana za przesłuchanie Andreasa Falkenborga, podobnie zresztą jak ten kretyn, którego udało jej się przekonać do tego nieszczęsnego przedsięwzięcia. Poniosła wystarczającą karę, on zresztą też, chociaż oczywiście nie można tego porównywać.

Wszyscy wydawali się wyjątkowo zgodni i po chwili się rozeszli.

Rozdział 51

Wychodząc z budynku Ministerstwa Sprawiedliwości, szef PET-u zaczepił Konrada Simonsena.

– Musimy porozmawiać. Teraz!

Konrad Simonsen przystał na propozycję, której zresztą nie tylko się spodziewał, ale wręcz miał nadzieję, że padnie.

– Chodź ze mną na komendę, porozmawiamy po drodze.

Szef służb wywiadowczych zastanowił się chwilę, ale w końcu pokręcił głową przecząco.

– To kiepski pomysł. Agnete i Wodnik, wiesz, o czym mówię?

– Jeśli masz na myśli podwodny posąg w kanale Slotsholmen, to tak.

– Spotkajmy się tam za dziesięć minut. Znam pewne miejsce w pobliżu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Konrad Simonsen z przyzwyczajenia zerknął na zegarek, najwyraźniej chciał rzucić coś o braku czasu, ale powstrzymał się. Szef policyjnego wywiadu odwrócił się do niego plecami i ruszył przed siebie.

Kwadrans później inspektor i Hrabianka stali na moście Højbro i czekali. Hrabianka przyglądała się podwodnej rzeźbie Suste Bonnén. Konrad Simonsen rozglądał się za szefem PET-u, poirytowany, że musi czekać. Kiedy ten się zjawił, nie skomentował obecności Hrabianki. Gestem pokazał im, że muszą przejść na drugą stronę. Konrad Simonsen zwrócił uwagę na jego krok, mężczyzna mocno uderzał obcasami o asfalt, zapewne było to przyzwyczajenie wyniesione z wojska. Inspektor próbował za nim nadążyć, mając nadzieję, że spacer będzie krótki. Wkrótce też dotarli do placu Højbro, naprzeciwko posągu biskupa Absalona na koniu dłuta Vilhelma Bissena. Szef służb wywiadowczych skręcił w prawo w jedną z bram, przeszli przez niewielki dziedziniec obok starego magazynu, który niedawno został odrestaurowany i zamieniony na luksusowy apartamentowiec, dotarli do drzwi wejściowych. Ich gospodarz otworzył je kartą, wstukując dodatkowo kod. Weszli do środka, mężczyzna zapalił światło i poprosił, żeby usiedli. Pomieszczenie było wypełnione obrazami i litografiami, które stały wzdłuż wszystkich ścian, leżały też na stole pośrodku pokoju, a część złożona była po prostu na podłodze. Hrabianka domyśliła się, że jest to zapewne magazyn jednej z okolicznych galerii. Pierwszy, lekko zdyszany, odezwał się Konrad Simonsen:

– Wiem, że to z pewnością bardzo ważne, ale wkrótce muszę być w HS.

A tak przy okazji to dziękuję za wsparcie podczas zebrania.

Szef PET-u uśmiechnął się. Był to raczej rzadko spotykany widok. Mężczyzna nie uchodził za osobę specjalnie towarzyską, krążyły wręcz legendy na temat jego powściągliwości.

– Drobiazg.

– Domyślam się, że wszyscy rozumiemy, co zaszło na spotkaniu. Na co mamy pozwolenie, oczywiście, o ile zajdzie taka potrzeba.

– Owszem, dotarło to do mnie.

Mężczyzna spojrzął na Hrabiankę, która spokojnie i z namysłem próbowała streścić przebieg zebrania.

– Helmer Hammer dał nam *carte blanche*. Jeśli zajdzie taka konieczność, możemy pokroić Andreasa Falkenborga na kawałki, żeby wydobyć z niego, gdzie ukrył swoje ofiary. Tylko musi się to odbyć tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Tydzień temu opowiadał nam ze szczegółami o liście Nilsa Svenningsena, o tym, jak najwyżsi rangą urzędnicy państwowi potrafią wydać kontrowersyjną decyzję, nie wyrażając tego bezpośrednio. Tak więc mamy świadomość, że jeśli tylko potrafimy działać z pełną dyskrecją, możemy nawet zmiażdżyć Andreasowi Falkenborgowi palce, a wszystko będzie w porządku.

– Tak jest. Zapewne rozumiecie też, że przekazanie właśnie tej informacji było głównym celem spotkania. Kretyni, którzy brali w nim udział, byli właściwie jedynie statystami, mającymi kryć Helmera Hammera i jego ministerstwo, gdyby coś poszło nie tak. Rzecz jasna, wyłączając z tego grona Bertila Hampela-Kocha. Odniosłem niemal wrażenie, że nasz szanowny pan radca jest w jakiś sposób od was zależny, ale to nie moja sprawa. Pytanie brzmi, czy zamierzamy w krytycznym momencie posłużyć się naszym nowym narzędziem.

Konrad Simonsen spodziewał się tego pytania i natychmiast na nie odpowiedział:

– Jeśli to będzie jedyna możliwość, to oczywiście tak.

Obaj mężczyźni patrzyli teraz na Hrabiankę, która zwróciła się do szefa PET-u:

– A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla pana? Wiedział pan o tym wcześniej?

– Skądże znowu... Zostałem zaproszony na zebranie i zareagowałem na przedstawione tam propozycje zgodnie z oczekiwaniami. Chętnie natomiast poznałbym pani zdanie. Też jest pani gotowa zakuć go w dyby, jeśli nie będzie innego wyjścia?

Hrabianka wytrzymała jego wzrok.

– Jeśli to mogłoby uratować życie Pauline i Jeanette Hvidt, to bez wahania. Ale w żadnym razie nie może to być zemsta czy kara.

Mężczyzna klasnął w dłonie.

– Mamy więc jasność. Teraz trzeba tylko zdecydować kiedy i jak. Zaczniemy od ostatniego. Moi ludzie będą gotowi w ciągu dwóch godzin. Kiedy tylko zostanie namierzony, natychmiast go otoczymy. Nie rozumiem jedynie, czemu dotąd nie udało się go wysledzić? Wiecie, jak wygląda, jakim jeździ samochodem, wszędzie

są jego zdjęcia, zaraz minie doba, a on nadal jest na wolności. Wygląda na to, że przemieszcza się swobodnie po całej Kopenhadze. Co się, u diabła, dzieje?

Pytanie było skierowane do Konrada Simonsena. Inspektor nagle się skurczył, ale postanowił odpowiedzieć szczerze:

– Nie wiem, my też się dziwimy. Niestety, jego wygląd jest dość przeciętny, ale przyznaję, że powinniśmy byli już go namierzyć. Podejrzewamy, że być może jeździ jakimś innym samochodem albo korzysta ze środków komunikacji publicznej, chociaż psycholog ma na ten temat inne zdanie.

– Jeśli go szybko nie znajdziecie, to wkrótce może być za późno, jeśli już nie jest.

Hrabianka była wyraźnie zła.

– Myślisz, że tego nie wiemy?

– Przepraszam, oczywiście, że wiecie. Załóżmy więc, że znajdziecie go jutro, wtedy zarzucę sieci... – Przerwał i spojrzał na Konrada Simonsena. – Zakładam, że nasza umowa nadal obowiązuje? Nie zamierzasz go zatrzymać?

– Zdecydowanie nie. Jestem przekonany, że odmówi składania zeznań i znajdziemy się w sytuacji patowej, szczególnie po dzisiejszym spotkaniu, podczas którego szefostwo nie zawahało się wspomnieć o bezpieczeństwie państwa.

– Tego się spodziewałem. Teraz druga część pytania: kiedy? Macie jakiś pomysł?

Hrabianka bezradnie pokręciła głową. Natomiast Konrad Simonsen przytaknął i powiedział:

– Tak.

Spojrzeni na niego z ciekawością wymieszaną z zainteresowaniem.

– Oboje znacie Marcusa Koldinga, znanego także jako Doktor Kold...

Inspektor opowiedział o swojej wizycie u niego w ubiegłą środę. Powiedział także, że jedną z ofiar Andreasa Falkenborga była Finka Elizabeth Juutilainen, która jako Liz Suenson była kurierką Marcusa Koldinga.

Szef służb wywiadowczych słuchał go uważnie, po czym zaczął się zastanawiać. W końcu odezwał się z lekkim wahaniem w głosie:

– To nie wystarczy, Simonie. Marcus Kolding nie jest człowiekiem, który wyświadcza policji przysługi, a na pewno jest w stanie poskromić chęć zemsty, jeśli tylko uzna to za opłacalne. Z pewnością zażąda czegoś więcej, wiesz o tym, prawda?

Konrad Simonsen zwrócił się do Hrabianki.

– Wyjdź na zewnątrz, proszę. Nie chcę obarczać cię odpowiedzialnością.

– Nie, zostanę tu.

Konrad Simonsen nie zamierzał się z nią kłócić. Zwrócił się do szefa policyjnego wywiadu:

– Masz dostęp do archiwów spraw specjalnych?

– Mam dostęp do wszystkich archiwów, ty zresztą też.
– Tak, ale to zawsze zwraca uwagę.
– Hmm, czego potrzebujesz?
– Mamy dość wysoko postawionego informatora w organizacji Marcusa Koldinga.

Hrabianka jęknęła cicho. Mężczyzna skinął głową.

– Chcesz poinformować Marcusa Koldinga, że w jego otoczeniu jest kret, w zamian za pomoc w złapaniu Andreasa Falkenborga?

– Tak.

– Wiesz, co to znaczy?

– Tak.

– Skontaktujesz się osobiście z Doktorem, kiedy Andreas Falkenberg zostanie odnaleziony?

– Tak.

– W porządku, teraz brakuje nam jeszcze dwóch rzeczy. Będę musiał wycofać swoich ludzi, kiedy Doktor zaczai się na Falkenborga, ale formalnie nie może to być nasz rozkaz. *The blame game*, rozumiemy się? Spróbuję coś wymyślić, a potem, w nocy, wspólnie się nad tym zastanowimy. A teraz ostatnia, ale najważniejsza sprawa. Simon, minie co najmniej doba od momentu znalezienia Andreasa do ujawnienia tego faktu, co będzie znaczyło, że znajdziesz się pod ogromną presją, wszyscy będą się domagać jego aresztowania. Wiem, że właśnie podano ci na tacy twój wyjątkowy status operacyjny, ale czy zdołasz wytrzymać tak długo?

– Nie mam wyboru.

Hrabianka zdawała się bardziej pewna siebie.

– Proszę się zająć swoimi sprawami, my zajmiemy się naszymi. Czy zbliżamy się do końca?

Wkrótce spotkanie się zakończyło. Przed bramą prowadzącą na plac przy moście Højbro ich drogi się rozeszły. Szef PET-u podał im na pożegnanie rękę, co oboje przyjęli z pewnym zdziwieniem, ale odwzajemnili jego gest. Zanim mężczyzna odszedł, rzucił jeszcze poważnie, ale z pewną dozą ironii:

– Życie jednego za życie drugiego. Nie wiedziałem, że jesteś do tego zdolny, Simonie.

– No więc się myliłeś, chociaż prawdę mówiąc, mógłbym się obyć bez twojej cynicznej uwagi.

– Masz na myśli moją prawdziwą, aczkolwiek rzeczywiście nieco cyniczną uwagę, tak?

Konrad Simonsen już nie odpowiedział, bo Hrabianka pociągnęła go za sobą.

Rozdział 52

Jeanette Hvidt szlochała rozpaczliwie w ciemnościach, podczas gdy Pauline Berg próbowała myśleć. Przychodziło jej to z trudem, sytuacja zdawała się beznadziejna i wyglądało na to, że nic nie może jej zmienić. Zarówno kajdanki, jak i oparcie krzesel, do których je przykuto, były mocne i solidne. Wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła się wyswobodzić. Mogła liczyć jedynie na pomoc z zewnątrz, ale słowa Andreasa Falkenborga, że mogą krzyczeć do woli, nie wróżyły niczego dobrego. Jedyne, co jej pozostawało, to użyć swoich zmysłów, o ile jeszcze była w stanie, i chociaż w ten sposób poznać przestrzeń, w której się znalazła. Poza tym za wszelką cenę nie chciała wpaść w panikę. Odwróciła głowę i odezwała się ostro do Jeanette:

– Przestań się mazać.

Dziewczyna nie tylko nie posłuchała jej, ale zaczęła płakać jeszcze głośniej.

W końcu Pauline krzyknęła:

– Zamknij się! Chcesz umrzeć w tej dziurze?

Płacz nieco ucichł, Jeanette odpowiedziała, łkając:

– Nie chcę umierać. To nie ja mam tu umrzeć.

– Więc milcz. Myślisz, że twój płacz coś pomoże?

Po chwili szloch ustał, dziewczyna powiedziała:

– Ty przegrałaś. Ty umrzesz, kiedy on wróci.

– Tak, wiem.

– Włóż do torby ciebie, nie mnie.

– Tak, do licha, wiem. Musisz mi to bez przerwy przypominać?

Jeanette nie słuchała jej, mówiła dalej:

– Robię wszystko, co mi każe, nie zabije mnie.

Pauline nie bardzo wiedziała, co ma począć: powiedzieć dziewczynie prawdę, ryzykując, że ta wpadnie w panikę, czy też udawać, że jej wierzy? W pierwszym odruchu wybrała to drugie.

– Więc nie będzie tak źle, posłuchaj...

Ale Jeanette jej nie słuchała.

– Mogę być jego niewolnicą do końca życia, nie będę bezczelna, będę mu posłuszna.

– Tak, bardzo dobrze, ale możesz mnie przez moment posłuchać?

– Wykopał tylko jeden grób. Dla ciebie. Mnie nie zabije.

– Jasne, na pewno, tyle że wtedy zostaniesz sama.

– Będę miała jego.

W jej głosie słyhać było wahanie. Dziewczyna najwyraźniej była na krawędzi szaleństwa, ale zachowała jeszcze resztki zdrowego rozsądku. Pauline postano-

wiła nie komentować jej słów, tylko spokojnie czekała. Po chwili Jeanette odezwała się cicho:

- Wiem, że mnie też zabije.
- Na pewno to zrobi.
- Wymierzył dwa groby. Widziałam to, jeszcze zanim się tu zjawiłaś. Narysował kreski na podłodze, tylko nie widać ich pod kurzem.
- Miał na twarzy maskę, kiedy to robił?
- Ten grób jest dla mnie. Musi go tylko wykopać.
- Pauline spróbowała jeszcze raz.
- Jeanette, postaraj się wysłuchać, co mam ci do powiedzenia.
- Przepraszam, o co pytałaś?
- Czy miał na twarzy maskę, kiedy robił te pomiary?
- Na mój grób?
- Tak, do licha. Miał maskę na twarzy?
- Zawsze ją ma.
- Nie, ja widziałam go bez maski. To bardzo chory człowiek.
- Myślisz, że ktoś nas szuka?
- Oczywiście. Wszędzie nas szukają.
- Jesteś gliną, więc pewnie tak. Zrobią wszystko, żeby cię znaleźć.
- Szukają nas obu, a my musimy spróbować im pomóc.
- Jak?
- Mam pewien pomysł. Musimy użyć naszych zmysłów, może się czegoś dowiemy. Rozumiesz mnie?
- Nie bardzo. Co nam to da?
- Tego jeszcze nie wiemy.
- A kiedy się dowiemy?
- Rób to, co ci powiem, dobrze?
- Dobrze... Ale najpierw chcę ci coś powiedzieć.
- Co takiego?
- Chcę cię przeprosić za to, co mówiłam, kiedy on tu był. Nie powinnam była tak mówić.
- To nie ma znaczenia.
- Bałam się, że mnie uderzy. To okropnie boli. Nie mogę nawet o tym myśleć.
- To nie myśl i powiedz mi, czy pamiętasz, jakie mamy zmysły.
- Jasne: węch, słuch, dotyk, wzrok i smak.
- Zacznijmy od wzroku. Spróbujmy teraz milczeć, otwórzmy szeroko oczy i rozejrzyjmy się najlepiej, jak potrafimy. Dobrze?
- Tak.

Pauline Berg odwróciła powoli głowę na bok, miała szeroko otwarte oczy,

gotowa pochwycić najmniejszy promyk światła, ale żadnego nie było. Wokół panowała całkowita ciemność. Po chwili przerwała.

– Co zobaczyłaś?

– Nic. Dookoła jest czarno.

– U mnie też, ale mam wrażenie, że czuję zapach farby.

– Krzyż pachnie farbą. Myślałam, że pora na węch przyjdzie później.

– Masz rację. Opowiedz o krzyżu.

– Powiesił go tu wczoraj, mam wrażenie, że jest świeżo pomalowany. Wieszając go, cały czas chichotał. Jakby był z tego dumny. Myślał, że się go przestraszę, ale ja bardziej boję się pałki. Kazał mi powiedzieć, czy powiesił go prosto.

– To chory człowiek. A teraz użyjmy zmysłu dotyku. Przyłóż policzek i ucho do ściany i powiedz, co czujesz. Ja zrobię to samo.

Ściana była szorstka i zimna. Pauline miała wrażenie, że czuje też wilgoć.

– To ściana zewnętrzna, sprawia wrażenie wilgotnej.

– To prawda.

– Dobrze, teraz spróbujmy coś wysłuchać. To jest najważniejsze. Jesteś gotowa?

– Tak, jestem.

Nasłuchiwały w ciemnościach. Przez dłuższą chwilę Pauline słyszała jedynie dwa oddechy, swój i Jeanette, nagle jednak doszedł ją jakiś głęboki pomruk, szum, poczuła też wibracje.

– Słyszałaś, Jeanette?

– Tak, to kolejka miejska.

Pauline spytała tak cicho, jak tylko potrafiła:

– Skąd wiesz?

– Bunkier leży niedaleko torów.

– Jesteśmy w bunkrze?

– Tak, w bunkrze wykopany w ziemi.

– Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałaś? Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Nie pytałaś o to, poza tym sądziłam, że ty też to wiesz.

Pauline zrozumiała swój błąd.

– Nie wiedziałam. Powiedz mi teraz, co widziałaś. Gdzie jesteśmy?

– W lesie, chyba w Hareskoven. W Zajęczym Lesie, chyba tak nazywa się to miejsce. Bunkier został wykopany w ziemi.

– Co jest wokół nas?

– Drzewa.

– Nic poza tym?

– Leśna dróżka.

– Która się tu kończy?

– Tak sądzę, ale nie jestem pewna.

- Skąd wiesz, że jesteśmy tak blisko kolejki?
 - Widziałam ją z samochodu, kiedy skręcaliśmy do lasu, a potem, kiedy mnie tu włókł, wyraźnie słyszałam pociąg. Niedaleko stąd są tory.
 - Gdzie siedziałas w samochodzie?
 - Obok niego, ale bałam się cokolwiek zrobić. Tylko patrzyłam przez okno. Miał przy sobie tę pałkę... Wiesz którą.
 - Ile razy poraził cię prądem?
 - Raz, kiedy mnie złapał, w ogrodzie wuja, a potem jeszcze dwa, już tutaj, bo płakałam i brzydko się wyrażałam... To znaczy, krzyczałam na niego, wyzywałam go i takie tam. Nie, właściwie to trzy razy, bo krzyczałam.
 - Widziałas może ludzi na ścieżce w lesie?
 - Nie, ale padał deszcz.
 - Myślisz, że dlatego nikogo nie było?
 - Nie wiem... Nie sądzę, żeby przechodziło tędy dużo ludzi.
 - Więc wołanie o pomoc nie ma sensu?
 - Nikt nas nie usłyszy. Na pewno nie.
 - Co jeszcze możesz powiedzieć o tym bunkrze?
 - To jest schron i podobno można go wynająć za tysiąc trzysta koron miesięcznie plus opłata za energię.
 - Skąd to wiesz?
 - Tak mi powiedział. Nie wiem, czy to prawda.
 - Dlaczego ci to powiedział?
 - Pewnie żeby mnie upokorzyć. Kiedy mnie tu wprowadził, stały tu jakieś skrzynie, potem przeniósł je do innego pokoju. Podał mi cenę, mówiąc, że zapłacił za trzy lata z góry i że nikt tu nie przychodzi. Tylko on. Ale to nieprawda. W głowie Pauline Berg zapaliło się światełko.
 - Co to znaczy? Ktoś się tu zjawił?
 - Tak, ty.
 - Ale oprócz mnie?
 - Nie. Tylko ty.
- Pauline zastanowiła się chwilę.
- Jeśli rzeczywiście wynajął ten bunkier, to na pewno nas znajdą, to tylko kwestia czasu. Teraz na pewno dokładnie analizują całe jego życie, dzień po dniu.
 - Nie wynajął bunkra na swoje nazwisko, chwalił się tym. Powiedział mi nawet, jakiego użył, ale zapomniałam.
 - Widziałas coś jeszcze, kiedy tu jechaliście?
 - Tak, czerwony prostokąt na trawie. Nie wiem, co to było.
 - Jak duży był ten prostokąt? I w jakim odcieniu czerwieni? Opowiadaj. Jeanette Hvidt zaczęła opowiadać. Kiedy skończyła, Pauline była załamana.
 - Pamiętasz, jakiego koloru był jego samochód?

– Też czerwony. Chyba dokładnie w takim odcieniu. Myślisz, że go przemalował?

Pauline nie odpowiedziała. Jej współtowarzyszka niedoli była już wystarczająco przerażona, nie chciała jej dodatkowo martwić. Ale sytuacja nie wyglądała dobrze. Jej koledzy szukali białej furgonetki, nie czerwonej, ten szczegół mógł się okazać ważny. Kiedy się odezwała, starała się jednak brzmieć optymistycznie.

– No dobrze, zastanówmy się, co dalej.

– Zostały nam jeszcze węch i smak.

– To w tej chwili mniej istotne.

Pauline Berg znów zaczęła się intensywnie zastanawiać, co mogłaby zrobić, żeby zapobiec morderstwu. Przed wyjściem Andreas Falkenborg obiecał, że kiedy wróci, zabije ją. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Im więcej o nim myślała, tym bardziej jej się podobał. Przesunęła się w lewą stronę, uniosła tułów nieco do góry, na tyle, na ile pozwalały jej kajdanki, skuliła się i napała głową na rękę Jeanette. Ćwiczyła balet, wielogodzinne ćwiczenia sprawiły, że jej ciało było elastyczne, co teraz okazało się zaletą. Jednak Jeanette wydawała się zaniepokojona:

– Co ty robisz?

– Spróbuj wyciągnąć palce i sięgnąć do moich włosów, kiedy za chwilę dam ci znać.

Pauline pochyliła się w stronę ręki dziewczyny i dała jej znać:

– Teraz, Jeanette.

– Czuję je, ale powiedz mi, o co chodzi.

Pauline wyprostowała się, pozycja była niewygodna, nie mogła pozostawać w niej dłużej.

– Zaraz znów się schylę, a wtedy owiniesz kosmyk moich włosów wokół palca i przytrzymasz, z całej siły. Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa.

– Skoro tego chcesz.

Powtórzyły wszystko od początku. Po chwili Jeanette powiedziała:

– Mam w palcach twoje włosy.

Pauline szarpnęła głową z całej siły. Poczowała ból, który dowodził, że operacja się udała. Była na niego przygotowana, a jednak głośno krzyknęła.

– Co się stało? Wyrwałam ci włosy? Tak, czuję to.

– O to mi chodziło. Teraz twoja kolej. Nachyl głowę w stronę mojej ręki, tyle, ile możesz.

– Po co mam to robić? Nie chcę.

Pauline Berg opowiedziała Jeanette o jej babci i o profilu psychologicznym Andreeasa Falkenborga, dorzuciła też kilka zdań od siebie. Na zakończenie stwierdziła:

– To nasza jedyna szansa. Jeśli uda nam się wyrwać sobie nieco włosów, może zostawi nas w spokoju. Przestaniemy być dla niego interesujące.

– Chcesz, żebym wyrwała ci wszystkie włosy?
– Tyle, ile dasz radę.
– To boli?
– Trochę, nawet nie warto o tym mówić.
– Krzyczałaś. Nie wierzę ci.
– To był pierwszy raz, byłam zaskoczona. Poza tym możemy robić to powoli, mamy czas.

– Będzie wściekły, kiedy nas zobaczy. Dostaniemy pałką, obie. Ja nie chcę.

– Wolisz, żeby założył ci torbę foliową na głowę?

Jeanette znów zaczęła pociągać nosem, ale po chwili się pozbierała.

– Dobrze, spróbuję.

Pauline usłyszała, jak dziewczyna się wygina, i wychyliła się do przodu. Wyciągnęła palce do góry, na tyle, na ile pozwalały jej kajdanki, ale ich usiłowania okazały się płonne. Jeanette próbowała różnych pozycji, zgodnie ze wskazówkami Pauline, ale na darmo. W końcu się poddały. Jeanette okazała się nie dość elastyczna.

– Jeanette, wyrwij mi włosy, a potem wymyślimy coś dla ciebie.

– Nie.

– Ja cię nie proszę, tylko ci rozkazuję. Nie masz wyboru.

– Nie zrobię tego. Myślisz, że jestem głupia? Wtedy weźmie mnie. Nie chcę umrzeć, żebyś ty mogła żyć.

– Powiedziałam, że coś wymyślimy.

– Co? Chcę wiedzieć.

Pauline schyliła się i ugryzła dziewczynę w rękę. Jeanette krzyknęła z bólu.

– Aj, to boli, dlaczego mnie ugryzłaś? Ja nic ci nie zrobiłam.

– Rób, co ci każę. Bez dyskusji.

– Nie chcę, świrnięta suko! Mam nadzieję, że usmaży cię tą swoją pałką.

Pauline nachyliła się i znów ją ugryzła, dwa razy, z całej siły. Jeanette Hvidt zawyla z bólu.

– Rób, co ci każę! Mam cię naprawdę ugryźć, żeby dotarło do ciebie, że nie żartuję?

Pauline musiała ugryźć Jeanette jeszcze cztery razy, zanim ta w końcu się poddała. Zaczęła wrywać jej kosmyk po kosmyku, po policzku Pauline pociekła krew, leciała jej też po karku. Ból przez długi czas był nie do wytrzymania, aż w końcu Pauline przestała już czuć cokolwiek. Jeanette Hvidt płakała nieszczęśliwa, ale nadal robiła swoje. W końcu załkała:

– To już chyba wszystkie, nic nie czuję, tylko proszę, nie gryź mnie, dobrze?

Pauline nie odpowiedziała. Na policzku po lewej stronie nadal czuła włosy, wyprostowała się na krześle, odwróciła głowę i zaczęła na zmianę to uderzać nią o ścianę, to pocierać o chropowaty tynk. Ból wydawał się, o ile to możliwe, więk-

szy niż wcześniej, zaczęła jęczeć. Ale nie przestawała.

Rozdział 53

W nocy z wtorku na środę Konradowi Simonsenowi udało się w końcu przespacerować kilka godzin na swoim krześle. Zdjął buty, położył nogi na biurku i nakrył się marynarką jak kołdrą, bardziej z przyzwyczajenia niż z powodu chłodu. O piątej rano zbudził go telefon. Policjant poinformował go, że zgłosił się świadek, którego inspektor powinien przesłuchać osobiście. Funkcjonariusz był zmęczony, Konrad Simonsen znał go i wiedział, że jest to doświadczony policjant, na pewno nie przeszkadzałby mu bez ważnego powodu, a już na pewno nie o takiej porze, więc nie pytając o nic więcej, zgodził się, po czym niemal natychmiast na powrót zapadł w sen. Po chwili do gabinetu wszedł policjant, towarzyszyła mu dwudziestoparolatnia kobieta.

Konrad Simonsen szybko się pozbierał i po pięciu minutach, spędzonych w łazience, gdzie polewał sobie głowę zimną wodą, poczuł się wystarczająco rześko. Kiedy wrócił do gabinetu, funkcjonariusz przedstawił mu kobietę.

– To jest Juli Denissen z Frederiksværk. W poniedziałek wieczorem prawdopodobnie widziała Andreeasa Falkenborga. Poza tym ma też ciekawe informacje na temat jego samochodu.

Funkcjonariusz położył cienki raport na biurku inspektora. Konrad Simonsen przekartkował go i stwierdził, że kobieta tej nocy była już dwukrotnie przesłuchiwana. Zwrócił się do niej:

– Może pani poczekać chwilę na zewnątrz?

Musiał powtórzyć prośbę, zanim kobieta zrozumiała, o co mu chodzi, i pośpiesznie bez żalu opuściła gabinet. Konrad Simonsen zauważył, że miała dziwny chód, jakby jej tułów był nie do końca zsynchronizowany z nogami. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi.

Funkcjonariusz natychmiast zwrócił się do inspektora:

– Mam wprowadzić pana w sprawę? Domyślam się, że jest pan śmiertelnie zmęczony.

– Chcę tylko wiedzieć, czy jest to osoba godna zaufania. To znaczy, zakładam, że dokładnie ją sprawdziliście?

– Tak dokładnie, jak tylko mogliśmy. Nic nie wskazuje na jakiegokolwiek zaburzenia... mentalne.

– Jaka jest pana ocena tej osoby?

Funkcjonariusz odpowiedział bez wahania:

– Jest równie normalna jak pan czy ja. Inaczej nie zawracalibyśmy panu głowy.

Konrad Simonsen zamruczał coś pod nosem, odesłał policjanta i poprosił kobietę do gabinetu. Usiedli naprzeciwko siebie. Po raz kolejny sięgnął do papierów,

po czym stwierdził:

– Ma pani dwadzieścia cztery lata, rozwódka, uczy się pani w Wyższej Szkole Technicznej w Frederiksværk i mieszka sama z dwuletnim dzieckiem.

Kobieta potwierdziła i tumiąc ziewnięcie, uśmiechnęła się przeprasząco. Miała miły uśmiech i Konrad Simonsen, nieco wbrew własnej woli, odwzajemnił go. Po prostu nie mógł się oprzeć.

– Opowie mi pani coś o swojej córeczce?

Jeśli kobieta była zdziwiona, to nie dała tego po sobie poznać. Spełniła jego prośbę, jakby opowiadanie o dziecku inspektorowi policji, prowadzącemu najgłośniejsze śledztwo w kraju, było czymś najnormalniejszym na świecie. Kiedy kobieta mówiła, Konrad Simonsen bacznie jej się przyglądał, co bynajmniej jej nie peszyło. Była szczupła, średniego wzrostu, miała ciemne włosy do ramion i wydatne kości policzkowe, była ładna, chociaż o dość oryginalnej urodzie. Największe wrażenie robiły jej oczy: brązowe, wesołe, ufne. W jej spojrzeniu nie było śladu pokory, ale nie było też pychy. Konrad Simonsen odkrył zdziwiony, że im dłużej mówiła, z tym większą przyjemnością słuchał jej głosu. Pozwolił więc, żeby jej opowieść trwała nieco dłużej, niż pierwotnie planował, chcąc się przekonać, że kobieta rzeczywiście nie przejawia żadnych patologicznych skłonności. W końcu jej przerwał.

– Twierdzi pani, że spotkała Andreasa Falkenborga w poniedziałek wieczorem w pociągu jadącym do Fredriksværk?

– Jestem o tym przekonana. Widziałam go też w wagonie kolejki podmiejskiej z Kopenhagi do Hillerød. Stał na stacji Nørreport.

– Proszę mówić dalej.

– Od czego mam zacząć?

– Była pani w Kopenhadze. Co pani tam robiła?

– Spędziłam dwa dni w Londynie, wracałam z lotniska...

Opowieść kobiety była szalenie dokładna i precyzyjna, podawany przez nią czas zgadzał się z momentem, kiedy Andreas Falkenborg zniknął śledzącym go funkcjonariuszom, poza tym kobieta potrafiła bardzo dokładnie opisać, jak mężczyzna był ubrany. Na stacji w Hillerød oboje się przesiedli, a potem zajęli miejsca tak, że widziała w szybie odbicie jego twarzy. W Grimstrup, cztery stacje przed Hillerød, oboje wysiedli jako ostatni pasażerowie w wagonie. Po opuszczeniu stacji Andreas Falkenborg udał się na niewielki parking obok budynku dworca, gdzie stał jego samochód. Widziała, jak odjeżdża.

– Potrafi pan opisać ten wóz?

– Tak, to był czerwony volkswagen multivan.

– Jest pani bardzo pewna. Zna się pani na samochodach?

– Mój ojciec jest mechanikiem samochodowym. Dorastałam wśród samochodów.

– Wie pani, dlaczego się tu znalazła?

Pokiwała głową, niemal przepraszając.

– Bo jego wóz był czerwony.

Teraz Konrad Simonsen pokiwał głową. Nachylił się, wyjął z teczki z papierami ksero jednego z jej rysunków i położył je przed nią.

– W pociągu narysowała pani portret Andreasa Falkenborga. Dlaczego?

– Kiedy jadę pociągiem, często rysuję ludzi. To taki nawyk. Robię to albo dlatego, że mnie interesują, albo po prostu żeby czas szybciej mijał.

– Co pani robiła w Londynie?

– Rysowałam starożytny mur.

– To brzmi nieco dziwnie.

– Chcę zostać architektem.

– Kto w tym czasie opiekował się pani córeczką?

– Jej ojciec.

– Jak określi pani odcień czerwieni samochodu Falkenborga?

– Było dosyć ciemno, ale mam wrażenie, że była to taka czerwień, jak na naszej fladze.

– Kogoś jeszcze pani rysowała?

Inspektor zmieniał co chwilę tematy, ale kobieta świetnie sobie radziła, odpowiadała prosto i szczerze. Z wyjątkiem ostatniego pytania.

– Mieszka pani w Frederiksværk. Dlaczego wysiadła pani w Grimstrup?

– To nie ma znaczenia, a ja obiecałam o tym nie mówić.

– Komu?

– Komuś, kogo znam.

Konrad Simonsen westchnął i zaczął jej spokojnie tłumaczyć:

– Wczoraj wieczorem dzwoniła pani do nas cztery razy. Potem, w nocy, przyszła pani z własnej woli na komendę i uparła się, że musi złożyć zeznanie. To jest trzecie przesłuchanie, co oznacza, że traktujemy pani słowa szalenie poważnie, z czego, jak mam wrażenie, zdaje pani sobie sprawę. Nie mogę sobie pozwolić na żaden błąd, życie dwóch kobiet jest zagrożone, o ile w ogóle jeszcze żyją. To nie jest pora na tajemnice, niezależnie od tego, co pani komu obiecała. Poza tym nie rozumiem, dlaczego zgłosiła się pani do nas dobie po podróży. Proszę mi to wytłumaczyć.

Juli Denissen zastanawiała się chwilę i najwyraźniej wyciągnęła błędne wnioski, bo zapewniła go tylko:

– Zaręczam, że wóz był czerwony. Może mi pan wierzyć. Cała reszta nie ma żadnego znaczenia.

Konrad Simonsen zaklął w duchu i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien przemówić jej do rozumu. Uznał jednak, że nie będzie tracić na to sił. Gdy po chwili milczenia kobieta energicznie pokręciła głową, zadzwonił po Poula Troulse-

na, by teraz on przejął pałeczkę. Podle się z tym czuł. Kobieta nie zasłużyła sobie na takie traktowanie.

Kiedy wyszła, wciąż o niej myślał. Poczł ulgę, gdy godzinę później Poul i kobieta wrócili. Ona zajęła poprzednie miejsce, a Poul zaczął opowiadać.

– Na stacji w Grimstrup odebrał ją jej kochanek. Razem pojechali do jego domku letniego w Asserbo. Mężczyzna ma żonę i dzieci i jak twierdzi Juli, nie chce, żeby rodzina dowiedziała się o jego skoku w bok. Nie chciał się spotkać z nią na stacji w Hillerød, bojąc się, że ktoś może go rozpoznać. Oboje widzieli samochód Falkenborga, ale on jedynie pobieżnie. Nie poinformował nas o tym, chociaż swojej... to znaczy Juli, powiedział coś innego.

Poul wskazał ruchem głowy na kobietę, która siedziała pochylona i wyraźnie smutna.

– Poszukiwania trwały, media cały czas mówiły o białej furgonetce, więc w końcu przemogła się i... Cóż, resztę znasz. A tak *à propos* to jej znajomy jest pracownikiem naszej komendy. Tak przynajmniej twierdzi Juli.

Konrad Simonsen czuł, jak wszystko zaczyna się w nim gotować, ale nawet nie próbował zdusić swojej złości. Powiedział głośno:

– Ze względu na niego mam nadzieję, że jest inaczej. Kto to taki?

Poul Troulsen wymienił nazwisko. Konrad Simonsen dobrze go znał. Był to mężczyzna w średnim wieku, bardzo kompetentny, wiele razy pracowali razem. Spytał więc zdziwiony:

– Policyjny prawnik?

– Tak, jeśli wierzyć Juli. On sam wszystkiemu zaprzecza, także temu, że miałby znać Juli. Przed chwilą z nim rozmawiałem. Rozzłościł się na mnie, ale do niczego się nie przyznał. Nie spotykał się z nią, nigdy nie była w jego letnim domku, nie odebrał jej ze stacji i tak dalej, i tak dalej. Zamówiłem listę ich połączeń telefonicznych, bez autoryzacji, nie mamy na to czasu... Dostaniemy ją za godzinę.

Juli Denissen przerwała mu:

– Powiedział, że mnie nie zna?

Pytanie było skierowane do Konrada Simonsena.

– Tak, więc teraz nie jestem pewien, czy powiedziała nam pani prawdę. Musimy panią jeszcze chwilę zatrzymać i dowiedzieć się, kto z was kłamie.

Oczy kobiety zaszklily się, szybko zamrugala, walcząc ze łzami. Zacisnęła usta i po kilku sekundach doszła do siebie. Wyjęła z torby telefon komórkowy i zaczęła wciskać klawisze.

– Mam tu kilka zdjęć. Chwileczkę. Aparat nie jest do końca sprawny i czasem wykazuje dużo własnej woli, ale nie stać mnie na kupno nowego.

Mężczyźni czekali, aż w końcu udało jej się uruchomić komórkę, na wyświetlaczu pokazało się zdjęcie.

– Pierwsze jest z domku letniego, dwa kolejne zostały zrobione u mnie

w domu.

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli, jakby potrzebowali czasu, żeby oswoić się z prawdą. W końcu Konrad Simonsen wysyczał:

– Daj tu tę gnidę, Poul. Poinformuj go po drodze, że Ministerstwo Sprawiedliwości najpóźniej dzisiaj musi dostać jego wypowiedzenie. A jeśli zacznie coś kręcić... Dobrze wiesz, co masz zrobić, nie muszę ci mówić. Najpierw jednak zmusz go, żeby potwierdził kolor samochodu Falkenborga. Jeśli to robi, zadzwoń gdzie trzeba i poproś, żeby przekazano to wszystkim poszukującym. Jak najszybciej.

Poul Troulsen odpowiedział zmęczonym głosem:

– To się chyba zgadza. Co najmniej pięć osób dzwoniło, informując, że widziały Falkenborga w czerwonym samochodzie. Chociaż oczywiście są też tacy, którzy twierdzą, że samochód był żółty albo...

Poul urwał, zdanie zawisło w próżni.

Po chwili odezwała się kobieta, wyraźnie zmartwiona.

– Musicie go karać? Jemu i tak jest ciężko. A jakby tego jeszcze było mało, wczoraj powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć.

Kobieta najwyraźniej uznała, że zerwanie jest wystarczającą karą. Po jej policzkach pociekło kilka łez. Poul Troulsen zignorował ją i wyszedł z gabinetu. Konrad Simonsen bardzo jej współczuł. Najwyraźniej łudziła się, że świat jest dobry, za co pewnie już nieraz przyszło jej słono zapłacić. Położył rękę na jej ramieniu, a ona chwyciła ją mocno.

– Jeśli jego koledzy się o tym dowiedzą, nie puszczą mu tego płazem. Nie będzie mógł tu pracować.

– Nie musicie nikomu o tym mówić.

Konrad Simonsen nie odpowiedział, kobieta pociągnęła nosem, raz, potem drugi. W końcu inspektor przerwał milczenie.

– Dopilnuję, żeby ktoś odwiózł panią do domu.

Pogładził ją delikatnie po włosach. Przyszło mu do głowy, że czasem spotyka się kogoś za późno. Po chwili poprosił, żeby wyszła.

Rozdział 54

Ostre światło pojawiło się bez ostrzeżenia, oślepiając obie kobiety, kiedy więc Andreas Falkenborg wszedł do pomieszczenia, najpierw usłyszały jego jęk. Dopiero po chwili, kiedy odzyskały wzrok, zobaczyły, że mężczyzna skacze przed nimi, machając bezradnie rękami jak wyprowadzone z równowagi dziecko. Od czasu do czasu coś wykrzykiwał, wściekał się, oskarżał Pauline o sprowadzenie na siebie nieszczęścia.

– Nie powinnaś tego robić. Nic nie rozumiesz, głupia krowo.

Maska na twarzy przekrzywiła mu się, ale nie próbował jej poprawić. Pauline milczała, została wyrwana z niespokojnego snu i teraz ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą, poza tym okazało się, że krwawią jej wargi.

– Jak cię potraktuję prądem, to stracisz resztkę włosów. Zasłużyłaś sobie na to.

Jeanette Hvidt drgnęła nerwowo, kiedy usłyszała, że mężczyzna wspomina o rażeniu prądem. Zaczęła dukać niewyraźnie:

– Ona sama to zrobiła. Mówiłam jej, że nie powinna, ale zaczęła mnie gryźć, nie mogłam nic na to poradzić. Będę robić wszystko, co on mi każe.

Andreas Falkenborg poprawił maskę i chwilę stał nieruchomo, przyglądając się Jeanette Hvidt, która nadal dowodziła swojej niewinności. Nagle odezwał się surowo:

– Niech ona milczy.

Jeanette natychmiast ucichła. Wtedy odezwała się Pauline Berg:

– Możesz mnie torturować, ile chcesz, ale od tego włosy mi nie odrosną. Zastanów się, czy raczej nie powinieneś zabrać się stąd i uciekać, póki jeszcze masz szansę. W Kopenhadze i okolicy szukają cię tysiące ludzi. Znalezienie cię to tylko kwestia czasu. Poza tym w takich sytuacjach policja stosuje swoje zasady, których zapewne nie znasz, ale wkrótce je poznasz i wierz mi, że nie będzie to przyjemne.

W pierwszym momencie mężczyzna zignorował jej uwagę, ale po chwili ciekawość zwyciężyła:

– Co to za zasady?

– Kto torturuje policjanta, zostaje poddany takiej samej torturze, gdy zostanie złapany. A zapewniam cię, że na pewno cię złapią.

– Kłamiesz.

– Niech ci będzie. Łudź się dalej, mnie jest wszystko jedno. Idź i przynieś tę swoją pałkę. Mój strach to nic w porównaniu z tym, jak ty będziesz się bał, kiedy moi koledzy dobiorą ci się do skóry. Powiedz mi, Andreasie, czy ta pałka nie ma czasem zastąpić ci fiuta? Myślę, że tak. Jesteś impotentem, prawda? Także w tym względzie nie masz co się równać ze swoim ojcem, nędzna kreaturo, nieudaczniku.

– Zamknij tę swoją cholerną jadaczkę!
– Nie oszukuj się. I co, gdzie ta twoja pałka? Przyznaj się, że nie możesz się bez niej obyć, mam rację?

– Nie wolno ci tak mówić. Jesteś policjantką, masz być grzeczna.

– Andreasie, jesteś niewiarygodnie, wręcz kretyńsko dziecinny. Idź po pałkę i miejmy to już za sobą. Bo obojętnie, czy razisz mnie prądem, czy nie, to kiedy nas znajdą, i tak powiem, że to zrobiłeś. Jeanette też. A potem z radością będę patrzyła, jak wijesz się z bólu, kiedy trzech moich kolegów będzie cię trzymać, a czwarty będzie razić cię prądem w czoło.

– Nie zrobisz tego, tak nie wolno.

W głosie Andreasa słyhać było błaganie. Pauline zdawała się jednak niewzruszona.

– Pospiesz się, czas ucieka. Tu, w lesie, nie masz szans. Policja już od wczoraj przeszukuje bunkry, to standardowa procedura przy porwaniach, wkrótce tu do-
trą. Tik tak, tik tak, słyszysz, jak czas ucieka?

Jeanette poczuła, że sytuacja powoli zaczęła się zmieniać, i wsparła Pauline:

– Wtedy posmakujesz własnego lekarstwa, bydlaku. A jeśli mnie zabijesz, to możesz być pewien, że prędzej czy później mój chłopak cię dopadnie i wydłubie ci oczy!

– Niech ona milczy.

– Sam milcz, psycholu.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i opuścił pomieszczenie, nie zamykając za sobą drzwi.

Kiedy tylko zniknął, Jeanette znów dopadł strach.

– Żeby tylko nie poszedł po pałkę, nie zniosę tego.

Pauline uciszyła ją i teraz obie nasłuchiwały. W końcu Jeanette spytała:

– Myślisz, że sobie poszedł?

– Tak sędzę, chociaż nie słyszałam silnika samochodu.

Nasłuchiwały dalej, ale nic się nie wydarzyło. W końcu Jeanette się odezwała, przerywając milczenie:

– Przyjdą tu i nas znajdą?

– Na pewno.

– Powiedziałaś, że przeszukują bunkry, że to standardowa procedura.

– Na pewno to robią.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem.

– Kłamałaś. To kłamstwo, prawda?

– Byłaś bardzo dzielna, Jeanette. Twoja odwaga uratowała ci życie.

Próba odwrócenia uwagi się nie udała, Jeanette domagała się prawdy:

– Przyznaj, że kłamałaś!

Pauline odpowiedziała jej ostro:

– Tak, kłamałam. Ale kłamstwo sprawiło, że siedzisz tutaj, a nie w jakiejś dziurze, patrząc, jak on zasypuje cię ziemią. Jesteś zadowolona?

Triumfujący okrzyk Andreasa Falkenborga wypełnił pokój. Mężczyzna stał w drzwiach. Nie miał już na sobie maski.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że próbujesz mnie oszukać, wiedźmo.

Zniknął, ale tylko na moment. Kiedy wrócił, znów miał na twarzy maskę, a na uszach słuchawki. W jednej ręce trzymał pałkę, w drugiej dwa kawałki materiału, przez ramię miał przewieszony koc. Widok był dość zabawny, ale żadnej z kobiet nie było do śmiechu. Andreas Falkenberg stanął przed Jeanette Hvidt i zawołał:

– Niech ona otworzy usta!

Dziewczyna natychmiast go posłuchała. Włożył jej do ust kawałek materiału, a głowę nakrył kocem. Potem przyszła kolei na Pauline. Kobieta zagryzła zęby, ale gdy zobaczyła pałkę kilka centymetrów od swojej szyi, szybko otworzyła usta.

Andreas Falkenberg zdjął słuchawki i maskę, odłożył je na podłogę i zabrał się do pracy. Przez następną godzinę Pauline przyglądała mu się bezsilnie. Niekiedy opuszczał pokój, żeby przynieść kolejne narzędzia i inne potrzebne mu rzeczy: dużą plastikową miskę, dwa baniaki wody, osiem worków cementu, narzędzia murarskie i długą deskę. Od czasu do czasu odzywał się do niej, upokarzając ją. Rzucał jakieś uwagi, wyzwiska, przekleństwa, czasem jej groził:

– Dawniej trzeba było samemu mieszać beton. To było proste: jedna część cementu, dwie piasku i trzy żwiru. Dzisiaj już nikomu nie chce się w to bawić. Dzisiaj wszyscy kupują gotowe do użycia mieszanki.

Potem wyszedł, przyniósł niewielki stół i postawił go obok grobu. Ostrożnie podniósł z podłogi maskę i położył ją na stoliku. Znów wyszedł, a kiedy wrócił, miał w ręku nożyczki, szminkę, rolkę taśmy klejącej i torbę foliową.

– Teraz cement musi zastygnąć, a potem przystąpimy do dzieła. Później możesz sobie gnąć na tym krześle. Przekonasz się, czy ktoś w ogóle cię szuka. Tak, tak, możesz płakać, ile tylko chcesz. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, dziwko.

Rozdział 55

Wyż, który zgodnie z zapowiedzią meteorologów miał trwać jeszcze przez kilka dni, zaczął się już dawać we znaki. Po porannej szarej mżawce teraz przez okna wydziału zabójstw prażyło słońce. W gabinecie Konrada Simonsena odbywało się zebranie, w którym poza nim samym uczestniczyli Hrabianka, Poul Troulsen i Ernesto Madsen. Cała czwórka pociła się w upale, mężczyźni sprawiali wrażenie zmęczonych, tylko Hrabianka wyglądała stosunkowo świeżo, co w głównej mierze było zasługą dobrze zrobionego makijażu. Poul Troulsen ziewnął, po czym zwrócił się do Konrada Simonsena:

- Na co czekamy?
- Na nic, próbuję zebrać myśli.

Starszy funkcjonariusz spojrzął na szefa, jakby jeszcze bardziej zamkniętego w sobie niż poprzedniego dnia. Twarz Hrabianki też była poważna, wręcz surowa. Nic dziwnego. Dotąd nie znaleziono ani uprowadzonych kobiet, ani Andreasa Falkenborga, a z każdą minutą szanse na szczęśliwe zakończenie malały. Poul ziewnął ponownie, tym razem nie chciało mu się nawet zasłonić ust.

Hrabianka też zaczęła ziewać, całe przedpołudnie i dużą część nocy pracowano nad harmonogramem poszukiwań. W pierwszej kolejności postanowiono przeszukać krypty i kaplice. Praca posuwała się powoli, wymagała skupienia i metodycznego podejścia. Kiedy plan został przygotowany, mogli już tylko czekać. Czekać i mieć nadzieję. Lekkie drżenie powieki zdradzało jej zmęczenie, kobieta delikatnie rozmasowała palcami skronie, próbując się przekonać, że nadal jest szansa na szczęśliwe zakończenie. Zerknęła na szefa, który siedział z zamkniętymi oczami, odizolowany od reszty świata. Ostatnie trzy doby pracował niemal bez przerwy, domagając się tego także od swoich współpracowników. Żadne względy osobiste nie miały w tej chwili dla niego znaczenia, zachowywał się jak tyran, a ludzie słaniali się na nogach. On zresztą też, chociaż się nie skarżył. Po wczorajszym spotkaniu jeszcze głębiej schował się w swojej skorupie i był niemal nieosiągalny, także dla niej.

W końcu się odezwał:

– Dzisiejsze zebranie jest poświęcone jednemu: osobie Andreasa Falkenborga. Podsumujmy, co wiemy o znalezionym u niego kluczu, o jego samochodzie, komputerze i przeszukaniu krypt i kaplic, które rano rozpoczęliśmy. Najpierw samochód. Poul, co możesz powiedzieć na ten temat?

Poul Troulsen wyjął notes i zaczął go kartkować, w końcu się odezwał:

– Zacznę od tego, że Pauline udało się zgromadzić sporo dowodów przeciwko Andreasowi Falkenborgowi. Niedawno rozmawiałem z Vibeke Behrens, która w latach 1996–1997 najwyraźniej była dziewczyną Catherine Thomsen. Okazuje

się, że ona знаła Andreasa...

Konrad Simonsen przerwał mu spokojnie:

– Samochód, Poul. Tamta sprawa jest teraz mniej ważna.

Poul zmieszał się nieco, ale przyjął uwagę Simona i ciągnął dalej:

– Tak, oczywiście. Bardzo was przepraszam, ale jestem okropnie zmęczony.

No więc samochód Falkenborga od momentu wszczęcia poszukiwań był widziany w ponad pięćdziesięciu miejscach w Kopenhadze i okolicy, a w ciągu ostatnich dwóch godzin, to jest już po ogłoszeniu, że szukamy czerwonego samochodu: piętnaście razy. Zaobserwowano go między innymi na parkingu nieopodal stacji Skovlunde, jakieś dziesięć kilometrów na północ od...

– Tak, wiemy, gdzie leży Skovlunde. Powiedz, co tam robił.

– Kupował kielbaskę w kiosku. Jakaś kobieta zrobiła mu zdjęcie komórką, jemu i jego samochodowi, a potem natychmiast do nas zadzwoniła. Kiedy jednak policja dotarła na miejsce, jego już dawno tam nie było. Ale przynajmniej wiemy już na pewno, że jeździ czerwonym autem.

Hrabianka postanowiła drążyć temat:

– Ile trwało, zanim policja dotarła na miejsce? Chodzi mi o miejscowy patrol.

– Mniej niż pół godziny. To byli ludzie z PET-u, są bardzo skuteczni.

– Pół godziny? Nie zaimponowali mi.

– A powinni. Gdybyśmy sami prowadzili akcję, dotarcie na miejsce zajęłoby nam co najmniej...

Konrad Simonsen wszedł koledze w słowo:

– Już dobrze, idźmy dalej. Gdzie jeszcze go widziano?

– O 8:35 był przy kiosku z kielbaskami, a potem zaobserwowano go przy składzie budowlanym w Buddinge, to tuż obok tamtejszej stacji. Kupował dziesięć worków gotowej mieszanki betonu, zapłacił gotówką. To było dokładnie o 9:16.

Ernesto Madsen wyglądał na zdziwionego.

– Po co mu beton?

Tym razem odpowiedział mu Konrad Simonsen. Otrzymał tę informację już wcześniej, więc zdążył ją przetrawić.

– Możemy tylko zgadywać, ale niestety wygląda na to, że musi naprawić podłogę w piwnicy. Można się tylko domyślać dlaczego.

– Tak, oczywiście, ale z drugiej strony to może też być dobra wiadomość.

– Nie rozumiem?

– Nie sądzę, by zdecydował się zabić, zanim nie przygotuje sobie wszystkiego, a jego ostatnie zakupy świadczą o tym, że ma pewne opóźnienie. Zawsze to coś. Pierwsze morderstwo może zostać popełnione wkrótce, ale drugie pewnie dopiero jutro.

Poul Troulsen zabrał głos, wyrażając to, o czym wszyscy myśleli:

– Pytanie, czy to ma jakieś znaczenie? Jeśli chodzi o to, co dzisiaj robił, to mamy też inne źródło informacji. Właśnie rozmawiałem z Maltem, chodzi o serwer dźwiękowy, czy jak to się nazywa.

Hrabianka zdziwiła się.

– Serwer dźwiękowy? Co to takiego?

– Sam dokładnie nie wiem, więc tym bardziej nie potrafię ci tego wytłumaczyć. O ile dobrze zrozumiałem, jest to miejsce, w którym przechowuje się pliki z podsłuchu, założonego między innymi w twoim domu i w mieszkaniu Konrada Simonsena. Mikrofony i nadajnik są podłączone do sieci, jeśli interesują cię szczegóły, porozmawiaj z Maltem. Tak czy inaczej Andreas Falkenberg zalogował się do serwera z komputera w Lyngby o godzinie 12:41, czyli jakieś pół godziny temu. Niestety, korzystał z bezprzewodowego internetu, więc... – Poul Troulsen zaczął przeglądać notatki. – Adres IP jest nieznany, technicy wciąż nad tym pracują, cokolwiek to znaczy. Tak czy inaczej możemy z pewnością stwierdzić, że za dwa-dzieścia pierwsza był na placu Ulrikkeborg w Lyngby.

Konrad Simonsen chciał wiedzieć więcej na ten temat.

– Wiemy, jak często łączy się z serwerem? Łączył się z nim dzisiaj rano?

– Wszystkie te dane są właśnie generowane. Nie było łatwo go wyśledzić, ale otrzymaliśmy pomoc z Interpolu, ponieważ serwer fizycznie jest zlokalizowany w Anglii. Poza tym łączył się przez Stany, unikając w ten sposób naszych wewnętrznych blokad. Nie wytłumaczę wam tego dokładnie, powtarzam tylko to, co mi przekazano. Przykro mi.

– Nie szkodzi. Najważniejsze, co z tego wynika dla nas?

– Wiemy, gdzie jest jego laptop, a ponieważ zapewne wozi go w samochodzie, więc w ten sposób wiemy też, gdzie jest jego samochód, pod warunkiem że regularnie kontaktuje się z serwerem.

– Kiedy dane będą gotowe?

– Obiecali mi, że w ciągu godziny, która właśnie mija, ale nie ma sensu na nich naciskać. Pracują na pełnych obrotach.

– Mimo wszystko przypomnij im się.

Poul Troulsen wykonał polecenie. Sięgnął po telefon komórkowy i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił.

– Za pięć minut będą mieli mapę i listę połączeń. Natychmiast wszystko nam prześlą.

Konrad Simonsen zareagował od razu:

– W dziale technicznym pracuje kobieta, która specjalizuje się w geograficznych systemach informacyjnych, tak to się chyba nazywa. Może wyczyta coś z tych danych...

Poul Troulsen przerwał mu:

– Ta kobieta czeka już w moim pokoju, razem z dwójką matematyków z ko-

penhaskiego uniwersytetu.

– Doskonale. Mam też informacje o kluczu, ale niestety nic istotnego. Numer na główce odpowiada numerowi kłódki, podobne komplety były w sprzedaży mniej więcej dziesięć lat temu. Sprzedawano je w zestawach po kilka sztuk, ale także pojedynczo. Niewykluczone, że to rzeczywiście klucz do jego magazynu, ale to nie pomoże nam go znaleźć.

Rozległo się pukanie. Hrabianka otworzyła drzwi. W progu stał policjant, który przekazał jej kopertę. Hrabianka wzięła ją do ręki, otworzyła i wyjęła mapę Kopenhagi i okolic. Szybko przeleciała wzrokiem dołączoną listę, podczas gdy pozostali zajęli się studiowaniem mapy. Pierwszy odezwał się Poul Troulsen:

– Niewiarygodne! Jeździ po całym mieście, kiedy wszyscy go szukają! Nie tylko my, ale i taksówkarze, listonosze, gońcy, wszyscy, którzy mają oczy.

Konrad Simonsen wszedł mu w słowo:

– To tylko kwestia czasu, może po prostu miał szczęście. Zresztą część zgłoszeń pokrywa się z mapą. Ile jest na niej punktów?

Hrabianka szybko je policzyła:

– Jest ich szesnaście, w tym pięć z dzisiejszego dnia.

– Ernesto, jak on to robi? Porusza się po mieście, jakby był niewidzialny, pozornie bez żadnego planu. Potrafisz to wyjaśnić?

Psycholog próbował znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Dopóki nie zabił kobiet, myśli zapewne głównie o nich, a nie o własnym bezpieczeństwie. Co zrobi potem, trudno powiedzieć. Nie sądzę, żeby sam to wiedział. Przypuszczam, że nastąpi moment, kiedy poczuje się zdezorientowany, i wtedy prawdopodobnie będzie trzymał się miejsc, które dobrze zna.

– A kiedy ten moment minie?

– Wtedy zapewne ucieknie. Podejrzewam, że do Szwecji, gdzie najwyraźniej bywał już wcześniej. Ale jak dużo czasu...

Rozległ się dzwonek komórki Konrada Simonsena, który natychmiast uciszył zebranych:

– Przerwijcie na chwilę, to musi być coś bardzo ważnego.

Ludzie zamilkli, inspektor słuchał uważnie, po czym krótko podziękował i zwrócił się do swoich współpracowników:

– Mamy go, PET już go otoczyło, nie wyślizgnie się im.

– Gdzie go namierzili?

– W banku w Lejre, gdzie oddawał maskę. Zespół techników jest już w drodze, ale sprawa nie wygląda dobrze... Po wewnętrznej stronie maski Andreas Falckenborg stawia znaki czerwoną szminką, cztery znaki są stare, ale jeden jest świeży. Postawił go tam niedawno.

Poul Troulsen spytał zgaszonym głosem:

– Czy to oznacza, że jedna z kobiet nie żyje?

Policjanci spojrzeli na Ernesto Madsena, który w końcu wydobył z siebie:

– Tak, jedna z kobiet została zabita. Miałem nadzieję, że on jednak...

Ktoś mu przerwał.

– A druga?

– Nie mam pojęcia. Ale skoro zwrócił maskę do skrytki, coś musiało pójść nie po jego myśli.

Hrabianka była bliska płaczu, kiedy zwróciła się do Konrada Simonsena:

– Kiedy dowiemy się czegoś więcej?

– Dopiero w nocy, zadzwonią do mnie.

Ernesto Madsen spojrział na nich zaintrygowany.

– Czego mamy się dowiedzieć?

– Badania pokażą, czyje DNA jest na szmince.

Hrabianka już nawet nie próbowała powstrzymać płaczu, ale natychmiast pomyślała też o innych.

– Nie powiemy nic Arnemu ani rodzinom obu kobiet. Najpierw musimy mieć pewność.

Psycholog spytał, szlochając:

– Ile można przeżyć bez pożywienia i picia? Myślę o tej drugiej kobiecie. To znaczy, zakładając, że ona jeszcze żyje.

Hrabianka odpowiedziała mu z oczami pełnymi łez:

– Jedzenie nie jest takie ważne, najgroźniejsze jest odwodnienie organizmu. Ale ona jest młoda, to dobrze, choć niestety jest ciepło... Człowiek bez wody wytrzyma do sześciu dni, potem sytuacja staje się krytyczna. Jeśli jest to człowiek starszy albo chory, wszystko odbywa się szybciej. Dużo zależy też od woli przeżycia ofiary.

Nagle Hrabianka odniosła wrażenie, że mówi rzeczy nieistotne, zupełnie bez znaczenia. Przypomniała sobie wierszyk, który zacytowała jej jasnowidzka, jego słowa wypełniły jej głowę, blokując wszelkie myśli.

Konrad Simonsen zauważył jej zmieniony wyraz twarzy.

– Weź się w garść, Hrabianko. Czeka cię dużo pracy.

Walcząc z płaczem, kobieta skinęła głową. Konrad Simonsen przyglądał się jej niewzruszony. Także Poul Troulsen miał łzy w oczach. Kiedy odezwał się łamiącym się głosem, trzęsły mu się ręce.

– Chyba wiem, co się stało. Pauline pewnie zdjęła szkła kontaktowe i połknęła je, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Powinieneś go aresztować, Simon, on nigdy...

Konrad Simonsen krzyknął zły:

– Nie, nie zatrzymam go! A ty, Ernesto, masz mówić każdemu, kto będzie cię o to pytać, że jesteś przekonany, że Andreas Falkenborg wróci do swojej kryjówki. Wszystko mi jedno, jak to psychologicznie uzasadnisz, bylebyś zrobił to,

o co cię proszę. Nie zamierzam go aresztować, rozumiecie?

Rozumieli.

W tym momencie w drzwiach stanął Arne Pedersen, bez słowa wszedł do pokoju. Kiedy Hrabianka się do niego odezwała, odburknął jej coś niezrozumiale. Poul Troulsen też próbował go zaczepić, ale jemu Arne w ogóle nie odpowiedział. Po chwili koledzy dali mu spokój i pozwolili zostać, w końcu nikomu nie wadził. Wkrótce zaczęły napływać nowe informacje o Andreasie Falkenborgu. Okazało się, że mieszkał w Grand Hotelu w Herlev, niewielkim hoteliku niemal w centrum miasta, zameldował się tam trzy dni temu.

Konrad Simonsen zwrócił się do Hrabianki z kolejnym poleceniem:

– Szef PET-u jest już w drodze, zajmij się nim. Zakładam, że ma ze sobą aparaturę elektroniczną, która pozwoli nam śledzić poczynania Andreeasa Falkenborga na monitorze komputera. Zorganizujcie punkt kontrolny w dużej sali konferencyjnej. Wracam za kilka godzin, ale w najbliższym czasie będę miał wyłączoną komórkę, więc nie będzie ze mną kontaktu.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o punkcie kontrolnym?

– Właściwie sam nie wiem, tak mi przyszło do głowy. Na pewno będziemy mogli go śledzić na monitorze. Niech stołówka dostarczy nam coś do jedzenia, wodę, kanapki. Co jest, do licha, czy wszystko muszę robić sam?

– Nie, zajmę się tym. Poza tym punkt kontrolny to bardzo dobre określenie. Idź już.

Poul Troulsen spojrział na szefa i spytał zdumiony:

– Dokąd się wybierasz? Co w tej chwili może być ważniejszego?

Hrabianka doszła już do siebie i przerwała mu dość brutalnie:

– Pilnuj swojej pracy, Poul. I zaufaj Simonowi, robi to, co powinien.

Poul Troulsen wycofał się, nigdy jeszcze nie słyszał Hrabianki tak wzburzonej.

Rozdział 56

Marcus Kolding i Konrad Simonsen spotkali się w Hareskoven niecałe trzy kilometry od miejsca, gdzie Pauline walczyła o życie, uwięziona w bunkrze. Mężczyźni wyszli z samochodów i teraz w słońcu szli obok siebie ścieżką przez las. Konrad Simonsen zaczął od podziękowania doktorowi za pomoc w zidentyfikowaniu Finki Elizabeth Juutilainen, mężczyzna odpowiedział mu obojętnym wzruszeniem ramion. Dalsza rozmowa była zwięzła, niemal prymitywna, ale obaj wydawali się zadowoleni. Życie jednego, śmierć drugiego, powiedział Simonowi szef PET-u po spotkaniu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wkrótce miało się to ziścić. Marcus Kolding długo rozważał propozycję szefa wydziału zabójstw. W końcu odezwał się, próbując wszystko spokojnie podsumować:

– Mam porwać twojego mordercę i dręczyć go tak długo, aż powie, gdzie przetrzymuje kobiety. A ty w zamian zdradzisz mi nazwisko donosiciela, który, jak twierdzisz, działa w mojej organizacji.

– Właśnie tak.

– A co z tym psychopata... Zapomniałem, jak on się nazywa...

– Andreas Falkenborg.

– Chcesz go żywego?

Szli dalej i dopiero po chwili Marcus Kolding zorientował się, że nie dostanie odpowiedzi na swoje pytanie. Rzucił więc chłodno:

– Okej, rozumiem.

Jedyną kontrowersję stanowiła kwestia, kiedy Marcus Kolding ma otrzymać obiecane informacje. Konrad Simonsen upierał się przy swoim.

– Kiedy zmusisz go do mówienia, nie wcześniej.

– Skąd będę miał pewność, że mnie nie oszukasz? Chociaż to oczywiście nie byłoby rozsądne z twojej strony.

– Nie będziesz jej miał, ale nie próbuj mi grozić. Musisz mi zaufać. Dotrzymam słowa.

– A może to bezpodstawne oskarżenia na potrzebę tej sytuacji?

– To będziesz mógł sam ocenić.

– Masz jakieś nagranie?

– Zobaczysz.

Doktor Kold dobił targu, podając rękę Konradowi Simonsenowi. Inspektor, wprawdzie niechętnie, ale odwzajemnił uścisk. Omówili szczegóły, szybko wrócili do samochodów i pożegnali się, tym razem już bez podawania sobie ręki. Konrad Simonsen ruszył jako pierwszy, jego rozmówca siedział jeszcze kilka minut w samochodzie, pocierając charakterystycznym okrężnym ruchem swój wielki nochal.

Rozdział 57

Pauline Berg była sama w bunkrze. Na jej oczach Andreas Falkenberg zamordował Jeanette Hvidt i pogrzebał jej ciało pod betonową podłogą piwnicy. Pauline nie mogła się z tym pogodzić. Z powodu zmęczenia i postępującego odwodnienia organizmu chwilami traciła przytomność i niekiedy miała wrażenie, że Jeanette Hvidt stoi obok niej. Udzielała jej nawet porad:

– Żuj szmatę. Spokojnie, nie spiesząc się, żebyś w końcu mogła wypchnąć ją językiem. Nie wolno ci się poddawać, rozumiesz?

Wydawało się jej, że dziewczyna coś odpowiada, ale nie mogła jej zrozumieć. Powiedziała więc:

– Pamiętaj, że masz zostać lekarzem. Na pewno będziesz bardzo dobrym lekarzem.

W końcu nawet słyszała, że Jeanette zaczyna żuć szmatę, podobnie jak ona cały czas to robiła. Te odgłosy uspokoiły ją, ale wkrótce do jej świadomości wkradł się nowy dźwięk, przeciągły, dziwny, przypominający szuranie, który sprawił, że do jej oczu napłynęły łzy. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, ale nie starała się też sobie tego przypomnieć. Ponownie zwróciła się do Jeanette, raz, potem drugi, następnie zaczęła powtarzać dni tygodnia, nazwy miesięcy, planety, żeby tylko nie myśleć. Nagle mrok się rozproszył i zobaczyła Andreasa Falkenborga, który packą starannie wyrównywał mokry beton nad grobem Jeanette Hvidt. Umysł Pauline znów wypełniły przerażające obrazy i dźwięki, zaczęła krzyczeć, ale mury tłumili wszystko, uzmysławiając jej, że sytuacja, w której się znalazła, jest beznadziejna. Zdesperowana zaczęła rwać i szarpać łańcuch, aż pokonało ją zmęczenie i jej krzyk zamienił się w bezsilny szloch, przerywany przywołaniami mamy i taty. Po chwili otoczyła ją znów litościwa ciemność, na moment uzmysłowiła sobie upływ czasu, uznając, że właściwie nic ją to nie obchodzi. Przeprosiła za swój napad paniki kobietę, której już nie było obok niej, i zapadła w niespokojny sen.

Rozdział 58

Przez parę ostatnich dni Arne Pedersen praktycznie nie uczestniczył w pracach komendy. Zjawiał się i wychodził, kiedy chciał, przysłuchiwał się rozmowom, przy których chciał być obecny, ale nikt nie oczekiwał, że będzie brał udział w podejmowaniu jakichkolwiek decyzji. Wieść o jego stanie szybko się rozniosła i gdziekolwiek się zjawiał, wszędzie okazywano mu troskę, ale poza tym traktowano jak nieobecnego. Sam zresztą nie podejmował żadnych kroków, żeby to zmienić. Pierwszą dobę po porwaniu Pauline Berg czuł się okropnie i w ogóle nie był w stanie pomóc w dochodzeniu. Koledzy nalegali, żeby wracał do domu, ale on nie chciał. Wolał być na miejscu, razem z innymi, do samego końca. Nie wyobrażał sobie innej możliwości. Ponieważ nikt nie miał czasu się nim zajmować, zostawiono go samemu sobie i teraz błąkał się po pokojach. Jak natrętna mucha, pomyślał z gorzką ironią. Jak natrętna mucha.

Ku swojemu zdumieniu nie miał kłopotów ze snem. Zniknęły dręczące go wcześniej koszmary. Może dlatego, że dramat stał się już faktem, koszmar zamienił się w rzeczywistość. Nie wiedział, czy tak było naprawdę, ale czuł, że jest mu to obojętne. Znow mógł spać i to było najważniejsze. Wystarczało, że położył się na podłodze w swoim pokoju, i po kilku minutach spał jak dziecko. Pomyślał, że pewnie należy do najbardziej wypoczętych pracowników komendy, a już na pewno wydziału zabójstw, ale nie wypowiedział tego na głos. Praktycznie z nikim nie rozmawiał, ale po jakimś czasie zaczął powoli wracać do siebie.

Konrad Simonsen też to zauważył. Zjedli właśnie razem lunch w stołówce.

– Chyba już się lepiej czujesz, Arne.

Hrabianka wyraziła podobną opinię, dodając, że bardzo się z tego cieszy.

Arne nie zareagował, tylko skupił się na jedzeniu. Bo też co miał odpowiedzieć? Że Konrad Simonsen wyglądał jak siedem nieszczęść? Hrabianka zresztą też. Że sobie odpuścili?

Ktoś zabrał mu kluczyki od samochodu, domyślał się dlaczego. Wiedział, że wszyscy go obserwują. Czuł na sobie baczne spojrzenia, a do jego pokoju co rusz wpadał któryś z kolegów, właściwie bez powodu, tylko żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Zorientował się, że robią to też, kiedy śpi. Stara sztuczka z paskiem papieru okazała się niezawodna. Co oni sobie myśleli? Miał czterdzieści dwa lata, od dwudziestu był policjantem, czyli niemal połowę życia. A oni traktowali go jak harcezyka, amatora. Zauważył także, że zniknął jego pistolet. Nad tym akurat nie ubolewał, bo tylko mu przeszkadzał, a nie był mu do niczego przydatny. Kretyni! Nie pomyśleli, że wystarczą mu policyjna pałka i niewielki nożyk, który trzymał w szufladzie biurka.

W czwartek po południu żona przyniosła mu czyste ubranie. Rozmawiali ja-

kiś kwadrans. O bliźniakach. Kiedy wyczerpali temat, skupili się na pogodzie. Żona spytała, czy coś je, pocałowała go na powitanie i na pożegnanie, rutynowy pocałunek, odruch, jak kiedy patrzymy w lewo, przechodząc przez ulicę. Kiedy poszła, uderzyło go, jak bardzo się od siebie oddalili. Jakby żyli w dwóch różnych światach. Ale dobrze, że przyniosła mu ubranie. Chciał porządnie wyglądać, kiedy zostanie aresztowany. Niechlujni aresztanci zawsze budzili jego niechęć, chociaż stanowili większość zatrzymanych. Z czasem nauczył się ich akceptować, ale w głębi duszy nimi gardził. Nie chciał być jednym z nich.

Budzik w komórce zadzwonił o drugiej w nocy. Przez dziesięć minut Arne próbował rozprostować ciało, wykonując proste ćwiczenia. Czytał kiedyś, że Japończycy śpią na podłodze na specjalnych matach. To twardzi ludzie, poza tym na pewno jest to praktyczne, można zabrać swoje łóżko niemal wszędzie. Japonia, Australia, Chiny, Brazylia – zawsze chciał podróżować, ale jego życie ułożyło się inaczej. Zawsze było coś, co okazywało się ważniejsze. Wyjrzał przez okno w noc i pomyślał, że znów musi odłożyć podróż na parę lat. Potem wyszedł na korytarz w samych skarpetach, minął gabinet Konrada Simonsena. Spod drzwi sączyło się światło. „Serce wydziału zabójstw”, kiedyś ktoś tak określił ten pokój, ale nie pamiętał już kto. Poślinił palec i jakby z pogardą dotknął nim drzwi gabinetu. Potem znalazł najbliższą łazienkę, gdzie w spokoju doprowadził się do porządku.

Hrabianka nie miała w zwyczaju przeklinać, więc gdy do tego dochodziło, zawsze skupiała na sobie uwagę słuchaczy, w tym przypadku Konrada Simonsena i szefa policyjnych służb wywiadowczych. Siedzieli bowiem we trójkę w gabinecie Simona i z zaangażowaniem analizowali zaplanowane na jutro przedsięwzięcie. Uznali, że musi się udać. Szef PET-u podkreślał to wielokrotnie. „Nie ma innej opcji”. „Albo, albo”. „Jeśli nie zrobimy tego jutro, to nie zrobimy tego nigdy”. Napawał się własnymi słowami, co nie zmieniało faktu, że była to prawda. Zabrzęczała komórka Hrabianki, spojrzała na nią i nagle krzyknęła:

– Niech to szlag, Arne wyszedł!

Konrad Simonsen zerwał się z krzesła, przewracając je.

– Żartujesz? Gdzie on jest? Skąd o tym wiesz?

– Jego komórka. Automatycznie wysyła SMS-a, kiedy znajdzie się dalej niż dwieście metrów od budynku komendy. Tylko nie pytaj, jakim cudem.

Szef służb okazał więcej spokoju.

– Czyli jest dwieście metrów stąd?

– Nie, ponad dwieście.

– Spokojnie, mamy mnóstwo czasu.

Konrad Simonsen posłuchał go, podniósł krzesło i usiadł, zażenowany własną reakcją. Zwrócił się do Hrabianki:

– Może po prostu postanowił się przewietrzyć. Wiesz, w jakim kierunku idzie?

- Nie udawaj głupiego.
- Jest uzbrojony?
- Wątpię. Mam jego pistolet.

Konrad Simonsen spojrzał na szefa służb wywiadowczych.

- Zakładam, że twoi ludzie zatrzymają go, zanim zrobi jakieś głupstwo.

Mężczyzna skinął głową, ale nie podjął żadnych działań. Podrapał się knykiem w skroń i po chwili powiedział cicho:

- Jest też inna możliwość.

Kolejne dwie sekundy wydały się wiecznością. Hrabianka wpatrywała się w podłogę i milczała. Konrad Simonsen patrzył na nią osłupiały.

- Czy wyście powariowali? Nie, w żadnym wypadku! Absolutnie nie!

Szef służb wywiadowczych wstał i opuścił gabinet. Po chwili Konrad Simonsen poszedł w jego ślady. Hrabianka patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami. Stwierdziła, że zdarzają się chwile, kiedy jej ukochany zachowuje się jak krety. Bez problemu mogłaby pozwolić Arnemu iść dalej. Wystarczyłoby, żeby zignorowała jego SMS-a, ale to Konrad Simonsen musiał podjąć decyzję. Tylko on był władny to zrobić.

Portier nocny w hotelu otworzył drzwi nieco za szybko, kiedy Arne Pedersen pokazał mu swoją odznakę policyjną. To powinno było wzmóc jego czujność. A już na pewno powinien dać mu do myślenia fakt, że portier bez żadnego pytania podał mu klucz uniwersalny otwierający wszystkie drzwi w hotelu i od razu wymienił numer pokoju, w którym zatrzymał się Andreas Falkenberg. Wskazał palcem i powiedział:

- Dwunastka, prosto korytarzem, trzeci pokój po lewej stronie.

Arne Pedersen zaczerpnął powietrza, ostrożnie chwycił za klamkę i wszedł do pokoju. Idąc niewielkim korytarzykiem, wyjął policyjną pałkę, podczas gdy jego oczy przyzwyczajały się do ciemności. Zaczął macać ścianę w poszukiwaniu włącznika, po chwili rozblysło światło. Jego zaskoczenie było całkowite. Na łóżku siedziało dwóch mężczyzn w jego wieku, trzeci stał pół metra od niego.

- Dobry wieczór, Arne.

Odwrócił się w stronę drzwi, przez które przed momentem wszedł. Stojący obok nich mężczyzna odezwał się cicho:

- Oszczędź sobie zachodu. Na zewnątrz jest dwóch naszych kolegów.

Arne Pedersen puścił pałkę, która upadła na podłogę z głuchym dźwiękiem. Spytał bezradnie:

- Co teraz?

– Nic, pojedziemy na komendę. Odwieziemy cię do Simona. Wszyscy doskonale cię rozumiemy.

Rozdział 59

Następnego dnia pracownicy wydziału zabójstw harowali bez wytchnienia. Nawet szef służb wywiadowczych, który, jak wieść niesła, niejedno już w swojej karierze widział, chodził zgarbiony, z takim samym zatroskanym spojrzeniem jak Konrad Simonsen, Poul Trolusen i Ernesto Madsen. Wydawało się, że tylko Hrabianka jakoś sobie radzi w tej kryzysowej sytuacji, nie uzewnętrzniając desperacji, co, prawdę mówiąc, budziło dość powszechne zdziwienie. Bo to przecież ona była najmocniej związana z Pauline Berg, nie licząc oczywiście Arnego, który teraz większość czasu spędzał w swoim gabinecie, gdzie siedział, wpatrując się przed siebie bez celu, w towarzystwie pilnującego go młodego funkcjonariusza. Także Malte Borup sprawiał wrażenie przygnębionego, funkcjonował co prawda względnie normalnie, ale Hrabianka miała swoje podejrzenia. Podszedł do niej w piątek rano, kiedy siedziała w stołówce.

– Mogę się przysiąc?

– Oczywiście. Naprawdę nie weźmiesz nic poza colą? Czy ty w ogóle coś jesz?

– Obawiam się, że niewiele.

– Nie masz pieniędzy?

– Nie o to chodzi. Po prostu nie jestem głodny.

Hrabianka zabrała bułkę z własnego talerza i podała mu ją.

– Masz, zjedz.

Mężczyzna posłusznie zaczął przeżuwać, ale bez większego apetytu. Coś go wyraźnie dręczyło. Nagle, między dwoma kęsami, spytał:

– Jak wiarygodny jest taki test DNA? Możemy mieć pewność, że ona naprawdę nie żyje?

– Test DNA daje nam stuprocentową pewność, że Jeanette Hvidt nie żyje. Ślady szminki ma masce zawierały jej DNA. Natomiast tego, czy Pauline żyje, nie wiemy. To chyba oczywiste.

– Tak właśnie myślałem. Jak pani sądzi, istnieje szansa, że Pauline żyje?

– Nic nie sądzę i nie chcę zgadywać.

– A ja wierzę, że tak. Zdecydowanie tak.

– To dobrze.

– Chciałbym, żebyśmy zatrzymali tego mordercę i dali mu taki wycisk, żeby wszystko wyśpiewał. Wiem, że to zabronione, ale bardzo bym tego chciał. A może dałoby się wstrzyknąć mu coś, żeby powiedział nam prawdę?

– Niestety, tak to nie funkcjonuje.

– Niestety nie. To chore. Pauline może umrzeć, bo chronimy psychopatę, który zamordował już pięć kobiet. Gdybym ja mógł decydować... To oczywiście

przykre, ale lepsze to, niż gdyby Pauline miała umrzeć.

– Do tego nie dojdzie.

– Do tego, że umrze?

– Nie to miałam na myśli, ale nie rozmawiajmy już o tym.

– A o czym? Falkenberg jeździ sobie po mieście, chyba że akurat smacznie śpi w swoim pokoju. A my siedzimy bezczynnie. Nie rozumiem tego. Nie mogę wysiedzieć w tym punkcie kontrolnym, czy jak to tam nazywacie. Poza tym naprawdę nie pojmuję, dlaczego go nie zatrzymacie.

Hrabianka pomyślała, że Malte nie jest odosobniony w tej opinii, większość ludzi w komendzie była podobnego zdania. Konradowi Simonsenowi brakowało już argumentów, by dalej bronić swojej strategii. Ona i szef PET-u oczywiście wspierali go, wiedząc o umowie z Marcusem, ale sprawa wymagała czasu. Rzuciła więc od niechcienia:

– Może dzisiaj coś się wydarzy.

– Niby co? Wie pani o czymś?

– Cierpliwości, Malte.

– Podobno dzisiaj ma być równie gorąco jak wczoraj, to niedobrze, prawda?

– Niestety nie.

– Kiedy o niej myślę, ledwie sam mogę pić. Ale właściwie to przyszedłem spytać, czy mogę w ciągu dnia wyskoczyć na kilka godzin do domu? Anita ma urodziny, a ja nawet nie kupiłem jej prezentu. Ma też kłopoty z ojcem, więc...

Hrabianka pokręciła głową, chłopak zamilkł.

– Przykro mi, Malte, ale musisz być na miejscu. W każdej chwili możesz być nam potrzebny, ale poza tym możesz robić, co chcesz, tylko cały czas musisz mieć włączoną komórkę.

Pół godziny później frustracja, wynikająca z bierności Konrada Simonsena, doprowadziła do tego, że kilkunastu funkcjonariuszy wtargnęło do jego gabinetu, niektórzy w mundurach, większość w cywilu. Wszyscy byli poważni i zatroskani. Konrad Simonsen siedział przy biurku i walczył ze snem, gdy w jego pokoju zaroilo się od nieproszonych gości. W ich imieniu zabrał głos jeden ze starszych funkcjonariuszy, powszechnie lubiany i znany ze spokoju i opanowania. Stał obok drzwi i czekał, aż wszyscy wejdą. Dopiero wtedy się odezwał, stanowczo, ale spokojnie:

– Tak dalej być nie może, Simon. Właśnie mija doba od momentu, kiedy poznaliśmy miejsce pobytu Andreasa Falkenborga. Dla wszystkich z wyjątkiem ciebie jest jasne, że mężczyzna nie zamierza wracać do miejsca, w którym ukrył kobiety, więc albo ty go aresztujesz, albo zrobimy to my, z twoją zgodą albo bez niej.

Konrad Simonsen wpatrywał się w niego intensywnie, ale mężczyzna wytrzymał jego spojrzenie. Inspektor chwycił za telefon i wybrał numer Hrabianki, a kiedy odebrała, powiedział głośno i wyraźnie:

– Poproś szefa policji krajowej, żeby jak najszybciej przyszedł do mojego gabinetu.

Potem sięgnął po pierwszy z brzegu raport leżący na biurku i zaczął go czytać. Wśród ludzi zapanował niepokój. Ktoś nawet opuścił gabinet, ktoś zaczął się tłumaczyć, ale Konrad Simonsen powstrzymał go gestem dłoni.

Gdy po niespełna minucie zjawił się szef policji, Konrad Simonsen zadał mu jedno pytanie:

– O ile dobrze zrozumiałem decyzje, które zostały podjęte podczas wczorajszego zebrania, odpowiedzialność operacyjna za dochodzenie w sprawie Andreasa Falkenborga spoczywa na mnie i tylko na mnie. Czy tak?

Szef policji nie miał żadnych wątpliwości:

– Tak, to chyba jasne. Wyłącznie na tobie. – Mężczyzna zaczął się przyglądać zgromadzonym w pokoju funkcjonariuszom, po chwili zdjął okulary i burknął zły: – Ktoś ma jakiś problem? Czegoś nie rozumie? Coś komuś nie pasuje?

Konrad Simonsen wszedł szefowi w słowo:

– Nie wiem, ale jeśli się okaże, że tak, to rozumiem, że mam twoją zgodę na zawieszenie danej osoby do czasu zakończenia sprawy?

Szef policji znów spojrział na policjantów zebranych w gabinecie, jego oczy ciskały gromy. W końcu wysyczał:

– Masz moje pozwolenie. Każdego, kto będzie rzucał ci kłody pod nogi, możesz nie tylko zawiesić, ale nawet zwolnić ze skutkiem natychmiastowym.

Konrad Simonsen uniósł głowę i powiedział cicho:

– Dziękuję. Teraz już sam sobie poradzę.

Szef policji włożył okulary i wyszedł z gabinetu, Simon wrócił do lektury raportu i po chwili zauważył, że znów jest sam w pokoju.

Wkrótce potem on, Hrabianka, szef policyjnej służby wywiadowczej, Ernesto Madsen i szefowa lokalnej policji spotkali się ponownie. Szef PET-u przyprowadził swojego sekretarza, nieskazitelnie ubranego młodego mężczyznę, który nic nie mówił, ale pracowicie stukał w klawiaturę, jeszcze zanim zebranie na dobre się rozpoczęło. Wszyscy byli zmęczeni oczekiwaniem, które zdawało się do niczego nie prowadzić, poza coraz większą frustracją. Tylko szefowa lokalnej policji sprawiała wrażenie odprężonej. Miała na sobie jaskrawy kostium, w którym przypominała klowna albo papugę. Spojrzała na młodego mężczyznę i spytała szefa służb:

– Sądziłam, że to nieformalne spotkanie. Dlaczego przyprowadziłeś referenta?

– Poświęcamy wam ostatnio dużo czasu, ja i moi ludzie, skoro więc nadwyrężam budżet, to chcę, żeby przynajmniej został jakiś ślad na piśmie.

– Ale to spotkanie nie ma nic wspólnego z finansami.

– Wszystko ma coś wspólnego z finansami.

– Bzdura.

Ci, którzy znali szefową policji bliżej, widzieli, że jest zła. Szybko jednak opanowała gniew i rzuciła lekko:

– Chciałabym później przejrzeć tę notatkę.

Szef służb wyraził zgodę i zebranie mogło się rozpocząć. Pierwszy zabrał głos Konrad Simonsen.

– Wiem, że jesteśmy zmęczeni i sfrustrowani. Ostatnie dni były niezwykle ciężkie, wszystkim nam trudno było siedzieć tu, patrzeć na monitor i nie móc niczego zrobić, mając do tego świadomość, że sytuacja Pauline Berg staje się coraz bardziej...

Inspektor przerwał, zastanowił się chwilę i uznał, że to, co mówi, nie ma większego sensu. Stwierdził jednak, że to w sumie nieważne, wrócił więc do swojej przerwanej wypowiedzi:

– Bardzo was przepraszam, ale jestem zmęczony i język mi się płacze. Na pewno wiecie, co chciałem powiedzieć.

Wszyscy pokiwali głowami, Konrad Simonsen mógł mówić dalej:

– To oczywiste, że jeśli wkrótce nic się nie wydarzy, zostaniemy zmuszeni do podjęcia jakichś kroków. Pytanie tylko jakich, dlatego zwołałem to spotkanie. Jest kilka możliwości, ale najpierw zapoznajmy się z aktualną sytuacją.

Inspektor spojrzał na szefa PET-u, który przejął pałeczkę.

– Nic przełomowego nie nastąpiło. W tej chwili Andreas Falkenberg je śniadanie w hotelu w Herlev. Wczoraj sporo kręcił się po mieście bez wyraźnego celu. Od czasu do czasu włączał laptopa, sprawdzał wiadomości z podsłuchu, korzystał z internetu, czytał najświeższe doniesienia prasowe, głównie na swój temat. Wszedł nawet na jakiś blog i napisał parę zdań, podpisując się własnym imieniem i nazwiskiem, ale nic z nich nie wynikało.

– Pilnujecie go?

Pytanie padło z ust szefowej policji.

– Bardziej już chyba nie można. Cały czas mamy go na oku, poza tym umieściliśmy nadajnik pod jego samochodem, wiemy więc dokładnie, gdzie się znajduje. To jest to niebieskie kółko na monitorze.

Mężczyzna wskazał palcem na duży monitor na ścianie, na którym widać było mapę Herlev, a niemal na samym środku niebieskie kółko.

Hrabianka chciała się upewnić i spytała:

– Mam nadzieję, że nie odpadnie?

– Oczywiście, że nie, został skonstruowany właśnie do takich celów. Jest przymocowany bardzo silnym magnesem do tylnego prawego koła, oczywiście można go usunąć, ale wymaga to trochę zachodu i sporo siły. Wstrząsy podczas jazdy nie są żadnym zagrożeniem.

– Co z jego komórką? Mamy ją na podsłuchu? A jego pokój hotelowy?

Szef służb posłał psychologowi poirytowane spojrzenie, dając mu do zrozu-

mienia, że w takich sprawach nie powinien się w ogóle wypowiadać, i rzucił krótko:

– Andreas Falkenborg ma trzy karty SIM, ale nie używa komórki, a jego pokój w hotelu jest oczywiście na podsłuchu.

Psycholog jednak nie ustępował.

– Nie ma ryzyka, że wywiedzie nas w pole? W końcu jest ekspertem od tego typu spraw.

Szef służb prychnął.

– Żaden z niego ekspert! Nasze urzędnicy wyprzedzają jego złom o co najmniej dwie generacje. On przede wszystkim handluje sprzętem, nie może się równać z naszymi technikami ani pod względem wiedzy, ani doświadczenia. Andreas Falkenborg jest amatorem, my jesteśmy zawodowcami, proszę o tym nie zapominać.

Swada, z jaką szef służb wywiadowczych zakończył swoje wystąpienie, zamknęła usta Madsenowi.

Po chwili milczenia odezwał się Konrad Simonsen:

– Pora powrócić do pytania: co dalej? Są dwie możliwości: albo jeszcze dzisiaj niczego nie zmieniać, albo go zatrzymać. Żadna nie jest dobra, ale nie możemy ciągnąć w nieskończoność tej obserwacji. Wszyscy wiemy, ile czasu człowiek może wytrzymać bez wody i że zaczynamy się niebezpiecznie zbliżać do tej granicy, tym bardziej że jeśli go zatrzymamy, musimy liczyć się z tym, że wydobyć z niego jakichkolwiek informacji też zajmie nam trochę czasu. Dlatego uważam, że należy go zatrzymać najpóźniej dzisiaj po południu, chyba że wcześniej coś się wydarzy.

Ernesto Madsen odezwał się wyraźnie przygnębiony:

– Nie liczcie, że zgodzi się na przesłuchanie. Jestem niemal pewien, że odmówi.

Szefowa policji wsparła go:

– Nie jesteśmy w stanie go zmusić. Wiesz o tym, Simonie?

– Bardzo dobrze o tym wiem.

– Więc zastrzegam, że kiedy trafi do aresztu śledczego, wydeleguję ludzi, którzy będą pilnować, żeby nie doszło do żadnych nieprawidłowości. Wiem, że Pauline Berg jest waszą koleżanką z wydziału, i wiem, co w tej chwili czujecie, ale wszystko musi się odbywać zgodnie z prawem.

Hrabianka rzuciła nieco ironicznie:

– Nie ufasz nam?

– Nie.

Ernesto Madsen rozłożył bezradnie ręce i wybuchnął zły:

– Co za bagno, cholera!

Szef PET-u zareagował natychmiast:

– Pana prywatne opinie nikogo nie interesują.

Szefowa kopenhaskiej policji poparła psychologa, stwierdzając krótko:

– On ma rację.

– Za dziewięćset koron za godzinę oczekiwałbym bardziej twórczego podejścia.

Ernesto Madsen się zaczerwienił, a Konrad Simonsen zaproponował cicho:

– Może więc warto pomyśleć o trzeciej możliwości?

Hrabianka natychmiast przyszła mu z pomocą:

– Jakiej mianowicie? Zamieniamy się w słuch.

– Pomyślałem, że może komuś udałoby się do niego zbliżyć i zdobyć jego zaufanie. Wiemy, że jest dość naiwny, wręcz łatwowierny. Może warto spróbować?

Szef służb zaczął głośno myśleć:

– To nie jest zły pomysł, ale chętnie usłyszałbym coś więcej. Robimy burzę mózgów, czy masz to już przemyślane?

– Burza mózgów.

Hrabianka natychmiast podchwyciła temat, szefowa policji uśmiechnęła się, dumna ze swoich ludzi.

– Wiem, co ja bym zrobiła.

Konrad Simonsen zachęcił Hrabiankę, żeby mówiła dalej.

– Pomyślałam o kluczu, który zapewne jest kluczem do kłódki od jego magazynu. Rozumiem, że to oryginał, tak?

Tym razem odpowiedział jej szef służb:

– Zabraliśmy go wczoraj z jego pokoju, odczepiliśmy od większego pęku kluczy, a potem zastąpiliśmy kopią. Oryginał oddaliśmy do badania technikom, którzy nie są w stanie ustalić, kiedy klucz był ostatnio używany, zakładają jednak, że był, ponieważ odcisk kciuka Andreasa Falkenborga na kluczu jest co najwyżej sprzed dwóch dni. Te informacje są w raporcie, który wszyscy dostali.

– Tak, widziałam raport, ale nie miałam czasu dokładnie się z nim zapoznać. Simon, podobno zarządziłeś przegląd piwnic. To szerzej zakrojona akcja?

– Jak najbardziej. Pomagają nam ludzie z Obrony Cywilnej, sprawdzamy wszystko, piwnice, strychy. Poza tym opublikowaliśmy w prasie zdjęcie podobnej kłódki i poprosiliśmy o pomoc. Na razie jednak nasze apele nie przyniosły żadnych rezultatów. Znaleźliśmy wprawdzie dwadzieścia trzy kłódki dokładnie tego typu, ale to nam niewiele pomogło.

– Ale tę operację możemy też wykorzystać inaczej. Gdybym go „przypadkowo” spotkała, mogłabym na przykład opowiedzieć mu historię o bezczelnym policjancie, który domagał się dostępu do mojej piwnicy. Ponarzekalabym trochę, a przy okazji opowiedziałabym mu o akcji i o tym, ilu ludzi jest w nią zaangażowanych. I wtedy zobaczylibyśmy, jak zareaguje.

Ernesto Madsen nie był zbyt optymistyczny:

– Pewnie w ogóle nie zareaguje, bo generalnie nie chce o tym rozmawiać.

Szef służb wywiadowczych spojrział na niego i spytał:

– Czy to znaczy, że jest pan za?

– Nie rozumiem?

– Nie powiedział pan, że to mogłoby w jakiś sposób zaszkodzić sprawie, więc jeśli się nie uda, nic strasznego się nie stanie.

Ernesto Madsen wydawał się zdezorientowany.

– W zasadzie tak, ale w takim przypadku powinien to być...

Szef służb przerwał mu:

– Chciałem panu powiedzieć, że moi profilerzy wypowiadają się z dużym uznaniem o pana pracy. Pański raport o relacjach Andreasa Falkenborga z rodzicami ocenili jako imponujący. Rzeczywiście trafił pan w dziesiątkę. Moja wiedza jest zapewne zbyt uboga, żeby go fachowo ocenić, ale bardzo mi on pomógł, szczególnie cenne były informacje o jego stosunkach z matką. Może pan je nam wszystkim jeszcze raz w skrócie przedstawić?

Konrad Simonsen skinął głową i zwrócił się do psychologa:

– To dobry pomysł, tylko postaraj się zrobić to zwięźle.

Ernesto Madsen zaczął mówić, Hrabianka słuchała go uważnie. W pewnym momencie przerwała mu:

– Możesz to jeszcze raz wytłumaczyć? Twierdzisz, że jeśli będę się zachowywać arogancko, a jednocześnie uniżenie, czy wręcz służalczo, to wtedy mam szansę nawiązać z nim kontakt? Jak to miałyby wyglądać? Powiedzmy, że podejdem z talerzem do stolika, przy którym on siedzi. Wobec kogo mam być arogancka i na czym ma polegać moja służalczość?

– Możesz być arogancka wobec kelnerki, szczególnie jeśli będzie to młoda kobieta.

Szef PET-u wydawał się zachwycony.

– Świetnie, Madsen. Postaramy się dać tam młodą kelnerkę, to żaden problem, jeśli będziemy wiedzieć, gdzie to ma być.

– To chyba dość nierealne.

– Rzeczywiście, a co poza tym?

Hrabianka wróciła do swojego poprzedniego pytania:

– Wobec kogo miałabym być uniżona?

Konrad Simonsen wszedł jej w słowo:

– To świetny pomysł, żeby wykorzystać elementy z profilu psychologicznego matki, na pewno pozwoli nam to zaoszczędzić sporo czasu.

Nawet szefowa policji pochwaliła pomysł.

Ernesto Madsen udzielał Hrabiance dalszych instrukcji, referent pilnie wszystko notował. Nikt, ani szefowa policji, ani psycholog, nie zorientowali się, że

szef służb wywiadowczych konsekwentnie realizuje swój plan.

Rozdział 60

Andreas Falkenborg zdecydował się zjeść obiad w ogródku jednej z restauracji w Solrød, na południe od Kopenhagi. Hrabiance udało się wyprzedzić go o dwie osoby w kolejce do kasy. Mikrofon, umieszczony w broszce, przypiętej do kołnierza jej kostiumu, był podłączony do nadajnika, który miała w torebce, i przekazywał dźwięk do punktu kontrolnego w Komendzie Głównej w Kopenhadze. Zebrani tu funkcjonariusze słuchali w napięciu, szefowa policji zaczęła gestykulować ożywiona, gdy Hrabianka podeszła do kasy i natychmiast zmieszała z błotem kasjerkę, wdając się z nią w dyskusję na temat jakości jedzenia i cen. Słyszeli, jak w końcu płaci, a potem przesuwa się w stronę stolika, przy którym siedział Andreas Falkenborg. Po chwili usłyszeli, jak pyta go:

- *Mogę tu usiąść?*
- *Proszę, jeśli pani chce, ale jest dużo wolnych stolików.*
- *Uwielbiam towarzystwo. Słyszał pan tę głupią gęś?*
- *Tak, słyszałem.*
- *Prawda, że była bezczelna? Długo by szukać drugiej takiej.*
- *Pewnie tak.*
- *Nie wkurzają pana takie głupie gęsi? Nie znoszę, kiedy ktoś mnie tak traktuje. Ale może po prostu jestem przewrażliwiona?*
- *Nie, doskonale panią rozumiem. To irytujące.*
- *Cieszę się, że nie ja jedna tak uważam. Taka idiotka nie powinna pracować w takim miejscu.*
- *Zgadzam się z panią.*
- *Przepraszam, popilnuje pan mojego talerza? Muszę iść do toalety.*
- *Oczywiście, proszę.*
- *Bardzo dziękuję. A w ogóle to mam na imię Nathalie, a pan?*

– *Pronto, tak na mnie mówią.*

– *Bardzo ładnie. Pronto. Podoba mi się.*

Szef służb zareagował pierwszy:

– Co się dzieje, do licha? Dokąd ona idzie?

Konrad Simonsen, który był pod coraz większym wrażeniem zdolności aktorskich szefa PET-u, milczał. Po chwili jednak odezwał się Poul Troulsen, który nie lubił mężczyzny i już dwa razy się z nim starł. Teraz zauważył gniewnie:

– Może musi się załatwić.

– Bzdura, na pewno zadbała o to wcześniej.

Nagle znów usłyszeli głos Hrabianki:

– *Wyszłam na parking, prawdę mówiąc, to przykucnęłam tuż obok jego samochodu, ale to dlatego, że stoi z brzegu. Coś jest nie tak. Mam wrażenie, że odkrył, że jest obserwowany. Cały czas się rozgląda. Jestem pewna, że zauważył śledzących go agentów. Jak słyszycie, chyba udało mi się nawiązać z nim kontakt, ale gorzej z nadzorem nad nim.*

Szef służb wywiadowczych wstał, czerwony na twarzy, i nie podnosząc głosu, zwrócił się do Poula Troulsona:

– Ponieważ nic pana z nią nie wiąże, dlatego pytam właśnie pana, czy ta kobieta jest dobrą policjantką? Czy można jej ufać, czy może to histeryczka, która w każdym kącie widzi duchy, kiedy tylko sytuacja staje się napięta?

Poul Trolsen odpowiedział konfrontacyjnym tonem:

– To zdolna, mądra kobieta, a pan jest niegrzeczny.

– Nie czas na prawienie sobie uszczypliwości. W porządku, Simon, wiem, że ty decydujesz, ale chyba przerywamy?

Konrad Simonsen nie był dobrym aktorem i chociaż wcześniej przećwiczył swoją kwestię, to jednak zabrzmiała ona nieco sztucznie.

– No nie wiem... To standardowe procedury, sam już nie wiem, co robić, a biedna Pauline...

Szef służb odezwał się lodowato:

– Podejmij w końcu jakąś decyzję, człowieku. Nie rozumiesz, że tracimy czas?

Ostre słowa nie tylko nie pomogły, ale przeciwnie, podgrzały atmosferę. Konrad Simonsen pokiwał ciężko głową i zaczął szybko oddychać. Na jego twarzy pokazały się krople potu i po chwili przypominał ugotowanego raka. Nieoczekiwany napad dodał sytuacji wiarygodności.

Szef służb wywiadowczych rozłożył bezradnie ręce i spojrzał błagalnie na

szefową policji kopenhaskiej, a ona po kilku chwilach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, nakazała stanowczym tonem:

– Natychmiast przerwać nadzór.

Referent wszystko dokładnie zanotował.

Podobnie jak Hrabianka, szef PET-u miał w kłapie mikrofon z podłączonym kabełkiem włącznikiem. Wcisnął go teraz i powoli, ale wyraźnie wydał rozkaz:

– Wszystkie jednostki wycofują się z pola widzenia, natychmiast. Powtarzam: wszystkie jednostki niezwłocznie wycofują się z pola widzenia. Bez żadnych wyjątków, na bezpieczną odległość, czyli na minimum pięćset metrów.

Konrad Simonsen powoli dochodził do siebie. Szefowa przyglądała mu się zaniepokojona, aż zaczął ją przeproszać:

– Bardzo mi przykro, obiecuję, że to się już nie powtórzy.

Niespodziewanie szef służb wywiadowczych przyszedł mu z odsieczą, zaczął tłumaczyć, że takie rzeczy się zdarzają, po czym zwrócił się do szefowej lokalnej policji:

– Dobrze, że była pani na miejscu i mogła wydać polecenie. Postąpiła pani jak najbardziej słusznie.

Znów spojrzął na Simona, który odzyskał już kontrolę nad sytuacją.

– W stanie stresu to dość naturalne. Nawet mnie się to zdarza, pewnie o tym czytaliście?

Szefowa policji wyraźnie się uspokoiła.

– Oczywiście, że czytałam. Wiem, że takie historie się zdarzają i że to nic nie znaczy.

W głośnikach znów rozległ się głos Hrabianki, napięcie wzrosło.

– *Dziękuję za pomoc.*

– *Za co?*

– *Za popilnowanie mojego talerza.*

– *Drobiazg.*

– *Często tu przychodzisz?*

– *Nie.*

– *Jedzenie jest całkiem niezłe. Nie uważasz?*

– *Nie powiedziałbym.*

– *Jesteś wybredny? Ja w zasadzie jadam wszystko, ale oczywiście są pewne granice, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Jedna rzecz jest jednak pewna, a wiesz, co to jest, Pronto? Tak się nazywasz, prawda? Pronto?*

– *Pronto.*

– *No, właśnie. Pronto. Wiesz, co jest pewne?*

– *Nie, nie wiem.*

– *Że zaraz zamówię kieliszek koniaku do kawy i tobie też mogę postawić, chcesz?*

– *Nie, dziękuję.*

– *A wszystko dlatego, że okropnie się zdenerwowałam. Aż cała dygoczę, naprawdę.*

– *Dlaczego?*

– *Przed południem przyszło do mnie dwóch policjantów i chcieli przeszukać moją piwnicę, byli okropnie bezczelni.*

– *Tak...?*

– *Niemal mi rozkazywali. Podobno szukają jakichś dwóch dziewczyn, które... Zaraz, zaraz, dokąd idziesz? Jeszcze nie skończyłeś... Niech to diabli, biegnę za nim. Zostaje nam plan B, mam nadzieję, że lepiej na niego zareaguje.*

Konrad Simonsen odezwał się cicho:

– *Tak czy inaczej warto było spróbować.*

Poul Troulsen brzmiał bardziej optymistycznie:

– *Zobaczymy, jak się teraz zachowa. Osobiście uważam, że od początku powinniśmy tak tym pokierować.*

Szef służb zasyczał:

– *Szkoda, że tak późno to mówisz.*

Nikt mu nie odpowiedział.

Z głośników dobiegł ich głos Hrabianki:

– *Przepraszam. Andreas Falkenborg, tak? Znam twoje imię i nazwisko. Nie jestem osobą, za którą się podawałam. Tylko ty wiesz, gdzie jest moja córka. Wiesz*

też, że ona umrze, jeśli mi nie pomożesz. A ja w głębi duszy jestem pewna, że masz świadomość, że to, co robisz, jest złe. Nie zabieraj mi jej. Pomyśl o swojej matce, o tym, jak bardzo cierpiała. Teraz możesz naprawić zło, które wyrządziła jej swoim postępowaniem. Oddaj mi moje dziecko. Ona ma na imię Pauline... Dobrze, dobrze, zaraz sobie pójdę, ale na litość boską, zastanów się! I pomyśl o swojej matce, żeby potem nie dręczyło cię sumienie.

Poul Trolusen był wyraźnie zdziwiony.

– W ogóle nie odpowiedział. To dobrze czy źle?

Szef PET-u miał wątpliwości:

– Wydaje mi się, że coś mówił. Mamrotał coś.

Konrad Simonsen uznał, że mężczyzna przesadził, i w ogóle się nie odezwał.

Nikt inny nie miał uwag, po chwili pomieszczenie wypełnił znów głos Hrabianki:

– Stoję na parkingu. Ostatnie zdanie zrobiło na nim duże wrażenie, mimo że kazał mi odejść. Ale nie ma sensu porozumiewać się przez mikrofon, zaraz do ciebie zadzwonię, Simon.

Dwadzieścia sekund później zadzwoniła komórka Konrada Simonsena. Odebrał i zaczął rozmawiać.

Hrabianka była wyraźnie zaniepokojona.

– Czas ucieka. Andreas nadal siedzi w samochodzie, ale jeśli ruszy i służby policyjne go namierzą, to nic z tego nie wyjdzie. Gdzie się podziewa Doktor Kold? Nikogo nie widzę, chociaż nie... Są.

Konrad Simonsen streścił rozmowę pozostałym obecnym.

– Mówi, że on poczuł się bardzo dotknięty i winny, był przygnębiony. Kazał jej odejść i się rozplakał. Teraz idzie do swojego samochodu, nie bardzo wie, co ma robić.

Szefowa policji zacisnęła dłoń.

– *Yes.*

Konrad Simonsen instruował Hrabiankę:

– Nie podchodź do niego, zostaw go samego.

Hrabianka odpowiedziała:

– Ludzie Doktora go przejęli. Załatwili to bardzo sprawnie i szybko, nikt niczego nie zauważył, ale kiepsko z czasem... Idzie kierowca ciężarówki, do której przyczepiłam nadajnik. Muszę wracać.

Konrad Simonsen zwrócił się do zebranych:

– Andreas Falkenberg chodzi po parkingu, zasłonił go autobus, Hrabianka straciła go z oczu... Znów się pojawił, wraca do samochodu, wsiada, podobno odjeżdża.

Szef służb wskazał na monitor i powiedział:

– Co właśnie widzimy.

Konrad Simonsen pokręcił lekko głową, po czym znów zwrócił się do Hrabianki:

– Nie jedź za nim, wracaj na komendę. Śledzimy go.

– Trzymaj kciuki, żeby nikt ze śledzących go ludzi nie zauważył, jak wyjeżdża z parkingu. Wkrótce się zobaczymy.

Optymizm trwał niecałą godzinę. Andreas Falkenborg jechał autostradą południową w stronę Rødby na Lollandii. Wszyscy czekali w napięciu, gdzie skręci. W końcu Poul Troulsen przerwał milczenie.

– Zaraz dojedzie do mostu Farøbroen. Gdzie on mógł ją ukryć?

Szefowa policji też zaczynała tracić entuzjazm.

– Może ucieka, to nie jest wykluczone.

Hrabianka, która już wróciła, weszła jej w słowo:

– Nie sądzę, wydawał się bardzo poruszony.

– Kiedy w końcu zjedzie z tej autostrady? Nie mogę już na to patrzeć.

Nagle odezwał się szef służb:

– Coś jest nie tak, jedzie za wolno. Moi ludzie są kilometr za nim, poproszę, żeby podjechali bliżej.

Mężczyzna wyszedł, minęło sporo czasu, zanim wrócił. Wszedł do pokoju, dopiero kiedy pojazd z nadajnikiem zatrzymał się na wyspie Falster tuż przed Guldborgsund. Szef służb trząśnięty ze złości.

– Zgubiliśmy go, to nie jego samochód śledziliśmy. Przechytrzył nas, w Solrød przeniósł nadajnik na niemiecką ciężarówkę, która jedzie do Rødby.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, z wyjątkiem szefowej policji, która zrobiła się szara na twarzy i zaczęła skrapiać policzki wodą. W takim stanie nikt jeszcze jej nie oglądał. Po chwili zapadło milczenie, wzrok wszystkich skupił się na Konradzie Simonsenie, który powiedział spokojnie:

– Podejmijcie poszukiwania, Poul, to jedyne, co możemy zrobić. Tym razem natychmiast go aresztujemy.

Poul Troulsen zniknął, szef służb pocieszał szefową policji:

– Polecenie o zawieszeniu nadzoru było słuszne, jestem przekonany, że wszyscy to rozumieją, mimo że nie ma pani dużego doświadczenia operacyjnego. Jeśli nie zostanie zarządzona jakaś większa kontrola, nikogo nie powinno obchodzić, kto kiedy wydał jakieś polecenie. Zresztą mogę przejąć część odpowiedzialności, jeśli tylko nie będę musiał kłamać oficjalnym zwierzchnikom. Co o tym sądzisz, Simon?

– Oczywiście, to była nasza wspólna decyzja, sam zresztą postąpiłbym dokładnie tak samo. Może damy sobie spokój z tym protokołem? Dlaczego cała odpowiedzialność miałaby spaść na jedną osobę?

Kobieta nieco odżyła.

– Bardzo wam dziękuję. Nie zapomnę wam tego.

Żaden z mężczyzn nie wierzył w jakąkolwiek oficjalną kontrolę, byli przekonani, że sprawa w ogóle nie wyjdzie poza komendę, najpewniej zostanie puszczona w niepamięć.

Wieść o porażce rozniosła się lotem błyskawicy po komendzie i ludzie powoli zaczęli się zbierać w punkcie kontrolnym. Policjanci schodzili się pojedynczo albo grupkami, stawali pod ścianą albo siadali na krzesłach, jeśli tylko jakieś było wolne, milczeli. Nikt się nie odzywał. Zbierali się bez szczególnego celu, czterodniowe napięcie musiało znaleźć ujście. Nikt nie wierzył, że jest jeszcze jakąkolwiek szansa na odnalezienie Pauline Berg żywej, chyba że z pomocą siły wyższej. Pierwszy zrozumiał to jeden ze starszych funkcjonariuszy, uklęknął i zaczął się modlić. Jego koledzy schylili głowy, wspierając go każdy na swój sposób. Arne Pedersen opuścił pokój, jego opiekun podążył za nim. Obaj płakali. W samym środku zamieszania siedzieli Konrad Simonsen i Hrabianka, trzymali się za ręce i czekali w napięciu. I nagle modlitwa się ziściła, na monitorze pojawił się nowy obraz, na mapie pokazało się zielone kółko. Usłyszeli czyjś podniecony głos:

– To leśna droga do Avnsø, znam to miejsce. Dokoła niczego nie ma, po co on tam jedzie?

Ktoś inny spojrzał na migające zielone kółko i dodał:

– Rozmawia przez komórkę.

Dzwonek telefonu Konrada Simonsena, który odezwał się w jego kieszeni, był więc niemal oczekiwany. Szef odebrał, a wszyscy wstrzymali oddech. Głos Doktora brzmiał chłodno i urzędowo, jak zwykle. Konrad Simonsen, który zdążył już przywyknąć do przekazywania nieprawdziwych informacji, odezwał się do zebranych w sali:

– To on.

I powrócił do słuchania.

– Między Källna a Össjö, blisko szosy, w brzezynie, tak, zanotowałem. Tam pochowałeś Liz Suenson?

Hrabianka miała przygotowaną kartkę papieru i długopis i wszystko notowała.

– Bunkier w Hareskoven, między stacją Skovbrynet a stacją Hareskov, rozumiem... Nie, nie wolno ci... Jesteś chory, pomożemy ci. Zostań, gdzie jesteś, nigdzie się nie ruszaj...

Konrad Simonsen rzucił komórkę i zawołał:

– Malte, jesteś tu?

Malte odpowiedział natychmiast, gotów przyjąć polecenie.

– Bunkier z 1955 roku, wynajęty przez gminę Værløse, dzisiaj zapewne gmina Furesø, na końcu leśnej ścieżki, prowadzącej do kolejki miejskiej. Natychmiast znajdź adres. Poul, wezwij karetkę, zadzwoń z centrali i każ im wysłać ratowników

ze szpitala w Herlev, tak będzie najszybciej. Dopilnuj, żeby w karetce był lekarz, poinstruuj, jak mają jechać, kierowca musi mieć dokładne dane.

Poul Troulsen wybiegł z sali, Konrad Simonsen rozdzielał kolejne zadania:

– Potrzebne będą radiowozy, najbliższej jest okręg Gladsaxe, niech ktoś da im znać, trzeba też wysłać patrol po Andreasa Falkenborga, który jest... Zresztą widziecie go na mapie. Tylko musicie się pospieszyć, groził, że targnie się na własne życie.

Kilku policjantów wybiegło z sali.

Pierwsza wiadomość przyszła szybciej, niż ktokolwiek się tego spodziewał. Jeden z policjantów zawołał nagle:

– Andreas Falkenberg nie żyje! Oblał benzyną siebie i samochód, najwyraźniej sobie nie żałował, podobno wszystko spłonęło, zostały zwęglone szczątki, ale nie ma wątpliwości, że to jego auto. Straż pożarna i radiowozy są już w drodze, dojazd zajmie im jeszcze trochę czasu. Te wiadomości pochodzą od kolegów, którzy akurat byli w pobliżu.

Szef PET-u niemal wszedł mu w słowo:

– Tą częścią zajmę się osobiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Simon.

– Dobrze, zajmij się tym.

Nikt nie opłakiwał Andreasa Falkenborga ani też nikt specjalnie się nie cieszył, wiadomość została przyjęta raczej obojętnie. Także informacja o śmierci Je-anette Hvidt została wyparta przez informację o losie Pauline Berg. Konradowi Simonsenowi przypomniały się słowa Doktora o zabawie z „lampą lutowniczą”, wzdrygnął się, ale szybko wyparł tę myśl i skupił się na chwili obecnej. Dziesięć minut później znów zadzwoniła jego komórka, odebrał i po chwili spokojnym głosem przekazał wiadomość:

– Znaleźli ją. Żyje.

Rozdział 61

Chociaż to, co działo się później, można było w zasadzie porównać do wstrząsów wtórnych, cały wieczór okazał się bardzo męczący i dla Konrada Simonsena, i dla Hrabianki. Najpierw pojechali do szpitala, gdzie musieli długo czekać, zanim lekarze i rodzina Pauline Berg zgodzili się wpuścić ich na minutę do pacjentki. Pauline rozpoznała ich i uśmiechnęła się blado. Nie byli w stanie odwzajemnić jej uśmiechu. Potem mimo ogromnego zmęczenia Konrad Simonsen uparł się, żeby jechać do Hundested. Czuł, że jest to winien Rikke Barbarze Hvidt. Los okazał się okrutny dla niewidomej kobiety. Mimo radości z powodu ocalenia Pauline, Konrad Simonsen nie potrafił zapomnieć sympatycznej starszej pani, której przyszło zapłacić tak straszną cenę za szaleństwo Andreasa Falkenborga. Ale on i Hrabianka przyjechali za późno. Mimo nadzoru, starszej pani udało się przegryźć sobie tętnicę, gdy personel Domu Opieki myślał, że kobieta śpi. Zmarła w karetce pogotowia.

W drodze do domu, kiedy mijali Fredriksvoerk, Konradowi Simonsenowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

– Nie podarowałabyś komuś swojej komórki?

– Może. Skoro tak uważasz. Komu?

– Młodej kobiecie, której zepsuł się telefon.

Hrabianka uznała, że nie będzie drążyć tematu, zgodziła się zboczyć nieco z drogi, żeby załatwić sprawę. W końcu kosztowało ich to zaledwie kilka dodatkowych minut.

Przez pozostałą część drogi głównie milczeli, żadne z nich nie było w nastroju do rozmowy. Hrabianka prowadziła, Konrad Simonsen wpatrywał się w ciemność. Nagle się odezwał:

– Można powiedzieć, że w pewnym sensie była jego szóstą ofiarą, biedna kobieta.

– To prawda.

Rozmowa się urwała, po chwili jednak Konrad Simonsen przerwał milczenie.

– Tacy ludzie jak Helmer Hammer i Bertil Hampel-Koch są ponad wszystkim. Nigdy nie brudzą sobie rąk. Potrafią o to zadbać.

Hrabianka milczała, bo cóż mogła powiedzieć? Konrad Simonsen zwrócił się do niej:

– Uważasz, że źle postąpiliśmy?

– Nie, nie uważam. To okropna sprawa i zrobię wszystko, żeby wyprzeć ją ze świadomości, ale kiedy tam, w szpitalu, stałam i patrzyłam na Pauline, pomyślałam, że kocham cię nad życie. Podjąłeś jedyną słuszną decyzję.

- Nie jestem przekonany.
- Ale tak jest. Pamiętaj też, że nie podjąłeś jej sam. Też ponoszę część odpowiedzialności, czy winy, jeśli wolisz.
- Z czego się cieszę. Myślisz, że sobie z tym poradzimy?
- Tak. Mamy siebie, poza tym Pauline nadal będzie wśród nas, gdyby kiedyś ciebie lub mnie naszły jakieś wątpliwości.

Konrad Simonsen skinął głową i znów zaczął się wpatrywać w ciemność.

Tej samej nocy nieszczęśliwe dzieciństwo Andreasa Falkenborga pochłonęło jeszcze jedną ofiarę, siódmą i ostatnią. Mężczyzna, który wyszedł z gospody i ruszył w stronę wąskiej ścieżki za zakrętem, żeby oddać mocz, sam miał kilka śmierci na sumieniu. Załatwiał dodatkowe działki narkomanom, którzy powinni zniknąć na zawsze, to była jego specjalność. Poza tym szantażował właścicieli knajp, aż zgodzili się przyjąć nielegalny towar, należący do jego szefa. Wielu uważało go za świnię, ale niewielu miało odwagę powiedzieć mu to wprost. Był brutalnym kryminalistą i mało kto chciał wchodzić mu w drogę. Również mało kto wiedział, że mężczyzna działał na dwa fronty. Pracował dla Doktora i jego organizacji, którą policja od lat miała pod obserwacją na tak zwanym poziomie pierwszym, obowiązującym jedynie w odniesieniu do najważniejszych organizacji działających w podziemnym świecie przestępczym, a jednocześnie był jednym z najbardziej liczących się informatorów policji w tych kręgach. I chociaż nie należał do najwęższego grona współpracowników Doktora, jego informacje nierzadko okazywały się bardzo wartościowe. W związku z tym policja często patrzyła przez palce na inne jego działania, co bardzo sobie cenił. Zapewne jednak nie przypuszczał, że przyjdzie mu oddać życie za młodą funkcjonariuszkę.

Mężczyzna stał w wąskiej alejce ze szklanką piwa w jednej ręce, próbując drugą chwycić członek, by oddać mocz. Po chwili poczuł wokół siebie ciepłą parę i westchnął cicho z ulgą.

Nóż ugodził go od tyłu, w szyję, i przeciął mu tchawicę, zanim nawet zdążył krzyknąć. Z jego ust dobyło się jedynie ciche rzężenie. Kiedy upadł, szklanka rozbiła się na żwirze: piwo, uryna i krew wymieszały się, tworząc mętną breję, która powoli zaczęła się rozlewać po chodniku, a potem strużką spływać do rynsztoka.

Wszystko ma swoją cenę.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl,
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Skład: D2D.PL
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2012
Wydanie I

